

LEILA
MEACHAM

PLANTACJA
SOMERSET

„PORUSZAJĄCA SAGA.”

— PUBLISHERS WEEKLY



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

LEILA
MEACHAM

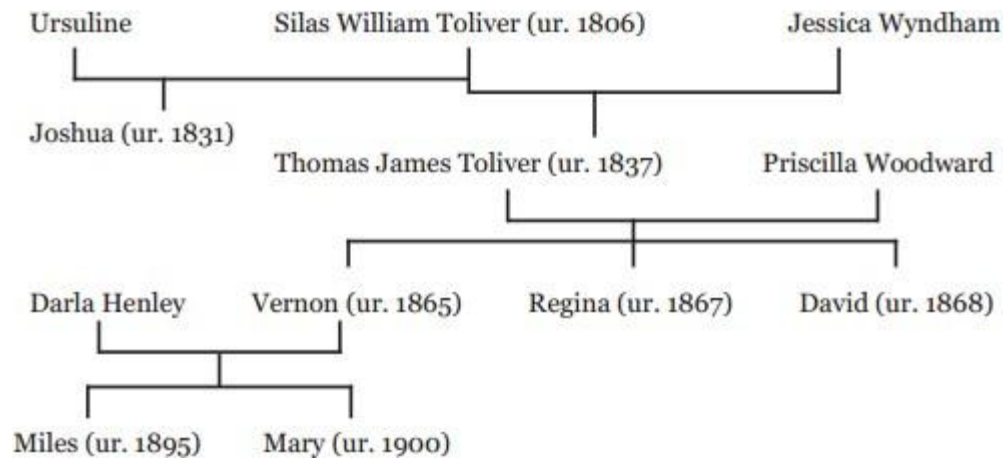
PLANTACJA
SOMERSET

Z języka angielskiego przełożyła
Katarzyna Petecka-Jurek

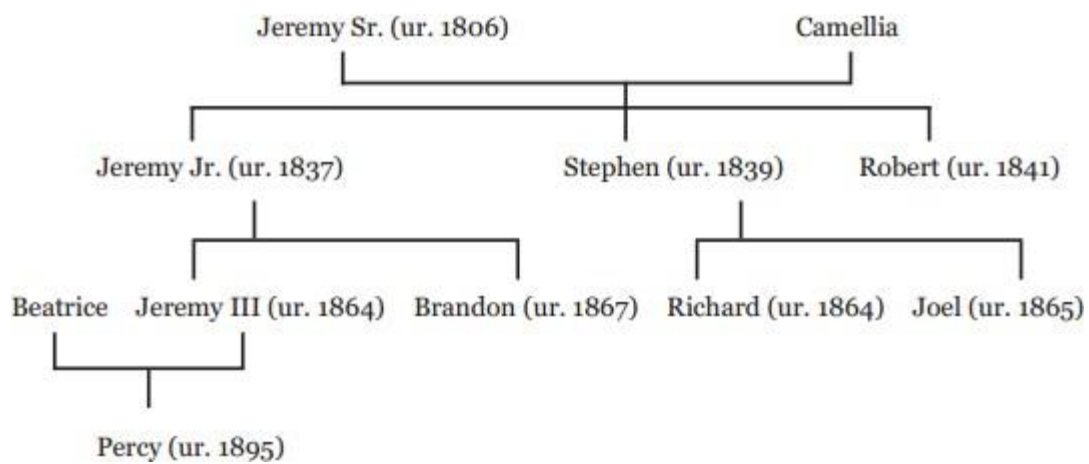


*Dla tych wszystkich, którzy przybyli, zostali,
odważyli się na zmiany i zasłużyli na miano Teksaszczyków.*

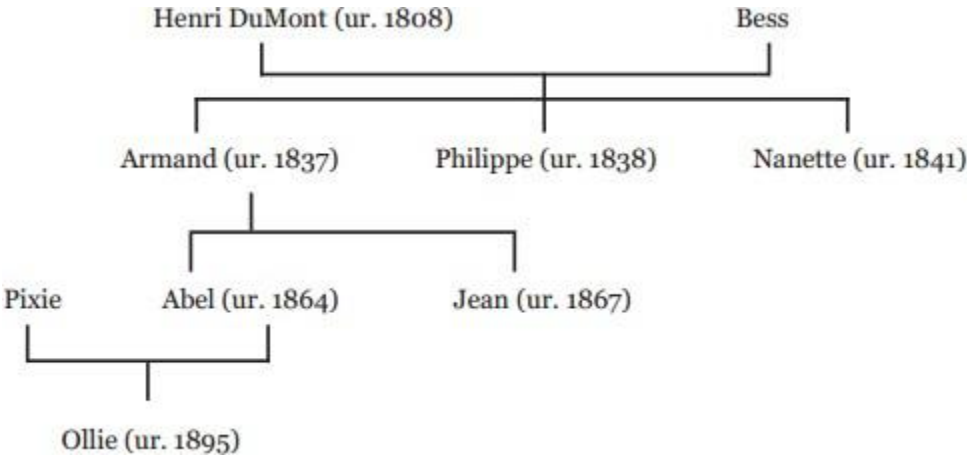
Rodzina Toliverów (1806-1900)



Rodzina Warwicków (1806-1900)



**Rodzina DuMontów
(1806-1900)**



Potomkowie Jaspera (wybrani)

Jasper (ur. 1818)



Petunia (ur. 1839)



Amy (ur. 1856)



Sassie (ur. 1876)



CZEŚĆ I



Rozdział 1

Plantacja Queenscrown w pobliżu Charlestonu
w Karolinie Południowej

Spod szerokiego, miękkiego ronda ogrodowego kapelusza Elizabeth Toliver obserwowała swego młodszego syna. W wyczekującej postawie stał przy balustradzie werandy i z napięciem wpatrywał się w prowadzącą do rodzinnego domu drogę, z obu stron porośniętą dębami. Był początek października 1835 roku. Elizabeth stała z sekatorem w ręce w jednym z różanych ogrodów okalających dom. Zamierzała naciąć kosz czerwonych lancasterów, które pielęgnowała i o które lękała się od stycznia. Doprawdy zadziwiające, jak woda, ściółka i nawóz mogą pomóc cienkim łodyżkom – w ogóle wszystkiemu, co rośnie – zbyt długo pozostawionym bez opieki. W naturze mnóstwo jest podobnych przykładów odradzania się z nową siłą w sprzyjających warunkach; szkoda, że człowiek tego nie dostrzega i nie stosuje wobec własnego gatunku.

Szkoda, że jej mąż nie poznał potrzeb swojego syna i nie postarał się ich zaspokoić.

– Na kogo czekasz, Silasie? – zawołała.

Obrócił w jej stronę głowę. Jego niezwykle przystojna twarz o rysach tak charakterystycznych dla Toliverów dowodziła, że jest potomkiem długiej linii angielskich arystokratów, których portrety witały gości w wielkim holu Queenscrown. Silas zmrużył zielone, płomienne jak szmaragdy oczy pod brwiami równie czarnymi jak jego gęste, niesforne włosy, ale to dołeczek w typowej dla rodziny brodzie nie pozostawiał wątpliwości co do jego pochodzenia.

– Na Jeremy’ego – odparł oschle i wrócił do swojej obserwacji.

Elizabeth zgarbiła się zrezygnowana. Silas wciąż obwiniał ją o zapis, który jego ojciec zamieścił w testamencie. „Powinnaś była go przekonać do zmiany zdania, matko – zarzucił jej – a teraz musisz ponieść konsekwencje”. Nigdy go nie przekona, że nawet nie przypuszczała, iż taka będzie ostatnia wola jego ojca, chociaż syn wiedział – musiał wiedzieć – że nigdy nie poświęciłaby jego szczęścia dla własnego. Teraz słyszała „konsekwencje” swojej porażki

nadjeżdżające z tętentem końskich kopyt – Jeremy Warwick na swoim białym ogierze przybywał, by zwabić jej syna, jej czteroletniego wnuka i przyszłą synową w odległy, niebezpieczny teren zwany Teksasem.

Jeremy zatrzymał pędzącego konia. Zanim przywitał się z Silasem i zsiadł z wierzchowca, zawołał do niej:

– Dzień dobry, pani Elizabeth. Jak się miewają róże?

Bez względu na to, gdzie się spotkali, zawsze witał ją tak samo. W ten sposób pytał, jak w ogóle się miewa. Nawiązanie do róż miało głębszy podtekst, a mianowicie obie rodziny, Warwicków i Toliverów, wywodziły się z angielskich królewskich rodów, które w swoich herbach miały eleganckie kolczaste kwiaty. Warwickowie z Karoliny Południowej pochodzili z rodu Yorków, reprezentowanego przez białą różę; Toliverowie z rodu Lancasterów, którego symbolem była róża czerwona. Chociaż żyli w przyjaźni i po sąsiedzku, w swoich ogrodach nigdy nie hodowali kwiatów symbolizujących arystokratyczne korzenie drugiej rodziny.

Pytanie „Jak się miewają róże?” nie oznaczało troski o jej ukochane rośliny, które zaniedbała, przez wiele miesięcy opiekując się chorym mężem w szpitalu w Charlestonie i które teraz zdołała przywrócić do życia, lecz o to, jak ona się czuje, skoro przed czterema tygodniami pochowała męża.

– Trudno powiedzieć – odkrzyknęła. – Od pogody zależy, czy zdołają przetrwać.

Bawili się w takie dwuznaczności od czasów, gdy chłopcy byli jeszcze dziećmi, a Elizabeth odkryła, że Jeremy Warwick jest bystry i ironiczny, ale nigdy nie posuwa się do kpiny. Uwielbiała go. Wysoki i postawny w porównaniu z jej szczupłym, wiotkim synem, który mu jednak nie ustępował wzrostem, Jeremy był najmłodszym z trzech braci. Ich ojciec był właścicielem przyległej plantacji bawełny noszącej nazwę Meadowlands. Obaj idealnie do siebie pasowali – rówieśnicy, zajmowali podobne miejsce w hierarchii rodzinnej, a łączyło ich pochodzenie i zainteresowania. Z tej ich przyjaźni Elizabeth się cieszyła, tym bardziej że Silas od chwili, gdy nauczył się mówić, toczył ze swoim starszym bratem nieustającą wojnę.

W spojrzeniu Jeremy'ego błysnęła szczerą radość zdradzająca, że

właściwie odczytał jej odpowiedź.

– Niestety, pogoda nie zawsze spełnia nasze oczekiwania – powiedział, przeprasząc chyląc głowę, co tylko potwierdziło Elizabeth powód jego wizyty.

– Czy nadszedł list, którego oczekiwaliśmy? – zapytał Silas.

– W końcu. Mam go w sakwie, razem z listem od Lucasa Tannera. Dotarł już ze swoją grupą do czarnoziem.

Elizabeth ani myślała wrócić do domu. Jeżeli obaj młodzieńcy chcieli rozmawiać na osobności, mogli się oddalić, liczyła jednak, że tego nie zrobią. Czasem, kiedy chciała dowiedzieć się czegoś o rodzinnych sprawach, musiała bezwstydnie podsłuchiwać albo zlecić to komuś ze służby. Usłyszała, jak Silas woła w głąb domu do Lazarusza, żeby podał kawę. To dobrze. Będą rozmawiali na werandzie, ciesząc się pięknym jesiennym porankiem.

– Czy treść listów mnie uraduje? – zapytał Silas.

– W zasadzie tak – odparł jego przyjaciel.

Elizabeth wiedziała, na co się zanosi. Przyjaciele zaczęli właśnie ochoczo realizować marzenie, które od lat dzielili i o którym nieustannie dyskutowali. Jako najmłodszy synowie dorastali w świadomości, że z chwilą śmierci ojców nie dane im będzie zostać jedynymi spadkobiercami rodzinnych plantacji. W przypadku Jeremy'ego nie stanowiłoby to problemu. Pozostawał ze starszymi braćmi w przyjaznych stosunkach, ojciec go uwielbiał i na pewno dopilnuje, żeby przypadła mu sprawiedliwa część majątku. Jeremy po prostu chciał mieć własną plantację i prowadzić ją wedle własnego uznania. Natomiast układy Silasa z ojcem i bratem przedstawiały się całkiem odmiennie. Benjamin Toliver faworyzował Morrisa, pierworodnego syna, od dnia jego urodzin i traktował jako dziedzica Queenscrown. „Tak powinno być”, mawiał do Elizabeth, nigdy nie wyzbywszy się do końca przekonania o prawie pierworództwa, zgodnym z jego angielskim pochodzeniem, wedle którego najstarszy syn powinien odziedziczyć całość rodzinnego majątku. W Karolinie Południowej prawo to zostało zniesione w 1779 roku.

W grę wchodziły też jednak inne uprzedzenia. Benjamin i Morris wyznawali takie same poglądy i synowi nie chodziło o to, by zadowolić

ojca. Morris naprawdę szczerze w ten sam sposób postrzegał wszystko, od religii po politykę, podczas gdy Silas zawsze zajmował inne, często wicherzycielskie stanowisko. Niechęć między ojcem a synem i między braćmi narastała. Elizabeth próbowała zasypać stale powiększającą się przepaść i traktowała Silasa ze szczególną czułością, co tylko dolewało oliwy do ognia. Benjamin wiedział, że gdyby uczynił z synów równorzędnych partnerów, skoczyliby sobie do gardeł jeszcze w dniu jego śmierci. By tego uniknąć, zapisał całą plantację, wszystkie pieniądze i cały rodzinny majątek – ziemię, dom z całym umeblowaniem, inwentarz, wyposażenie i niewolników – Morrisowi, zostawiając Silasa bez grosza poza roczną „pensją” wraz z procentem od zysków z plantacji, ale tylko jeżeli zostanie zarządcą pod zwierzchnictwem brata.

Nic dziwnego, że Silas, obecnie dwudziestodziewięcioletni, czuł się oszukany i przepelniony goryczą i że pragnął opuścić rodzinny dom, by wraz z Jeremym Warwickiem wyruszyć do „czarnej ziemi” w południowej części Teksasu, podobno idealnej do uprawy bawełny. Bardzo to smutne, że odejdzie przekonany o niesprawiedliwości i złej woli ojca, Elizabeth bowiem wiedziała coś, o czym Silas nie miał pojęcia. Benjamin Toliver poświęcił miłość do żony dla miłości do młodszego syna. Przez decyzję męża jej przypadła opieka nad niezdarnym synem kawalerem, który prawdopodobnie nigdy się nie ożeni i nigdy nie da jej wnuków, by mogła je uwielbiać i rozpieszczać. Prawdopodobnie przyjdzie jej tego żałować, ale musi pozwolić – nie bacząc na swą miłość do cudownego wnuka i dziewczyny, która niedługo zostanie jej drugą synową – by Silas wyjechał do Teksasu, nie wiedząc, że jego ojciec swoim testamentem dał mu wolność.

Rozdział 2

Silas czuł rozpacz matki podszytą żalobą, niesioną ku niemu rześkim, jesiennym wiatrem, ale nic nie mógł na to poradzić. Wyjeżdża do Teksasu, zabierając ze sobą syna i narzeczoną. Spierali się o to od wieków. Dla matki rodzina była wszystkim. Dla niego wszystkim była ziemia i nierozzerwalna więź, która łączyła z nią człowieka. Bez własnej ziemi, którą trzeba orać i uprawiać, człowiek był niczym, bez względu na to, z jakiej wywodził się rodziny. Matka robiła co mogła, by powstrzymać młodszego syna przed porzuceniem wygody i bezpieczeństwa rodzinnego domu i wywiezieniem rodziny do Teksasu, który stał na skraju rewolucji. Docierały do nich wieści, że teksańscy koloniści organizują się, by ogłosić niezależność od Meksyku swoich nowo zasiedlonych ziem, co musiało doprowadzić do wojny.

– Co mam uczynić, matko? Zostać tutaj we władzy brata, gdzie mój syn, tak jak jego ojciec, nigdy nie będzie panem swojego domu?

– Nie wmawiaj mi, że robisz to dla Joshui – protestowała matka. – Robisz to dla siebie. Zawsze tego pragnęłaś, ale teraz musisz myśleć o Lettie i swoim synku. – Zasłoniła rękoma twarz, przerażona koszmarami, przed którymi go ostrzegała: straszliwymi chorobami (w 1834 w kolonii Stephena F. Austina wybuchła epidemia cholery), barbarzyńskimi Indianami, dzikimi zwierzętami i wężami, żądnymi krwi Meksykanami, niebezpiecznymi przepławami przez rzeki, narażaniem się na szaleństwa pogody... przerażająca lista ciągnęła się bez końca, zaś najgorsze było to, że może już nigdy nie ujrzeć syna, Joshui i Lettie.

– To ty nie wmawiaj mi, matko, że przemawia przez ciebie troska o nich. Gdybym mógł znaleźć ziemię gdzieś na Południu, gdzie jest bezpiecznie, i tak chciałabyś, żebyśmy zostali w Queens-crown, wszyscy razem, jak rodzina, nie bacząc na to, że ojciec mnie wydziedziczył, a brat nienawidzi.

– Przesadzasz. Twój ojciec zrobił to, co według niego było najlepsze dla Queenscrown, a twój brat wcale cię nie nienawidzi. On cię po prostu nie rozumie.

– Ja zaś zrobię to, co według mnie najlepsze dla Somerset.

– Somerset?

– Tak nazwę swoją plantację w Teksasie, na cześć przodka Toliverów, księcia Somerset.

Matka umilkła, nie mając argumentów przeciwko tak potężnym ambicjom.

Za swoje cierpienie mogła podziękować mężowi i jego ostatniej woli, o czym przypomniał jej Silas, co jednak nie tłumaczyło jego opryskliwości przez te ostatnie tygodnie. Wstydział się jej zresztą. Kochał matkę i bardzo będzie za nią tęsknił, ale nie mógł pozbyć się przekonania, że celowo nie przewidziała niesprawiedliwego podziału majątku ojca i tym samym mu nie zapobiegła. Gdyby Benjamin Toliver podzielił go po równo, Silas porzuciłby swoje marzenie. Obiecałby sobie żyć w zgodzie z bratem. Morris, kawaler, kochał swego bratanka i lubił przyszłą szwagierkę za jej słodkie, łagodne usposobienie. Lettie i matka przepadały za sobą. Elizabeth traktowała dziewczynę jak córkę, której nigdy nie miała, zaś jego narzeczona odnosiła się do niej jak do zastępczej matki, ponieważ rodzoną straciła jako dziecko. Dobrze by się im razem żyło, w spokoju.

Nawet Morris zaczynał rozumieć, co straci dzięki temu, że został jedynym spadkobiercą.

– Coś wymyślimy – powiedział, Silasowi jednak nic, co zrobiłby jego brat, nie mogło wynagrodzić braku ojcowskiej miłości, tak boleśnie zademonstrowanej przez postanowienia testamentu. Nie przyjmie od brata niczego, czego jego ojciec nie chciał mu dać.

Dlatego wyjedzie do Teksasu.

Kiedy Jeremy zsiadał z wciąż jeszcze brykającego ogiera, Silas z wdzięcznością spoglądał na przyjaciela, który tak jak on zdecydował się postawić wszystko na jedną kartę. Jeremy Warwick rzadko powstrzymywał swego konia, ponieważ sam nie miał zwyczaju z niczego rezygnować. Silas bardzo to sobie w nim cenił, bo chociaż przyjaciel znany był z niespotykanie zdrowego rozsądku, nigdy nie bał się ryzyka, a przedsięwzięcie, na które wraz z nim się zdecydował, było najbardziej ryzykowne ze wszystkich.

Zanim uwiązał konia, Jeremy rzucił Silasowi sakwę z pocztą, po którą pojechał do Charlestonu. Silas niecierpliwie ją rozwiązał i już po chwili czytał list od Stephena F. Austina, znanego *empresario*¹

z Teksasu, nie czekając, aż wypastowane buty przyjaciela dotkną podłogi werandy.

– Wieści są niepokojące – odezwał się Jeremy, zniżając głos, żeby Elizabeth nie słyszała. – Pan Austin jest gotowy sprzedać nam tyle ziemi, ile będziemy w stanie kupić, pod warunkiem że zgodzimy się zamieszkać w Teksasie, ale ostrzega przed zbliżającą się wojną. Mówi, że nie mógł sobie wymarzyć lepszego miejsca: dobra, dziewicza ziemia, obfitość drewna i wody, sprzyjająca pogoda, ale być może będzie musiał o nie walczyć. Już stoczył kilka potyczek z Indianami i meksykańską milicją.

– Wyjeżdżamy dopiero w przyszłym roku na wiosnę, więc może do tego czasu rozwiąże się przynajmniej konflikt z meksykańskim rządem, ale będę musiał przedstawić sytuację wszystkim, którzy nam będą towarzyszyć – rzekł Silas. – Muszą poznać dodatkowe ryzyko.

– Lettie też o tym powiesz? – zapytał cicho Jeremy.

Ostry odgłos sekatora ucichł. Mężczyźni na werandzie przerwali na chwilę rozmowę. Elizabeth nadstawiła uszu, podsłuchując. Właśnie, Silasie, co zrobisz? Czy powiesz Lettie? Jej syna uratował Lazarus, który w tej właśnie chwili łokciem otwierał sobie drzwi frontowe, niosąc tacę z kawą. Silas podszedł, by mu pomóc.

– Dziękuję, paniczu – powiedział siwowłosy Murzyn i postawił tacę na stole, przy którym całe pokolenia Toliverów popijały koktajl miętowy i popołudniową herbatę. – Czy mam nalać kawę, panie?

– Nie, Lazarusie. Ja to zrobię. Powiedz Cassandrze, że placek wygląda smakowicie.

Lazarus i jego żona Cassandra pojedą razem z nim do Teksasu. Należeli do niego, otrzymał ich w spadku po Mamie Toliver, swojej babce. Drugiemu wnukowi nie zostawiła nic. Ostatnio Silas zauważył, że Lazarus porusza się z coraz większym trudem, a jego żona nie śpiewa już, zagniatając ciasto na chleb.

– Lettie też powiem – odparł Silas, podając Jeremy'emu talerzyk z kawałkiem placeka. Nalał każdemu z nich po filiżance parującej kawy.

– Kiedy uznam, że nadeszła stosowna chwila.

– Ach – powiedział Jeremy.

– Co to ma niby znaczyć?

– Że placek jest wyśmienity – rzekł Jeremy, częstując się sporym kawałkiem. – Wybieracie się z Lettie na przyjęcie Jessiki Wyndham?

– Lettie za nic by z niego nie zrezygnowała. Uczyła Jessicę, zanim dziewczynka wyjechała do szkoły, i szczerze się do niej przywiązała. Dzieli ją raptem cztery lata. Ja jej w zasadzie nie pamiętam. A ty?

– Ledwo. Do dzisiaj pamiętałem tylko małą dziewczynkę o poważnej twarzączce i oczach wielkich i brązowych jak kasztany, ale przypomniałem ją sobie, kiedy rano zobaczyłem ją w porcie w Charlestonie. Właśnie wróciła z Bostonu. Wyszli po nią matka z bratem. Doszło do krępującej sceny, gdy Jessica rzuciła się na pomoc staremu bagażowemu, którego źle potraktował jakiś pasażer.

– Biały?

– Niestety.

– Jej ojcu to się nie spodoba.

– Mam nadzieję, że to niemiłe zajście nie zepsuje przyjęcia.

Podobno Wyndham nie szczędzi grosza, by odpowiednio uczcić osiemnaste urodziny Jessiki i jej powrót ze szkoły dla panien w Bostonie. Będą też ich krewni z Anglii, lord i lady De Witt.

– Wyndhamowie mogą sobie na to pozwolić – zauważył Silas, wyjmując z sakwy mapę.

– Według „Couriera” Wyndhamowie to najbogatsi ludzie w Karolinie Południowej – rzekł Jeremy, odkrawając następny kawałek placka.

– Biedak będzie musiał przeganiać każdego łowcę posagu w tym stanie.

– Może Morris się z nią ożeni i oszczędzi jej ojcu kłopotów.

Silas prychnął.

– Morris nie odróżnia walca od polki ani damskiej chusteczki od szmaty do sprzątania, ma więc raczej niewielkie szanse na zdobycie ręki dziewczyny. Może ty się z nią ożeń, Jeremy, i oszczędź jej ojcu kłopotów. Taki przystojniak jak ty nie będzie miał konkurencji.

Jeremy się roześmiał.

– Nie chciałbym obrazić Lettie, ale wątpię, żeby młoda dama o pochodzeniu i obyciu Jessiki Wyndham zechciała poślubić mężczyznę, który zamierza osiedlić się w Teksasie. Lettie cię uwielbia. Poszłaby za

tobą do samego piekła.

Silas rozłożył mapę, która dołączona była do listu Stephena F. Austina, i ze zmarszczonym czołem przyglądał się trasie, którą *empresario* wyznaczył na niej czarnym atramentem. Odległość robiła wrażenie; tereny za Czerwoną Rzeką nie wyglądały zachęcająco. Miejsce, w którym szlak zbaczał z logicznie narzucającego się kierunku, obwiedziono kółkiem. Na marginesie zanotowano: „Nie zapuszczajcie się tutaj. Tereny łowieckie Komanczów”.

– Może tam właśnie ją zabieram – powiedział Silas.

Rozdział 3

– Gdzie też powinnam posadzić lady Barbarę? – zapytała Eunice Wyndham, gdy jej córka zjawiła się w loggii, gdzie trwały właśnie gorączkowe przygotowania do lunchu zaplanowanego na dwanaście osób. – Okropny dylemat. Jeśli będzie siedziała tyłem do ogrodu, w słońcu będzie widać, jak bardzo rzedną jej włosy. Jeśli usiądzie twarzą do ogrodu, będzie widoczna każda najmniejsza zmarszczka na jej twarzy. Ta kobieta jest taka próżna w kwestii swojego wyglądu.

Jessica nie słuchała. Jej matka po prostu myślała na głos i nie spodziewała się, że córka odpowie. Wiedziała, że dziewczyny takie rzeczy nie interesują, nawet teraz, po dwóch latach spędzonych w szkole z internatem, która miała zmienić jej obojętność. Stół ustawiono w loggii, by nie zajmować jadalni, gdzie następnego dnia miał się odbyć wielki bankiet. Jessica wolałaby uczcić swoje urodziny i powrót do domu rodzinnym piknikiem. Nie widziała nigdzie osoby, której przysła poszukać wśród czarnych służących. Nie znalazła jej też w jadalni, gdzie trwały podobne przygotowania.

– Mamo, gdzie jest Tippy?

– Może posadzę ją u szczytu stołu, a lorda Henry’ego na drugim końcu. Wszyscy uznają to za wyraz szacunku. Twój ojciec i ja usiądziemy naprzeciwko siebie na środku.

– Mamo, gdzie jest Tippy? Nigdzie jej nie mogę znaleźć. Co z nią zrobiłaś?

Eunice wsunęła ozdobioną kwiatowym wzorem wizytówkę w szklany uchwyt w kształcie pąka róży i odsunęła się, by sprawdzić efekt.

– Powinnam ustawić pułapki na muchy? – zapytała. – Kiedy byliśmy z ojcem w Waszyngtonie, kupiłam dwie bardzo ładne z kryształu. Mają tam potworne muchy, znacznie gorsze niż tutaj. Ale może jeszcze nie pora na nie, jak sądzisz?

– Mamo, gdzie jest Tippy?

Eunice nie zwracała na córkę uwagi.

– Na litość boską, dziecko. Czemu jesteś jeszcze w szlafroku?

Jessica skierowała się ku drzwiom.

– Dokąd się wybierasz?

– Do kuchni. Na pewno tam ją zesłałaś.

– Jessie, natychmiast przestań, słyszysz? – W głosie Eunice pojawiło się przerażenie. Chwyciła wachlarz, z którym przyszła do pokoju, i pomachała nim gwałtownie przed twarzą. Jessica zatrzymała się i obróciła. Trzy pokojówki ubrane w szare sukienki z białymi fartuszkami znieruchomiały i w pokoju zapadła cisza. – Tak się cieszę, że ojciec zabrał lady Barbarę i lorda Henry’ego na przejażdżkę – powiedziała Eunice, nie przestając się wachlować. – Nie będę musiała się wstydzić, że moja córka biegnie do kuchni przywołać służącą, skoro równie dobrze można na nią zadzwonić.

– Chcę zobaczyć Tippy, mamó.

– Dekoruje twój urodzinowy tort.

– W takim razie pójdę jej pomóc.

Eunice posłała przerażone spojrzenie stojącym bez ruchu służącym, które z szoku i ciekawości wybałuszały oczy

– Na razie to wszystko – warknęła. – Idźcie pomóc Willie May.

Służące wybiegły z szaro-białym pośpiechem. Eunice pośpiesznie wciągnęła córkę do pokoju i zamknęła za nimi przeszkłone drzwi. Dopiero wtedy się odezwała.

– Nie tym tonem, młoda damo, zwłaszcza w obecności służby.

Masz dość kłopotów po zejściu w porcie.

– Przecież tylko uderzyłam tego człowieka wachlarzem w ramię.

– Broniłaś Murzyna przed białym!

– Znęcał się nad obładowanym bagażowym. Uderzyłabym go nawet wtedy, gdyby bagażowy był biały jak śnieg.

Spięta, rozgniewana twarz Eunice zapadła się jak wilgotna babeczka.

– Słowo daję, dziecko, co my mamy z tobą począć? Tak się wszyscy cieszyliśmy na twój powrót. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak brat nie mógł się ciebie doczekać. Uparł się, że pojedzie ze mną do portu, ale narobiłaś mu wczoraj tyle wstydu, że chyba nie zdoła ci wybaczyć.

– To Michael powinien był tego człowieka powstrzymać.

Eunice zaczęła się wachlować jeszcze szybciej.

– Wiedziałam, że nie należy cię posyłać do szkoły w Bostonie, do tego gniazda abolicjonistów.

– Nie, matko, tam rodzą się ci, którzy opowiadają się za wolnością.

– Och, Jessie! – Wyczerpana jak zwykle po podobnych sporach z córką, za którą bez wahania oddałaby życie, Eunice opadła na jedno z krzeseł i westchnęła z rozpaczą. – Co oni w tej szkole z tobą zrobili?

– Utwierdzili mnie tylko w tym, w co zawsze wierzyłam. Wszyscy ludzie są równi i nikt nie ma prawa czynić z drugiego człowieka niewolnika.

– Ciii! – syknęła gwałtownie Eunice, zerkając przez szklane drzwi, czy nikt ich nie podsłuchuje. – Posłuchaj, moja uparta córko. Nie masz pojęcia, co się tu pod twoją nieobecność działo. Gdybyś wiedziała, zrozumiałabyś, czemu nie wolno tak myśleć, jak niebezpieczne takie rozmowy mogą być dla Tippy.

– Co... co się tu dzieje?

– Nie na naszej plantacji, ale na innych. Niewolnicy się buntują, co prawda na próżno, ale dzieje się to na tyle blisko, żeby twój ojciec się niepokoił. Plantatorzy są na skraju wytrzymałości i szybko karzą każdego niewolnika, a dodam, że bezlitośnie, albo... – przewiercała Jessicę wzrokiem – każdego, kto choćby tylko daje do zrozumienia, że nie zgadza się z ideami Południa.

– Ideami? Abolicja to idea. Niewolnictwo to dogmat.

Eunice przestała się wachlować. I tak niewiele zyskiwała przez to powietrza. Miała wrażenie, że płuca jej za chwilę wybuchną.

– Widzisz, o tym właśnie mówię. Ostrzegam cię, Jessie, że chociaż twój ojciec gotów jest spełnić każdą twoją zachciankę, nie będzie w tym domu tolerował takich poglądów ani twojej niestosownej przyjaźni z niewolnicą. – Potrząsnęła głową z pretensją do samej siebie. – Nigdy nie powinnam była pozwolić, byś jako dziecko tak zaprzyjaźniła się z Tippy, ale nie miałaś się z kim bawić. Miałaś do towarzystwa tylko ją. Nie powinnam była ulec błaganiom mojej siostry, żeby posłać cię do szkoły z internatem w Bostonie, gdzie będziesz blisko niej, a już z całą pewnością nie powinnam była się zgodzić, żeby Tippy pojechała z tobą.

Z drugiej strony – Eunice z przyganą uniosła jedną brew – łudziłam się, że będziesz miała dość rozsądku, żeby po powrocie do domu się od

niej odsunąć. – Ze znużeniem przyłożyła dłoń do czoła. – Miałam nadzieję, że zrozumiesz, że musisz pozwolić jej odejść, pogodzić się, że Tippy ma swoje miejsce, tak samo jak ty swoje.

– Mamo... – Jessica uklękła przed matką, a jej obszerny szlafrok ułożył się w bańkę wokół niej. Eunice ten widok skojarzył się z rudowłosą, brązowooką lalką, która składała się z ładnego tułowia i bufiastej spódnicy. Jessica uwielbiała ją jako dziecko. Ale na tym podobieństwo jej córki do lalki się kończyło. Eunice nie była w stanie tego pojąć. Córka miała regularne rysy, piękne zęby, ogniste włosy i wielkie, wyraziste oczy, uroczo ciemnobrązowe, mimo to jednak jej jasna, piegowata twarzyczka była... może nie brzydka, ale nijaka. Mąż Eunice wolałby, żeby córka była piękna, ale też podobna do córek ich przyjaciół, martwiąca się jedynie strojami, przyjęciami i flirtami, szczęśliwa, że jako jedyna córka jednego z najbogatszych ludzi na Południu jest uwielbiana i rozpieszczana. Lecz od chwili przyjścia na świat Jessica buntowała się przeciwko roli, która przypadła jej z racji pochodzenia. Czy wyczuwała, że ojciec dogadza jej we wszystkim, by nie dać jej odczuć, że jest nią rozczarowany? Jessica za dużo myślała, zadawała zbyt wiele pytań, sprzeciwiała się, buntowała. Gdyby była piękna, Carson inaczej traktowałby jej zachowanie, ale ponieważ była nieładna, tylko go nim denerwowała. Czasem Eunice myślała sobie, że Jessica powinna się była urodzić chłopcem.

– Rozumiem – powiedziała właśnie dziewczyna – ale się z tym nie godzę. Nigdy nie narażę Tippy, ale nie mogę, nie będę traktować jej jak kogoś gorszego ode mnie. Jest bystra i pomysłowa, jaka ja nigdy nie będę. Lepsza i mądrzejsza, i ma wszystkie cechy, które podziwiam i których oczekuję od przyjaciółki. Nie chcę stawiać ciebie i papy w niezręcznej sytuacji, ale będę darzyć moją przyjaciółkę szacunkiem, na który zasługuje. Nie będę traktować jej jak niewolnicy.

Eunice przyłożyła sobie dłonie do policzków.

– O mój Boże... gdyby twój ojciec cię słyszał...

– Na pewno byłby mną bardzo rozczarowany.

– Bardziej niż rozczarowany. Nie widziałaś jeszcze, jaki potrafi być. Jeżeli dalej będziesz się obnosić ze swoim uwielbieniem dla Tippy, musisz mieć na względzie jej los. Ja nie zdołam zapobiec

konsekwencjom twoich poczynań.

Jessica łagodnie oderwała dłonie matki od jej policzków i przytrzymała je.

– Nie martw się, mamo. Obiecuję nie sprawiać żadnych kłopotów i z nikim w domu nie będę rozmawiać o tym, co myślę na temat niewolnictwa. Południe jest jakie jest i ja jedna nie zdołam go zmienić, ale proszę, pozwól, żeby Tippy została moją służącą. Wiesz, że ma tylko jedno płuco i zapalenie opłucnej, w gorącej kuchni nie może oddychać.

– Pozwolę, ale tylko jeżeli dotrzymasz swojej obietnicy, dziecko. Inaczej ojciec odeśle ją do pracy w polu i każe mieszkać w barakach niewolników. Bardzo cię kocha, ale zrobi to, wierz mi. – Eunice uwolniła ręce i odgarnęła córce z twarzy jej ogniste włosy. – Tęskniliśmy za tobą – odezwała się łagodnie. – Dlatego przyjechałaś do domu przed końcem semestru, ale słowo daję, odkąd jesteś w domu, nie zaznałam chwili spokoju. Podczas lunchu i jutro na bankiecie będzie się mówiło o ruchu abolicyjnym. Obiecuj mi, że kiedy ktoś cię zapyta o zdanie, będziesz trzymać język na wodzy.

Jessica wysunęła język i chwyciła go dwoma palcami.

– Obietssuję tsymać jęsyk na wody.

– Głuptas. – Po twarzy Eunice przemknął uśmiech, który nie zgasił jednak niepokoju w jej oczach. – A teraz mnie puść. Mam mnóstwo pracy.

– Przyślesz Tippy do mojego pokoju? Nikt nie potrafi mi tak ułożyć włosów jak ona i pomyśl tylko, jak bym wyglądała, gdyby nie pilnowała mojej garderoby.

– A ty pamiętaj, że twój ojciec lubi robić ci niespodzianki. Rozmawiaj z Tippy wyłącznie o fryzurach i strojach, na wypadek gdyby niespodziewanie się pojawił. Jeśli zaczniesz coś podejrzewać, zamiast koronkami i wstążkami Tippy będzie się zajmować bawełną.

– Będę pamiętać. – Jessica wstała i zakręciła się w swoim satynowym szlafroku, a spódnica zawirowała wokół delikatnej, szczupłej talii. – Jutro kończę osiemnaście lat. Kiedy zdążyłam się tak postarzyć?

– Osiągnęłaś wiek, w którym pora pomyśleć o małżeństwie – powiedziała Eunice.

– Myśleć można, ale nie trzeba go zaraz zawierać. Jaki mężczyzna

zechciałby poślubić taką diablicę jak ja?

No właśnie, jaki? pomyślała Eunice z westchnieniem.

Rozdział 4

Tippy przesuwiała szczotkę wzdłuż każdego długiego, lśniącego loka, od czoła aż do samego końca, i powtarzała ten ruch tak długo, aż naturalnie kręcone włosy Jessiki opadały na jej ramiona jak rdzawa, błyszcząca satyna. Wkrótce upnie je w wieczorową fryzurę o nazwie Madonna, inspirowaną angielskim romantyzmem. Aby osiągnąć zamierzony efekt, trzeba było rozdzielić włosy pośrodku i ułożyć w loczki wokół głowy i przy twarzy. Na drucianym manekinie w rozmiarach Jessiki wisiała suknia z kremowej satyny. Uszyta była według najnowszej mody, w fasonie podkreślającym gładkie ramiona, wiotką talię i smukłe kostki.

– Pasuje do panienki idealnie – powiedziała panna Smith-field, krawcowa, która uszyła suknię w swoim sklepie w Bostonie, ale to Tippy ją zaprojektowała i wybrała materiał. Wszystkie dodatki także leżały już przygotowane: dobrane kolorystycznie satynowe pantofelki z kwadratowymi noskami, rękawiczki do łokci, mała zielona wieczorowa torebka pod kolor szmaragdowej broszki, którą ojciec podarował Jessice z okazji urodzin.

Dziewczyna siedziała przed lustrem, a Tippy stała za nią, przez co Jessica widziała tylko nastroszone włosy służącej (kolejna osobliwość – nie były kręcone, jak u wszystkich członków jej rasy, a ich jasnobrązowy odcień kontrastował z ciemną skórą Murzynki), małżowiny jej uszu i spiczaste, poruszające się nieustannie łokcie. Nie wyższa od kija od szczotki i z cienką, wysuszoną skórą Tippy została obdarzona wyjątkowo wielkimi uszami, dłońmi i stopami, co ci, którzy jej nie znali lub nie doceniali jej licznych talentów, uważali za groteskowe.

– Co też dobry Pan sobie myślał, dając mojej dziewczynce takie długasne uszy przy takiej malutkiej twarzyczce i ciele i skąpiąc jej przy tym jednego płuca? – lamentowała nieraz Willie May.

Jessicę również to zastanawiało. Nie znała innej ludzkiej istoty zbudowanej równie dziwnie, ale już w dzieciństwie uzekała ją drobniutka figurka Tippy i jej nieproporcjonalne niektóre części ciała. Ze swoim bystrym umysłem i twórczą wyobraźnią Tippy przypominała jej złośliwego chochlika z ulubionej książeczki dla dzieci. Jessica

wyobrażała sobie, że jest czekoladowym elfem z innego świata, którego za duże uszy, dłonie i stopy delikatne jak u wróżki mogły przemienić się w skrzydła i przenieść ją z powrotem tam, skąd przybyła. Gdy dorosła już na tyle, by zrozumieć, że przyjaciółka urodziła się bez ważnego organu, martwiła ją kruchość Tippy i bała się, że któregoś dnia po przebudzeniu stwierdzi, że anioły zabrały jej towarzyszkę zabaw. Patrzyła na poruszające się zwinnie ręce Tippy i wyobraziła je sobie, jak zbierają bawełnę w palącym słońcu, widziała też ciężki wór, pod którym uginają się wątłe ramiona przyjaciółki, i czuła, jak robi jej się słabo, ale przecież ojciec nie robi tego Tippy, Jessica była tego pewna. Wiedział, że córka nigdy by mu tego nie wybaczyła, ale mógł je rozdzielić i był do tego zdolny. Nie wolno jej o tym zapomnieć.

– Niczego już nie pragnę – powiedziała Jessica. – Czy to nie okropne, Tippy? Mieć osiemnaście lat i żadnych pragnień.

– Nie znam się na żadnych pragnieniach, ino żem w domu i że mogę jeść chleb kukurydziany z syropem z trzciny cukrowej – odparła Tippy, wysławiając się jak prosta niewolnica.

Jessica odwróciła się od lustra i patrząc surowo na Tippy, odezwała się przyciszonym głosem.

– Musisz mówić jak tępa robotnica, kiedy rozmawiasz ze mną?

– Tak, psze panienki, muszę, bo zapomnę, gdzie jestem. Tak bezpieczniej dla nas.

Jessica odwróciła się z powrotem do toaletki.

– Teraz żałuję, że nie zostawiłam cię w Bostonie w pracowni panny Smithfield. Zarabiałabyś na życie, szyjąc. Tam mogłabyś marzyć o wielu rzeczach i wszystkie by się spełniły.

Tippy zbliżyła usta do uszu Jessiki i odezwała się poprawną angielszczyzną.

– Twój tatuś posłałby po mnie, a ja i tak bym nie została. Nie pozwoliłabym ci wrócić beze mnie.

Jessica nasłuchiwała kroków swego ojca w korytarzu. Nie wszedłby bez pukania, zwłaszcza teraz, kiedy była już dorosła, ale i tak nie czekałby na zaproszenie. Wczoraj rano pozwolono Tippy wrócić z kuchni do pokoju Jessiki, która powtórzyła jej przestrożę matki, chociaż Tippy usłyszała podobną od Willie May.

– Chcą nas rozdzielić, bo jesteśmy sobie bardzo bliskie – wyjaśniła Jessica – a mama przestrzegła mnie, że jeśli nie będę posłuszna, odeślą cię do pracy w polu. Musimy udawać, że jesteś moją służącą, a ja twoją panią.

– To nie będzie trudne – odparła na to Tippy. – Jestem służącą, a ty moją panią.

– Tylko z nazwy.

Uzgodniły, że muszą mieć się na baczności. Willie May dała Tippy dokładne instrukcje. Nie wolno jej zwracać się do Jessiki „Jessie”, nie dodając przedtem „panienko”, i zawsze musi przy tym dygnać. Koniec z chichotaniem i opowiadaniem sobie sekretów. Koniec z leniwym czytaniem sobie nawzajem. Koniec z obnoszeniem się z przyjaźnią.

– I jeszcze jedno – dodała Willie May, patrząc na Tippy surowo. – Koniec z wysławianiem się jak biała dama albo obnoszeniem się przed panem i innymi niewolnikami ze swoim wykształceniem.

Dziewczęta przypieczętowały umowę w tradycyjny sposób – zahaczając o siebie kciuki prawych dłoni. Ponieważ w korytarzu panowała cisza, Jessica odezwała się z uśmiechem:

– Dopilnuję, żebyś dostawała tyle syropu z trzciny cukrowej, ile tylko zechcesz, nawet gdybym miała go tu przemycać.

– Nie, nie, Jessie.... panienko Jessie... nie wolno ci mnie tak... faworyzować. To zbyt niebezpieczne.

Jessica westchnęła.

– Brzydzą się tym wszystkim tutaj. Wstydzę się za Południe. Wstydzę się za moją rodzinę.

– Cii. Nie wolno ci tak mówić. Nie wolno ci tak nawet myśleć.

– Nic na to nie poradzę.

– Z Północy przyjeżdża ta nowa nauczycielka... Wiem, jaka jest, panienko Jessie. Proszę, nie pozwól, żeby wpakowała cię w kłopoty. Błagam cię...

– Jessie! Tu papa. Wchodzę!

Dudniący głos na korytarzu należał do mężczyzny, którego Jessica uwielbiała, ale i bała się jednocześnie. Niemal w tej samej chwili drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wkroczył Carson Wyndham, a jego wysokie buty, wypastowane tak, że ich blask oślepiał, z mocą uderzały

w drewnianą podłogę. Niskiego wzrostu, dziarski rudowłosy mężczyzna, potężnie zbudowany i szorstki w obejściu, sprawiał takie wrażenie, że tłumy się przed nim rozstępowały i szłochały nad tymi, którzy nie zeszli mu z drogi.

Tippy zareagowała błyskawicznie i przekrzywiła głowę, patrząc na przerażone odbicie Jessiki w lustrze.

– ...piękne ma panienska włosy, żal je tak upinać – powiedziała głośno, jakby kontynuując rozmowę przerwana pojawieniem się Wyndhama seniora.

– Zgadza się – rzekł Carson, zatrzymując się przy toalecie córki, by przyjrzeć się tematowi dyskusji. – Czemu, u licha, kobiety myślą, że muszą dręczyć swoje włosy, wykręcając i naciągając je, skoro Bóg mi świadkiem, że o wiele piękniej wyglądają, gdy opadają swobodnie, tak jak Pan je stworzył?

Dotknął nakrycia głowy z delikatnej siateczki, które wisiało na lustrze. Jessica nosiła je podczas wczorajszego lunchu – delikatna złocista sieć podtrzymywała jej rozpuszczone włosy.

– Podobałaś mi się w tym wczoraj, Jessie... chociaż nie mam pojęcia, jak się nazywa. Czemu nie możesz założyć tego dzisiaj?

– Och, papo, do sukni balowej dama nie może zakładać siatki na włosy.

Takiej odpowiedzi oczekiwał ojciec od córki – bezmyślnej, kobiecej i próżnej. Uśmiechnął się zadowolony.

– Zapewne. Podoba ci się broszka?

– Jest przepiękna. Jeszcze raz dziękuję, papo.

Wręczył jej prezent podczas lunchu, w którym uczestniczyli najbliżsi przyjaciele rodziców. Lunch stanowił część uroczystości urodzinowych Jessiki, ale tak naprawdę jej ojciec chciał się pochwalić przed swoimi dalekimi krewnymi z Anglii, lordem Henrym i lady Barbarą, księstwem Strathmore. Gdyby nie urocze towarzystwo Lettie Sedgewick, jedynej rówieśnicy Jessiki, a także jej brata, Wyndhamówna chybaby umarła z nudów albo przynajmniej z obrzydzenia. Rozmowę prowadzili w zasadzie tylko jego lordowska mość i jego przemądrzała żona, rozwodząc się nad godnym ubolewania wzrastającym znaczeniem brytyjskiej klasy średniej, zuchwałością robotników rolnych w Dorset,

domagających się stworzenia związków zawodowych, i polowaniem na głuszcę. Słuchacze i pełni uniżoności wielbiciel jaśniepaństwa spijali z ich ust każde wyniosłe słowo, czemu kres położył dopiero Michael, wznosząc toast za powrót siostry do domu.

Do tych słuchaczy nie należała Lettie Sedgewick. Jessica darzyła ją szczerą sympatią. Z niecierpliwością wyczekiwała, kiedy po przyjeździe z Bostonu jej przyjaźń z dawną nauczycielką rozkwitnie na nowo i będzie mogła dzielić się z nią wszystkim, co wyniosła ze szkoły. Niestety, Lettie była teraz zaręczona z Silasem Toliverem, wdowcem, którego Jessica zapamiętała jako uderzająco przystojnego i który planował założenie własnej plantacji w Teksasie. Jessica sobie przypominała, że pierwsza żona Silasa zmarła w połogu po wydaniu na świat chłopczyka, przyszłego pasierba nauczycielki. Lettie była niezwykle inteligentną córką prezbiteriańskiego pastora, biegłego w sztuce wysławiania się. Wyndhamowie, członkowie kościoła jej ojca, zatrudnili ją jako guwernantkę Jessiki, by poza wykształceniem szkolnym doskonaliła ją w sztuce pisania i literaturze klasycznej, zanim wyjedzie do szkoły z internatem. Lettie zdobyła dyplom nauczycielski w college'u w Nashville i uczyła w szkole publicznej w małym miasteczku, w którym mieścił się kościół jej ojca, Willow Grove. Parafia znajdowała się o rzut kamieniem między Charlestonem a położonymi obok siebie plantacjami, przy drodze zwanej Aleją Plantatorów – przy niej leżały najznamienitsze posiadłości plantatorów bawełny i trzciny cukrowej. Silas ani Jeremy Warwick nie zostali zaproszeni na urodzinowy lunch, ponieważ nie znali Jessiki zbyt dobrze. Pojawią się za to na balu.

– Można by pomyśleć, że Karolina Południowa wciąż jest brytyjską kolonią, widząc, jak niewolniczo niektórzy z nas są przywiązani do wszystkiego, co angielskie – powiedziała Lettie do Jessiki z błyskiem rozbawienia w oku, gdy w końcu nadarzyła się im okazja, by zamienić kilka słów na osobności.

– Poza niewolnictwem – odparła Jessica. – Brytyjczycy mieli dość humanitarnej przyzwoitości, by zakazać handlu niewolnikami.

Jessica powinna była ugryźć się w język. Powiedziała to bez zastanowienia, ale tolerancyjna natura Lettie Sedgewick i zażyłość, która

łączyła Jessicę z córką pastora, pozwalała na kontrowersyjną szczerość. Ucząc Jessicę, Lettie nie protestowała, a nawet zachęcała, żeby Tippy brała udział w lekcjach, chociaż robiły to w tajemnicy. Prawo zabraniało uczyć niewolników czytania i pisania i nauczycielka ryzykowała, że jej ojciec zostanie pozbawiony swojego stanowiska w Pierwszym Kościele Prezbiteriańskim, jeśli sprawa się wyda.

Na twarzy Lettie pojawiło się rozbawienie.

– To prawda – rzekła. – Widzę, że niewiele się zmieniłaś, droga uczennico, ale radzę, żebyś najpierw sprawdziła, czy możesz mówić swobodnie.

– Muszę się tego nauczyć.

– Słyszałam od Silasa, co wydarzyło się wczoraj w porcie. Jeremy Warwick odbierał tam jakąś przesyłkę do Meadowlands. Powiedział Silasowi, że nie podszedł, nie chcąc dodatkowo krępować ciebie, twojej matki i brata.

– Pan Warwick na pewno ma o mnie jak najgorsze zdanie.

– Ależ skąd. Powiedział Silasowi, że był pełen podziwu dla twojej odwagi.

Raczej dla skrajnej głupoty, pomyślała Jessica, spoglądając teraz w lustrze na poważną twarz ojca. Czy Michael powiedział mu o wczorajszym zajściu w Charlestonie i ojciec przyszedł, żeby ją zrugać?

– Jessie – rzekł Carson – chcę, żebyś dzisiaj wyglądała szczególnie ładnie.

– Robimy co w naszej mocy, prawda, Tippy? – odparła Jessica z ulgą. – Czy jest ku temu jakiś szczególny powód poza tym, że to moje urodziny?

– Nie... nie ma żadnego powodu. Chcę tylko być dumny z mojej córeczki, która po dwóch latach wróciła w końcu do domu, więc proszę, postaraj się. – Nachylił się i pocałował córkę w policzek. – Do zobaczenia na przyjęciu. Tippy?

– Tak, psze pana?

– Dopilnuj tego.

– Tak, psze pana.

Ojciec wymaszerował z pokoju, a kobiety obrzuciły się długimi, pytającymi spojrzeniami.

– O co chodziło? – zapytała Jessica.

– O Jeremy’ego Warwicka – odparła bez wahania Tippy.

– Jeremy’ego Warwicka?

– Słyszałam wszystko w kuchni. Twój papa chce, żebyś zrobiła na nim wrażenie, bo ma nadzieję, że będziecie mieli się ku sobie. Przy stole będziesz siedziała obok niego.

– Jeremy jest w wieku Silasa, za stary dla mnie, poza tym mają razem jechać do Teksasu. Czemu ojciec chce, żebym za niego wyszła?

– Nie wiem. Warwickowie są bogaci. Może chce odstraszyć konkurentów, którzy nie śmierdzą groszem? – Tippy porozumiewawczo zamruwała bezzęsyimi powiekami. – Jeremy Warwick to dobry człowiek, tak mówią w kuchni. Dobry pan. Nie wiem, czemu jeszcze się nie ożenił. Może twój tatuś chce, żebyś oddała mu swój wianek, zanim zrobi to jakaś inna.

– Nie, Tippy, to nie dlatego – powiedziała Jessica, nagle wszystko pojmując. Aż ją zakłuło w sercu ze smutku. Ojciec dowiedział się o awanturze w porcie. Musiał mu powiedzieć Michael, a matka, która za bardzo się męża bała, by mieć przed nim sekrety, na pewno powtórzyła mu, co Jessica myśli o niewolnictwie.

– Ojciec chce się mnie pozbyć, zanim przysporzę mu kłopotów.

Ale tylko pod warunkiem, że z Karoliny Południowej wywiezie mnie porządny i bogaty człowiek. Tak bardzo ojciec mnie kocha, pomyślała sobie. Poczwała, jak smutek z wolna ustępuje miejsca złości. Cóż, ma dla niego niespodziankę. Nigdy nie poślubi właściciela niewolników.

Rozdział 5

Miała powitać gości, stojąc w rzędzie wraz z rodzicami, bez wielkiego entrée, gdy panna pojawia się u szczytu schodów. Schody były dla prawdziwych piękności. Nie przeszkadzało to Jessice. Po uściśnięciu dłoni pięćdziesięciu gości rękawiczkę miała całą w brudnych smugach i z trudem trzymała w ręce kieliszek z szampanem, kiedy w końcu mogła podejść do Lettie, która wraz z Silasem Toliverem i Jeremym Warwickiem stała przed pięciopiętrowym, udekorowanym kwiatami tortem urodzinowym.

– Jest przepiękny – wykrzyknęła Lettie, gdy Jessica się zbliżyła. – Czyżby projekt był zasługą Tippy?

– Oczywiście. Zrobiła kwiaty z ubitego białka, które utwardziła w cukrze.

– Doprawdy wyjątkowy, podobnie jak ty, jubilatko. Co za przepiękna suknia! Z Paryża?

– Z Bostonu.

Jessica czuła, jak rumieni się pod spojrzeniami mężczyzn. Wystroiła się najlepiej, jak umiała, ale efektu nie dało się określić mianem wyjątkowego. Lettie widziała piękno we wszystkim i wszystkich, i mogła sobie na to pozwolić. Ona prezentowała się rzeczywiście wyjątkowo, co bez wątpienia wyrażało spojrzenie Silasa. Stanowili piękną parę – on wysoki, ciemny i przystojny, istny lord Byron ze swoimi niesfornymi czarnymi lokami, zielonymi oczami i uroczym dołączkiem w brodzie, ona drobniutka i jasna, o porcelanowej cerze, delikatna, uosobienie bohaterki wiersza poety *Gdy stąpa piękna*.

– I do twarzy pani z rumieńcem – odezwał się Jeremy Warwick z diabolicznym uśmiechem. Stroił sobie z niej żarty? Jessica zignorowała komplement.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że wybrałaś mnie na swoją druhnę – powiedziała do Lettie.

– Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że się zgodziłaś. Pojedziemy w przyszłym tygodniu do Charlestonu, żeby poszukać materiału na twoją suknię?

– Z przyjemnością, ale w tych sprawach jestem beznadziejna.

Tippy potrafi znakomicie wybrać tkaninę i kolor. Ma doskonały gust. To ona zaprojektowała dla mnie tę suknię. Zawsze razem z nią kupuję swoje stroje.

– Tippy? – wtrącił się Silas. – Słyszę to imię już po raz drugi. Chyba nie miałem przyjemności jej poznać.

– Yyy... Tippy to służąca Jessiki – wyjaśniła Lettie, nieco skrepowana.

– Murzyńska służąca ma lepszy gust od swojej pani? – zwrócił się z Silas z niedowierzaniem do Jessiki.

Ta wyzywająco zadarła brodę.

– Moja ma.

Poczuła, jak jej łokieć ujmuje zdecydowana, męska ręka. Czyżby ostrzegawczo?

– Chyba słyszę dzwon na kolację – powiedział Jeremy, wsuwając sobie dłoń Jessiki pod ramię. – Będę miał przyjemność siedzieć przy stole po prawej stronie pani. Czemu zawdzięczam zaszczyt towarzystwa jubilatki?

– Zdecydował o tym mój ojciec, panie Warwick – odparła Jessica, czując nagle, że brak jej tchu. Uznała, że to wina wiatru czy może raczej dusznego zapachu perfum unoszącego się w pomieszczeniu. – Jeśli to możliwe, mam pana oczarować i omamić w nadziei, że nie uzna mnie pan za niewartą poślubienia.

Pozostali wpatrywali się w nią osłupiali. Śmiech Jeremy'ego przerwał krępującą ciszę.

– Na Jowisza – powiedział. – Już jestem oczarowany.

Jessica rozczesywała włosy po przyjęciu, kiedy do drzwi zapukał jej ojciec, jak zwykle krótko i szybko. Nawet nie próbowała odpowiedzieć, ponieważ drzwi i tak otworzyły się natychmiast. Ojciec wszedł, w smokingu, pachnąc dymem z cygar.

– Cóż, drogie dziecko, dobrze się bawiłaś na przyjęciu?

– Tak, papo, doskonale.

Wieczór był nużący, rozmowy nudne i przewidywalne, z wyjątkiem chwil, kiedy Silas i Jeremy opowiadali o swoich planach przeprowadzenia wiosną taboru wozów do Teksasu. Tabor miał mieć pół mili długości i obaj panowie liczyli, że będą przemieszczać się

z prędkością co najmniej dwóch mil na godzinę, dzięki czemu zdołają pokonać dziennie dystans dziesięciu mil. Oczywiście to jeszcze będzie zależało od pogody i innych drobnych przeciwności. Podróż zapowiadała się na niebezpieczną, pełną rzeczy nieznanymi i Jessica się zastanawiała, jak Lettie znieśie trudy, które bez wątpienia ich czekały. Poza tym jedynym interesującym tematem było szczęśliwe przybycie z Massachusetts Sary Conklin, która miała zastąpić Lettie na stanowisku nauczycielki w miejscowej szkole. Sedgewickowie odebrali ją w porcie w Charlestonie i zawieźli do jej nowego domu w Willow Grove.

– Jest ładna? – zainteresował się Michael.

– Bardzo – odparł wielebny Sedgewick, lekko się rumieniąc.

Jessica nie zdradziła, że zna nową nauczycielkę, ale podejrzewała, że Lettie się domyśla, iż przyjaciółka użyła swoich wpływów, aby posadę tę dostała osoba obca i pochodząca z Północy.

Ojciec usiadł na kanapce, która była zbyt niska, by wygodnie wyciągnął nogi, ale z tego miejsca mógł bez trudu obserwować twarz córki w lustrze.

– Mam nadzieję, że nie mówisz mi tego, co chcę usłyszeć, ale że naprawdę dobrze się bawiłaś – powiedział. – Trudno mi to było ocenić. Co sądzisz o Jeremym Warwicku?

Jessica rozprostowała na szczotce jeden z nawoskowanych kędziorów.

– Uważam, że jest uprzejmy.

– Uprzejmy?! Tylko tyle masz do powiedzenia? Słowo daję, na całym Południu nie ma chyba niezamężnej kobiety, która nie uważałaby go za czarującego, pełnego życia, zabawnego. Niejedna mężatka też tak myśli, jeśli mam być szczery.

Porozumiewawczo poruszał brwiami, co widząc, Jessica z trudem powstrzymała się od śmiechu, ponieważ tego typu błazenady zupełnie nie leżały w pozbawionej poczucia humoru naturze jej ojca.

– W takim razie dlaczego jeszcze się nie ożenił? – zapytała.

– Rzeczywiście, to dość szczególne, ale z tego, co słyszałem, kiedy był młody, jego ukochana zmarła na tyfus. Muszę przyznać, Duszku, że niezbyt się starałaś, żeby zrobić na nim odpowiednie wrażenie.

Jessica napotkała jego wzrok w lustrze. Duszku... Nie nazywał jej

tak, odkąd była małą dziewczynką. Przewisko wzięło się z ich wspólnej zabawy, w której Jessica wyskakiwała z kryjówki, żeby go nastraszyć. „Hu!” krzyczała, a on się śmiał, kręcił nią w kółko i nazywał swoim duszkiem. Przypomniła sobie, ile bólu potrafi przysporzyć w niej ojciec, i ścisnęło ją w gardle.

– Miałam zrobić na nim wrażenie, papo?

Skóra wokół uszu Carsona zaróżowiła się lekko.

– No tak, Duszku. Przyznaję, że próbuję bawić się w swatkę. Jeremy to najbardziej pożądanym kawaler w Karolinie Południowej, poza Silasem Toliverem, ale on jest już zaręczony. Poza tym Silas nie ma pieniędzy, w przeciwieństwie do Jeremy’ego. On zadba o ciebie jak należy.

– Silas nie ma pieniędzy? – Jessica zdumiona spojrzała na ojca w lustrze. – Jak to możliwe? Queenscrown to przecież świetnie prosperująca plantacja.

– Benjamin Toliver zostawił Queenscrown starszemu synowi, Morrisowi. Silas tylko u niego pracuje. Dlatego wyjeżdża do Teksasu. Jessica zmartwiła się o Lettie.

– Jakim sposobem może sobie na to pozwolić?

– Utopił w tym przedsięwzięciu trochę własnych pieniędzy. Resztę pożycza ode mnie.

Jessica zadrzała z troski o Lettie. Nie tylko przyjdzie jej znosić niewyobrażalne trudy nowego życia w Teksasie, na dodatek wszystko za pożyczone pieniądze. Zapewne miną całe lata, zanim plantacja stanie się dochodowa i spłaciwszy wpiery jej ojca, Silas zdoła odłożyć jakiś grosz. Może miłość pozwoli im to przetrwać, a Silas zrealizuje marzenie, które wraz z Jeremym tak długo pielęgnowali.

Jessica obróciła się na taborecie, by spojrzeć bezpośrednio na ojca.

– Dlatego chcesz mnie tak pośpiesznie wydać za mąż, papo?

– Cóż... nie robisz się coraz młodsza. Twoja matka w tym wieku była już mężatką i szczerze, nie przychodzi mi na myśl żaden inny mężczyzna lepszy od Jeremy’ego. – Carson udał, że łapie coś w swoje pulchne, mocne palce. – Musisz go wyłowić z garnka, zanim zrobi to ktoś inny.

– Pytanie, czy Jeremy chce być wyłowiony.

– Uważam, że był wystarczająco chętny, ale go zniechęciłaś.
– On ma prawie trzydzieści lat, jest jedenaście lat starszy ode mnie.
– A cóż to zmienia? Ja jestem osiem lat starszy od twojej matki, podobnie jak Silas od Lettie, a sama widzisz, jaka ona jest z nim szczęśliwa.

To prawda. Szczęście Lettie zauważył każdy obecny na przyjęciu. Jessica się zastanawiała, czy chodzi po ziemi mężczyzna, który zdoła sprawić, by jej oczy, tak jak oczy Lettie, lśniły niczym gwiazdy. Lubiła Jeremy'ego. Naprawdę uważała, że jest obiecujący, pełen życia i zabawny, ale przecież taki mężczyzna nigdy nie zwróciłby uwagi na kogoś takiego jak ona. To, co dostrzegł ojciec, było jedynie uprzejmością wobec córki gospodarza, zaś jej obojętność spowodowała irytacja, że jest wystawiana jak klacz na aukcji koni.

– Przecież wiesz, że wybiera się do Teksasu – powiedziała.
Carson spuścił wzrok, wbijając go w czubki swoich pantofli.
– Tak, wiem.

Jessica obróciła się twarzą do lustra. W tym domu milczenie podczas rozmowy było bardziej wymowne – i lepiej rozumiane – od wypowiedzianych na głos słów. Stało się dla niej oczywiste, że choć z żalem, ojciec gotów jest wydać ją jak najszybciej za odpowiedniego mężczyznę, który wywiezie ją jak najdalej. Milczała i jedynie miarowe ruchy szczotki zdradzały jej niezadowolenie.

Carson uniósł głowę i rozglądając się po pokoju, zapytał niespodziewanie:

– Gdzie jest Tippy? Czemu ci nie służy?
– Odesłałam ją do jej pokoju. Nie było sensu, żeby na mnie czekała przed pójściem spać.

Carson wstał ze zmarszczonym czołem.

– Powinna tu być, dopóki nie udasz się na spoczynek. Dopiero wtedy wolno jej odejść. Jesteś dla niej zdecydowanie zbyt pobłażliwa, Jessie. To niedopuszczalne.

– Tak, papo – odparła Jessica, nie przerywając szczotkowania. Tippy błagała ją, żeby pozwoliła jej zostać, bo chciała się dowiedzieć, jak wypadło przyjęcie, ale atak zapalenia opłucnej, którego dostała po południu, niemal powalił ją na kolana. Jessica nie miała śmiałości

zdradzić ojcu stanu płuc Tippy, który się pogorszył, gdy nagle zrobiło się zimno. Z nielicznymi wyjątkami, nie miał cierpliwości do niewolników niezdolnych do pracy. – Dopilnuję, żeby zarabiała na swoje utrzymanie.

– O to właśnie chodzi. – Carson umilkł i w lustrze spojrzął córce w oczy. Dostrzegła w jego spojrzeniu zmartwienie i poczuła, jak zbiera jej się na płacz. Znowu milczenie przemówiło głośniejszym od słów. – Duszku, kochanie moje, czemu nie możesz być bardziej jak...

Wyndhamowie? – zapytał. – Jak to możliwe, że przyszedłeś na świat tak inna od nas wszystkich?

– Nie wiem, papo – odparła, czując, jak lęk przyprawia ją o dreszcz. – Ale obawiam się, że drogo mi przyjdzie zapłacić za tę moją odmienność.

Rozdział 6

Willie May siedziała pośród stert nieumytych naczyń z wczorajszego przyjęcia, racząc się drugą filiżanką kawy i rozkoszując jedną z tych nielicznych chwil, kiedy mogła być w Dużym Domu sama ze swoimi myślami. Był niedzielny poranek. Wszyscy domownicy – pan i pani, panienka Jessica i cała służba, włącznie z jej córką – a także wszyscy z Podwórza, którzy pracowali w polu, uczestniczyli w mszy, którą dzisiaj odprawiano nad strumieniem. Po niej miał się odbyć chrzest w cieniu wielkich pekanów i cyprysów na brzegu, a później posiłek złożony z tego, co zostało z urodzinowego przyjęcia panienki Jessiki. De Wittowie w sobotę po południu wyjechali do Charlestonu, skąd mieli wyruszyć w podróż powrotną do Anglii, dzięki Bogu. Przynajmniej nimi nie musiała sobie Willie May zawracać głowy w gorączce podawania pięćdziesięciu gościom wina, kolacji i wreszcie sprzątnięcia.

– A teraz wszyscy marsz do łóżka – zakomenderowała służbie pani Eunice, kiedy wieczorem po przyjęciu stoły zostały uprzątnięte, a jedzenie schowane. – Naczynia mogą poczekać do jutra, po mszy. Willie May, ty także idź się położyć. Wyglądasz jak zdjęta z krzyża.

Pod tym względem pani Eunice była dobra, nigdy nie zmuszała swojej gospodyni do pracy ponad siły, chociaż miało to też swoje granice. Willie May bardzo to odpowiadało. Życie było łatwiejsze i prostsze, kiedy każdy znał swoje miejsce, akceptował je i nie zastanawiał się, do czego inni mają prawo. To właśnie niepokoiło ją w spokoju tego niedzielnego poranka w Dużym Domu. Granice. Tippy swoich nie znała, za co winę ponosiła Jessica Wyndham. Jej dziewczynka będzie miała kłopoty przez córkę pana – poważne kłopoty. Willie May czuła, jak nadchodzą.

Willie May poczuła, że jakaś część jej duszy kurczy się i zamienia w twardą jak kamień kulę w dniu, kiedy jej mała córeczka – było to dziesięć lat temu – weszła, oczywiście z panienką Jessicą, do salonu, gdzie pani z dekoratorem zastanawiała się nad wyborem koloru i tkaniny na zasłony w oknach weneckich. Willie May podawała herbatę, gdy zobaczyła, jak jej córka bierze dwa skrawki różnych materiałów dopasowanych kolorystycznie i spokojnie, bez słowa podaje je pani

Eunice.

– Niebýwałe – wykrzyknęła pani. – Co za doskonałe połączenie zieleni i tkanin. Z aksamitu zrobimy lambrekiny, story z jedwabiu.

Wszyscy wpatrywali się w jej małą dziewczynkę i w tym samym momencie Willie May poczuła, jak skręcają jej się wnętrzności, i w zasadzie już nigdy się nie rozluźniły od tamtego dnia, zwłaszcza że panienska Jessica zaćwierkała:

– Mówiłam ci, że ona jest bystra, mamo!

Willie May i pani Eunice patrzyły bezsilnie, jak z każdym dniem rośnie przyjaźń obu dziewczynek. Z początku, kiedy dzieci były jeszcze małe i razem wyrastały z niemowlęctwa, żadna z matek nie zwracała specjalnej uwagi na to, jak bardzo małe lubią swoje towarzystwo. Na plantacjach było czymś normalnym, że białe i czarne dzieci bawiły się razem, zwłaszcza jeśli potomstwo służby mieszkało z rodzicami w Dużym Domu. Willie May była szczęśliwa, że jej córka, która przyszła na świat bez jednego płuca, wychowuje się pod jej okiem w Dużym Domu, zamiast na Podwórzu, gdzie dzieci innych niewolników musiały pracować, pani Eunice zaś cieszyła się, że jej córka, która nie miała siostr, znalazła w Tippy towarzyszkę zabaw. Ich rosnąca więź umknęła uwadze Carsona Wyndhama, nawet kiedy Jessica się upierała, że wszystkim chce się z Tippy dzielić po równo i że Tippy ma dostawać takie same zabawki i lalki jak ona. To właśnie dzięki paniencie Jessice wszyscy zaczęli się do jej córki, która na chrzcie otrzymała imię Isabel, zwracać „Tippy”.

– Tippy! – piszczała Jessica, kiedy dziewczynki uczyły się chodzić i jej mała córeczka wołała stapać na paluszkach zamiast dreptać niepewnym kroczeniem.

Willie May i Eunice niespecjalnie ingerowały w bliskość swoich córek, ponieważ w pewnym sensie była odzwierciedleniem ich własnej. Carson Wyndham kupił Willie May niespełna dwudziestoletnią jako służącą dla Eunice Wyndham, gdy przywiózł swoją świeżo poślubioną małżonkę z Richmond w Wirginii do swojej ogromnej posiadłości w Willowshire. Zostawiał żonę na całe tygodnie, gdy wyjeżdżał doglądać licznych plantacji, i Eunice oszalałaby z samotności, gdyby nie Willie May. Kiedy miała siedemnaście lat, porwano ją od rodziców

z wioski w Afryce, rozumiała więc doskonale, czym jest tęsknota za rodzinnym domem. Języka i domowych posług nauczyli ją angielscy misjonarze – poszcześnie się handlarzom niewolników – i tak ona i pani stały się nawzajem swoimi powiernicami, razem układając sobie życie z mężami, których ledwo znały, dzieląc radości i trudy kolejnych ciąż, porodów i zarządzania jedną z najznamienitszych posiadłości w Karolinie Południowej. Eunice nieraz przyznawała, że nie wie, jak poradziłaby sobie bez Willie May, ale tylko dlatego, że wiedziała, iż gospodyni nigdy nie posunie się do zbytnej poufałości.

Żadna z nich nie mogła powiedzieć tego samego o Tippy, a to za sprawą Jessiki Wyndham, zaś pan domu zaczął się już wszystkiego domyślać.

Nie dalek jak dziś rano, kiedy wychodzili nad strumień, zapytał tonem, który wprawiał wszystkich w przerażenie:

– Skąd masz tę suknię, Tippy?

Obecni przy tym zamarli, również panienska Jessica, która w końcu zaczynała w tej swojej upartej głowce pojmować, że jej ślepotą na kolor skóry naraża Tippy na niebezpieczeństwo.

– Uszyłam sobie, psze pana.

Pan chwycił materiał w dwa palce i potarł. Sukienka była bardzo ładna i modnie uszyta.

– Surowy jedwab. Skąd go masz?

– Z Bostonu, psze pana. To resztki, które dała mi krawcowa panienska Jessiki.

Pan obrzucił córkę spojrzeniem.

– Masz suknię z tego samego materiału?

Panienska Jessica miała dość przytomności umysłu, żeby spuścić głowę.

– Tak, papo.

– Idź do siebie i natychmiast to zdejmij – polecił pan Tippy. – Żadna kolorowa służąca z mojego domu nie będzie nosiła sukni z tego samego materiału, co moja córka.

Tippy wybiegła z holu, tłumiąc kaszel, dokładnie taki sam, jaki co noc rozrywał jej jedyne płuco.

Kilka lat wcześniej pan nie zwróciłby uwagi na suknię ani jej

wykwintny krój. Wszyscy znali i wychwalali krawieckie talenty Tippy, podobnie jak jej wycucie kolorów i fasonów, ale w 1831 roku w Willowshire wiele się zmieniło. W tym właśnie roku Nat Turner, murzyński kaznodzieja, stanął na czele dwudniowej rebelii niewolników skierowanej przeciwko białym panom w hrabstwie Southampton w Wirginii, gdzie pan Carson miał plantację tytoniu. Pojechał do Wirginii, gdzie na własne oczy obejrzał proces i powieszenie buntowników, i do domu wrócił jako zupełnie inny pan.

A potem, w 1833 roku, niejaki William Lloyd Garrison założył Amerykańskie Towarzystwo Antyniewolnicze w Bostonie, mieście, w którym panienska Jessica chodziła do szkoły, za służącą mając kolorową, którą traktowała jak siostrę. To tylko dołało oliwy do ognia. Nie przyszło panu do głowy, że jego córka dostanie się pod wpływem radykalnych poglądów Garrisona i jego zwolenników, a tym bardziej że okaże się na nie podatna, co właśnie sobie uświadomiły Willie May i pani Eunice.

Willie May wstała i założyła fartuch. Tutaj, w Willowshire, tacy jak ona mieli się dobrze. Pan Carson uważał, że należy dbać o swoją własność, i pilnował, żeby jego niewolnicy byli dobrze odżywieni, ubrani i porządnie mieszkali. Nie musieli pracować w weekendy, Święto Dziękczynienia ani Boże Narodzenie, a robotnicy na polu mogli przez dziesięć minut odpoczywać w cieniu drzew i pić tyle wody, ile zapragnęli. Wolno im było ustalać własne reguły i wieść życie po swojemu, bez ingerencji ze strony Dużego Domu, pod warunkiem że nie przekraczali wyznaczonych granic. Pał do biczowania wciąż stał na środku Podwórza, ale dawno już nie był w użyciu, a ostatnio tylko dlatego, że jeden z niewolników niemal na śmierć zatłukł swoją żonę. W przeciwieństwie do innych plantatorów pan nie rozdzielał murzyńskich rodzin, sprzedając dzieci. Carson Wyndham był surowy, ale sprawiedliwy i tego samego oczekiwał od swoich nadzorców i poganiaczy. Tylko pan Carson i właściciele Meadowlands wyznawali takie zasady, inni plantatorzy i nadzorcy bardzo źle traktowali swoich niewolników. W Willowshire żyło im się spokojnie i w miarę dobrze.

Ale czasy się zmieniały. Widać to było na każdym kroku. W lipcu minionego roku tłum zaatakował pocztę w Charlestonie i spalił

antyniewolniczą literaturę przysłaną przez abolicjonistów z Północy, by została rozproszona na Południu. Prezydent Jackson poparł protest i bez powodzenia próbował wyjąć spod prawa rozpowszechnianie „wywrotowych” materiałów za pośrednictwem Poczty Stanów Zjednoczonych. Rosła liczba patroli, źli ludzie uzbrojeni w pejcze i broń krążyli po drogach, w świetle księżyca wypatrując zbiegłych i aroganckich Murzynów, którym mogliby wymierzyć karę. W Willowshire, co dawniej było nie do pomyślenia, niewolnicy nie mogli swobodnie odwiedzać niewolników na innych plantacjach bez specjalnego pozwolenia pana i mówiło się, że poganiacze – niewolnicy nadzorujący innych niewolników w polu – nie byli już tak przyjaźnie nastawieni do robotników. Kilku kolorowych nadzorców zastąpiono białymi, a „Spit” Johnson, zrzęda, którego wieczne niezadowolenie było dotąd tolerowane, jednej nocy zniknął. Plotka głosiła, że został zawieszony na targ niewolników w Charlestonie i sprzedany.

Wszystkie te zmiany sprawiały, że Willie May lękała się o córkę. Młoda czarnoskóra służąca z jednym płucem nie powinna czytać, pisać, deklamować poezji, wysławiać się jak biała dama i doradzać paniom, jaki kupić materiał i jak upinać włosy, na oczach pana. Po tym, co stało się dzisiaj, Willie May nie zdziwiłaby się, gdyby Tippy wyznaczono obowiązki mniej przyjemne niż dotrzymanie towarzystwa panience Jessice. Mogą kazać jej przenieść się z pokoju sąsiadującego z sypialnią panienki do chaty na Podwórzu, którą będzie musiała dzielić z inną rodziną. Willie May modliła się, żeby jej jedyna córka miała dość rozumu i uważała, bo inaczej któreś nocy zjawią się jeźdźcy, wywleką ją z łóżka i pokażą innym, co spotyka Murzynów nieznanających swojego miejsca.

Rozdział 7

– Silasie, kochanie, co się stało? – zapytała Lettie narzeczonego. Stał tyłem do niej przy oknie na plebanii, z którego rozciągał się widok na mały ogród tonący w złotych chryzantemach. Miał zawieźć ułożone z nich bukiety do domu, gdzie matka chciała nimi udekorować stół na kolację z okazji Święta Dziękczynienia. – Nudzą cię te bezsensowne przygotowania do ślubu?

Silas odwrócił się od okna i widok Lettie przy stole zasypanym ślubnymi drobiazgami – koronkami, wstążkami i czymś przezroczystym – okazał się piękniejszy od ogrodu.

– Nie, moja ukochana, chociaż przyznaję, że są bardziej ekscytujące dla kobiety niż dla mężczyzny.

– O ile się nie rozmyśliłeś i nadal chcesz mnie poślubić.

– Oczywiście.

Silas podszedł do stołu i usiadł obok niej, a ona odłożyła zapiski, w których odhaczała niekończącą się listę spraw do załatwienia w związku z ich ślubem zaplanowanym na pierwszą sobotę lutego. Nie pojmował, czemu kobiety muszą zaczynać ślubne przygotowania na wiele miesięcy wcześniej (jego matka była w szale załatwiania), ale usłyszał, że wszystkim trzeba koniecznie zająć się jak najszybciej, ponieważ ślub poprzedza jeszcze długi świąteczny okres. Silas nalegał na wcześniejszą datę, skoro wyjazd do Teksasu zaplanowany był na pierwszego marca, ale brat jego narzeczonej studiował w West Point i mógł przyjechać na uroczystość dopiero w pierwszym tygodniu lutego.

– Cóż cię więc kłopotuje? – Lettie musnęła lekko palcami jego zmarszczone czoło. – Kiedy tak ściągasz brwi, od razu wiem, że czymś się martwisz.

Silas ujął jej dłoń i przycisnął do niej usta. Wystarczył mu najlżejszy dotyk jej skóry, by się podniecił. Boże, przebacz mu, ale nie pamiętał ciała swojej pierwszej żony, która urodziła mu syna. Gdyby nie Joshua, nie pamiętałby nawet jej twarzy. Miała na imię Ursuline i to dość świętoszkowate imię pasowało do jej moralnych poglądów, zwłaszcza tych dotyczących seksu. Tyle pamiętał. Jego żona była córką plantatora i tak jak Silas należała do ziemiańskiej arystokracji, ale jej ojciec był

prawdziwym, pełnokrwistym awanturnikiem. Silas się spodziewał, że taki sam ogień będzie płonął w żyłach jego córki, niestety spotkało go smutne rozczarowanie. Lettie, córka pastora, nie miała w sobie ani krzty fałszywej skromności i równie mocno jak on marzyła o chwili, gdy zaczną dzielić małżeńskie łóżko. Tę różnicę w ich usposobieniu, tak sprzeczną z pochodzeniem, Silas nazywał wybrykiem natury.

Chciał wyznać Lettie prawdę, ale była w końcu prezbiterianką, Szkotką do szpiku kości i nienawidziła długów. Rozumiała, że będzie musiał pożyczyć od Carsona Wyndhama pieniądze potrzebne na pokrycie kosztów wyprawy do Teksasu, ale podobnie jak Silas wierzyła, że dzięki ciężkiej pracy spłacą wszystko w ciągu kilku lat.

– Nie będziemy przesiadywali na werandzie, jak tutejsi członkowie klasy plantatorów – powiedziała mu kiedyś. – Będziemy pracować razem z naszymi robotnikami, żeby zrobić co należy. W lorda i lady pobawimy się, kiedy spłacimy nasze długi.

– Mój ojciec przewróciłby się w grobie, gdyby wiedział, że będziemy pracować razem z czarnymi – roześmiał się Silas. Uwielbiał jej odwagę i gotowość wyruszenia w nieznaną, czy też raczej w znane niebezpieczeństwa i niewygody, uzbrojoną jedynie w swoją miłość i wiarę w niego.

– Niech się przewraca. Jedziemy do Teksasu. Tam wszystko jest możliwe.

Z każdym dniem kochał swoją dzielną narzeczoną mocniej i nie pojmował, czemu za wszelką cenę pragnie ją chronić przed takimi niepokojącymi wieściami, jak te o ostatnich zamieszkach w Teksasie. Sytuacja zmieniła się na tyle, że zagrażała realizacji jego marzeń. Lettie bez wahania stawiała czoło każdemu nowemu wyzwaniu. To, co on postrzegał jako irytujące – zmiany planów i zamierzeń – ona traktowała jako „ukryte błogosławieństwa”, dzieło siły wyższej, mające ustrzec ludzi przed wstąpieniem na drogę wiodącą do zguby. Jej życiowe motto, które wpajała swoim uczniom, brzmiało: „Lękaj się i działaj, albo nie działaj, a potem żałuj”.

Chociaż z pozoru taka delikatna, idealnie nadawała się na żonę pioniera rozpoczynającego nowe życie w przerażającym i niepewnym kraju. Kiedy jednak problemy piętrzyły się bez końca, Silas się lękał, że

nawet Lettie uzna je za niezwalczone, gdy przyjdzie jej opuścić dom, ojca, wieloletnich przyjaciół i ukochany Charleston, tak niedaleko położony od miasta, w którym się urodziła. A jeżeli nie zechce z nim pojechać? Silas sobie nie wyobrażał, że przyjdzie mu się z nią rozstać do czasu, gdy zbuduje dla nich życie w nowym miejscu, ale w Queenscrown też nie mógł zostać.

Jeremy o wiele bardziej wierzył w jej niezłomność. „Lettie nie zmieni zdania, Silasie”, powtarzał mu niejednokrotnie, „ale daj jej wybór albo kiedyś będziesz tego żałował”.

Silas postanowił zaryzykować i zatrzymać dla siebie niektóre niepokojące wieści – jak na przykład dzisiejsze. Nad ich głowami gromadziły się nowe chmury i nie widział przebijającego się przez nie słońca. Wycofało się osiem z dziesięciu rodzin, które podpisały zgodę na wynajem jego wozów conestoga. Uważał swoją inwestycję w wozy za żyłę złota. Zakupił je z zamiarem wynajęcia rodzinom, których nie stać było na własny transport do Teksasu, a conestogi miały największą pojemność i zapewniały największą wygodę. Silas wierzył, że dzięki wynajmowi pięknych i zgrabnych pojazdów ich tabor będzie większy (im większy zaś, tym bezpieczniejszy), a pieniądze za wynajem pokryją część kosztów inwestycyjnych i wydatki na podróż. W dalszym ciągu będzie właścicielem wozów, które sprzeda, gdy dotrą do Teksasu, a dzięki klauzuli w umowie przez pierwsze dwa lata może liczyć na zysk, który dadzą mu plony rodzone przez ziemię należącą do innych osadników, których zwerbował. Nie przewidział jednak zagrożeń związanych z wojną ani słabości ludzi, którzy nie mieli odwagi zrealizować marzeń o lepszym życiu. Lepiej by było, gdyby nie wydał pieniędzy tak pochopnie.

Jeremy nie miał takich problemów finansowych, ale Silas za nic nie zaciągnąłby pożyczki u najlepszego przyjaciela. Warwickowie i Toliverowie mieli zacząć swoje przedsięwzięcie w Teksasie, nie zadłużając się nawzajem u siebie. Silas nigdy nie da swojemu bratu satysfakcji, pożyczając od niego pieniądze – i to na pewno na złodziejski procent. Jeżeli nie uda mu się znaleźć zastępstwa za tych, którzy zrejterowali i nie wynajmą od niego wozów, będzie musiał pożyczyć więcej pieniędzy od Carsona Wyndhama, czego Lettie na pewno nie

pochwali. Bardzo niechętnie zadłuży się na jeszcze większą sumę u człowieka, którego szczerze nie znosi.

Silas uznał, że zdąży jej o tym powiedzieć, a na razie zaczeka – może ktoś odpowie na ogłoszenia, które zamieścił w stanowych gazetach i w „Nashville Republican”, zachęcające do wynajęcia od niego wozów. Zbyttno jednak nie liczył na odzew. W Teksasie wrzało, dlatego dziesięć rodzin się wycofało.

– Powiedz mi – nalegała Lettie, gładząc jego czoło.

Silas postanowił zwierzyć jej się z mniej niepokojącej go sprawy.

– Wrócił zwiadowca, którego wysłaliśmy pod koniec września na rekonesans – powiedział. – Wygląda na to, że utarczki, do których doszło w październiku między Teksasńczykami i armią meksykańską, roznieciły pożar, który niełatwo przyjdzie ugasić.

– Doszło do nich w dniu urodzin Jessiki, drugiego października – zauważyła Lettie, jakby zdziwiona, że ludzie do siebie strzelają, podczas gdy inni bawią się na przyjęciu.

Silas uśmiechnął się czule i postukał ją po nosie.

– Na litość, dziewczyno, że też w ten sposób zapamiętujesz daty... Ale rzeczywiście, w dniu osiemnastych urodzin Jessiki zwiadowca trafił w sam środek potyczki i musiał chwycić za broń.

Gazety donosiły o awanturze, do której drugiego października doszło między angielskimi osadnikami a setką dragonów armii meksykańskiej w mieście Gonzales w Teksasie. Potyczka wybuchła, kiedy wojskowy dowódca sił meksykańskich zażądał zwrotu armaty, którą mieszkańcy Gonzales pożyczyci do obrony przed atakami Indian. Koloniści odmówili i wszczęli zbrojny opór pod naprędce uszytą flagą zrobioną z sukni ślubnej, na której widniał napis: „Przyjdźcie po nią!”.

Meksykanie próbowali, ale ponieśli klęskę i armata została w rękach kolonistów.

Lettie zareagowała na historię w typowy dla siebie sposób.

– Podobają mi się ci Teksaszczyki – roześmiała się. – Z siłą i odwagą walczą z trudnościami.

Silas owinał wokół szyi narzeczonej kawałek gazy, którą ona nazywała tiulem, i przyciągnął do siebie jej twarz. Wiedział, że takie miłosne gesty najlepiej potrafią złagodzić złe wieści.

– Pamiętasz, jak wierzyliśmy, że sytuacja się uspokoi? – zapytał, wpatrując się w promienne niebieskie oczy, w które od nocy poślubnej będzie patrzył przed zaśnięciem i rankiem po przebudzeniu. – Cóż, niestety, tak się nie stało. Gazety nazywają bitwę pod Gonzales „Lexingtonem Teksasu”.

Lettie uwodzicielsko spuściła wzrok na jego usta, a on poczuł jeszcze większe pożądanie.

– A to znaczy?

– Że w Teksasie wybuchła rewolucja.

W jej rozkochanych oczach pojawiło się rozczarowanie.

– O Boże! Czy to oznacza, że będziemy musieli opóźnić wyjazd?

– Nie możemy sobie na to pozwolić. Musimy wyruszyć w marcu, żeby dotrzeć na miejsce przed zimą. Potrzebujemy czasu na zbudowanie schronień i wykarczowanie ziemi przed następną wiosną.

Sięgał wargami do jej ust, by ją pocałować. Usłyszał, jak lekko wzdycha z rozkoszy.

– Nie martw się, kochany – powiedziała rozmarzonym głosem. – Zbudowaliśmy Stany Zjednoczone na rewolucji. Czy nie tego samego powinniśmy się spodziewać po Teksasie?

– Jesteś najcudowniejszą dziewczyną pod słońcem – odrzekł, ale zanim zdążył ją pocałować, w drzwiach pojawiła się służąca.

– Panienko Lettie, przyszła nowa nauczycielka. Czy mam ją wprowadzić?

– Tak, oczywiście.

Lettie wstała, by powitać gościa, z żalem spoglądając na Silasa, który dla żartu narzucił sobie kawałek tiulu na głowę. Zdenerwował się nieco, że im przeszkadzono, ale z drugiej strony poczuł ulgę, że nie muszą kończyć rozmowy o kłopotach w Teksasie.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo się cieszę, że zostawię uczennice pod opieką Sary – powiedziała Lettie. – Z początku miałam wątpliwości, ponieważ Sarah pochodzi z Północy, ale Bóg wysłuchał moich próśb, przysyłając nam kogoś tak kompetentnego i oddanego nauczaniu.

– Według Jeremy’ego to raczej zasługa Jessiki niż Boga – poprawił ją Silas, nie dzielając jej zachwyty.

Zastanawiali się z Jeremym, czemu samotna kobieta w wieku Sary Conklin i o takiej urodzie przyjęła posadę nauczycielki z dala od domu w Cambridge, Massachusetts.

– Chociaż w tak uroczy sposób okazuje nam swoją wdzięczność, wyczuwam w niej jakiś fałsz – zauważył Jeremy. – Nie potrafię tego nazwać, ale coś mi nie pasuje w pięknej Sarze Conklin.

Silas nigdy nie lekceważył spostrzeżeń przyjaciela, ten bowiem, nigdy nie oceniając ludzi pochopnie, potrafił to robić znacznie lepiej niż inni i wyczuwał, przed kim należy się mieć na baczności.

– Może to przez akcent rodem z Massachusetts nie pasuje do nas, Południowców – odpowiedział Silas.

– Może.

– Lettie mówi, że uciekła, bo ktoś złamał jej serce.

– Tak daleko na południe? Czemu żadna z miejscowych kandydatek nie dostała posady Lettie? Znam kilka o odpowiednich kwalifikacjach.

Silas ryknął śmiechem.

– Nie wątpię. Lettie powiedziała, że nikt nie miał tak świetnych referencji i nauczycielskiego doświadczenia jak ona.

– Nie dlatego została przyjęta – odparł Jeremy.

Sarah Conklin dostała posadę dzięki Jessice Wyndham. Znały się ze szkoły w Bostonie. Siostra Sary chodziła z Jessicą do klasy. Papa Wyndham pociągnął za sznurki, żeby spełnić prośbę córki.

– Cóż, jako główny dobroczyńca szkoły zapewne uznał, że ma do tego prawo, ale tak czy inaczej dzieci z Willow Grove zyskały pierwszorzędną nauczycielkę.

Początkowo Silas przypisywał niechęć Jeremy'ego do kobiety bardzo w jego typie – niezależnej i samodzielnej – romansowi z jedną z „miejscowych kandydatek”, która zabiegała o posadę i poczuła się dotknięta, kiedy jej nie dostała. Dziwne też było, że podczas okazji towarzyskich urodziwa nowa dyrektorka szkoły nie wykazała najmniejszego nawet zainteresowania przystojnym i wolnym przyjacielem Silasa. Lecz niezwykle było również to, że choć wzgardziła Jeremym, jego to tylko przelotnie rozbawiło. Sarah Conklin miała w sobie coś, co z uporem trąciło mu fałszywą nutą.

Gdy teraz weszła do pokoju, Lettie powitała ją z wyciągniętymi ramionami.

– Dzień dobry, Saro. Ojciec kazał już zaprząć dla ciebie Jimsonweeda. Nasz koń jest bardzo potulny. – Odwróciła się do Silasa: – Sarah przyjechała pożyczyć Jimsonweeda i nasz wóz, ponieważ wybiera się dzisiaj do Charlestonu. Ma na pocztę do odebrania przesyłkę z książkami dla dzieci. Saro, na pewno nie chcesz, żebym ci towarzyszyła?

– Och, nie, nie! – Młoda kobieta uniosła obie dłonie, by dodatkowo zaakcentować swoją odmowę. – Nie mogę odrywać cię od tego, czym się tutaj zajmujesz. – Gestem wskazała na pełny stół i wtedy zwróciła uwagę na Silasa, jakby dopiero teraz go dostrzegła. – Dzień dobry, panie Toliver.

Silas w odpowiedzi skinął lekko głową.

– Dzień dobry, panno Conklin.

Nie mógł nie zauważyć chłodu, który na jego widok przemknął przez jej twarz, choć zaraz zatuszowała go wymuszonym uśmiechem. Czy to zawód miłosny rozbudził w niej niechęć do mężczyzn? Czy może on, Jeremy i Michael, brat Jessiki i syn jej wpływowego dobroczyńcy, mieli w sobie coś, co ją odrzucało?

Silas doszedł do wniosku, że nic go to nie obchodzi. Lettie ją lubiła i nic poza tym nie miało znaczenia. Zostawił panie, by Lettie nie zdążyła zaproponować, żeby towarzyszył Sarze do Charlestonu. Silas sobie nie wyobrażał, z kim miałby mniejszą ochotę spędzić czas niż z lodowatą Sarą Conklin, a poza tym był w południe umówiony z Carsonem Wyndhamem.

Rozdział 8

Sarah ściągnęła wodze wałacha i pomachała Lettie, która przysłała się z nią pożegnać do stajni. Należący do plebanii wóz miał dziwną konstrukcję, wykonany został na zamówienie dla Pierwszego Kościoła Prezbiteriańskiego przez miejscowego kowala. Stanowił połączenie fury i krytego powozu. Widniejący na drzwiach napis PIERWSZY KOŚCIÓŁ PREZBITERIAŃSKI W WILLOW GROVE, KAROLINA POŁUDNIOWA zmniejszał prawdopodobieństwo, że ktoś postanowi wehikuł przeszukać, i właśnie dlatego Sarah go wybrała – idealnie się nadawał do przewiezienia zbiegłego niewolnika do portu w Charlestonie pod samym nosem łowców niewolników. Nawet najbardziej bezczelny nie odważy się zatrzymać na drodze białej kobiety załatwiającej kościelne sprawy, poza tym Sarah stała się już w okolicy znana jako następczyni uwielbianej Lettie Sedgewick, co stanowiło dodatkową przykrywkę dla jej poczynań.

– Mogę już zdjąć chustę, panienko?

– Tak, ale musisz pozostać w ukryciu, aż dotrzemy do celu.

W każdej chwili możemy spotkać łowców głów.

Sarah mówiła do Murzyna skulonego pod siedzeniem pojazdu. „Chustka”, którą zdjął, była kawałkiem czarnego materiału, mającego zasłonić jego zęby i białka oczu, gdyby komuś przyszło do głowy zajrzeć do wnętrza wozu. Nie znała jego imienia ani on jej. Nie wiedziała, z której plantacji uciekł. Noc spędził ukryty w stodole skonstruowanej tak, że mógł niezauważenie wślizgnąć się do wozu, gdy wielebny Segdewick zaprzągnął do niego konia i odszedł. Była środa rano, nie najlepszy dzień tygodnia na ucieczkę niewolnika, ale w wigilię Święta Dziękczynienia panowała rozluźniona atmosfera i własności plantatorów strzeżono mniej pilnie niż zawsze. Większość ucieczek organizowano w sobotnie noce. Wielu panów nie posyłało niewolników do pracy w niedzielę, więc ucieczka przechodziła niezauważona aż do poniedziałku rano, dając niewolnikowi półtora dnia na dotarcie do celu. Ogłoszenia o jego zaginięciu wraz z rysopisem pojawiały się dopiero w następnym tygodniu, więc zbieg miał szansę dotrzeć do bezpiecznego domu znacznie bliżej Północy.

Dopiero kiedy wóz odjechał już spory kawałek, Sarah odetchnęła swobodniej i jej serce się uspokoiło. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Wiele rzeczy – małych, okrutnych, niespodziewanych kaprysów losu – mogło zniweczyć wszystkie plany i sprawić, że zostanie przyłapana. Strach, który odczuwała, przypominał nieustający ból brzucha. Jeśli dzisiaj w porcie coś się nie uda i jej „ładunek” zostanie schwytyany, prędzej czy później załame się pod razami bata i powie władzom wszystko, co będą chciały wiedzieć. Ślad doprowadzi do niej. W najlepszym razie zostanie odesłana na Północ, ale przynajmniej nie wyda nikogo z siatki przerzutowej. Nie знаła nazwiska agenta, który pod osłoną ciemności umieścił wczoraj zbiega w stodole Sedgewicków. Nie będzie mogła zdradzić władzom, gdzie ukrywał się wcześniej ani jaką drogą szedł. Sukces Kolei Podziemnej zależał od nieznamomości nazwisk zaangażowanych osób. Jeśli ją złapią, nie będzie w stanie zdradzić przesłuchującym żadnych informacji, które zagroziłyby siatce pomagającej niewolnikom w ucieczce do wolnych stanów i krajów, gdzie niewolnictwo było zakazane, takich jak Kanada czy Meksyk. Przy odrobinie szczęścia i z Bożą pomocą jeszcze przed zapadnięciem nocy człowiek ukryty pod siedzeniem wozu znajdzie się na statku płynącym do Montrealu.

Gdyby została schwytana, odpowiedź na pytanie, dlaczego wybrała akurat Willow Grove na miejsce swoich abolicjonistycznych działań, będzie prosta. Jessica Wyndham, koleżanka z klasy jej siostry, wspomniała, że ma się zwolnić posada nauczycielki w tutejszej szkole, ponieważ obecna nauczycielka wychodzi za mąż i wyjeżdża wraz z mężem do Teksasu. Willow Grove znajdowało się w samym sercu Głębokiego Południa. Czy jest lepsze miejsce od Karoliny Południowej dla konduktora, czyli przewodnika Kolei Podziemnej? I lepsza przykrywka od nauczycielki w małym miasteczku w sercu krainy niewolników? Nikomu nie zdradzi roli Jessiki w tym wszystkim. Z jej ust nie padnie ani jedno słowo sugerujące, że córka najbardziej prominentnego plantatora nie tylko zaproponowała, ale też załatwiła jej posadę nauczycielki.

Czy panna Wyndham wiedziała, że jest pani konduktorem Kolei Podziemnej?

Oczywiście, że nie! Kiedy dowiedziałam się o wakacie, celowo zwierzyłam jej się z nieszczęśliwej miłości i potrzeby wyjazdu jak najdalej od Massachusetts.

Lecz Jessica wiedziała. Kiedy dowiedziała się o przynależności Sary do grupy, która szkoliła zwolenników abolicji, jak przenikać na Południe, by działać w organizacji, której celem było zniszczenie niewolnictwa, zaproponowała jej pracę nauczycielki jako doskonałej przykrywki dla jej tajnej działalności.

– Jest tam nawet niewielki domek, który możesz wynająć, idealny dla twoich celów – powiedziała. – Należy do Pierwszego Kościoła Prezbiteriańskiego w Willow Grove. Znajduje się na gruntach kościelnych, za cmentarzem, z którego to powodu jest pusty, ale leży bardzo na uboczu, z dala od innych domów.

Z początku Sarah jej nie ufała. Szkoła nie kryła się ze swoimi antyniewolniczymi poglądami i bogaty i wpływowy ojciec Jessiki mógł ją do niej posłać, by poznała system, który pomagał niewolnikom uciekać z Południa. Już wkrótce Sarah się przekonała, że jej nieufność wobec Jessiki jest nieuzasadniona. Rodzice dziewczyny nie mieli pojęcia o specyfice szkoły, ponieważ inaczej nigdy by jej do niej nie posłali, a ich córka szczerze i z całego serca brzydziła się niewolnictwem jako zjawiskiem okrutnym i niemoralnym. Swoją kolorową służącą Tippy traktowała jak przyjaciółkę i to właśnie przez wzgląd na nią Jessica z żalem wyznała Sarze, gdy ta rozlokowała się już w swoim domku w Willow Grove, że nie może zrobić nic, by wspomóc ją w działaniach.

– Jeśli ojciec się dowie, że jestem zaangażowana, odeśle Tippy do pracy w polu – powiedziała, a Sarah, która zdążyła już poznać Carsona Wyndhama, nie miała wątpliwości, że lęk Jessiki jest w pełni uzasadniony.

– Zrobiłaś już dość – zapewniła ją. – Pilnuj Tippy.

W szkole wyjaśniła Jessice, że Kolej Podziemna nie jest tak naprawdę koleją, lecz tajną siatką dróg ucieczki i kryjówek ciągnącą się od Południa na Północ i dalej, do Kanady, lub na południe, ku Meksykowi. Terminologia kolejowa określała zakres obowiązków odważnych ludzi, którzy chcieli pomagać niewolnikom w ucieczce. „Agentami” byli ci, którzy przenikali na Południe, by rozprowadzać

literaturę abolicjonistyczną, nawiązywać kontakty z przeciwnikami niewolnictwa i wyznaczać trasy oraz schroniska prowadzone przez „zawodowców stacji”. Kryjówki nazywano stacjami lub zajezdniami – tam zbiegowie mogli się pożywić i odpocząć. Konduktorzy, czyli przewodnicy, przeprowadzali zbiegów – lub „towar” – z jednej stacji do drugiej, do czego właśnie przeszkolono Sarę.

Kiedy Sarah przedstawiła propozycję Jessiki „maszyniście” – kierownikowi grupy – ten przystał na nią z entuzjazmem. Dowiedziała się, że w Willow Grove działa już jeden agent. Nie mogła poznać jego tożsamości, na wypadek gdyby została złapana, ale on miał się dowiedzieć, kim ona jest, i skontaktować się z nią za pomocą specjalnego szyfru. Sarah wysłała życiorys do zarządu szkoły, który w odpowiedzi przyznał jej posadę i wyznaczył datę przejęcia obowiązków na połowę października. Niedługo potem Sarah wyruszyła statkiem, by dotrzeć na miejsce na tyle wcześniej, aby się urządzić, i gdy zeszła na ląd w Charlestonie, powitali ją Lettie oraz wielebny Sedgewick.

Również przez wzgląd na Sedgewicków prawdziwy powód jej przyjazdu do Willow Grove musiał pozostać tajemnicą. Jeżeli padną na nią jakieś podejrzenia, ich również obejmą, a przecież nie mieli absolutnie żadnego pojęcia, czym miała się zajmować w swoim odludnym domku za cmentarzem.

Na miejscu Sarah nauczyła się tajnego, niemego „języka”, w którym komunikowała się z agentem, i zaczęło się pukanie do jej drzwi późno w noc, liściki, które znajdowała wsunięte przez próg, albo dziwne znaki na ganku. Już kilka dni po przyjeździe ukrywała zbiega, po którego ktoś miał przybyć o północy, świecą i lampą dawała znaki komuś ukrytemu w lesie za strumieniem i zostawiła kilka zaszyfrowanych wiadomości, które miały być odebrane z werandy na tyłach domku. Liczba zbiegów i udanych ucieczek w okolicy wzrosła, jak dotąd jednak nikt nie powiązał tego z jej pojawieniem się. Teraz, gdy zima zablokowała trasy do wysuniętych bardziej na północ miejsc, ruch w Kolei Podziemnej znacznie się zmniejszył. Sarah miała wrażenie, że minęła wieczność od dnia, w którym jej statek zacumował przy nabrzeżu w Charlestonie niecałe dwa miesiące wcześniej.

– Bracie – odezwała się, ledwo poruszając ustami, głosem cichym, ale spiętym – widzę przed nami kłopoty. Zasłoń się chustą i leż bez ruchu.

– O Panie, miej litość – jęknął jej ładunek.

Z gęstwiny przy drodze wyłoniła się grupka jeźdźców. Do siodeł mieli przytroczone zwinięte bicze i wszyscy byli uzbrojeni. Gdy jeden z nich uniósł rękę, Sarah ściągnęła wodze i zatrzymała Jimsonweeda. Rozpoznała wśród nich postawnego, odzianego elegancko, najbardziej wpływowego z całej grupy: Michaela Wyndhama, brata Jessiki.

Ścisnął kolanami swojego pięknego ogiera czystej krwi arabskiej i zbliżył się do wozu, a w jego oczach ocienionych szerokim rondem kapelusza, jakie zwykle nosili plantatorzy, zdumienie i ciekawość mieszały się z zachwytem. Sarah poczuła, jak ciarki przechodzą jej po plecach. Mężczyzna był idealną kopią swego ojca. Nonszalancko musnął palcami kapelusza.

– Dzień dobry, panno Conklin. Cóż sprowadza panią tutaj na dzień przed Świętem Dziękczynienia?

– Jadę na pocztę do Charlestonu – odparła. – A pan?

Roześmiał się i zerknął na swój oddział.

– Czy to nie oczywiste? Szukamy zbiega z Willowshire. Może widziała pani czarnego, jak pędzi wzdłuż drogi? Reaguje na imię Timothy.

Spod siedzenia dobiegł ją cichy jęk. Timothy. Zbieg z Willowshire. Wielki Boże, Jessico, coś ty zrobiła? Sarah wstrzymała oddech przerażona, że Michael Wyndham mógł usłyszeć przytłumiony dźwięk, on jednak całą swoją uwagę skupił na niej.

– Niestety nie – odparła, siląc się na ton lekceważący, i chwyciła lejce, dając do zrozumienia, że musi ruszać w dalszą drogę.

Michael ścisnął konia swoimi muskularnymi udami, by ten podszedł bliżej. Sarah wiedziała, że wpadła Michaelowi w oko, ale tylko jako mężczyźnie, którego bawi polowanie i satysfakcja z zabicia ofiary. Jej obojętność wobec niego teraz się na niej zemściła. Gdyby z nim flirtowała i udawała nieśmiałą, szybko przestałby się nią interesować, tymczasem stała się wyzwaniem, które był zdecydowany pokonać. Szkoda, że nie wiedział, jak bardzo nienawidzi jego i jemu podobnych...

– Może pani pozwoli, abym towarzyszył jej do Charlestonu, panno Conklin – zaproponował. – Moi ludzie zajmą się moim koniem i sami poszukają chłopaka, a my moglibyśmy zjeść wspólnie obiad w Thermidorze, gdy załatwi już pani swoje sprawy na pocztę.

Z walącym sercem Sarah gorączkowo się zastanawiała, jak najlepiej odpowiedzieć na tę propozycję. Jakich powinna użyć argumentów, żeby zniechęcić agresywnego zalotnika? Timothy, błagam, nie zdradź się.

– Ogromnie doceniam pańską uprzejmość, panie Wyndham, ale już przyjąłam zaproszenie na lunch od dawnego znajomego, dżentelmena, który przyjechał do Charlestonu, a poranek jest tak piękny, że wolałabym rozkoszować się nim w samotności w drodze do miasta.

Młody Wyndham nie obraził się ani nie poczuł dotknięty, na co liczyła, lecz wybuchł serdecznym śmiechem

– Zawsze potrafi pani przywołać mnie do porządku, panno Conklin, ale nie tak łatwo mnie zniechęcić. – Ponownie dotknął kapelusza. Prezentował się imponująco w swoich wysokich do kolan, lśniących butach i z wyraźnie rysującym się brzuchem, który tuszowała długa poszerzana kurtka zebrana w pasie, i kolorowym szalu na szyi. – Miłej przejażdżki i lunchu z przyjacielem. Będę wyczekiwał innej okazji, kiedy to zaznam przyjemności spędzenia czasu wyłącznie w pani towarzystwie.

Dał sygnał ręką i jeźdźcy się rozstąpili. Z wysoko uniesioną głową, wyprostowana, Sarah skierowała Jimsonweeda pomiędzy jeźdźcami, nawet skinieniem nie odwzajemniając pozdrowienia. Po chwili usłyszała oddalający się w przeciwnym kierunku tętent końskich kopyt.

Z wnętrza wozu dobiegł ją szelest.

– Udało się, panienko?

Przyłożyła dłoń do piersi, by uspokoić oszalałe serce.

– Tak, Timothy, udało się.

Rozdział 9

W Alei Plantatorów rozpoczął się okres bożonarodzeniowy. Rozległe pola plantacji ciągnące się po obu stronach drogi łączącej farmy z targiem odpoczywały. Bawełna została zebrana, trzcina cukrowa ścięta i okres w kalendarzu, którego Eunice Wyndham najbardziej się obawiała, dobiegł końca. Z przyjemnością powitała pierwszy atak zimna, oznaczał on jednak, że zbliża się czas bicia wieprzków, które wczesną jesienią ściągali z okolicznych lasów i zagonione do zagród, wypasione na ziemniakach i kukurydzy, były zabijane i sprawiane. Przez kilka ostatnich tygodni Aleja Plantatorów zamieniła się w istną rzeźnię. Eunice nie otwierała okien ani drzwi, rezygnując z pierwszych podmuchów jesiennego powietrza, żeby oszczędzić sobie, Jessice i służącym przerażających odgłosów i smrodu zabijania. Przy sprzyjającym wietrze przerażone kwiczenie „uwięzionych świń” i silny, duszący odór krwi, a także dym z ognisk płonących w wędzarniach docierały aż do Willow Grove.

„Nie przyjeżdżaj na święta, póki ostatnia szynka nie trafi do wędzarni”, napisała Eunice do siostry w Bostonie. „Nie da się oddychać, żeby nie wymiotować”.

Ci, którzy bardziej cenili końcowy rezultat, nauczyli się nie zwracać uwagi na krwawą jatkę, ponieważ oznaczała obfitość jedzenia na stołach, w spiżarniach i wędzarniach, nie tylko dla plantatorów i ich rodzin, lecz także – jeśli panowie nie byli skąpi – dla niewolników. Carson Wyndham należał do najhojniejszych.

Dla Dużego Domu zatrzymywał nerki, cenione dla tłuszczu; pęcherze do przechowywania żywności; świńskie nogi do peklowania i łby na galarete, ale mięso nieprzeznaczone do wędzenia rozdawał swoim pracownikom. W czasie uboju niewolnicy z Willowshire mieli pod dostatkiem kielbas, karkówki, żeberek, polędwicy, polci boczku i resztek na skwarki – kawałków tłuszczu spod świńskiej skóry, które smażyło się i piekło w kukurydzianych plackach na maślanie – a także flaczków z kawałków cienkich jelit pociętych na kawałki i smażonych, wyjątkowego przysmaku.

Gdy świniobicie dobiegło końca, pracy było znacznie mniej, a pan

i niewolnicy mogli odpocząć i cieszyć się owocami swoich trudów. W Willowshire było ich wiele. Lato dopisało i obrodziło w plony. Zyski z licznych plantacji i przedsiębiorstw były tak duże, że w bożonarodzeniowy poranek Carson Wyndham mógł wypłacić po dwadzieścia dolarów głowie każdej murzyńskiej rodziny jako dodatek do worków słodyczy, kulek kukurydzy i zabawek z drewna. Spiżarnie i piwnice były pełne. Łagodna jesień obrodziła mnóstwem warzyw, jagód i owoców. Bawełniane worki pękały od pekanowych orzechów, które od lat tak obficie nie sypały się z drzew. Żadnej rodzinie plantatorów czy robotników nie brakowało syropu z sorgo do polewania placków kukurydzianych.

Dlatego też, kiedy podniósł się alarm, że ktoś wykradł dwie szynki z wędzarni pana, Carson Wyndham posłał po głównego nadzorcę.

– Masz się dowiedzieć, czyja to sprawka – rozkazał Carson z twarzą tak czerwoną jak jego włosy. Ze wszystkich niewybaczalnych dla pana Willowshire grzechów kradzież była najgorsza. – Mógł to zrobić jakiś zbieg albo wędrowiec, ale jeżeli złodziejem jest jeden z naszych...

– Co mam wtedy zrobić, panie?

– Wiesz, jaka jest kara za kradzież, Wilson. Wymierz ją.

Willie May przysłuchiwała się temu, nalewając panu porannej herbaty, i nie trafiła do filiżanki. Rozlała napar na spodek. Drzwi do budynku gospodarczego, w którym pan przyjmował nadzorców i wydawał polecenia, były uchylone i czuć było świeży, świąteczny zapach wianka z jedliny, który nad nimi wisiał. Tippy związała gałęzie cedru giętkim pędem wisterii, po czym udekorowała je malowanymi owocami z drewna i wielką czerwoną kokardą. Wchodząc do budynku, Willie May czuła, jak udziela jej się duch świąt. Teraz jednak jej radość przygasła.

– Co się z tobą dzisiaj dzieje, Willie May? – zapytał Carson, ale bez złości.

Z powodu Tippy ostatnio zwracał się do niej oschle. Niezadowolony z córki, nie mógł być życzliwie nastawiony do matki, ale kiedy o tym zapominał i umysł miał zaprzątnięty czymś innym, jego postawa łagodniała. Przywykł polegać na zdrowym rozsądku i mądrości

swojej gospodyni. Dzięki niej jego żona nie robiła głupstw, Willie May utrzymywała też resztę służby w karchach, nie burząc domowego porządku. Herbatę mogła mu podać któraś z innych służących, ale on wolał, żeby robiła to Willie May, której obecność nigdy go nie denerwowała.

– Mam nadzieję, że nie dopada cię jakaś choroba, co? – zapytał.

Willie May wytarła rozlaną herbatę rąbkiem fartucha.

– Nie, panie Carsonie. Tylko uderzyłam się w łokieć.

– No, uważaj na siebie, słyszysz? Nie możesz się rozchorować na święta, kiedy inni się radują. – Kiwnął na nadzorcę. – To wszystko, Wilson. Wiesz, co robić. – Po odejściu pracownika obrócił się na krześle w stronę niewolnicy, dzięki której jego dom funkcjonował bez zarzutu. – Co myślisz, Willie May? Kto nas okrada?

– Nie umię powiedzieć, psze pana. Nawet o tym nie wiedziałam. Nic mi się nie obilo o uszy.

Przyniosła też gorące bułeczki i skupiła się na smarowaniu ich masłem i melasą, dokładnie tak, jak Carson Wyndham lubił. Podała mu serwetkę, którą wsunął sobie za kołnierzyk sztywno wykrochmalonej białej bawełnianej koszuli, żeby jej nie poplamic.

– Na pewno jakiś włóczęga – powiedział odruchowo, bo jego wzrok powędrował już w stronę papierów na biurku. – Żaden z moich ludzi by mnie nie okradał.

– Właśnie tak, panie Carsonie.

– Wilson się dowie, kto to jest, i wtedy niech Bóg się zlituje nad rabusiem.

– Amen, panie Carsonie.

Willie May miała nadzieję, że Bóg go usłyszał. Ona była tym rabusiem. Kiedy wczoraj wieczorem wyszła o północy, żeby zobaczyć, co u Tippy, która wciąż mieszkała w pokoju obok pani Jessiki, zauważyła zbiegłego niewolnika, chłopca co najwyżej piętnastoletniego, jak zakrada się do stodoły. Córka Willie May przez cały dzień kaszlała i Willie May przygotowała okład gorzycowy, żeby obłożyć nim jej piersi. Noc była bezchmurna, księżycowa, więc stara Murzynka bez trudu spostrzegła cień wyłaniający się z pola bawełny. Na chwilę się zawahał, poruszył, znowu znieruchomiał. Gdy jeszcze raz się ruszył,

Willie May spostrzegła, że to wychudzony czarny chłopiec w łachmanach, zbyt cienkich na taką zimną noc. Po chwili chłopiec zniknął w cieniu stodoły.

Żaden budynek w Willowshire, poza chatą pana – jego zewnętrznym gabinetem – nigdy nie był zamykany. Arogancja pana nigdy by mu na to nie pozwoliła. Przecież nikt nie odważy się go okraść. Stodoły, szopy, silosy, ziemianki, dwie wędzarnie, jedna na świeże mięso, druga na zeszłoroczne – wszystkie były otwarte, żeby każdy mógł wejść, nie zwracając sobie głowy kluczami, na co jednak nikt bez ważnego powodu by się nie poważył. Carson Wyndham sprawował nad swoim królestwem władzę absolutną.

Chociaż Willie May widziała intruza tylko przez chwilę, miała pewność, że nie jest to żaden ze stu niewolników Willowshire. Przeszedł ją zimny dreszcz. A więc zbieg.

Szybko pokonała schody i wyszła z domu tylnymi drzwiami, po drodze otulając się szalem, po czym jak najciszej, pospiesznie dotarła do stodoły. Powoli otworzyła drzwi, które zaskrzypiały ostrzegawczo, jednak nie od razu, tak że wiedziony lękliwą ciekawością chłopiec nie dość szybko schował głowę. Siedział ukryty w sianie na stryszku i kiedy się zorientował, że został przyłapany, wpatrywał się w Willie May jak zając pod lufą myśliwego. Willie May skinęła, by chłopiec zszedł, co posłusznie uczynił, ze zwieszoną głową i skulonymi ramionami, jakby już czuł na nich uderzenia bata.

– Nie bój się – powiedziała Willie May, nie pojmując, że sama nie odczuwa strachu. Chłopiec był wychudzony i wyraźnie zrozpaczony. Ona martwiła się jedynie, że w Dużym Domu ktoś może się obudzić i ich zauważyć. – Nie zrobię ci krzywdy. Kim jesteś?

– Ja... ja nie mogę powiedzieć, psze pani – odparł.

– Chyba wiem czemu. Uciekłeś, prawda?

Chłopiec milczał, a Willie May, widząc w nim własnego syna, który umarł na gruźlicę, kiedy miał piętnaście lat, objęła go wiedzona instynktem macierzyńskim. Chłopak był chudy jak patyk, a jego spięte, sztywne ciało dygotało w cienkim ubraniu, może ze strachu, a może dlatego, że nie zdążył się ogrzać, zapewne z obu powodów. Willie May się odsunęła, by spojrzeć na jego ściągniętą, przerażoną twarz. Nie

myśląc o własnym bezpieczeństwie, zdjęła z ramion szal i owinęła nim chłopca.

– Pomogę ci – powiedziała zdecydowanie. – Musisz mi zaufać.

Albo jej zaufa, albo nie. Willie May widziała, że chłopak się zastanawia, ale wyglądał na wygłodniałego, a głód zmusza do podjęcia ryzyka.

– Możesz patrzeć, że idę do wędzarni, a nie zawiadomić pana – rzekła. – Przyniosę ci coś do jedzenia. Zanim zjesz, musisz się ukryć, póki jeszcze jest ciemno. Tu jest zbyt niebezpiecznie. Jutro po zmroku zostawię ci za wędzarnią więcej jedzenia i jakieś okrycie. Przyjdź po to dopiero, jak wszyscy pójną spać. Ukryję wszystko pod drewnem na opał.

Przyniosła z wędzarni szynkę, a chłopiec obserwował ją przez szparę w ścianie stodoły. Wzięła od niego swój szal, w zamian dając mu końską derkę, którą znalazła na półce, przykazując mu, żeby zostawił ją w miejscu, gdzie znajdzie jedzenie. Zanim odeszła, wymyśliła, w jaki sposób będą się porozumiewać. Dzięki Bogu zbliżały się święta i mogła użyć bożonarodzeniowych serwetek.

– Kiedy zobaczysz, że ze stosu wystaje biała serwetka, będziesz wiedział, że teren jest czysty. Czerwona będzie znaczyła, że musisz pozostać w ukryciu – wytłumaczyła mu Willie May. – Serwetki będzie widać z daleka. Zostawię zieloną na znak, że cię szukają i musisz przedostać się do altany, gdzie możesz się schować. Wiesz, co to jest altana?

Chłopiec wolno pokręcił głową, a na jego czole pojawiła się zmarszczka.

– To taka biała, okrągła budowla obok domu pana. Widać ją z lasu. Jest otwarta prawie ze wszystkich stron, ale tuż obok niej jest szopa na dodatkowe krzesła i mnóstwo miejsca na kryjówkę. Z altany nigdy się nie korzysta i nikomu nie przyjdzie do głowy szukać cię tak blisko domu. Przyjdę do ciebie, jak tylko będę mogła.

Chłopiec słuchał w milczeniu, ale po jego okrągłych, złkniętych oczach widziała, że rozumie wszystko, co się do niego mówi. Willie May się zastanawiała, czy jego mama żyje i odchodzi od zmysłów, zamartwiając się o niego. Następnego dnia po zachodzie słońca zostawiła wszystko zgodnie z obietnicą, a kiedy nazajutrz po południu

przyniosła do kryjówki więcej jedzenia, stwierdziła, że wszystko znikło. Jednak przez kolejne dwa dni musiała zostawiać czerwoną serwetkę w szparze pojemnika na drewno i zapewne wtedy, po zapadnięciu ciemności, chłopiec musiał ukraść drugą szynkę.

Nie doszły jej żadne słuchy o zbiegłym niewolniku ani o jego poszukiwaniach. Willie May się domyślała, że chłopiec, decydując się na ucieczkę, nie wiedział, dokąd ma się udać. Uciekł na ślepo, wierząc, że mu się powiedzie, i gdzieś w pobliżu Dużego Domu w Willowshire jego zdecydowanie i odwaga wyparowały. Ale teraz nadzorcy zaczną węszyć i jeśli go znajdą...

Czemu, och, czemu posłała Lulu – o sercu wielkości pensa i ze wzrokiem zdolnym wypatrzyć drobinę kurzu na trzymetrowym parapecie – po żeberka, skoro mogła pójść po nie sama? Willie May miała dość rozumu, żeby nie wykradać niczego ze spiżarni. Gdyby się to wydało, podejrzenia pani Eunice padłyby na kogoś z domowej służby, co miałyby fatalne skutki. Willie May była pewna, że nikt nie zauważy braku dwóch szynek spośród kilkudziesięciu, jakie zostały z zeszłego roku. Nie wzięła pod uwagę spostrzegawczości Lulu ani jej wrednego języka, którym tak chętnie meła, żeby donosić na innych.

Willie May patrzyła na głowę swojego pana pochyloną nad papierami.

– Co pan zrobi z winowajcą, kiedy go znajdzie? – zapytała z wahaniem.

– Jeśli to jakiś włóczęga, dostanie porządny łomot. Przecież może przyjść i poprosić, zamiast kraść cudzą własność. Jeśli to zbieg, zostanie odesłany do swojego pana, gdzie spotka go stosowna kara. Zapewne go wychłoszczą. Taka kara spotyka naszych przyłapanych na kradzieży.

– A jeżeli... winowajca był zwyczajnie głodny i żołądek przemówił silniej od rozsądku? – podsunęła Willie May.

Carson podniósł głowę znad dokumentów i spojrzał na nią, mrugając gwałtownie, jakby to miało mu pomóc w zrozumieniu niespotykanego pytania. Willie May była pewna, że ją zrugą, on jednak powiedział:

– Zasady to zasady, Willie May. Chociaż niechętnie ukarałbym zgłodniałego, gdybym mu odpuścił, innych musiałbym traktować tak

samo, a ludzie bez wahania wykorzystują chrześcijańskie miłosierdzie.

– Tak, panie – odparła Willie May, zastanawiając się, jak mógłby się dowiedzieć, ale już ona dopilnuje, żeby zbiegły niewolnik nie musiał wystawiać na próbę „chrześcijańskiego miłosierdzia” jej pana.

Wiedziała, kto pomoże jej uratować chłopca, zanim jego plecy zakosztują bata. Ale najpierw wetknie w stos drewna zieloną serwetkę, a dopiero potem pójdzie do panienki Jessiki.

Rozdział 10

Sarah czekała w zimnym cieniu cyprysa na Jessicę, która powinna wyłonić się z lasu na swojej dereszowatej klaczce Single Bell. Za pośrednictwem Lettie Jessica poprosiła, by Sarah spotkała się z nią w „zwykłym miejscu”.

– Wielki Boże – westchnęła Lettie, nieco dotknięta, że nie dostała zaproszenia. – Zachowujecie się jak spiskowcy. Co knujecie?

Sarah przewróciła tajemniczo oczami.

– A co byś chciała wiedzieć?

Lettie zrozumiała i jej policzki oblał rumieniec.

– Tylko nie planujcie niczego dla mnie, słyszysz? I tak dostanę mnóstwo prezentów na przedślubnych imprezach. Naprawdę czynisz mi wystarczający honor, przyjmując zaproszenie na mój ślub.

– Postaramy się o tym pamiętać – obiecała Sarah, protekcyjnie klepiąc przyjaciółkę po ramieniu.

Lettie sądziła, że „zwykłym miejscem” jest herbaciarnia między księgarnią a lodziarnią, w której trzy panie spotykały się po zakończeniu lekcji w szkole. Sarah rzadko mogła liczyć na rozrywkę, która pozwalała oderwać się od powierzonych jej misji, i z radością szła na te spotkania. Lubiła ożywioną rozmowę, gorącą herbatę i chrupiące babeczki, tak różne od zimnej kolacji w domu i niebezpiecznych zadań, które tam być może na nią czekały, i tęsknoty za domem czającej się w ponurych zakamarkach jej nędznego małego domku. Sedgewickowie co środę zapraszali ją do siebie na wieczorny posiłek, po którym zwykle grywali w karty, Jessica też często proponowała, że przyśle po nią powóz, by wraz z jej rodziną spożyła kolację – ale tych zaproszeń Sarah nie przyjmowała. Wiedziała, że Michael będzie chciał jej towarzyszyć, a ona nie była w stanie przebywać wraz z nim w ciasnej przestrzeni powozu. Zjawiała się u Wyndhamów jedynie pod obecność Sedgewicków, ponieważ wracała do domu wraz z nimi.

To właśnie w herbaciarni Jessica podała jej ukradkiem liścik podczas jednego z ich pierwszych spotkań. „Spotkajmy się jutro po południu przy młynie nad Lawson Creek”, brzmiała jego treść. Działo się to w październiku, krótko po przyjeździe Sary do Willow Grove.

Wspomniane miejsce było odludne, ale łatwo dostępne, nawet na piechotę, leżało też na trasie popołudniowych konnych przejazdów Jessiki. Kiedy zjawiała się teraz, zsiadła z konia z wesołym, zadowolonym z siebie uśmiechem, co widząc, Sarah odetchnęła z ulgą, lękała się bowiem, że powód ich spotkania jest poważny. Nastroszyła się. Jeżeli dziewczyna sądzi, że jej udział w Kolei Podziemnej jest czymś zabawnym, Sarah pozbawi ją złudzeń szybciej, niż zgaśnie uśmiech na twarzy Jessiki.

– Mam nadzieję, że wybaczysz mi tę tajemniczość – Jessica z miejsca przeprosiła, najwyraźniej pojmując przyczynę gniewnej miny Sary – ale pomyślałam, że powinniśmy ustalić miejsce spotkań, na wypadek gdyby sytuacja tego wymagała. Jak widzę, dotarłaś tu bez trudu.

Jessica słusznie rozumowała, a poza tym spotkały się przy młynie nad Lawson Creek. Jessica nie należała do Podziemia – przysięgła, że nie miała najmniejszego udziału w ucieczce Timothy’ego – ale przekazywała informacje niezmiernie ważne dla bezpieczeństwa niewolników szukających wolności z tej części siatki, za którą odpowiadała Sarah. Carson Wyndham kazał Tippy popołudniami tkać końskie derki w ponurej chacie na Podwórzu – „koniec ze zbijaniem bąków przez cały dzień z moją córką” – i służąca dowiadywała się różnych rzeczy, które przekazywała Jessice, by ta z kolei informowała o nich Sarę. Poza tym w wielkiej, wykładanej boazerią bibliotece w rezydencji Wyndhamów spotykali się zwolennicy niewolnictwa – politycy, inni plantatorzy, handlarze niewolników, szeryfowie federalni, łowcy głów i wszechobecni Nocni Jeźdźcy, którym przewodził Michael.

Kiedy się gromadzili, Jessica przyczajała się pod drzwiami. Kto wie, ilu uciekinierów zawdzięczało jej uniknięcie zasadzek Nocnych Jeźdźców. Dowiedzieli się, że latarnie lub świece płonące w oknach wiejskich domów dają znak zbiegłym niewolnikom, że mogą w nich bezpiecznie odpocząć w drodze na Północ. Odległość między domami wynosiła na ogół dwadzieścia mil, a niewolników ukrywano na strychach, w stodołach, nawet podziemnych tunelach do czasu, gdy bezpiecznie mogli podjąć dalszą ucieczkę. Michael i jego siepacze znaleźli farmera, który umieszczał takie znaki w oknach swojego domu,

wabiąc w pułapkę niepodjęzawających niczego niewolników. Jessica doniosła o tym Sarze, która na Jimsonweedzie udała się na tę farmę i na płocie umieściła wielki złośliwy znak jako ostrzeżenie dla zbiegów. Wierzyła, że farmer uzna, iż padł ofiarą psikusa jakichś dzieciaków. Zbiegli niewolnicy wiedzieli, że muszą szukać wszelkich znaków mogących być dla nich sygnałem o zastawionej pułapce.

Kiedy indziej Jessica ostrzegła Sarę przed kasjerem z banku, który miał znaleźć dowody, że jeden z jego współpracowników jest aktywnie działającym przeciwnikiem niewolnictwa.

Żadnej z tych informacji nigdy nie przekazywano na piśmie. Bezpieczeństwo siatki przerzutowej wymagało komunikacji wyłącznie słownej, za pomocą ustalonych wcześniej sygnałów, szyfrów czy symboli, których znaczenie potrafili odczytać jedynie ich adresaci. Jessica nie miała o nich pojęcia, dlatego musiała potajemnie spotykać się z Sarą osobiście.

Sarah dla rozgrzewki potarła sobie ramiona otulone wełnianym płaszczem. Tutaj, na wybrzeżu Atlantyku, zimy były łagodne, za dnia temperatura rzadko spadała poniżej piętnastu stopni, ale utrzymujący się chłodny front przyniósł ze sobą pierwsze prawdziwe podmuchy zimy i Sarah zatekniła za ciepłem kominka swoich rodziców, którym wkrótce będzie mogła się nacieszyć. Szkoła miała świąteczną przerwę i za trzy dni Jessica przyjedzie po nią powozem, by odwieźć ją do Charlestonu. Tam wsiądzie na statek płynący do Cambridge, by wraz z rodziną spędzić czas aż do stycznia, kiedy zajęcia zaczną się na nowo. Tęskniła zwłaszcza za Paulem, siedmioletnim synem starszego brata. Bratowa donosiła w liście, że chłopczyk bez przerwy się dopytuje, kiedy ciocia Sarah przyjedzie do domu.

Lettie się martwiła, że Sarah tak się spodoba pobyt z rodziną, iż nie zechce wrócić.

– Musisz do nas wrócić! – mówiła. – Co by poczęli bez ciebie uczniowie? Jak wyjdę bez ciebie za mąż? Nie pozwól, żeby bratanek cię zatrzymał.

Nie ma na to najmniejszych szans, pomyślała sobie Sarah, chociaż bardzo kochała małego łobuziaka i tęskniła za nim. Czasem czuła, że jej starania, by położyć kres niewolnictwu, przypominają wybieranie

łyżeczką wody z oceanu, ale musiała robić, co do niej należy. Wierzyła, że dzięki wierze i uporowi ludzie pragnący zło zastąpić dobrem w końcu zwyciężą, bez względu na napotykaną przeszkodę.

Usłyszała dochodzący z leśnej ścieżki gwałtowny tętent kopyt, a nie jak zwykle łagodny kłus, któremu towarzyszył brzęk dzwoneczków, co zapowiadało zbliżanie się Jessiki. Z lasu galopem wypadła Single Bell, z rozwianą grzywą ozdobioną świątecznymi wstążkami, a Jessica zeskoczyła z siodła, jeszcze zanim klaczka na dobre się zatrzymała.

Sarah podbiegła do niej.

– Na Boga, Jessico, co się stało?

Jessica prawie osunęła się w ramiona przyjaciółki. Z trudem łapała powietrze, a jej zwykle blade policzki teraz pokrywał gorący rumieniec od szybkiej jazdy w zimnie.

– Saro, musisz nam pomóc – wydyszała. – Willie May znalazła w Willowshire zbiega.

Oglądając się nerwowo przez ramię, Sarah poprowadziła ją w stronę drzewa, za którym mogły się ukryć przed ciekawskimi oczami i uszami czającymi się w lesie.

– Ciii – szepnęła. – Musisz mówić ciszej. A teraz uspokój się i wszystko mi opowiedz.

Jessica wzięła głęboki oddech, wciągając do płuc zimne powietrze, i zaczęła wyrzucać z siebie słowa. Jakieś dziesięć dni temu o północy ich gospodyni znalazła w stodole zbiega – „ledwie chłopca”, powtórzyła słowa, którymi opisała go Willie May. Nie chciał zdradzić swojego imienia ani tego, skąd jest i gdzie ukrywa się za dnia. Wydało się, że z wędzarni znikły dwie szynki i ojciec już wiedział, że w pobliżu kręci się złodziej. Kazał głównemu nadzorcy wysledzić go i znaleźć. Zakładali, że złodziejem nie jest żaden mieszkaniec Willowshire, lecz ktoś ukrywający się nad jeziorem albo w lesie. Jessica zgadzała się z Willie May, że jest tylko kwestią czasu, aż nadzorca i jego ludzie wypłoszą chłopaka, a wtedy... Jessica przymknęła oczy, jakby odczuła nagły ból, „ojciec odeśle go z powrotem do jego pana, gdzie wymierzą mu karę chłosty. Willie May mówi, że już po kilku razach skóra odejdzie mu od kości, taki jest chudy... i młody”.

– Czemu Willie May przyszła z tym do ciebie? – zapytała Sarah. Jessica spojrzała w jej oczy z urazą.

– Wie, co czuję, Saro. Jakże mogłabym to przed nią ukryć? Nauczycielka pokręciła głową.

– Lękam się o ciebie, Jessico. Czego ode mnie oczekujesz?

– Chcę jak najszybciej zabrać stąd tego chłopca. Scooter, nasz kowal, chętnie pomoże. Ukryje chłopca w wozie, kiedy pojedzie do miasta po nowe koło. Wypuści go na kościelnym cmentarzu i chłopiec mógłby zostać u ciebie, aż przyjadę powozem, by odwieźć cię do Charlestonu. Do tego czasu zorganizujesz wszystko tak, żeby mógł uciec z tym twoim znajomym marynarzem...

Jessica urwała, widząc wyraz twarzy Sary, i przycisnęła dłonie do zaczerwienionych policzków.

– O Boże, Saro, czyżbym działała zbyt pochopnie? Martwisz się, że Scooter się domyśli, dlaczego ma wysadzić chłopca przy cmentarzu koło twojego domu? Możesz być spokojna, tak się nie stanie. Niewolnicy bardzo często ukrywają się na cmentarzach.

– Nie, oczywiście, nie działałaś pochopnie... – zapewniła ją Sarah. Oparła się o drzewo z przecuciem, że tym razem szczęście się od nich odwróci. Przez ułamek sekundy oczami wyobraźni widziała psotną buźkę swojego bratanka. Być może spodziewała się klęski, ponieważ niechętnie podejmowała się misji tuż przed wyjazdem do domu.

– Dobrze – zdecydowała. – Do tego czasu ukryję chłopca. Sedgewickowie pojechali z kilkudniową gością do Toliverów, to dobrze dla nas. Kiedy mogę się spodziewać przesyłki? Muszę mieć czas na skontaktowanie się z moim człowiekiem.

– Jakoś tak dzisiaj po południu. Chłopiec ukrywa się w szopie koło altany i powinniśmy tak wszystko urządzić, żeby bezpiecznie przedostał się do wozu. Czy zdążysz przygotować... zrobić wszystko, co konieczne?

– Sądzę, że tak – odparła Sarah.

Będzie musiała zapalić światło w oknie z tyłu domu, by zawiadomić swój kontakt po drugiej stronie strumienia o dostarczeniu ładunku. Tamten da znak, że wiadomość dotarła. Następnie zostanie powiadomiona, znowu szyfrem, że w porcie w Charlestonie wszystko

zostało zorganizowane, by chętna do pomocy załoga statku mogła przejąć ładunek. Wysadzi swojego pasażera w umówionym miejscu w dokach i odjedzie. W dniu, w którym przewoziła Timothy'ego, ledwie zdążyła zawrócić i kiedy obejrzała się przez ramię, jego już nie było. Martwiła się, że „osoba po drugiej stronie strumienia”, jak Sarah w myślach nazywała agenta, wie, kim ona jest. Mogła tylko mieć nadzieję, że kimkolwiek jest z kolei ten ktoś, nigdy nie zostanie złapany i oboje będą mogli bezpiecznie czekać na kolejne wyzwania w przyszłości.

– Zajmę się wszystkim i będę go wypatrywać – powiedziała do Jessiki.

Jessica rzuciła jej się na szyję.

– Och, dziękuję ci, Saro. W tym roku Boże Narodzenie naprawdę będzie coś dla mnie znaczyć, jeśli uratujemy tego chłopca.

– Jessico, jeszcze go nie uratowaliśmy. Zawsze istnieje ryzyko, że pociąg się wykolei, i nie można zaznać spokoju, dopóki konduktor i jego pasażer nie dotrą bezpiecznie do celu.

Rozdział 11

W bibliotece w Queenscrown Silas Toliver rzucił ołówek na kartki pokryte kolumnami i liczbami, które rozłożył na ogromnym biurku swojego ojca, teraz należącym do jego brata Morrisa. Złapał się rękami za głowę. Liczby nie kłamały, podobnie jak jego wewnętrzny głos. Okazał się głupcem, zakładając zysk z wynajmu wozów, co Carson Wyndham bezlitośnie mu wytknął, kiedy Silas przyszedł go prosić o kolejną pożyczkę.

– Przykro mi, Silasie, ale nie mam zamiaru wyrzucać pieniędzy w błoto. Jak mogłeś pokładać nadzieję w tak niepewnym przedsięwzięciu? Popełniłeś błąd, ufając, że inni przewiozą twoje wozy do Teksasu, będą ich pilnować i przestrzegać umowy, którą podpisali, a która, jak sam miałeś nieszczęście się przekonać, jest równie wiążąca jak wstążka we włosach kobiety. Nigdy nie składaj nadziei na sukces finansowy w ręce innych. To pewny zawód. Musisz zostać przy farmerstwie, na którym się tak doskonale znasz. Inwestowanie zostaw ludziom takim jak ja, którzy wiedzą, co robią.

Silas miał ochotę rwać włosy z głowy. Cóż on sobie, na miłość boską, myślał?! Nikt nie odpowiedział na jego ogłoszenie „NA SPRZEDAŻ”, które umieścił, gdzie się tylko dało, i teraz osiem dumnych wozów po siedemset dolarów stało żałośnie w jednej ze stodół Queenscrown, będąc upokarzającą pamiątką porażki, którą poniósł, próbując dorobić się na czymś innym niż farmerstwo. Cała armada z wysokimi białymi plandekami przypominającymi zwinięte żagle niszczała obok jego własnych wozów i dwóch czekających na rodziny, które zgodziły się je wynająć. Co prawda nie miał gwarancji, że wciąż będą chciały, aby je im dostarczono pierwszego lutego.

Silas liczył na pożyczkę od Carsona Wyndhama, dzięki której miałby pieniądze na aprowizację i koszty podróży. I tak opuszczał już Karolinę zadłużony u człowieka, który nie był łatwym wierzycielem. Nawet jeżeli sprzeda wozy ze stratą, on, Lettie i Joshua praktycznie nie będą mieli za co żyć przez pięć, może sześć kolejnych lat, przez które przyjdzie mu spłacać jednego z najbogatszych ludzi w Karolinie. Na to Silas bardzo nie chciał narażać swojej rodziny. Podczas gdy inni

osadnicy, niektórzy z nich zamożni, będą budowali swoje rezydencje, zwiększali liczbę posiadanych niewolników, on wciąż będzie mieszkał w chacie, uprawiając te same co na początku kilka akrów ziemi, do pomocy mając zaledwie garstkę czarnych. Lettie będzie musiała sama szyć sobie suknie, i to z najtańszych materiałów, a tymczasem żona Jeremy'ego – o ile Jeremy się ożeni – i żony jego niezadłużonych sąsiadów będą sobie mogły pozwolić na krawcowe i jedwabie.

Teraz jednak, bez pieniędzy Carsona, na które liczył, nie stać go było nawet na tę nędzną egzystencję.

Nie miał wyboru: musiał zwrócić się do Morrisa.

W sąsiednim pokoju słyszał podekscytowany głosik Joshui, który pokazywał na obrazki w książeczce dla dzieci pożyczoną przez Lettie z klasy Sary. Silas zostawił syna na kolanach Lettie, czyli w jego ulubionym miejscu, pod czułym okiem wielebnego Sedgewicka, który pykając swoją fajkę, siedział przy kominku obok Elizabeth pochylonej nad robótką na drutach. Spokojna, radosna scenka zupełnie nie pasowała do jego ponurego nastroju, gdy wstawał od biurka. Spojrzał na olejny portret Benjamina Tolivera, który ojciec sobie zamówił w czasach, gdy był jeszcze młody, i poczuł, jak kąsa go rozgoryczenie tak silne, że drżał mu palec, którym pogroził portretowi.

– Powinieneś być mi tego oszczędzić, ojcze, gdybyś tylko kochał mnie na tyle, by potraktować sprawiedliwie. Ja też byłem twoim synem...

– Źle oceniasz ojca, Silasie.

Obrócił się na pięcie. Do pokoju niezauważenie wszedł Morris, wielki mężczyzna o niedźwiedziej posturze i niezdarnych ruchach, które przyprawiały panie domu o drżenie ze strachu o kruche bibeloty. Pomimo groźnego wyglądu niekiedy patrzył z wielką czułością. Tak było i teraz – Silasowi się zdało, że dostrzega w oczach brata łzy. Ugryzł się w język, by nie wypowiedzieć gorzkich słów, które cisnęły mu się na usta, i zebrał z biurka papiery. Morris głęboko kochał ojca. Za to też Silas winił człowieka, który ich spłodził. Nie potrafił pocieszyć brata w jego smutku.

– Dobrze, że jesteś, Morrisie. Chciałbym z tobą coś omówić.

Silas podszedł do innego krzesła, to przy biurku zwalniając dla

prawowitego właściciela, Morris jednak ciężko zasiadł w fotelu naprzeciwko brata.

– Ja też cieszę się, że cię zastałem – odezwał się. – Albowiem gdzie ty, tam Lettie i Joshua.

Morris wiernie czytał Pismo Święte i często w mowie posługiwał się jego stylem. Lettie uważała to za urocze, poza tym wówczas Morris ujawniał swoje oblicze znane jedynie nielicznym. Silas zdawał sobie sprawę, że brat już cierpi na myśl o ich coraz bliższym wyjeździe. Bez Joshui i Lettie jego dom opustoszeje. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że to właśnie z powodu jego syna i przyszłej żony Morris odmówi jego prośbie.

– Nie, bracie, nie pomogę ci – rzekł, gdy Silas wyjaśnił, z czym się do niego zwraca. – Twoje miejsce jest tutaj, w Queens-crown, przy mnie i przy matce. Dałbym ci pieniądze, gdybyś zamierzał wyjechać do Teksasu sam, ale nie zapłacę ci, żebyś zabrał ze sobą Lettie i Joshuę.

– Nie zostawię ich tutaj, Morrisie.

– W takim razie nie pojedziesz, przynajmniej nie za moje pieniądze.

– W dalszym ciągu będziesz się spierał, że ojciec mnie nie skrzywdził?

– Spierałbym się, że wiedział, co dla ciebie najlepsze. Według mnie tak nie było.

– Skoro tak, oddaj mi połowę Queenscrown, która słusznie mi się należy, a ja – nawet jeśli nie z radością – ale przynajmniej dobrowolnie zostanę.

– Mam się sprzeciwić ostatniej woli naszego ojca, który uważał, że tak będzie dla ciebie najlepiej? Obawiam się, że nie mogę tego uczynić, Silasie.

– Mówisz zagadkami, Morrisie.

– Mówię tylko to, czego ty w swojej ślepotcie nie dostrzegasz, mój bracie.

Morris nie dał się przekonać. Silas mu obiecał, że jeżeli da mu pieniądze, wozy będą jego. Mógłby je sprzedać armii federalnej, która zapłaci mu najwyższą cenę.

– Czemu sam ich nie sprzedasz? – zapytał Morris.

Ponieważ negocjacje ciągnęłyby się miesiącami, wyjaśnił Silas, a on nie ma tyle czasu, skoro chce wyruszyć wiosną. Pieniądze były mu potrzebne już, żeby do pierwszego marca kupić cały potrzebny sprzęt.

Na nic się to jednak nie zdało. Morris pozostał niewzruszony. Teksas nie był w tej chwili odpowiednim miejscem dla kobiety i dziecka. Niech Silas zaczeka rok, zgromadzi pieniądze, sprzeda wozy i wyruszy z następnym taborem. Jeremy ze swoją grupą przetrze szlak. Tymczasem ich matce oszczędzone będzie cierpienie po kolejnej stracie, przynajmniej chwilowo, a Joshua będzie mógł spędzić z babką i wujem więcej czasu. Być może zachowa wspomnienia, które zachęcą go do powrotu, choćby tylko z wizytą. Rozmowa skończyła się na tym, że Silas wymaszerował z gabinetu, z hukiem zatrzaskując za sobą drzwi. Szczęśliwa gromadka przy kominku ze zdumieniem patrzyła, jak syn, ojciec, narzeczony i przyszły zięć gna schodami na górę do swojego pokoju, z twarzą pociemniałą z wściekłości.

– Nie idź za nim, Lettie – poradził Morris, stając w drzwiach biblioteki. – Nie możesz mu teraz pomóc.

– Co się stało? – zapytała. Właśnie miała zdjąć Joshuę z kolan, by zrobić dokładnie to, co Morris jej odradzał.

– Na razie jego marzenia legły w gruzach – odparł Morris.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Silas nie będzie głosił chwały Pana na obcej ziemi – sparafrazował jeden z psalmów Starego Testamentu. – Innymi słowy, nie pojedzie do Teksasu, przynajmniej nie tej wiosny. Wygląda na to, że matka i ja będziemy cieszyć się waszym towarzystwem o rok dłużej.

Morris podszedł i podniósł bratanka wysoko nad swoją głowę, a chłopczyk zaniósł się pełnym zachwytem śmiechem.

– Pójdziemy obejrzeć szczeniaczki, kochany chłopczyku?

W swoim pokoju Silas oparł ramiona na zimnym kominku i spuścił głowę. Co miał począć? Dokąd zwrócić się po pieniądze? Znalazłby innych pożyczkodawców, ale kiedy się rozniesie, że Carson Wyndham uznał go za kiepską inwestycję, i tak w żaden sposób nie zdoła ich przekonać. Musi powiedzieć Lettie, w jaki bigos ich wpakował.

Oczywiście zrozumie, wybaczy mu, spróbuje przekonać, by jak najlepiej wykorzystał ten rok. Dla niej to łatwe. Uwielbiała jego matkę i lubiła

brata – „to taki kochający człowiek, Silasie, gdybyś tylko potrafił to w nim dostrzec” – zaś Queens-crown, ze swoimi ogrodami, rozległymi trawnikami, służbą, końmi i psami bardzo się różniło od ciasnej plebanii, w której spędziła całe swoje dotychczasowe życie. Nie rozumiała jednak – nie pokochałaby – mężczyzny, którego poślubiła, jeśli przyszłoby im spędzić kolejny rok w Queenscrown. Ten mężczyzna nie mógłby znosić rozkazów swojego brata – jakże często jego decyzje dotyczące plantacji były złe. Czy Morris nie wiedział, że ziemia musi leżeć odłogiem przez kilka lat, żeby się odrodzić? Nie zniesie nędznej zapłaty, podczas gdy wszystkie zyski z jego pracy będą trafiać do szkatuły Morrisa. Jak mógłby się pogodzić z tym, że traktuje się go jak zwykłego nadzorcę, podczas gdy jego brat będzie dosiadał czarnego ogiera jako pan domu, w którym on także urodził się i wychował?

Musi znaleźć jakieś wyjście, bez względu na koszty. Zaprzeda duszę, byleby wyruszyć z Jeremym Warwickiem w marcu 1836 roku na czele taboru zmierzającego ku czarnym, żyznym ziemiom Teksasu. Musi tylko znaleźć kogoś, kto zgodzi się to sfinansować.

Rozdział 12

– Willie May, musimy coś zrobić z altaną – powiedziała Eunice. – Jest goła jak obskubany ptak, nie ma na niej nawet kokardy z okazji świąt. Zbiorę dekoracje i chcę, żebyście razem z Tippy mi pomogły. Przyda nam się jej wyobraźnia. Pójdziemy tam i zobaczymy, co można by zrobić.

Willie May była pewna, że jej twarz pobieliała jak płótno.

– Teraz, pani Eunice?

– A kiedy będzie lepsza chwila? Chcę udekorować każdy zakamarek najpiękniej jak się da, zanim moja siostra przyjedzie pojutrze z Bostonu. Oni tam tak purytańsko obchodzą święta. Chcę, aby podczas swojego pobytu u nas mogła trochę nacieszyć oko. Bardzo lubi czytać w altanie. – Eunice na chwilę umilkła. – Co się stało? Patrzysz na mnie jak sroka w gnat.

– Och, nie, ja... To nic, pani Eunice. Coś mnie strzyknęło w krzyżu, nic więcej.

– To zwykły dreszcz, Willie May. Gdzie jest twoja córka?

– Na górce, z panienką Jessicą. Panienka Jessica wróciła z przejażdżki i Tippy pomaga jej się przebrać do lunchu.

– Jessie może się przebrać sama. Idź, proszę i powiedz swojej córce, że chcę ją widzieć.

– Dobrze, pani Eunice.

Willie May wybiegła z pokoju i pognała po schodach. O słodki Panie Jezu! Zbiegły niewolnik wciąż był w altanie. Co na Boga mają począć? W kuchni szykowali lunch i służba wkrótce zacznie krążyć między kuchnią a Dużym Domem, żeby nakryć do stołu. Altanę i składzik będą mieli na widoku. Nie da się przenieść chłopca do innej kryjówki, żeby nikt go nie zauważył.

Serce waliło jej tak mocno, jakby miało zaraz wyskoczyć jej z piersi. Przystanęła przed drzwiami Jessiki, żeby wyrównać oddech i zebrać oszalałe myśli. Z panienką Jessicą trzymały wszystko w tajemnicy przed Tippy, żeby jej nie narażać. Jej córka nie miała pojęcia ani o zbiegu, ani o planach pomocy w jego ucieczce. Willie May wolała nie myśleć, co by się stało, gdyby wszystko wyszło na jaw,

a Tippy miałyby z tym coś wspólnego. Chwała miłościwemu Panu, że pani dała jej powód, by odesłać Tippy z pokoju, dzięki czemu będą mogły bez świadków porozmawiać z panią Jessicą.

– Och, witaj, Willie May – powiedziała Jessica, odwracając się od lustra. – Co cię sprowadza?

Miała na sobie sięgającą kolan halkę, a Tippy sznurowała jej gorset, żeby mogła założyć przyszykowaną suknię z wąską, dopasowaną talią. Biała pelerynka – koronkowe nakrycie na bufiaste rękawy – czekała na szezlongu. W koronkę wplecione były czerwone i zielone wstążki, by zadowolić ojca, który sobie życzył, żeby kobiety w jego domu nosiły świąteczne kolory. Żadna inna rezydencja w Alei Plantatorów nie była tak bogato udekorowana na święta jak Willowshire.

– Matka panią kazała posłać po Tippy – odrzekła Willie May.

Tippy przerwała sznurowanie gorsetu i zwróciła się do matki.

– Mama, co się stało?

– Nic się nie stało, córeczko. Lepiej idź i dowiedz się, czego pani Eunice sobie życzy.

Tippy puściła sznurówki gorsetu i podeszła do matki.

– Coś się stało, wiem przecież.

Willie May popatrzyła na twarzyczkę córki, drobną i kruchą jak ona cała, i jak zwykle poczuła, że serce jej się skręca niczym wyciskana szmata. Ujęła palcami delikatną, spiczastą brodę Tippy.

– Idź już – powiedziała czule. – Nic się nie stało. Muszę porozmawiać z panią Jessicą.

Jessica, w na wpół zasznurowanym gorsecie ze zwisającymi sznurówkami, odezwała się dopiero, kiedy jej służąca wyszła.

– Tippy ma rację. Coś się stało. O co chodzi, Willie May?

– Nigdy nie oszukam tego mojego dzieciaka – powiedziała Willie May. – Chodzi o panią mamę. Chce udekorować na święta altanę, i to natychmiast, tak powiedziała. Dlatego posłała po Tippy. Co my zrobimy?

– O Boże – jęknęła Jessica. – Już w tej chwili?

– Już w tej chwili. Kazała mi znaleźć kogoś do pomocy, w czasie gdy ona przygotowuje ozdoby.

Jessica pomasaowała się po czole i przez chwilę krążyła po pokoju,

po czym zdarła z siebie gorset i chwyciła suknię.

– Powiem ci, co zrobimy – rzekła, szamocząc się z obszernymi fałdami spódnicy. – Chodź ze mną, Willie May, i zgadzaj się ze wszystkim, co powiem. Dobrze?

– Dobrze – odparła Willie May, nie mając pojęcia, na co się godzi, kiedy pomagała Jessice zapiąć suknię. – Oj, panienko, wie panienka, że nie włożyła bielizny jak trzeba?

– Nikt nie zauważy – odparła Jessica i wypłynęła z pokoju niczym statek zmierzający na morze pełną parą, z Willie May podążającą w ślad za nią. W połowie schodów, ze spódnicą przylegającą jej do nóg, kilka razy krzyknęła głośno:

– Mamo!

Eunice zjawiała się biegiem. Siedziały z Tippy zakopane w schowku pod kuchennymi schodami, gdzie trzymano świąteczne ozdoby.

– Wielkie nieba, dziecko – sapnęła Eunice, spotykając się z Jessicą u stóp schodów. Za nią przybiegła Tippy i przyglądała się wielkimi z ciekawości oczami. – Musisz się wydzierać jak *banshee*?

– Mamo, przecież ty nie wiesz, co to jest *banshee*.

– A właśnie że wiem. To zjawa w kobiecej postaci z irlandzkich przypowieści ludowych, która siedzi pod oknem i zawodzi, kiedy ktoś w rodzinie ma umrzeć. – Eunice prychnęła. – Może nie siedzę na lekcjach, ale mam uszy otwarte i nauczyłam się tego i owego od Lettie Sedgewick, młoda damo. A teraz słucham, o co chodzi?

– Mamo, Willie May mówi, że chcesz przyozdobić altanę, ale wtedy zepsujesz moją niespodziankę.

Eunice zrobiła zdziwioną minę.

– Jaką niespodziankę?

Jessica nie zwróciła uwagi na zaskoczoną minę Willie May.

– Przecież jeżeli ci powiem, to już nie będzie niespodzianka, prawda?

Eunice zerknęła na gospodynię.

– Wiesz, o czym ona mówi?

– Oczywiście, że wie, prawda, Willie May? – Jessica odpowiedziała za gospodynię. – Ale chciałyśmy to utrzymać w tajemnicy. No dobrze, niech ci będzie, już mówię – stęknęła Jessica,

jakby ktoś wykręcał jej rękę. – Willie May i ja postanowiłyśmy, że same ozdobimy altanę, bez pomocy Tippy, żeby ci udowodnić, że ja też mam zmysł artystyczny. Uznałam, że muszę bardziej interesować się... sprawami domu i pomyślałam, że ozdobienie altany na święta idealnie nadaje się na początek.

Eunice otworzyła ze zdziwienia usta. Minęło kilka sekund, zanim zdołała się odezwać. Jej wzrok padł na oklapłą spódnicę Jessiki.

– Gdzie masz halkę?

Jessica popatrzyła w dół.

– Tak się śpieszyłam, żeby cię uprzedzić, że nie miałam czasu jej włożyć. A teraz pozwól, proszę, Willie May i mnie przyozdobić altanę, tylko się nie wtrącaj, dobrze? Chcę się czymś pochwalić cioci Elfie, kiedy przyjedzie do nas w tym roku.

– Cóż... – W głosie Eunice słychać było powątpiewanie – w porządku, Jessie. Jestem pewna, że twój ojciec się ucieszy, ale... – Posłała gospodyni zbolale spojrzenie. – Postaraj się, żebyście zbytnio tam nie nabałaganiły.

– Obiecuję, pani Eunice – powiedziała Willie May.

– I żadnego podglądania – ostrzegła Jessica. – Zrobimy zasłonę z prześcieradła, na wszelki wypadek. Prawda, Willie May?

– Prawda – przytaknęła Willie May.

Scooter oznajmił swoim pomocnikom, że pojedzie po koło nieco wcześniej, niż planował. Po południu może padać, a on nie chce, żeby wóz ugrzązł mu gdzieś w błocie. Mogą się podzielić jego południowym posiłkiem. Nie będzie miał czasu, żeby zjeść. Czy wyjaśnią panu, gdyby przypadkiem się zjawił?

Tego dnia jednak nie spadła ani kropla deszczu i przez całe popołudnie Jessica i Willie May ukryte za prześcieradłem zwisającym z altany trudziły się, by zmienić budowlę w świąteczne cudętko dorównujące splendorem dekoracji Dużego Domu, będących dziełem twórczej wyobraźni Tippy i wykonanych pod jej nadzorem. Późnym popołudniem Carson wraz z żoną przyszli obejrzyć rezultat pracy ich córki i gospodyni, i Carson pochwalił Jessicę.

– Duszku, ty i Willie May przeszłyście wszelkie... oczekiwania.

Kładąc się wieczorem obok żony do łóżka, by spocząć snem

sprawiedliwego, mruknął jej do ucha:

– Może porozmawiasz z Tippy, żeby jutro rzuciła okiem na altanę i... co nieco pozmieniała?

– Czytasz w moich myślach, mój drogi – odparła Eunice.

Rozdział 13

Poza tym sporadycznym stukotem w ścianę ze składziku, w którym Sarah ukryła swojego gościa, nie dobiegał żaden dźwięk, więc czuła, że co jakiś czas musi zapukać do drzwi i pytać szeptem:

– Jesteś tam?

– Jezdem – dobiegała ją odpowiedź, tak cicha i ostrożna, że Sarze jeżyły się włosy na karku.

Do przylegającej do kuchni komórki wstawiła pryczę. Przez jedyne okienko dostawało się do niej powietrze i światło, ale przez cały dzień i noc było zamknięte i zaryglowane. Sarah cieszyła się z zimnej pogody, przy której za dnia temperatura wynosiła niezmiennie piętnaście stopni. Przynajmniej jej gość się nie ugotuje ani nie będą go atakować komary, nocą zaś, gdy robi się zimniej, miał mnóstwo koców, którymi mógł się okryć. By podać mu jedzenie, otwierała na ułamek sekundy drzwi pomieszczenia, ale pod żadnym pozorem nie pozwoliła mu wyjść z ukrycia. Ktoś mógłby go dostrzec przypadkiem przez szparę w zamkniętym oknie nad kuchennym zlewem albo przez okienko w saloniku, w ciągu dnia szczelnie zasłonięte. Najgorsze było opróżnianie nocnika jej lokatora, krępujące w równym stopniu dla nich obojga.

– Przepraszam, panienko – bąkał chłopiec, podając jej naczynie.

– Nie ma za co – odpowiadała, wstrzymując oddech.

Zastanawiała się, jak chłopiec mógł wytrzymać w ciasnym, pozbawionym słońca pomieszczeniu, z nikim się nie kontaktując i zupełnie beczynnie. Sama na pewno by oszalała, gdyby musiała spędzić w domu choćby jeden dzień dłużej, niż sobie zaplanowała. Czuła się jak więzień, nie mając odwagi wyjść nawet na moment, bo gdyby zbiegły niewolnik się zorientował, że jej nie ma, mógłby wejść do domu lub zrobić coś wzbudzającego podejrzenia.

Z jakiegoś powodu nie odważyli się nawet ze sobą rozmawiać. Ktoś mógłby ich usłyszeć i odkryć, tym bardziej że chłopiec mówił z murzyńskim akcentem. Carson Wyndham rozpuścił wieści, że w okolicy może się ukrywać jakiś zbieg. Wielu chętnie by niewolnika wydało – a także Sarę Conklin – by zasłużyć sobie na wdzięczność

znacznego plantatora. Przez tę jedną chwilę, kiedy chłopiec brał od niej tacę z jedzeniem, dostrzegła jedynie jego twarz i wychudzone ciało w niedopasowanym ubraniu, które wygrzebała w kościelnej skrzyni z używaną odzieżą. Pozwoliłaby mu wyjść, żeby rozprostował trochę nogi, ale oboje się lękali, że ktoś mógłby go zobaczyć. Ludzie bez żadnych złych zamiarów – sąsiadka, członek kongregacji albo rodzic jednego z jej uczniów, którzy wiedzieli, że do czasu wyjazdu jest w domu sama – mogli zająć z czymś do jedzenia albo by dotrzymać jej towarzystwa. Całe szczęście, że Sedgewickowie wrócą z gościny u Toliverów dopiero jutro późnym popołudniem. Jessica miała przyjechać po nią i jej ładunek po lunchu i zanim Jimsonweed skręci w bramę, oni będą już od dawna w drodze.

Na szczęście niedługo będzie to miała za sobą. Mijała właśnie ostatnia noc. Spakowała już swój podróżny kufer i przygotowała kosz z jedzeniem, który zbieg miał ze sobą zabrać. Wybiła dziesiąta, na zewnątrz panowały nieprzeniknione ciemności, bo nisko idące chmury zasłaniały księżyc. Pora zawiesić lampę naftową na tylnej werandzie i czekać na znak zza strumienia oznaczający, że w porcie w Charlestonie wszystko jest przygotowane. Agent miał błysnąć lampą trzy razy długo i raz krótko. Jej odpowiedzią będą trzy krótkie błyski. Ktokolwiek by ją zobaczył o tej porze, pomyśli, że wyszła na zewnątrz, żeby sprawdzić knot w lampie z obawy przed pożarem. Jeżeli po tamtej stronie wydarzyło się coś złego, nie będzie żadnego sygnału. Sarah się modliła, by na drugim brzegu strumienia pojawiły się trzy długie błyski i jeden krótki.

Otulona płaszczem powiesiła na drągu lampę ze skręconym knotem. Nie musiała długo czekać na sygnał i szybko podkręciła knot raz, drugi i trzeci. Poczowała ogromną ulgę, gdy mogła objąć dłonią klosz lampy, by zdmuchnąć płomień. Powie gościowi w składziku, że jak na razie wszystko szło zgodnie z planem. Może będzie mu się lepiej spało, bo jej na pewno. Nagle, kiedy już zdjęła lampę i obracała się, by wejść do środka, dojrzała w ciemnościach krótki błysk i zamarła. Serce jej stanęło. Co się stało? Czy ten ostatni błysk był przypadkowy, czy zamierzony? Czy jej kontakt upuścił lampę i pośpiesznie zdmuchnął knot? Nasłuchiwała, wyteżając wzrok, by dojrzeć coś w ciemnym lesie,

ale słyszała jedynie cichy chłupot wody na kamieniach. Raz wybrała się na drugi brzeg strumienia, wiedziona ciekawością, i znalazła kryjówkę, z której agent wysyłał jej swoje świetlne sygnały. Stratowane listowie zdradzało miejsce, w którym się krył i do którego prowadziła ścieżka biegnąca przez las.

Lekko zaniepokojona Sarah weszła do domu i postanowiła, że jednak nie zastuka do drzwi składziku, by przekazać dobre wieści. Nie chciała zapeszyć. Jej podróżny kostium wisiał na szafie w sypialni. Specjalnie go tam umieściła, dla dodania sobie otuchy i przypomnienia, że za osiemnaście godzin będzie już w drodze do Charlestonu, skąd wyruszy statkiem do domu. Rozebrała się i położyła do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Myślała o Jessice.

Sarah lękała się o przyjaciółkę. Silna wola i porywczosć nie były dobrym połączeniem, a Jessice nie zbywało ani na jednym, ani na drugim. Z dodatkiem niezachwianej wiary we własną nietykalność, wynikającej z pozycji w rodzinie, Jessica przypominała ślepeca z naładowaną i odbezpieczoną bronią. Dziewczyna nie brała na poważnie ostrzeżeń swojego ojca. Błędnie zakładała, że jego miłość do niej nie pozwoli mu zrealizować gróźb i że nie zaryzykuje, by córka go znienawidziła, gdyby postanowił ją ukarać, krzywdząc Tippy. Jessica nie rozumiała, że jeśli zostanie przyłapana na zdradzaniu i niszczeniu systemu, na którym od pokoleń opierało się bogactwo jej rodziny, społeczny status i styl życia, grzech nigdy nie zostanie jej wybaczony. Tippy natomiast rozumiała to doskonale i to przez wzgląd na bezpieczeństwo swej pani, nie swoje, tak bardzo się martwiła.

– Zna Carsona Wyndhama jako ojca – rzekła pewnego razu Tippy do Sary – ale nie zna go jako białego i pana Willowshire.

Sarah przyznała jej rację, uradowana, że Tippy zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa, które Jessica lekceważy. Wspólnie może zdołają nieco utemperować pełne pasji przekonania dziewczyny.

Tippy nieustannie zdumiewała nauczycielkę – ale też przysparzała jej smutku. Jessica powinna się mieć na baczności. Wystarczy, że Carson raz tupnie swoją obutą w szykowny but stopą albo zrobi to ten jego synalek, kładąc kres życiu służącej Jessiki, i cudowny twórczy geniusz kryjący się w tej dziwacznej małej główce – „kolorowej”! – przypadnie

na zawsze. Kiedy kilka razy gościła w domu Wyndhamów, Sarah słyszała, jak Carson oburza się na Tippy. W jego tonie pobrzmiwały niezaprzeczalne tony zazdrości i gniewu, że córka taką miłością, której skąpi jemu czy bratu, darzy murzyńską posługaczkę. Dlatego też Tippy musi nieustannie uważać.

Księżyc zachodził, kiedy Sarze udało się wreszcie zasnąć. Wydawało jej się, że śni jej się stukot końskich kopyt zbliżających się drogą obok plebanii i cmentarza, by zatrzymać się przed jej domkiem. Przebudziła się gwałtownie, wyskoczyła z łóżka i chwyciła szlafrok. Kiedy biegła z sypialni do kuchni na spotkanie koszmaru, który na pewno czekał na nią za drzwiami, usłyszała przerażony okrzyk schowanego w składziku chłopca.

Otulając się szlafrokiem, odryglowała drzwi i ujrzała przed sobą grupę mężczyzn wpatrujących się w nią z wysokości końskich grzbietów. Usta mieli zaciśnięte, spojrzenia twarde. Ich przywódca zsiadł z konia i dotknął kapelusza.

– Dobry wieczór, panno Conklin, czy może raczej powinienem powiedzieć dzień dobry, bo właśnie chyba nastał nowy dzień – powiedział Michael Wyndham.

Rozdział 14

– Nie mam pojęcia, gdzie się podziewa twój syn – rzekła Eunice do Carsona przy śniadaniu. – Nie było go całą noc. Elfie będzie taka zawiedziona, kiedy przyjedzie, a siostrzeniec nie wyjdzie jej na powitanie.

– Twój syn wyruszył z Nocnymi Jeźdźcami – zauważył jej mąż, niechętnie odrywając się od gazety. – Postanowił schwytać winowajcę, który mnie okrada.

– To były tylko dwie szynki – powiedziała Jessica, niespokojna, że jej brat i jego siepacze włóczą się po okolicy, kiedy ona ma odwiedzić Sarę i ich ładunek do Charlestonu.

Carson spojrzał na nią.

– Skąd wiesz, że to były dwie szynki?

Jessica myślała gorączkowo. Powiedziała jej o tym Willie May, ale ojciec nie musiał się o tym dowiedzieć. Przestałby się zwierzać Willie May.

– Przecież to żaden sekret, papo. Wszyscy na Podwórzu o tym wiedzą.

– Tippy miele jęzorem – burknął jej ojciec.

– Musisz przyznać, Carsonie, że Tippy zrobiła istne świąteczne cuda ze wstążek, szyszek, gałęzi jedliny, jemioly, świeczek i kolorowego papieru, drewnianych ozdóbek, kukurydzianych kulek, owoców, orzechów, pierników i szklanych bombek z Niemiec.

Eunice niezmiernie się cieszyła, że uchyliła rozkaz męża i zabrała Tippy z tkalni, gdzie dym z kominka szkodził jej płucom.

– Marnujemy tylko jej talent – oznajmiła Eunice tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Miejsce tej dziewczyny jest w szwalni. Jessica i ja potrzebujemy nowych sukni na ślub Lettie i Silasa.

Jej mąż nigdy nie ustępował pola, choć czasem – co zdarzało się nad wyraz rzadko – lepsza od waleczności okazywała się roztropność. Poza Willowshire żona była miłością jego życia i nigdy nie uczyniłby nic, co mogłoby przeszkodzić mu w udowodnieniu tego w zaciszu małżeńskiej sypialni.

– Masz rację – zgodził się, łaskawie ustępując. – Niech robi to,

w czym spisuje się najlepiej.

Odezwała się Jessica, a serce waliło jej jak młotem.

– Papo, kazałeś podstawić powóz? Statek Sary odpływa o trzeciej, mniej więcej o tej samej porze, kiedy przy pływa ciocia Elfie, i chciałabym, żebyśmy dotarły na miejsce przed czasem.

Carson podniósł wzrok znad gazety.

– Tak, wolałbym jednak, żebyś zaczekała na brata. O tej porze roku pogoda bywa zdradliwa, a w almanachu ostrzegali, że w tym tygodniu może spaść śnieg. Kufry ciotki mogą być dla was za ciężkie.

– Wezwę do pomocy bagażowego – odparła Jessica i składając serwetkę, skinęła na służącą, by odsunęła jej krzesło.

– Ale jak załadujesz bagaże Sary Conklin do powozu? – nie ustępował ojciec.

– Poradzimy sobie – odparła Jessica, modląc się w duchu, żeby nie nadjechał Michael. – Wybaczcie mi, proszę...

– Dziewczęta chcą porozmawiać o swoich sprawach, kochanie. – Wybiegając z pokoju, usłyszała jeszcze tłumaczenie matki.

– W takim razie niech zabierze Tippy. Zwłaszcza że mają ją za jedną ze swoich – odparł Carson, gwałtownie składając gazetę.

Jessica chwyciła swój czepek i płaszcz i wskoczyła do powozu, żeby przypadkiem ojciec nie postanowił wysłać z nią woźnicy.

Danielowi można było zaufać, ale nie chciała mieszać go w niebezpieczną misję.

– Dziękuję, Danielu – powiedziała, gdy ten chciał okryć jej kolana pledem – ale to niepotrzebne. Trochę mi się śpieszy.

Musi odjechać, zanim zjawi się Michael i uprze się, by jej towarzyszyć. Możliwość spędzenia czasu z Sarą Conklin, nawet wbrew jej woli, byłaby zbyt kusząca.

Przejechawszy pięć mil dzielących ją od Willow Grove, Jessica skręciła w należąca do kościoła drogę wiodącą do domu przyjaciółki. Czowała, jak z napięcia bolą ją ramiona i ręce. Westchnęła z ulgą, a w mroźnym powietrzu jej oddech zmienił się w obłoczek pary. Zatrzymała powóz. Najgorsze miała za sobą. Nikt nie zobaczy, jak ich ładunek wsiada do powozu i zanim się obejrzą, bez przeszkód będą zmierzać do celu w to rześkie zimowe popołudnie na sześć dni przed

Bożym Narodzeniem. W Charlestonie, zanim Sarah wsiądzie na statek, zdążą jeszcze napić się herbaty. Jessice będzie brakowało dzielnej przyjaciółki, ale jakże Sarah tęskniła za swoim małym bratankiem i resztą rodziny. Jessica podzielała niepokój Lettie. Czy Sarah zechce do nich wrócić po zimowych wakacjach?

Podniosła rękę, by zapukać do drzwi, kiedy zza domu po obu stronach w ciszy wyłonił się kordon jeźdźców. Niektórzy byli jej obcy, resztę znała. Był wśród nich miejscowy operator odziarniarki, garbarz, właściciel oberży i kilku farmerów. Wszyscy w milczeniu wpatrywali się w nią z niedowierzaniem, na ich surowych twarzach malowała się konsternacja. Przez chwilę nie była w stanie myśleć. Co robili tutaj Nocni Jeźdźcy? Usłyszała znajome rżenie i obróciła się, by ujrzeć czarnego araba Michaela, jak na powitanie zarzuca swoim zgrabnym łbem i wymachuje wysoko osadzonym ogonem. Siodło na jego grzbiecie było puste, a jeden z mężczyzn trzymał cugle. Poczula, że ze strachu jej mózg przestaje funkcjonować. Zesztywniało jej całe ciało. Drzwi otworzył Michael. Patrzył na nią z rosnącym niedowierzaniem.

– Nie, nie, nie wierzę – powiedział. – Nie ty, Jessie. To nie możesz być ty... Powiedz mi, że to nie ty. Przyjechałaś tylko po Sarę...

Mogła była skłamać, ale myślała wyłącznie o przyjaciółce. Krew uderzyła jej do głowy.

– Co zrobiłaś Sarze? Gdzie ona jest?

– O Boże. Ty miałaś ich przewieźć, tak? – zapytał jej brat głosem pełnym cierpienia. Twarz mu pobladła jak prześcieradło. Nawet jego głębokie, stalowoszare oczy były jakby wyprane z koloru. Pod wpływem szoku i niedowierzania stały się jak zamarznęta morska woda. – Nie powiedziała nam, kto przyjedzie po chłopca. Musieliśmy poczekać, żeby się przekonać...

Jessica napała na jego roslą sylwetkę.

– Sarah! – krzyknęła, biegnąc przez salon, zaglądając do kuchni i przez otwarte drzwi do składziku.

Michael powstrzymał ją, chwytając za ramię.

– Jest w sypialni – powiedział szorstko z twarzą wykrzywioną gniewem. – Idź i zajmij się nią. Posłałem po płótno i bandaż. Spakuj ją, niech się ubierze i wsiądzie do powozu. Panna Conklin już nie wróci do

Willow Grove. Odwiozę ją do portu w Charlestonie. Przywieziemy do domu naszą ciotkę, a potem zaprowadzę cię do ojca.

Jessica mu się wyrwała i pobiegła do sypialni.

– O mój Boże! Sarah! – zawołała na widok postaci na łóżku.

Przyjaciółka leżała twarzą do ściany, koszulę nocną na plecach miała w strzępach od razów batem i przesiąkniętą krwią. Z drugiego pokoju dobiegła ją zwięzła wymiana zdań między mężczyznami, w drzwiach stanął Michael z zawiniątkiem. Jessica obróciła się ku niemu.

– Jak mogłeś to zrobić?! – krzyknęła.

– To pytanie, siostrzyczko, ja powinienem zadać tobie. Uwierz mi, na pewno robi to nasz ojciec. – Michael rzucił jej zawiniątko. – Masz. Oczyść jej rany. Moi ludzie ładują jej kufer do powozu. Masz trzydzieści minut, żeby przygotować naszą małą abolicjonistkę do opuszczenia naszych brzegów. Później rzucę ją na pożarcie sępom.

Wyszedł z pokoju, a Jessica rozerwała opakowanie gazy i wyjęła płyn dezynfekujący.

– Nie powiedziałam im, Jessie – jeknęła Sarah, kiedy przyjaciółka pośpiesznie nalewała do miski wodę z dzbanka na umywalce. – Złapali agenta i zmusili go, żeby mnie wydał. Próbował mnie ostrzec... Miałam nadzieję – modliłam się – że nie przyjedziesz, że coś cię zatrzyma, a nawet gdyby, to wymyślisz coś, żeby powiedzieć bratu...

– Ciii, nic nie mów – powiedziała Jessie, klękając, by zdjąć potarganą koszulę i opatrzyć przyjaciółce rany. – Leż spokojnie. Pomyśl o swoim małym bratanku i o tym, że za kilka godzin będziesz w drodze do domu. Już nigdy nie będziesz musiała patrzeć na mojego brata i jemu podobnych.

– Zabrali zbiega do Willowshire – rzekła Sarah, jakby nie słysząc słów Jessiki. – Zwrócą go właścicielowi. Prowadzili go ze sznurem na szyi. Kazali mu patrzeć, jak mnie bicują.

Jessica bała się, że zwymiotuje. Za domkiem rosła okazała magnolia. Michael i jego kompani zapewne przywiązali Sarę do jednej z gałęzi i nie było nikogo, kto by widział, jak ją batożą, czy słyszał jej jęki. Mimo to przyjaciółka jej nie wydała. Opatrując w pośpiechu jej poranione plecy, Jessica zagryzała wargi, żeby nie szlochać.

Sarah dała jej znak, by się przybliżyła, i przemówiła szeptem, żeby nikt jej nie podsłuchał z sąsiednich pomieszczeń. Jessica nachyliła się, uważając, by nie urazić jej ran.

– Boję się o Willie May...

– Och, Boże. Co Michael wie? – zapytała Jessica.

– Chłopiec mu powiedział, że dowiedział się o moim bezpiecznym domu i przyszedł tutaj. Nie wspomniał o Willie May, ale jeśli twój brat nie da się przekonać i będzie go dalej wypytywał... torturował... może wszystko zdradzić.

Jessica poczuła, jak krew odpływa jej z głowy.

– Boję się o ciebie, moja dzielna przyjaciółko z Południa, i o Tippy... – mówiła dalej Sarah.

Czując zawroty głowy, jakby klęczała na pokładzie rozkołysanego statku, Jessica ocierała rany.

– Nie martw się o nas – powiedziała. – Jakoś zdołam nas uratować. Kiedy chodzi o mnie, ojciec tylko głośno szczeka, ale nigdy nie gryzie. Będzie wściekły, ale mi wybaczy. Jestem jego córką. Nie ma wyboru.

– Och, kochana Jessico... – jęknęła Sarah.

Rozdział 15

Podczas śniadania w domu Toliverów, podobnie jak przy stołach w innych rezydencjach przy Alei Plantatorów, toczyła się dyskusja o niespodziewanym i niemiłym dla wszystkich odwołaniu corocznych świątecznych imprez w Willowshire. Planowany był bal, podwieczorek z okazji wizyty siostry Eunice z Bostonu i przyjęcie w wigilię Nowego Roku, na które zaproszenie otrzymało wielu dygnitarzy i luminarzy. Na te towarzyskie okazje przez cały rok szczęśliwcy, którzy znaleźli się na liście zaproszonych, wyczekiwali niecierpliwie, a damy z dużym wyprzedzeniem planowały dobór strojów, fryzur i biżuterii.

– Jak sądzicie, co się tam stało? – zwróciła się Elizabeth z pytaniem do wszystkich zgromadzonych wokół śniadaniowego stołu. Dzisiaj miały się rozpocząć świąteczne obchody.

Z żalem pomyślała o sukni wiszącej w garderobie, której teraz nie będzie miała okazji włożyć. Dzisiejszego ranka, poza Lettie i jej ojcem, którzy często spędzali w Queenscrown noc, jej dwaj synowie i wnuk mieli przyjemność gościć też Jeremy'ego Warwicka. Po śniadaniu on i Silas zamierzali się zastanowić, co zrobić, by Silas i Lettie mogli wiosną wyruszyć z taborem do Teksasu, choć wydawało się to coraz mniej prawdopo-dobne.

– O niczym nie słyszałem – rzekł Jeremy.

– Zupełnie jakby nad Willowshire zapadła noc – zauważyła Lettie.
– Nie udało mi się porozmawiać z Jessicą. Kiedy się do niej udałam, nie wpuszczono mnie nawet za próg.

– Z Michaelem podobnie – powiedział Morris. – Wczoraj mieliśmy się wybrać razem na polowanie, ale przysłał mi wiadomość, że coś mu wypadło.

– Doprawdy musiało się wydarzyć coś nadzwyczajnego – dodał wolebny Sedgewick. – Nikt z rodziny nie zjawił się na świątecznym kolędowaniu w środę wieczorem. Bardzo to dziwne. Pan Wyndham zawsze dawał szczodry datek na tacę.

– Czy panna Conklin bez przeszkód wyruszyła do Massachusetts?
– zwrócił się Jeremy do Lettie. – O ile mi wiadomo, Jessica miała odwieźć ją powozem na statek.

– W zasadzie nic nie wiemy i dlatego się martwimy – odparła Lettie. – O to chciałam zapytać Jessicę. Kiedy poszłam do domku przy cmentarzu, żeby go trochę przewietrzyć, znalazłam krew na pościeli i zakrwawione opatrunki w koszu na śmieci.

– Zaiste dziwne – zauważył wielebny Sedgewick.

– Może się skaleczyła? – zapytał Silas.

– Szkoda, że nie mogłam zapytać o to Jessiki – powiedziała Lettie.

– Może przyczyny są naturalne – podsunęła Elizabeth, rzucając Lettie spojrzenie, pod którym dziewczyna się zaczerwieniła i zmieniła temat. – Tak się cieszyłam, że zobaczę Willowshire świątecznie przystrojone – rozpaczała. – Ta kolorowa dziewczyna Wyndhamów... jakżeż ona się nazywa...?

– Tippy – podsunął Silas.

– ...dokonuje istnych cudów. Aż trudno uwierzyć, że taka nieurodziva Murzynka może być tak pomysłowa.

Morris ugryzł kawałek posmarowanej masłem bułeczki i zapytał z pełnymi ustami:

– Mówisz o tej podobnej do małpy służącej z wielkimi stopami, która wygląda, jakby umiała huścić się na żyrandolu?

– Tak, kochanie – odparła Elizabeth. – Jessica ją wręcz uwielbia.

Nagle przeszkodził im Lazarus, otwierając podwójne drzwi do jadalni. Podszedł do Morrisa i nachylił mu się do ucha.

– Wybacz, panie, ale w salonie czeka gość.

– O tak wczesnej porze, Lazarusie? Któż to taki, na Boga?

– Pan Carson Wyndham, panie.

Przy stole wszyscy zaskoczeni umilkli, a Morris zerwał z szyi serwetkę.

– Natychmiast go przyjmę.

– Ale on nie przyszedł do pana, panie Morrisie – wyjaśnił Lazarus.

– Chce się widzieć z panem Silasem.

– Moim bratem? – Morris spojrzał na Silasa, jakby nie mieściło mu się to w głowie

– Wielkie nieba – stęknęła Elizabeth.

Silas złożył serwetkę i wstał. Uśmiechnął się do Lettie, puścił oczko do Jeremy'ego.

– Może stary łobuz zmienił zdanie – rzekł.

Morris uniósł brew.

– I przyszedł w święta, żeby ci o tym powiedzieć osobiście? Nie licz na to.

– Dowiedz się, co zaszło w Willowshire – szepnęła głośno Elizabeth, zasłaniając usta dłonią.

Carson Wyndham stał z rękami założonymi na plecach i wyglądał przez palladiańskie okna salonu. Lazarus wziął od niego kapelusz i szpicrutę, z którą nigdy się nie rozstawał. Jego postawa zdradzała głębokie zadumanie. Silas musiał zgodzić się z Morrisem. Czemu najbardziej wpływowy i najbogatszy człowiek w Karolinie Południowej miałby się fatygować w porze śniadania, by go poinformować, że jednak udzieli mu pożyczki? Wszak w świątecznym okresie nie robiło się interesów.

– Panie Wyndham?

Carson się odwrócił i tylko dobre maniere pozwoliły Silasowi ukryć zdumienie. Ujrzał twarz człowieka dręczonego lękiem i niepokojem. Każdego ranka podobny wyraz dostrzegał w lustrze. Ponura mina Carsona Wyndhama i oczy, w których nie płonął zwykły blask, klóciły się ze świeżo wykrochmalonymi, obfitymi falbankami eleganckiego żabotu.

– Dziękuję, że zgodziłeś się mnie przyjąć, Silasie, choć przybyłem tak niespodziewanie.

– Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pana – odparł Silas z lekkim ukłonem.

– Obawiam się, że zmienisz zdanie, gdy usłyszysz, z czym przychodzę.

– W takim razie może usiądźmy, a ja zadzwonię po kawę.

Carson machnął niecierpliwie ręką, a wielki rubin w jego sygnecie rozblęsnął światłem padającym z kominka.

– Nie kłopotz się, ale usiądź, proszę. Ja wolę stać.

Zdziwiony Silas usiadł w jednym z cennych foteli hepple-whites matki. Gorączkowo się zastanawiał, z jakiego to powodu Carson Wyndham stoi teraz w jego salonie – czy raczej salonie Morrisa – rankiem tego samego dnia, gdy wieczorem miało się odbyć świąteczne

przyjęcie w Willowshire. Nic nie przychodziło mu do głowy, ale jednego mógł być pewien. Mężczyzna nie przyszedł udzielić mu pożyczki.

Szybko jednak się okazało, że jego niezachwiana pewność była bezpodstawna. Carson, stojąc przed nim w nieznoszącej sprzeciwu pozie, na szeroko rozstawionych nogach, z rękami splecionymi z tyłu, spojrzał na niego z góry i zapytał:

– Co byś powiedział, gdybym zgodził się udzielić ci pożyczki, pokryć wszystkie koszty wyprawy do Teksasu, dać ci dość pieniędzy na założenie plantacji i budowę rezydencji i dorzucił jeszcze pięćdziesięciu niewolników?

Silas gapił się na Carsona, jakby nagle podpadały guziki od jego eleganckiej kamizelki.

– Uznałbym, że śnię albo że jest pan w szponach jakiegoś koszmaru – odezwał się, gdy pierwszy szok minął.

– Nie śnisz, a ja jestem przytomny jak sowa o północy.

– Proszę mi wybaczyć – rzekł Silas – ale niczego nie pojmuję.

– Do czego byłbyś zdolny się posunąć, żeby dostać to, co ci właśnie zaproponowałem?

Silas, choć oszołomiony, zaczynał dostrzegać promyczek nadziei.

– Prawie do wszystkiego – odparł. – Poza morderstwem i napadem na bank.

– Tak właśnie myślałem. – Carson ściągnął usta i przez moment jakby rozważał, czy mówić dalej. W końcu podjął decyzję i głośno wciągnął powietrze przez nos. – Cóż, oto jak się sprawa przedstawia. Wszystko to może być twoje, ale musisz spełnić jeden warunek.

Silasowi zamarło serce. Kusząca propozycja Carsona tańczyła mu przed oczami jak śliwki w cukrze. Zacząć nowe życie z wystarczającą ilością pieniędzy, spełnić wszystko, o czym on i Lettie marzyli... byłby niemal gotów zawrzeć pakt z diabłem, ale nic nie było za darmo – nie w przypadku Carsona Wyndhama.

– Czego pan ode mnie oczekuje? – zapytał.

– Musisz ożenić się z moją córką – odrzekł jego gość.

Rozdział 16

Silas oniemiała wpatrywał się w plantatora.

– Czy dobrze zrozumiałem?

– Jak najbardziej. Tego właśnie chcę – potwierdził Carson. – Chcę, żebyś ożenił się z Jessicą i zabrał ją ze sobą do Teksasu.

– Ale przecież jestem zaręczony!

– Wiem. Musisz wymyślić, jak ominąć tę przeszkodę.

– Ominąć?

– Silasie... – Potężna pierś Wyndhama się uniosła, a wraz z nią jego wykrochmalony żabot. – Daję ci życiową szansę, podobna okazja nigdy ci się nie trafi. Zgódź się, a będziesz żył tak, jak zawsze marzyłeś. Odmówisz i będziesz skazany na życie, jakiego nienawidzisz, a przy okazji znienawidzisz sam siebie. Pannie Sedgewick zrobisz tylko przysługę, pozwalając jej poślubić mężczyznę, którego obsesja nie będzie silniejsza od miłości do niej.

Silas stał przerażony.

– Jest pan pochopny w swoich sądach – oświadczył – a poza tym zapomina pan o miłości panny Sedgewick do mnie.

– Jej ból minie z czasem dzięki nienawiści, którą do ciebie odczuje, kiedy przyjmiesz moją propozycję. Czy miłość jest ważniejsza od decyzji, która zaważy na reszcie twojego życia i jej? Pomyśl o tym.

– Nie mogę zrobić tego, czego pan ode mnie żąda, poza tym jestem przekonany, że pańska córka z równym obrzydzeniem jak ja odniesie się do pana propozycji.

– W tej kwestii Jessica nie ma absolutnie nic do powiedzenia. Zrezygnowała z tego prawa z chwilą, gdy zdradziła mnie i rodzinę.

Silas zaczął rozumieć, co się kryje za tajemniczym odwołaniem świątecznych obchodów w Willowshire. Jessica – ta mała awanturka – musi mieć z tym coś wspólnego. Silas spoglądał na gościa z niesmakiem.

– Cóż takiego uczyniła, jeśli wolno spytać?

Carson przedstawił mu szczegóły zbrodni Jessiki.

– Mój Boże! – wykrzyknął Silas.

– Otóż to – rzekł Carson, na sekundę przymykając ze znużeniem oczy. – Moja córka nie jest ujmująca, możesz mi wierzyć, i małżeństwo

z nią będzie jak trzymanie tygrysa za ogon, są jednak tacy, którzy uznaliby jej temperament za... kuszący.

– Na przykład Jeremy – zauważył Silas cierpko. – Dlaczego jemu nie zaproponuje pan tego małżeństwa?

– Przeszło mi to przez myśl, ale...

Silas wykrzywił usta.

– Jego nie można kupić, czy tak?

– Nie jest człowiekiem w twojej sytuacji.

Silas nie wiedział, co obraża go bardziej. Lub jest bardziej zgodne z prawdą.

– Co czeka Jessicę, jeśli... nie wyda jej pan za mąż? – zapytał wiedziony ciekawością.

Carson odwrócił wzrok, zaciskając usta.

– Takim czy innym sposobem wywozę ją z Karoliny Południowej, zanim jej abolicjonistyczne sympatie staną się powszechnie wiadome. Nie będę trzymał pod swoim dachem zdrajczyni. Uwierz mi, ten inny sposób o wiele mniej przypadnie jej do gustu od tego, co zaproponowałem tobie. – Spojrzał na Silasa, a spojrzenie miał jak ojciec ogłaszający śmierć własnego dziecka. – Proszę cię, Silasie. Ożeń się z moją córką. Wyświadczysz jej tylko przysługę, jestem tego pewien. Może nawet nauczysz się ją kochać, a ona ciebie.

– Wątpię – odparł Silas. – Kocham Lettie. Moje serce należy do niej.

– A moje pieniądze będą należały do ciebie. Przemyśl to sobie i daj mi odpowiedź przed upływem dwóch tygodni. Potem oferta przestanie być aktualna. W inny sposób ujarzmię moją krnąbrną córkę.

Jeremy wyszedł do holu, gdy Carson opuszczał salon, a Silas z ponurą twarzą podążał za nim. Lazarus podbiegł, by podać gościowi szpicrutę i kapelusz, który Carson założył zdecydowanym ruchem.

– Dzień dobry, Jeremy – powiedział, wcześniej jednak Silas wyczytał z jego twarzy, że żałuje, iż to nie Warwickowi mógł złożyć swoją propozycję.

Jeremy w istocie był wspaniałym mężczyzną, swobodniejszym w obyciu i dużo weselszym od tego, którego właśnie przyszedł kupić. Silas zdawał sobie sprawę, że ostatnie wydarzenia mocno nadwątlily

jego poczucie humoru, na równi z jego... obsesją, słabością wykorzystaną przez Carsona.

– Życzę panom i waszym rodzinom wesołych świąt – rzekł Carson, rzucając ostatnie spojrzenie Silasowi. Potem Lazarus odprowadził go do drzwi.

Nie uszło to uwadze Jeremy'ego.

– O co chodziło? – zapytał, gdy Carson wyszedł.

Silas przecesał ręką włosy. Z salonu dobiegł go sopran Lettie, który w jego uszach brzmiał jak muzyka.

– Jeremy – rzekł – są chwile, w których żałuję, że w ogóle się urodziłem.

Od czterech dni Jessica siedziała zamknięta w swoim pokoju. Najwyraźniej nawet matce zakazano się z nią widywać. Miała kontakt jedynie z Lulu. Służąca przynosiła jej posiłki i wieści. Jessica nie mówiła do niej nic. Nie pytała o ciotkę, z którą widziała się tylko podczas krępującej, milczącej podróży powozem z portu w Charlestonie do Willowshire. Nie pytała o Tippy ani o Willie May, nie zadawała pytań o ojca ani o nastrój matki. Chytra służąca przedstawiała jej rodzicom własną interpretację słów i zachowań Jessiki, która w swoim odosobnieniu za jedyne towarzystwo miała własne myśli. Jessica się bała, że nie zniosłaby cierpienia, wiedząc, co ojciec uczynił z Tippy i Willie May. Wiedziała tylko, że w dniach poprzedzających Boże Narodzenie dom, zwykle o tej porze roku tak pełen wesołości i zamieszania, nieustannych odwiedzin, przygotowań do przyjęć, poganiania i besztania służby, rozmów, śmiechu i muzyki, teraz był przerażająco cichy.

Co nie oznaczało, że Jessica się nie martwiła. Czy ojciec kazał Tippy pracować w polu? Czy Willie May także ukarał? Czy jeszcze kiedyś się do niej odezwie? Jaką karę wymyślił dla córki? Bo kara była nieunikniona. Za co? Za przyzwoitość okazaną drugiemu człowiekowi? Siniak pozostawiony przez wściekły uchwyt Michaela, gdy prowadził ją do ojca, dopiero co zbladł, ale Jessica wciąż miała przed oczami zdziwioną minę jej ciotki i matkę z dłonią przyciśniętą do ust i malującym się w oczach pytaniem: „Co tym razem uczyniłaś, dziecko?”.

Stała z wysoko uniesioną głową i zaciśniętą szczęką, podczas gdy Michael relacjonował, jak wraz z Nocnymi Jeźdźcami przyłapał na gorącym uczynku „podłego abolicjonistę, wielbiciela niewolników”, i prosił, by ojciec zgadł, komu drań dawał sygnały.

Ojciec wysłuchał wszystkiego bez mrugnięcia okiem, ale widać było, że z każdą chwilą narasta jego wściekłość, a gdy spoglądał na Jessicę, jego brązowe oczy stały się niemal całkowicie czarne. Na koniec zapytał:

– Czy panna Conklin wsiadła na statek?

– Tak, ojciec – odparł Michael. – Osobiście tego dopilnowałem.

Ostrzegłem ją, że jeśli jeszcze raz pojawi się w tej okolicy, spotka ją coś o wiele gorszego.

– A zbieg? Gdzie jest?

– W stodole, gdzie czeka na twoją decyzję. To tylko chłopiec, głupi jak oni wszyscy. Mówi, że nie wie, do kogo należy, nie zna nazwy plantacji. Myślę, że tam, skąd pochodzi, pracował tylko w polu. Na imię ma Jasper. Wydusiliśmy to z niego, kiedy zobaczył, co zrobiliśmy z Sarą Conklin. Powiedział, że ukrył się w wozie, kiedy Scooter jechał do miasta po koło.

– To znaczy, że nie pomagał mu nikt z Willowshire?

– Twierdzi, że nie. Jestem skłonny mu uwierzyć.

– Skąd wiedział, żeby iść do Sary Conklin?

– Od kogoś, kogo spotkał w polu – pewnie jakiegoś agenta – i kto rozповідаł, że w domu koło cmentarza w Willow Grove mieszka kobieta, która pomaga zbiegom. Tam postanowił uciec.

– Czy ten agent to ktoś, kogo znamy?

– W zasadzie nie. Jest z Północy i w zeszłym roku zatrudnił się jako urzędnik w sklepie z paszą w Willow Grove. Oddaliśmy go w ręce szeryfa.

– I ten... pracownik sklepu spiskował z panną Conklin, by pomóc chłopcu w ucieczce?

– Tak jest.

– A ty im pomagałaś? – spytał Carson Jessicę i wstał zza biurka, żeby spojrzeć jej prosto w oczy.

– Tak – odpowiedziała, dumnie odwzajemniając spojrzenie,

choć w środku skręcała się ze strachu. W zimnych, ciemnych jak studnia oczach ojca nie widziała błysku miłości.

– Nie zapytam, co masz do powiedzenia na swoją obronę. Nie chcę tego słyszeć. I nie chcę cię widzieć. Idź do swojego pokoju i zostań tam, dopóki cię nie wezwę. Jeśli choćby wystawisz głowę za próg, spotka cię surowa kara, rozumiesz, Jessico Ann?

Nigdy nie zwracał się do niej obydwojma imionami. Nagle zrozumiała, poczuła ostre jak stal ukłucie w żołądku. Przypomniała sobie jęk Sary, gdy się chełpiła, że w sprawach dotyczących córki jej ojciec głośniej szczeka, niż gryzie. Sarah zareagowała w ten sposób nie z powodu bólu, lecz ponieważ Jessica w ogóle nie знаła Carsona Wyndhama. Z przerażeniem przypomniała sobie o Tippy. Ojciec ukarze jej służącą za jej nieposłuszeństwo. Nie obchodziło go, czy córka mu wybaczy ani czy jej miłość do niego zamieni się w nienawiść.

Złożyła błagalnie ręce.

– Papo, błagam cię. Proszę cię, zaklinam, nie karz Tippy za to, co ja zrobiłam.

– Michaelu, zaprowadź siostrę do jej pokoju.

– Proszę, papo...

– Odejdź!

Jej matka, ciotka, Willie May i kilkoro innych służących przyglądało się z wybałuszonymi oczami, w przerażeniu, jak Michael prowadzi ją po schodach niczym żołnierz wiodący skazańca na gilotynę. Ostatnie słowa, jakie do niej wypowiedział przed odejściem, brzmiały:

– I pomyśleć, że kiedyś cię uwielbiałem.

Ostre pukanie do drzwi, którego tak się lękała, ale na które też czekała, przywołało ją do rzeczywistości. Otworzyła je i ujrzała Lulu szczerzącą zęby w złośliwym uśmiechu.

– Pan wzywa panienkę – powiedziała.

Rozdział 17

Silas nie mógł spać ani jeść. O świcie jeździł do upadłego konno, w nocy długo spacerował. W ciszy i mrozie, gdy cała Aleja Plantatorów pogrążona była we śnie, on rozmyślał, zamartwiał się, modlił, szukając rozwiązania. Z dwóch tygodni, które miał na podjęcie decyzji, zostały jeszcze cztery dni, a on był równie od tego daleki jak w dniu, w którym Carson Wyndham przedstawił mu rozwiązanie problemów i jego, i swoich.

Matka szalała z niepokoju o niego.

– Cassandra upiekła twój ulubiony placek, Silasie. Czemu nie jesz? Narzeczona była blada ze zmartwienia.

– Wiem, że coś ogromnie cię dręczy, ukochany. O co chodzi?

Proszę, powiedz mi.

Jeremy, który znał go lepiej niż rodzony brat, też do nich dołączył:

– Coś zżera twoją duszę, przyjacielu. Wysłucham cię, jeśli zechcesz mi się zwierzyć.

A jego brat – tępy, nieczuły, pozbawiony zmysłu spostrzegawczości – zauważył:

– Silasie, cokolwiek się dzieje, zaczęło się w chwili, gdy Carson Wyndham wyszedł z naszego salonu. Co takiego zrobił? Zaproponował ci rękę swojej córki?

Morris śmiał się ze swojego dowcipu, ale Silas odwrócił się z kamienną twarzą, by brat nie wyczytał z jego oczu prawdy.

Wozy wciąż czekały na kupców na polu obok stodoły; teraz było ich już o dwa więcej. Ostatni chętni do ich wynajęcia również się wycofali, na wieść o czym Jeremy przysłał mu wiadomość, że chyba się domyśla, co jest źródłem dręczącego Silasa problemu, i chciałby się spotkać, by o tym porozmawiać. Czekał w salonie w Queenscrown, gdy Silas, uporawszy się z obowiązkami, które na nim spoczywały w związku z zarządzaniem plantacją, dołączył do niego przy kominku. Do świąt zostały dwa dni, po całym domu rozchodziły się wonie gotowanych potraw i zapach jedliny. Jak dotąd, licząc na cud, Silas nie powiedział Jeremy'emu, że być może nie wyruszy wraz z nim do Teksasu.

– Chyba już wiem, co cię martwi, Silasie – odezwał się Jeremy. – Chodzi o pieniądze, prawda? Nie masz za co wyruszyć w podróż.

Zrozpaczony Silas przeczesał dłonią gęste czarne włosy.

– Niestety tak – przyznał. – Nie mówiłem ci, bo wierzyłem, że uda mi się zaciągnąć pożyczkę, a kiedy wynajmę i sprzedam wozy, zdobędę pieniądze na początek, Niestety ani jedno, ani drugie mi się nie udało. Nie mogę zabrać Lettie do Teksasu, nie mając grosza przy duszy.

Jeremy, zaniepokojony, nachylił się ku niemu.

– Nie chcę nawet myśleć, że mógłbym pojechać do Teksasu bez ciebie, Silasie. To marzenie, które pielęnowaliśmy od lat! Wszystko zaplanowaliśmy. Odłóż na bok dumę i pozwól, by moja rodzina pożyczyla ci pieniądze.

– Nie, Jeremy – Silas zdecydowanie pokręcił głową. – Dziękuję ci za propozycję, ale pod żadnym pozorem nie mogę jej przyjąć. Nie wolno niczego zaczynać z przyjacielem, mając u niego dług. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Czy gdyby sytuacja była odwrotna, przyjąłbyś moją pomoc?

Jeremy odwrócił wzrok ku ogniewi.

– Nie, zapewne nie. Oddałbym za ciebie życie, tak samo jak ty za mnie, ale Boże uchroni, byśmy byli sobie nawzajem winni pieniądze. To... niepisana umowa, jaką Warwickowie i Toliverowie zawarli jeszcze w Anglii, gdy zakończyła się Wojna Dwóch Róż, kiedy to Lancasterowie i Yorkowie zgodzili się dzielić klucze do królestwa pod warunkiem, że nie będą sięgać nawzajem do swoich kufrów.

– To nasze dziedzictwo, Jeremy. Nie możemy być wzajemnymi wierzycielami ani dłużnikami.

Jeremy spojrział na niego zmartwiony.

– Co w takim razie zamierzasz? Jest choć cień nadziei?

Podejrzewam, że Carson Wyndham ci odmówił i dlatego, gdy kilka tygodni temu przyszedł z tobą porozmawiać, wyglądałeś, jakbyś usłyszał wyrok śmierci.

– W gruncie rzeczy tak się właśnie stało – odparł Silas i wstał, by podejść do jednego z wysokich okien salonu. W ostatnich dniach nie mógł usiedzieć ani stać w jednym miejscu, nie mógł nawet dłużej leżeć. Nie pozwalały mu na to napięte jak postronki nerwy. Czy odważy się

wyznać Jeremy'emu, z czym przyszedł do niego Carson Wyndham? Co Jeremy pomyśli o przyjacielu na wieść, że ten miał choć cień wątpliwości? Obaj nawzajem nadzwyczaj cenili swoje charaktery i uczciwość. Bywało, że w pewnych sprawach mieli różne poglądy, ale nigdy się nie kłócili, nawet kiedy podejmowali się czegoś, co łatwo mogło doprowadzić do nieporozumienia. Jako chłopcy budowali razem kanu, tratwy, domki na drzewach, obmyślali, jak zarobić pieniądze na własne potrzeby; planowali wycieczki, polowania, wyprawy na ryby. Jako mężczyźni zainwestowali po równo w hodowlę i tresurę wyścigowego konia, podobali się tym samym dziewczętom i jako dwuosobowy komitet decydowali wspólnie o wszystkim, poczynając od tego, jak najlepiej usunąć z drogi drzewo, a kończąc na budowie mostu, z którego miały korzystać obie plantacje.

„Niech Silas i Jeremy zdecydują, jak się z tym uporać”, zarządzali ich obaj ojcowie, a teraz Morris, gdy w grę wchodziły interesy obydwu posiadłości, również cedował wszystko na „chłopców”.

Jeżeli jednak Silas przyjmie propozycję Carsona, czy Jeremy będzie w ogóle chciał, by towarzyszył mu do Teksasu? Czy zechce, aby wraz z nim dowodził taborem człowiek, który zdradził ukochaną, by spełnić marzenie, które od tak dawna dzielili? Gdyby przystał na warunki Carsona, czy Jeremy zrozumiałby, że Silas postąpił tak, jak uważał za słuszne dla wszystkich?

– To znaczy, że nie ma już nadziei? – Jeremy powtórzył swoje pytanie z żalem i smutkiem. – Próbowałeś wszystkiego?

Silas wyglądał przez okno. Płomienie z kominka tańczyły wokół jego odbicia w szybie, nadając mu wygląd zgoła piekielny. Gwałtownie obrócił się w stronę stolika z napojami.

– Jest jedno wyjście – powiedział, zdejmując korek z karafki z whiskey. Była dopiero czwarta po południu i Jeremy uniósł lekko brew.

– A mianowicie? – zapytał i pokręcił przecząco głową na znak, że nie napije się razem z Silasem.

Silas nalał sobie szklaneczkę i usiadł przed kominkiem

– Miałaś rację co do Sary Conklin – powiedział. – Rzeczywiście coś ukrywała. Michael Wyndham odkrył, że była konduktorem Kolei

Podziemnej. Została odesłana z zakazem powrotu na swoje stanowisko nauczycielki. Lettie jeszcze o niczym nie wie.

– Wielkie nieba! – wykrzyknął Jeremy. – Jak Michael się dowiedział?

Silas wszystko mu wyjaśnił. Podejrzewał, że Carson zataił przed nim pewne niesmaczne szczegóły.

– Biedaczka – rzekł Jeremy. – Mam nadzieję, że Michael i jego ludzie nie obeszlą się z nią zbyt okrutnie.

– Carson nic na ten temat nie mówił.

– Czy Jessica wie?

Silas podniósł szklanekę do ust.

– Wie. Brała w tym udział.

Jeremy wyprostował się na krześle.

– Co takiego?!

Silas dokończył opowieść o udziale Jessiki.

– Ojciec bardzo się na nią rozgniewał. Tak bardzo, że nie chce jej więcej widzieć. W tej właśnie sprawie przyszedł wtedy do mnie. Prosił mnie o pomoc.

– Ciebie? Jak ty możesz mu pomóc?

– Chce, żebym poślubił jego córkę i wywiózł ją do Teksasu.

Jeremy zamarł porażony i Silas sobie przypomniał, że wyglądał dokładnie tak samo, kiedy przed wielu, wielu laty obaj wędkowali naprzeciwko siebie po dwóch stronach jeziora. Z drugiego brzegu Jeremy patrzył na niego z tym samym skamieniałym wyrazem twarzy i już po chwili Silas się zorientował, co przykuło uwagę przyjaciela. Nad strumień przyszedł niedźwiedź w poszukiwaniu ryb, tak skupiony na swoim zadaniu, że nie dostrzegł Silasa. Udręczone spojrzenie Jeremy'ego dowodziło, że ma do wyboru dwa wyjścia: albo wspiąć się na cyprys, gdzie będzie bezpieczny, ale uwięziony, albo zaryzykować i rzucić się do ucieczki. Silas zaryzykował i uciekł w las, gdzie niedźwiedź nie mógł go dosięgnąć. W tej chwili znalazł się w podobnej sytuacji. Albo zostanie, bezpieczny, lecz uwięziony, lub wybierze wolność, narażając się na wielką stratę. Tamtego dnia nad jeziorem Jeremy go nie opuścił. Czy teraz też przy nim wytrwa, jeżeli Silas przyjmie propozycję Carsona?

– Jestem wstrząśnięty – stwierdził po prostu przyjaciel.

– Widzę. Co teraz powiesz na whiskey?

Kiedy Silas nalewał drinka, Jeremy zwrócił się do niego.

– Co mu powiedziałaś?

Silas był wdzięczny przyjacielowi, że nie powiedział tego, co każdy inny na jego miejscu by uczynił: „Rzecz jasna, odmówiłeś mu”.

– Powiedziałem, że się zastanowię – odparł Silas. – I mówię ci teraz, bez względu na to, co o mnie pomyślisz, że rozważam to. Carson Wyndham pokazał mi wyjście, o które pytałeś.

Rozdział 18

Jeremy Warwick zwolnił swojego białego ogiera do stępa i skręcił w aleję wysadzaną drzewami, z których zwisały pędy hiszpańskiego mchu. Aleja prowadziła do przypominającej Partenon rezydencji, jego rodzinnego domu. Wybudowany z białej gipsowej cegły dwór w Meadowlands wyglądał jak pałac, wysoki na dwa i pół piętra, okolony szeroką podwójną galerią wspartą na monumentalnych kolumnach sięgających dachu. Niczym piękny klejnot, nawet w zapadającym mroku lśnił pośród bujnych ogrodów i trawników opadających ku polom bawełny, tak rozległym, że wzrok ludzki nie sięgał ich kresu. Urodzony w przepychu Meadowlands uważał go za coś oczywistego i aż do dzisiaj nigdy się nie zastanawiał nad wspaniałością i ogromem rodzinnego domu i włości. Queenscrown była równie wspaniała. Jeremy jechał powoli, inaczej niż zwykle przyglądając się rezydencji Warwicków i otaczającym ją niezmiernym polom. Zastanawiał się, na co porwałby się człowiek – co by poświęcił, zaryzykował, utracił – by wszystko to nazwać swoją własnością.

„Tego wszystkiego” Silas pragnął, dla tego się urodził, wierzył, że aby przetrwać jako mężczyzna, musi to posiadać. Gdyby Morris umarł jutro i zostawił Queenscrown bratu, Silas stałby się szczęśliwym, spełnionym człowiekiem. Gdyby podobny los spotkał ojca i rodzeństwo Jeremy’ego – Boże uchroni – i on, Jeremy, miał odziedziczyć Meadowlands, byłby nieszczęśliwy. Planował wyruszyć z innych powodów od tych, którymi kierował się Silas. Pragnął sam decydować o źródle swojego utrzymania, ale w świeżym, nowym, tętniącym życiem otoczeniu. Jeremy znał się wyłącznie na rolnictwie, ale chętnie spróbuje nowych możliwości i wyzwania w ziemi obiecanej, którą miał być Teksas. System plantatorski Karoliny Południowej – jego obyczaje, tradycje, uprzedzenia – uważał za restrykcyjny i równie wyjąłowy, jak któregoś dnia stanie się ziemia. Jessica Wyndham musiała myśleć podobnie.

Ale rozumiał obsesyjną potrzebę Silasa, by posiadać „to wszystko”. Był człowiekiem ziemi – przede wszystkim ziemi rodzącej bawełnę – i był Toliverem, urodzonym, by posiadać, rządzić,

przewodząc, nie podążać za kimś. W żyłach Silasa płynęła krew przodków, czy tego chciał czy nie, i nie mógł zmienić zdania o przypisanej sobie roli, tak samo jak nie mógł zmienić koloru swoich oczu.

Jeremy ogromnie mu współczuł. Żaden marynarz na świecie nie zamieniłby piętnastometrowych fal na dylemat, przed którym stał Silas. Znalazł się między lwem a tygrysem. I jeden, i drugi pożą go żywcem. Jeśli zostanie w Queenscrown z ukochaną kobietą, bez wątpienia wypali się emocjonalnie. Jeśli pojedzie do Teksasu, cała ziemia i bawełna tego świata nie wynagrodzi mu tragedii życia z kobietą, której nie kochał.

Czy Silas poświęci miłość, by uratować życie? Czy zostawi Lettie, pogrążoną w rozpacz, upokorzoną i niepocieszoną? Dla Joshui to będzie niewyobrażalny cios. Chłopczyk już uważał Lettie za swoją mamę, a Elizabeth ukochała ją jak córkę. Jeśli Silas ją porzuci, by ożenić się z Jessicą, opuści Karolinę Południową jako człowiek zhańbiony. Nigdy nie będzie mógł wrócić do domu.

A Jessica Wyndham? Po pięknej Lettie Sedgewick która inna dziewczyna miała szansę zdobyć serce Silasa – oczywiście pod warunkiem, że miałyby taki zamiar? Zdziorność Jessiki, której był świadkiem – nie znając jeszcze jej stosunku do niewolnictwa – mogła sprawić, że już pierwszy pocałunek zrodzi między nią a Silasem nienawiść.

Jeremy pokręcił głową ze współczuciem dla przyjaciela i ponaglił ogiera. Szkoda, że nie szuka żony. Odkąd miał dwadzieścia jeden lat, kiedy to jego ukochana umarła na tyfus, żadna kobieta nie zaintrygowała go na równi z Jessicą Wyndham. Gdyby jej ojciec jego poprosił, aby się z nią ożenił, chyba nie musiałby się zbyt długo zastanawiać.

Jessica natknęła się na ciotkę, która właśnie wchodziła po schodach.

- Ciociu Elfie! – wykrzyknęła, gdy padały sobie w objęcia.
- Och, kochane dziecko, to wszystko moja wina – zawołała ciotka.
- Gdybym bliżej przyjrzała się temu, co robisz w Bostonie...

Jessica się odsunęła, by spojrzeć na ciotkę.

– To nie twoja wina, ciociu Elfie. Już kiedy wyjeżdżałam, miałam swoje przekonania. W szkole tylko w pełni doszły do głosu. Czy...

wiesz może, jaki mnie czeka los?

– Nie, kochaniutka. Twój ojciec mi się nie zwierza, ale twoja matka jest bardzo zmartwiona.

Lulu przystanęła u stóp schodów.

– Pan czeka, panienko – powiedziała, spoglądając na Jessicę z przyganą.

– Z pewnością nie na ciebie – fuknęła Jessica. – Wracaj do swoich obowiązków.

– Ale mam panienkę do niego zaprowadzić.

– Znam drogę do gabinetu ojca. Odejdź. – Jessica zaczęła, aż służąca znikła, i zwróciła się do ciotki. – Ciociu Elfie, widziałaś Tippy? Co z nią zrobili?

– Nic jej nie jest, dziecko... na razie. Mieszka z matką i pracuje w szwalni. Chyba szyje twoją suknię druhny. Proszę cię, Jessico, zaklinam, uważaj na to, jak się zachowujesz i co mówisz do ojca.

– Postaram się. – Jessica pocałowała ciotkę w policzek, po czym zbiegła ze schodów, a jej spódnica i włosy frunęły w ślad za nią.

Ponieważ nie potrafiła sama ułożyć sobie włosów, odkąd siedziała zamknięta w swoim pokoju, przez cztery dni nosiła je rozpuszczone. Jej naturalnie kręcone długie kędziory, nieujarzmione ręką Tippy, opadały niesforną falą. Dzisiaj rudą gęstwinę odsunęła z czoła, przytrzymując je opaską. Ubierała się w pośpiechu i zbyt późno, by zmienić suknię, dostrzegła z przodu dużą, wyraźną plamę. Nie dała też rady samodzielnie zasnurować gorsetu. Ale i tak była wąska w talii, ponieważ spędzając czas w odosobnieniu, jadła niewiele, ojciec jednak potrafił takie rzeczy zauważyć. Czy jej wygląd rozgniewa go jeszcze bardziej, czy też zmiękczy?

Stał przy ogromnym kominku i paląc fajkę na długim cybuchu, wpatrywał się w ogień, jakby w nim szukał podpowiedzi, co powinien uczynić ze swoją córką. Matka siedziała w fotelu, smutna i zagubiona, i na jej widok Jessice ścisnęło się serce. Cierpiała z powodu bólu, który nieustannie jej sprawiała. Gdy weszła do pokoju, matka się poruszyła, jakby zamierzając wstać, ojciec jednak łagodnie położył jej dłoń na ramieniu, a ona zanurzyła się powtórnie w jedwabnych fałdach spódnicy.

Carson podszedł do biurka i odłożył fajkę na podstawkę. Jessica

uznała to za zły znak. Gdy palił fajkę, był w łagodniejszym nastroju.

– Jessico – odezwał się – przyniosłaś swojej rodzinie wstyd, nie tylko tej najbliższej. Zhańbiłaś też całą naszą społeczność, ludzi, którzy ufali twoim rodzicom i bratu, brali z nas przykład. Najwyraźniej nie zgadzasz się z wartościami, które my, Wyndhamowie, wyznajemy, wobec tego proponuję ci dwa wyjścia, byś mogła w pełni wykorzystać swoje abolicjonistyczne przekonania i potrzebę działania. Oczywiście w zależności od tego, czy będą one tolerowane.

Głosem słabym z rozpaczy odezwała się Eunice:

– Och, Carsonie, to naprawdę konieczne? Czy nie możesz dać jej jeszcze jednej szansy?

– Nie, już to uzgodniliśmy – upomniał ją Carson łagodnie, a jego głos również utracił nieco ze swej mocy. – Nasza córka nie może zostać z nami. Dopuściła się zdrady nie tylko wobec rodziny, ale również swojego dziedzictwa, wszystkich tych, którzy byli przed nami i wszystkich mieszkańców Południa, którzy popierają nasz styl życia i dzielą go z nami. Chyba że – kontynuował, wciąż zwracając się do żony, lecz nie odrywając surowego wzroku od córki – przeprosi rodzinę i przyzna się do błędów przed wszystkimi, których tak głęboko obraziła. Jestem przekonany, że zrozumieją jej chwilowe i błędne zauroczenie panną Conklin.

– Czy to znaczy, że mam przeprosić Michaela i Nocnych Jeźdźców? – zapytała Jessica, czując, jak paraliżujący ją strach przemienia się w płomiennie oburzenie.

– Właśnie tak.

– Nigdy – rzekła Jessica.

Matka przycisnęła palce do czoła.

– Och, Jessie, kochanie...

Jessica odwzajemniała twarde spojrzenie ojca.

– Jaką karę dla mnie obmyśliłeś, papo? Między czym mam wybierać? Spaleniem na stosie czy obdzieraniem żywcem ze skóry?

Carson obrócił się do niej tyłem, dając w ten sposób do zrozumienia, że ma już dość. Jessica wyczytała to ze sposobu, w jaki wyprostował plecy, wysunął krzesło spod biurka, skupił się na rozłożonych przed sobą dokumentach, dając znak, że dyskusja dobiegła

końca. Może już nigdy nie spojrzy jej w oczy. Przestała dla niego istnieć. Kiedy się odezwał, nie patrzył na nią.

– Być może pamiętasz, jaka kara spotkała starszą siostrę twojej matki, kiedy zhańbiła rodzinę w Bostonie...

Zimne jak stal przerażenie ścisnęło serce Jessiki. Ta historia w rodzinie jej matki krążyła jako legenda. Najstarsza siostra potajemnie związała się z chłopcem, którego jej ojciec nie aprobował, za co została wysłana do klasztoru karmelitanek w Wielkiej Brytanii, jednego z najsurowszych zakonów w Kościele katolickim. Jessica słyszała, jak matka i ciocia Elfie rozpaczały nad warunkami, w których przyszło żyć ich siostrze. „Osadzone”, jak nazywały zakonnice, mogły rozmawiać tylko przez dwie godziny dziennie i nie wolno im było kontaktować się ze światem zewnętrznym. Mieszkały w surowych celach i ślubowały ubóstwo i ciężką pracę, nieustannie się modliły, żywiły wyłącznie warzywami i pościły od Podwyższenia Krzyża Świętego we wrześniu aż do Wielkanocy. Siostry nie widziały jej, odkąd opuściła dom.

– Nie zrobisz tego – odezwała się Jessica, u matki szukając ratunku przed spełnieniem groźby.

Eunice, walcząc ze łzami, skinęła potwierdzająco głową.

– Zrobię – odparł Carson. – Jak tylko wszystko załatwię. – Podniósł pióro, by złożyć podpis na dokumencie. – W Darlington, mieście targowym w północno-wschodniej Anglii, znajduje się klasztor karmelitanek. Być może spotkasz tam swoją ciotkę. Według moich obliczeń powinna mieć jakieś... sześćdziesiąt lat. – Odwrócił dokument i złożył podpis na następnym wymagającym jego uwagi. – Albo... – dodał nonszalancko – możesz wyjść za Silasa Tolivera i zamieszkać z nim w Teksasie. Wybieraj.

Jessica się zachwiała, bo nagle zakręciło jej się w głowie. Czy jej ojciec oszalał? Silas Toliver był zaręczony z Lettie. Mieli się pobrać za niecałe sześć tygodni. Czy zapomniał, że jego córka będzie druzną panny młodej? Tippy szła już dla niej suknię. Znowu zerknęła na matkę, która z zamkniętymi oczami zagryzała wargi, jakby w cichej, żarliwej modlitwie, następnie przeniosła wzrok na obojętnego ojca, zajętego dokumentami.

– Silas Toliver jest zaręczony – powiedziała. – A może o tym

zapomniałeś? Jak możesz mu mnie proponować? Pod warunkiem, oczywiście, że byłby zainteresowany?

– Za cenę, jaką mu proponuję, zerwie swoje zaręczyny – odparł Carson – i uwierz mi, będzie bardzo zainteresowany. Zostało mu jeszcze dziesięć dni na wyrażenie zgody. Nie mam wątpliwości, jakiej odpowiedzi mi udzieli.

– Boże, papo! Coś ty zrobił?

Matka wstała, szeleszcząc jedwabną suknią.

– Silas to dobry człowiek, Jessie – odezwała się błagalnym tonem. – Zatrączy się o ciebie. Ojciec dopilnuje, by niczego ci nie brakowało. Jeśli wyjedziesz do tego straszego miejsca w Anglii, już nigdy cię nie ujrzymy.

– Ale Silas jest zaręczony!

– To się da łatwo zmienić – powiedział Carson.

Zacząła pojmować potworność manipulacji jej ojca, do czego się posunął, by osiągnąć swój cel.

– A co z Lettie? Jeżeli Silas się z nią nie ożeni, będzie zrozpaczona!

– Tragiczne skutki twojej głupoty i desperacji Silasa. Dojdzie do siebie.

– Nie zgadzam się ani na jedno, ani na drugie – oznajmiła Jessica. – Prędzej ucieknę, zamieszkam z ciotką Elfie w Bostonie.

– Nie, moja droga córko, nie uczynisz tego, bo inaczej sprzedam Tippy i jej matkę, oddzielnie. Uwierz mi, zrobię to. Nie możesz mieszkać w Bostonie, gdzie nadal będziesz szkodzić naszej rodzinie i Południu.

Eunice jęknęła cicho i zasłoniła rękami uszy – ze wstydu, jak domyśliła się Jessica.

– Papo, myślałam, że mnie kochasz – odezwała się cicho.

Spojrzał na nią, tak naprawdę po raz pierwszy, odkąd weszła.

– Kocham, moja droga, bardziej niż przypuszczasz, bardziej, niż możesz wywnioskować z moich poczynań, i na tym właśnie polega tragedia. A teraz idź do swojego pokoju i zastanów się. Matka przyśle Tippy, żeby doprowadziła cię do porządku; wyglądasz okropnie. Musimy się postarać, by ostatnie wspólne święta w naszej rodzinie

wypadły jak najlepiej.

Rozdział 19

W dniach, które dostał na podjęcie decyzji, Silas obserwował życie w Queenscrown oczami obserwatora z zewnątrz, bez żadnych uprzedzeń. Jego największa siła leżała w gotowości – odwadze – by patrzeć prawdzie w oczy, postrzegać ją taką, jaka była w rzeczywistości, a nie taką, jaką pragnął ją widzieć. Nie dał się zwieść nadziei, że z czasem i w sprzyjających okolicznościach któregoś dnia wszystko się zmieni. Można zmarnować całe życie, czekając na uśmiech losu. Zastanawiając się nad podjęciem decyzji, Silas ważył wszystko, z czym miał do czynienia obecnie, przewidywał możliwe zmiany i określał kierunek, który powinien obrać.

Dlatego też bezstronnie obserwował ludzi i warunki, w jakich przyjdzie mu spędzić resztę życia, jeżeli zostanie w Queenscrown i będzie pracował jako zarządca u swojego brata. Wiedział, że Lettie jako żona bez słowa skargi zgodzi się na wszystko. Zapewne dalej będzie uczyć, skoro Sarah Conklin już nie wróci – on o tym wiedział, Lettie jeszcze nie. Dzięki swojej skromnej pensji i jego dochodom od czasu do czasu sprawi sobie nową suknię, może pojedzie w weekend do Charlestonu na sztukę w Grand Theater. Nigdy nie będzie panią Queenscrown. Jego matka rządziła domem niepodzielnie i choć wyjątkowo przypadły sobie do gustu, ich rola w prowadzeniu domu, wychowywaniu Joshui i pełnieniu obowiązków towarzyskich będzie zasadniczo się różnić. Uczucie, które łączyło go z Lettie, z czasem w sposób nieunikniony się wypali, a nawet najmniejsze spięcie między dwoma kobietami pod jednym dachem unieszczęśliwi wszystkich domowników. A jeżeli Morris się ożeni? Wówczas Lettie znajdzie się na trzecim miejscu, za jego matką i nową panią Queenscrown. Dzieci Morrisa będą pierwsze w kolejce do spadku po Morrisie. Joshua i jego przyszłe rodzeństwo na zawsze już zostaną dziećmi krewnego na garnuszku. Silas mógłby zająć kwaterę obecnego głównego nadzorcy, ale czy Toliver, potomek arystokratów z Queenscrown, zniósłby mieszkanie w chłopskiej chacie ?

Silas czuł, że sposób, w jaki Morris prowadził plantację, przyprawia go o coraz większą rozpacz. Dla jego brata zima była porą

odpoczynku, ale gdy rok dobiegał końca, trzeba było sporo się napracować, by plantacja funkcjonowała jak należy. Sprzęt gospodarski i uprząże wymagały naprawy, płoty i budynki remontów, silosy i magazyny uprzątnięcia, ogrody przekopania, pola zaorania i nawiezienia... Silasa jako zarządcę czekała niekończąca się lista obowiązków, Morris jednak, kierując się Księgą Koheleta, utwierdzał się w przekonaniu, że wszystko ma swój czas i zimę uważał za okres odpoczynku i radowania się narodzinami Chrystusa.

– Zebraliśmy plony, Silasie. Radujmy się i cieszymy owocami naszej pracy.

Silas przewidywał, że pobłażliwość brata wobec niewolników i nadzorców, a także opieszałość w pracach koniecznych przed nadejściem nowego roku, z czasem doprowadzą go do szaleństwa.

Lettie jak zwykle dostrzegała jasne strony ponurej sytuacji i łagodziła jego niezadowolenie.

– Kochanie, przynajmniej przez kolejny rok będziemy mieli dach nad głową, zasiadali przy najlepszych stołach w Alei Plantatorów i niewiele wydawali. Zaoszczędzimy, zarobimy na sprzedaży wozów i wyruszymy do Teksasu w marcu za dwa lata.

Po rozważeniu wszystkiego Silas postanowił trzymać się tej gwiazdy na wschodzie i kierować się jej światłem. Argumenty Lettie, identyczne jak Morrisa, miały sens. Wojny i niepokoje na nowych terytoriach nie zatrzymają marszu na zachód. Sprzeda wozy, był tego pewien, a opóźnienie miało też swoje dobre strony. Po pierwsze – zyska czas, by zwrócić się do wojska z propozycją sprzedaży wozów, po drugie – wiele przemawiało za tym, że do czasu ich przyjazdu walki w Teksasie ustaną. Chociaż ciężko mu było na myśl, że Jeremy wyruszy do ziemi obiecanej bez niego, to przecież pozna czekające ich przeszkody i dzięki temu oni opuszczą Karolinę Południową lepiej przygotowani. Tymczasem on, mając u swego boku i w swoim łóżu Lettie, jakoś przetrwa ten nieszczęsny rok.

Wieczorem w Boże Narodzenie wiedział już, że zostanie w Queenscrown, i nie mógł pojąć, że nawet przez chwilę rozważał przyjęcie propozycji Carsona Wyndhama. Jak mógł być tak samolubny, by pozbawiać Joshuę macierzyńskiej miłości kobiety, która już uważała

go za własnego syna? Kiedy widział ich teraz razem (to do niej jego synek pobiegł pochwalić się prezentami, nie do ojca), żałował, że przyznał się Jeremy'emu do zniewagi, której doznał od Wyndhama, zamiast zatrzymać to dla siebie. Czuł palący go do szpiku kości wstyd. Jak Carson Wyndham śmiał przypuszczać, że Silasa Tolivera można kupić? Nie zniży się, by udzielić mu odpowiedzi.

Nieco uspokojony, Silas postanowił cieszyć się świątecznym okresem. Między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem niezliczone przyjęcia, wiele z okazji nadchodzącego ślubu, zostawiały mu mało czasu na marzenia i rozpamiętywanie zmian w przyszłorocznych planach. Wyndhamowie – z powodów znanych tylko nielicznym, lecz będących przedmiotem spekulacji wszystkich – zamknęli swoją rezydencję dla gości, ale trwały nieustające wizyty w pozostałych posiadłościach przy Alei Plantatorów, a ich gospodarze na zmianę urządzali smażenie ryb, przetaczanie bali, tańce w stodole i obieranie kukurydzy, w czym brali również udział ich niewolnicy.

Silas nie mógł się doczekać dnia, w którym on sam będzie urządzał podobne imprezy jako pan na swojej plantacji Somerset w Teksasie.

Pierwsze arktyczne zimno, które nastąpiło drugiej nocy nowego 1836 roku, położyło kres pięknej pogodzie i świątecznemu nastrojowi. Nagły przymrozek nie przedarł się przez cienkie ściany chat w wiosce niewolników w Queenscrown, noc też nie była szczególnie ciemna. Nadzorcę obudził nagle dziwny blask tańczący na ścianie jego sypialni. Mężczyzna skoczył do okna i otworzył okiennice, przez które sączyło się światło.

– O mój Boże! – wrzasnął, wrywając ze snu żonę.

Na polu obok jednej ze stodół słupy ognistego dymu wzbijały się ku zimnemu, czarnemu niebu. Białe maszty flotyli wozów stały w ogniu.

W bibliotece w Willowshire Carson Wyndham siedział przed migoczącym łagodnie ogniem w kominku. Przed chłodem chronił go smoking, a on sam, pykając fajkę, wpatrywał się zamyślony w płomień. Gość, na którego czekał, zjawił się spóźniony o piętnaście minut, cicho podchodząc do wielkich drzwi biblioteki, by nie zakłócić spokoju domowników i nie zaalarmować niczyich uszu.

Carson spojrział na mężczyznę, który ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

– Załatwione? – zapytał.

– Załatwione, papo.

– Na pewno nikt cię nie widział, nikt się w pobliżu nie kręcił?

– Na pewno.

– Musimy zapewnić twojej siostrze dobrobyt i jeśli to możliwe, szczęście, chociaż jest przekonana, że mamy na celu coś wręcz przeciwnego.

Michael Wyndham usiadł przy ogniu i ze znużeniem wyciągnął nogi.

– Jesteś pewny, że Jessica wybierze małżeństwo z Silasem Toliverem?

– Biorąc pod uwagę drugą możliwość, nie mam wątpliwości.

Musimy ją stąd wywieźć, zanim spotka ją ten sam los co pannę Conklin. Wyndhamowie mogą nie dopuścić, by przebrały wody jeziora, ale rzeki nie powstrzymają.

– Myślisz, że Silas Toliver zdoła ją uszczęśliwić?

– Na tyle, na ile mężczyzna może uszczęśliwić swoją siostrę. Silas to niezwykle przystojny młodzieniec. Jaka kobieta zdoła mu się oprzeć?

– Zastanawiam się, kto poślubi Lettie Sedgewick, gdy Silas zniknie z horyzontu?

– Może ty? Jest bez wątpienia bardzo ładna. Inteligentna, ale na tyle bystra, żeby tego nie okazywać.

Michael pokręcił głową.

– Jak dla mnie jest zbyt pokorna.

– Ach. – Jego ojciec pokiwał głową. – Jak sądzę, Sarah Conklin bardziej ci się podobała?

– Owszem, była ponętna. Szkoda, że wybrała złą stronę. – Zmienił pozycję. – Wiesz, że aż do końca ani razu nie krzyknęła? Wtedy kazałem, żeby przerwali. Chciałem tylko usłyszeć, jak krzyczy.

– Nie zdradziła, kto jest konspiratorem?

– Nie. Dzielna i lojalna kobieta.

– Tak samo jak twoja siostra. Mogła była skłamać i się uratować – rodzinę również – przed tragicznymi skutkami.

Między ojcem i synem zapadło niezręczne milczenie. Carson wyjął cygaro i spojrzał na syna, mrużąc oczy przed dymem.

– Czy chłostanie kobiety sprawiało ci przyjemność, Michaelu?

Michael ściągnął wargi, jakby musiał zastanowić się nad odpowiedzią.

– Myślałem, że tak będzie – odparł w końcu – ale później, mimo przestępstwa, jakiego się dopuściła, było mi... przykro, że musiałem zrobić to, co konieczne.

– To dobrze – rzekł jego ojciec, na powrót wkładając cygaro do ust. – Gdybyś powiedział, że sprawiało ci przyjemność, ciebie też bym się wyrzekł.

Rozdział 20

Śledztwo w sprawie pożaru wozów nie potwierdziło podejrzeń Silasa o podpalenie.

– Iskra z komina w którejś chacie niewolników zaproszyła ogień, panie Toliver – powiedział szeryf hrabstwa.

– Tej nocy nie było wiatru. Jak to możliwe?

– Wystarczy podmuch, by porwać iskrę.

– Na wszystkie dziesięć moich wozów?!

Za całą odpowiedź musiało mu wystarczyć wzruszenie ramion szeryfa.

Dwa dni przed wyznaczonym terminem, który wypadł piątego stycznia, Silas, gotując się z wściekłości, osiodłał swojego wałacha i pogalopował do Willowshire. Kiedy lokaj poinformował pana domu, że przyjechał pan Silas Toliver z Queenscrown, Carson polecił:

– Zaprowadź go do biblioteki. Tam go przyjmę.

– Nie chciał się widzieć z panem. Przyjechał do panienki Jessiki.

Czeka w holu. Czy mam jej powiedzieć o gościu?

Carson był zdumiony. To znaczy, że przed podjęciem decyzji Silas chce najpierw wy badać, czy Jessica zgodzi się zostać jego żoną? Nie przypuszczał, że przyjęcie jego oferty Silas może uzależnić od zgody córki. Mądry i szlachetny ruch. Carson poczuł ogarniającą go panikę. A jeżeli jego radykalna w poglądach córka odrzuci Silasa, właściciela niewolników, i wybierze klasztor? Bóg świadkiem, że była zdolna do tak samobójczego kroku. Jednak nie uczyni tego, dopóki los Tippy i Willie May zależy od jej decyzji.

– Poproś pana Tolivera, żeby zaczekał w salonie, i przyślij do niego moją córkę – polecił.

Jonah skłonił się posłusznie.

– Dobrze, proszę pana.

Silas podniósł się z fotela, gdy Jessica zjawiała się w salonie, zamiatając spódnicą podtrzymywaną przez sztywno wykrochmalone halki. Schudła i miała ciemne kręgi pod oczami, nawet jej piegi nieco zbladły. Wyglądała niezwykle młodo, bardziej jak dziecko, i w porównaniu z piękną i promienną Lettie była nijaka i bezbarwna jak

gotowany budyń. Ból przeszywający go jak dźgnięcie pogrzebaczem sprawił, że miał ochotę rzucić się do ucieczki, lecz tylko skłonił się lekko.

– Panno Wyndham, zapewne zna pani powód mojej wizyty?

– Obawiam się, że tak, panie Toliver – odparła. – Może usiądziemy i zastanowimy się wspólnie?

Silas odrzucił połę swojego fraka i ponownie usiadł w fotelu.

– Doskonale, zrobmy to – rzekł. – Jak rozumiem, między panią i ojcem doszło do nieporozumienia, a ja również znalazłem się pod ścianą. Czy ojciec przedstawił pani moją sytuację?

– Mój ojciec nie ma zwyczaju wyjaśniać. On rozkazuje.

Chciałabym usłyszeć z pańskich ust, dlaczego jest pan gotów porzucić kobietę, którą pan kocha i która kocha pana, by poślubić mnie.

Silas się skrzywił. Ta dziewczyna może i wygląda niedojrzale, ale przemawia jak w pełni siebie świadoma kobieta. Cóż, skoro sobie tego życzy. Przyjechał, by wyłożyć na stół wszystkie karty. Niczego nie zatai, podobnie jak zamierzał zachować się wobec Lettie. Nie oszczędzi tej dziewczynie prawdy o mężczyźnie, z którym być może przyjdzie jej spędzić resztę życia. Niech ona zdecyduje, czy chce wyjść za kogoś, kto jest do kupienia za cenę, którą proponował jej ojciec.

Silas udzielił odpowiedzi na jej pytanie, nie pomijając niczego, swoich ambicji i pogardy dla pozycji zajmowanej w tej chwili w Queenscrown. Dziewczyna patrzyła na niego w milczeniu, wodząc za nim wielkimi, brązowymi oczami, gdy wstał i zaczął krążyć po pokoju, przeczesując dłonią włosy, gestem typowym dla Toliverów w chwili zdenerwowania. Nagle przyszło mu do głowy pytanie – jedno, którego zaprzątnięty chaosem w swoim życiu zapomniał zadać.

– Jaki los panią czeka, panno Wyndham, jeżeli... nie wyjdzie pani za mnie? – zapytał, gdy wyczerpany własnym szczerym wyznaniem usiadł z powrotem w swoim fotelu.

Jessica go oświeciła. Silas słuchał jej oniemiały.

– Wielki Boże! – wykrzyknął. – Ojciec skazałby panią na pobyt w takim miejscu?

– Tak, może mi pan wierzyć – odparła Jessica. – Bez mrugnięcia okiem. – Wstała, by rozrzucić pogrzebaczem drewno płonące

w kominku, a jego blask zatańczył na jej smutnej twarzy. – Tę pasję Toliverów, o której pan mówił... z której nie jest pan w stanie zrezygnować dla miłości swojego życia, może pan zrealizować... – posłała mu zimny uśmiezek – wyłącznie na grzbietach niewolników, czy tak?

– Tak się to odbywa – odrzekł.

W ciemnych oczach pojawił się błysk.

– Znane są panu moje abolicjonistyczne przekonania?

– Tak.

– W takim razie rozumie pan, że prędyj jestem gotowa kopulować z mułem niż z posiadaczem niewolników?

Dla Silasa jej szczerość była jak rażenie obuchem i nagle ogarnął go gniew i niepokój – czy to oznacza, że ta dziewczyna odmówi poślubienia go?

– Może tak być, panno Wyndham, ale skoro rozmawiamy tak szczerze, nie obrazi się pani, jeśli zauważę, że wstępując do klasztoru, będzie pani mogła liczyć wyłącznie na muła.

Twarz Jessiki zalał rumieniec.

– Czy Lettie wie już o pańskiej... zmianie planów?

Czekał na to pytanie i odpowiedział na tyle zdecydowanie, na ile pozwalał mu ból.

– Nie, jeszcze nie. Najpierw chciałem uzyskać pani zgodę.

Usta Jessiki wykrzywił lekki grymas.

– Jak widzę, lubi pan się zabezpieczać na każdą okoliczność.

– To jedna z moich słabości.

– Cóż, przynajmniej nie ukrywa pan prawdy.

– Nie w tym przypadku.

– W takim razie powiem tak, panie Toliver: chyba potrafię zrozumieć tę siłę napędową, którą najwyraźniej odziedziczył pan po przodkach, choć trudno nazwać ją szlachetną. Obsesja to obsesja. Nie da się jej odcedzić z krwi jak tłuszcz z sosu. Brzydzę się pańską... pasją, przez którą jest pan gotów posunąć się do ostateczności, byle tylko osiągnąć cel, ale rozumiem ją i współczuję panu. Ja również jestem niewolnicą swojego fanatyzmu i jak widać, nie mam dość siły, by się od niego uwolnić.

Jessica odstawiła pogrzebacz na miejsce i zdecydowanym ruchem odwróciła się od kominka.

– Otóż, panie Toliver, nie mamy wyboru i musimy związać się węzłem małżeńskim. Zapewne nie będę dobrą żoną i wątpię, bym kiedykolwiek zdołała pana pokochać, ale też nie oczekuję, by był pan dla mnie dobrym mężem czy obdarzył mnie choć odrobiną uczucia. W kwestii kopulacji jestem gotowa skonsumować nasz związek wyłącznie, by spłodzić potomstwo. Czy pan to rozumie?

Silas osłupiały przytaknął skinieniem głowy.

– Sprawimy Lettie niewyobrażalne cierpienie – mówiła dalej Jessica – a pański synek straci kochającą matkę, której ja nigdy nie zdołam zastąpić, ale zakładam, że w swoich kalkulacjach uwzględnił pan te ofiary.

Silas z trudem wykrztusił:

– Tak, uwzględniłem.

Pomyślał o ciele Lettie, którego ciepła nigdy nie zazna. Pomyślał o Joshui pozbawionym jej czulej troski. Pomyślał o spędzeniu reszty życia u boku tej małej wiedźmy. Jakim był człowiekiem, by zawierać taki pakt z diabłem? Toliverem – odpowiedział jego wewnętrzny głos. Przełknął zbierającą mu się w ustach gorycz.

– Czy to oznacza, że przyjmuje pani moją ofertę?

– Ofertę mojego ojca, panie Toliver. To zasadnicza różnica.

Udajmy się teraz do jego gabinetu i oznajmijmy mu naszą decyzję.

Rozdział 21

Negocjacje były twarde. Silas przedstawił listę żądań, które spotkały się z gwałtownym sprzeciwem Carsona Wyndhama.

– Rekompensata za spalone wozy? Wykluczone! – huknął. – Czemuż, do diaska, miałbym to zrobić?

Carson rzucił Jessice ukradkowe spojrzenie i Silas się domyślił, że dziewczyna nie ma pojęcia, jaki udział miał jej ojciec w zniszczeniu wozów.

– Sądzę, że doskonale pan wie czemu – odrzekł Silas i popatrzył znacząco, dając do zrozumienia, że Jessica nie dowie się o niczym, jeżeli Carson Wyndham przystanie na jego warunki. – Inaczej nasza umowa nie dojdzie do skutku i pożegnamy się.

– Chwileczkę! – Z posiniałą twarzą Carson rzucił listę. – Dobrze! Zgadzam się!

Silas uparł się również, by uczestniczyć w spisywaniu tej części umowy przedślubnej, która dotyczyła ustaleń finansowych. Gdy dokument był gotowy, obie strony pisemnie ustaliły warunki, na jakich umowa miała obowiązywać. Gdyby Jessica uciekła, Silas by się z nią rozwiódł; gdyby zmarła przed upływem dziesięciu lat trwania małżeństwa, Silas albo przekaze Carsonowi plantację, albo spłaci go w całości.

– Tak czy owak inwestycja mi się zwróci – jasno dał do zrozumienia Carson przyszłemu zięciowi.

Również przez okres dziesięciu lat, jeżeli małżeństwo będzie trwać, Carson był zobowiązany dotrzymać warunków propozycji, jaką złożył Silasowi w salonie w Queenscrown.

Jessica oświadczyła, że nie podpisze umowy przedślubnej, jeżeli Tippy nie będzie jej towarzyszyć. Carson chciał się sprzeciwić, gdy nagle w jego oku pojawił się błysk wyrachowania.

– Dobrze – powiedział. – Pozwolę jej jechać z tobą, ale nie będziesz miała prawa jej wyzwolić. Tippy będzie się o ciebie troszczyć, ale będzie też dodatkowym gwarantem, że dotrzymasz umowy. Wiesz, co spotka jej matkę, gdy tego nie zrobisz.

– Skoro jesteś gotów sprzedać mnie, papo, czemu miałabym

wątpić, że nie zawahasz się wystawić Willie May na targu niewolników?
– odparła Jessica. Miała jeszcze jedno żądanie. – Ten chłopiec, Jasper.
Co zamierzasz z nim zrobić?

– Nikt się po niego nie zgłosił, a on nie potrafi powiedzieć, kto jest jego panem. Znalezione niekradzione, jak to mówią. Wiosną pójdzie do pracy w polu, na razie jednak sprząta stajnie i nie został ukarany jak należy. Dlaczego pytasz?

– Chcę, żeby również z nami wyjechał.

Patrząc w niewzruszone, ciemne oczy córki, co sprawiało mu niewyobrażalny ból, Carson wahał się tylko przez ułamek sekundy. Znikły wszystkie wątpliwości, jakie jeszcze miał co do słuszności swej decyzji. Gdyby Jessica została, szybko zdobyłaby miano „wielbicielki niewolników”, co było najłagodniejszym epitetem, jaki przychodził mu do głowy. Któregoś dnia w tych niespokojnych czasach, bez względu na jego szerokie wpływy, mogłoby się zdarzyć, że znalazłby na swoim progu jej zachłostane na śmierć ciało.

– Niech będzie – rzekł. – Możesz go sobie wziąć. A teraz podpisz dokumenty.

Wezwano Eunice, by była obecna przy ustalaniu reszty szczegółów. Postanowiono, że ślub odbędzie się za tydzień, bez żadnych ceremonii i gości, w Willowshire przed pastorem Pierwszego Kościoła Metodystów. Silas pozostanie w Queenscrown, a Jessica w Willowshire do pierwszego marca, kiedy to tabor miał wyruszyć w drogę. Wszyscy byli skrepowani, gdy uzgadniano, że noc poślubna nie wchodzi w grę. Świeżo poślubieni małżonkowie sami, w odpowiednim dla siebie czasie podejmą decyzję o współżyciu. Silas musiał się liczyć ze skandalem, który wybuchnie, gdy ogłosi zerwanie zaręczyn z Lettie.

– Czy wolno mi zapytać, kiedy zamierzasz jej powiedzieć? – odezwała się Eunice.

– Wolno – odparł Silas, chyląc z szacunkiem głowę, ale odpowiedzi nie udzielił. Eunice i Carson wymienili zdziwione spojrzenia. Ich przyszły zięć może i był żebrakiem, ale nie czuł się w obowiązku dzielić się z nimi sprawami, które ich nie dotyczyły.

Gdy negocjacje dobiegły końca, Eunice wezwała Jonaha i ku zdumieniu wszystkich kazała podać szampana. Kiedy Carson, Jessica

i Silas trzymali już kieliszki, Eunice wzniosła swój. Oczywiście miała przepełnione łzami, głos drżący.

– Nigdy nie sądziłam, że przyjdzie mi wznosić toast za zaręczyny mojej córki z mężczyzną, którego nie kocha i który nie kocha jej – powiedziała. – Mam jednak nadzieję i modlę się, byście odnaleźli w sobie coś, co poza finansową umową, Silasie, i groźbą spędzenia reszty życia w klasztorze, Jessico, pozwoli wam wytrwać razem. Córko, jestem pewna, że jeżeli się postaracie, to mimo wszystko znajdziecie powody, by troszczyć się o siebie nawzajem, tak jak było w moim małżeństwie i jak sądzę, Silasie, również w małżeństwie twoich rodziców.

Carson chrząknął i zwrócił zdumione spojrzenie na żonę. Mimo wszystko? To znaczy co konkretnie? Lecz on również wznosił kieliszek.

Eunice wypłała szampana duszkiem i odstawiła kieliszek.

– A teraz wybaczcie mi... – Uniosła spódnicę i w pośpiechu, nie kryjąc łez, wybiegła z pokoju. Po jej odejściu zapadła cisza, którą zakłócał jedynie trzask płonącego w kominku ognia. Carson, ze smutkiem wpatrując się w drzwi, za którymi znikła jego żona, znowu chrząknął, lecz gdy przemówił, głos miał zachrypnięty.

– Będę się modlił za wasze szczęście – powiedział. – Teraz zostawcie mnie, proszę.

Silas był zaskoczony, kiedy Jessica odesłała Jonaha, który się zjawił, by go odprowadzić, i sama wyszła z nim aż na werandę. Nie wyobrażał sobie, co jeszcze mogła mu powiedzieć, czego nie zdążyła zrobić w salonie.

– Jest pan przekonany, że to ojciec kazał spalić pańskie wozy, prawda? – stwierdziła, gdy starannie zamknęła za nimi drzwi. Sięgała mu ledwie do ramienia, a w zimowym chłodnym świetle mimo piegów jej wzniesiona ku niemu twarz lśniła jak alabaster.

– Trudno ten pożar uznać za zbieg okoliczności – odparł Silas – ale szeryf nie znalazł żadnych dowodów, które potwierdzałyby moje podejrzenia.

– Szeryf! – pogardliwy ton Jessiki nie pozostawiał wątpliwości, co sądzi o tym człowieku. – Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że głupiec sam podłożył ogień na rozkaz mojego ojca – powiedziała. –

Przykro mi, panie Toliver, że to pana spotkało.

– I mnie, że pani również cierpi.

– Moje cierpienie jest niczym w porównaniu z pańskim. –

Wpatrywała się w niego ze smutkiem w brązowych oczach. – Kiedy powie pan Lettie?

– Właśnie się do niej wybieram.

– Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo... jej współczuję. Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, co będzie czuła. Czy powie jej pan, że ja...?

– Że kocha ją pani? Powiem, Jessico. Dowie się, że nie ma pani z tym nic wspólnego. Wyznam jej prawdę, tak samo jak wyznałem pani. Choć nie przyniesie jej to pocieszenia, wierzę, że zna mnie na tyle, by zrozumieć, że jeśli zostanę, ostatecznie oboje będziemy straceni.

Jessica przygryzła wargę.

– Sądziłam, że... miłość przewycięży wszystko.

Wypowiedziała te bzdurne słowa tęsknym głosem uczennicy, która nigdy jeszcze nie zaznała miłości, o jakiej mówiła. Teraz sprawiała wrażenie jeszcze młodziej niż w rzeczywistości i Silas zapragnął utulić ją, jakby pocieszał dziecko, powstrzymał się jednak.

– Są inne, potężniejsze miłości, których miłość nie jest w stanie przewyciężyć – powiedział ze ściśniętym gardłem. – Wolałbym, żeby było inaczej.

Znowu go zaskoczyła.

– Ja również, panie Toliver, ponieważ miłości, jaka łączyła pana i Lettie, prawdopodobnie żadne z was więcej nie zazna. Ubił pan kiepski interes.

Stajenny przyprowadził jego konia.

– Obawiam się, panno Wyndham, że pani również. – Zauważył, że nie wzięła szala. – Zmarznie pani – powiedział.

– Z całą pewnością, panie Toliver, ale przywyknę do chłodu. Czuję, że muszę, ponieważ spodziewam się, że nigdy już nie będzie mi ciepło. Życzę miłego dnia.

Nie myśląc, nie czując, niczego sobie nie wyobrażając ani nie oczekując, Silas wyruszył w najdłuższą drogę w swoim życiu, jadąc stępą, w wyzbytym emocji otępieniu w stronę domu tej, do której należało jego serce. Znalazł ją w małym buduarze na plebanii,

oddzielonym od niewielkiego salonu, w którym jej ojciec studiował Pismo. Ślubne akcesoria i prezenty zajmowały każdą dostępną przestrzeń, a Lettie, zdumiona jego niespodziewaną wizytą, pośpiesznie zarzuciła na welon prześcieradło, by ukryć go przed wzrokiem Silasa.

– Pan młody przed ślubem nie może zobaczyć choćby skrawka sukni ślubnej. To przynosi pecha – powiedziała, całując Silasa czule. Gdy nie odwzajemnił pieszczoty, odsunęła się, spoglądając na niego z niepokojem. – Co się stało?

Wolałby teraz oślepnąć i ogłuchnąć. Nie chciał pamiętać, jak blask ognia igrał na jej włosach, a suknia szeleściła, kiedy podbiegała, by zarzucić mu ramiona na szyję. Miał wrażenie, że ściany i niski sufit zamykają się wokół niego, miażdżąc go.

– Czy moglibyśmy... wyjść na zewnątrz, usiąść na huśtawce? – poprosił.

– Ale jest zimno i zanoszą się deszcz.

– Wobec tego usiądźmy przy kominku.

– Będziemy mówić cicho. Panie są tak zajęte omawianiem Ewangelii według świętego Mateusza, że nie usłyszą nawet słóweczka. Chodzi o wozy, prawda?

Rozumiała, że spalenie wozów oznacza, że ich wyjazd się opóźni, może nawet nigdy nie dojdzie do skutku. Cierpienie Silasa rozrywało jej serce, ale wciąż żywiła niewzruszone przekonanie, że z tragedii narodzi się coś dobrego.

– Tak, Lettie. Chodzi o wozy.

Wyjaśnił jej wszystko, nie dając się ponieść uczuciom, gdy widział, jak na jej twarzy radość przechodzi w szok i niedowierzanie.

– Jessica? Ożenisz się z Jessicą Wyndham?

– Tak, Lettie.

Zwiesił głowę, by na nią nie patrzeć. Nie może utkwąć w jego pamięci ta rozpacz przepelniająca jej błękitne oczy i jej okrzyk zaskoczenia i bólu. Nie może odejść ze wspomnieniem – którego nic nie zagłuszy – pełnego niedowierzania milczenia, z którym słuchała, gdy raz jeszcze jej wyłuszczał, że nie zniesie stanu rzeczy, jaki panował i nigdy się nie zmieni w Queenscrown. Dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku będzie stopniowo niszczał, tłumaczył jej. Będzie się rozpadał,

kawałek po kawałku, aż nie zostanie nic z człowieka, którego poślubiła. Będzie się czuł jak wyciągnięty na ląd statek, usychający na wiór w miejscu, w którym został porzucony.

– W takim razie musisz odejść – powiedziała Lettie i wstała, wyprostowana i obojętna jak marmurowy posąg. – Niech Bóg sprzyja tobie i Jessice, Silasie.

– Lettie, ja...

– Nie musisz już nic więcej mówić. Żegnaj.

– Ale muszę... – upierał się, wyduszając z siebie słowa w cierpieniu tak ogromnym, że czuł, jakby płonął żywcem. – Oddałbym wszystko, by wyrwać z siebie to, co sprawia, że w ten sposób cię traktuję, Lettie, jedyna miłości mojego życia. Bóg mi świadkiem, że uczyniłbym to, gdybym tylko mógł, ale nie mogę.

– Wiem, Silasie.

Jej nieruchoma sylwetka rysowała się na tle koronkowej firanki w oknie, przez które wpadało ostatnie, szare światło dnia. I nie dostrzegł na jej twarzy siły ani miłości przyzwalającej mu na poślubienie innej kobiety. Chciał podejść do niej i po raz ostatni objąć w czułym uścisku, ona jednak odwróciła się od niego, budując między nimi niewidzialny mur. Wiedział, że do końca życia będzie go prześladował widok jej pochylonej głowy i skulonych ramion.

Gdy wracał do Queenscrown, niebo się rozstąpiło i lunął karzący deszcz, przed którym nie próbował się ukryć. Na plantację dotarł przemoczony do suchej nitki. Lazarus podbiegł, by wziąć od niego płaszcz i kapelusz, nalegając płaczliwie, żeby poszedł do swego pokoju i przebrał się, Silas odparł jednak, żeby się nie trudził.

– Przynieś mi tylko ręcznik i poproś moją matkę i brata, by natychmiast spotkali się ze mną w salonie – polecił staremu słudze.

– Dobrze, proszę pana. Czy panicza Joshuę też? Bawi się z wujem.

– Nie, Lazarusie. Mój syn ma zaczekać na mnie w swoim pokoju.

Elizabeth i Morris słuchali go w niemym osłupieniu. Piers Elizabeth falowała, rozpaczliwie domagając się tlenu. Silas poprosił, by oszczędzili mu kazań, dopóki nie powie wszystkiego, oni jednak nawet wtedy nie byli w stanie wykrztusić słowa.

Wreszcie Morris odzyskał mowę.

– Człowiek o złym oku jest chciwy bogactwa, a nie wie, że bieda przyjdzie na niego – oznajmił. – Powinieneś poczytać Księgę Przysłów, Silasie.

– A ty przeczytać raz jeszcze testament naszego ojca, Morrisie. Nie mów mi o biedzie.

– Synu – Elizabeth z trudem podniosła się z krzesła. – Nie możesz zrobić tego Joshui. Jego małe serduszko tego nie zniesie, musisz też mieć na uwadze Lettie.

– Joshua prędzej dojdzie do siebie niż ja, matko. I owszem, myślę o Lettie – odparł Silas, odwracając się, by nalać sobie whiskey. – Zawarłem umowę. Dałem słowo Jessice Wyndham i pobierzemy się za tydzień.

Elizabeth wsparła się o krzesło.

– Silasie Toliverze, synu mój. Jeżeli zawrzesz to małżeństwo z powodów, z których się na nie zdecydowałeś, klątwa spadnie na twoją ziemię w Teksasie. Nie można zbudować niczego dobrego na takiej krzywdzie, egoizmie i chciwości.

Silas jednym haustem wypił whiskey. Zamglonymi oczami patrzył na niewyraźną sylwetkę swojej matki. Odjedzie bez jej błogosławieństwa, zerwie ostatecznie związki z rodziną. Nagle zamiast matki ujrzał ziemię jak okiem sięgnąć porośniętą bujną bawełną i górujący nad nią dwór, którego on jest panem. Jego syn zajmie miejsce przy nim, a któregoś dnia sam pocznie dziedziców, którzy będą władać Somerset.

– Już jestem przeklęty, matko – rzekł. – Płynie we mnie krew Toliverów.

Rozdział 22

W niedzielę zwykle zorganizowany i skupiony wielebny Sedgewick był roztargniony i nieskładnie wygłaszał kazanie, rzucała się też w oczy nieobecność jego córki na chórze. Wszystko się wyjaśniło, gdy w następnym tygodniu wszystkim zaproszonym na zaślubiny Lettie Sedgewick z Silasem Toliverem zwrócono ich prezenty wraz z lakonicznym powiadomieniem, że uroczystość została odwołana. Mieszkańcy Willow Grove, członkowie Pierwszego Kościoła Prezbiteriańskiego i wszyscy z Alei Plantatorów jednakowo osłupieli i zastanawiali się, czy ma to jakiś związek z wozami Silasa, które spłonęły przed tygodniem. Nikt nie wiązał tego z tajemniczym zamknięciem domu Wyndhamów na okres świąt, dopóki nie rozeszła się wieść, że teraz Silas Toliver ma poślubić Jessicę Wyndham.

Wiadomość nadeszła z Meadowlands, dokąd udał się Silas, by powiadomić Jeremy'ego o swojej decyzji. Na plantacji mieszkała odpowiedniczka Lulu z Willowshire, która znalazła się obok otwartych drzwi biblioteki Warwicków akurat w chwili, gdy Silas prosił, by Jeremy towarzyszył mu na ślubie z Jessicą Wyndham, który miał się odbyć za pięć dni.

– Morris odmówił, a matka powiedziała, że nie weźmie udziału w ceremonii – służąca podsłuchiwała słowa Silasa, dowiadując się przy okazji, z jakiego to powodu musi ożenić się z Jessicą Wyndham i porzucić dotychczasową narzeczoną.

Służąca zaniósła skandaliczną nowinę do baraków niewolników, przy okazji wyrażając własną opinię, którą wkrótce podzielili wszyscy. Lettie Sedgewick była córką ubogiego pastora, podczas gdy córka pana Willowshire, choć brzydka jak nieszczęście, była bogata, a Silas nie miał grosza przy duszy. Nie trzeba było geniuszu, by się domyślić, czemu postanowił wziąć za żonę Jessicę Wyndham.

Fale zaskoczenia poruszyły całą społeczność miasteczka i plantacji, Silas zaś stał się obiektem drwin i oszczerstw, na które w najgorszych nawet założeniach nie zdołał się przygotować. Elizabeth i Morris nie odzywali się do niego. Ludzie z miasteczka odrzucili go. Sprzedawcy traktowali go nieuprzejmie, kiedy kupował u nich zapasy i załatwiał

sprawy związane z taborem swoich wozów. Najgorsze jednak go czekało, gdy nadeszła chwila, by poinformować syna, że tatuś nie ożeni się z Lettie.

Malcowi zaczęła drzeć bródka, a po chwili łzy wypełniły jego wielkie brązowe oczy.

– Lettie nie będzie moją mamą? Czemu, papo? Już mnie nie lubi?

– Nie tylko cię lubi, Joshuo. Ona cię kocha. Ty nie zrobiłeś nic złego, synu. To ja... ponoszę za to winę.

– Byłeś niegrzeczny?

– Ona na pewno tak uważa.

– Nie możesz tego naprawić?

– Obawiam się, że nie.

Odtąd co wieczór Joshua płakał tak długo, aż wreszcie zasypiał wyczerpany, nie chciał jeść, nie miał ochoty na zabawę, najgorszym zaś ciosem dla Silasa było to, że syn stronił od niego, szukając pociechy w ramionach wuja.

– Zdajesz sobie sprawę, ile cierpienia przysparzasz temu dziecku?

– zapytała go matka.

– Tak, matko, ale mam nadzieję, że czas uleczy jego rany.

Obawiam się jednak, że dla mnie nie będzie równie łaskawy.

– I nie powinien.

Tylko przyjaźń Jeremy'ego, który nawet słowem nie wspominał o całym zdarzeniu, i ich idące pełną parą przygotowania do teksańskich podróży sprawiały, że Silas nie oszalał z powodu cierpienia, jakiego przysporzył swemu synowi i Lettie. Kilka dni po tym, jak zostawił swoją poprzednią narzeczoną i odszedł ze spuszczoną głową, Lettie wsiadła na statek płynący do Savannah, gdzie zamierzała odwiedzić krewnych. Wielebny Sedgewick zdradził, o czym Elizabeth natychmiast skwapliwie doniosła, że nie wróci, „dopóki Toliver nie wyjedzie i krzyż mu na drogę”. Silas uparcie myślał o sobie jako o człowieku, który płynie łodzią w ciemnościach, nigdzie nie dostrzegając nawet promyczka światła, lecz wie, że gdzieś w dali znajduje się brzeg. Musi płynąć dalej, ufać swemu osądowi, że obrał słuszny kierunek. W końcu ląd – a wraz z nim wyzwolenie – pojawi się na horyzoncie.

Pięć dni minęło szybko jak błyskawica i wlokło się jak z kulą

uczepioną do nogi. Odkąd podpisał umowę z ojcem Jessiki, ani razu się z nią nie widział, nie rozmawiał też ze swoją rodziną. Z bankierem Carsona Wyndhama omówił finansowe szczegóły kontraktu małżeńskiego. Ku swemu rozczarowaniu dowiedział się, że na początek dostanie niewiele pieniędzy. Otrzyma rekompensatę za spalone wozy i zwrot pieniędzy, które już wydał na sfinansowanie podróży do Teksasu, jak również kapitał na założenie plantacji. Poza tym fundusze będą mu wypłacane stopniowo, w miarę rozwoju Somerset i na ściśle określone cele. Silas miał wszystko skrupulatnie zapisywać i trzymać rachunki na dowód zakupów i przedsięwzięć. Carson Wyndham będzie regularnie – i bez zapowiedzi – przysyłał po niego swego emisariusza, który poza tym będzie też sprawdzać, jak ma się jego córka. Gdy kontrola wypadnie pomyślnie, Silas może się spodziewać kolejnego przelewu na swój rachunek w banku.

Toliver sądził, że gotówka, której zażądał, zostanie mu wypłacona w całości, by mógł dowolnie nią rozporządzać. Ogarnęła go wściekłość, kiedy się okazało, że podpisana przez niego i skrupulatnie przeczytana umowa zawierała kruczki pozwalające Carsonowi postawić go w pozycji tak naprawdę żebraka pozbawionego możliwości jakiegokolwiek manewru. Silas spalił za sobą wszystkie mosty łączące go z narzeczoną, rodziną, miastem, towarzystwem i było już za późno, by cokolwiek naprawić, a bez finansowego zabezpieczenia nie miał wyjścia, jak tylko ożenić się z córką Carsona Wyndhama i przystać na jego wszystkie warunki. Z każdym kolejnym podpisem składanym na rachunku, który miał być przekazany przyszłemu teściowi, nienawidził go coraz bardziej.

Wraz z Jeremym przybył do Willowshire na dziesięć minut przed ceremonią. W salonie zgromadzili się jedynie Wyndhamowie i pastor. Poza nimi nie miało być żadnych świadków zawarcia małżeństwa. Silas skinął głową posępnej Eunice, ale nie wymienił uścisku rąk ani żadnych uprzejmości z Carsonem i Michaelem, tylko wraz z Jeremym zajął miejsce obok pastora w oczekiwaniu na pojawienie się panny młodej.

Carson nie wprowadził córki do salonu. Ceremoniał „oddawania panny młodej” w tym przypadku wypadłby zbyt literalnie. Lettie studiowała ślubne obyczaje i powiedziała Silasowi, że tradycja ta miała swój początek w feudalnej Anglii, gdy ojcowie dosłownie oddawali

wszystko, co należało do ich córek, przyszłym mężom. W dzisiejszych czasach gest ten oznaczał, że pan młody zasłużył sobie na przychyłność, i był symbolem błogosławieństwa udzielanego przez ojca związkowi. W tym przypadku nic z tego nie miało miejsca. Silas słyszał słowa Lettie objaśniające mu, że zgodnie ze średniowieczną tradycją pan młody stał po prawej stronie swej oblubienicy – „żeby mógł dobyć miecza, by bronić jej przed napastnikami. Czyż to nie szlachetne?”.

Silas potrząsnął głową, by zagłuszyć jej głos, a pastor Pierwszego Kościoła Metodystycznego uśmiechnął się do niego skrępowany. Silas jednak nie czuł się w obowiązku, by mu się odwzajemnić. Patrzył na swego „dobroczyńcę”, jak w plotkach nazywano Carsona, z nieskrywaną pogardą. Plantator ignorował jego spojrzenie, zaś Michael z wielką uwagą wpatrywał się w jakiś punkt na ścianie. Salon został nieco przystrojony na uroczystość – zapewne ręką służącej Jessiki, która słynęła z artystycznych zdolności – co jednak Silasa tylko ogromnie przygnębiło, odczytał to bowiem jak kpinę. Oplecione białymi satynowymi wstążkami pierwsze tego roku narcyzy, tulipany i krokusy stały w wazonach rozmieszczonych w różnych punktach pokoju, a na wózku do herbaty pysznił się trzypiętrowy weselny tort ozdobiony – niewątpliwie również dzieło służącej – różami z cukru. Obok stała waza z ponczem. Silas odetchnął nieco z ulgą, widząc, że taboret przy fortepianie jest pusty. Znaczyło to, że wejściu panny młodej nie będzie towarzyszyła muzyka. Lettie całymi tygodniami zastanawiała się nad doбором muzyki na ceremonię ślubną.

Służący otworzyli ciężkie drewniane drzwi do salonu na znak, że zaraz pojawi się Jessica. Weszła w białej sukni, która migotała przy każdym ruchu, lecz żaden welon nie przysłaniał jej bladej twarzy i piegów, które wyglądały jak małe, zardzewiałe łebki od gwoździ. Silas na chwilę przymknął powieki w poczuciu tak wielkiej straty, że bliski był omdlenia. Kiedy otworzył oczy, dostrzegł, że Jessice ten spazm bólu nie umknął. Prawie się potknęła, a jej policzki na moment oblały się rumieńcem zażenowania. Uniosła głowę odrobinę wyżej, utkwiała wzrok w pastora i rumieniec zbladł. O Boże, westchnął w duchu Silas, również spoglądając na pastora, gdy przyszła panna młoda stanęła przy nim.

Po kilku godzinach niewiele pamiętał z ceremonii. Była równie

szara i ponura jak pogoda za oknem. Oblubieńcy monotonicznie mamrotali słowa przysięgi ledwie słyszalnym szeptem. Nikt się nie uśmiechał, nie było też wymiany przeciągłych miłosnych spojrzeń, gdyż ani Silas, ani Jessica ani razu na siebie nie popatrzyli. Obojętnie wsunęli sobie na palce obrączki. Silas przesłał Carsonowi rachunek za prosty złoty pierścionek i w zamian za zwrot gotówki oddał nabywcy jubilerowi brylant, który wybrał dla Lettie. Nie potrafił zagłuszyć głosu dawnej narzeczonej, gdy opowiadała mu o tradycji wymiany ślubnych obrączek, którą on i Jessica zmienili w farsę. „Od czasów rzymskich obrączkę nosi się na środkowym palcu lewej ręki. Rzymianie wierzyli, że ten właśnie palec jest połączony żyłą bezpośrednio z sercem”.

Gdy pastor metodystów ogłosił ich mężem i żoną (lęklivo, jakby się obawiał, że ktoś go uderzy) i pozwolił pocałować pannę młodą, Silas ledwie dotknął ustami obojętny policzek Jessiki. Jeremy rozluźnił nieco atmosferę, kładąc dłonie na ramionach dziewczyny.

– Teraz kolej na drużbę – powiedział z uśmiechem i pocałował ją w drugi policzek.

– Cóż, a więc stało się – oznajmił Carson z westchnieniem ulgi i poklepał się po brzuchu. – Napijmy się ponczu i skosztujmy tortu.

– Chciałabym zaprosić Tippy – rzekła Jessica, odwracając się od Silasa, jakby jego rola dobiegła końca i przyszła pora na kolejnego aktora.

Eunice spojrzała na nią z przyganą.

– Och, Jessie...

– Chętnie poznam Tippy, o której tak wiele słyszałem – wtrącił się Silas, wdzięczny, że coś wypełni czas, który on i Jeremy powinni dla przyzwoitości tu spędzić.

Jessica popatrzyła na niego ostro.

– Jak zapewne panu wiadomo, Tippy pojedzie ze mną do Teksasu – powiedziała – ale jako moja przyjaciółka, nie służąca, a już na pewno nie niewolnica. Czy jasno się wyraziłam?

Przez chwilę Silas nie pojmował, w czym rzecz. Po chwili sobie uświadomił, że ta cała... Tippy, do której Jessica była najwyraźniej bardzo przywiązana, teraz jest jego własnością. Wszystko, co należało do Jessiki, od teraz należało do niego. Tak działało prawo z chwilą

zawarcia małżeństwa. Jessica mogła sobie pomrukiwać groźnie jak tygrys, ale brakowało jej klów, by egzekwować swoje rozkazy. Okaze jej jednak łaskawość. Skłonił lekko głowę.

– Jak pani sobie życzy.

Eunice wydała polecenie służącej.

– Niech Tippy przyjdzie do salonu.

Kiedy odjeżdżali stępa z miejsca katastrofy, Jeremy obrzucił Silasa taksującym spojrzeniem.

– Chcesz się upić?

– To nie pomoże.

– To ładna dziewczyna, Silasie.

– Nie zauważyłem.

– Czas wszystkiemu zaradzi – powiedział Jeremy.

Wróciwszy do Queenscrown, Silas rozkazał Lazarusowi, by przyprowadził Joshuę. Pozwolił, by babcia i wuj pocieszali chłopca po stracie Lettie, teraz jednak nadeszła pora, by syn towarzyszył ojcu.

– Jest z panem Morrisem, proszę pana.

– Trudno, Lazarusie, teraz życzę sobie, aby mój syn był przy mnie.

Czekam w swoim pokoju.

– Dobrze, proszę pana.

Czekając na Joshuę przy płonącym kominku, Silas ponuro rozpamiętywał wszystko, co wydarzyło się po południu. Odrobinę radości wniosło jedynie pojawienie się służącej zwanej Tippy. Było w niej coś nie z tego świata. Miała najszerszy uśmiech i najbardziej błyszczące oczy, jakie zdarzyło mu się kiedykolwiek widzieć.

Promieniała blaskiem, który nawet jemu żal byłoby zgasić. Nie dało się ukryć, że są sobie z Jessicą bliskie jak siostry i choć nie wiedział, co myśleć o takiej przyjaźni łączącej białą dziewczynę z murzyńską niewolnicą, nie miał zamiaru w żaden sposób interweniować. Cieszył się, że Jessica będzie miała towarzystwo w drodze do Teksasu. Chociaż służąca wydawała się drobna i delikatna, wyglądała na kogoś, kto przetrzyma wszystko, a Jessica będzie potrzebowała kogoś, kto pomoże jej znieść trudy wędrówki. Przyzwyczajona do życia w zbytku i luksusie Jessica nie miała pojęcia, co ją czeka, a on powinien się z nią umówić, by wszystko to jej uświadomić.

Silas wpatrywał się w złoty krążek na palcu. „Umówić się”. Czuł się mężem Jessiki tak samo, jakby złożył przysięgę pustej kartce. Tak właśnie zresztą się czuł – jak pustka kartka. Lettie opowiadała mu, że w wielu miejscach na świecie państwo młodzi widzą się dopiero w dniu ślubu, bo zawierają zaaranżowane małżeństwo. Uważał to za dziwaczne i barbarzyńskie. Nigdy, nawet w najgorszych snach nie wyobrażał sobie, że ożeni się nie dość że z obcą kobietą, to na dodatek taką, która uważa go za wroga – zwolennika wszystkiego, czemu się sprzeciwia. Czy rzeczywiście popierała abolicję systemu, dzięki któremu wiodła uprzywilejowane życie, czy też wybrała tę ścieżkę, by sprzeciwić się ojcu? Jeremy uważał, że ojciec i córka kochali się nawzajem, lecz – na podobieństwo róży i kolców wyrastających z jednej łodygi – urodzili się, być żyć w konflikcie.

Silas poradzi sobie z bezzębnym kąsaniem Jessiki Wynd-ham, jak jednak dziewczyna potraktuje jego syna? I jak Joshua zareaguje na nią?

Do drzwi zbliżyły się lekkie kroki. Pchnęła je mała rączka.

– Papo?

Silas wyciągnął ramiona, a pierś wezbrała mu miłością i tęsknotą.

– Podejź tu, Joshuo, usiądź papie na kolanach. Tak dawno już nie tuliłem swojego synka.

– Ty też jesteś smutny, papo? – zapytał Joshua, wdrapując się ojcu na kolana.

– Tak, Joshuo. Jestem bardzo smutny – odpowiedział Silas, opierając brodę na główce synka.

Już sprawił swojemu dziecku tyle cierpienia. Czy był samolubny, sprawiając go jeszcze więcej, gdy postanowił oderwać go od tych, których kochał, od jedyne go domu, jaki znał, by wywieźć na obcą ziemię w towarzystwie obcej im obu? Jeśli jednak zostawi syna w Queenscrown do chwili, gdy wyjazd do Teksasu będzie bezpieczny, może go już nigdy nie odzyskać. Joshua był w wieku, kiedy chłopcy są najbardziej wrażliwi, podatni na wpływy. Więż między ojcem i synem musi powstać teraz, potem wszystko będzie stracone. Silas dobrze pamiętał okres, gdy sam był w wieku Joshui. Od czwartego do ósmego roku życia czuł się zaledwie cieniem, który ojciec dostrzegał kątem oka. Szansa, by zdołali poznać się lepiej, umknęła na zawsze. On nie popełni tego samego błędu

z Joshua. Poza tym musiał też mieć na względzie Jessicę. Jak chłopiec zdoła zaakceptować ją w roli matki, jeśli nie odzwyczai się od Lettie?

Jednak wszystkie pytania dotyczące Joshui sprowadzały się do jednego: czy Silas postępował słusznie, gdy nie bacząc na koszty, starał się zapewnić synowi dziedzictwo i przyszłość, jakiej jego własny ojciec go pozbawił?

Odpowiedź pozna dopiero z czasem.

Rozdział 23

Jeremy czymś się gryzł. Silas czytał w nim jak w otwartej książce. Młody Warwick jako jedyny ze swojego klanu odziedziczył patriarchalne rysy greckiego boga (Lettie nazywała go Heliosem) i złocista, pięknie rzeźbiona, przystojna twarz przyjaciela była na ogół jasna jak pogodny dzień. Dzisiaj jednak coś ją zachmurzyło.

– Co cię dręczy? – zapytał Silas, gdy przyjaciel podążał za nim do jego pokoju w Queenscrown.

Minęła już kolacja i godzina czytania i rodzina wraz ze służbą udała się na spoczynek.

Silas modlił się w duchu, by się nie okazało, że Jeremy postanowił ruszyć na pomoc teksańskiej rewolucji. Już jakiś czas temu o tym napomykał.

– Caleb Martin pomoże ci wszystko zorganizować i poprowadzi tabor równie dobrze jak ja – powiedział wtedy. – A ja spotkam się z tobą przy przeprawie przez Red River.

Dziadek Jeremy'ego sześćdziesiąt lat wcześniej walczył w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych i całe życie pilnował, by jego dzieci, a później wnuki pamiętały o powodach wojny z Anglią. Mieli wrodzone przekonanie, że obywatel przychodzi na świat we własnym kraju z przysługującymi mu prawami, odmiennie niż Toliverowie, którzy w głębi swych serc wciąż czuli więź z rojalistyczną przeszłością. Jeremy oburzał się na meksykański rząd, że miał czelność nakładać podatki na teksańskich kolonistów, a także niespodziewanie i arbitralnie narzucać im politykę i prawa przy użyciu militarnej siły.

– Poza sobą nie muszę troszczyć się o nikogo innego – powiedział do Silasa. – Powiniennem pojechać pomóc Tekszańcykom. To także nasza wojna.

Silas użył całej swej siły perswazji, by przekonać Jeremy'ego, że na razie Tekszańcy poradzą sobie bez jego wsparcia. Wielu z tych, którzy zgodzili się wyruszyć wraz z nimi, zrobiło to wyłącznie przez wzgląd na powszechnie znaną odwagę Jeremy'ego, jego chłodny osąd i przenikliwą inteligencję. Z tych samych powodów ludzie podążali za Silasem. Skandal, który wywołało jego małżeństwo, mógł zaszkodzić

jego wizerunkowi, lecz nie zdolnościom przywódczym. Panowało przekonanie, że jeżeli ktoś zdoła doprowadzić pionierów do Teksasu, to właśnie Jeremy Warwick i Silas Toliver. Sytuacja przedstawiałaby się zgoła inaczej, gdyby połowa przywództwa przypadła Calebowi Martinowi, silnemu i twardemu mężczyźnie, lecz o niesprawdzonych umiejętnościach i bez wiedzy, którą Silas i Jeremy gromadzili i studiowali przez cały rok. Co się stanie, gdy w drodze się okaże, że Silas nie jest zdolny przewodzić taborowi?

Jeremy przyznał, że zastanawiając się nad scedowaniem swoich obowiązków na Caleba, myślał tylko o sobie, dzisiaj jednak, gdy termin wyjazdu był coraz bliższy, Silas się martwił, że dawne marzenia przyjaciela na powrót nim zawładnęły.

– Wybacz późną porę, lecz godzinę temu przybył Tomahawk i przywiózł jak dotąd najgorsze wieści – powiedział Jeremy.

Tomahawk Lacy, Indianin z plemienia Krików zamieszkującego Georgię, był jednym z dwóch zwiadowców wynajętych przez Jeremy'ego, by przywozili informacje z Teksasu. Gdy jeden wracał, drugi wyruszał, dzięki czemu dowódcy taboru poznawali na bieżąco ewentualne zagrożenia.

– Wysłuchajmy ich więc – rzekł Silas, prowadząc gościa do salonu, gdzie na biurku leżała rozłożona nowa mapa, pierwsza topograficzna mapa Teksasu sporządzona przez niejakiego Gaila Bowdena, badacza kolonii Stephena F. Austina.

– Oddziały Santa Anny zajęły pozycje wzdłuż Rio Grande – powiedział Jeremy, palcem wskazując na rzekę, która stanowiła granicę między Teksasem a Meksykiem. – Tomahawk ocenia, że liczą kilka tysięcy ludzi, może więcej, i prowadzą setki wozów, mułów oraz koni. Muszą wyglądać przerażająco. Tomahawk twierdzi, że w różnym czasie i miejscach przekroczą rzekę w przyszłym tygodniu i zbiorą się na teksańskim brzegu. Sam Santa Anna stoi na czele armii i wraz ze swoim batalionem przeprawi się w miejscu o nazwie Laredo na południu. Ma zamiar odzyskać Teksas i zdusić rebelię, jak uczynił to w separatystycznych stanach Meksyku.

Silas poczuł, jak po skórze przebiega mu lodowaty dreszcz. Rozumiał, co Jeremy ma na myśli, mówiąc o „separatystycznych

stanach”. Santa Anna nie okaże żadnej litości nowo osiadłym amerykańskim kolonistom, tak jak nie okazał jej buntownikom w meksykańskich stanach, którzy podnieśli sprzeciw, gdy objął on rządy i ogłosił się dyktatorem. W swoim długim marszu na Teksas on i jego wojska siali terror w prowincjach, które nie podporządkowały się jego władzy, systematycznie paląc wsie, zabijając inwentarz, gwałcąc kobiety i wybijając do nogi rebeliantów, ich rodziny i całe społeczności. Nieliczni, którzy uszli zagładzie, donosili o potwornościach i ostrzegali Tekszańczyków przed bezlitosną rzezią i brutalnością, która ich czekała, gdy generał Antonio Lopez de Santa Anna i jego meksykańska armia przekroczy Rio Grande.

Silas bezustannie myślał o Joshui i Jessice.

– Nie bierze więc żadnych więźniów, nawet kobiet i dzieci?

– Takie mam informacje. Wszyscy ludzie pod bronią wraz z całymi rodzinami są traktowani jak piraci niezasługujący na litość.

– Sukinsyn! Chętnie powiesiłbym go za jaja i przypiekał na wolnym ogniu – wykrzyknął Silas, zdając sobie sprawę, jak czerze są to pogróżki. Gestem typowym dla Toliverów przeczesał dłonią włosy. – Cóż więc mamy uczynić: płynąć naprzeciw fali czy się wycofać? Jesteśmy na pełnym morzu, Jeremy. Wozy są załadowane. Jeśli opóźnimy wyjazd, choćby o miesiąc, możemy stracić sprzyjającą chwilę.

Przez twarz Jeremy’ego przemknął ślad uśmiechu.

– Ty i ten twój Szekspir. Równie okropne jak Morris ze swoją Biblią. – Jego ton spoważniał. – Nie baczmy na pełne morze. Nie lękasz się ryzyka? Ze względu na Joshuę i... twoją żonę?

– Zastanawiam się nad inną trasą, którą już kiedyś rozważałem – odrzekł Silas, odwracając mapę ku Jeremy’emu. Dawniej mieli ulubiony stolik w Dzikiej Gęsi w Willowshire, gdzie przy kuflach piwa studiowali mapy i omawiali swoje plany, ale to było, zanim niegodny postępek Silasa stał się tematem piwnych rozmów. Teraz spotykali się w bibliotece Warwicków lub u Silasa w Queenscrown, niezbyt przychylnym miejscu, jako że Elizabeth i Morris doskonale znali powód tych spotkań.

– A może pojedziemy do Nowego Orleanu i do Teksasu przeprawimy się przez Sabine River? – powiedział Silas. – Nadłożymy

drogi, ale tam żegluga po Mississippi jest łatwiejsza, poza tym dostęp do transportu wodnego jest tańszy i dogodniejszy niż w Shreve Town na północy. W Nowym Orleanie czekają gotowe promy i jest mnóstwo konkurujących ze sobą szkutni, w których buduje się barki.

Silas wskazał estuarium rzeki na mapie.

– Możemy przepłynąć się przez Sabine tutaj, u jej ujścia i przez sosnowe lasy regionu Bayou zmierzać na północ, potem skręcić na zachód, gdzie znajdują się nasze ziemie. Gdybyśmy wybrali planowaną marszrutę... – pokazał na mapie inne miejsce – możemy wejść wprost na armię Santa Anny. Będzie kierował się ku wschodniej części terytorium, gdzie znajdują się największe osady.

– A jeżeli my wjedziemy od południa, to gdyby ten szalenciec nadszedł, będziemy mieli największą szansę, żeby się wycofać – powiedział Jeremy.

– Tak jest.

– To mi się podoba. Komancze też nie będą nam aż tak zagrażać.

– Jutro wieczorem musimy zwołać zebranie, żeby poinformować wszystkich o zmianie marszruty i zapewnić, że wyruszamy zgodnie z planem.

Jeremy się odwrócił, żeby nalać sobie kieliszek brandy.

– O co chodzi? – zapytał Silas, zwijając mapę, gdy tymczasem Jeremy usiadł przy kominku. – Wciąż mam wrażenie, że wieści jakby cię... zniechęciły.

– Przecież wiesz, że nie chodzi o mnie, Silasie, tylko o tych, którzy złożyli swój los w nasze ręce. Przedstawiliśmy im ryzyko, na jakie się narażają, znają cenę, jaką być może przyjdzie im zapłacić za nagrodę, której się spodziewają, ale nie wszyscy są świadomi niebezpieczeństw... nie są przygotowani, by stawić im czoło.

Silas dołączył do przyjaciela, również nalawszy sobie brandy.

– Mówisz naturalnie o Jessice.

– Tak. Daleki jestem od pouczania cię, jak masz postępować z własną żoną, ale uważam, że Jessicę należy przygotować, by w razie konieczności mogła się bronić. Nie wie nawet, jak załadować broń i wystrzelić.

– Skąd wiesz?

– W zeszłym tygodniu spotkałem ją, gdy była na przejażdżce. A tak przy okazji, powinna zostawić swoją klaczkę w domu. Głupi konik jest zbyt płochliwy, by za wozem wędrować do Teksasu.

Silas ze zdumieniem stwierdził, że troska Jeremy'ego o Jessicę wzbudziła w nim trudne do nazwania emocje. Na pewno nie była to zazdrość, mimo to jednak uczucie było mu obce i niemiłe.

– Zawiadomię jej ojca, żeby nauczył ją strzelać i zaopatrzył w strzelbę. Poradzę też, żeby Single Bell została. Jessicę na pewno to rozzłości, ale niech Carson sobie z tym radzi.

Silas celowo nazwał konia Jessiki po imieniu w odpowiedzi na zarzut przyjaciela – trafny, aczkolwiek niezamierzony – że zaniedbuje żonę.

– O czym jeszcze rozmawialiście?

– Tylko o tym, że chciałyby wiedzieć, czego może się spodziewać. Mówi, że czyta gazety i wie, co się dzieje w Teksasie, ale nie tyle, ile pozostali członkowie wyprawy, których informujemy na bieżąco. Jessica wie o naszych zebraniach, na które żony również są zapraszane. Czuje się... wykluczona.

– Gdyby przyszła, wszyscy tylko by się na nią gapili. Powinna być wdzięczna, że chcę jej oszczędzić wstydu, poza tym nie musi się martwić o swoje bezpieczeństwo, podobnie jak ty. Uwierz mi, Carson dopilnuje, żeby na niczym jej nie zbywało, a poza tym... – Silas pociągnął łyk brandy – zamierzam zostawić Jessicę i Joshuę w hotelu w Nowym Orleanie, w Winthorp, do czasu, aż się przekonam, że mogę po nich bezpiecznie posłać.

Jeremy uniósł jasną brew.

– Ach. Jeszcze jeden powód zmiany marszruty. – Po kolejnym łyku zapytał niby to od niechcienia: – A jeżeli Jessica nie zechce zostać w Nowym Orleanie? Pokazała, że nie jest dziewczyną, która należy do lękliwych.

– Nie chodzi o unikanie niebezpieczeństw, Jeremy, lecz o unikanie mnie – powiedział Silas.

Rozdział 24

– Jessie, naprawdę uważasz, że to dobry pomysł? – zapytała Eunice z lekką przyganą, gdy patrzyła, jak jej córka pakuje do sakwy nieduże, kolorowe, ręcznie rzeźbione klocki. – To twój mąż powinien zaaranżować twoje pierwsze spotkanie z jego synem.

– Gdybym czekała, aż mój mąż przedstawi mnie chłopcu, mogłoby to nastąpić dopiero w Teksasie. Trudno pokonać tchórzostwo.

– Obawiam się, że w tej kwestii osądzasz Silasa niesprawiedliwie, Jessie. Jestem pewna, że ma na względzie Joshuę, który wciąż tęskni za Lettie, i Elizabeth, która miała nadzieję, że Lettie zostanie jego macochą. Może czeka na odpowiedni moment, żeby poznać cię z Joshuą.

– A kiedy według ciebie ten moment nastąpi, mamó? Tydzień przed wyjazdem do Teksasu? Czy to nie będzie dla chłopca trudne?

Jessica wrzuciła do sakwy ostatni kolorowy klocek. Było ich dwadzieścia sześć. Na jednym boku miały litery alfabetu, na drugim cyfry, na pozostałych zwierzęta domowe, płoty, pastwiska, szopy i sprzęt gospodarski, wszystko przepięknie namalowane przez Tippy. Którejś nocy, gdy leżała bezsennie, zastanawiając się, jak zdoła nie tyle zastąpić Joshui Lettie, co przynajmniej się z nim zaprzyjaźnić, przyszło jej do głowy, że klocki będą idealnym prezentem na pierwsze spotkanie z pasierbem. Nie miała pojęcia o wychowywaniu dzieci i nigdy nawet przez chwilę nie czuła macierzyńskiej tęsknoty, by wydać na świat własne. Przedstawiła swój pomysł Tippy.

– Chcę, żeby to była zabawka, ale taka, która przy okazji czegoś uczy – powiedziała.

Dzięki wyobraźni Tippy i pomocy utalentowanego stolarza z Willowshire powstały zabawki, które Jessica zawiezie dzisiaj do Queenscrown. Oprócz klocków był też koń na patyku, którego łeb został tak wyrzeźbiony i pomalowany, by przypominał ukochaną klacz Jessiki, Single Bell, której jak się właśnie dowiedziała, nie będzie mogła ze sobą zabrać.

– Poza tym – dodała Jessica – mój mąż o mnie nie pamięta. – Poza dniem, w którym złożyła mu małżeńską przysięgę, widziała Silasa tylko raz. Dwa tygodnie później, pierwszego lutego, kiedy miał się odbyć jego

ślub z Lettie, przysłał jednego ze służących z wiadomością, że zamierza złożyć jej po południu wizytę. Czekając na jego przybycie, stała na górnej galerii. Spodziewała się, że jego widok wzbudzi w niej niechęć, ale gdy pojawił się na swoim roztańczonym wałachu, serce podeszło jej do gardła. Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała, ale też jednym z najstarszych – upomniała się zaraz w myślach – poza tym zagorzałym zwolennikiem niewolnictwa, o czym nie wolno jej zapominać.

Poruszona i zła na siebie, kompletnie osłupiała szybko uciekła do środka, żeby jej nie zauważył i błędnie nie pomyślał, że go wyczekuje. Gdy spotkali się w małym saloniku, gdzie podano im herbatę, całkowicie już nad sobą panowała. Silas, nieprzejęty chłodnym powitaniem, zachowywał się równie obojętnie. Nic nie wskazywało, by ten dzień miał dla niego jakieś szczególne znaczenie. Przyjechał, by wręczyć jej listę rzeczy, na które powinna zwrócić uwagę, szykując się do podróży i wyposażając swój wóz, który dostarczył jej dzień wcześniej. Okazało się, że nie będą dzielić ze sobą jednego „wielbłąda prerii”, jak nazywano conestogi. Ojciec w prezencie ślubnym kupił jej i Silasowi dwa oddzielne wozy. Skandal, jaki wywołała wiadomość, że młoda para nie mieszka razem – będący już pożywką dla każdego plotkarza w Karolinie Południowej – wyruszy wraz z nimi do Teksasu.

– Cóż, szczerze mówiąc, liczę na to, że twój mąż o tobie zapomniał – powiedziała Eunice. – Trudno sobie wyobrazić, co czeka was w Teksasie, nawet jeśli zdążacie tam dotrzeć. Elizabeth się ze mną zgadza. Ze strachu o Joshuę odchodzi od zmysłów.

Jessica odwróciła się od lustra, przed którym zakładała czepek, żeby matka nie dostrzegła, iż ją trapią podobne obawy. „Charleston Courier” co tydzień donosił o rebelii w Teksasie, a wczoraj przeczytała, że 6000 meksykańskich żołnierzy pod wodzą bezlitosnego generała Santa Anny przekroczyło graniczną Rio Grande, żeby ostatecznie rozprawić się z siłami teksańskimi. Silas przewidywał, że podróż do Teksasu potrwa pięć miesięcy, nawet biorąc pod uwagę wszelkie możliwe katastrofy, co oznaczało, że do przyznanych im ziem dotrą pod koniec lipca. Ale co zastaną na miejscu? Spaloną ziemię? Mściwych meksykańskich żołnierzy czekających, by wziąć ich w niewolę? Czy nikt

nie zakwestionuje ich prawa do należnych im terenów?

Odsunęła od siebie dręczące ją myśli, by skupić się na chwili obecnej.

– Gdzie jest Tippy? – zapytała. – Ma jechać ze mną do Queens-crown. Chcę, żeby zobaczyła minę chłopca, kiedy wręcę mu zabawki.

– Na miłość boską! – jęknęła Eunice. – Czy Tippy musi uczestniczyć we wszystkim? To ma być spotkanie z twoim pasierbem i Elizabeth, którą po raz pierwszy ujrysz jako jej synowa. Co zrobisz, jeżeli Elizabeth cię zaprosi, byś została na podwieczorku? Będziesz się upierać, żeby Tippy wam towarzyszyła? Oszczędź jej tego i pozwól, żeby została w domu.

– Tippy sama będzie wiedziała, że ma odejść do kuchni – powiedziała Jessica, biorąc sakwę. – Przez wzgląd na mnie zawsze pamięta, gdzie jest jej miejsce narzucone przez innych. Po prostu chcę, żeby zobaczyła reakcję chłopca.

Silas zdziwił się lekko, kiedy na dwuosobowym powoziku zaprzężonym do jednego konia, który ujrzał przed werandą Queenscrown, rozpoznał herb Wyndhamów. Nie spodziewał się, by odwiedzili go panowie Wyndham. Zapewne Eunice Wyndham przybyła z gałązką oliwną do swojej starej przyjaciółki, a teraz teściowej jej córki, by rozładować napięcie panujące między obydwoma plantacjami. Albo... ale nie... Czy to możliwe, że Jessica zjawiała się z wizytą?

Silas pośpiesznie zsiadł z konia i klepnął go w zad. Wałach ruszył w stronę stajni, gdzie zajmie się nim stajenny.

Z salonu dobiegały głosy – roześmiane, jakich nie słyszał już od dawna. Zjrzał przez drzwi i ujrzał Jessicę i jej służącą siedzące na podłodze z jego synem nad piramidą małych, kolorowych klocków z drewna. Jego matka przyglądała się temu z fotela przy kominku, wyraźnie rozbawiona, chociaż to nie Lettie bawiła się z jej wnukiem.

– A, B, C... co jest po C, Joshuo? – mówiła Jessica.

– D! – wykrzyknął uszczęśliwiony chłopczyk. – Wujek Morris mnie nauczył!

Tippy, służąca, zaklaskała w swoje niezgrabne dłonie.

– Mądrała z panicza! – zawołała.

– Wiem o tym – stwierdził Joshua obojętnie. – Możemy zrobić farmę?

– Naturalnie – odparła Jessica.

Silas chrząknął i wszedł do salonu.

– Czy mogę się przyłączyć?

Na jego widok Joshua zerwał się na nogi.

– Papo! Papo! Chodź, zobacz, co dostałem od Jessiki i Tippy! – Chwycił ojca za rękę i pociągnął go w stronę rozrzuconych po podłodze kolorowych klocków. – Są numerki i obrazki, i mogę zbudować farmę ze zwierzętami i w ogóle! Widzisz? – Joshua chwycił stodołę i krowę, żeby pokazać ojcu.

– Widzę – odpowiedział Silas.

– I popatrz, popatrz! – Joshua dosiadł konia na patyku. – Mam konika z prawdziwą głową. I-haaa, koniku! I-haaa!

Z radosnym okrzykiem zaczął galopować po całym salonie na swoim rumaku z pięknym łbem.

Jessica wstała. Tippy także zerwała się już na nogi. Służąca złożyła ręce na fartuszku i ze spuszczoną skromnie głową cofnęła się w kąt pokoju.

– Dzień dobry, panie Toliver – powiedziała Jessica, poprawiając fałdy sukni. – Mam nadzieję, nie przeszkadza panu, iż zakłóciłam spokój w pańskim domu.

– Pani wizyta jest bardzo mile widziana, panno Wyndham.

– Wymyśliłam te zabawki, a dzięki Tippy mogłam wręczyć je pańskiemu synowi na początek znajomości.

– Uroczy gest, panno Wyndham.

Joshua zatrzymał swojego konia obok nich.

– Jessica. Ma na imię Jessica, papo. Ona i Tippy jadą z nami do Teksasu.

– Słyszałem – rzekł Silas, nie odrywając wzroku od Jessiki.

Elizabeth podniosła się z fotela.

– Tippy, chodźmy do kuchni. Sprawdzimy, co z podwieczorkiem. Może pokazałabyś naszej kucharce, jak się wycina te kanapki, które podano na przyjęciu urodzinowym pani Jessiki.

– Bardzo chętnie – powiedziała Tippy.

Joshua siedział już z powrotem na podłodze, pochłonięty całkowicie zabawą klockami, na chwilę zapominając o koniu.

– Dziękuję – rzekł Silas do Jessiki i ujmując ją za łokieć, odprowadził nieco dalej od miejsca, w którym bawił się jego syn. – Ja... nie bardzo wiedziałem, jak zaaranżować pani spotkanie z Joshuą. Powinienem być pomyśleć o tym wcześniej. Proszę mi wybaczyć to niezdecydowanie.

Jessica zbyła jego przeprosiny.

– Doskonale to rozumiem, panie Toliver. Pański syn jest uroczy. Liczę, że uda nam się zaprzyjaźnić.

– Czy on już wie, że... jest pani moją żoną?

– Uznałam, że poczułby się zagubiony. Nasza... sytuacja pomoże nam ten fakt utrzymać w tajemnicy do czasu, gdy uznamy, że możemy mu wszystko wyjaśnić.

– Bardzo mądrze... Jessico.

Uśmiechnęła się lekko, zaraz jednak spoważniała, nie na tyle szybko jednak, by Silas nie dostrzegł, jak zyskuje na tym jej uroda.

– Silasie... – Jessica wymówiła jego imię z namysłem. – Muszę przywyknąć, że tak teraz powinnam się do ciebie zwracać.

– Zapewne trudniej będzie ci przywyknąć, że teraz zwracać się do ciebie będą „pani Toliver”.

– Jeszcze trudniej do tego, że faktycznie nią jestem – powiedziała Jessica, a Silas zrozumiał, czemu nagle się zarumieniła.

Znalazła się na małżeńskim gruncie, na który być może nigdy nie będzie im dane wstąpić. Nie przeszkadzało mu, że być może – prawdopodobnie – nigdy nie podzielał małżeńskiego łóża. Miał już dziedzica Somerset.

– Cieszę się, że przyszedłeś – powiedział. – Zamierzałem zjawić się jutro z informacją, która powinna cię uradować.

W jej ciemnych oczach pojawił się błysk przerażenia.

– Wyjazd chyba nie został odwołany?

– Czy to by cię uradowało? – zapytał zaciekawiony jej reakcją.

Zmieszła się, ale tylko na chwilę. Silas widział, jak jej bystry umysł szybko radzi sobie z zakłopotaniem.

– Ośmielę się stwierdzić, że to by nas postawiło w sytuacji, której

oboje wolelibyśmy uniknąć, logika więc podsuwa, by ta nowina nie była dla mnie radosna. Głupio z mojej strony, że tak zapytałam.

– Żadnego twojego zachowania nie nazwałbym głupim, Jessico. Oto co chciałem ci zakomunikować: nasza trasa powiedzie przez Nowy Orlean i proponuję, byście razem z Joshuą poczekałi tam wygodnie w hotelu, dopóki nie obejmę przyznanych mi ziem. Naturalnie twoja służąca zostanie z tobą. Kiedy wszystko ułoży się pomyślnie, poślę po was. Hotel Winthorp na pewno ci się spodoba. Już się w nim zatrzymywałem. Znajduje się w Garden District i prowadzi go małżeństwo Anglików, którzy doskonale rozumieją, na czym polega południowa gościnność. Podam ci adres, na wypadek gdyby matka i przyjaciele chcieli do ciebie napisać.

Silas się spodziewał, że Jessica odetchnie z ulgą. Jednak jej drobna, piegowata twarzyczka stężała.

– Oczywiście zostanę, przez wzgląd na Joshuę – rzekła, lecz w jej głosie brzmiało głębokie rozczarowanie. – Na pewno lękasz się o jego bezpieczeństwo. – Uniosła dumnie brodę i odwróciła się od niego. – Pora, byśmy wracały do domu. Bądź tak uprzejmy i wskaż mi drogę do kuchni. Pójdę po Tippy.

Silas ze zdumieniem stwierdził, że najwyraźniej ją dotknął. Dostrzegł jej zranione uczucia równie łatwo jak rozrzucone na podłodze kolorowe klocki. Zlituj się, Boże, cóż takiego powiedział, co aż tak ją zabiło?

– Jesteś już spakowana do drogi? – zapytał zdezorientowany i wytracony z równowagi. – Pamiętasz, że twój wóz w trzech czwartych jest przeznaczony na zapasy?

Od ślubu widział się z nią tylko raz i z całą mocą podkreślił wtedy, żeby nie zabierała niczego, bez czego da radę się obejść. Powiedział jej, że kiedy już będą na miejscu, reszta rzeczy zostanie dostarczona rzeką z Zatoki Meksykańskiej. Jako dowódca taboru wielokrotnie spotykał się ze swoją grupą i zaklinał pionierów, by swoje bagaże ograniczyli do minimum. Przewodniki, artykuły w prasie i listy od tych, którzy mieli już za sobą pięciomiesięczną podróż, mówiły, że w trudnych warunkach terenowych lub nagłych przypadkach osadnicy musieli porzucać zbędne rzeczy, by odciążyć wozy. Szlaki wiodące na zachód pełne były

zostawionych mebli, ubrań, książek, sprzętów, instrumentów muzycznych, które następnii wędrowcy znajdowali i zbierali dla własnych potrzeb. Zostawił Jessice listę rzeczy, którymi można zastąpić cięższe i mniej przydatne, na przykład świece zamiast nafty i wytrzymałą, ciepłą odzież zamiast jedwabów i satyny. Silas był przekonany, że połowa bagażu Jessiki zostanie na trasie przejazdu wozów.

– Jestem gotowa, panie Toliver – odpowiedziała mu chłodno. – Nie musi się pan już tym martwić i cieszę się, że na wieść o prześladowaniach, jakich ten straszliwy dyktator dopuszcza się na Tekszańczykach, nie zrezygnował pan z wyjazdu. Jestem gotowa oznajmić całej Alei Plantatorów, Willow Grove, mojej rodzinie i całej Karolinie Południowej to samo, co pan David Crockett rzekł do swoich wyborców, gdy został pokonany w reelekcji do Kongresu: „Do diabła z wami wszystkimi. Ja wyjeżdżam do Teksasu”.

Rozdział 25

W trzech najznamienitszych rezydencjach przy Alei Plantatorów panował nastrój przygnębienia. Nadeszły ostatnie dni przed wyruszeniem taboru w drogę, państwo i służba poruszali się ciszej, a ich głosy brzmiały poważniej. Najmłodszy z członków każdej rodziny, od niemowlęctwa hołubiony i nazywany „dzieckiem”, wybierał się do krainy najeżonej niebezpieczeństwami i trudami. Bóg jeden wiedział, kiedy i czy w ogóle pojawią się jeszcze kiedyś w domu.

W Meadowlands serwowano ulubione potrawy Jeremy'ego, ale jego ojciec i bracia ledwie ich kosztowali; choć zwykle pełni energii i skorzy do pogaduszek, teraz stali się małomówni i łatwo wpadali w irytację.

Jessica pozwoliła, by Tippy spędzała noce w izbie z matką. Gdy spały razem w łóżku, Willie May leżała na boku i przytulona do pleców Tippy, gładziła ją po włosach, które puszyły się wokół głowy córki cieniuteńkie i delikatne jak pajęczyna. Jej ucho sterczało jak wyrzucona na brzeg muszla i nieraz Willie May nasłuchiwała, czy nie usłyszy w nim szumu morza. Przez większość nocy czuwała aż do świtu, zapamiętując rytm oddechu córki, a na myśl o jej brakującym płucu płakała, aż łzy moczyły kołnierz jej nocnej koszuli.

W Queenscrown chłód, z jakim Elizabeth odnosiła się do młodszego syna, zniknął. Któregoś wieczora zapukała do drzwi jego pokoju, gdy Jeremy przyszedł w odwiedzin, i zanim Silas zdążył otworzyć, weszła, przerywając młodzieńcom rozmowę dotyczącą, jak słusznie się domyślała, zbliżającej się podróży.

– Och, Jeremy, dobrze, że cię jeszcze zastałam – powiedziała, gdy obaj pośpiesznie wstali. – Mogę usiąść? Mam propozycję.

– Matko, nie zaczynaj znowu – jęknął Silas, gdy on i Jeremy na powrót usiedli.

– O czym innym chcę powiedzieć, Silasie – odparła Elizabeth i siadając, złożyła przed sobą ręce jak nauczycielka, która zamierza prowadzić lekcję.

Już od dłuższego czasu nie miała okazji porozmawiać z Jeremym. Zauważyła, że tym razem nie zapytał o jej róże. Doskonale wiedział, że o tej porze roku pokrywają je jedynie kolce. Właśnie o tym zamierzała

teraz porozmawiać.

– Chciałabym zaproponować, aby każdy z was wziął szczepki róż, które wasi przodkowie z taką troską przywieźli z Anglii, by zasadzić w Karolinie Południowej. Są symbolem waszego dziedzictwa i... – Głos Elizabeth drżał, gdy ze łzami w oczach mówiła dalej. – Nie zniosłabym myśli, że nie macie niczego namacalnego, co przypominałoby wam o waszych rodzinach. Wy będziecie mieli swoje wspomnienia, ale wasze dzieci... Joshua i kolejne, których mogę nigdy nie ujrzeć... nie będą miały nic. – Z kieszeni sukni dobyła chusteczkę i otarła oczy, podczas gdy obaj mężczyźni spoglądali na nią z bezradnym skrepowaniem. – Twoja matka na pewno poradziłaby ci to samo, Jeremy, niech jej dusza spoczywa w spokoju. Uwielbiała swoje róże Yorków tak samo, jak ja swoje lancastery.

Elizabeth spodziewała się sprzeciwu ze strony Silasa – miejsce w wozach było ograniczone – jednak ku jej zdumieniu skinął głową na zgodę.

– Cudowny pomysł, matko. Sam powinienem był pomyśleć o różach. Chciałem prosić o zgodę na zabranie portretu księcia Somerset.

– Z tym będziesz musiał zwrócić się do Morrisa, ale jestem przekonana, że nie odmówi – powiedziała Elizabeth. – Przodkowie nie są dla niego tak ważni, jak dla ciebie.

Jeremy podniósł się z fotela. Ujął dłoń Elizabeth i pochylił się nad siateczką niebieskich żyłek.

– Cudowny pomysł. Polecę naszemu ogrodnikowi, żeby się tym zajął. Odkąd zabrakło mojej matki, stał się mistrzem w opiece nad różami.

– Przyjadę i osobiście dopilnuję, kiedy będzie je wykopywał. Korzenie trzeba starannie owinać jutą i utrzymywać stale w wilgoci – rzekła Elizabeth.

– Będę niezmiernie wdzięczny – powiedział Jeremy. – Dobranoc, Silasie. Nie musisz mnie odprowadzać.

Matka i syn znaleźli się sam na sam po raz pierwszy od chwili, gdy Silas oznajmił swoją wolę poślubienia Jessiki. Spoglądali teraz na siebie, a wesoły trzask ognia naigrawał się z ich niezręcznego milczenia. Po chwili odezwała się Elizabeth.

– Nie przyjdę, gdy ty i Joshua będziecie odjeżdżać. Nie zniosłabym tego. Rozumiesz, prawda?

– Tak, matko.

– Pojedziesz bez mojego błogosławieństwa, wiesz o tym, ale moja miłość do ciebie pozostanie niezmienna.

– Wiem, matko.

– Ale masz błogosławieństwo twojego ojca. Nie mogłam pozwolić, byś wyjechał, nie wiedząc o tym.

W spojrzeniu Silasa błysnął sceptycyzm. Usta wykrzywiły mu się w kpiącym grymasie.

– Ojciec rozmawia z tobą zza grobu? – Widząc jednak ból w oczach matki, dodał już łagodniej: – A może powiedziało ci o tym serce matki?

– Ani jedno, ani drugie – odparła Elizabeth. – Pomijając cię w testamencie, ojciec pchnął cię na drogę ku spełnieniu marzenia, które pielęgnowałeś w sobie od dziecka. Wiedział, że nigdy nie byłbyś posłuszny swojemu bratu, dlatego nie dał ci wyboru i zmusił do wyjazdu. Nie przewidział tylko, do czego się posuniesz.

Elizabeth wstała, a Silas ze zmarszczonym czołem zastanawiał się nad tym, co właśnie usłyszał.

– Trudno ci uwierzyć, Silasie, że ojciec cię kochał, ale tak było. Mogę tylko mieć nadzieję, że jego manipulacje nie sprawią, że los się od ciebie odwróci. Cena za nieprzemyślane decyzje okazuje się na ogół zbyt wysoka.

Elizabeth odwróciła się ku drzwiom, zamiatając szeroką spódnicą z ciemnej wełny.

– Dobranoc, synu. Och, a tak przy okazji... Być może zastanawiałeś się, gdzie podziewa się Morris.

Silas odparł obojętnie:

– Zbyt jestem zajęty ostatnimi przygotowaniem, by martwić się o Morrisa.

Wargi Elizabeth zadrżały.

– Wygląda na to, że on również nie może znieść pożegnania. Wiesz przecież, że kocha Joshuę jak własnego syna. Jest z jedyną osobą, która może złagodzić jego cierpienie. Łączą się we wspólnym bólu. Morris

pojechał do Savannah... do Lettie.

– Tippy, czy sądzisz, że można kochać człowieka, którego się nie poważa ani nie lubi?

– Skąd niby miałabym to wiedzieć, panienko Jessie? Kocham tylko panienkę i mamę.

– Ponieważ jesteś aniołem, który wyłonił się z łona twojej matki, i wiesz wszystko.

Na dwa dni przed wyjazdem Jessica i Tippy dochodziły do Podwórze oddalonego od Głównego Domu o pół mili, wiedząc, że mogą już nigdy więcej nie ujrzeć Willowshire. Jak na tę porę roku – a był luty – dzień był słoneczny i łagodny, idealny na pożegnalną przechadzkę po posiadłości i plantacji, jedynym domu, jaki do tej pory znały.

– Cóż, w takim razie to możliwe, tak samo jak dziki kwiat może wyrosnąć na skale. Niby bez sensu. Nic go tam nie nakarmi. – Tippy pytając popatrzyła na Jessicę. – Panience chodzi o pana Silasa?

– Chodzi mi o pana Silasa – przyznała Jessica, rumieniąc się. – I rzeczywiście nic tam tego nie nakarmi. Nie mam pojęcia, skąd to... idiotyczne uczucie się wzięło. Mój... mąż przehandlował najwspanialszą, najcudowniejszą kobietę na świecie, moją ukochaną przyjaciółkę, za kawałek ziemi. Czy sam ten fakt nie wystarczy, bym go nienawidziła?

– Bo ja wiem, panienko Jessie... ale niektóre dzikie kwiaty... za nic nie da się ich zabić. Można je wyrwać z korzeniami, a one za rok i tak znowu wyrosną.

Jessica nie znosiła, kiedy przyjaciółka posługiwała się murzyńskim dialektem z pola, ale nieopodal znajdowały się baraki niewolników, drzwi były pootwierane i Tippy za nic nie chciała dać ojcu Jessiki kolejnych powodów do karania córki. Kiedy jednak wyjadą, Tippy już nigdy nie będzie musiała wyrażać się jak nieuk, bez względu na to, czego pan Silas Toliver mógłby sobie zażyczyć. Zanim jednak Jessica zdążyła wypowiedzieć to na głos, jej uwagę odwróciło zamieszanie na Podwórzu. Na jego środku działo się coś, co wzbudziło zainteresowanie niewolników.

– Co to za poruszenie? – zastanowiła się Jessica na głos, a kiedy tłum przed nią się rozstał, zrozumiała.

– Carsonie, ona nie może wyjechać. Po prostu nie może. Jest naszą córką, naszą jedyną córką.

Było oczywiste, co Eunice ma na myśli. Jessica miałaby siostrę, ale ta zmarła tuż po urodzeniu.

Trafiła w słaby punkt męża. Gdy zbliżała się chwila odjazdu wozów, kolejne wieści z Teksasu były jeszcze bardziej niepokojące, Carson stawał się coraz bardziej ponury i przygnębiony. Eunice wiedząc, że mąż zaczyna martwić się o bezpieczeństwo córki, postanowiła działać.

– Jeszcze możemy ją zatrzymać – powiedziała. – Małżeństwo można anulować. Jessica i Silas nigdy nie... cóż, no wiesz.

– I co potem, Eunice? – zapytał Carson z twarzą poczerwieniałą ze zdenerwowania. – Znajdziemy się w punkcie wyjścia. Wolisz, żeby nasza córka trafiła do klasztoru?

– Jestem przekonana, że Jessica dostała nauczkę. Wystarczająco ją nastraszyłeś, żeby zrozumiała, co ją czeka, gdy powie lub uczyni coś, co znowu narazi na szwank opinię naszej rodziny – Eunice mówiła z przekonaniem matki, która dobrze zna własne dziecko.

– Jeśli się teraz wycofamy, Jessie pomyśli, że następnym razem oburzające współczucie i zachowanie ujdą jej na sucho – zaprotestował Carson, lecz w jego tonie słychać było niepewność.

Eunice podeszła, by z bliska spojrzeć mężowi w oczy.

– Jeżeli będzie następny raz, Carsonie – rzekła łagodnie – obiecuję, że nie sprzeciwię się temu, co będziesz musiał uczynić. Dopilnuję, żeby Jessie miała tego świadomość.

Carson westchnął głośno i odsunął się, nie chcąc ulec podstępowi żony.

– Zawarłem z Silasem umowę. Nie mogę się teraz wycofać. Już i tak wywołaliśmy skandal. Co będzie, gdy okażę się kanalią, człowiekiem, który zwiódł chłopca obietnicą pieniędzy na wyjazd do Teksasu, zmusił go, by zerwał zaręczyny z ukochaną kobietą, po czym na dwa dni przed wyjazdem usunął mu ziemię spod stóp? – Pokręcił zdecydowanie głową. – Nie mogę mu tego zrobić.

Eunice chwyciła męża pod brodę i zmusiła go, by na nią spojrział.

– Dotrzymaj umowy z Silasem. Niech jedzie, ale bez Jessiki. On

chce tylko twoich pieniędzy. Z radością się jej pozbędzie, bo wciąż będzie miał szansę, by ożenić się z Lettie. Stać cię na to, Carsonie. – Jej głos był błagalny, spojrzenie pełne miłości, gdy ujmowała jego twarz w dłonie. – Czy nasza córka nie jest tego warta, ukochany?

Carson dotknął rękami jej ramion, prawie ją obejmując, po raz pierwszy od dnia, gdy wszystko to się zaczęło.

– Jest tego warta – odezwał się ochryple i przyciągnął do siebie żonę.

Nie zdążył jej pocałować. Drzwi do biblioteki otworzyły się gwałtownie i wbiegła zadyszana Lulu.

– Wybacz, panie, ale musisz to zobaczyć. Chodzi o panienkę Jessicę. Znowuż to zrobiła.

– Co zrobiła?! – krzyknęła Eunice.

– Znowuż wzięła stronę czarnego.

– Co takiego? – Carson uwolnił się z objęć żony. – Kogo? Gdzie?

– Leniwego, śmierdzącego czarnucha, a co. On był przy palu.

Nadzorca, pan Wilson, już go miał wybatożyć, ale panienka Jessica mu nie dała, tylko mówi, że pierwiej musi wychłostać ją. – Lulu przerwała, żeby nabrać tchu. – Som tam teraz.

– Poślij kogoś do Wilsona, niech zaczeka. Zaraz tam przyjdę. –

Carson obrócił się do żony, z zaciśniętą szczęką, nieugiętym wzrokiem.

– Pani Wyndham, proszę dalej pakować naszą córkę. Jedzie do Teksasu.

Rozdział 26

Pierwszego marca 1836 roku, na godzinę przed wyruszeniem w podróż do Wschodniego Teksasu, wozy zaczęły się gromadzić na polu za miasteczkiem Willow Grove w Karolinie Południowej. Rodziny i przyjaciele przyszli pożegnać odjeżdżających, a niektóre sklepy były otwarte, by można było załatwić ostatnie sprawunki. Ich właściciele pragnęli po raz ostatni spotkać wiernych klientów, których mogli już nigdy więcej nie ujrzeć. Nastrój panował podniosły, choć towarzyszył mu smutek i troska. Dwudziestego trzeciego lutego meksykański generał Santa Anna i jego oddziały otoczyły 187 Teksasńczyków w misji o nazwie Alamo nad rzeką San Antonio. Ich dowódcą był tutejszy chłopak, z Karoliny Południowej, urodzony w hrabstwie Saluda. Nazywał się William Barret Travis. Towarzyszył mu kuzyn, również z Karoliny Południowej, James B. Bonham. Oblężenie Alamo trwało siedem dni, a „Charleston Courier” nie dawał nadziei, by dzielni obrońcy – między innymi Davy Crockett i Jim Bowie z Południa – wytrzymali do czasu przybycia posiłków.

Wśród zegnających nie zabrakło Wyndhamów i Warwicków wraz z najwierniejszą i najukochańszą służbą. Stali, zachowując uroczystą powagę. Nie zjawili się Elizabeth i Morris Toliverowie; zamiast nich odjeżdżających zegnali Cassandra i Lazarus, trzymający w ramionach wciąż jeszcze śpiącego Joshuę. Silas w ostatniej chwili zgodził się, by para starszusków została z jego matką i bratem i teraz w ich oczach malowała się ulga i wdzięczność. Obok Carsona, Eunice i Michaela stali Willie May i Jonah, zaś dwaj bracia Jeremy’ego i jego ojciec przyprowadzili murzyńską nianię, która zajmowała się wszystkimi synami Warwicków od niemowlęctwa.

W tłumie kręcił się uzbrojony w pióro i notes reporter z „Charleston Courier” – w świetle księżyca, gwiazd i płonących ognisk starał się zapisywać swoje myśli i wrażenia, jakie wywoływała rozgrywająca się na jego oczach scena, opisana później przez niego jako „niezapomniana”. Swój artykuł rozpoczął od podliczenia przerażających kosztów poniesionych w imię niepewnych nadziei i wątpliwego sukcesu zapuszczenia nowych korzeni na złowrogich obszarach oddalonych

o tysiące mil.

„Sześćset do ośmuset dolarów za podstawowe wyposażenie w postaci wozu i wołów, pożywienia i sprzętu – prawdziwa fortuna”, informował czytelnika. Dalej donosił, że tabor z Willow Grove będzie liczył w przybliżeniu dwieście osób wraz z niewolnikami i nieokreśloną liczbę innych środków transportu, ponieważ zmieniała się ona z tygodnia na tydzień. Składały się na nią wszelakie pojazdy, różnego rodzaju, wielkości i wartości, poczynając od drogich wozów conestoga i szkunerów prerii (lżejszej wersji wielbłąda pustyni), przez targowe fury, powoziki, powozy, wozy drabiniaste, po juczne muły. Wielu osadników będzie wędrowało piechotą, śpiąc pod wozami lub pod gołym niebem i żywiąc się tym, co znajdą po drodze. Tabor miał pokonywać od dziesięciu do piętnastu mil dziennie.

Na czele tej zbieraniny, pisał dalej dziennikarz, stali dowódcy taboru, którzy dosiadali swoich koni niczym książęta dowodzący pachołkami, a ich ufność była równie jasna jak dzień wstający nad tym niezwykłym widowiskiem. „Silas Toliver i Jeremy Warwick dowodzą niczym urodzeni władcy, a dzięki swej wiedzy i talentom, choć niekoniecznie doświadczeniu, zyskują powszechny posłuch” – donosił. „Na ich barkach spoczywa ciężar odpowiedzialności za doprowadzenie wędrowców tam, dokąd zmierzają, jak najbezpieczniej”. Reporter przytaczał słowa Jeremy’ego: „Studiowaliśmy każdą mapę terenu, ślęczeliśmy nad każdym artykułem i przewodnikiem, czytaliśmy każdy list od naszych korespondentów w Teksasie, rozmawialiśmy z dziesiątkami ludzi, którzy stamtąd wrócili. Posiadamy najlepszą wiedzę, by szczęśliwie doprowadzić nasz tabor do celu. Reszta w rękach Boga”.

Silas nie zgodził się na rozmowę z dziennikarzem, ten jednak nie odstępował go na krok, z pasją zapisując każdy rozkaz dowódcy taboru, wypowiedziany spokojnie, lecz tonem nieznoszącym sprzeciwu. Ludzie mieli dwie godziny na uporanie się z rodziną i zwierzętami, załatwienie ostatnich spraw, pożegnania i zajęcie wyznaczonego im miejsca w taborze. Ci, którzy by nie zdążyli, musieliby zostać. Nie było miejsca dla spóźnialskich i maruderów. W zapiskach reportera znalazł się element osobisty, gdy dowódca oddawał swego syna pod pieczę woźnicy

jego wozu, jednego z najbardziej zaufanych niewolników z Queenscrown. Reporter przytoczył słowa Joshui: „Papo. Czemu nie mogę jechać z Jessicą i Tippy?”.

Silas Toliver uległ płacziwej prośbie i niosąc syna na rękach, pomaszerował do wozu Jessiki Wyndham – pani Silasowej Toliver! – w którym siedziała wystrojona niczym paw między wróblami, u boku mając dziwną, podobną do chochlika służącą i młodego kolorowego chłopca o imieniu Jasper. Dowódca taboru powtórzył żonie prośbę Joshui, na co ona odpowiedziała radośnie: „Ależ oczywiście” i choć zbyt drobna, by udźwignąć taki ciężar, chwyciła chłopczyka w ramiona. „Nie martw się, Silasie, zaopiekujemy się nim”, powiedziała i uśmiechnęła się do zaspanego Joshui. „Pora na drzemkę, młody człowieku”, dodała jeszcze i nie odzywając się więcej do męża, ułożyła chłopca pod sztywnym białym płótnem.

Dziennikarz zauważył, że gdy Silas Toliver się oddalał, jego surowa twarz nieco złagodniała, a pismak z „Couriera” przyznał sam przed sobą, że oddałby miesięczną pensję za myśli mężczyzny, który – jak głosiła plotka – nie skonsumował jeszcze swojego małżeństwa, ale poważnemu reporterowi taka paplanina nie przystoi. Młody człowiek zebrał się natomiast na odwagę i zapytał Carsona Wyndhama o komentarz, co on jako ojciec czuje, żegnając córkę wyruszającą do Teksasu.

– A pańskim zdaniem co mogę czuć? – warknął budzący lęk bawełniany baron, po czym z wściekłym wyrazem twarzy odszedł wraz z żoną i synem, zanim dziennikarz zdążył unieść pióro, by zapisać jego odpowiedź.

Gdy nadeszła ustalona godzina odjazdu, rozległ się sygnał trąbki. Dowódcy taboru zajęli już swoje pozycje, każdy na czele pstrokatej linii pojazdów, zwierząt, niewolników i tych wszystkich, którzy będą pieszo wędrowali w kurzu wzbijanym przez koła. Kiedy w zimnym porannym powietrzu przebrzmiały ostatnie dźwięki instrumentu, Silas Toliver i Jeremy Warwick unieśli dłonie i dali sygnał do marszu. Tabor ruszył.

Dziennikarz wraz z żegnającymi patrzyli za kawalkadą oddalającą się w kakofonii skrzywienia kół, grzechotu garnków i patelni objających się o boki wozów, płaczu dzieci, ujadania psów, beczenia, muczenia,

gdakania, gęgania i kwaczenia – „dźwiękach zdobywania Zachodu”, jak opisał widowisko w swoim artykule. Młodzieniec całym sercem życzył pionierom powodzenia. Za tydzień napisze o upadku Alamo w Teksasie, a później o odwecie Tekszańczyków pod San Jacinto, gdzie pod wodzą Sama Houstona pokonają Santa Annę i jego armię i ogłoszą niezależność swego terytorium od Meksyku. Tabor z Willow Grove zmierzał ku nowo ustanowionej Republice Teksasu.



CZEŚĆ II

1836-1859

Rozdział 27

Już pierwszej nocy, kiedy tabor ustawił się w koło, tworząc bezpieczne schronienie i zagrodę dla zwierząt, Jessica zrozumiała, że niczego się od niej nie oczekuje. Inne kobiety prawie w ogóle nie zsiadały z wozów, dopóki nie przygotowały swoim rodzinom posiłków i miejsc na nocny spoczynek. Jessica obserwowała zorganizowaną krzątanicę z pełnym szacunku przerażeniem, czując się beznadziejna i bezużyteczna, kiedy matki posyłały najmłodsze dzieci po drewno i wodę, starszym kazały kopać kręgi ogniskowe, mężczyźni zaś wyprzęgali i oporządzali zwierzęta. Wyciągano kociołki, rożny, patelnie i naczynia i w mgnieniu oka w garnkach zaczynało bulgotać i parzyła się kawa. Dwoje niewolników, Jeremiah i Maddie, których Silas zabrał zamiast Lazarusa i Cassandry, zajmowało się obozowiskiem rodziny Toliverów.

Kiedy po raz pierwszy tego dnia Silas podszedł do niej, Jessica otulona modnym niebieskim płaszczem z wełny merynosów wyznała:

– Czuję się taka... niepotrzebna.

– Niesłusznie. Wspaniale się pani dzisiaj zajęła Joshua. Nie nudził się dzięki pani.

– Robię to z prawdziwą przyjemnością. Co należy do moich obowiązków?

– Nic, poza dbaniem o siebie.

– No tak, nie możemy pozwolić, żebym umarła, zanim zbuduje pan swoją plantację.

Odniosła wrażenie, że Silas po raz kolejny chce wyjaśnić, iż po raz kolejny źle odczytała jego słowa, uznał to jednak za zbyt ciężki trud.

– Proszę powiedzieć Tippy, żeby ustawiała pani umywalnię w miejscu, gdzie sięga światło z ogniska. Ciemność daje poczucie prywatności, ale jest też niebezpieczna. Łatwo porwać kogoś po cichu i nikt niczego nie zauważy do czasu, aż się okaże, że kogoś brakuje.

– Kto chciałby mnie porwać?

– Może wyobraźnia podpowie pani, że lepiej wierzyć mi na słowo, panno Wyndham.

Do ich ogniska zbliżył się Jeremy.

– Dla okupu, Jess – wyjaśnił cicho, zwracając się do niej po przyjacielsku zdrobnionym imieniem, które sobie upodobał. – Albo jakiś Krik marzący o białej squaw.

– Lub jeszcze coś gorszego – dodał Silas z uniesioną znacząco brwią.

– Chcecie... chcecie mnie nastraszyć.

– Nie, panno Wyndham – rzekł Silas. – Chcemy panią chronić. Proszę nie wychodzić poza krąg światła.

Jessica nie odważyła się zlekceważyć polecenia i myślała się w wozie, wypatrując i nasłuchując dziwnych cieni i odgłosów. Obok niej na pryczy spała Tippy, ale Jessica przez dwa tygodnie nie mogła zmrużyć oka, lękając się, że w każdej chwili ujrzy przyczajoną postać albo cień przybranej w pióra głowy indiańskiego wojownika.

Od samego początku stało się jasne, że uprzywilejowana córka Carsona Wyndhama nie ma wstępu do zamkniętej społeczności taboru. Nie tylko ciążył na niej wątpliwy status żony Silasa Tolivera, traktowała też czarnego woźnicę i służącą jak równych sobie, co tylko potwierdzało plotki o jej antyniewolniczych poglądach, które jeszcze przed wyruszeniem w drogę rozniosły się wśród wędrowców. Członkowie rodzin posiadających niewolników, zwłaszcza mężczyźni, patrzyli na nią z niechęcią i Jessica była pewna, że nie pozwalają swoim żonom, żeby się z nią zadawły, „zupełnie jakby się bali, że rozkuję ich niewolników i wypuszczę ich na wolność” – powiedziała do Tippy. Inni nie próbowali się z nią zaprzyjaźnić, gdyż dzieliła ich od niej zbyt wielka przepaść i Jessica nie miała pojęcia, jak ją pokonać.

Chętnie porozmawiałyby o tym z Silasem, ponieważ marzyła, by stać się częścią grupy i pracować na równi ze wszystkimi, jednak widywała go rzadko, jedynie wieczorami, gdy zbierali się przy ognisku na posiłek, a i te chwile trwały zwykle krótko. Nieustannie proszono go o radę i pomoc. Gdy znalazł czas, by w spokoju się posilić, rozmawiali głównie o Joshui. Tippy poprosiła ją, by ona i Jasper jedli później, razem z Jeremiahem i Maddie, na co Jessica niechętnie się zgodziła – „to będzie lepiej wyglądało, panienko” – ale często dosiadali się do nich Jeremy i Tomahawk, nigdy więc nie mogła mieć Silasa wyłącznie dla siebie. Zaczęła żałować, że bez ustanku ktoś zakłóca jej chwile sam na

sam z mężem.

Postanowiła, że dla zabicia czasu będzie prowadzić dziennik – coś jak dziennik okrętowy – ich wędrówki. Któregoś dnia może napisze dla potomności książkę o swoich przeżyciach.

– Jaki będzie mieć tytuł? – zapytała Tippy.

– Jeszcze nie wiem. Ale na pewno coś przyjdzie mi do głowy.

Pisanie dziennika okazało się idealnym sposobem na wypełnienie długich godzin spędzanych na podskakującym siedzeniu wozu, podczas gdy Tippy schowana pod plandeką szyla skórzaną kurtkę, identyczną jaką miał Silas, prezent na piąte urodziny Jo-shui przypadające w maju. Tippy poprosiła Jeremy'ego, by znalazł odpowiednią skórę, a on zdobył ją nie wiadomo jak i gdzie, a tajemnica, w jakiej cała czwórka – Jeremy, Jasper, Jessica i Tippy – trzymała wszystko przed chłopcem i jego ojcem, przydawała urozmaicenia i ubarwiała wlekące się bez końca dnie.

Silas nie powoził swoim zaprzęgiem, ponieważ wraz z Jeremym jechał cały czas na czele taboru. Swój wóz oddał pod opiekę niewolnikowi od dawna należącemu do Queenscrown. Kiedy burty były podniesione, Jessica widziała zdrewniałe pędy róż otaczane przez woźnicę troskliwą opieką. Jeremy również wiozł owinięte w jutę sadzonki róż ze swojego ogrodu. Tippy poradziła jemu i Silasowi, żeby trzymali je w fusach po kawie, przez co się wzmocnią. Ponieważ miejsce w wozach było na wagę złota, Jessica się dziwiła, że obaj mężczyźni część z niego poświęcili na róże.

– Czemu są takie ważne? – zapytała Jeremy'ego.

– Są symbolami naszych rodów, które mają swoje początki w Anglii – wyjaśnił. – Silas wiezie lancastery dla upamiętnienia swojego dziedzictwa.

– A ty? Czemu wzięłeś ze sobą białe róże Yorków?

– Przez pamięć mojej matki.

Choć Silas wolałby inaczej, chudy, patykowaty Jasper powoził zaprzęgiem czterech narowistych koni Jessiki, które dostała w prezencie od ojca. Zdaniem Silasa lepszym prezentem byłyby woły, co prawda wolniejsze, ale bardziej uległe i dużo lepiej nadające się na zwierzęta gospodarskie.

– Uważaj, Jasper, bo przy pierwszym podskoku wylatujesz i dalej

będziesz szedł pieszo, rozumiesz? Ktoś inny zajmie twoje miejsce.

– Tak jest, panie Silasie.

– Słyszałaś? – zwróciła się Tippy do Jessiki. – Twój mąż troszczy się o bezpieczeństwo żony.

– Troszczy się o bezpieczeństwo swoich funduszy.

Tyle rzeczy trzeba było zapisać, a Jessica odkryła w sobie talent narracyjny. Szczegóły, które zwykle jako jedyne znajdowały się w dziennikach podróży, takie jak warunki drogowe, pogoda, ukształtowanie terenu, zamieszczała tylko wtedy, gdy miały wpływ na życie w taborze, co zresztą zdarzało się często. Okraszała natomiast swoje zapiski osobistymi refleksjami i wrażeniami dotyczącymi ludzi, miejsc i wydarzeń, a w miarę upływu czasu jej dziennik zamieniał się w pamiętnik.

29 marca 1836

Czasem wspominam siebie w poprzednim życiu i ledwo pamiętam tamtą dziewczynę, którą wtedy byłam. Wiem, że wstawiała z puchowej pościeli nie wcześniej niż o dziewiątej, obmywała twarz w pokoju ogrzanym ogniem, który rozpalala służąca, czesała włosy i schodziła na śniadanie z rodziną podawane z suto zastawionego kredensu. Zawsze znajdowały się tam szynka i sos, bekon i jajka, gorące bułeczki pod srebrną pokrywą, by nie wystygły, a wszystko podawane na pięknej porcelanie. Były galaretki i dżemy, syrop z trzciny cukrowej, kawa i śmietanka. Potem służąca i najlepsza przyjaciółka przygotowywała jej kąpiel, ubierała ją i układała fryzurę; jedynym problemem dziewczyny było znalezienie sobie jakiegoś zajęcia. Dziewczyna, którą jestem teraz, wstaje z twardej pryczy, kiedy wciąż jest ciemno i tak zimno, że z trudem powstrzymuje szczekanie zębami. Śpi w ubraniu, w którym chodziła dzień wcześniej, a o kąpielu może zapomnieć, ponieważ woda jest lodowata. Bywają ranki, kiedy na czesanie szkoda jej czasu i energii, bo i tak włosy chroni przed zimnem pod czepkiem, którego nie zdejmie aż do wieczora. Na śniadanie je gorącą breję posłodzoną do smaku syropem z trzciny cukrowej, którego zapas niedługo nam się skończy, a zamiast porcelanowej zastawy, którą musieliśmy zostawić po drodze,

korzystamy z pożyczonych miedzianych misek.

Mimo to nie tęsknię zbyt za tamtą dziewczyną, choć podróż jest bardzo uciążliwa. Nigdy zresztą nie miałam powodów do próżności, tak więc świeże ubrania i ułożona fryzura nie mają dla mnie znaczenia, chociaż tęsknię za gorącą kąpielą i pachnącym mydłem – za jakąkolwiek kąpielą! Wystarczyłby zwykły strumień, ale mój mąż powiedział – rozkazał! – bym nocą nie wychodziła poza obóz, a tylko wtedy mogłabym liczyć na odrobinę prywatności. Zresztą zimno panuje tak przenikliwie, że nawet nie myślę o wymknięciu się z wozu i zanurzeniu w potoku, obok którego akurat się zatrzymaliśmy. Szczęśliwie nadchodzi wiosna. W niektóre dni niemal można wyczuć, jak staruszka ziemia się obraca, by ogrzać sobie grzbiet w słońcu, zaś obłoki na niebie to prawdziwa poezja.

Mój mąż. Dziwnie się czuję, myśląc o Silasie Toliverze w ten sposób, skoro i tak nigdy nim dla mnie nie będzie. Jego serce należy do Lettie, być może na zawsze. Straszliwie musi za nią tęsknić. Czy możliwe, aby nie myślał o niej podczas tych długich, samotnych godzin na czele taboru? Lecz gdyby nawet nie chodziło o Lettie, zdaniem Tippy, gdy się widzimy z Silasem, wygląda to jak spotkanie „gorącej patelni z gołym tyłkiem”. Radzi mi też, żebym od czasu do czasu się do niego uśmiechnęła.

I tak nie zauważy, odpowiadam.

Spróbuj, mówi, i wiem, że bystra jak zawsze, zauważyła moje coraz cieplejsze wobec niego uczucia.

1 kwietnia 1836

Chciałabym, aby mój wóz jechał na czele taboru, bo wtedy mogłabym liczyć na częstsze towarzystwo Silasa, ale nie, muszę wlec się w środku. Mogłabym oczywiście wyrazić swoje niezadowolenie, ale wówczas Silas odwołałby się do mojego rozsądku, a ja nie wiedziałabym, co mu odpowiedzieć. Twierdzi, że zajmuję takie, a nie inne miejsce w szeregu z prostego powodu: tak jest bezpieczniej. Na prowadzącym woźnicy ciąży wielka odpowiedzialność, a Jasper ma zbyt małe doświadczenie. Jadący na czele musi wyszukiwać najlepszą drogę,

kontrolować tempo marszu i reagować, gdy dowódca da sygnał, by się zatrzymać, zwolnić, przyspieszyć czy zmienić kierunek. Często po drodze można natknąć się na węża lub dzikie zwierzę, a te płoszą zwierzęta pociągowe. W takiej sytuacji tylko pewny i opanowany woźnica zdoła zapobiec panice.

Wóz Jeremy'ego jadący na czele kolumny Warwicków prowadzi niewolnik o imieniu Bill, jeden z najślawniejszych wozaków w Karolinie Południowej.

Czy ośmielę się pisać w tym pamiętniku o swoich uczuciach? A jeżeli Silas to przeczyta? Wówczas się dowie, że żałuję, iż prawie w ogóle go nie widuję, z wyjątkiem tych chwil, gdy podjeżdża do nas, by sprawdzić, jak Joshua radzi sobie w moim wozie w dni, kiedy nie pozwala chłopcu jechać na koźle obok Billy'ego.

Gdy się pojawia, wciąż nie umiem ukryć swojej goryczy. Litości, gdyby nie syn, mój mąż zapewne w ogóle by się nie zainteresował, jak radzi sobie jego żona. Co się ze mną dzieje? Za każdym razem, gdy widzę Silasa, jak pewnie i spokojnie dosiada swojego konia, jak sprawiedliwie i roztropnie rozwiązuje wszystkie problemy, które codziennie się pojawiają, czuję zalewającą mnie okropną falę czułości i dumy, która tak mnie złości i krępuje. Skąd te uczucia wobec człowieka, z którym nic mnie nie łączy?

Chciałabym mieć powiernicę, której wiedza i doświadczenie pomogłyby mi zrozumieć te niestosowne emocje przyprawiające mnie o słabość i poczucie beznadziei. Czasem tak mnie przepelniają, że czuję, jakbym miała pęknąć niczym zbyt wypchany świński pęcherz.

Tippy powiedziała mi, że jestem zakochana i zaczynają we mnie krążyć kobiece soki. Zdradziły jej to gwiazdy.

Poprosiłam, by spytała, co mam z tym począć.

Bądź miła dla pana Silasa i zobaczysz, co z tego wyniknie, brzmiała jej odpowiedź.

Odparłam, że w Willowshire nagadałam mu samych okropności, których na pewno nie zapomniał.

Tippy odrzekła, że mężczyzna nie zważa na słowa kobiety, nie wtedy, kiedy krążą jego z kolei soki.

Rozpaczalam, że mój wygląd nie pomoże mu zapomnieć ani też nie

obudzi jego soków.

Jeszcze się zdziwisz, odparła Tippy z uśmiechem.

W rzeczy samej.

Rozdział 28

Kiedy dotarli do Georgii, Jessica zamiast gorsetu zaczęła nosić jedną halkę, a miejsce eleganckich kreacji z bufiastymi rękawami i spódnicą z pełnego koła zajęły prostsze bawełniane sukienki. Zaczęła krakać, chociaż jeszcze nie weszła między wrony. Głupotą byłaby dbałość o utrzymanie „sylwetki w stylu empire”, jej jedyne atutu, gdy trzeba było odciążyć wóz i wędrować obok w błocku i ulewnym deszczu albo utrzymać się na koźle, gdy jechali po zalanych wodą drogach, brnęli przez lasy i mokradła czy przepawali się przez rzekę. Szerokie rondo czepka, który tuż przed wyjazdem z Karoliny Południowej kupiła w zwykłym sklepie w jakimś małym miasteczku, chroniło jej piegowatą twarz, Silas zaś zaskoczył ją, wręczając jej parę topornych damskich buciorów, które zauważył na wystawie sklepowej.

– Mam nadzieję, że nie będą za duże – powiedział. – Ma pani takie drobne stopy.

Jego komplement uszczęśliwił Jessicę. Nigdy w życiu nie widziała równie paskudnego obuwia, które faktycznie okazało się za duże – choć by temu zaradzić, wystarczyło włożyć grube skarpety – ale okazało się dużo praktyczniejsze i bardziej wygodne od jej lekkich skórzanych pantofelków.

– Dziękuję – powiedziała onieśmielona.

Ucieszył się, widząc, że sprawił jej przyjemność.

– Nie ma za co.

– Oczywiście, zwrócę panu za nie – dodała.

Na jego twarzy pojawił się zawód, natychmiast jednak się opanował.

– To miał być prezent, za który zapłaciłem z własnej kieszeni, ale jeśli taka pani wola, proszę uznać, że kupił je pani ojciec i już są zapłacone.

Powiedział to oschłym tonem i oddalił się, zanim dostrzegł, jak Jessica przygryza wargi, zła na samą siebie.

Czemu, zastanawiała się, zatrząskuje Silasowi drzwi przed nosem za każdym razem, gdy on próbuje je dla niej otworzyć? Czy się lękała, że on pozna prawdę o uczuciach, które do niego żywi, bez względu na

to, jaka to prawda? Nadejdzie dzień, w którym przestanie mu zależeć i nie będzie mogła mieć o to do niego żalu. W rzeczy samej, tydzień później odnotowała w swoim pamiętniku ostatnią próbę, którą podjął, by zaskarbić sobie jej przyjaźń. Do tego czasu jednak był zbyt zajęty i za dużo się działo, by w ogóle się nią zajmował. Do ich ostatniej rozmowy doszło na dzień przed tym, gdy dotarły do nich przerażające wieści.

7 kwietnia 1836

O mój Boże, mówi się, że Krikowie mogą rozpocząć wojnę przeciwko białym, którzy podstępnie ukradli im ziemię, i mamy mieć się stale na baczności, przejeżdżając przez Georgię i Alabamę. Co też ci chciwi biali sobie myśleli, najeżdżając łowieckie tereny i farmy Krików, przepędzając ich z domów i kradnąc im prawo do ziemi? Na próżno zwracali się do rządu, by położył kres złodziejstwu. Rząd Stanów Zjednoczonych złamał każdy traktat, który podpisał z Krikami, gwarantując im ochronę przed naruszeniem ich terytoriów, i w końcu Indianie stracili cierpliwość.

Martwi mnie, że – głównie właściciele niewolników, ma się rozumieć – zaczynają burzyć się przeciwko Tomahawkowi Lacy, zwiadowcy z plemienia Krików, który wiernie służy Jeremy'emu i który ma nas ostrzegać przed niebezpieczeństwami, a także wyszukiwać bezpieczną drogę. Jego talenty zwiadowcze jak dotąd okazywały się bezcenne, a teraz pojawiają się wątpliwości, czy można ufać raportom, które przynosi ze swoich misji. Obawiają się, że może czuć się rozdarty między lojalnością wobec Jeremy'ego i wobec własnego ludu. Bardzo lubię Tomahawka. Kiedy z kimś rozmawia, zamyka oczy, jakby zastanawiał się nad każdym słowem, by wypowiedzieć je jak najdokładniej. Można by pomyśleć, że to denerwujące, ale tak nie jest. Wręcz przeciwnie, dzięki temu wierzy się mu we wszystko, co mówi.

Ci, co zrzędują, nie zwracają się ze swoimi wątpliwościami bezpośrednio do Silasa czy Jeremy'ego. Szepczą między sobą, ale tak, żebym słyszała, zapewne w nadziei, że powtórzę wszystko Silasowi, co rzeczywiście uczyniłam, a on z kolei poinformował Jeremy'ego. Zauważyłam, że mężczyźni, również cholerycy, omijają Silasa

i Jeremy'ego szerokim łukiem. Mój mąż i Jeremy okazali się nadzwyczajnymi dowódcami taboru i jasno dali do zrozumienia, że ci, którym ich dowództwo nie odpowiada, mogą się wycofać i na własną rękę szukać drogi do Teksasu.

Jak dotąd nikt tego nie uczynił.

Ponieważ było niemal pewne, że Indianie zaatakują, tabor musiał zatrzymać się na jeden dzień, tak by wszyscy – mężczyźni, kobiety i dzieci – mogli się nauczyć i przećwiczyć obronę i procedury bezpieczeństwa. Dowódcy i Tomahawk wyjaśnili wędrowcom, czego można się spodziewać w razie ataku, po czym wytłumaczyli i pokazali, co robić, żeby zachować życie, dobytek i zwierzęta. W ramach ćwiczeń członkowie taboru podzielili się na ośmioosobowe grupy, a każdy członek rodziny został poinstruowany, jak ma pomagać pozostałym.

– Zgoda buduje, niezgoda rujnuje – zacytował Jeremy. – Gdy Indianie zaatakują, nikt nie może myśleć tylko o sobie. Wszyscy musimy chronić tych, których mamy obok.

Pod dowództwem najbardziej doświadczonych ludzie się rozdzielili, by przećwiczyć to, czego się nauczyli. Tippy, Jasper, Joshua, Jeremiah i Maddie trafili do grupy Tomahawka. Jessica stała obok swojego wozu i czekała, do kogo zostanie przydzielona. Zaczynała się już niecierpliwic, gdy w końcu Silas mógł oderwać się od swoich obowiązków. Serce zabiło jej szybciej, gdy ujrzała, jak wysoki i smukły zbliża się do niej, przybrała jednak kamienny wyraz twarzy, by z niczym się przed nim nie zdradzić.

– Już myślałam, że o mnie zapomniano, panie Toliver – powiedziała oschle. – Z którą grupą mam ćwiczyć?

– Ze mną, panno Wyndham. – Silas wyciągnął strzelbę z długą lufą. – Czy potrafi pani z tego strzelać?

Zdębiała.

– Ja... potrafię strzelać z pistoletu. Nauczyłam się przed wyjazdem z Karoliny Południowej.

– A z broni skałkowej?

– Nigdy nie miałam czegoś takiego w ręce.

– W takim razie proszę się położyć na brzuchu, obok koła pani wozu.

– W jakim celu?
– Nauczę panią, jak się z tego strzela.
– Och. Sądziłam, że moim zadaniem będzie ładowanie broni.
– To też, panno Wyndham, ale każda kobieta musi wiedzieć, jak celować, ładować i strzelać z broni w razie ataku Indian. Pistolet proszę trzymać pod ręką, ale on przyda się tylko wtedy, kiedy napastnik podejdzie blisko. Dzisiaj nie będziemy marnować amunicji, ale możemy poćwiczyć celowanie i strzelanie, pokażę też pani, jak ładować strzelbę. A teraz, proszę, niech się pani położy na ziemi.

Jessica się podporządkowała i dech jej zapało, kiedy Silas położył się obok i sięgnął, by pokazać jej, jak przykłada się broń do ramienia. Próbowwała nie zwracać uwagi, że jego ciało przywiera do jej, a jego głowa znajduje się tuż obok, gdy cierpliwie i łagodnie ostrzegał ją przed odrzutem broni i wyjaśniał wszystko, mówiąc wprost do jej ucha.

– Proszę oprzeć strzelbę o szprychę i celować w brzuch konia. Kiedy koń się przewróci, Indianin także upadnie. Może pani nie mieć czasu na przeładowanie. Kiedy Indianin się zbliży, wtedy niech pani strzela z pistoletu.

Jessica słuchała przerażona. Strzelać do człowieka, do niewinnego konia?

– Właśnie tak. Dobrze. Proszę spróbować jeszcze raz – powiedział Silas, leżąc tuż przy niej, kiedy celowała i strzelała do wymyślanego celu.

Gdy uznał, że wystarczy, pokazał jej, jak włożyć papierowy nabój z prochem i ołowianą kulę do lufy. Siedzieli, stykając się kolanami, z głowami pochylonymi nad strzelbę. Jessica była aż nadto świadoma jego bliskości i miała tylko nadzieję, że on nie wyczuje buzujących w niej „soków”.

– Dobrze – rzekł, dziwnie szybko, i wstał. – Na dzisiaj wystarczy.

Wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać, a ona zauważyła, że omiata wzrokiem jej włosy, które płomienną falą opadały jej na ramiona. Ponieważ dzień choć ciepły, był pochmurny, nie założyła czepka.

– Na wypadek ataku będzie lepiej, jeśli całkiem zasłoni pani włosy – powiedział. – Indianie i ich wodzowie szczególnie cenią sobie rudowłose białe kobiety... co nie znaczy, że traktują je z należytym

szacunkiem.

Jessica przerażona złapała się za głowę.

– Uważa pan, że... powinnam je ściąć? – zapytała żałośnie.

Zdawał się podzielać jej żal.

– Byłaby to wielka szkoda. Nie, zanim podejmiemy tak drastyczną decyzję, lepiej poczekajmy na rozwój sytuacji. Zostawiam pani strzelbę. Proszę ćwiczyć celowanie i ładowanie, ale nie wkładać naboju do lufy. Będziemy potrzebować każdej sztuki amunicji, gdyby wydarzyło się najgorsze. Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Tak, miejmy nadzieję – zgodziła się z nim Jessica. – Dziękuję za szkolenie, panie Toliver. Rozumiem, że tylko pan korzysta na moim bezpieczeństwie, ale... dziękuję za tę lekcję ze względu na samą siebie.

– Wszyscy korzystamy na lekcji bezpieczeństwa, panno Wyndham – odparł Silas, po czym się oddalił i były to słowa, po których na wiele następnych, pełnych niepokoju tygodni zapadło między nimi milczenie. Czują na sobie jego czujny wzrok, gdy przejeżdżali przez Georgię, Alabamę i wreszcie Luizjanę, nie niepokojeni przez Krików, którzy rzeczywiście wypowiedzieli białym wojnę, przez cały jednak czas trzymał się od niej z daleka. Jessica mogła się jedynie domyślać, jaką ulgę odczuje, gdy wreszcie będzie mógł ją zostawić w Nowym Orleanie, co miało nastąpić za dwa tygodnie.

Rozdział 29

Silas odłożył swoją księgę rachunkową. Od początku wyprawy z trudem znajdował chwilę, by rejestrować wydatki związane z podróżą. Lubił to robić w zaciszu swojego wozu, kiedy nastawała noc i panował

już spokój, ale zwykle ledwo usiadł do rachunków, zaraz ktoś pukał w burtę z jakąś prośbą. Nalał sobie odrobinę brandy do szklanki i z zadowoleniem rozsiadł się wygodnie. Jak dotąd koszty wyprawy były niższe, niż zakładał budżet, co jednak nie pociągnęło za sobą żadnych braków w zapasach i materiałach. Opuścili już terytorium Krików, ale Silas nie żałował pieniędzy wydanych na dodatkową amunicję i pęta dla zwierząt, by podczas ataku Indianie ich nie ukradli. Gdy dotrą do Teksasu, zakupy na pewno okażą się przydatne. Dzięki ostrożnemu wydawaniu zaoszczędził pieniądze, które dostał za spalone wozy. Carson Wyndham nie musiał wiedzieć o tej nadwyżce ani o innych środkach zaoszczędzonych z kolejnych przelewów. Silas nie wahał się tak dopasowywać rachunki, by zgadzały się z wydatkami, które pokrywał jego teść. Nie uważał tego za oszustwo. Na jego gospodarności Carson tylko skorzysta, ponieważ zięć zamierzał spłacić co do centa wszystko, co Wyndham mu zapłacił za pozbycie się córki.

Silas nie wiedział jeszcze, jak zdoła to osiągnąć, ale zacznie od sprzedania swojego wozu w Nowym Orleanie, a do Teksasu dotrze, dzieląc wóz z Jeremym, i już obmyślał sposoby, jak tu i tam uszczknąć nieco z wydatków i odkładać, jednocześnie za pieniądze Wyndhama budując Somerset. Z budową domu zaczeka, aż będzie ją mógł sfinansować z własnej kieszeni, ale ani dla Jessiki, ani dla swojej dumy czy jakiegokolwiek innego powodu nie poświęci swojej ziemi i jej zagospodarowania, chociaż nie potrafił całkowicie zapomnieć o przestrodze, którą dała mu matka: „Jeśli zawrzesz to małżeństwo z powodów, dla których się na nie zdecydowałeś, klątwa spadnie na twoją ziemię w Teksasie”.

Brednie. Nie istniało nic takiego jak klątwa, a nawet jeśli, zdejmie ją, zwracając Jessice wolność. Będzie odkładał część zysków z bawełny i pomnażał pieniądze, kupi nawet mniej niewolników i ziemi, niż początkowo zamierzał, aż do dnia (miał nadzieję, że nadejdzie on za pięć lat), w którym wypisze notę bankową dla zniechęconego „dobroczyńcy” pokrywającą wszystko, za co Silas zaprzedał swoją duszę – również jego córkę. Jessica odzyska wolność. Wciąż jeszcze będzie młoda. Może zamieszkać u ciotki na Północy i do woli oddawać się swoim abolicjonistycznym sentymentom, a jej ojciec nie będzie mógł się

temu w żaden sposób sprzeciwić. Przynajmniej tyle Silas mógł dla Jessiki zrobić.

Urzeczywistnienie wszystkich tych planów zależało oczywiście od tego, czy bezpiecznie dotrze do Teksasu, by zacząć tam wszystko od początku.

Odzyskawszy wolność, Jessica może zechce poślubić Jeremy'ego, który był nią zauroczony.

– Nie usłyszałem od niej żadnej skargi, biadolenia czy utyskiwania, Silasie – powiedział ostatnio.

– Ty na pewno usłyszałaś je prędzej ode mnie, Jeremy.

– Tylko dlatego, że tak rzadko z nią przebywasz. Ona nie odrywa od ciebie oczu. Gdybyś spojrział na nią od czasu do czasu, sam byś to zauważył.

– Zrobiłbym to, ale lękam się, że na mnie napluje – odparł Silas z goryczą.

„Nie odrywa oczu”? Jeremy chyba stracił swoją zdolność obserwacji, skoro uważał, że ta zimna mała abolicjonistka czuje do niego coś poza odrazą.

– Píše pamiętnik – powiedział przyjaciel. – Kobiety zwierają się swoim pamiętnikom ze wszystkiego. Może byś do niego zajrzał i czegoś się dowiedział?

– Boję się tego, co mógłbym w nim znaleźć.

– Przeczytaj dziennik, Silasie.

Lecz mimo zimnej obojętności Jessiki, Toliver zaczął czuć do niej podziw. Jego żona chciała uczestniczyć w życiu taboru i znajdowała na to sposoby. Wieczorami czytała dzieciom przy ognisku książeczki Joshui. Z początku tylko Joshua tulił się do niej, ale z czasem dołączały do niego kolejne dzieci. Chociaż przyprawiła Silasa niemal o zawał serca, kiedy zaprosiła do ogniska dzieci niewolników, co naturalnie wywołało pomruki niezadowolenia.

– Proszę powiedzieć żonie, że czytanie jest tylko dla białych dzieci – fuknęła do niego żona jednego z plantatorów.

– Mam lepszy pomysł. Może pani sama jej to powie?

Nikt nie miał odwagi podejść do młodej, opanowanej, wyniosłej osóбки przy ognisku, tak więc mieszane spotkania odbywały się dalej.

Niepiśmienni widząc, jak Jessica na koźle swojego wozu coś notuje, miętosząc w dłoniach kapelusze, podchodzili do niej z prośbą, żeby pisała w ich imieniu listy do domu. W niektóre dni, czasem też noce, Silas widział ją z pokornym interesantem u boku, jak nachylona nad blokiem papieru w skupieniu zapisuje dyktowane słowa. By pocieszyć chore dziecko, dzieliła się z nim cukierkami, prażoną kukurydzą, orzechami i suszonymi owocami, które jej matka wmusiła jej na podróż, a raz nawet Silas usłyszał, jak Jessica mówi do Tippy:

– Nie jedzmy słodyczy z tego worka. Zostawmy je dla dzieci.

Gdy tabor wjechał na terytorium Krików, nastąpiła wiosna i by złagodzić nieco napięcie panujące przy ognisku, Jessica poleciła Tippy, by nauczyła młode dziewczęta pleść niesamowite wianki z fioletowych kwiatów wisterii, judaszowca i derenia, których całe mnóstwo rosło w lasach. Również bez cienia wahania jego żona oddała swoje piękne suknie, by z ich miękkich materiałów robić bandaże, gdy ktoś w taborze odniósł jakieś rany. Nastąpił spodziewany dzień, w którym Silas oznajmił jej, że będą musieli zostawić na skraju drogi jeden z jej kufrów z odzieżą.

– Nic nie szkodzi – odparła. – I tak są już prawie puste.

Jego żona przyjmowała każde niebezpieczeństwo, stratę i niewygodę z odwagą i spokojem, w czym bardzo przypominała Silasowi Lettie, ale najbardziej podziwiał ją za sposób, w jaki odnosiła się do Joshui. Chłopiec uważał ją za swoją wyjątkową towarzyszkę zabaw i Silas widział, z jaką dumą jego syn paradytuje po obozowisku, trzymając Jessicę za rękę, jakby chciał powiedzieć innym dzieciom, że choć są ważne, to nie tak jak on. Jessica łagodziła jego tęsknotę za domem i za Lettie, rozwiewała lęki i odwracała uwagę od niebezpieczeństw, nigdy jednak nie odwołując się do autorytetu macochy. Gdy Silas przestrzegł ją, by nie karmiła chłopca swoimi antyniewolniczymi poglądami, odparła:

– Obiecuję panu, że ani jedno słowo na ten temat nie padnie z moich ust, ale nic nie poradzę na przykład, jaki dam swoim zachowaniem.

Tak więc rosła przyjaźń między chłopcem a macochą, lecz Silas i Jessica oddalali się od siebie coraz bardziej. Po dwóch miesiącach Silas

uznał, że ta niezwykła młoda dama, która była jego żoną wyłącznie na papierze, nie chce mieć z nim nic wspólnego. Coraz bardziej utwierdzał się w swojej decyzji, że gdy nadejdzie pora, spłaci swój dług wobec Carsona Wyndhama i zwróci jego córce wolność. Zamierzał wywiązać się z podpisanej umowy, choć nie dotrzymując jej warunków. Jeżeli zwróci Carsonowi wszystko, co jest mu winien, Jessica nie będzie już musiała być jego żoną. Ułoży sobie życie tak, jak uzna za stosowne, z dala od swojego ojca.

Przyszła mu ochota na cygaro przed snem. Kiedy przebywali na wrogim terytorium, spał w wozie, trzymając Joshuę jak najbliżej siebie. Starając się nie zakłócać chłopcu snu, ostrożnie zeskoczył na ziemię, żeby zapalić cygaro od ogniska, gdy nagle zauważył jakąś postać przemykającą w stronę potoku. Kobieta w rozwianym płaszczu z czymś białym na ramionach. Z przerażeniem Silas rozpoznał opadające jej na plecy rude włosy. Jessica! Na Boga, przecież rozkazał jej, aby nie opuszczała nocą kręgu światła wokół ogniska. Co za uparta osóbka, bodaj ją licho! Czy nie wie, że wszędzie czają się drapieżniki, węże, a do tego pełno tu trującego bluszczu? Wokół obozu trzymali wartę mężczyźni, lecz Silas schował cygaro do kieszeni, w pośpiechu chwycił pistolet i ruszył za Jessicą.

Miała nad nim sporą przewagę, ale szła ostrożnie, oświetlając sobie drogę świecą, choć nie było to konieczne przy pełnym księżycu. Dokąd się wybierała i po co? Zmierzała w stronę strumienia i widać było, że zna drogę. Silas widział, jak rozglądała się po okolicy, kiedy tabor zatrzymał się po południu. Teraz znikła w zagajniku i Silas przyśpieszył kroku, bojąc się zawołać, co mogłoby wzbudzić czujność wartownika, który zapewne najpierw by strzelił, a dopiero potem spytał o cokolwiek. Dotarł na brzeg strumienia i zatrzymał się, gdy pojął plany Jessiki. Stała do niego tyłem i zanim zdążył uprzedzić ją o swojej obecności, zsunęła z ramion suknię, która opadła jej wokół kostek. Naga, położyła ubranie na kamieniu, razem z ręcznikiem, który ze sobą przyniosła, i zdmuchnęła świecę. Po czym niemal bezgłośnie zanurzyła się w wodzie.

Silas, zaskoczony pięknem jej ciała w srebrzystym blasku księżyca i przerażony niebezpieczeństwami, które mogły czaić się w strumieniu, obrócił się, słysząc za sobą jakiś hałas. Jeden z wartowników przyszedł

sprawdzić, co się dzieje.

– Och, to pan, panie Toliver. Coś się stało? Wydawało mi się, że coś usłyszałem.

– To tylko ja, Johnson. Nie mogłem spać. Pomyślałem, że trochę rozprostuję nogi po całym dniu w siodle. Wracaj na posterunek.

– Piękna noc.

– Rzeczywiście.

– Cóż, miłego spaceru.

– Dobranoc, Johnson.

Jessica musiała słyszeć ich rozmowę. Kiedy Silas dotarł na brzeg strumienia, ujrzał tylko jej rude włosy unoszące się na powierzchni wody.

– Jessico! – syknął. Bał się podnieść głos, by nie wzbudzić czujności wartownika. – Wychodź natychmiast, zanim jakiś wąż cię ukąsi!

Z wody wychynęła mokra głowa Jessiki.

– Proszę odejść – powiedziała, wypluwając wodę i machając połyskującymi srebrzyście ramionami, żeby utrzymać się na powierzchni łagodnego nurtu. – Jestem... jestem naga!

– Mam gdzieś, czy jesteś naga, czy nie – szepnął Silas chrapliwie.

– Wyłaź natychmiast! – Rozwścieczony uporem dziewczyny chwycił jej suknię i ręcznik i schował za plecami. – Odwracam się, a ty masz pięć sekund, żeby wyjść, zanim sam cię stamtąd wyciągnę. Zrozumiano?

Nie odpowiedziała, ale rozległ się plusk wody i sekundę później suknia i ręcznik zostały mu wyrwane z ręki. Słyszał, jak ubierając się, sapie niezadowolona.

– Chciałam się tylko wykapać, na miłość boską! – mówiła. – Już nie pamiętam, kiedy mogłam się porządnie umyć, a dzisiaj było tak ciepło i parno. Czy w maju w Luizjanie zawsze jest tak ciepło?

Silas się odwrócił. Z włosów ciekła jej woda, a ubranie przylegało do mokrego ciała, podkreślając smukłą talię i pełne piersi. Poczul nagły przypływ pożądania.

– Masz pojęcie o jadowitych owadach, których pełno na brzegu i w lesie? Nigdy, przenigdy nie wolno ci łamać moich rozkazów dotyczących twojego bezpieczeństwa, słyszysz?

Jessica osuszyła ręcznikiem włosy.

– Proszę mi wybaczyć, że zapomniałam o pańskiej inwestycji, panie Toliver, ale przez wzgląd na samą siebie rozumiem, jak głupio ryzykowałam, chcąc się tutaj wykąpać. Po południu strumień był taki spokojny i czysty, i taki zachęcający, że wprost nie mogłam się oprzeć, ale teraz daję panu słowo, że już więcej nie zachowam się tak głupio.

– Tak właśnie pani myśli? Że dbam wyłącznie o moją inwestycję?
– Postąpił w jej stronę. Oczy jej się rozszerzyły, a usta ułożyły w małe, przerażone O. Wyglądała jak ponętna nimfa wodna, która z dala od swego środowiska naturalnego została przyłapana przez groźnego lądowego potwora.

– A nie jest tak, panie Toliver?

Miał ochotę nią potrząsnąć. Miał ochotę ją pocałować. Otworzył usta, by się wytłumaczyć, ale zamknął je z powrotem.

– Proszę myśleć, co się pani podoba, panno Wyndham – powiedział. – A teraz wracajmy do obozu, zanim nas oboje zastrzelą.

Rozdział 30

10 maja 1836

Guzik. Tyle właśnie go obeszło, czy byłam naga. Czy kiedy nadszedł, byłam już w wodzie? Nie potrafię opisać, co czułam na widok Silasa na brzegu strumienia, tak przystojnego w blasku księżyca, z rozwścieczoną twarzą. Znowu czułam... to samo i przez jedną sekundę miałam idiotyczną nadzieję, że wejdzie po mnie do wody. Czym zawiniłam, że prześladują mnie takie pierwotne żądze wobec człowieka, który nigdy ich nie odwzajemni? Nie tylko wyglądam jak szary wróbel w porównaniu z pięknym, barwnym ptakiem, czyli kobietą, którą on wciąż kocha; moja wyniosła, wroga postawa była jak surowe mięso, które nie zwabiłoby żadnej muchy.

Poza tym jaki mężczyzna mógłby w ogóle pożądać kobiety, która oświadczyła, że prędeziej kopulowałaby z mułem niż z nim?

Wciąż czuję obrzydzenie do posiadaczy niewolników, ale ani Silas, ani Jeremy żadnego z nich nie przypominają. Skoro jakiś Murzyn musi być czyimś niewolnikiem, oby Bóg sprawił, żeby trafił na pana równie miłosiernego jak oni. Troszczą się o potrzeby i wygodę swoich ludzi i jako jedyni w całym taborze zapewniają im na noc schronienie w namiotach. Rozpoznałam kilka rodzin należących do mojego ojca, których dał Silasowi w ramach umowy. Ponieważ Silas ich nie zna, nocie spędzają zakuci, lecz nie dotyczy to niewolników z Queenscrown, zaś dzieci z poobdzieranymi stopami mogą za dnia podróżować w jego wozie. To wiele mówi o człowieku, którego poślubiłam, i być może tłumaczy w pewnym stopniu, że moje uczucia do niego uległy zmianie.

Do obozu wróciliśmy w milczeniu. Szedł za mną, jakby pilnował, bym nie nawet nie próbowała zejść ze ścieżki. Odprowadził mnie do wozu.

– Dobranoc, panno Wyndham – odezwał się sztywno. – Mam nadzieję, że do rana uda się pani nie wpaść w tarapaty. Jeśli to możliwe.

– Możliwe jak najbardziej, panie Toliver, zapewniam pana.

Tippy moje zachowanie skwitowała westchnieniem, które miało znaczyć „a nie mówiłam” (próbowała wybić mi z głowy pomysł z kąpielą w strumieniu). Sama natychmiast zasnęła, ale ja nie mogłam zmrużyć oka i przez niewielki otwór w burcie mojego wozu przyglądałam się, jak Silas poprawia moskitierę nad śpiącym Joshuą, po czym zeskakuje z wozu, by przy ognisku wypalić cygaro i wypić szklaneczkę brandy. Pragnęłam do niego dołączyć, zapytać, co znaczyła jego odpowiedź, tak pełna niedowierzania, na moją sarkastyczną prośbę o wybaczenie, że naraziłam jego inwestycję na niebezpieczeństwo.

„Tak właśnie pani myśli? Że martwię się o swoją inwestycję?!” – niemal krzyknął. Zabrzmiało to, jakby za absurd uważał moje przekonanie, że tylko o to mu chodziło, gdy podążył za mną do strumienia. Cóż jednak innego mogło skłonić go do niepokoju o mnie? Wciąż jeszcze czuję ciepło płomyczka, który rozbłysł w moim sercu, naturalnie jednak moje wyniosłe pytanie powstrzymało go od wyjaśnień.

„A nie jest tak?” – zapytałam.

„Proszę myśleć, co się pani podoba, panno Wyndham” – odparł.

Cóż, panie Toliver. Oto co myślę: chciałabym sądzić, że nie uważa mnie pan za tak brzydką, bym nie wzbudzała w panu żadnych cieplejszych uczuć. Chciałabym sądzić, że rozumie pan, iż pod pancierzem obojętności ukrywam swoje prawdziwe, coraz silniejsze uczucie do pana. Jestem pewna, że gdyby odkrył pan prawdę, uprzejmię by mnie pan odtrącił, oczywiście z poszanowaniem mojej godności. Nie zamierzam dać panu ku temu okazji. Gdyby tylko jak Jeremy potrafił pan odczytywać prawdziwe uczucia i motywy, pan jednak najwyraźniej jest pod tym względem ciemny jak tabaka w rogu.

Tak więc sam pan widzi! Ufam, że jasno wyraziłam, co chciałabym sądzić, panie Toliver. Pan z pewnością chciałby mieć pewność, że gdy za tydzień zostawi mnie w Nowym Orleanie, nie będzie musiał zawracać sobie mną głowy przez długi czas.

Rozdział 31

Tabor znajdował się pięć mil od Nowego Orleanu, gdy nagle pojawił się jastrząb i z głośnym krzykiem zaatakował łeb jednego z koni w zaprzęgu Jessiki. Wozem szarpnęło, wyłamał się z szyku, a zbyt niedoświadczony Jasper nie zdołał zapanować nad czterema zwierzakami. Jessicę wyrzuciło za burtę. Krzyk przerażonego Joshui dotarł aż na czoło taboru.

– Jessica!!!

Zawróciwszy konia, Silas pogalopował do wozu żony i ujrzał ją leżącą na ziemi. Silas chwycił za wodze prowadzącego konia i uspokoił zwierzęta, po czym zeskoczył ze swojego wałacha i podbiegł do Jessiki. Tippy wystawiła głowę z tyłu wozu, a Joshua i Jasper zeskoczyli z kozła, obaj zapłakani.

– Przepraszam, przepraszam, panie Silasie – zawodził Jasper.

– Zostań przy koniach – rozkazał mu Silas – i trzymaj Jo-shuę przy sobie.

– Papo, papo, uratuj Jessicę – szlochał Joshua.

– Uratuję, synu – uspokoił go Silas. – A teraz idź z Jasperem.

Jessica bez życia leżała na boku, oczy miała zamknięte, czepek przekrzywiony, płócienną sukienkę zadartą do kolan. Silas obrócił ją na plecy i ujrzał krew sączącą się z głębokiej rany na czole od uderzenia w wielki, ostry kamień. Przeszedł go zimny dreszcz, jakby nagle ze słońca wszedł w chłodny cień. Oddychała, ale ranę trzeba będzie zszyć lub przyżec, żeby nie wdało się zakażenie, może nawet gangrena. Tippy podbiegła do niego.

– Potrzebne są ręczniki, Tippy.

– Już lecę, panie Silasie.

Z sercem ściśniętym ze strachu rozwiązał Jessice czepek, by ucisnąć nim ranę, i ściągnął sukienkę w dół, osłaniając jej nogi. Dobry Boże. Co ta dziewczyna robi w taborze, w sukni z wypłowiałego płótna i ubłoconych buciorach? Co jej ojcu przyszło do głowy, by narażać ją na coś takiego? Co jemu przyszło do głowy, by się na to zgodzić? Jessica otworzyła oczy.

– Nie ruszaj się – powiedział do niej cicho.

– Co się stało?

– Wypadłaś z wozu.

Tippy przybiegła z ręcznikami, z przerażeniem w wielkich oczach.

– Och, Jessico – jęknęła.

– Nic mi nie jest, Tippy.

– Musimy się upewnić – rzekł Silas. Słyszał płacz Joshui dobiegający z tyłu wozu. – Tippy, zajmę się panienką Jessicą. Ty idź do mojego syna.

– Och, błagam, niech mi pan pozwoli zostać z nią.

Jessica ujęła jej dłoń i ścisnęła.

– Rób, co mówi, Tippy. Jesteś potrzebna Joshui.

Silas ucisnął ranę ręcznikiem, żeby powstrzymać krwawienie, jednocześnie sprawdzając, czy Jessica nie ma złamanych kości. Badał ręce i ramiona, dotykał kolan i kostek.

– Złamałaś sobie coś?

– Nie. Jest mi tylko niedobrze i boli mnie głowa.

– Straciłaś przytomność i masz głęboką ranę na czole. Spróbuj poruszać rękami i nogami.

Jessica posłusznie podniosła najpierw jedną, potem drugą nogę. Poruszyła rękami.

– Widzi pan? Nic mi nie jest – powiedziała półprzytomnie.

Silas jednak nie był przekonany.

Nadjechał Jeremy z bandażami i maścią, a mężczyzna z wozu jadącego za Jessicą nabrał do wiadra wody z beczki na deszczówkę umocowanej na wozie.

Silas słyszał, jak Tippy uspokaja Joshuę, podczas gdy sam wraz z Jeremym opatrywał ranę. Jessica leżała blada i bez ruchu, a oni zastanawiali się, co robić. Po obmyciu z krwi rana okazała się mniej groźna, niż z początku myśleli. Nie widać było kości, ale rozcięcie trzeba była natychmiast opatrzyć, by nie wdała się infekcja. Czy powinni zawieźć Jessicę wozem do Nowego Orleanu, czy też raczej sprowadzić doktora? Zgodzili się obaj, że podróż trzęsącym wozem może jej zaszkodzić, poza tym wiele czasu by zmitrężyli, szukając lekarza w obcym mieście.

– Uważam, że powinien ją obejrzeć Tomahawk – powiedział

Jeremy. – Jego ludzie od setek lat opatrują takie rany.

Krik kręcił się już nieopodał, a jego zwykle pozbawioną wyrazu twarz teraz wykrzywiał grymas niepokoju. Uprzejmość i troska Jessiki zdobyły jego serce.

– Liście aloesu – zawołał. – Rosną gdzieś tutaj.

– Poszukaj ich – odkrzyknął Jeremy, ale zwiadowca już zniknął w leśnej gęstwinie.

Tabor się zatrzymał i szybko rozeszła się wieść o nieszczęśliwym wypadku Jessiki. Serdeczna troska, którą dziewczyna otaczała dzieci, przekonała do niej zatwardziałe serca i ludzie zsiadali z wozów, by z niepokojem obserwować wszystko z oddali. Liczne wypadki, do których dochodziło po drodze, nauczyły ich, że najlepiej się nie zbliżać i zostać przy swoich rodzinach i zwierzętach.

Tomahawk Lacy wrócił z rośliną o grubych ciemnozielonych liściach. Silas i Jeremy odsunęli się, by mógł uklęknąć przy Jessice. Co chwilę traciła i odzyskiwała przytomność, ale ocknęła się, gdy Indianin zdjął jej z czoła opatrunek.

– Pomogę pani, panienko.

– Dziękuję, panie Lacy.

Zwiadowca odciął kilka podobnych do kaktusa liści i rzadkim, przezroczystym sokiem, który z nich wypłynął, skropił ranę.

– Rana jest z góry do dołu – powiedział, gestem ręki pokazując Silasowi i Jeremy'emu, o co mu chodzi. – Nie w poprzek. – Machnął ręką poziomo. – To dobrze. Skórę można złączyć, żeby się zrosła.

Jeremy z miejsca zaczął drzeć ręcznik na pasy.

– Ranę trzeba najpierw oczyścić wodą, która stała nad ogniem – powiedział.

– Gotowaną? – upewnił się Silas.

Tomahawk skinął głową.

– Żeby nie... żeby nie... – Indianin biedził się, szukając słowa po angielsku.

– Nie pojawiła się ropa, zakażenie – wytłumaczył Jeremy.

Zwiadowca ponownie skinął głową.

– Nie być zakażenia, ona zdrowa – powiedział. Przesunął palcem po skroni. – Może blizna.

– Jestem ci niezmiernie wdzięczny – rzekł Silas w nadziei, że prognozy Tomahawka są słuszne i nie będzie potrzebne leczenie, jakie zwykle się w takim przypadku stosowało. Zbierało mu się na mdłości na myśl, że trzeba będzie przyłożyć Jessice do czoła rozpalone do czerwoności żelazo albo igłą z katgutem przebijać jej delikatną skórę. Przyniesiono wrzącą wodę i Tomahawk oczyścił ranę, ponownie wysmarował ją sokiem z aloesu i ciasno obwiązał Jessice głowę paskiem ręcznika, by brzegi rany się złączyły. Silas i Jeremy zastanawiali się, co dalej robić. Zdecydowali, że Silas, ostrożnie opierając głowę Jessiki na swoim ramieniu, przy pomocy Jeremy'ego umieści żonę w wozie. Gdy już się tam znalazła, Silas pośpiesznie wdrapał się za Jeremym na wóz i razem umościli ją wygodnie na pryczy.

– Zostanę z nią – rzekł Silas. – Jeśli wda się gorączka, ktoś będzie musiał pojechać po doktora. Powiedz Tippy, żeby została z Joshua w moim wozie.

– Tippy może się nie zgodzić. Na pewno zechce być przy swojej pani.

– A ja chcę być przy mojej żonie – odparł Silas tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Zajmę się nimi i każę tu rozbić obóz na noc – powiedział Jeremy.
– Przyniosę też trochę laudanum. Twoją żonę piekielnie będzie boleć głowa.

Jessica otworzyła oczy, kiedy Silas osłaniał ją moskitierą.

– Będę żyć? – zapytała.

Silasowi wydało się, że słyszy w jej głosie kpinę. Przykucnął obok niej i odgarnął jej włosy z opatrunku.

– Tak – powiedział. – Ta twoja główina jest za twarda dla pierwszego lepszego kamienia.

Na jej ustach mignął przelotny uśmiech.

– Miał pan pecha – powiedziała.

Silas westchnął z udawaną rozpaczą.

– Kamień miał większego.

Wrócił Jeremy z laudanum. Towarzyszył mu miejscowy farmer, który wyszedł taborowi na spotkanie ze świeżą żywnością na sprzedaż. Jeremy oznajmił, że Silas powinien usłyszeć, co mężczyzna ma do

powiedzenia. Toliver odparł, że to może poczekać, aż Jessica wypije łyżkę czerwono-brązowego, okropnie gorzkiego płynu na uśmierzenie bólu.

Jęknęła, kiedy uniósł jej głowę i zbliżył do warg łyżkę.

– Co to jest?

– Coś, po czym poczujesz się lepiej. Otwórz szeroko usta.

Skrzywiła się, połykając lekarstwo, a Silas szybko podał jej chochlę z wodą, żeby spłukała gorzki smak.

– Gdzie jest Tippy? – zapytała.

– Z moim synem.

– Czemu pan z nim nie jest?

– Ponieważ jestem tutaj z tobą.

Przymknęła sennie oczy.

– To dobrze – powiedziała.

Wieści, z którymi przyszedł farmer, miały odtąd wywoływać rumieniec wstydu na twarzach wszystkich przeciwników Tomahawka Lacy'ego, ilekroć tylko o nim pomyśleli. Kiedy emigranci przejeżdżali przez Georgię i Alabamę, ku niezadowoleniu wielu Indianin poprowadził tabor z dala od kilku istniejących miast i osad na północy, przez gęste lasy i mokradła, niezwykle trudnymi, lecz znacznie bezpieczniejszymi szlakami nieopodal południowych granic stanów. Niektórzy przy każdej nadarzającej się okazji krytykowali jego wybór. W pewnym momencie jeden z osadników stracił wóz, który stoczył się ze zbocza, i obwiniał za to Tomahawka. Mężczyzna byłby dźgnął zwiadowcę metalową piką, lecz nie pozwolił na to Jeremy, który wytrącił mu broń z ręki i przypomniał, że wóz stracił przez własne lenistwo. Powinien był zablokować koło, żeby działało jak hamulec, albo przynajmniej przyczepić do wozu kłodę, która by go spowolniła.

Jeszcze zanim osadnicy opuścili Karolinę Południową, dowiedzieli się, że Santa Anna przestał stanowić zagrożenie. Został schwytany, gdy armia Sama Houstona pokonała Meksykanów w bitwie pod San Jacinto. Wieść o tym tylko wzmogła niezadowolenie. Dlatego też wielu żądało wyjaśnień, z jakiego to powodu tabor miał zjechać do Nowego Orleanu i do Teksasu przeprowadzać się przez rzekę Sabine.

Jeremy powtórzył, że każdy ma prawo odłączyć się od taboru

i wrócić na pierwotnie wyznaczony szlak. Kilka rodzin tak uczyniło. Twierdzili, że Krikowie nie odważą się zaatakować, poza tym mieli krewnych w Roanoke w Georgii, których obiecali po drodze odwiedzić. Od farmera Silas się dowiedział, że pod koniec wiosny osada w Roanoke została zaatakowana i spalona do gołej ziemi, a większość białych rodzin zmasakrowana. Poza tym w hrabstwie Chambers w Alabamie wybuchło powstanie, a wielu jadących w taborze liczyło, że uzupełni tam zapasy i wyśle listy. Gdyby Tomahawk nie wybrał tak mądrze trasy wędrówki, tabor z Willow Grove z całą pewnością padłby ofiarą powstania Krików.

Kolejne wieści, jakie farmer miał do przekazania, były jeszcze bardziej zaskakujące i przerażające. Z początkiem miesiąca banda Komanczów zaatakowała osadę we wschodniej części Teksasu. Spalili żywcem całe rodziny w domach, zgwałcili kobiety, brutalnie torturowali i zamordowali patriarchę klanu, Johna Parkera, i porwali jego dziewięcioletnią wnuczkę, Cynthię Ann.

– Dobry Boże – wetchnął Silas, oczami wyobraźni widząc, jak krzyczącego z przerażenia Joshuę porywa na swym rączym koniu indiański osiłek, a na jego dzidzie powiewają rude włosy Jessiki. – Przecież tamtędy właśnie mamy jechać.

– Tym bardziej więc powinieneś zostawić Jessicę i Joshuę w Nowym Orleanie – rzekł Jeremy.

Kiedy Silas wrócił do wagonu, Jessica spała. Siedział obok niej, mierząc jej od czasu do czasu puls i ręką sprawdzając, czy czoła nie rozpała jej gorączka. Z lękiem obserwował też, czy spokojnie oddycha. Po godzinie intensywnego czuwania w niewygodnej pozycji wyprostował nogi i oparł się o burtę wozu. Nasłuchiwał odgłosów układającego się do snu taboru i jadł kolację, przyniesioną mu przez Maddie. Tippy przyprowadziła Joshuę i Silas pozwolił im przez chwilę popatrzeć na Jessicę, zanim odesłał ich na spoczynek. Zapadła ciemność, więc Silas zapalił lampę. Postanowił oprzeć plecy o poduszkę z frędzlami, jedną z dwóch z aksamitu, które przypominały o dawnych luksusach. Podłożył ją sobie pod plecy i nagle wyczuł coś twardego. Gdy wyciągnął poduszkę, okazało się, że uwierała go książka wsunięta w kieszeń powstałą po rozpruciu kawałka brzegu. Wyjął ją, wiedziony ciekawością. Był to oprawny w czerwoną skórę notes, w którym Jessica

pisala podczas dlugich, nudnych godzin na szlaku. Trzymal go, jakby znalazl swiety Graal, slyszac w glowie slowa Jeremy'ego: „Pisze pamietnik. Kobiety zwierzaja sie swoim pamietnikom ze wszystkiego. Zajrzyj do niego i bedziesz wiedzial”.

Silas zerknal na spiacą glęboko Jessicę. Oddech miała regularny. Jej skóra nad opatrunkiem w dotyku była chłodna. Poprawił moskitierę, oparł się o poduszkę, skrzyżował ramiona, mając w zasięgu ręki notes, który jarzył się jak rubin. Od czasu do czasu przepędzał komary, wachlował się i słuchał odgłosów w nocnej ciszy. Wreszcie, dłużej nie mogąc oprzeć się ciekawości, jeszcze raz zerknął na zamknięte powieki swojej żony i sięgnął po notes.

Rozdział 32

Silas oniemiał. Rzeczywiście był ciemny jak tabaka w rogu, skoro nie dostrzegł tego, co Jeremy zauważył już dawno temu. Jak zwykle jego wszytkowiedzący przyjaciel słusznie odgadł uczucia Jessiki, lecz jak on miał się domyślić, co kryje się za jej kamienną obojętnością? Silas spojrział na uśpioną pod moskitierą postać. Dobry Boże, ta dziewczyna się w nim zakochała – albo przynajmniej tak jej się zdawało. Jak, u licha, do tego doszło? I co on czuł do niej? Na pewno mu na niej zależało – a ostatnio nawet niekiedy... jej pożądał – ale czy na pewno chodziło o nią? Wciąż myślał o Lettie i choć może się to wydać dziwne, budzące się do Jessiki uczucie sprawiało, że tym bardziej tęsknił za dawną narzeczoną.

Podjeżdżał, że to, co Jessica do niego czuje, nie jest miłością, lecz tylko fizycznym pożądaniem. Była zbyt młoda i niedoświadczona, by poznać różnicę. Silas wiedział, jak pociągający jest dla kobiet, który to wrodzony dar we wczesnych beztrudnych latach bez skrupułów wykorzystywał, gdy jakaś kobieta wpadła mu w oko. Często jednak spotykało go rozczarowanie. By wzbudzić jego zainteresowanie, kobieta musiała być interesująca, a takich prawie wcale nie udało mu się spotkać, dopóki na jego drodze nie pojawiła się Lettie i... musiał to przyznać: Jessica Wyndham.

Patrzył na nią. Czemu miała się za zbyt brzydką, by ktokolwiek mógł jej pożądać? Musi znaleźć sposób, by przestała tak o sobie myśleć. Ciało miała wspaniałe. Przez wiele dni po zejściu nad strumieniem nie potrafił przestać myśleć o tym, jakie jest doskonałe, a kiedy na twarzy Jessiki malowała się radość czy zadowolenie lub gdy jej ciemne oczy robiły się okrągłe ze zdziwienia albo strachu, emanował z niej urok znacznie przewyższający ogólnie przyjęty ideał piękna. Nie rozumiał, czemu tak zachwyca się Jessicą, skoro swego czasu był zaręczony z jedną z najpiękniejszych kobiet w Karolinie Południowej.

Musiał również jakoś wybić Jessice z głowy przekonanie, że jego troska o nią wynika wyłącznie z warunków określonych w umowie – że gdyby spotkała ją śmierć, wszystkie ustalenia zawarte z jej ojcem zostaną anulowane. Musiała uwierzyć, że ponieważ jest jej mężem

i ponieważ darzy ją czułością, ze szczerego serca życzy jej, aby nic złego jej nie spotkało.

Dzięki Bogu, że wypadek zdarzył się tak blisko Nowego Orleanu. Jeżeli do jutra Jessica będzie dość silna, by podróżować, odstawią ją do Winthorp, gdzie znajdzie należyłą opiekę. Codziennie będzie mogła brać kąpiel. Tabor zgodnie z planem będzie obozował pod miastem przez tydzień, by dokonać niezbędnych napraw, załatwić zbiorniki na wodę i uzupełnić zapasy na drogę do Sabine. Przez te siedem dni, zanim ją zostawi, Silas się upewni, że Jessica w pełni wróciła do zdrowia i rozgościła się w hotelu. Gdy po nią wróci, jej uczucie do niego zdąży zapewne wygasnąć.

Wsunął pamiętnik do tajemnego schowka w poduszce, dokładnie tam, gdzie go znalazł, i wetknął sobie pod głowę drugą, identyczną poduszkę.

Miał wrażenie, że dopiero co się zdrzemnął, gdy o pierwszym brzasku wpadającym przez płócienną burtę Jessica obudziła go, szarpiąc czubek jego buta. Uśmiechała się do niego ze swojej pryczy.

– Dzień dobry – powiedziała.

Zamrugał, by przepędzić resztki snu z oczu, i zauważył przerażone spojrzenie Jessiki, gdy wyjął sobie spod głowy poduszkę. Zerknęła na drugą, leżącą w kącie.

– Dzień dobry – odparł. Beztrosko rzucił poduszkę, by znalazła się w zasięgu ręki Jessiki. – Jak się czujesz?

– Jakbym była spragniona wody i prawdziwego domu.

Pomógł jej usiąść, a ona chwyciła poduszkę i przycisnęła ją sobie do brzucha, jakby chciała się ogrzać.

– Pytam o głowę – rzekł. – Boli cię?

Z wyraźną ulgą Jessica odłożyła poduszkę i dotknęła opatrunku.

– Mam wrażenie, jakbym walnęła nią o kamień, ale moja głowa okazała się silniejsza.

Silas podał jej chochlę z wodą. Więc pamiętała ich przekomarzanki z poprzedniego dnia.

– Był pan tu całą noc? – zapytała.

– Tak, całą.

Robiło się coraz jaśniej i zauważył, jak spod bandaża rozlewa się

granatowy siniak.

Jessica przyjrzała mu się uważnie znad chochli.

– Bał się pan, że umrę?

– Nie. Bałem się, że przeżyjesz i dalej będziesz mnie kłuć swoimi kolcami. Niemniej jednak... – wziął od niej chochlę i ponownie napełnił wodą – nie mam nic przeciwko kolcom. Czymże bez nich byłaby róża?

W jej oczach mignęło rozbawione zdziwienie.

– Niezwykle celna uwaga wymagająca namysłu – mruknęła, oddając mu chochlę. – Dziękuję za... to, że czuwałeś... Silasie.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Wiedziony nagłym impulsem, nie mogąc oprzeć się wyrazowi dziecinnej bezbronności, jaki dostrzegł w jej wielkich, brązowych oczach, ujął ją pod brodę. – Przyślę Tippy, żeby ci pomogła, potem zmienimy opatrunek.

Kiedy Silas zeskakiwał z wozu, Jeremy, Tippy i Joshua stali już przy nim niecierpliwie.

– Jak się miewa nasza pacjentka? – zapytał Jeremy.

– Chyba lepiej – odparł Silas. – Tippy, jesteś jej potrzebna. Kiedy ją oporzędzisz, zagotuj wodę. Joshua, biegnij po Tomahawka. Chcę, żeby opatrzył ranę.

Jeremy, mrużąc oczy, spojrzął ponad ramieniem Silasa. Jego uwagę przyciągnął nadjeżdżający drogą od strony Nowego Orleanu jeździec.

– Mamy towarzystwo – stwierdził.

Silas podążył za zaciekawionym spojrzeniem przyjaciela i przez chwilę myślał, że ujrzał zjawę. Szczupła, odziana na czarno postać w kapeluszu ozdobionym piórami dosiadająca kruczoczarnej, wysoko stawiającej kopyta klaczy zjechała ze szlaku i zmierzała ku ich obozowi. Mężczyzna w siodle siedział wyprostowany, lecz swobodnie, postawą sugerując, że cały świat należy do niego.

– Założę się, że to Francuz – rzekł Silas. – Ciekawe, czego może chcieć? Wyjdiesz mu na spotkanie, Jeremy? Ja muszę sobie ulżyć i napić się kawy.

Gdy Silas wrócił, mężczyzna skłonił się głęboko, teatralnym gestem zawadiaki zamiatając ziemię kapeluszem, i przedstawił się jako Henri DuMont. Fircyk, pomyślał Silas, lecz mężczyzna mocno uścisnął

mu dłoń, patrząc prosto w oczy. Przyjechał zapytać, czy nie mógłby dołączyć do taboru. Marzył o wyjeździe do Teksasu – „twarde sztuki, ci Teksaszczyki, chyba dobrze byłoby mi u nich”, powiedział.

– Proszę wybaczyć – wtrącił się Jeremy, wyraźnie nieprzekonany, że ktoś tak strojnie przyodziany nadaje się do uprawy ziemi – ale co chciałby pan tam robić?

Mężczyzna machnął dłonią okoloną koronkowym mankietem, a na jego małym palcu mignął sygnet.

– Otworzyć dom towarowy, równie wielki jak przybytek mojego ojca w Nowym Orleanie, który mam nadzieję, odwiedzicie, bawiąc tutaj – odparł w sposób niepozostawiający cienia wątpliwości, że jest absolutnie przekonany o powodzeniu wymarzonego przedsięwzięcia. – Jak długo zamierzacie, panowie, obozować tutaj przed wyruszeniem w dalszą podróż?

– Tydzień – odpowiedział Jeremy. Spojrzał wymownie na Silasa, który ledwo dostrzegalnie skinął głową. – Czy to da panu dość czasu na przygotowanie się do drogi?

– Aż nadto, panowie – powiedział Henri, wyraźnie uradowany, i ponownie się skłonił, zamaszycie wymachując kapeluszem. – *Merci*. Macie moją dozgonną wdzięczność. Czy tymczasem mogę wam w czymś pomóc? Służę wszystkim, co najlepsze.

– W tej chwili potrzebny nam jest doktor – powiedział Silas. – Moja żona zraniła się w głowę.

– Doktor Fonteneau – Henri odpowiedział natychmiast. – Najlepszy w Nowym Orleanie. Czy chcecie, panowie, abym go tu sprowadził?

– Byłbym niezmiernie wdzięczny – odparł Silas. Na sygnecie Francuza dostrzegł królewski herb. A więc francuski arystokrata. – Zamierzałem umieścić dzisiaj moją żonę i syna w hotelu Winthorp w Garden District, gdzie mieliby poczekać na mój powrót z Teksasu, ale byłbym spokojniejszy, gdyby obejrzał ją doktor, by podróż wyboistą drogą nie zaszkodziła jej jeszcze bardziej.

– Sprawa załatwiona – odrzekł Henri. – Wrócę z doktorem Fonteneau w porze lunchu i może wtedy panowie będą tak uprzejmi i doradzą mi, jak najlepiej przygotować się na wyprawę do Teksasu.

Mężczyzna dotrzymał słowa, zanim jednak wrócił z doktorem, Tomahawk oczyścił ranę i nałożył na nią świeżą warstewkę olejku aloesowego. Oznajmił, że rana zaczyna się goić. Nie było śladu infekcji i tylko lekkie pulsowanie w miejscu, w które Jessica się uderzyła, przypominało jej o nieszczęśliwym wypadku.

Gdy Tomahawk skończył swoje zabiegi, Silas pomógł żonie zejść z wozu, żeby sprawdzić, czy zdoła utrzymać się na nogach bez zawrotów głowy. Stali w cieniu, Silas gotów wesprzeć ją, gdyby tylko poczuła słabość.

– Jeżeli doktor pozwoli – powiedział – czy czujesz się na tyle zdrowa, żeby dojechać dzisiaj do Nowego Orleanu?

Przyglądał się jej, szukając oznak ulgi na wieść, że jej mordega niedługo się skończy. Nie zdziwił się, widząc, że kąciki jej ust opadły nieco, zanim się schyliła, by z nadmierną skwapliwością strzepnąć zaschłe błoto ze spódnicy. Wciąż miała na sobie tę samą perkalową sukienkę, którą nosiła poprzedniego dnia.

– Jestem przekonana, że w tej chwili najważniejsze jest zapewnienie bezpieczeństwa Joshui, jak również mnie, ma się rozumieć, ale pański synek będzie tęsknił za ojcem – odparła Jessica sztywno. – Mówił mi, że pragnąłby kontynuować podróż do Teksasu. Musi pan być przygotowany na jego łzy.

– A pani? – Silas nie mógł się powstrzymać.

Jessica była wyraźnie zaskoczona, że właśnie o to zapytał.

– Nie opłakuję każdej decyzji, na której podjęcie nie mam żadnego wpływu, panie Toliver.

– Jak więc rozumiem, jest pani również rozczarowana moją decyzją, aby została pani w Nowym Orleanie?

Rozsądek ostrzegł go, by nie drażył tematu, zanim zrobi się za późno, by się wycofać, ale coś oprócz ciekawości nie pozwoliło mu zamilknąć.

Dostrzegł, że poczuła się skrępowana jego pytaniem i choć zwykle zawsze miała coś do powiedzenia, tym razem zabrakło jej słów. W końcu uniosła odrobinę brodę i spojrzała mu w oczy.

– Przywykłam... do trudów wędrowni, panie Toliver, i obawiam się, że zbyt długi pobyt w hotelu w Nowym Orleanie sprawi, że

zapomnę, jak się żyje bez kąpieli.

– I tylko z tego powodu żałuje pani, że nie powędruje dalej?

Na jej twarz wypłynął wiele mówiący rumieniec.

– Nic innego nie przychodzi mi na myśl – odparła.

– Rozumiem.

Silas pojął, że żona mu nie zdradzi, jakie żywi wobec niego uczucia, i nagle ogarnęła go przemożna chęć, by chwycić ją w ramiona i złamać jej opór. Uścisnął jej jednak tylko rękę.

– Musi mi pani uwierzyć, Jessico, że nie zostawiam pani w Nowym Orleanie, żeby się jej pozbyć, lecz by zapewnić pani wygodę i bezpieczeństwo. Pani śmierć byłaby dla mnie wielką stratą, która nie miałaby nic wspólnego z postanowieniami umowy.

Zostawił ją wyraźnie poruszoną, by wyjść na spotkanie Henriemu DuMontowi i doktorowi Fonteneau, którzy nadjeżdżali właśnie drogą. Uśmiechnął się do siebie. Niech się przez chwilę zastanowi nad tą rewelacją, pomyślał.

Rozdział 33

Grupka zatroskanych czekała na diagnozę doktora. Jeremy nakazał Tippy, Tomahawkowi, Jasperowi, woźnicy Billy'emu, Joshui i jego przyjaciółom oraz ich rodzinom odsunąć się od przewróconego wiadra, na którym Jessica usiadła, by poddać się badaniu. Doktor Fonteneau postanowił zdjąć jej opatrunek na zewnątrz rozgrzanego, ciasnego wozu, by mieć większą swobodę ruchów i nie dopuścić, by w gorącu rana zaczęła znowu krwawić.

Przy badaniu obecni byli jedynie Silas, który wachlarzem ochładzał Jessicę i odganiał muchy oraz komary, Jeremy i Henri DuMont, już przyjęty do kompanii. Doktor został poinformowany, że Tomahawk ranę opatrzył i założył opaskę uciskową w przekonaniu, że w ten sposób rana się zamknie i nie trzeba będzie uciekać się do bardziej drastycznych środków.

– Wasz indiański przyjaciel miał rację – oznajmił doktor Fonteneau z aprobatą i oświadczył, że Jessica może kontynuować podróż, doradził jednak, by na wszelki wypadek poczekać jeszcze dwa dni.

– Do tego czasu – zwrócił się do Jessiki – rana ładnie się zrośnie, pod warunkiem że w dalszym ciągu będzie pani nosić ciasny opatrunek. Wiem, że czuje się pani, jakby jej głowa tkwiła w imadle, ale to konieczna niedogodność, by przecięta skóra mogła się zagoić.

– Ta niedogodność jest równie uciążliwa jak brak kąpieli i świeżej odzieży – odparła Jessica, spoglądając na ubłoconą spódnicę swojej perkalowej sukienki.

Tym dotkliwiej odczuwała własne zaniedbanie, że przebywała w obecności nieskazitelnie ubranego i wymuskanego Henriego DuMonta, choć jemu maniery nie pozwalały okazać, że jest świadomy jej wyglądu. Gdy zostali sobie przedstawieni, pochylił się nad jej ręką z galanterią dworzanina witającego wystrojoną damę królewskiego dworu.

Francuz z miejsca zaskarbił sobie jej sympatię, gdy wykrzyknął na widok Tippy:

– Cóż za urocza z ciebie osóbką! Jak się masz, dziecko, i powiedz mi, proszę, czyim dziełem jest twoja niezwykła suknia?

– Moim, proszę pana – odparła Tippy z dygnięciem i uśmiechem, który rozjaśnił jej twarzyczkę. – Wielce pan uprzejmy, że zechciał to zauważyć.

– Uprzejmy? Nawet dureń by to zauważył.

– Tippy to prawdziwa czarodziejka igły i nitki, nie wspominając o jej geniuszu w szyciu i projektowaniu – poinformowała go Jessica zaskoczona, że poznał się na finezji prostej muślinowej sukienki Tippy.

– Doprawdy?! – wykrzyknął Henri, przyglądając się Tippy z większą uwagą.

Czekający na decyzję doktora przyjęli ją z radością, a Joshua, a za nim Tippy, podbiegli do Jessiki.

– W stosownym momencie – zwrócił się Henri do Silasa – pozwoli pan, że poprowadzę was najkrótszą drogą do hotelu Winthorp, gdzie madame uwolni się przynajmniej od części niewygód. Doskonale znam ten hotel. W każdym pokoju stoi wanna. Właściciele są wieloletnimi klientami mojego ojca, przyjaźnią się też z nim osobiście. Henry i Giselle Morganowie. Będą na każde skinienie pańskiej małżonki.

– Och, Jessica nie jest żoną mojego ojca – odezwał się Joshua, obejmując Jessicę ramieniem. – Jest tylko naszą przyjaciółką, prawda, Jessico?

Zapadła grobowa cisza. Silas głośno wciągnął powietrze, Jeremy wpatrywał się w swoje stopy, Tippy wzniosła oczy ku niebu, a Henri i doktor Fonteneau spojrzeli po sobie z wysoko uniesionymi brwiami.

Jessica wciąż siedziała na wiadrze. Uratowała sytuację, obejmując Joshuę i przyciągając go do siebie.

– Oczywiście, że jestem twoją przyjaciółką, mój mały żołnierzu, i zawsze nią pozostanę – powiedziała, dając mu prztyczka w nos. – A teraz zawołaj swoich przyjaciół, trochę wam poczytam.

Silas się cieszył, że zyskał dwa dni, zanim będzie musiał zostawić żonę i synka w hotelu Winthorp. Wróci potem do obozu i zostanie w nim przez cały tydzień, co jakiś czas odwiedzając hotel, by się upewnić, że na niczym im nie zbywa. Ogarniał go smutek. Z niewypowiedzianą ulgą przyjmie świadomość, że jego syn i Jessica są bezpieczni, nienarażeni na potworności, jakie mogłyby ich spotkać. Na myśl o straszliwych torturach, którym został poddany John Parker, i o uprowadzeniu jego

wnuczki, każdy mąż i ojciec w taborze zamierał z przerażenia. Żaden ból rozstania nie zmusi go do zabrania w dalszą drogę Jessiki i Jo-shui, ale jakże będzie za nimi tęsknił! Więż, która w ciągu tych ostatnich miesięcy połączyła go z synem, może osłabnąć, ponieważ Joshua rósł teraz szybko. Za trzy dni skończy pięć lat, a w tym wieku chłopcom ojciec jest bardzo potrzebny. Joshua był wrażliwym dzieckiem, przywiązywał się szybko, ale też głęboko i każde rozstanie sprawiało mu wielkie cierpienie. Wciąż tęsknił za Lettie, wujem i babcią i często się dopytywał:

– Kiedy ich znowu zobaczę, papo?

Silas mu się nie przyznał, że zamierza zostawić go w Nowym Orleanie, i aż się kulił na myśl o bólu chłopca, gdy przyjdzie mu go zostawić, nawet pod opieką Jessiki, jego „przyjaciółki”.

Jessica... Jakim cudem to dziewczątko tak go urzekło? Jak to się stało – dlaczego – że stał się kimś ważnym dla takiej zdeklarowanej abolicjonistki, a ona dla niego – nawet jeżeli z jej strony było to tylko zadurzenie, a z jego podziw? Czy był aż tak niestały w uczuciach, że jego rozpacz po porzuceniu Lettie zmieniła się w ból na myśl, że inną kobietę – dziewczynę, którą ledwo znał – może zobaczyć znowu po wielu miesiącach, nawet roku? Czy czas i rozstanie wyleczą Jessicę z uczuć, jakie do niego żywi? Czy kiedyś wróci do dawnych zapisków w swoim pamiętniku i zdziwi się, że była w nim zakochana?

Przemknęła mu nawet myśl, by kupić ziemię w Luizjanie, ale za dużo wyższą cenę mógłby kupić znacznie mniej ziemi, a nie mógł wyzbyć się towarzyszących mu nieustannie marzeń o własnym imperium w Teksasie. Imponująca, majestatyczna wizja pchała go do działania i żadne poświęcenie nie mogło przeszkodzić mu w jej realizacji.

Choć jednak wiedział, że podjął słuszną decyzję, przez te dwa dni, które dzieliły go od zawiezienia Jessiki i Joshui do Nowego Orleanu, ponury nastrój go nie opuszczał. Większość czasu spędzał na dyskusjach z Jeremym, Henrim i ojcami rodzin, omawiając ustalenia i przygotowania do podróży, nie spuszczając przy tym Jessiki z oka. Ona zaś zdawała się szybko wracać do zdrowia. Gdy kończyła się ostatnia wspólna noc, z której większość Silas spędził bezsennie, obrócił się i pocałował Joshuę w czubek głowy. Wyjątkowo pozwolił chłopcu spać

ze sobą przy ognisku. Przemawiał w duchu do niego. Przez wzgląd na twoje dobro ojciec musi cię zostawić, mój chłopcze, i twoją przyjaciółkę. Wrócę po was i zabiorę do domu, do Somerset, ale najpierw muszę zrobić wszystko, by twoja przyjaciółka o mnie nie zapomniała.

W dniu wyjazdu Jessica pozwoliła, by Tippy wykąpała ją w wozie, ledwo słuchając paplaniny służącej. Wielka szkoda, że przez te bandaże nie można założyć czepka, takich brudnych włosów nie da się porządnie uczesać, narzekała Tippy. Założyła na nie siateczkę, wyprasuje też najlepszą codzienną suknię Jessiki, żeby się w nią ubrała na przyjazd do Nowego Orleanu. Pierwsze wrażenie jest najważniejsze. Znalazła też piękną opaskę, pod którą schowała opatrunek – może w ten sposób Jessica zapoczątkuje nową modę. Zobaczy, co na to powie pan DuMont. Monsieur DuMont! Zdolności krawieckie Tippy zrobiły na nim ogromne wrażenie – pokazała mu skórzaną kurtkę, którą uszyła w prezencie Joshui na jego piątą urodziny – a biorąc pod uwagę zawodowe zainteresowania Henriego DuMonta, nic dziwnego, że potrafi tak docenić jej pracę...

W końcu Tippy westchnęła zrezygnowana.

– W ogóle mnie nie słuchasz – powiedziała, doskonale wiedząc, o kim i o czym jej pani myśli. – Pan Silas słusznie chce zostawić ciebie i Joshuę w Nowym Orleanie, więc przestań zaprzętać sobie tym głowę.

– Masz rację – zgodziła się z nią Jessica. – Strasznie jestem samolubna, chcąc dla własnych korzyści narażać życie Joshui i własne. Ale tak się boję, że Silas... zapomni o mnie, kiedy wyjedzie. Wydaje mi się, że... nasze stosunki są coraz lepsze.

Kiedy wczoraj Silas oświadczył, że jej śmierć byłaby dla niego wielką stratą, Jessica się zastanawiała, czy aby na pewno dobrze go zrozumiała. Gdy sobie poszedł, jak szalona szukała wszędzie Tippy, tak bardzo pragnęła powtórzyć jej każde jego słowo, zastanowić się nad jego tonem i znaczeniem, przeanalizować każdy niuans, ale z radości, że być może jest dla nich jakaś szansa, krew uderzyła jej do głowy i zrobiło jej się słabo.

Dochodziła jeszcze do siebie, opierając się o burtę wozu, gdy Silas wrócił, prowadząc ze sobą doktora Fonteneau. Zaskoczony chrząknął lekko i chwycił ją za ramiona, by z troską przyjrzeć się jej twarzy. Jak

każdy opiekuńczy mąż zaczął się dopytywać, czy przypadkiem nie poczuła się gorzej.

– Nie, nagle tylko... zrobiło mi się duszno – odparła, wpatrując się w jego pełne niepokoju zielone oczy.

– Cóż, wiesz oczywiście, co powinnaś zrobić, by pan Silas nie przestał o tobie myśleć, gdy wyjedzie, jeden Bóg i aniołowie wiedzą na jak długo – zauważyła Tippy.

– Nie mam najmniejszego pojęcia. Co masz na myśli?

Tippy przekrzywiła głowę i spojrzała na Jessicę z wymownym błyskiem w oczach.

– Och, Tippy, to niemożliwe – powiedziała Jessica, rumieniąc się.

– Ja... nie znam się zupełnie na tych sprawach... nie wiedziałabym, co robić. Przecież nie mam żadnego doświadczenia.

– Przypomnij sobie, jak twoja mama postępowała z twoim papą, który ustępował jej prawie we wszystkim, a będziesz wiedziała, co robić.

– Bałabym się, że Silas mnie odtrąci.

– Ja bardziej bym się bała nie spróbować – odparła Tippy. – Wielu przegrało przez swoje tchórzostwo.

To, że zaufana przyjaciółka, gotowa porwać się z motyką na słońce, wspomniała o tchórzostwie, zabolowało Jessicę. Ale też jej dodało animuszu. Tippy miała rację. Lepiej z odwagą ponieść klęskę, niż ze strachu się nie wychylać.

Ale uwieść Silasa? Bez żadnego doświadczenia w miłości, jak może jej się udać? Gdzie? Kiedy? I co powie Joshua na wieść, że jego ojciec i „przyjaciółka” są tak naprawdę mężem i żoną? „Wielu przegrało przez własne tchórzostwo”. Święta prawda, ale prawdą też było, że ona, Jessica Wyndham Toliver, do tchórzów nie należała.

Rozdział 34

Do Nowego Orleanu wyruszyli dopiero po południu. Silas powoził wozem Jessiki, ona siedziała obok niego na koźle, a Jo-shua przycupnął między nimi. Po jej stronie jechał Henri na swojej roztańczonej klaczy; Jeremy po drugiej dosiadał wałacha Silasa, a Tippy kolebała się w wozie. Jasper został z innymi niewolnikami pod czujnym okiem nadzorców, którzy mieli przykazane pilnować, żeby żaden czarny nie uciekł i przez gęste lasy i starorzecza nie przedostał się do życzliwego im miasta. Po rozładowaniu bagaży Jessiki Jeremy miał wrócić wozem do obozu. Silas po nocy spędzonej w hotelu dołączy do taboru następnego dnia. Jessica uznała, że w ten sposób nadarzy jej się okazja, by spróbować się do niego zbliżyć.

Kiedy jednak wyboista droga zniweczyła wysiłki Tippy, by jej pani po przyjeździe do hotelu wyglądała świeżo i ponętnie, Jessicę ogarnęły wątpliwości. Została wykąpana, wypudrowana, uperfumowana i wystrojona z samego rana, gdy jeszcze w chłodzie mieli wyruszyć do Nowego Orleanu, lecz co chwilę pojawiał się kolejny problem, opóźniając wyjazd. Żeby się nie pobrudzić i nie pognieść sukni, Jessica musiała stać niemal do południa, chroniąc się przed skwarem pod parasolką i więdnąc w sukni z tafty i trzech sztywnych halkach. Stopy w pantofelkach ją paliły, a głowa swędziała pod przytrzymującą włosy siateczką, podczas gdy inni krzatali się, w czym normalnie ona również brałaby udział.

Dzień był coraz bardziej upalny i panowała lepka duchota. Jessica czuła, jak każdy jej pieg odcina się na zaczerwienionej, spoconej twarzy. Cień można było znaleźć albo w nagrzanym wozie, albo pod cyprysami rosnącymi na skraju obozowiska, gdyby się jednak pod nimi schroniła, ani chybi pchły piaskowe weszłyby jej pod pantalony. Nigdy dotąd Jessica nie czuła się tak niekomfortowo.

Kiedy w końcu wsiedli na wóz, jej rozczarowanie przemieniło się w irytację. Gdyby wyruszyli zgodnie z planem, już prowadzono by ich do pokoi i wnoszono by bagaże. Zjedliby lunch w hotelowej restauracji, potem Joshua w towarzystwie Tippy poszedłby zwiedzić miasto. Jessica, wciąż elegancka, nie licząc bandaża i lekkiego siniaka wokół rany,

mogłaby zostać sam na sam z Silasem. Zamierzała zaprosić go do swego łóżka. Mieli zarezerwowane dwa pokoje, jeden dla niej, drugi dla Silasa i Jo-shui. Tippy miała spać w kwaterach dla służby. Jessica wymyśliła sobie, że to zmieni. Ona i Silas zajmą jeden pokój, w drugim zamieszka Joshua z Tippy. Chłopiec potrzebował opieki, ale na pewno się ucieszy, mogąc spędzić noc z Tippy, której wyobraźnia zapewni mu świetną rozrywkę.

Stało się jednak inaczej. Przyjadą dopiero na kolację i nie uda jej się zostać sam na sam z Silasem. Pora będzie zbyt późna, by Tippy mogła wyjść z Joshua na miasto. Silas zajmie się oporządzeniem koni, Jeremy zje kolację z nimi i resztę wieczoru mężczyźni spędzą na rozładowywaniu wozu. Po długim dniu Silas na pewno uda się na spoczynek, by rano wstać skoro świt i po śniadaniu wyruszyć w drogę powrotną do obozu.

Nie oni jedni z taboru zmierzali na kilkudniowy wypoczynek do Nowego Orleanu. Aby nie jechać w kurzu, który mógłby zanieczyścić ranę Jessiki, Silas zarządził, że pojedą na czele kawalkady. Jessica bardziej martwiła się o swoją suknię i twarz, lecz gdy wreszcie zajęła miejsce na koźle, pył z drogi niewiele mógł jej już zaszkodzić. Sytuacja z każdą chwilą się pogarszała. W panującym upale miała wrażenie, że dusi się w swoim kokonie z tafty. Materiał lepił się do jej spoconego ciała i miał, kiedy chwyciła spódnicę, by utrzymać ją w ryzach. Latające owady, zbyt małe, by je dostrzec i odpędzić, bzycały irytująco wokół jej obandażowanej głowy. Wstążka, którą Tippy zawiązała, żeby przysłonić opatrunek, uciskała ją coraz bardziej i w końcu Jessica ją zdjęła, marząc, by to samo uczynić z niewygodną siateczką podtrzymującą jej włosy i pelerynką osłaniającą ramiona. Ileż by dała, żeby włożyć perkalową sukienkę i pojedynczą muślinową halkę, a włosy związać na karku w zwykły węzeł. Szlag trafił wszystkie jej nadzieje, by po przyjeździe do hotelu wyglądać elegancko i ponętnie.

Joshua, Silas i Jeremy nie dostrzegali jej katuszy, Henri jednak najwyraźniej się domyślił, w czym rzecz. Rozpływał się w zachwytach nad jej suknią, zwracając uwagę na zaprojektowane i uszyte przez Tippy detale, co słysząc, służąca promieniała z radości. Prowadząc konia jak najbliżej Jessiki, opisywał jej wszystkie wspaniałości, które czekały na

nią w Nowym Orleanie – wysmienite jedzenie, urocze restauracje, wspaniałe rozrywki i sklepy (będzie zachwycona domem towarowym jego ojca!), przemili ludzie. Przedstawi ją swoim przyjaciołom, którzy przygarną ją pod swoje skrzydła na czas nieobecności męża. Jeśli sobie tego zażyczy, on znajdzie korepetytora dla Joshui i dopilnuje, by chłopcu nie brakowało kolegów do zabawy. Madame będzie zachwycona Garden District, tak podobną do Savannah i Charlestonu, a w hotelu Winthorp, otoczonym przez rozległe ogrody, poczuje się dosłownie jak w domu. Tramwaj St. Charles uruchomiony w zeszłym roku i napędzany silnikiem parowym zatrzymuje się tuż obok hotelu, skąd zawiezie ją do starego miasta, znanego jako Vieux Carré Kreolów lub inaczej Dzielnica Łacińska, niezwykłego miejsca, choć nie należy odwiedzać go po zmroku.

Silas od czasu do czasu wtrącał jakieś pytanie i Jessica szybko się zorientowała, że chce mieć pewność, iż zarówno Joshua, jak i ona będą bezpieczni po jego wyjeździe. Przez ostatnie dwa dni odnosił się do niej z wyjątkową atencją i rezerwą, każąc jej się zastanawiać, czy żałuje tego, co powiedział, gdy przez chwilę stali samotnie obok wozu. Wciąż nie rozumiała, co też takiego widzi w tym człowieku.

– Henri, mam nadzieję, że w mieście nie dochodzi do żadnych niepokojów na tle rasowym? – zapytał.

– Absolutnie nie, przyjacielu. Udało się ich uniknąć, gdy biali i rdzenni Kreole nie dalej jak w tym roku uzgodnili, że będą zamieszkiwać odrębne części miasta – odparł Henri. – Kreole, którzy skolonizowali Nowy Orlean, w dalszym ciągu mieszkają w Dzielnicy Francuskiej, podczas gdy zamożni amerykańscy przybysze zajęli Garden District. Dzielnica należy w zasadzie do Lafayette i niewiele ma wspólnego ze starym miastem. Jessica i twój syn będą całkowicie bezpieczni od kolorowych mieszkańców.

– Oni zaś od białych – wtrąciła Jessica. – Prawdę mówiąc, nigdy nie bałam się czarnych – mówiła dalej – a z tego, co czytałam o kulturze rdzennych Kreolów, doskonale rozumiem, czemu nie chcą się bratać z napływowymi Amerykanami. Boją się zepsucia.

Jej krótka przemowa została przyjęta z wymownym milczeniem, a Jessica poczuła, jak Tippy szturcha ją ostrzegawczo. Jessica zauważyła

zaciśnięte szczęki Silasa i szybkie spojrzenie, jakim obrzucił Joshuę, by sprawdzić, czy słowa Jessiki zwróciły jego uwagę.

– Panno Wyndham, ma pani pełne prawo do swoich antyniewolniczych przekonań – ostrzegł ją jakiś czas temu – proszę jednak nie narzucać ich mojemu synowi.

Cóż, trudno. Trzeba od czasu do czasu przypomnieć tym posiadaczom niewolników, że choć zmuszona jest między nimi żyć, nigdy jedną z nich nie będzie.

Zgodnie z obawami Jessiki wóz wjechał na dziedziniec hotelu, gdy w powietrzu rozchodziły się już aromatyczne zapachy pieczonej wołowiny i świeżych bułek.

– Ach, uroki cywilizacji – wykrzyknął Jeremy, zsiadając z konia. – Ślinka już mi cieknie do ust.

– Papo, jestem głodny – zawołał błagalnie Joshua. – Możemy już jeść?

– Za chwileczkę, synu. Zameldujmy się najpierw.

Tylko Tippy zauważyła naburmuszenie Jessiki. Przepadła okazja do skonsumowania jej małżeństwa z Silasem. Przyjedzie za dwa dni na urodzinowe przyjęcie Joshui i jeszcze raz z kolejną wizytą, ale do tego czasu przestanie zapewne darzyć ją jakimkolwiek uczuciem, może i ona zdąży też ochłonać. Pozostanie zamezną dziewczicą i dalej będą sobie z mężem obcy.

Właściciele hotelu wyszli im na powitanie, pocziwy mąż i wesola żona, okrągłutka i gruchająca jak gołąb. Henri zerwał z głowy kapelusz i przystąpił do prezentacji.

– Oto szacowni ludzie, na których czekaliście – oznajmił. Jessica podejrzewała, że chce uniknąć przedstawiania jej i Silasa jako państwa Toliver.

– Jak rozumiem, panie Toliver, zajmiecie państwo dwa pokoje, każdy z pomieszczeniem do ablucji – powiedział Henry Morgan.

– Zgadza się – odparł Silas. – Jeden dla mnie i mojej żony, drugi dla mojego syna z przyległym pokojem dla służącej. Prosiłem Henriego, by to z państwem uzgodnił. Mam nadzieję, że to żaden problem?

– Absolutnie, panie Toliver. Wszystko zgodnie z pańskim życzeniem – zapewnił go Henry.

Jessica, która z irytacją usiłowała doprowadzić swoją suknię do porządku, uniosła zdziwiona głowę.

Silas spojrział na nią z uśmiechem błakającym mu się na ustach.

– Nie masz nic przeciwko, Jessico?

Zaschło jej w ustach.

– Cóż, ja... tak – powiedziała, przełykając szybko ślinę – zgadzam się, oczywiście.

Rozdział 35

– Synu, chodź tutaj, usiądź przy mnie, mam ci coś do powiedzenia
– rzekł Silas.

Usiadł na jednym z tapicerowanych krzeseł w pokoju chłopca, drugie postawił obok. Joshua klapnął na nim zmęczony, gotowy do spania. Zjadł obfitą kolację i bawił się przez godzinę, kiedy do pokoi wnoszono bagaże. Jego mina zdradzała, że zastanawia się, czemu przyjechało z nimi tyle jego rzeczy, ale jak dotąd nie zadawał żadnych pytań. Zakładał, że zostaną w hotelu przez tydzień, a tymczasem w taborze będą uzupełniane zapasy i dokonane niezbędne naprawy. Teraz czekały go dwie niespodzianki. Jedna mogła poczekać. Silas postanowił, że najpierw wyjaśni mu pierwszą, w tej chwili ważniejszą.

– Tak, papo?

Silas się nachylił, by skupić na sobie uwagę zasypiającego chłopca.

– Zataiłem przed tobą pewną sprawę, ponieważ uznałem, że tego nie zrozumiesz. Zapewne tak właśnie będzie, ale gdy dorośniesz, wszystko stanie się dla ciebie jasne.

Joshua słuchał z sennym zainteresowaniem. Silas mówił dalej.

– Jessica jest kimś więcej niż tylko twoją przyjaciółką, synu. Jest moją żoną i twoją macochą. W styczniu wzięliśmy ślub w Willowshire.

Joshua się ocknął.

– Ty i Jessica jesteście małżeństwem? Ale zachowujecie się, jakbyście nie byli, nie tak jak kiedyś babcia z dziadkiem.

– Wiem. Dlatego właśnie nie będę dzisiaj spać z tobą w jednym pokoju. Będę... będę z moją żoną w pokoju obok. Tak robią małżeństwa. Mąż i żona... śpią razem. Tippy będzie w swoim pokoju, tuż obok twojego, gdybyś czegoś potrzebował.

Joshua zmarszczył brwi.

– Skoro Jessica jest moją macochą, czy to znaczy, że będzie moją mamą tylko w połowie? Nie będzie kochać mnie tak, jak kochałaby cała mama?

– Nie, to nie jest tak, synu. – Silas wziął malca na kolana. – Jessica kocha cię całym sercem, wiem to na pewno. Nie urodziła cię, ale ponieważ jest moją żoną, ty jesteś jej synem.

– Moja prawdziwa mama umarła dawno temu, kiedy się urodziłem, prawda?

– Prawda.

– Nie miała kiedy mnie pokochać.

– Nie, nie miała – zgodził się z nim Silas, czując, jak ściska go w gardle. Delikatnie spróbował przyglądzić niesforny kosmyk włosów chłopca.

– Ale Jessica mi to wynagrodzi.

– Jestem tego całkowicie pewien.

– I wciąż może być moją przyjaciółką?

– Do końca świata. Przyrzekła mi to, a jest kobietą, która dotrzymuje obietnic.

– Czy pozwoli, żebym nazywał ją mamą, jak moi koledzy nazywają swoje?

– Na pewno bardzo ją to ucieszy.

– Naprawdę chciałbym mieć mamę.

Nagle ku zdumieniu Silasa Joshua zeskoczył mu z kolan i stanął między jego nogami. Ujął twarz ojca obiema dłońmi, by skupić na sobie całą jego uwagę.

– Papo... – powiedział, wpatrując się ojcu w oczy.

– Tak, synu? – zapytał rozbawiony.

– Obiecuj mi, że nie odbierzesz mi Jessiki, tak jak odebrałeś Lettie, babcię i wujka Morrisa.

Silasa oczy zapiekły od łez. Posadził sobie synka z powrotem na kolanach i mocno przytulił.

– Obiecuję, Joshuo. Zatrzymamy Jessicę na zawsze, jeśli zechce z nami zostać.

A więc stało się, pomyślał Jeremy. Jutro Silas i Jessica będą mężem i żoną. Jeremy usłyszał, jak przyjaciel wydaje polecenia właścicielowi hotelu i odciągnął Silasa na bok, by nikt ich nie podsłuchał.

– Możesz mi powiedzieć, że to nie moja sprawa – rzekł – ale muszę zapytać. Czy dzieląc pokój z Jessicą, masz na myśli to samo co ja, czy może tak tylko powiedziałeś, żeby zachować pozory?

– Dokładnie to mam na myśli.

– Czemu zmieniłeś zdanie?

– Poszedłem za twoją radą i przeczytałem jej pamiętnik.

– Och, rozumiem.

– Mam taką nadzieję, Jeremy. Nie myliłeś się. Jessica mnie kocha, a i mnie zaczęło na niej zależeć. Żadne z nas nie wie, dokąd nas te uczucia zaprowadzą, ale chcę postąpić jak należy. Na tyle, na ile to możliwe, pragnę, aby była szczęśliwa.

Jeremy ujął przyjaciela za ramiona.

– Na pewno ci się uda, stary druhu. Życzę wam szczęścia.

Wszystkiego najlepszego.

Jeremy cieszył się ze względu na Silasa, szczerze. Jego przyjaciel nie zasługiwał na Jessicę, w taki sposób zostając jej mężem, ale z czasem ją pokocha – nie tak, jak swoją plantację, ale prawie. Jego słowa „mam taką nadzieję” jasno dawały Jeremy’emu do zrozumienia, że teraz Jessica należy do Silasa. Jeremy mógł porzucić swoje nadzieje, że któregoś dnia ją zdobędzie. To już nie wchodziło w grę. Szkoda. Dla niej uwolniłby wszystkich swoich niewolników. Jessica była niezwykłą osobą, którą z każdym dniem coraz bardziej podziwiał. Teraz kobieta, którą z radością by poślubił, może co najwyżej zostać jego najlepszą przyjaciółką.

– Skąd wiedziałeś, że... będę chciała? – zapytała Jessica, kiedy Silas rozпинаł ostatnią przeszkodę dzielącą ich od zaspokojenia wspólnego pożądanego. Stała bardzo spokojnie, podczas gdy jego ręce pracowały.

– Przeczytałem twój pamiętnik.

– Kiedy?!

Pocałował ją w zdziwione usta.

– Kiedy spałaś – rzekł po chwili, gdy ona z rozkoszy przymknęła powieki. Je także pocałował. – I dziękuję za to Bogu. Dalej tkwiłbym w przekonaniu, że mnie nienawidzisz.

Otworzyła oczy.

– Próbowałam. Nie wiem, czemu mi się nie udało.

Przyszedł czas na gorset, następnie halkę.

– Ja też nie – mówił, rozwiązując sznurówki gorsetu. – Zrobię wszystko, abyś mnie nie znienawidziła jako... męża.

Zrozumiała, co chciał jej w ten łagodny sposób dać do zrozumienia. Jako właściciel niewolników daje jej powód do niechęci, ale jako jej mąż, jako kochanek... Czy mogłaby nienawidzić człowieka, do którego czuje tak silny fizyczny pociąg?

Gorset opadł na podłogę, a Silas zdjął jej przez głowę koszulkę.

– Dobry Boże – westchnął z zachwytem, gdy ujrzał jej nagie piersi.

– Resztę zdejmę sama – oznajmiła, zrzucając halki i pantaloney. Nie odrywając od niej wzroku, Silas rozwiązał szlafrok i upuścił go na podłogę. Dotknął bandaża na głowie Jessiki.

– Na pewno czujesz się na tyle dobrze, by to zrobić?

– Czuję się doskonale – odparła, podając mu rękę, by zaprowadził ją do łóżka.

Rozdział 36

Kiedy Jessica się obudziła, Silasa nie było. Sięgnęła na jego stronę łóżka, lecz znalazła tylko pustkę, co bardzo nią wstrząsnęło. Najpierw, że uciekł od niej, tak zawstydzony niepohamowaną namiętnością wspólnej nocy, że bał się spojrzeć jej w oczy. Czy mogła mieć do niego pretensje? Jak na pannę młodą... dziewicę zachowała się skandalicznie. Na pewno był zdziwiony, że choć w zasadzie był jej obcy, tak łatwo i bez wysiłku zdołał ją zadowolić.

Odrzuciła prześcieradła, by skorzystać z łazienki i zdjąć opatrunek, którego Silas za wszelką cenę starał się nie uszkodzić. Mimo to i tak za cud mogła poczytywać, że rana nie wyglądała gorzej niż dotąd, z wyjątkiem niemiłej dla oka barwy. Nie ubrała się, czekając, aż Tippy przyniesie jej czyste odzienie, i wróciła do łóżka naga, jeszcze niegotowa, by porzucić ciepłe pielesze i wspomnienie pierwszego miłosnego doświadczenia.

W niczym nie przypominało ono tego, czego się spodziewała czy przed czym ostrzegały ją koleżanki w szkole. Krwawiła, ale tylko odrobinę, nie czuła za to żadnego bólu, tylko ogromną rozkosz, jakby unosiła się wśród gwiazd. Kiedy Silas zauważył ślad dziewiczej krwi, od razu poszedł do umywalni i zmoczył szmatkę, po czym obmył ją tak delikatnie i bez skrępowania, jakby pielęgnował dziecko. Podłożył jej czysty ręcznik, po czym odwrócili się do siebie plecami, sądząc, że usną,

lecz ochota – może żądza, Jessica nie potrafiła tego nazwać – wzięła górę i znowu obrócili się ku sobie.

Powinna się wstydzić, że tak zatraciła się w mężczyźnie, którego ledwo co знаła, choć był jej mężem, ale żadnego wstydu nie zaznała. Po raz pierwszy w życiu nie czuła się brzydka i niechciana. Silas sprawił, że poczuła się piękna i pożądana, i wbrew instynktowi i zdrowemu rozsądkowi wiedziała, że sam hołd, który złożył jej próżności, może sprawić, że zdoła być z nim szczęśliwa. Trudno na razie mówić o miłości, która mogła przecież nigdy nie nadejść. Nie była aż tak młoda, by nie wiedzieć, że czas, przyzwyczajenie i różnice nie do pokonania mogą położyć kres najgorętszej namiętności, ale po co miała martwić się na przyszłość. Będzie żyła dniem dzisiejszym.

Gdzie też podziewał się Silas? Tęskniła za nim, pragnęła go. Powiedział jej, że ma dziś do załatwienia sprawy w Nowym Orleanie i że przed powrotem do obozu nie zajrzy już do hotelu, ale to było wcześniej. Miała nadzieję, że zjedzą razem śniadanie, co wydawało się cywilizowaną i właściwą formalnością po skonsumowaniu małżeństwa.

Jessica westchnęła żałośnie. Niewiele potrzebowała czasu, by się dąsać jak każda żona na męża zaniedbującego małżeńskie powinności.

Rozmyślenia przerwało jej delikatne pukanie do drzwi prowadzących do pokoju obok. Pospiesznie naciągnęła prześcieradło, osłaniając piersi. Była pewna, że to Tippy chce poznać szczegóły nocy.

– Proszę – zawołała.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Silas, kompletnie ubrany, świeży, wypoczęty i niesamowicie przystojny.

– Dzień dobry – powiedział, odrobinę zmieszany. – Jak twoja głowa?

Jessica szybko zasłoniła ręką ranę, a serce zaczęło jej walić jak oszalałe.

– Nie patrz. Ma paskudny kolor, ale poza tym nie odniosła w nocy większych obrażeń.

– Istny cud. – Silas podszedł do łóżka i odsunął jej rękę, by przekonać się na własne oczy. – Wcale nie wygląda paskudnie – powiedział. – To dowód, że się goi, bo jesteś młoda i zdrowa, ale na wszelki wypadek trzeba ją jeszcze opatrzyć. Przyślę Tippy. A... poza

tym dobrze się czujesz?

– Wręcz doskonale.

Zapadła chwila niezręcznej ciszy. Jessica szczelniej osłoniła się prześcieradłem i mocniej wtuliła głowę w poduszkę.

– Na pewno masz mnie za rozpustną – powiedziała, zerkając na niego znad pościeli.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech wyrażający ulgę.

– Nic podobnego. Twoja... reakcja na mój zapach niezwykle mi pochlebiła.

– Zapewne niejedna kobieta wzbudziła w tobie ten entuzjazm, ale ty jesteś jedynym mężczyzną, który wzbudził mój.

Silas uśmiechnął się jeszcze radośniej.

– Cóż za wyjątkowy komplement. Mam nadzieję, że podobało ci się bardziej, niż gdybyś kopulowała z mułem.

– Nie wiem, nie mam porównania – odparła Jessica wyniośle.

Silas się zaśmiał i z kieszeni wyjął dwa listy, jeden zapieczętowany woskiem, drugi w ręcznie zrobionej kopercie.

– Proszę. To do ciebie. Wziąłem je z recepcji. Morganowie zapomnieli dać ci je wczoraj. Po pieczęci domyślałam się, że ten jest od twojej matki. Mam nadzieję, że przesyła dobre wieści, bylebyś tylko nie zaczęła tęsknić za domem. Teraz muszę cię zostawić, ale wrócę w południe i razem z Joshuą zjemy wspólnie posiłek. Potem niestety wracam do obozu.

Znowu się nad nią nachylił. Jessica sądziła, że chce ją tylko pocałować na pożegnanie w policzek, lecz zielone oczy błysnęły mu łobuzersko i zanim zdążyła zareagować, zerwał z niej prześcieradło.

– Litości, dobry Boże – westchnął i przycisnął wargi do jej krągłej piersi.

Z całej siły musiała się powstrzymać, by nie zanurzyć palców w jego czarnych włosach i nie przyciągnąć go do siebie. Musiała jednak pamiętać o Joshui w pokoju obok. Odepchnęła Silasa i poprawiła prześcieradło.

– Gdzie jest twój syn? – zapytała.

– Na dole – odparł Silas, niechętnie się prostując. – Jadł śniadanie i znalazł sobie towarzysza do zabawy, Jake'a, chłopca z taboru. Jego

rodzice zatrzymali się w hotelu.

– Joshua nie wie... o nas, prawda?

– Powiedziałem mu wczoraj, że jesteśmy małżeństwem. Chce mówić do ciebie mamó.

– Och, Silasie, naprawdę? – Nie posiadając się z radości, niemal usiadła. Wprost nie mogła w to uwierzyć. Tak bardzo się lękała, że Joshua nie zechce uznać jej za matkę, gdy się dowie, że ona i jego ojciec są mężem i żoną. – Chce mówić do mnie mamó?

– Tak, powiedział to bardzo wyraźnie.

– Jestem zaszczycóna! – zawołała i na próbę powiedziała: –

Mama...

Silas raz jeszcze się nachylił i Jessica zauważyła, że znowu go korci, by ściągnąć z niej prześcieradło, ona jednak mocno je trzymała, choć czuła ciepło ogarniające jej uda.

– Idź już, żebym mogła w spokoju przeczytać listy – powiedziała, odpychając go wolną ręką.

Silas się roześmiał i uszczypnął ją w policzek, ale zrobił, jak mu kazała. Jessica odprowadziła go wzrokiem i patrzyła, jak otwiera drzwi i odwraca się, by na nią spojrzeć, poważnie i ze spokojem.

– Jessico, nie zastanawiajmy się nad tym, co między nami zaszło i dlaczego. Po prostu to przyjmijmy i cieszymy się.

– Dobrze, Silasie.

– Wróć o dwunastej – powiedział. – Odpoczywaj.

Chwilę później do pokoju wpadła Tippy i wybałuszyła oczy, widząc, że Jessica wciąż leży w łóżku, a do tego jest naga.

– Tylko nie mów, że to się stało – odezwała się podekscytowana.

– Stało się – odparła Jessica – i nie, nie powiem ci, co dokładnie się stało, ale było bosko.

– Cóż, dzięki niech będą gwiazdom, księżycowi i istotom niebieskim – powiedziała Tippy i dwukrotnie pociągnęła za dzwonek, by przyniesiono ciepłą wodę. – Może teraz pan Silas się zastanowi, czy chce cię tu zostawić. Skoro zakosztował miodu, myślisz, że tak łatwo pozbędzie się ula?

– Myślałam o tym, Tippy. Joshua wie, że wzięliśmy ślub. Silas mówi, że bardzo się z tego cieszy i chce mówić do mnie mamó. Czy to

nie cudowne? Teraz więc muszę myśleć nie tylko o tobie, jestem też odpowiedzialna za mojego małego... pasierba i... – Jessica spojrzała na Tippy. – Może też powinnam myśleć o sobie, tak na wszelki wypadek.

– Co to znaczy, tak na wszelki wypadek?

– Mam płodne dni.

– Chwała Panu! – Jak zwykle w chwili uniesienia Tippy zasłoniła swoją małą twarzą wielkimi dłońmi, tak że widać było tylko nastroszone włosy i sterzące uszy. – Powiesz panu Silasowi? – zapytała stłumionym głosem.

– Zobaczymy – odparła Jessica, wyjmując z koperty list nadesłany z Bostonu. Nie rozpoznała adresu zwrotnego. List od matki mógł zaczekać. Jessica tęskniła za każdym słowem z Willowshire, ale treść listu mogła ją zasmucić, a w tej chwili nie chciała, aby cokolwiek zakłóciło jej szczęście.

– To od Sary Conklin! – wykrzyknęła. – Przeprowadziła się do Bostonu. Píše, że dotarła do domu szczęśliwie, ale żałuje, że jej bratanek Paul musiał oglądać ją w takim stanie. Długo dochodziła do zdrowia, ale teraz już czuje się dobrze. Paul chce wstąpić do West Point i zostać żołnierzem, kiedy dorośnie.

Jessica zmarszczyła czoło.

– Co się stało? – zapytała Tippy.

– Sarah pisze, że my może tego nie dożyjemy, ale przewiduje, że z czasem dojdzie do wojny między Północą a Południem o niewolnictwo.

– Dożyjemy – odparła cicho Tippy, przygotowując świeże bandaże.

Jessica spojrzała na nią i poczuła zimny dreszcz na swojej nagiej skórze. Tippy była istotą nie z tej ziemi. Przemawiały do niej gwiazdy i jej przepowiednie zawsze się sprawdzały.

W kopercie od matki były dwa listy.

– Tippy, dostałaś list od Willie May! – wykrzyknęła Jessica. – Cudownie, że mama go dołączyła. Jestem pewna, że papa nie ma o niczym pojęcia.

Tippy wyrwała jej list z ręki i nawzajem dzieliły się wiadomościami od swoich matek, aż Jessica doszła do ostatniego akapitu

w swoim liście. Tak jak się obawiała, nowina od matki zmartwiła ją i zasmuciła.

– Och, nie! – jęknęła.

– Co się stało?

– Silas będzie zrozpaczony... serce mu pęknie. Jak ja mu to powiem...

– Co takiego?

– Lettie... Wyszła za Morrisa i teraz jest panią w Queens-crown.

Rozdział 37

Ich wspólny, już rodzinny lunch, był pięknym dopełnieniem minionej nocy. Joshua zbliżył się do Jessiki nieśmiało, gdy wraz z ojcem przyszedł do jej pokoju przed lunchem. Ona siedziała przed toaletką i Silas podprowadził go do jej krzesła.

– Papa powiedział, że będziesz moją mamą.

Jessica ujęła jego obie rączki w swoje. Przemówiła głosem cichym i łagodnym:

– To nie znaczy, że dalej nie możemy być przyjaciółmi.

– Papa też tak powiedział, ale chcę, żebyś przede wszystkim była moją mamą. Możesz mi mówić, co mam robić. Koledzy mówią, że mamy każą im różne rzeczy, bo ich kochają.

– I mają całkowitą rację – zapewniła go Jessica.

– Ale będziesz mi czytać tak jak zawsze?

– Dopóki ciebie nie nauczę czytać. Wtedy ty będziesz czytał mnie.

Joshua spojrział na swojego wysokiego ojca.

– Mogę ją teraz uściskać?

– Chyba się nie złamie – powiedział Silas i mrugnął do Jessiki porozumiewawczo.

Zignorowała go i pozwoliła, by chude ramionka objęły ją za szyję. Doprawdy za cud mogła poczytywać, że jest żoną tego przystojnego mężczyzny stojącego obok niej i matką uroczego dziecka, które już zdążyła pokochać całym sercem. Mądrość nakazywała jej, by nie cieszyć się nadto szczęściem zbudowanym na tak wątpliwym gruncie jak ich małżeństwo, ale na razie postanowiła pójść za radą Silasa i nie kwestionować tego, co zaszło między nimi. Czuła się chciana i potrzebna. Będzie się tym nowym doznaniem rozkoszować tak długo, jak tylko się da.

Gawędząc wesoło, ręka w rękę zeszli schodami i dotarli do restauracji, jak normalni rodzice prowadzący między sobą swoje potomstwo. Wybrali stolik obok rodziny z taboru. Byli to Lorimer i Stephanie Davisowie z synem Jakiem. Podobnie jak Toliverowie odziani byli jak ludzie majętni, a kobieta była jedną z nielicznych żon właścicieli niewolników, która odrobinę zaprzyjaźniła się z Jessicą.

Lekko zdumieni zachowaniem Jessiki i Silasa (wiedzieli, że para, do tej pory żyjąca oddzielnie, teraz zajmowała wspólnie pokój) Davisowie powitali Toliverów jak swoich – rodziców, których synowie wspaniale się razem bawili.

Jessica uznała, że o małżeństwie Lettie powie Silasowi dopiero, gdy będzie odjeżdżał do obozu. Nie chciała, aby na choć jedną ich wspólną chwilę przed jego powrotem padł najmniejszy nawet cień.

Stało się to zbyt szybko. Joshua udał się na popołudniową drzemkę, Tippy również. Jej jedyne płuco źle znosiło panującą w Nowym Orleanie wilgoć. Kładąc chłopca do łóżka, Silas się z nim pożegnał. Jessica wraz z nim wyszła na dziedziniec, gdzie siodłano mu konia. Jak mąż i żona podzielili się nawzajem swoimi planami. Silas przyjedzie pojutrze na przyjęcie urodzinowe Joshui. On przyjedzie swoim wozem, który wystawi na sprzedaż, drugi przywiezie dzieci na przyjęcie. Już znalazł potencjalnego kupca gotowego zapłacić godziwą cenę. Jessica wraz z obsługą hotelową zajmie się przygotowaniami do urodzinowego lunchu, również Henri zaoferował się, że będzie jej, Joshui i Tippy towarzyszył w zwiedzaniu miasta. Francuz pragnął pokazać im dom handlowy swego ojca, a także hotel St. Charles, już niemal ukończony, zapowiadający się na największy i najwspanialszy hotel w Stanach Zjednoczonych. Joshua nie mógł się doczekać przejażdżki ulicznym tramwajem wraz ze swoim przyjacielem Jakiem.

Wówczas Jessica zwróciła się do męża:

– Silasie, jest coś, co muszę ci powiedzieć.

– Mam nadzieję, że nic takiego, co pozbawi mnie złudzeń, że jesteś szczęśliwa.

– Nie ma to nic wspólnego z moim szczęściem, ale może z twoim. Twój brat i Lettie wzięli ślub. Dowiedziałam się o tym z listu od matki.

Jessica wstrzymała oddech. Następne sekundy powiedzą jej, czy Silas wciąż jeszcze myśli o Lettie i pograży się teraz w rozpacz, że utracił ją nieodwracalnie. Jessica nieraz się zastanawiała, czy Silas wróciłby po Lettie, gdyby wciąż pozostawała niezamężna, a on, dotrzymawszy warunków umowy, rozwiódłby się z nią.

– Doprawdy? – zapytał, po czym oszczędził jej dwóch dni cierpienia, gdy pod jego nieobecność zadręczałaby się, czy wciąż

pograżony jest w żalu. Ujął obie dłonie Jessiki i pocałował je. – Życzę memu bratu i jego małżonce wszystkiego najlepszego – powiedział. – I mam nadzieję, że mimo wszystkich dzielących ich rozbieżności staną się sobie tak bliscy, jak my sobie jesteśmy.

Nie dodał nic więcej, a z wyjątkiem uśmiešku, który jej posłał, gdy dotykając kapelusza odjechał, jego twarz pozostała bez wyrazu. Jessica przykryła wierzch jednej ręki drugą w miejscu, w którym jej dotknęły jego usta. Silas na pewno cierpi, czuje się zdradzony i smutny, że tak się wszystko ułożyło. Ale Lettie była dla niego stracona na zawsze, a ona, Jessica, jest i będzie do czasu, aż Silas spełni wszystkie warunki umowy, którą zawarł z jej ojcem.

Silas się cieszył, że w drogę powrotną do obozu wyruszył tylko on i jego koń. Potrzebował samotności, czasu i odległości, by otrząsnąć się z szoku i uczuć nim wywołanych. Więc Lettie związała się z Morrisem. Wizja pięknej, namiętnej, pełnej życia byłej narzeczonej poślubionej jego cytującemu na każdym kroku Biblię, lakonicznemu i nudnemu bratu była zbyt bolesna. Kiedy minął pierwszy szok, Silas poczuł niepokój. I kto tu mówił o kopulowaniu z mułem! Dobry Boże, co też tej Lettie strzeliło do głowy, żeby wyjść za Morrisa?

Koń pokonywał kolejną milę, a Silasowi coraz to nowe myśli przychodziły do głowy. Przestał się dręczyć losem Lettie i własnym poczuciem winy, że to on ponosi za niego odpowiedzialność. Była narzeczoną doskonale wiedziała, co robi, wychodząc za Morrisa. Oddając swą urodę i ciało bałwanowi, jakim był jego brat, zdobyła Queenscrown, którą uwielbiała. Silas przypominał sobie jej radość na myśl, że przed wyjazdem do Teksasu spędzi na plantacji jeszcze rok. Już wtedy podejrzewał, że gdy przyjdzie im wyruszyć, mimo żądzy przygód, o której nieustannie mówiła, niechętnie zrezygnowałyby z luksusów i wygody. Lettie nigdy nie była bardziej promienna niż w chwilach, gdy królowała na salonach Queenscrown, jakby się w nich urodziła. Posiadłość była jej nagrodą pocieszenia, a Morris, którego przecież darzyła sympatią, nie takim znowu najgorszym substytutem mężczyzny, który ją odtrącił.

Matka odzyskała synową, którą uważała za bezpowrotnie straconą. Pojawią się wnuki, które będzie mogła tulić i wielbić. Poza drobnymi

zmianami dziewczyna i bliscy, których zostawił, będą wiedli życie niewiele różniące się od tego, które sobie zaplanowali.

Nim dotarł do obozu, Silas zapomniał o smutku i poczuciu winy. Myślał już tylko o Jessice. Marzył, by zawrócić konia i chwycić ją w ramiona, zapewniając, że jego dawna miłość jest wyłącznie rozdziałem w książce, którą zaczął, lecz odstawił z powrotem na półkę i nie pragnie znowu po nią sięgnąć. Jego dawne życie i wszyscy jego uczestnicy należą do przeszłości. Wątpił, by kiedykolwiek miał wrócić do Karoliny Południowej i Queens-crown, choćby tylko po to, by zobaczyć się z matką, która całą swoją uwagę skupi teraz na Morrisie, Lettie i wnukach. Młodszy syn i wnuk staną się wspomnieniem, do którego od czasu do czasu będzie wracać.

Jessica należała do jego przyszłości, bez względu na to, co go czekało. Na ich wspólnym szczęściu cieniem kładło się niewolnictwo. Za wszelką cenę nie mógł dopuścić, by Jessica wywarła zgubny wpływ na jego syna – ich syna – i dzieci, które być może będą razem mieli. Tylko dzięki pracy niewolników Silas będzie w stanie zrealizować swoje marzenie o Somerset i nie pozwoli, by jego żona wtrącała się w wychowanie dziedziców, którzy musieli zrozumieć, że od niej zależy ich styl życia i utrzymanie ciągłości rodu ziemskich posiadaczy. Gdy Silas układał Joshuę na drzemkę, chłopczyk zapytał, czy ojciec przywiezie Josiaha, Leviego i Samuela na jego przyjęcie, synów niewolników, których Joshua traktował na równi z Jakiem Davisem. Kiedy Silas odparł, że to nie będzie możliwe, syn zapytał dlaczego.

– Przyjęcie jest tylko dla ciebie i twoich przyjaciół – wyjaśnił chłopcu. – Josiah, Levi i Samuel są Murzynami.

– I dlatego nie mogą być moimi przyjaciółmi?

Był zbyt mały, by to zrozumieć, podobnie jak Silas, gdy dorastając, bawił się z dziećmi niewolników i uważał ich za swoich przyjaciół. Z czasem jednak instytucja, w której się wychował, sprawiła, że w naturalny sposób zrozumiał i przyjął za oczywistą różnicę między sobą a nimi. Nie trzeba go było tego uczyć, ale też żadna Jessica Wyndham Toliver nie szeptała mu do ucha, że może być inaczej.

Na razie jednak nie spodziewał się, by w swoim małżeństwie z Jessicą miał się borykać z takimi problemami. Mógł być wdzięczny, że

przeszkoda, której się obawiał, przestała istnieć. Bo dziewczyna, z którą się ożenił i która na jego oczach rozkwitła w kobietę, nie czuła do niego nienawiści.

Rozdział 38

Następnego ranka do drzwi zapukała hotelowa pokojówka z wiadomością.

– Na dole czeka dżentelmen, który pragnie zobaczyć się z panią Toliver – powiedziała.

– Przedstawił się? – zapytała Tippy, która otworzyła jej drzwi.

– To agent przysłany przez ojca pani Toliver – odparła pokojówka, wręczając Tippy wizytówkę.

– Chwileczkę, powiadomię panią.

Jessica przeczytała wizytówkę i mina jej zrzędła.

– Pan Herman Glover – przeczytała na głos. – Mężczyzna, który pracuje w banku mojego ojca.

Jessica pamiętała go jako mężczyznę, który wyglądał, jakby nigdy nie widział słońca, o chudej twarzy i kościstych dłoniach. To on był tym pracownikiem, przed którym Jessica przestrzegła Sarę, że został zatrudniony, by zebrać dowody przeciwko kasjerowi podejrzanemu o czynne popieranie ruchu abolicjonistycznego.

– Czy służąca ma mu przekazać, żeby zaczekał? – zapytała Tippy.

– Nie, przyjmę go – odparła Jessica, pośpiesznie wstając od toaletki. Tippy właśnie ją wykapała i dokładnie umyła jej włosy, które owinęła ręcznikiem. Poza tym Jessica była już kompletnie ubrana i siedziała przed lustrem, żeby Tippy mogła dokonać cudów z jej mokrymi kosmykami. – Spotkam się z nim tak, jak jestem, i pozbędę się go. Mamy dzisiaj zbyt wiele zajęć, by marnować na niego czas.

Jessica nie próbowała nawet ukryć swojego wstrętu, kiedy zeszła do hotelowego salonu.

– Chciał się pan ze mną widzieć? – zwróciła się do bladego gościa.

– Pani ojciec przesyła pozdrowienia, panno Wyndham – rzekł mężczyzna z głębokim ukłonem, nie zdołał jednak ukryć zdziwienia na widok turbanu na jej głowie, jak również fioletowo-brązowej rany na czole.

– Pani Toliver – poprawiła go Jessica. – Czego pan chce?

Zmieszany, z ołówkiem w ręce mężczyzna otworzył nieduży notes.

– Pani ojciec życzy sobie, abym zebrał informacje na temat pani

zdrowia i... stanu umysłu – rzekł i zaczął notować.

– Co pan pisze?

– Cóż, że ma pani poważne obrażenia głowy, panno... eee, to znaczy, pani Toliver. Czy mogę prosić o szczegóły?

– Proszę mi to dać! – rozkazała Jessica, wyrywając mu notes.

Podeszła do stolika i usiadła przy nim.

„Papo – zaczęła pisać – gad, którego przysłałeś, bez wątpienia w jak najgorszy sposób przedstawi ci ranę, jaką mam na głowie, a która powstała, gdy koń w moim zaprzęgu spłoszył się zaatakowany przez jastrzębia, a ja spadłam z wozu. Rana goi się bardzo ładnie dzięki temu, że natychmiast udzielono mi pomocy medycznej. W tej chwili jestem ulokowana w doskonałym hotelu, gdzie będę oczekiwała na powrót mojego męża z Teksasu, dokąd wyrusza pod koniec tygodnia. Na pewno z radością przeczytasz i przekażesz Matce, że Twoja córka nigdy nie była szczęśliwsza, choć zapewne nieobecność mężczyzny, którego kupiłeś mi na męża, będzie napawać mnie smutkiem.

Z nadzieją, że pozostajecie w zdrowiu,
Jessica”

– Proszę! To powinno wszystko powiedzieć memu ojcu o moim zdrowiu i stanie umysłu. – Jessica zwróciła agentowi jego notes. – Coś jeszcze?

– Cóż, hm, owszem, pani Toliver. Za pani zgodą muszę osobiście pomówić z Tippy.

No tak, pomyślała Jessica, kolejne zabezpieczenie podjęte przez ojca, by dotrzymała ze swej strony umowy. Podeszła do recepcji.

– Proszę przekazać mojej przyjaciółce Tippy, że oczekuję jej w salonie.

Gdy Tippy się zjawiała i Herman Glover mógł odhaczyć kolejną pozycję w swoim notesie, rzekł:

– Teraz muszę porozmawiać z panem Toliverem. Zastałem go?

– Nie, nie ma go.

– Och, czy to znaczy, że nie ma go tutaj – agent ruchem ręki wskazał hotel – czy też, że gdzieś spoczywa martwy?

Jessice drgnęły kąciaki ust. Ten człowiek nie żartował. Był zupełnie pozbawiony poczucia humoru, nie mógł zdobyć się na żart. Rozbawiona

uniosła brew.

– Pyta pan, czy osobiście pozbawiłam go życia?

– No tak, cóż, przyszło mi to do głowy.

– Pan Toliver jest jak najbardziej żywy i w doskonałym zdrowiu, lecz w tej chwili przebywa w obozie pięć mil od miasta. Czy mam panu wyjaśnić, jak tam dotrzeć?

– Czy pan Toliver zjawi się w najbliższym czasie w hotelu?

– Jutro w południe na przyjęciu urodzinowym swojego syna.

– W takim razie zaczekam na niego tutaj, gdyż niezbyt pewnie czuję się w siodle. Zapewniam panią jednak, że nie zakłócę przyjęcia. Spotkam się z nim później.

I wtedy wręczysz mu kolejną sumę pieniędzy, pod warunkiem że finanse Silasa nie wzbudzą twoich zastrzeżeń, pomyślała Jessica. Druga rata na Somerset.

– Jak pan sobie życzy, panie Glover – rzekła, czując, jak jej dobry humor znika.

Przyjęcie urodzinowe przebiegło zgodnie z planem, choć właściciele hotelu mieli pewne zastrzeżenia. Ostatecznie mogli się zgodzić, żeby murzyńska służąca spała w izdebce obok pokoju swojej pani, ale za przesadę uznali, że ma zasiąść z nią przy stole. Spór został zażegnany, kiedy Jessica poprosiła o oddzielny pokój, do którego Tippy mogła wejść tylnymi drzwiami. Jessice udało się kupić kilka prezentów dla Joshui, ale w niczym nie mogły się równać ze skórzaną kurtką – niespodzianką przygotowaną przez Tippy. Nawet Silas, który traktował Murzynkę z dystansem i omijał ją szerokim łukiem – Jessica jeszcze w to nie zaingerowała – wręcz zaniemówił z wrażenia, podobnie jak Stephanie Davis, którą udział Tippy w przyjęciu wyraźnie krępował.

– To istne dzieło sztuki, *ma petite* – zachwycił się Henri. – Nic dziwnego, że mój ojciec był – uniosł wypielęgnowaną dłoń, jakby przywołując odpowiednie słowo – urzeczony przepiękną suknią twojej pani, w której przyszła odwiedzić jego centrum handlowe.

Dwupiętrowy tort czekoladowy, na którego czubku spoczywa cukrowy płaski kapelusz plantatora, identyczny jak noszony przez Silasa, również wzbudził powszechny zachwyt, zwłaszcza ojca solenizanta. Podniósł Joshuę, by chłopczyk mógł lepiej ujrzeć ozdobę.

– Któregoś dnia, synu – powiedział Silas – ty też będziesz nosił taki kapelusz, objeżdżając ze mną pola Somerset.

Wszyscy nagrodzili jego słowa oklaskami, również Tippy, która najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy, że przy pomocy kuchennego personelu stworzyła symbol opresji jej pobratymców. Zachwyty Silasa i Joshui nad jej trudem wzbudził w niej tak ogromną radość, że Jessica postanowiła się nie odzywać.

Późnym popołudniem, gdy pożegnali wóz zabierający gości Joshui z powrotem do obozu, Silas udał się na spotkanie z agentem Carsona Wyndhama. Kilka godzin później Jessica poszła go poszukać i znalazła go stojącego samotnie w barze, zapatrzonego w szklaneczkę alkoholu stojącą przed nim. Agent musiał już sobie pójść. Na barze leżała skórzana koperta, przypominająca Silasowi o umowie, którą zawarł z ojcem Jessiki, sprzedając się w zamian za Somerset. Czy ponury nastrój Silasa spowodowany był smutkiem, że na to przystał? Jessica położyła mu dłoń na ramieniu.

– Przyjęcie było urocze – powiedziała. – Joshua wprost nie posiadał się z radości. Na pewno gotuje się z gorąca w swojej skórzanej kurtce, ale za nic nie chce jej zdjąć.

Pojawienie się Jessiki jakby zaskoczyło Silasa, który szybko wziął kopertę i wsunął ją do wewnętrznej kieszeni surduta.

– Tak, jest przeszczęśliwy. Bardzo jestem wdzięczny tobie i Tippy, że sprawiłyście mu taką radość. Dobrze, że Tippy uszyła kurtkę trochę za dużą, wystarczy mu na dłużej. Ta twoja Tippy jest naprawdę wyjątkowa.

– Mogłaby też być twoją Tippy.

– Jessico, ona jest kolorowa.

– Czy pod jej odmienną skórą nie mógłbyś dojrzeć niezwyklej osoby, którą jest, i traktować jej jak moją przyjaciółkę, godną miłości i uznania?

– Nie, Jessico, nie mógłbym, ale doceniam i szanuję to, co cię z nią łączy. To wszystko, na co mnie stać.

– Obiecuj mi, że jej nie sprzedasz.

– Obiecuję.

– I zgadzasz się, abyśmy byli przyjaciółkami?

Uśmiechnął się.

– Czy mam jakiś wybór?

– Nie, ale chcę usłyszeć, że mam twoje przyzwolenie.

– Masz, jak długo Tippy będzie żyć.

Jessica się uśmiechnęła.

– Doskonale. A teraz chodźmy zobaczyć, co porabia Joshua.

Dzień zakończyli lekką kolacją i kiedy chłopiec leżał już w łóżku, a Tippy oddaliła się do swojego pokoju, Jessica wróciła do siebie, z niecierpliwością czekając na Silasa, który poszedł jeszcze do stajni, by dojrzeć konia. Miała już na sobie nocny strój, kiedy ktoś delikatnie zapukał do drzwi łączących oba pokoje. Jessica otworzyła je i ujrzała Joshuę z książeczką w ręce, wpatrującego się w nią błagalnie szeroko otwartymi oczami z rzęsami jak firanki, o których Tippy mówiła, że u chłopca są „nielegalne”. Syn Silasa z wyglądu w niczym nie przypominał ojca. Oczy zamiast zielonych miał raczej orzechowe, na głowie burzę dziecinnych brązowych loczków, a nie jak ojciec gęstą kruczoczną czuprynę. Nos bardziej wróbli niż orli, usta wygięte w delikatny łuk, a nie wąskie i surowe.

– Nie mogę zasnąć – powiedział swoim dziecinnym głosem. – Proszę, mam, poczytasz mi?

Rozczulił Jessicę. Jak mogłaby mu odmówić?

– Oczywiście, że poczytam.

– Dziękuję – rzekł i nie mówiąc nic więcej, ściskając swoją książeczkę, wdrapał się na łóżko, jakby było zarezerwowane specjalnie dla niego.

Gdy chwilę później zjawił się Silas, już w szlafroku, ze zdumieniem ujrzał swoją żonę i syna, przytulonych do siebie na pościeli. Jessica spojrzała znad książki rozbawiona, a Joshua poklepał miejsce obok siebie.

– Chodź do nas, papo. Właśnie jesteśmy w najlepszym miejscu.

– Cóż, tego nie mógłbym przegapić – odparł Silas i położył się obok synka.

Później, kiedy Joshua spał już w swoim łóżku, a Silas i Jessica skończyli się kochać, on leżał bezsennie. Agent nie był jedynym gościem, który odwiedził go dzisiejszego popołudnia. Zjawił się również

Jean DuMont, ojciec Henriego. Rozmowa z nim pozwoliła Silasowi zrozumieć, że jego przyjaciel pragnie przede wszystkim uwolnić się od apodyktycznego i wyniosłego człowieka, bo taki okazał się właściciel Domu Towarowego DuMont. Jessica powiedziała, że dom towarowy jest wspaniały – nie mogą się z nim równać najlepsze sklepy w Charlestonie. Henri zwierzył się Silasowi, że ojciec traktuje go jak lokaja, nigdy nie pozwalając na podjęcie nawet najbliższej decyzji. Widząc DuMonta czekającego na niego w salonie, Toliver zdumiał się i w pierwszej chwili pomyślał, że przyszedł prosić, aby Silas odwiódł jego syna od pomysłu przeprowadzki do Teksasu. Jean DuMont miał jednak zupełnie inną sprawę.

– Jest u pana dziwnie wyglądająca Murzynka, Tippy, służąca pańskiej małżonki – rzekł na wstępie. – Chcę ją kupić.

Wymienił sumę, na którą serce Silasa zabiło szybciej. Dzięki tym pieniądzom termin, który założył sobie na spłatę długu u Carsona Wyndhama, skróciłby się o kilka lat.

– Wprawia mnie pan w osłupienie – powiedział Silas.

– Jak rozumiem, dobiliśmy targu? – odparł Jean DuMont, unosząc swą arystokratyczną brew.

Sięgał już do kieszeni po książeczkę czekową.

– Nie, proszę pana – powstrzymał go Silas – nie dobiliśmy żadnego targu. Tippy nie jest na sprzedaż.

– Podwajam cenę.

Silas się zawahał. Jako mąż Jessiki mógł w każdej chwili sprzedać Tippy, bez względu na zawartą umowę, ale mimo pokusy nie mógł zgodzić się na transakcję. Gdyby nawet żona nie znienawidziła go za to, że sprzedał jej służącą, Silas nie zamieniłby oddania Tippy temu człowiekowi na propozycję zwrócenia Jessice wolności.

– Służąca mojej żony nie jest na sprzedaż – powtórzył dobitnie.

Jessica spała głęboko, z twarzą zwróconą ku niemu. Silas oparł się pokusie, by pogłodzić ją po policzku, dotknąć jej piersi. We śnie wyglądała jak bezbronne dziecko, w niczym nie przypominając kobiety zdolnej osiodłać wiatr. Odrzucił propozycję DuMonta nie tylko dlatego, że Jessica kochała Tippy, lecz myślał też o latach spędzonych z nią, zanim zdoła spłacić jej ojca. Może do tego czasu nie będzie już chciała

od niego odejść.

Rozdział 39

Pod koniec tygodnia tabor był gotowy, by wyruszyć w dalszą drogę do Teksasu. Zapasy zostały uzupełnione, naprawy ukończone, leki i amunicja spakowane. Zakupiono łodzie żaglowe i tratwy na przeprawę przez rzekę Sabine, załatwiono też prom dla tych, którzy nim woleli pokonać rzekę. Drugi zwiadowca wynajęty przez Jeremy'ego po wielomiesięcznym rekonesansie przedstawił najlepszą według niego drogę do krainy czarnoziemiu. Wiodła przez starorzecze, później przez gęste sosnowe tereny wzdłuż wschodniej granicy nowo proklamowej republiki i choć była trudniejsza, mniej czyhało na niej niebezpieczeństw. Indianie z plemienia Komanczów wciąż szaleli i stanowili nieustanne zagrożenie dla osadników, ale jak dotąd wojujące bandy trzymały się na północ od terenów, do których zmierzali.

Silas sprzedał swój wóz, zyskując dodatkowe zasoby, a Herman Glover zostawił mu fundusze aż nadto wystarczające na pokrycie kosztów. Nadszedł dzień wyjazdu. Jeremy przyjechał pożegnać się z Jessicą i Joshuą, przywożąc owinięte w jutę róże. Jessica zgodziła się zaopiekować nimi i lancasterami Silasa pod nieobecność przyjaciół.

– Zostawiając je pod twoją opieką, Jess – powiedział Jeremy, gdy przedstawił swoją prośbę – będziemy mieć pewność, że po nie wrócimy.

– W takim razie troskliwie się nimi zaopiekuję – zapewniła go, ze zdenerwowania z trudem łapiąc oddech.

Rozmowie tej przysłuchiwał się Henri.

– Panowie obaj przykładacie wielką wagę do tych uschłych badyli – zagaił wiedziony ciekawością. – Czy wolno mi zapytać czemu?

Wyjaśnienia udzielił mu Silas.

– Niezwykłe – rzekł Francuz, wyraźnie ujęty opowieścią o tym, jak Warwickowie i Toliverowie pokonali ocean, wioząc ze sobą symbole swoich rodów. – Teraz zostaną posadzone w nowej ziemi, którą podbijecie.

– Z Bożą pomocą – rzekł Silas.

– A Bóg na pewno wam jej udzieli – powiedziała Jessica tonem nie pozostawiającym w tej kwestii najmniejszych wątpliwości.

– Bo inaczej Jessica się z Nim rozmówi – zażartował Jeremy.

Dzień wcześniej Joshua się dowiedział, że ojciec musi zostawić go na kilka miesięcy, by mógł wybudować dla nich nowy dom w Teksasie.

– Chcę, żebyś zachował się teraz jak mały mężczyzna – powiedział Silas do synka. – Masz już pięć lat.

– Tak jest – odpowiedział Joshua, stając przed ojcem w pozycji na baczność, w swojej za dużej skórzanej kurcie, ze łzami w oczach i drżącymi usteczkami.

Później, kiedy ojciec nie widział, schował twarz na kolanach Jessiki i płakał żałośnie.

Lorimer Davis stał ze swoją rodziną, Silas ze swoją. Ich konie były już osiodłane. Tippy uciekła do domu. Jessica się cieszyła, że Silas posłał po nią, by osobiście się z nią pożegnać i przykazać, by opiekowała się jego rodziną. Jessica z całej siły ścisnęła dłoń Silasa. Nadszedł czas ostatecznego pożegnania. Silas objął żonę i syna i przygarnął ich do siebie.

– Wrócę, gdy będę wiedział, że jest bezpiecznie. I będę pisał – powiedział ochryple. – Jakoś znajdę sposób, by słać wam wiadomości, choćbym miał wynająć do tego Tomahawka od Jeremy’ego. Joshuo, pamiętasz, co ci mówiłem?

– Tak, papo. Mam się opiekować mamą.

– I masz odmawiać pacierz i zachowywać się, jak przystało na Tolivera.

– Tak, papo.

– A teraz biegnij do Jake’a, żebyśmy mogli zamienić słowo z Jessicą.

– Dobrze.

Jessica schyliła głowę, jak robiła zawsze, gdy nie chciała, by ktoś zauważył, że jest bliska płaczu. Nie udało jej się jednak, gdyż Silas ujął ją pod brodę. Wiedziała, że przez kolejne miesiące będzie pamiętać jego wysoką sylwetkę rysującą się na tle ciemnozielonych liści i mięsistych białych kwiatów magnolii, z czarnymi jak noc włosami i oczami lśniącymi niczym szmaragdy. Powtarzała sobie, że nie może wyryć sobie w pamięci każdego rysu i wyrazu jego twarzy, bo wówczas dałaby wiarę czemuś nieprawdopodobnemu.

– Jessico – powiedział. – Nigdy wobec nikogo nie żywiłem takich uczuć jak do ciebie, jakkolwiek to ma dla ciebie wartość.

– Nic z tego nie pojmuję, absolutnie nic. – Tak bardzo starała się nie ulec emocjom, że jej słowa zabrzmiały twardo. – Wiem tylko, że ja...

– Co takiego wiesz? – zapytał głosem tak delikatnym jak powiew wiatru, który zmierzwił jego niesforne włosy.

– Że pragnę, abyś wrócił.

Musnął palcami gojącą się na jej czole ranę, dzięki której dotarli do tej pełnej nadziei i rozpaczliwej chwili.

– Cieszę się. Musisz dalej pisać swój pamiętnik, ja będę pisał swój. Kiedy wrócę, będziemy czytać je sobie na głos i w ten sposób nie umknie nam ani jeden dzień. Nie stracę tych miesięcy, kiedy nie będę widział, jak rośnie mój syn... nasz syn. Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Odjeżdżam jako człowiek szczęśliwy. Pocałujesz mnie?

– Tak.

W cieniu magnolii on schylił głowę, ona podniosła twarz i pocałowali się. Silas odsunął się, patrząc na nią w sposób, który kazał Jessice wierzyć, że pragnie wyryć sobie w pamięci jej oblicze. Zasalutował Joshui, chłopczyk, stając na baczność, odpowiedział tym samym i Silas dosiadł konia.

– Lorimerze – zawołał do towarzysza podróży energicznym, rzeczowym tonem. – Ruszajmy do Teksasu.

Stephanie razem z Jakiem, Jessica z Joshua odprawiali ich wzrokiem. Tippy stała obok nich cichutka jak myszka i żadne się nie odezwało, dopóki mężczyźni, konie i wozy nie znikli im z oczu. Dopiero wtedy Jessica zwróciła się do Tippy:

– Chodź, musimy znaleźć jakieś wiadra. Trzeba włożyć te róże do świeżej ziemi, jeśli chcemy, żeby przeżyły.

Bo jeśli róże sobie poradzą, Silas i Jeremy również, pomyślała.

Był pierwszy czerwca 1836 roku.

Rozdział 40

Fragment pamiętnika Silasa

15 września 1836 roku

„Człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi”. Nie mylił się ten piętnastowieczny niemiecki myśliciel, Tomasz z Kempen, gdy pisał te słowa, a Morris by się uradował, że się z tym zgadzam, lecz Bóg mi świadkiem, że nieraz w ciągu ostatnich lat przekonałem się, iż jest to prawda. Siedzę tu teraz, w wigilię mojego wyjazdu do Nowego Orleanu, i zastanawiam się, od czego zacząć swoją relację, by opowiedzieć Jessice, jak w swej mądrości Pan Bóg odpowiedział na moje pragnienie osiedlenia się na czarnej, żyznej ziemi teksańskiej. Jeżeli nie dotarł do niej mój list, który powierzyłem żołnierzowi wracającemu do Lafayette, nie wie, że tabor z Willow Grove nie dotarł do ziem, które były mi obiecane. Gdy przeprawiliśmy się przez Sabine i brnęliśmy przez starorzecza, było nam bardzo ciężko i niejednego doświadczyliśmy. Ludzie łamali kończyny, pękały wozy, kopyta koni i wołów, wpadaliśmy w zdradliwe bagniska, groziły nam węże i aligatory. Po dwóch dniach rozłożyliśmy się obozem.

Jeremy wyraźnie odetchnął z ulgą. Zdążył już zauważyć obfitość jeleni i dzikich indyków, czystych strumieni, głęboką, żyzną i elastą glebę, bogactwo drzew, lecz mnie zachwyciło co innego. Pierwszy Kongres Republiki Teksasu oferował wszystkim emigrantom przybyłym od 2 marca 1836 roku do 1 października 1837 ziemię o powierzchni 1 280 akrów dla rodzin i 640 dla samotnych, pod warunkiem że nie opuszczą Teksasu przez trzy lata. Czemu miałbym płacić dwanaście i pół centa za akr ludziom takim jak Stephen F. Austin, skoro ziemię, na której stałem, mogłem mieć za darmo?

Co prawda trudniej będzie wykarczować sosnowy las niż prerię, jednak były też dobre strony. Zaoszczędzając na ziemi, powiększę swoje tajemne zasoby, będę też mógł wcześniej pojechać po Jessicę i Joshuę. Tym razem pojedę Starą Drogą San Antonio i promem Gaines przeprowię się przez Sabine do Luizjany i tą samą drogą sprowadzę

swoją rodzinę, szybciej i łatwiej przedostając się do Teksasu.

Lorimer Davis, który usłyszał moją rozmowę z Jeremym, podszedł i poprosił, bym powtórzył to, co właśnie powiedziałem.

Jeremy zrobił to za mnie.

– Silas powiedział: „A może tutaj?”.

Lorimer uśmiechnął się od jednego wielkiego ucha do drugiego i krzyknął do swego sąsiada:

– A MOŻE TUTAJ?

Gdy przekazywano sobie pytanie z wozu do wozu, rozległo się chóralne TAK, podobnie jak na zebraniu, które zwołaliśmy następnego dnia. Osadnicy jednogłośnie zgodzili się zamieszkać pośród sosnowego lasu.

I tak w moje trzydzieste urodziny udało mi się wynająć mierniczego, który palikami wyznaczył moją ziemię i podał mi lokalizację, bym mógł złożyć podanie do Głównego Zarządu Ziemi w Teksasie, który ma być otwarty w Austin w grudniu. Znalazłem świadków, którzy potwierdzili w raporcie mierniczego moje przybycie do Teksasu, nie powinienem więc mieć problemów z otrzymaniem warunkowego aktu własności do czasu, aż za trzy lata ziemia oficjalnie będzie należała do mnie. Jeszcze przed zakończeniem pomiarów zacząłem budować chaty, ogrodzenia, stodoły i przede wszystkim karczować grunt, by wczesną wiosną móc sadzić bawełnę. Dobrze, że Jessiki tutaj nie było i nie widziała, do jakiej ciężkiej pracy zmuszałem niewolników, ale Somerset zaczyna nabierać realnych kształtów. Już nie mogę się doczekać, kiedy przeniosę ją przez próg naszego domu z bali. W najlepszym razie można o nim powiedzieć, że jest surowy, ale ciepły i szczelny, ponieważ dopilnowałem, żeby każda szpara została zabezpieczona. Dom może się poszczycić trzema pokojami i strychem, jest też hol prowadzący od frontowego ganku do szopy na tyłach, w której za niemałe pieniądze kazałem zainstalować wannę dla Jessiki! Mam nadzieję, że się ucieszy. Z czasem planuję dobudować jeszcze jedną chatę, dzięki czemu dom będzie dwa razy większy, lecz to musi poczekać, aż załatwię inne, znacznie ważniejsze sprawy.

Dwa tygodnie temu Sam Houston z Wirginii został wybrany na pierwszego prezydenta Republiki Teksasu. Być może teraz nowy naród

czeka stabilizacja. Finanse republiki są na wyczerpaniu, więc nie sposób zaciągnąć jakikolwiek kredyt. Nie ma z czego opłacić armii, budowy dróg czy systemu pocztowego. Wciąż zagrażają nam Meksyk i Indianie. Houston jest za przyłączeniem Teksasu do Stanów Zjednoczonych, chce też utrzymać pokojowe relacje z Indianami. Jego przeciwnicy opowiadają się za niepodległością i usunięciem Indian z terenu całej republiki. Kto zwycięży? W przyszłości widzę się jako członka politycznego ciała, które będzie o takich sprawach decydować, ale na razie muszę się skupić na budowie plantacji, by mój syn i później jego synowie mogli żyć i rozwijać się na tej obiecującej, pełnej możliwości ziemi.

Obawiam się, że Jeremy nie będzie mi towarzyszył w tym przedsięwzięciu, chociaż ogroził swoje 640 akrów ziemi – „załątek Kompanii Drzewnej Warwicków, przyjacielu”, oznajmił z dumą tydzień po naszym przybyciu tutaj, co było dla mnie wielkim zaskoczeniem. „Zmęczyła mnie uprawa bawełny, Silasie”, powiedział. „Swoją finansową przyszłość widzę w przemyśle drzewnym”. Dalej tłumaczył mi, że zrywka drewna jest jeszcze w powijakach, ale ma absolutną pewność, że wraz z rozwojem narodu ona także będzie się rozwijać, bo zapotrzebowanie na drewno będzie coraz większe.

Przeżyłem wstrząs na wieść, że tak się pali do zmian – jest gotów odwrócić się od dziedzictwa Warwicków – ale naturalnie jestem z nim całym sercem. Ja jestem Toliverem i dla mnie liczy się tylko uprawa ziemi, ogromnych jej połaci, co po mnie będą czynić moi spadkobiercy.

Henri wybrał sobie działkę na najbardziej pagórkowatej i najmniej żyznej ziemi, w sporej odległości od rzeki. On z kolei widzi swoje 640 akrów jako załątek miasta, które wspólnie zbudujemy, i już zaznaczył teren, gdzie zamierza postawić swój dom kupiecki – z początku będzie to zwykły sklep, lecz gdy miasto już powstanie – „Ach, *mon ami*”, mówi Henri, „zbuduję takie centrum handlowe, jakiego świat jeszcze nie widział!”. Jemu też życzę, aby udało mu się zrealizować wszystkie te zamierzenia i uważam się za prawdziwego szczęściarza, mając niemal w zasięgu głosu dwóch najwspanialszych ludzi, których przyjaźnią się szczyć.

To mój ostatni wpis do tego dziennika. Jego pisanie przynosiło mi

ukojenie, gdy pod koniec długich, ciężkich dni dotkliwie odczuwałem samotność. Kiedy będę już z Jessicą i Joshua, nie będzie potrzeby opisywania każdego dnia, skoro będę je przeżywał wraz z nimi.

(Ku pamięci: Przed pokazaniem dziennika Jessice, zaznaczyć fragmenty, których nie powinna czytać).

Rozdział 41

Fragment pamiętnika Jessiki

18 września 1836 roku

Silasa nie ma już od trzech i pół miesiąca. Chwilami wydaje mi się, że nie zniosę jeszcze jednego dnia oczekiwania na jego powrót. Teraz, skoro czuję się już lepiej, kazałam spakować i przygotować kilka kufrów, by można je było jak najszybciej załadować na wóz, gdy Silas wróci. Stephanie także siedzi jak na szpilkach. Podobnie jak ja, jest już zmęczona nadmiarem wolnego czasu i mieszkaniem w jednym pokoju z rozbrykanym sześciolatkiem.

Mimo to cieszę się, że Silas nie widział, jak przez pierwsze miesiące ciąży nieustannie walczyłam z torsjami. Dosłownie mieszkałam koło nocnika, co na pewno nie byłoby miłym widokiem dla męża. Dopiero od kilku tygodni mogę wychodzić z hotelu, najczęściej jadąc tramwajem do Domu Towarowego DuMont, by swoją obecnością stale przypominać Monsieur DuMontowi o mojej groźbie.

Ledwie dzień minął od wyjazdu Silasa, gdy ojciec Henriego przyszedł do mnie z propozycją, bym wypożyczyła mu Tippy. „Naturalnie, będzie otrzymywać zapłatę – powiedział – jako że mąż pani powiedział, iż dziewczyna nie jest na sprzedaż. Odrzucił moją bardzo szczerą ofertę”, dodał z rozdrażnieniem, jakby wciąż czuł się tym dotknięty.

Wpatrywałam się w niego z rozdziawionymi ustami, przez co natychmiast stało się dla niego jasne, że Silas nawet słowem mi o tym nie napomknął.

– Czyżby mąż pani nic nie wspomniał? Ach, cóż, w takim razie – uśmiechnął się przypochlebnie, a w jego oczach błysnęła chciwość – może wspólnie dobijemy targu, bo dziewczyna należy do pani i może pani nią rozporządzać wedle własnego uznania.

Zapytałam, ile gotów był zapłacić za Tippy, a gdy mi powiedział, aż mi dech zaparło. Nie wiedziałam, ile mój ojciec zgodził się zapłacić Silasowi, by uwolnił go ode mnie, nie zdziwiłabym się jednak, gdyby

suma proponowana przez Monsieur DuMonta była równa sporej części pieniędzy od ojca. Gdyby Silas przystał na propozycję Francuza, byłby bardziej niezależny od ojca i skróciłby o kilka lat okres zobowiązania. Mógłby rzucić ojcu ich umową w twarz.

Mógłby się mnie pozbyć.

Silas jednak dotrzymał danego mi słowa, że nigdy nie sprzeda Tippy, i nie skorzystał z propozycji Monsieur DuMonta.

– A więc? – ponaglił mnie mój gość zniecierpliwionym tonem.

Krew uderzyła mi do głowy. Nie zdziwiłabym się, gdyby nagle wyrosły mi skrzydła i uniosły nad ziemię.

– Powtórzę słowa mojego męża, monsieur – odparłam. – Moja służąca nie jest na sprzedaż.

– Doskonale, może więc wynajmie mi ją pani za... – ściągnął usta z namysłem i podał wysokość kwoty, którą gotów był zapłacić.

Zapewnił mnie, że nie będzie to ciężka praca. Uważał, że mojej służącej się spodoba. Chciał, aby pracowała przy projektowaniu sukien.

Odparłam, że muszę zapytać Tippy. Gdy odprowadzałam go do drzwi, nie ukrywał rozczarowania, że nie udzieliłam mu odpowiedzi natychmiast – czy musiałam pytać o zdanie niewolnicę? – ale zgodził się przyjść nazajutrz, by poznać moją decyzję.

Wprost nie mogłam się doczekać, żeby wreszcie sobie poszedł. Chciałam się w spokoju zastanowić, czemu Silas odrzucił tak hojną ofertę. Pamiętam, że tamtego wieczoru rozmawialiśmy już po wizycie Monsieur DuMonta, Silas jednak nie zdradził mi jej celu. Na pewno wiedział, jak sprzedanie Tippy wpłynęłoby na nasze niepewne stosunki, czymże jednak to było w porównaniu z tym, co by zyskał – między innymi pozbyłby się żony, którą poślubił przymuszony.

Położyłam dłonie na zaokrągleniu będącym owocem naszych wspólnych dwóch nocy. Oto dojrzewało we mnie ziarno naszego zniszczenia. Nie potrzebowaliśmy kolejnych. Muszę pogodzić się z tym, że Silas posiada niewolników, jednak nie zniosę, by nasze dziecko popierało kupowanie i sprzedawanie ludzi, by musieli być posłuszni innym bez żadnego wynagrodzenia czy swobody w podejmowaniu decyzji.

Tłumaczyłam sobie, że już niedługo zaczniemy się o to spierać.

Przez chwilę było mi miło – nie posiadałam się z radości – że mój mąż zdobył się na takie poświęcenie przez wzgląd na nasze małżeństwo.

Tippy nie ukrywała zachwytu, że może pracować przy projektowaniu strojów w Domu Towarowym DuMont. Zarobki najmniej ją interesowały. Wyobrażając sobie, jak projektuje swoje cuda w takim miejscu, cieszyła się przede wszystkim, że będzie mogła dotykać jedwabiów i satyny, brokatów, delikatnej bawełny i wełnianych tkanin. Ze szczęścia zaczęła wymachiwać swoimi wielkimi rękami.

– Ale jak dasz sobie radę, gdy nie będzie mnie całymi dniami? – wykrzyknęła.

– Będziemy się z Joshuą nawzajem sobą opiekować – uspokoila ją.

Mój pasierb już zachowywał się jak czuły starszy brat, często przytulając głowę do mojego brzucha i przemawiając do niego.

– Jeśli jesteś chłopcem, nauczę cię wszystkiego, co sam lubię robić. Jeśli dziewczynką, wtedy będę cię chronił przed wszystkimi złymi rzeczami.

W takich chwilach całowałam z czułością słodki czubek jego głowy i zastanawiałam się, czy zdołam pokochać własne dziecko równie mocno jak tego chłopca.

Tippy przyjęła pracę, lecz dopiero gdy ostrzegłam Monsieur DuMonta, że odpowie przed moim ojcem, jeśli potraktuje ją źle lub w jakikolwiek sposób wykorzysta. Musiał się też zgodzić, że codziennie będzie przysyłał po Tippy powóz, który wieczorem odwiezie ją również z powrotem. Jego dom towarowy znajdował się w dzielnicy handlowej, przy Canal Street. Ponieważ ludzie uważali Tippy za dziwoląga, dokądkolwiek się udała, przyciągała uwagę, co przeważnie nie objawiało się w miły sposób. Nowy Orlean był miastem egzotycznym, sprośnym, zmysłowym, tajemniczym, gdzie łatwo można było zniknąć, i wyobrażałam sobie, że bez mojej ochrony Tippy napadną jacyś chuligani, porwą ją handlarze niewolników lub jakaś zła kobieta zmusi ją do posług, do końca życia trzymając pod kluczem w porośniętej mchem rezydencji.

Wszystko układało się doskonale i gdyby nie Joshua i opowieści, które Tippy przynosiła wieczorami z Domu Towarowego DuMont,

wykończyłoby mnie to marnowanie czasu i energii w hotelu Winthorp. Przez nudę dni, z których każdy był taki sam jak poprzedni, nie miałam ochoty pisać w pamiętniku. Mam nadzieję, że Silas zrozumie, skąd te przerwy między kolejnymi wpisami. Kiedy znowu zajrzę do pamiętnika, może będę mogła opisać w nim jakieś ciekawsze zdarzenia.

19 września, 1836

Bogu niech będą dzięki. Wczoraj wieczorem rozległo się pukanie i kiedy otworzyłam drzwi, ujrzałam na progu Silasa Williama Tolivera.

Rozdział 42

Somerset, styczeń 1841 roku

Silas pamiętał wyznawaną przez jego ojca zasadę, że człowiek powinien dzielić swoje życie na pięciolatki. Tylko w ten sposób mógł dokładnie ocenić sukcesy, straty, konsekwencje podjętych decyzji, by postanowić, jak postępować w przyszłości. Bzdury, pomyślał Silas ze złością, która zawsze się w nim budziła na wspomnienie ojca. Znajdował się w sytuacji, na którą żadne sukcesy czy porażki ani konsekwencje podjętych decyzji nie mogły rzucić światła. Bóg jedne wie, że podróż do tego czasu i miejsca obfitowała w nie wszystkie.

Podszedł do okna zwabiony głosami swoich synów bawiących się hałaśliwie na podwórzu obok domu z bali. Były muzyką, która kojąco działała na szalejące w nim demony. Dzisiejszy demon przywołał wspomnienie rozplonionej twarzy jego matki w salonie w Queenscrown, gdy Elizabeth mu oznajmiła, że jego ziemia w Teksasie będzie przeklęta. „Nie można zbudować niczego dobrego na takiej krzywdzie, egoizmie i chciwości”.

Czy rzeczywiście egoizmem i chciwością było jego pragnienie, by powiększać swoje dziedzictwo dla korzyści rodu? Nazwałby to raczej poświęceniem. Sumienie kazało mu zrozumieć, że gdyby pieniądze, które zaoszczędził, żeby spłacić Carsona Wynd-hama, przeznaczył na zakup ziemi, nie mógłby zaproponować Jessice, że zwróci jej wolność. Był pewny, że nie zostawiłaby jego ani domu, który wspólnie zbudowali, lecz oddając jej ojcu wszystko do ostatniego centa, co ten zapłacił, by się jej pozbyć, dowiodłby, że nie z powodu haniebnej umowy pozostawał jej mężem. Czy jednak jego żona potrzebowała takiego dowodu? Od pobytu w Nowym Orleanie ani razu nie wspomniała o umowie. Jessica go kochała, choć może nie bezgranicznie, a on kochał ją, choć może nie wyłącznie. Zawsze wisiała nad nimi kwestia niewolnictwa, niczym dym, który przeganił przy kuchennym stole, w sypialni i w obecności dzieci. Jego serce należało częściowo do pani rozciągającej się za domem, która od świtu do zachodu słońca domagała się jego nieustannej uwagi.

Po cóż więc tak naprawdę miałyby zwracać Carsonowi Wynd-hamowi pieniądze, poza zaspokojeniem własnej dumy

i satysfakcji na myśl o minie Wyndhama, gdy agent będzie mu wręczał bankową notę z pełną sumą, którą w ratach wypłacał mu przez te wszystkie lata?

Zmęczony tymi myślami Silas wyszedł z domu do swoich synów, Joshui, już dziesięcioletniego, i Thomasa, trzyipółlatka. Mogli mieć jeszcze jednego syna, niestety jednak nie przeżył, we wrześniu 1836 roku wychodząc z łona matki o cztery miesiące za wcześnie. Dołączył do strat, które ponieśli, zmierzając ku tej chwili i miejscu.

Ta chwila i to miejsce. Silas powiódł wzrokiem po wszystkim, co udało mu się osiągnąć w ciągu pięciu lat, i pozwolił sobie na rzadkie poczucie dumy, radość, którą według niego powinien zachować na moment, w którym spełni swoje marzenie o Somerset. Mimo to mógł być dumny z wykarczowanej ziemi rozciągającej się za jego powiększonym domem, kwater dla niewolników wybudowanych na tyle blisko, by można było dojść do nich piechotą, a przede wszystkim z odziarniarki bawełny, którą wybudował na swojej ziemi. Udało mu się przekonać sąsiadów, by wspólnie z nim ponieśli koszty tej inwestycji. Dzięki własnej odziarniarce oszczędzali na opłatach i nie tracili czasu na dowożenie bawełny do najbliższej, odległej o dziesięć mil. Za kilka lat odziarniarka się zwróci, a właściciele będą mogli pobierać opłaty za jej udostępnianie.

Obok jego przytulnego domu z jednej strony wznosiły się zadbane stodoły, szopy i zagrody dla zwierząt, po drugiej było porządne podwórko, na którym chłopcy mogli się bawić, sad i dwa ogrody, właśnie przekopane. W ten zimny styczniowy dzień wyglądały raczej nędznie, ziemia w jednym czekała na obsianie, w drugim przycięte, nagie gałęzie czekały w uśpieniu, by wiosną wypuścić świeże pędy, które zamienią się w obfitość warzyw i róż.

Henri wpadł na pomysł, żeby Jeremy i Silas posadzili w swoich ogrodach róże Yorków i Lancasterów jako symbol jedności obu rodów. Wszyscy w trójkę zostali okrzyknięci założycielami nowej społeczności, którą osadnicy z entuzjazmem i jednogłośnie nazwali Howbutchere, dla upamiętnienia pytania *How about there?* – „A może tutaj?” – które Silas zadał w drugim dniu, gdy tabor rozłożył się obozem w sosnowym lesie. Silas i jego dwaj przyjaciele skrzywili się, słysząc tak pospolitą nazwę,

i udało im się namówić resztę na kompromis: ich miasto będzie się nazywało Howbutker, z akcentem na ostatnią sylabę.

Henri postanowił, że on również posadzi u siebie róże obu przyjaciół, co oświadczył Silasowi i Jeremy'emu podczas jednego ze spotkań. Obmyślił sobie, że w razie gdyby między przyjaciółmi doszło do jakiegoś nieporozumienia, co było przecież nieuniknione, róże będą wyrażały to, czego mężczyźni tak dumni jak oni nie są w stanie wypowiedzieć słowami.

– Jeśli kiedykolwiek się zdarzy, że was obrażę – powiedział – wyślę czerwoną różę jako prośbę o przebaczenie. Jeżeli natomiast zdarzy się, że ja taką otrzymam, wówczas odeślę różę białą na znak wybaczenia.

Tylko Francuz mógł wpaść na podobny pomysł, pomyślał Silas, Jessica jednak, baczną na każdy szczegół, z zachwytem przyjęła propozycję Henriego i oznajmiła, że wszystko to zapisze w swoim pamiętniku.

– Cóż za cudowny pomysł! – wykrzyknęła. – Opiszę to w dzienniku, który mam nadzieję, pewnego dnia stanie się historią Toliverów, Warwicków i DuMontów z Teksasu, dumnych założycieli miasta Howbutker.

– A jaki też będzie owa historia nosiła tytuł, moja droga? – zainteresował się Henri.

– Bardzo prosty – odparła. – *Róże*.

Silas przystanął na chwilę, by przyjrzeć się swemu kolejnemu osiągnięciu, z którego był niezmiernie dumny: swemu synowi, Thomasowi, urodzonemu pierwszego czerwca 1837 roku.

– Nie ma wątpliwości, że jest synem swojego ojca – stwierdziła Jessica.

Rzeczywiście z każdym kolejnym rokiem coraz wyraźniej było widać, że chłopiec jest nieodrodnym potomkiem Toliverów. Jego ciemnoniebieskie oczy zaczęły zmieniać barwę na jasnozieloną, dziurka w brodzie robiła się głębsza, a włosy, na czole rosnące w kształcie litery V, z wolna ciemniały.

Po Thomasie Jessica jeszcze raz poroniła i od tego czasu nie zaszła już w ciążę. Coraz grubszy pamiętnik Jessiki zawierał drzewa genealogiczne trzech głównych rodzin Howbutker. Jeremy i Henri

ożenili się w 1837 roku i każdy doczekał się już dwójki dzieci, których imiona Jessica skrzętnie zapisała. Wkrótce miały do nich dołączyć kolejne, gdy obaj panowie w lipcu po raz trzeci zostaną ojcami. Miejsce obok imienia Thomasa było puste i Silas miał niemiłe przeczucie, że takie już zostanie.

Joshua, widząc, że ojciec wyłania się zza rogu domu, zawołał błagalnie:

– Papo! Chodź i pobaw się w konia z Thomasem. Nie chcę, żeby więcej na mnie jeździł.

– Daj mu pojeździć na swoim koniu na patyku – odparł Silas, chwytając Thomasa na rękę. W wieku trzech i pół lat był już w zasadzie za duży, by Jessica dawała radę go nosić.

Joshua wysunął wargę.

– Nie chcę, żeby się nim bawił. Może mi go złamać.

Silas zmierzwił włosy synkowi, nie zganił go jednak, że nie chce się dzielić koniem na patyku, którego dostał w prezencie od Jessiki, kiedy miał cztery latka. Nie przez egoizm nie chciał pozwolić, by młodszy braciszek bawił się jego ulubioną zabawką, lecz dlatego, że miała dla niego wyjątkową wartość. Drewniane klocki z alfabetem i wyrzeźbionymi zwierzętami domowymi, które Tippy zdołała przechować dla Thomasa, już dawno straciły kolor, ale koń na patyku był dla Joshui czymś specjalnym, podobnie jak skórzana kurta, z której już dawno wyrósł, a którą Tippy uszyła mu na piąte urodziny. Chociaż tak jeszcze młody, Joshua nauczył się, że sentyment związany z pewnymi przedmiotami czyni je zbyt cennymi, by oddawać je w cudze ręce.

– Zresztą i tak jest już za zimno, żebyście bawili się na dworze – powiedział Silas. – Chodźcie do domu. Mama na pewno przeczyta wam jedną z książek, które dostaliście na Boże Narodzenie.

– Och, papo, jestem już za duży, żeby mi czytać – obruszył się Joshua.

Na biegnącą wokół domu werandę wyszła Jessica, zarzucając sobie na ramiona szal.

– Może w takim razie ty poczytasz bratu i mnie? – zaproponowała, najwyraźniej usłyszawszy ich rozmowę. – Uwielbiam, kiedy mi czytasz.

Silas spojrział na żonę i gwałtowny przyływ czułości ścisnął mu gardło, aż do oczu napłynęły łzy. W niektóre dni tak pochłaniały go niekończące się sprawy plantacji, że wieczorami ze zmęczenia ledwo mógł zdjąć buty, ją ledwo dostrzegając, tak jak nie zwraca się uwagi na powietrze, którym się oddycha. Ale była przy nim, swą obecnością dając mu poczucie stałości, i nie wyobrażał sobie, że mógłby żyć bez niej. Byli tu razem szczęśliwi, nawet gdy plony się nie udawały, żyli w nieustannym strachu przed Indianami, praca zdawała się nigdy nie mieć końca i stracili dwoje dzieci. Silas ciągle jej pożądał i jej towarzystwo dawało mu radość. Jego uczucia stale się pogłębiały, aż nadeszła chwila, że nie mógł znieść rozłąki z żoną, gdy interesy wymagały, by na jakiś czas wyjechał. Czy Jessica kiedykolwiek uwierzy, że nie pieniądze jej ojca trzymały go przy niej, lecz miłość do niej i potrzeba bycia razem? Czy serce kobiety zdoła kiedykolwiek zapomnieć to, czego umysł już nie pamiętał?

Zdołał zaoszczędzić dość pieniędzy, by kupić od sąsiada niewielki kawałek ziemi, dzięki któremu zdobędzie bezpośredni dostęp do rzeki Sabine i będzie mógł wybudować na jej brzegu przystań, by spławiać barkami bawełnę do Galveston, skąd handlowymi parostatkami wyruszy do Nowego Orleanu i innych portów. Skończy się morderczy transport wozami do przystani w górę rzeki i opłaty, których żądał jej właściciel. Z czasem Silas sam zacznie pobierać takie opłaty.

– Silasie? – Jessica zeszła schodkami z werandy i Thomas wyrwał się ojcu z ramion, by do niej podbiec. – Znowu pogrzyłeś się w zadumie. Co tym razem cię zaprzęta?

– To, jak bardzo cię kocham – odparł głosem nabrzmiałym od emocji. – Gdybym był Morrisem, przytoczyłbym cytat z Księgi Przysłów, ale ja nieco go sparafrazuję. „Znalazłem cnotliwą kobietę, wartą więcej niż wszystkie klejnoty”.

– Cóż, dzięki Bogu, nie jesteś Morrisem – powiedziała Jessica, która nie ulegała zbyt łatwo emocjom, ale teraz jej twarz zarumieniła się od miłego zaskoczenia. Nieczęsto wyznawali sobie miłość. – Idziesz do domu? – zapytała.

– Nie – odparł. Podjął właśnie decyzję. – Pojadę do Wiltonów. Chcę porozmawiać z Carlem o kupnie jego ziemi. Życzy sobie dzisiaj

poznać moją decyzję.

– Mamy na to pieniądze?

– Trochę odłożyłem, poza tym Carl chętnie sprzeda mi ziemię poniżej wartości rynkowej. Więcej mi się taka okazja nie trafi.

– W takim razie doskonale, ale na kolację wrócisz?

– Za nic z niej nie zrezygnuję, a potem... – Silas uśmiechnął się do Joshui, który poszedł ogrzać się pod szalem Jessiki. – Pobawię się z Thomasem w konia.

– Doskonale, papo – rzekł Joshua, naśladując stałe powiedzonko Jessiki.

Silas nie od razu poszedł osiodłać konia, lecz przyglądał się, jak Jessica zagarnia jego synów i wchodzi z nimi do domu z bali, z którego komina dym wznosił się kojąco ku zimowemu, wieczornemu niebu. Zanim zamknęła za sobą drzwi, spojrzała na niego. Miał nadzieję, że nie dostrzeże poczucia winy, które targnęło nim na myśl, że po raz kolejny Somerset okazała się ważniejsza od niej.

Rozdział 43

Odłączając się od tłumu, który zebrał się na obchody uczczenia siódmej rocznicy założenia kolonii Willow Grove, Jeremy wybrał ławkę w cieniu czerwonego dębu i przysiadł na niej, by przyjrzeć się otoczeniu i powspominać lata, które doprowadziły ich do tego miejsca i tej chwili – lipca 1843 roku. Przypisywał sobie niewielką zasługę w podjęciu jednogłośnej decyzji osiedlenia się właśnie tutaj. Z chwilą, gdy tabor wjechał w sosnowe lasy, okolica go urzekła. Nie rolnictwo, lecz co innego go nęciło, nie o nim marzył i zapewne nie powędrowałby dalej na zachód, ku preriom pokrytym czarną ziemią. Silas dobrze go znał. Wyczuwał wahanie przyjaciela, nieskorego do dalszej wędrówki ku miejscu, które było ich celem, i być może właśnie ta niechęć sprawiła, że z ust Tolivera padło pytanie: „A może tutaj?”

W każdym razie on, Silas i Henri dobrze wybrali miejsce na miasto, które zamierzali wybudować. Waga Howbutker rosła, bo było pierwszą osadą po tej stronie Sabine, przez którą przejeżdżali osadnicy z Luizjany zmierzający do Teksasu, a wielu z nich tu zostało, i jedynym miastem, które mogło się poszczycić kilkoma najważniejszymi połączeniami dyliżansowymi z sercem rozwijającej się republiki. Wyznaczono w nim teren pod budowę gmachu sądu, kościoła i szkoły, poprowadzono też główną ulicę biegnącą wokół miejsca, gdzie swą siedzibę będzie miał sąd, jeżeli komisarz gruntów wybierze Howbutker na stolicę hrabstwa.

Przez te siedem lat on i jego przyjaciele wiele osiągnęli. Skład towarowy Henriego DuMonta prosperował i rozwijał się, w dużej mierze dzięki wyjątkowym talentom Tippy, które zapewniały sklepowi asortyment eleganckich strojów. Za przyzwoleniem Jessiki i z wiedzą zdobytą w domu towarowym ojca Henriego, Tippy od Jeana DuMonta przeszła wprost do sklepu jego syna, który miał nadzieję przewyższyć w swych dokonaniach ojca. Firma się rozrosła i każdego roku wystawiała na sprzedaż bogaty asortyment, aż kupujący zaczęli się zjeżdżać aż z San Antonio i Houston, jak również z Galveston po towary, których u siebie nie mogli dostać.

Somerset stało się największą plantacją w okolicy, a Silas wciąż

planował jej rozbudowę. Jeremy wiedział, skąd pochodziły pieniądze pozwalające przyjacielowi na zakup kolejnych akrów ziemi, niewolników i zwierząt pociągowych, wznoszenie nowych budynków gospodarczych i domów dla robotników (drewno kupował w Kompanii Drzewnej Warwicków), choć Silas zapewne wolałby myśleć, że powodzenie swojej plantacji zawdzięcza własnej żylce do interesów i zarządzaniu.

Kompania Drzewna Warwicków w Howbutker nie prosperowała tak wspaniale – na razie. Niełatwo było rozkręcić biz-nes od zera. Jeremy zbudował napędzany wodą tartak i skład drzewny, ale chociaż w młodej republice utrzymywało się wielkie zapotrzebowanie na drewno, problemem pozostawało jego dostarczenie. Dróg lądowych było niewiele, a rzeki były niespławne z wyjątkiem krótkich okresów, kiedy ich stan się podnosił. Drzewa ścinał siekierami i piłami, posługując się zwierzętami pociągowymi, mozolnie ściągał je do tartaku lub na brzeg rzeki, gdzie bale zbijano w tratwy i spławiano do tartaków na wybrzeżu, które płaciły za ich dostarczenie. Obie operacje były trudne i zależne od osuwającej się ziemi i często niesprzyjającej pogody, Jeremy jednak postanowił być cierpliwy. Wierzył, że nadejdą lepsze czasy. Nie dalej jak za kilka lat Teksas zostanie przyłączony do Stanów Zjednoczonych, do których w pierwszej kolejności zwróci się z petycją o sfinansowanie budowy dróg do transportu towarów. W końcu też parostatki zaczną docierać w górę rzeki i Jeremy będzie mógł przewozić swoje drewno do nabrzeżnych miast, powstaną również linie kolejowe. Wynajdowano coraz to nowe narzędzia do szybszej i bezpieczniejszej produkcji drewna, na które popyt będzie rósł w szalonym tempie. Jeremy szykował się na dzień, w którym Kompania Drzewna Warwicków stanie się jedną z największych tego rodzaju firm w Teksasie, a on kupi lasy sosnowe wzdłuż Sabine, wokół Howbutker i na wschód od Nacogdoches, najstarszego miasta w Teksasie. By zwiększyć swój odziedziczony majątek i dochód, wykupił udziały w kilku prosperujących firmach na wybrzeżu. Poza tym się ożenił.

Nazywała się Camellia Grant i Jeremy został jej przedstawiony, gdy w 1837 roku poznał w Nowym Orleanie jej ojca, bankiera. Bruce Warwick, ukochany ojciec Jeremy'ego, zmarł, zostawiając

najmłodszemu synowi równowartość jego udziału w Meadowlands w gotówce. Był to rok kryzysu monetarnego w Stanach Zjednoczonych i tylko kilka banków było wypłacalnych, a należał do nich również bank Augusta Granta. Jeremy spędził w Nowym Orleanie miesiąc, starając się o rękę Camellii, i ożenił się z nią, by następnie sprowadzić ją do swego skromnego, lecz wygodnego domu w sosnowym lesie w Teksasie. Camellia zaszła w ciążę w noc poślubną i dziewięć miesięcy oczekiwania na poród spędziła w o wiele wygodniejszym domu swoich rodziców w Nowym Orleanie. Podobnie czyniła przy każdej kolejnej ciąży. Wydała na świat ich trzecie dziecko dwa lata temu w porze letniej i od tego czasu przebywała w Howbutker z mężem, który w końcu miał okazję lepiej ją poznać.

Uroczystości rocznicowe odbywały się w centrum powstającego miasta. Kompania Drzewna Warwicków zapewniła ławki z surowego drewna, na których ludzie siadali w cieniu drzew lub w namiotach chroniących przed słońcem. W jednym z nich Jeremy widział Jessicę Toliver. Rozdawała ciasto i poncz dzieciom niewolników niecierpliwie wyczekującym swojej kolejki, a ich podekscytowaną paplaninę słychać było aż na ławce, na której przysiadł.

Aż trudno uwierzyć, że Jessica miała już dwadzieścia pięć lat i stała się legendą, nawet jeżeli nie do końca rozumianą i docenianą. Krążyły plotki, że uratowała wojownika Komanczów, któremu coś się przytrafiło obok strumienia nieopodal Howbutker. Silas pojechał wtedy do Galveston ze swoją bawełną. Jessica wyznaczyła Tippy do opieki nad Indianinem, by wrócił do zdrowia, zanim ludzie się o nim dowiedzą i powieszą na dębie, pod którym teraz siedział Jeremy. Jeśli plotka była prawdziwa – a kto wątpiłby, że Jessica odmówiła pomocy indiańskiemu wojownikowi, skoro wszyscy dobrze wiedzieli, co sędzi o okradaniu Indian z ich ziemi – logika nakazywała przypuszczać, że Komancz przyszedł na zwiad w poszukiwaniu miejsca, skąd można by przypuścić atak. Jeremy wierzył pogłoskom i uważał, że dobroć Jessiki uratowała Howbutker i okoliczne domostwa przed napaścią, której doświadczyły inne osady.

Jeremy kochał swoją żonę. Była łagodna i miła w usposobieniu, i mięciutka jak kociak, gdy tuliła się do niego w łóżku, a poza tym

dosłownie wielbiła ziemię, po której stapał. Dzielnie urodziła mu trzech synów – nie będzie ich więcej, bo Jeremy nie zgodzi się na kolejną rozłąkę – ale Camellia, podobnie jak delikatny kwiat, którego imię nosiła, zwiędłaby, zmuszona stawiać czoła wyzwaniom i odpowiedzialnościom, które dla Jessiki w Somerset były chlebem powszednim. Dlatego właśnie Jeremy wybudował swojej żonie dom w mieście, gdzie stadko służby pilnowało, by nie zabrakło jej wygód, do których przywykła. Tymczasem w Somerset Jessica zaspokajała potrzeby rodziny i niewolników, nadzorowała prace w ogrodach i sadzie, pełniła rolę pielęgniarki, lekarza, nauczycielki i weterynarza, na dodatek musiała pamiętać o nigdy się niekończących domowych obowiązkach, jak sprzątanie, pranie, szycie, przedzenie, gotowanie i przygotowywanie zapasów. Od czasu do czasu tę codzienną rutynę zakłócało pojawienie się dzikiego zwierzęcia albo jadowity wąż wpełzł do domu, wybuchała epidemia malarii, zdarzał się jakiś wypadek, ktoś umierał.

Wielokrotnie Jeremy kręcił z podziwem głową, nie pojmując, skąd bierze się siła w tej dziewczynie, którą poznał, gdy w brokatowej sukni, atlasowych pantofelkach, ze szmaragdową broszką witała gości na przyjęciu z okazji swoich osiemnastych urodzin.

Wśród świętujących zapanowało nagle podniecenie, gdy pojawił się fotograf i jego asystent, których Silas przywiózł ze swojej przystani. Fotograf przyплыł rzeką z Galveston, żeby zrobić zdjęcia rodzinom, które mogły sobie na to pozwolić. Podczas gdy mężczyzna rozstawiał swój masywny sprzęt, kobiety zwoływały dzieci i mężów, jedne do zdjęcia, inne tylko po to, by na własne oczy ujrzeli urządzenie, które uwieczni ludzi i widoki na miedzianej tabliczce. Jessica zostawiła swój posterunek pod opieką Tippy i dołączyła do Camellii i Bess, żony Henriego. Obie wystrojone w swoje najlepsze suknie próbowały złapać najmłodszych, dwuletnich synków, mężowie zaś wyruszyli po pozostałą szóstkę. Joshua, już dwunastoletni, na pewno pałętał się gdzieś z Jakiem Davisem i kolegami, Thomas zaś, który w czerwcu skończył sześć lat, bawił się z Jeremym Juniorem i Stephenem Warwickiem, sześciolatką i czterolatkiem, a także synami Henriego – Armandem, sześciolatkiem, oraz Philippe'em, pięcioletkiem.

Ojcowie znaleźli całą szóstkę, jak na padoku za kuźnią podziwiali

pięknego ogiera, srokacza o białych pęcinach. Zwierzę było mocnej budowy, lecz o delikatnej głowie i szyi, którą w tej chwili wyginało w łuk, z niepokojem obserwując chłopców. Szczególnie Joshua zdawał się koniem zauroczony. Stał na szczeblu ogrodzenia i próbował zwabić rumaka, wyciągając do niego otwartą dłoń.

– Sprzedam go za przyzwoitą cenę – powiedział kowal do Silasa. – Dostałem go w ramach spłaty długu. Wpadł pańskiemu synowi w oko. Chyba już pora, żeby chłopiec miał własnego konia?

Jeremy wyczuł gniew Silasa i odsunął się, by uciec przed iskrami, które na pewno zaraz polecą. Dla nikogo nie było tajemnicą, że Silas jest wobec swoich synów nadopiekuńczy. Przez siedem lat małżeństwa Jessica dwa razy poroniła i Silas zwierzył się Jeremy'emu, że stracił już nadzieję na kolejnego dziedzica.

– Jest za młody – odparł Toliver, gniewnym spojrzeniem dając mu do zrozumienia, żeby pilnował własnego nosa.

– Za młody? – prychnął kowal. – Też coś, moi chłopcy mieli własne konie, jeszcze zanim skończyli osiem lat. Jak się ich wcześniej posadzi w siodle, później nie będą się bali.

– Papo... – odezwał się błagalnie Joshua. – Jake ma własnego konia.

Silas podniósł Joshuę, który jak na swój wiek niewiele ważył, i zdjął go z ogrodzenia.

– Może na następne urodziny, synu. A teraz zrobimy sobie zdjęcie. Fotograf instruował pozujące do zdjęć rodziny.

– Musicie stać zupełnie nieruchomo przez piętnaście minut. Nie rozmawiać. Nie wiercić się. Nie uśmiechać. Najmniejszy ruch zniszczy dagerotyp. Jeśli komuś potrzebne podparcie, mój asystent je dostarczy.

Rodziny Toliverów, Warwicków i DuMontów stały bez ruchu, nawet maluchy, które pozasypiały w ramionach matek. Było to jedyne zdjęcie Joshui Tolivera. Podczas gdy jego rodzice i ich przyjaciele w wieczornym chłodzie częstowali się lodami, Joshua dosiadł konia, którego kowal mu osiodłał.

– Przejeźdź się po pastwisku, żeby go wyczuć, a potem pojedź na plac. Jak twój tatko zobaczy, że tak sobie świetnie radzisz, na pewno ci go kupi.

To kowal przyjechał, by przekazać rodzicom straszliwą wieść.

– Wasz chłopiec... – zaczął, krztusząc się od płaczu, a siedzący na ławkach z przyjaciółmi Toliverowie zamarli. – On... on spadł z konia, którego dzisiaj oglądał. Chodźcie szybko.

Wszyscy pobiegli na trawiasty padok, na którym w cieniu ogromnego ambrowca leżał Joshua, już martwy. Jessica, klęcząc obok jego ciała, zalewając się łzami, popatrzyła na Silasa i wypowiedziała słowa, które odtąd do końca życia będą go prześladować w sennych koszmarach.

– Jesteśmy przeklęci, Silasie. Jesteśmy przeklęci.

Rozdział 44

Wiosną 1846 roku Carson i Eunice Wyndhamowie odwiedzili córkę i zięcia w Somerset. Przyjechali specjalnie, by sfinalizować interesy łączące Silasa i Carsona, oraz by ujrzeć nowego wnuka, który z miejsca zawojował serce Eunice.

– Szkoda, że Benjamin nie dożył chwili, by zobaczyć chłopca – powiedziała. – Uradowałby się, widząc, że jego wnuk jest wykapanym Toliverem. Chłopcy Morrisa... cóż, są podobni do Lettie i niezbyt interesują się plantacją.

– To mają po Morrisie – kwaśno skwitował Silas jej słowa, czując chwilowy przypływ nielojalności na myśl, że Lettie urodziła trójkę zdrowych dzieci: dwóch chłopców i dziewczynkę, która według Eunice odziedziczyła niestety „gruby kościec” po ojcu.

Siedzieli w piątkę na frontowej werandzie drewnianego domu Toliverów i jeden rzut oka na stoicko nieruchomą twarz żony wystarczył, by Silas zawstydził się przelotnego ataku zawiści. Wiedział, co sobie myśli. Miał ochotę ująć ją za dłoń w geście pocieszenia, lecz to tylko przyprowadziłoby ją o skrępowanie i wzmogło ból, który starała się ukryć.

Z chwilą, gdy został wykarczowany pierwszy akr Somerset, mimo że ganił sam siebie za takie myśli, Silas nieraz się zastanawiał, jak i kiedy „klątwa” ciążyąca na jego ziemi da o sobie znać. Gdzie się podziała, skoro mimo trudnych początków rok w rok zbiory bawełny były coraz większe? Gdzie czyhała, skoro obfite deszcze nadchodziły dokładnie wtedy, gdy były potrzebne, skoro jego niewolnicy i zwierzęta gospodarskie cieszyły się doskonałym zdrowiem, nie dochodziło do żadnych wypadków, nie było chorób, pożarów, które mogły w mgnieniu oka pochłonąć całe plony i zabudowania? Jak wszystkie te błogosławieństwa miały się do przepowiedni jego matki?

Czasem jednak, gdy skończył się kochać z Jessicą, długo w noc leżał bezsennie, nękany przez demony, które wypełzały, by dręczyć jego duszę poczuciem winy i lękiem, że przekleństwo dotknęło łono jego żony. Bzdura, mówił sobie, gdy światło poranka przeganiało mrok. Jessica była zwyczajnie... bezpłodna. Niczego – a już na pewno nie

kłątwy – nie można było za to winić. Joshua umarł przez kowala, który pozwolił mu dosiąść obcego konia. Jeżeli miał się czuć czemuś winny – a tak było – to wyłącznie temu, że nie wręczył Carsonowi czeku na sumę, którą ten mu zapłacił za małżeństwo z jego córką. O tym właśnie myślał Silas, patrząc, jak teść ceremonialnie zapala od cygara umowę. Wspaniale byłoby zobaczyć minę tyrańca – i Jessiki – gdyby udowodnił Carsonowi, że wszystko, co jego zięć posiada, również miłość jego córki, zawdzięcza wyłącznie pracy własnych rąk. Silas Toliver, wolny i bez długu wobec Carsona Wyndhama, dałby Jessice dowód, że wyłącznie miłość każe mu trwać przy niej.

Lecz były to tylko mrzonki. Pokusa, by powiększać i rozwijać plantację, była zbyt wielka. Kiedy zbudował przystań rzeczną, znowu zaczął oszczędzać, jednak pewien kowal z Illinois o nazwisku John Deere wymyślił stalowy pług, który się nie zapychał, orząc lepką ziemię, i Silas nie mógł się oprzeć pokusie zakupu kilku takich urządzeń. Dzięki ciągniętemu przez jednego konia pługowi zaoszczędził czas i pieniądze, ponieważ stalowe ostrze, inaczej niż drewniane, używane przez farmerów od stuleci, mogło obracać skiby bez względu na pogodę czy rodzaj gleby. Przedtem musiał czekać kilka dni, aż wilgotna ziemia wyschła, lub wykorzystywać do zaorania jednego pola trzech ludzi i kilka silnych zwierząt.

W ciągu tych dziesięciu lat, gdy był dłużnikiem Carsona, uległ niejednemu „syreniemu śpiewowi”, aż wyczerpały się wszystkie dodatkowe pieniądze, które zdołał odłożyć. Jessica nigdy się nie dowiedziała, że miał zamiar spłacić jej ojca. Był to sekret – i powód ubolewania – który Silas zabierze ze sobą do grobu. Gdy patrzył, jak umowa zamienia się w popiół na spodku, wstyd porażki palił go jak kwas, gdy jego teść ręką, w której trzymał zapalone cygaro, uczynił gest obejmujący sześcioro dom z drewnianych bali.

– Wszystko to bardzo piękne, Silasie, ale już pora, żeby moja córka zamieszkała w odpowiednich warunkach. Zgodnie z obietnicą pieniądze na dom są już w twoim banku, przyślę ci też porządnego architekta.

Siedząca obok męża Eunice poklepała córkę po ręce.

– Nie chciałybyś większego domu, który ci bardziej przystoi, córeczko?

Jednak nawet gdy to mówiła, przelotny błysk w jej spojrzeniu po raz kolejny zdradził przerażenie, które wzbudził w niej widok córki ujrzanej po raz pierwszy od dziesięciu lat.

– Wielki Boże, ależ ty... doskonale znosisz upływ czasu – powiedziała, by ukryć zakłopotanie, jakie odczuła, widząc wychudzoną Jessicę w prostej, wiejskiej sukience i rudych włosach spiętych w zwykły kok pod czepkiem.

– Dziękuję, mamó – odparła Jessica, która witała rodziców na stacji dylizansów.

Chciała, aby ujrzeli ją w sukni, jedynej, którą pozwoliła Tippy uszyć zgodnie z nową modą, ze spódnicą w kształcie dzwonu i niską, mocno zaznaczoną talią, lecz szwy w wąskich rękawach ograniczały jej ruchy, wobec tego włożyła zwykłą sukienkę, jaką nosiła na co dzień.

– Przystoi mi? – powtórzyła Jessica.

– Jako Wyndhamównie, jako... – Eunice spojrzała na Silasa i choć z wyraźnym ociąganiem, dodała: – żonie znamienitego obywatela nowego stanu Teksas.

Silas zaciągnął się swoim cygarem, skrępowany, że rozmowa toczy się w obecności Thomasa. Z tego powodu Silas również odczuwał wstyd – jego syn nigdy się nie dowie, że nie jego ojciec sfinansował Somerset i budowę rezydencji. Thomas miał tylko dziewięć lat, ale już był dociekliwy i wyczulony na podteksty, nastroje i dwuznaczne rozmowy.

– Co to jest kontrakt? – zapytał, kiedy Carson o nim wspomniał i wyjął dokument z kieszeni.

– Podpisana umowa – wyjaśnił Carson. – Między twoim ojcem a mną.

– Na co się umówiliśmy?

– Ojciec ci wytłumaczy, jeśli uzna to za stosowne – powiedział Carson z wymownym uśmiechem skierowanym do Silasa.

– To sprawa wyłącznie między twoim dziadkiem a mną, Thomasie – zwrócił się Silas do syna. – Idź pomóc Jasperowi przy nowym żrebacku.

– Jasperowi! – wykrzyknął Carson. – Mówisz o tym murzyńskim chudzielcu, którego pozwoliłem ci zabrać, Jessico?

– Tak, papo – odparła Jessica przez zaciśnięte zęby. Z wyraźnym niesmakiem przysłuchiwała się rozmowie Silasa z jej ojcem. Silas nie

wątpił, że ten niesmak dotyczył też jego. – Nie wiem, jak byśmy sobie bez niego poradzi. Jasper ma już dwadzieścia osiem lat, ożenił się i ma kilkoro dzieci. Zwłaszcza jedno, córeczka, jest mi szczególnie drogie. Ma na imię Petunia.

Carson zmarszczył przelotnie brew, dając żonie do zrozumienia, że Jessica, już dwudziestoosmioletnia, niewiele się zmieniła. Machnął lekceważąco cygarem, kładąc kres dyskusji o niewolniku i jego potomstwie.

– Niech Thomas zostanie – odwołał polecenie Silasa. – Jego babcia i ja i tak niewiele zabawimy z nim czasu.

– Tak, papo – błagał Thomas. – Pozwól mi zostać.

– Do stodoły, synu. Za chwilę po ciebie przyjdę i wtedy dziadkowie się tobą nacieszą.

Spiorunował Carsona wzrokiem, dając mu do zrozumienia, że nie pozwoli się ośmieszać przy synu. Zdziwił się, słysząc słowa Jessiki:

– Chcę, żeby dom stanął w mieście, przy tej samej ulicy, co domy Warwicków i DuMontów.

Silas zaskoczony wyjął cygaro z ust.

– Nie w Somerset?

– Nie, w Howbutker, przy Houston Avenue, w sąsiedztwie naszych przyjaciół.

– Cóż, ponieważ ja płacę, moja córka może mieć dom tam, gdzie jej się podoba – rzekł Carson.

Wetknął cygaro do ust i przechylił się do tyłu na bujanym krześle, z kciukami wsuniętymi w kieszenie kamizelki, przyglądając się, jak zięć to przyjmie.

Silas nie zwracał na niego uwagi, lecz przyglądał się Jessice. Po śmierci Joshui straciła nieco ze swojej werwy. Byli sobie wyjątkowo bliscy, łączyła ich troska o dotkniętych przez los, zwierzęta i przyrodę, interesowali się książkami i nauką. Thomasa bardziej pociągał śpiew ziemi i najszcześniejszy był, mogąc towarzyszyć ojcu na polach – „To jak podróż w chmurach, papo!” – i niemal od niemowlęctwa interesował się zbiorami i odziarnianiem. „Czemu ziemia musi być nagrzana, zanim się ją obsadzi?” „Jak się oddziela ziarno od włókna, papo?”

W przeciwieństwie do Joshui Thomas od początku znał swoje

miejsce – dziedzica Somerset. Bawił się z dziećmi niewolników – Jessica tego pilnowała – ale nie nazywał ich swoimi przyjaciółmi, tak jak starszy brat. Jego przyjaciółmi byli synowie Warwicków, DuMontów i Davisów. Silas widział, jak powoli, wyrastając z wieku dziecięcego, stawał się tym, kim jego słodki brat nigdy by nie był – potomkiem Toliverów z krwi i kości.

Niedługo po śmierci Joshui Silas zobaczył, jak Jessica chowa ukochane skarby chłopca – konia na patyku i skórzaną kurtkę.

– Czy nie powinien ich dostać Thomas na pamiątkę po bracie? – zasugerował.

– Nie, Thomas korzystałby z nich tylko do czasu, aż się zużyją, a potem by o nich zapomniał, tak jak brata – odparła, a gorycz jej słów zaskoczyła Silasa. – Wolę je zatrzymać dla siebie... na pamiątkę po Joshui.

Myśląc o żonie, Silas doszedł do wniosku, że może Jessica pragnie żyć z dala od plantacji, ponieważ nie chce patrzeć, jak u ich syna dochodzi do głosu krew plantatora, właściciela niewolników. Może nie chce pozostać w domu, który był domem Joshui i w którym straciła dwie ciążę. A może... Silas zauważył, jak żona patrzy na spopielały kontrakt. Czy możliwe, że po dzisiejszym dniu nie chce mieszkać w miejscu nieustannie przypominającym jej o transakcji handlowej, z powodu której przyszło jej tu żyć?

– A ty, Thomasie? – zwróciła się do syna. – Wolałbyś zamieszkać w Howbutker, blisko Jeremy’ego Juniora, Stephena, Armanda i Philippe’a?

– Nie, chcę zostać tutaj – powiedział Thomas.

– Oczywiście – mruknęła Jessica.

Dzień wcześniej, zanim położył się do łóżka obok żony, Silas postawił przy kuchennym piecu czerwoną różę w wazonie. Kiedy rano Jessica ją znalazła, obróciła się ku mężowi.

– Co to ma być?

– Przeprosiny.

Spodziewał się, że zapyta „za co?”. Nie zrobiła tego. Wiedziała.

– Zbudujemy dom w Howbutker – powiedział.

Rozdział 45

Państwo Wyndhamowie – dzięki uporowi Eunice – przywieźli ze sobą Willie May, by mogła spotkać się z córką, dlatego też Jessica z prawdziwą przyjemnością zorganizowała w domu Toliverów kolejną uroczystość, gdy jej rodzice wyjechali już z powrotem do Karoliny Południowej.

– Tippy, niniejszym czynię cię wolnym człowiekiem – powiedziała i wręczyła przyjaciółce dokument potwierdzający jej uwolnienie. – Ponieważ dotrzymałam warunków kontraktu mojego ojca, nie wisi mi już nad głową jego groźba, że sprzeda twoją matkę.

Tippy złożyła papier i wsunęła go sobie za stanik sukienki. Jej strój nie był uszyty z kosztownych materiałów, w jakich chodziły jej klientki, nie był też równie modny. Mimo że Tippy została współpracowniczką – aczkolwiek cichą i w tajemnicy – Domu Towarowego DuMont, nigdy nie pojawiała się tak dobrze ubrana jak białe damy, które odwiedzały jej pracownię. Otrzymywała wynagrodzenie i miała udział w zyskach. Mieszkała w niedużym domku, będącym własnością Henriego i mieszczącym się przy tej samej ulicy co jego sklep. Henri, Bess i trójka ich dzieci wprost ją uwielbiali.

– Dziękuję ci, Jessico, najdroższa przyjaciółko – powiedziała Tippy, lecz jej szeroki, promienny uśmiech przyćmiewała wiedza, którą Toliverowie również posiadali, że dokument bezpiecznie ukryty w staniku jej sukni wcale nie oznacza, że jest wolna. Nie uchroniłby jej przed wystawieniem na targu niewolników, gdyby kiedykolwiek została przyłapana poza miastem, gdzie zajmowała uprzywilejowaną pozycję. Kolor jej skóry, bez względu na jej wyjątkowe i liczne talenty, wciąż decydował, że w obecności białych musiała trzymać się w cieniu.

– Oczywiście pomożesz mojej żonie w doborze tkanin i kolorów do naszego nowego domu – powiedział Silas oficjalnym tonem, którym zawsze się do niej zwracał.

Tippy odpowiedziała z lekkim dygnięciem.

– Z radością, proszę pana.

Budowa domu przy Houston Avenue zaczęła się latem. Z miejsca wybranego przez Jessicę rozciągał się widok na całą ulicę imponujących

siedzib bogatych kupców i plantatorów, których żony zmęczone były nużącym doglądaniem gospodarstwa i kwater niewolników stojących w szczerym polu. Domostwo Warwicków wzniesiono w stylu średniowiecznego zamku i nosiło nazwę Warwick Hall. Siedziba DuMontów mieściła się nieopodal, a wykonana z szarego kamienia stylem nawiązywała do francuskich *chateaux*, okolona szczegółowo rozplanowanymi ogrodami, które Henri tak uwielbiał. Na działce obok Davisowie wznieśli kwadratowy miejski dom z kolumnami, w dostojnym federalnym stylu, obok nich rosła rezydencja w stylu włoskim, należąca do kolejnego plantatora z taboru Willowshire. Silas Toliver pozostał wierny stylowi neoklasycystycznemu, w jakim zbudowane były rezydencje przy Alei Plantatorów.

Niemal rok zajęło ukończenie białej, trzypiętrowej rezydencji z wysoką kolumnadą, stojącej na lekkim wzniesieniu, skąd górowała nad całą ulicą. Elegancki hol ze ścianami w złożonych lustrach i z portretem księcia Somerset, przestronne i wysokie pokoje, piękne, biegnące łukiem schody, marmurowe kominki i kryształowe żyrandole, kunsztowne rzeźbienia i ogromne okna robiły piorunujące wrażenie na każdym, kto przekroczył próg tego przybytku. Silas i Jessica uśmiechali się sztywno, słysząc nieraz, że los bardzo sprzyja Toliverom.

Wiosną następnego roku po skończeniu domu Jessica przyglądała się Jeremy'emu dyskutującemu z czarnymi mężczyznami, którzy przywieźli paletę drewna na budowę altany i konstrukcji podtrzymującej róże. Miały stać przy wschodniej ścianie jej nowego domu.

– Chciałabym wczesnym rankiem siadywać w altanie i patrzeć, jak róże się budzą – powiedziała mu.

Murzyni byli dawnymi niewolnikami Jeremy'ego, który ich uwolnił wkrótce po przybyciu do Teksasu. Wszyscy jego niewolnicy stali się ludźmi wolnymi, mimo to niewielu z nich odeszło. Żaden wyzwolenc nie mógł czuć się bezpiecznie poza granicami miasta i wszyscy, którzy zostali zatrudnieni w Kompanii Drzewnej Warwicków, otrzymywali wynagrodzenie i mieszkanie w porządnym, wybudowanym przez kompanię osiedlu o nazwie Zapadlisko.

Pozostali właściciele niewolników źle przyjęli postępek Jeremy'ego i zagrozili bojkotem Kompanii Drzewnej Warwicków,

szybko jednak się okazało, że Jeremy ma dość klientów spoza hrabstwa i nie narzeka na brak zamówień. Poza tym wszyscy lubili Jeremy'ego i jego pełną wdzięku żonę, zaś kupowanie i przywożenie drewna z daleka rychło uznali za zbyt uciążliwe.

Jessica nie omieszkała napomknąć Silasowi o korzyściach płynących z wyzwolenia niewolników i zatrudnienia ich jako zwykłych pracowników, na co on zareagował podniesionym głosem.

– Sugerujesz, że miałbym płacić za pracę Murzynowi, który kosztował mnie tysiące dolarów?

– Niech odrobi pieniądze, które na niego wydałeś, a potem zatrudnij go jako pracownika – zaproponowała.

– Nie stać by mnie było, żeby im tyle płacić.

– W takim razie niech ma udział w zbiorach. To nieuniknione, Silasie – oświadczyła Jessica nieustępliwie. – Jeżeli dojdzie do wojny, Południe ją przegra. Północ zniesie niewolnictwo i będziesz mógł uprawiać swoją bawełnę tylko wtedy, gdy pozwolisz Murzynom na uczciwy udział w zyskach.

– Nie będzie żadnej wojny – stwierdził Silas. Nie chciał więcej słuchać, jak to Północ coraz bardziej zżyma się na Południe i kwestię niewolnictwa. Ich niewolnicy byli szczęśliwi, twierdził. Śpiewali, pracując w polu. Nikt w Teksasie nie odważyłby się powiedzieć, że gdzieś są niewolnicy porządnie ubrani, lepiej karmieni, mający lepsze kwatery i opiekę lekarską. Każda murzyńska rodzina miała swój ogródek, drzewa owocowe i orzechy, własne mleczne krowy i wolne soboty i niedziele. Nie rozdzielał rodzin. Przypomniał Jessice, że ustalając wbrew innym plantatorom niechciany precedens, robił wszystko, o co prosiła, żeby zapewnić jego niewolnikom wygodę i bezpieczeństwo i teraz nie chciał o tym więcej słuchać.

Jeremy odesłał robotników, otrzepał dłonie z pyłu drzewnego i dołączył do Jessiki na werandzie z korynckimi kolumnami zwróconej w stronę bulwaru Houston Avenue, niedawno wyłożonego kostką z miejscowej czerwonej gliny. Był kwiecień 1848 roku.

– Cóż, panienko Jess, jak się sprawują panienki róże? – zapytał, zdejmując kapelusz, po czym usiadł i wyciągnął swoje długie nogi.

– Będę mogła powiedzieć coś więcej, kiedy przeniosę je

z Somerset – odparła, pozwalając sobie na lekką ironię w ich tańcu dwuznaczności.

Jeremy się zaśmiał.

– Ach. Mąż i syn.

– Nie martwię się o lancastery i yorki.

Jessica uwielbiała te chwile, kiedy mogła pogawędzić z Jeremym, co było jeszcze jedną korzyścią z mieszkania w mieście i przy tej ulicy. Oprócz Tippy, Jeremy był jej najlepszym przyjacielem. Jessica mogła mu się zwierzyć ze wszystkiego, nawet z tego, o czym nie mówiła Bess, Camellii czy nawet Silasowi. O dziwo, Silas i Camellia nie widzieli w ich przyjaźni żadnych powodów do zazdrości, co czyniło ją tym przyjemniejszą. Teraz, gdy Toliverowie zamieszkali przy Houston Avenue, Jessica i Jeremy częściej mogli oddawać się swoim pogawędkom.

– Nie uważasz, że już pora przesadzić krzewy? – zapytał Jeremy. – Poczulałabyś się bardziej jak w domu.

– Cóż, podobnie jak Silas i Thomas, róże czują się tam o wiele lepiej.

– Tutaj też będzie im dobrze, Jessico. To bardzo piękna budowla.

– Sam to powiedziałaś. Budowla, ale jeszcze nie dom. Może ja będę tu szczęśliwa, na tyle, na ile to możliwe, ale Thomas raczej nie. Uwielbia mieć blisko do swoich przyjaciół, ale tęskni za Somerset, a teraz, kiedy w naszej chacie zamieszkał nadzorca, Thomasowi została już tylko Houston Avenue.

– Czy nie taki był plan?

Jessica uśmiechnęła się lekko. Niesamowicie spostrzegawczy Jeremy zawsze potrafił przejrzeć człowieka na wylot.

– Chcę, żeby mój syn przynajmniej przez kilka godzin przebywał z dala od plantacji i... swojego ojca – dodała szczerze.

Jeremy uniósł brew.

– Równie dobrze mogłabyś spróbować rozdzielić włos.

– Cóż, jednak spróbuję. Dotrzymuję danego Silasowi słowa i nie opowiadam synowi o swoich przekonaniach, ale moje zachowanie powinno mówić samo za siebie. Jak dotąd jednak bezskutecznie. Na szczęście Silas zgadza się, że nasze nauki już Thomasowi nie wystarczą.

Chcę, żeby Thomas miał wybór, co zrobić ze swoim życiem. Skąd się tego dowie bez wykształcenia? Może chciałby studiować medycynę albo prawo, zostać dziennikarzem czy nauczycielem.

– Wszystko to bardzo piękne, Jessico, ale jak chcesz to osiągnąć tutaj, w Howbutker?

– Silas zgodził się na nauczyciela.

– Ach – powiedział Jeremy z uniesioną brwią. – I masz nadzieję, że jemu uda się to, czego ty przyrzekłaś nie robić?

Uśmiechnęła się. Jeremy potrafił czytać między słowami, co również uczyniła Jessica, otrzymawszy list od Guya Handleya, który przysłał, gdy odpisała na jego ogłoszenie zamieszczone w „Houston Telegraph and Texas Register”. W ogłoszeniu przedstawił siebie jako „nauczyciela nauk humanistycznych, ze szczególnym naciskiem na literaturę klasyczną”. Uwagę Jessiki przykuły słowa „nauki humanistyczne”. W swoim liście Guy Handley wyjaśnił, że pochodzi z Wirginii i skończył William and Mary College. Był prywatnym nauczycielem dzieci prominentnego właściciela ziemskiego w Houston do czasu, gdy jego pracodawca został zabity w wojnie meksykańsko-amerykańskiej. Z radością przybędzie do Howbutker na rozmowę, jeśli pani będzie tak uprzejma i wyznaczy datę.

– Jutro przyjeżdża dyliżansem – powiedziała Jessica – i mam szczerą nadzieję, że Thomas przekona się do niego i jego nauk. Niezbyt się ucieszył na wieść, że połowę dnia spędzi w szkole.

– Tak samo jak nasze dzieci – odparł Jeremy, podnosząc i odkładając kapelusz. – Szkoła publiczna będzie otwarta dopiero w przyszłym roku, wątpię jednak, żeby udało się nam do niej zwabić kogoś pokroju Sary Conklin.

Jessica spojrzała na niego zaskoczona i dostrzegła porozumiewawczy błysk w oczach Jeremy’ego, od którego przeszedł ją zimny dreszcz. Czy jego wzmianka o Sarze Conklin była kolejną aluzją świadczącą, że dostrzegł prawdziwy powód, dla którego postanowiła zatrudnić Guya Handleya? Zupełnie jakby Jeremy czytał list od korepetytora i widział kółeczko w miejscu kropek nad i w „Pozdrawiam serdecznie”. Normalnie Jessica nie zwróciłaby uwagi na niezwykle znaczki, lecz w listach od Sary Conklin dostrzegła podobne kółeczka

w swoim imieniu i nazwisku Sary. Jedyne ci, którzy wiedzieli, że w ten sekretny sposób porozumiewali się z sobą członkowie Kolei Podziemnej, mogli się domyślić, że to nie zwykły przypadek. Czy Guy Handley, korepetytor, którego miała nadzieję zatrudnić, był abolicjonistą?

Rozdział 46

30 czerwca 1848 roku

Może to kółeczko nad literą i nic nie oznacza. Może to tylko dowód próżności, nie znak rozpoznawczy, lecz tego rodzaju niefrasobliwość w piśmie nie pasowała do Sary, prawdziwej purystki językowej, ani do pana Handleya. Nie mam śmiałości zapytać o to w liście do Sary z obawy, że jakiś urzędnik pocztowy, widząc list zaadresowany do miasta na Północy, otworzy go, by się przekonać, czy nie napisał go aby jakiś zwolennik abolicji. Pana Handleya bacznie obserwuję, jak na razie jednak nic nie wskazuje na to, by „korepetytor z Houston Avenue” był zwolennikiem Północy. My – również DuMontowie i Warwickowie – nazywamy go w ten sposób, gdyż po lekcjach z Thomasem popołudniami uczy pozostałe dzieci.

Pan Handley dotarł do nas dwa miesiące temu. Pojechałam po niego na stację dylizansów i przywiozłam tutaj na rozmowę. Był zupełnie inny, niż się spodziewaliśmy. Widziałam zaskoczenie Silasa, gdy się sobie przedstawiali. Rozmawialiśmy o tym później, jak już zostaliśmy sami. Oboje byliśmy przekonani, że ujrzymy bladego, krótkowzrocznego, skrupulatnego mężczyznę o białych jak lilie dłoniach i omdlewającym uścisku ręki, kogoś, kto większość czasu spędza w zamknięciu i jeżeli nie uczy swoich podopiecznych, studiuje w skupieniu książki. Pan Handley, choć szczupły i niewysoki, szybko udowodnił, jak bardzo się myliliśmy. Jego czyste, spokojne spojrzenie zdradzało inteligencję i apetyt na życie, zaś mocny uścisk dłoni pewność siebie i opanowanie. Ubrany był nienagannie, jednak można się było domyślić, że w razie potrzeby bez wahania zrzuci swój doskonały surdut i zakasa rękawy nieskazitelnie białej, sztywno wykrochmalonej koszuli. Silas i ja, Jeremiah i Maddie – bezbłędna w ocenie ludzi – a zwłaszcza Thomas polubiliśmy go od razu, ku mojej wielkiej uldze. Nasz syn nawet był nieco zazdrosny, że musi się nim dzielić z przyjaciółmi.

Ulokowaliśmy pana Handleya w mieszkaniu nad wozownią – i zapewniał, że doskonale mu to odpowiada – po czym szybko

weszliśmy w codzienną rutynę. Od dziewiątej rano do południa pan Handley miał lekcje z Thomasem. Przywiózł ze sobą książki, najnowsze wydania podręczników do czytania, pisania i arytmetyki, Thomas jednak najbardziej lubił, gdy uczyli się *Iliady* Homera. Czekam, co Thomas powie o sposobie, w jaki pan Handley interpretuje epopeję. Czy skupi się na gloryfikacji wojny, czy też wykaże, że dziesiątkuje rodziny, niszczy mienie, oznacza stratę czasu i marnowanie życia?

Próbowałam wypytać pana Handleya o narastające napięcie między Północą a Południem, by ocenić, czy mamy wśród siebie abolicjonistę, on jednak słowem ani gestem nie dał po sobie poznać, po której stronie leżą jego sympatie. Do Jeremiaha i Maddie odnosi się z szacunkiem większym, niż wynikałoby tylko ze zwykłej uprzejmości pana wobec służby. Niewykluczone, że uważa swój status za podobny. Raz, kiedy Jeremiah się rozchorował, pan Handley przejął jego rolę i jeden z gości wziął go za służącego. Potraktował go pogardliwie jak ktoś, kto ma o sobie zbyt wygórowane mniemanie, i gdy przy wyjściu pan Handley podał mu laskę i kapelusz, mężczyzna warknął:

– Czy to na pewno mój kapelusz?

– Tego nie wiem, proszę pana – odparł pan Handley bez chwili zastanowienia – ale na pewno pan w nim przyszedł.

Wojna meksykańsko-amerykańska skończyła się w lutym i Meksyk odstąpił Stanom Zjednoczonym siedem terytoriów, które z czasem mają zostać przyłączone do Unii. Z tego powodu w Kongresie doszło do kolejnego sporu zwolenników i przeciwników niewolnictwa. Jeżeli terytoria mają przystąpić na zasadzie wolnych stanów, równowaga ulegnie zachwianiu i Północ będzie mogła przegłosować Południe w kwestii niewolnictwa – mogłaby nawet je znieść.

Zapytałam pana Handleya wprost, jaki według niego będzie wynik debaty, w nadziei, że przyzna, jaki być powinien.

– Kompromis – odparł. – Żadna ze stron nie osiągnie tego, o co jej chodzi.

Jego neutralna odpowiedź nie zaspokoila mojej ciekawości i postanowiłam go sprowokować, przyznając się do własnych poglądów.

W naszym domu częstymi gośćmi są Warwickowie i DuMontowie i pan Guy Handley ochoczo został do naszej grupki przyjęty. Jest

niezwykle bystry i czarujący, a Jeremy, Camellia, Henri i Bess są nim zachwyceni jako nauczycielem ich dzieci. Każę chłopcom recytować fragmenty dzieł Szekspira, a w sierpniu ma być wystawiony *Makbet*, w którym zagrają nasi synowie i Nanette DuMont.

Dla naszych najbliższych przyjaciół moje przekonania nie są żadną tajemnicą. Silas, Thomas i ja traktujemy ich jak rodzinę. Ani Warwickowie, ani DuMontowie nie posiadają niewolników i prawdę rzekłszy, wśród nas tylko Silas dalej wierzy, że niewolnictwo leży u podstaw gospodarki Południa. Wybrałam odpowiednią chwilę. Siedzieliśmy wszyscy przy kolacji, gdy odezwałam się mimochodem:

– O ile mi wiadomo, w Nowym Jorku ma się za miesiąc odbyć Konwencja Praw Kobiet.

– Naprawdę? – zdziwiła się Camellia, wybałuszając swoje błękitne oczy. – Po co?

– By ogłosić, że kobiety mają prawo głosować, mieć dostęp do równej edukacji, decydować o swoim ciele i własności i otrzymywać wynagrodzenie odpowiednie do pracy – wyrecytowałam.

– Czytałem o tym – odezwał się Jeremy. – Oby się im powiodło.

– Uważam, że to słuszne – dodał Henri.

Silas spojrział na mnie przez stół i na jego ustach pojawił się uśmiech.

– Wydawało mi się, że nasze panie już te wszystkie prawa mają, z wyjątkiem prawa do głosowania. Panowie, potraficie sobie wyobrazić, co by było, gdybyśmy czegokolwiek naszym żonom odmówili?

Wszyscy się na to zaśmiali, a ja powiedziałam:

– To tylko oznacza, że panie przy tym stole nie muszą walczyć o to, co im się słusznie należy, ale prawda jest taka, że w tym kraju kobiety mają nie większe prawa niż pracujący w polu Murzyni, którzy oby dożyli dnia, gdy odzyskają wolność.

Pan Handley wpatrywał się we mnie, podczas gdy pozostali ze spokojem jedli deser, a moje słowa zrobiły na nich mniej więcej takie wrażenie, jak komar, który usiadłby na ich bitej śmietanie. Czy pan Handley był tylko zdziwiony, że żona właściciela niewolników wyznaje takie poglądy, czy też odkrył w obozie wroga sojusznika? Tak czy owak ja odkryłam karty. Teraz pozostaje mi tylko czekać na rozwój wydarzeń.

Rozdział 47

Z nastaniem chłódów czwarta sobota każdego miesiąca była dniem najbardziej przez Silasa wyczekiwany. Od kilku lat tradycyjnie już panowie Silas, Jeremy i Henri oraz Tomahawk i wszyscy synowie urządzali sobie męskie spotkania. Tomahawk nadal pracował u Jeremy'ego, stał się jego prawą ręką. Działo się tak za sprawą jego znajomości zwierząt, przyrody i terenu, poza tym nauczył się gospodarki drzewnej i uprawy żyta, którym Jeremy obsiał wykarczowane pola, by sprzedawać je na paszę. Najbardziej jednak lubił organizować dla swojego pracodawcy i jego przyjaciół polowania.

W pewien sobotni poranek, gdy temperatura spadła do zera, Tomahawk i Jeremy zjawili się w Somerset z paroma sprawionymi, skrwawionymi sarnami przewieszonymi przez konie. Tomahawk był mistrzem w zabijaniu zwierząt. Nigdy nie trafiał swojej ofiary w brzuch, nie tylko dlatego, że to okrutne, lecz ponieważ zwierzyna dużo szybciej się psuła i mięso nie dość dobrze kruszało, a w tym właśnie procesie nabierało aromatu i delikatności. W tym celu wieszano się na kilka dni zwierzę za kopyta, by soki dostały się do tkanki łącznej. Myśliwi niedoświadczeni w sprawianiu niechętnie wieszali mięso na dłużej niż kilka godzin z obawy, że się zepsuje, Tomahawk jednak wiedział dokładnie, kiedy należy je zdjąć, by nadawało się do podania na stół.

Choć sam nigdy nie był zapalonym myśliwym, Silas wraz z rodziną powitał gości z radością. Ci zostali przez resztę dnia, by pomóc przy rozbieraniu mięsa, a potem wraz z Jessicą rozdali sporą jego ilość niewolnikom. Wkrótce na podwórzu Somerset i przy kwaterach niewolników obracały się różny i rozchodził aromat pieczonej dziczyzny. Jeremy i Tomahawk w podzięce za swą szczodrość i ciężką pracę zostali zaproszeni na kolację i kilka kieliszeczków wina jeżynowego.

Hojność Jeremy'ego i łowieckie talenty Tomahawka zaowocowały sobotnim rytuałem, do którego został również zaproszony Henri, wtedy już jednak Jessica mieszkała w mieście i mężczyźni sami rozbierali mięso, suszyli je i robili kiełbasy. Pracę umilało im obfite jedzenie, napitki, śmiechy, rozmowy i grubiańskie zabawy, jakie przystoją tylko

mężczyznom. Szybko czwarte soboty w chłodne miesiące w kalendarzach Warwicków, Toliverów i DuMontów oznaczone zostały jako „Męski dzień w Somerset”.

I tak Silas, jego wieloletni przyjaciele i ich dorastający synowie spotkali się w czysty, mroźny poranek ostatniego dnia października 1850 roku. Zawsze przy takich okazjach Silas żałował, że nie zatrzymał domu z bali, w którym teraz mieszkał nadzorca. Jednoizbowa chata, którą wybudował sobie na biuro i miejsce do spania, była za mała dla czterech dorosłych mężczyzn i szóstki chłopców, którzy mieliby się w niej schronić i posilić, lecz na ubitej ziemi dokoła niej doskonale dało się ustawić stoły i krzesła.

Wczesnym popołudniem mięso było już rozebrane, różny się obracały. Obok stała beczka piwa z tawerny w mieście, już odbita, a nad żarem ogniska grzały się kubki z kakao, które Jessica przysłała dla chłopców.

Silas rozkoszował się tymi chwilami odpoczynku w męskim gronie, w samym sercu swojego królestwa. Szczególnie cieszyło go, że może dzielić je z Thomasem, już trzynastoletnim. Chłopiec podobny był do niego pod każdym względem, z urody, postawy i zachowania. Choć usilnie się starał, nie udało mu się znaleźć u syna choćby jednego piega odziedziczonego po matce. Jessica doskonale zdawała sobie z tego sprawę, ale też z tego, że Thomas kocha ją nad życie. Nie dalej jak dzisiejszego ranka zastał oboje rodziców w kuchni, Jessicę w szlafroku, ojca w stroju myśliwskim. Jessica wstała wcześniej, żeby sprawdzić, czy w koszach, które miały pojechać z panami na plantację, niczego nie brakuje. Thomas podszedł do niej od tyłu i objął ją w pasie ramionami, przytulając brodę do jej ramienia. Był już taki wysoki, że musiał się schylić, żeby dosięgnąć do zagłębienia, w którym nie tak jeszcze dawno jego głowa znajdowała wygodne wsparcie.

– Jesteś już za wysoki na tę poduszkę, Thomasie – powiedziała.

– Ale jeszcze nie dorosłem do tego wzrostu – odparł chłopiec.

Silas zauważył, że jego odpowiedź sprawiła jej przyjemność. Obróciła się w objęciach syna i poślinionym palcem przyglądała niesforne czarne brwi, identyczne jak u ojca. Patrzyła na syna pełnym miłości wzrokiem kogoś, kto musi wypuścić na wolność ukochanego

ptaka, pielęgnowanego od pisklęcia.

– Ależ dorosłeś – powiedziała cicho i przyciągnęła do siebie jego pokrytą gęstą czupryną głowę, by pocałować go w czoło. – Baw się dobrze ze swoim ojcem, synu.

W takich chwilach dotkliwie odczuwała brak tamtego syna, który spoczywał na cmentarzu. Joshua nigdy nie poświęciłby się Somerset jak Thomas. Joshua zostałby przy matce.

Pogrążony w zadumie Silas wyciągnął przed siebie nogi i położył ręce na wciąż jeszcze twardym brzuchu, by spojrzeć ponad głowami grupki siedzącej przy ognisku. Nikłym uśmiezkiem błakającym mu się na ustach potwierdzał, że bierze udział w wesołych przekomarzaniach, choć tak naprawdę ich nie słuchał. Poza rezydencją, która zgodnie z niegdyśniejszymi wyobrażeniami miała górować nad rozległą posiadłością, jego sen o Somerset zaczynał się spełniać. Tyle jeszcze zostało do zrobienia – musiał dokupić ziemię, niewolników, zwierzęta, sprzęt, powiększyć zabudowania, ale załóżek plantacji już istniał. Wszystko, co posiadał, niezaprzeczalnie należało do niego, choć niekoniecznie osiągnął to własną pracą. Uwolnił się już jednak od długów, a plony w ostatnich latach były tak obfite, że zdołał odłożyć część zysków na spłatę Carsona Wyndhama. Tym razem nie zawiedzie. Nie ulegnie żadnej pokusie, która mogłaby go od tego odwieść. Obliczył sobie, że potrzebuje jeszcze dwóch lat, by ostatecznie wyrównać rachunki z człowiekiem, do którego nienawiść mimo upływu czasu czuł niezmiennie gorącą. Silas miał nadzieję, że teść, zbliżający się już do siedemdziesiątki, dożyje spłaty długu.

Czuł, że musi to zrobić: spłacić ojca Jessiki, by odzyskać tę niewielką część jej serca, która nigdy do niego nie należała. Choć tyle już upłynęło lat, Silas wiedział, że Jessica ma w sobie pewną rezerwę, której się nie pozbyła pomimo całej jego miłości, troski i szczodrości. To, w jaki sposób została jego żoną, wciąż kładło się niewielkim cieniem na ich pożyciu. Pytanie, czy wybrałby ją, gdyby miał wybór, pozostawało bez odpowiedzi. Silas postanowił, że ostatecznie rozwieje te wątpliwości. Śmierć odebrała jej chłopca, którego kochała jak własnego syna, a znienawidzony system – chłopca, którego urodziła. Silas chciał, by przynajmniej zyskała pewność, że jej mąż tylko jej pragnie i pożąda.

Spojrzał na synów swoich przyjaciół. Wszyscy byli atrakcyjnymi młodzieńcami, mając w sobie coś i z przystojnych ojców, i z pięknych matek. Najstarsi – Thomas, Jeremy Junior i Armand – jako trzynastolatkowie byli nierozłączni tak samo jak w dzieciństwie. Drugich pod względem starszeństwa – dwunastoletniego syna Henriego, Philippe’a, i jedenastoletniego Stephena Warwicka – łączyła równie silna więź. Robert, ostatni z Warwicków, otaczany szczególną troską z powodu chronicznej astmy, i prześliczna siedmioletnia córeczka Henriego, Nanette, jako niemal rówieśnicy do niedawna bawili się razem, ale dziewięcioletni już Robert wyrósł z towarzystwa dziewczynki i ciągnęło go do braci i ich przyjaciół. W tym roku po raz pierwszy wziął udział w męskim spotkaniu w Somerset. Silas chętnie zaprosiłby też Guya Handleya, ale pracował teraz jako nauczyciel w otwartej już szkole i chłopcy – jego uczniowie – mogliby czuć się przy nim nieswojo.

Rozmowa przybrała poważniejszy ton, gdy jej tematem stał się Kompromis z 1850 roku, ratyfikowany przez Kongres i podpisany przez prezydenta Fillmore’a we wrześniu. Wszyscy byli zgodni, że Teksas na nim zyskał. Oddał część swego terytorium, a w zamian Stany Zjednoczone zgodziły się na pokrycie części jego długów, co przyczyni się do rozwoju gospodarki. Lecz jedno postanowienie kompromisu poważnie niepokoiło Silasa. Na jego mocy Kalifornia przystępowała do Unii jako wolny stan i odtąd w obu izbach Kongresu przewagę mieli abolicjoniści.

Rozmowę nagle przerwało nerwowe ujadanie psów i ciężki tętent końskich kopyt zbliżający się do Somerset. Silas odniósł wrażenie – choć może to była tylko gra jego wyobraźni – że w oddalonych o milę kwaterach niewolników zapadła martwa cisza.

Mieszkający w nich mężczyźni, kobiety i dzieci znali te odgłosy. Zwiastowały zbliżanie się patroli szukających zbiegłych niewolników. Silas i jego goście zerwali się na nogi, gdy zbliżyła się do nich szóstka mężczyzn pod wodzą Lorimera Davisa. Silas zauważył, jak Lorimer zerka na towarzystwo, do którego on i jego syn nigdy nie byli zaproszeni. Chociaż Thomas lubił Jake’a, Silas nigdy nie przekonał się do Lorimera i jego żony. Wyczuwał w plantatorze jakąś podłość. Zbyt ochoczo i często wywijął swoim pejcem, zaś Stephanie była

obrzydliwie pretensjonalna.

– Witam, panowie. – Lorimer dotknął kapelusza. – Wybaczcie, że tak wzbijamy kurz, ale szukamy jednego z moich czarnych, który uciekł w nocy. Nie jakiś tam pierwszy lepszy z pola, ale służący z plantacji. Liczę na waszą lojalność. Pozwolicie, że przeszukamy kwatery niewolników? Nie mógł daleko uciec.

– Pójdę z wami – powiedział Silas, odstawiając kufel z piwem. Za nic się nie zgodzi, żeby Lorimer i jego ludzie plądrowali chaty jego pracowników i napędzali im stracha, wymachując bronią i pejcami. Było mu przykro, że zbiegiem okazał się Ezekiel. Służący Davisów był u nich od lat i odznaczał się dobrocią, szczególnie wobec dzieci. Thomas i pozostali chłopcy bardzo go lubili. Silas widział zdenerwowanie chłopców, wpatrujących się w mężczyzn.

– Ja też – odezwał się Jeremy, prostując szerokie bary w kurtce drwala.

– I ja – dodał Henri. Wysoki i postawny zajął miejsce obok Silasa.
– Chłopcy – zwrócił się do młodych – zostańcie i pilnujcie ogniska.

Poszukiwania nie przyniosły rezultatu. Lokaja Davisów nie znaleziono. Chaty niewolników pozostały nienaruszone, a oni sami w obecności mężczyzn, których okrucieństwo wyczuwali węchem, przepelnieni byli wdzięcznością do swojego ludzkiego pana i jego przyjaciół. Wrócili do swoich tańców i pieczonego na roznach mięsa. Wszyscy w Somerset – biali i czarni – kulili się na myśl o okrutnej karze, jaka spotka Ezekiela, gdy zostanie schwytany.

Rozdział 48

– Kiedy czytałam to obrzydlistwo, przypominałam sobie słowa Thomasa Jeffersona, które w tysiąc siedemset osiemdziesiątym drugim roku napisał w swoich „Uwagach o stanie Wirginia”. – Jessica rozmawiała z Tippy o Kompromisie z 1850 roku, gdy Murzynka skończyła czytać jego przedruk w houstońskim „Democratic Telegraph and Texas Register”.

Tippy sięgnęła po kanapkę podaną przez Jessicę na talerzyku.

– To znaczy?

– Jefferson powiedział: „Doprawdy drzę o swój kraj, jeśli pomyślę, że Bóg jest sprawiedliwy”.

– Amen – powiedziała Tippy. – Już niedługo Południe poczuje bicz sprawiedliwości za zniewolenie czarnego człowieka. Cały ten kompromis to odwlekanie wojny Północy z Południem. Jest nieunikniona. Północ nigdy nie uzna ustawy o zbiegłych niewolnikach, a Południe nie będzie tolerować jej nieprzestrzegania.

– Boże, miej nas w opiece – westchnęła Jessica ze ściśniętym przez strach żołądkiem jak zawsze, gdy myślała, co taki konflikt oznacza dla jej syna i jedyne dziecko. Thomas miał trzynaście lat. Za kilka wejdzie w wiek poborowy.

– Och, wybac mi, Jessico, paplam bez sensu – powiedziała Tippy, a na jej twarzy pojawił się taki sam jak u Jessiki wyraz przygnębienia. – Wciąż zapominam, co taka wojna będzie oznaczała dla ciebie i Silasa.

– To bez znaczenia, Tippy, prawda jest jaka jest i muszę z nią żyć – odparła Jessica, dolewając sobie i gościowi herbaty.

Herbata, podobnie jak stolik, na którym stała – z drzewa różanego, w stylu regencji – i większość mebli wybranych do eleganckiej rezydencji Toliverów zostały przywiezione z Anglii.

– W domu muszą być rzeczy świadczące o naszych korzeniach – oznajmił Silas, gdy rozmawiał o meblach z Henrym Howardem, znanym architektem, którego Carson Wyndham sprowadził z Luizjany, by zaprojektował siedzibę Toliverów. Silas nie poprosił Tippy o pomoc w ich doborze, ona jednak była zachwycona wszystkim, co architekt wybrał, zwłaszcza przypadł jej do gustu wystrój saloniku, w którym

Jessica często pijała popołudniową herbatę.

– Może zdarzy się cud i moje przewidywania nigdy się nie spełnią – podjęła Jessica. – Silas twierdzi, że żadnej wojny nie będzie. Mówi, że nasza gospodarka jest zbyt ważna dla Północy. Ich fabryki są zbyt zależne od południowej bawełny, z której szyją ubrania na zyskowne zagraniczne rynki.

– Co Sarah pisze w swoich listach?

Jessica napiła się herbaty, która rozgrzała jej chłodne wargi.

– Że ruchu abolicjonistycznego nie da się powstrzymać. Że wojna jest coraz bliżej. Jej bratanek Paul znajdzie się w samym jej centrum. Skończył West Point i awansował na sierżanta w armii Stanów Zjednoczonych.

Tippy zamieszała cukier w swojej filiżance.

– Lorimer Davis i jego ludzie przyszli do mojego domu w poszukiwaniu zbiegłego niewolnika – powiedziała. – Byli pewni, że biedak poszuka schronienia u mnie.

Jessica przerażona odstawiła filiżankę.

– Jak on śmiał! Skrzywdzili cię?

– Przewrócili mi dom do góry nogami. Henri był w Somerset z twoim mężem i panem Jeremym, bo inaczej by go powstrzymał.

– Możesz być pewna, że powiem wszystko Silasowi...

– Nie, Jessico, proszę... – Tippy uniosła rękę w błagalnym geście.

– Zostaw to. Nie powiedziałam nawet Henriemu. Posprzątałam dom i wszystko jest już w porządku.

– Gdybym była mężczyzną... – zaczęła rozwścieczona Jessica.

Kroki podkutych butów na orzechowej podłodze wejściowego holu ostrzegły je, że nadchodzi Silas. Tippy błyskawicznie zmieniła temat.

– Henry Howard naprawdę spisał się wspaniale – powiedziała. – Kiedy pojechałam z Henrim do Nowego Orleanu, żeby pomóc mu w likwidacji domu towarowego jego ojca, świeć Panie nad jego duszą, widziałam dzieło waszego architekta: kamienice baronowej Pontalby w Dzielnicy Francuskiej. Pan Howard zaprojektował żelazne balustrady na werandach, z inicjałami baronowej wykutymi na środku.

Jessica przygryzła wargi. Niepomniernie ją smuciło, że Tippy nie czuła się swobodnie w jej domu w obecności Silasa. Ten nigdy nie

przekonał się do Tippy, chociaż z niezwykłą uprzejmością tolerował jej wizyty – tym bardziej że zawsze wchodziła frontowymi drzwiami. Nigdy tego nie powiedział wprost, ale jego rezerwa wobec Tippy kazała Jessice podejrzewać, że nie godził się z pozycją, jaką zajmowała w ich domu.

Jak zwykle Jessica zachowała się równie dyplomatycznie.

– Bardzo ciekawe – rzuciła, gdy Silas wszedł do pokoju.

– Co takiego? – zapytał.

Jessica obróciła się ku niemu i poczuła zmysłową radość, której nie stłumiło ani piętnaście lat małżeństwa, ani dzielące ich różnice, których nigdy nie przewyżczyli, ale je tolerowali. W wieku czterdziestu czterech lat Silas był przystojniejszy i bardziej męski niż kiedykolwiek. Ubiór pana domu doskonale prezentował się na jego wysokiej, władczej sylwetce. Wraz z Jeremym i Henrim spędził popołudnie, obradując z pozostałymi członkami rady miejskiej nad projektem siedziby banku, zaproponowanym przez przyszłego właściciela. Projekt ten musiał spełniać architektoniczne wymogi obowiązujące w Howbutker przy budowie obiektów publicznych. Odkąd miasto stało się jednym z największych i najznamienitszych grodów w stanie, tego rodzaju obrady odbywały się nad wyraz często. Pod naciskiem Silasa pierwsza komisja planistyczna w 1839 roku postanowiła, że wszystkie budynki publiczne i komercyjne będą budowane w stylu neoklasycystycznym, tradycyjnym dla Południa.

– Jessica panu wyjaśni – odparła Tippy wstając do wyjścia, jak zwykle w obecności Silasa.

– Tippy przyniosła mi nowy wzór agrafki – powiedziała Jessica, otwierając stojące na stoliku pudełko, by pokazać Silasowi jego zawartość. – Henriemu udało się je sprowadzić i oczywiście Tippy musiała mi kilka sprezentować. – Uniosła zapinkę z drucika z jednej strony zakręconego, z drugiej zakończonego sprężynką i metalowym kapturkiem, osłaniającym ostrą końcówkę.

– Bardzo sprytne – rzekł Silas, gdy Jessica zademonstrowała mu działanie agrafki. – Tippy, naprawdę musisz już iść?

– Niestety tak, proszę pana.

Nigdy nie zamieniali więcej niż kilka słów.

Jessica odprowadziła przyjaciółkę do drzwi, po czym wróciła do

saloniku. Silas wziął do ręki gazetę, otwartą na stronie, którą Jessica czytała wraz z Tippy.

– Nie musisz mi niczego wyjaśniać – zwrócił się do żony. – Widzę, o czym rozmawialiście.

– Masz ochotę na herbatę? – zapytała Jessica, ignorując jego uwagę i rozkładając jedwabną spódnicę dziennej sukni, by na powrót usiąść przy stoliku. Dawniejsze, sztywno wykrochmalone halki zostały zastąpione przez dużo lżejsze krynoliny, w których Jessica czuła się o wiele wygodniej.

Silas wziął ją za rękę i przytrzymał.

– Mam ochotę pójść na górę – rzekł, nie pozostawiając wątpliwości, o co mu chodzi.

– Co? W środku dnia?

– Thomas wróci do domu dopiero wieczorem. Razem z Jeremym Juniorem i Armandem pomagają w Somerset Jasperowi i jego ludziom chwycić świnię na ubój. Jasper ma na nich oko. Poza tym... – przyciągnął ją do siebie. – Widziałem twoje spojrzenie, kiedy wszedłem do pokoju.

– Jakie spojrzenie? – zapytała Jessica niewinnie, chociaż zaparło jej dech i serce zaczęło bić szybciej. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Owszem, masz, ale z radością ci zademonstruję – powiedział, bawiąc się w słowne gierki, które zapoczątkowali dawno temu w hotelu Winthorp.

Zanim poprowadził ją na górę, Jessica zdążyła jeszcze zerknąć na krzyczący z gazetowej strony wielkimi literami tytuł „KOMPROMIS”. Dzięki kompromisowi przetrwało ich małżeństwo. Nie narzucali drugiej stronie swoich poglądów, dlatego dzisiaj mogli się kochać, a Silas wciąż doprowadzał ją na szczyt rozkoszy. Ale tak naprawdę ich związek przypominał podzielony kraj. Czy gdy w końcu wybuchnie wojna, oni również ogłoszą ją między sobą?

Rozdział 49

– Proszę wybaczyć, panienko, że przeszkadzam w lekturze, ale na dole czeka pan Handley – oznajmiła Maddie. Jessica czytała w saloniku, w którym spędzała większość popołudni.

– Och, nic nie szkodzi, Maddie. Już schodzę. – Ucieszyła się. Brakowało jej dawnego nauczyciela syna, który z mieszkania nad wozownią przeniósł się do pokoju w pensjonacie bliżej szkoły. – Przygotuj, proszę, herbatę, może uda mi się go namówić, by chwilę został.

Nie mógł wybrać lepszej pory na wizytę, pomyślała Jessica, zaznaczając miejsce, w którym skończyła czytać *Rozmyślenia* Marka Aureliusza, które niedawno dostała pocztą od Sary Conklin. Guy Handley był idealnym partnerem do rozmowy o filozoficznych poglądach rzymskiego cesarza. Jakimż mądrym, pełnym humanizmu przywódcą był ten władca – ostatni wielki cesarz Rzymu, zapamiętany ze swych społecznych reform i ustaw, które kobietom i niewolnikom dawały większe prawa i ochronę. Ci, którzy zasiadali w rządowych budynkach Stanów Zjednoczonych – czy to w Waszyngtonie, czy w małych ratuszach, jak w Howbutker – mogli skorzystać z kilku jego przemyśleń: „Usuń wyobrażenie, a usunie się poczucie krzywdy, usunie się i krzywda”².

Czy to nie powinno dać do myślenia przywódcom żyjącym w przekonaniu, że dysydentów należy uciszyć, jeśli nie powiesić na najbliższym drzewie?!

Na schodach Jessica nagle się zatrzymała. Dlaczego Guy Handley przychodził do niej w środku tygodnia, w czasie, gdy w szkole trwały lekcje? O Boże! Chyba nie chodzi o Thomasa?

Przyspieszywszy kroku, wbiegła do salonu. Guy Handley stał przed kominkiem, zapatrzony w buzujący ogień, który miał przepłoszyć chłód listopadowego popołudnia. Pan Handley wciąż miał na sobie płaszcz, a jego laska i kapelusz leżały na stoliku, skąd mógł je szybko zabrać. A więc nie zamierzał zabawić dłużej.

– Co się stało Thomasowi? – zapytała Jessica od drzwi.

Guy Handley odwrócił się gwałtownie, a ona z dłonią przyciśniętą

do szyi wpatrywała się w niego pełna niepokoju. Wyraz twarzy gościa nie zapowiadał niczego dobrego. Dawny korepetytor z Houston Avenue postąpił naprzód i uspokajająco uniósł rękę.

– Nie, nie – powiedział. – Proszę o wybaczenie, że źle odczytała pani powód mojej wizyty.

– Gdzie jest Thomas?

– W szkole, z innymi uczniami. Zostawiłem ich pod opieką mojego asystenta. Przyszedłem w innej sprawie, w której czas ma znaczenie zasadnicze.

Jessica z ulgą osunęła się na najbliższe krzesło. Przyniosła ze sobą książkę i teraz odłożyła ją na stolik.

– Co to za sprawa? – zapytała, wciąż jeszcze bez tchu.

– Jessico... potrzebuję pani pomocy.

Nigdy nie zwracał się do niej po imieniu i tym razem nie byłoby inaczej, pomyślała, gdyby sprawa rzeczywiście nie była paląca.

– Oczywiście służę pomocą w miarę swych możliwości – powiedziała.

– Chcę... – Spojrzał na otwarte drzwi prowadzące do holu i podszedł, by je zamknąć.

– Wielkie nieba, Guy – rzekła Jessica ściszone głosem. – Co się stało?

– Chcę prosić o pomoc w zorganizowaniu ucieczki niewolnika.

Otworzyła usta, nie posiadając się ze zdziwienia. Minęło kilka sekund, zanim odzyskała oddech.

– Zbiega Lorimera Davisa – powiedziała.

– Tak. Pan Davis sprzedał jego żonę plantatorowi z Houston i biedak uciekł w nadziei, że ją odnajdzie. Ukryłem go w składziku przy szkole, ale nie mogę go tam zatrzymać. Wiem, że ogromnie ryzykuję, przychodząc z tym do pani, i jeżeli nie zgodzi się pani mi pomóc, mogę jedynie mieć nadzieję, że nie podniesie pani alarmu.

– Jest pan abolicjonistą.

– Tak.

– Wiedziałam! – wykrzyknęła Jessica, triumfalnie uderzając w poręcz krzesła. – Jest pan członkiem Kolei Podziemnej?

– Tak.

Jessica wstała i wyciągnęła do niego rękę.

– Ja również jestem za zniesieniem niewolnictwa. Czego pan ode mnie oczekuje?

Guy Handley niemal zachwiał się z ulgi, gdy ścisnął jej dłoń.

– Czy ukryje pani Ezekieła, bo tak ma na imię, w moim dawnym mieszkaniu nad wozownią, dopóki nie zorganizuję mu bezpiecznego przerzutu?

– Uważa pan, że tam będzie bezpieczny?

– Nie wyobrażam sobie lepszego miejsca. Tam patrole na pewno nie będą go szukać.

Myśli Jessiki galopowały jak szalone. Przypomniała sobie tamten dzień w Willowshire, kiedy razem z Willie May ukryły Jaspera w altanie. Ludzie jej ojca przeszukali każdy budynek, ale do głowy im nie przyszło, że uciekinier mógłby szukać schronienia tak blisko Dużego Domu. Z okien wozowni zbieg widziałby werandę domu Lorimera Davisa. Cóż za wspaniała ironia.

– Ma pan rację – rzekła, cofając rękę. – Zrobię to. Nie ma pan powozu, żeby go przewieźć. W takim razie proponuję, że ja po niego przyjadę swoim po skończonych lekcjach.

Guy potrząsnął głową i pełen podziwu uśmiech złagodził jego przerażone spojrzenie.

– Jest pani niezwykłą kobietą, Jessico Toliver. Wiedziałem, że mogę pani zaufać. To rzeczywiście dobry plan, ale co zrobimy z Thomasem? Przecież po szkole wróci do domu.

– Ale tylko żeby się przebrać i osiodłać konia – odparła. – Potem razem z Jeremym Juniorem i Armandem jadą do Somerset, żeby pomagać przy świniobiciu. Mój syn i jego ojciec zjawią się w domu nie wcześniej jak wieczorem.

– A służba?

– Można im zaufać. Nie powiedzą nic Silasowi, a już na pewno nie Thomasowi, jeżeli przypadkiem znaleźliby Ezekieła. Wiedzą o zbiegłym niewolniku i słyszałam, jak Maddie w swoich modlitwach prosi Boga, żeby mu się udało.

Na szczęście w jej domu nie było żadnej Lulu. Jessica o to zadbała.

– Wspaniale – ucieszył się Guy. Wziął swój kapelusz i laskę. –

Pora na mnie. Muszę uważać, żeby nikt niepowołany go nie znalazł. Jessico... Pani Toliver... nie wiem, jak pani dziękować. Przy odrobinie szczęścia Ezekiel będzie pani gościem tylko przez kilka dni.

– Oczywiście zdaje pan sobie sprawę, co panu grozi, jeśli to się wyda? Zostanie pan wychłostany i wypędzony z miasta.

– Wiem, ale to nic w porównaniu z tym, co czeka Ezekiała.

– Jest pan dzielnym człowiekiem, Guyu Handley, i proszę zwracać się do mnie po imieniu – rzekła Jessica.

Natychmiast po jego wyjściu posłała Maddie do domu Bess DuMont z pisemną prośbą o zioła, które nie rosły w ogrodzie Toliverów.

– Co to anyż? – zapytała Maddie ze zmarszczonym czołem. – Jak się tego używa?

– Smakuje jak lukrecja i dodam go do ciasta.

– Pani, panienko Jessico? Nie piekła pani całe lata.

– Cóż, pora, żebym znowu wsadziła ręce do dzieży – odparła Jessica, powstrzymując zniecierpliwienie.

Pozostałej służbie przydzieliła zadania we frontowych pokojach domu, Jeremiahowi kazała iść plewić w bocznym ogrodzie, tak żeby nie zobaczył, jak jego pani zanoszą koce i nocnik do wozowni.

Gdy Thomas wrócił ze szkoły, głodny jak zwykle, Jessica odgoniła go od nietkniętej tacy z herbatą, którą Maddie przygotowała dla Guya Handleya, mówiąc, że spakuje mu ciasto i kanapki na drogę do Somerset.

– Powinieneś pojechać na plantację, żeby побыć z ojcem, kiedy jest jeszcze jasno – powiedziała, a syn spojrzał na nią zdziwiony. Thomas przywykł, że matka robi co może, żeby syn został z nią jak najdłużej, najwyraźniej jednak się ucieszył, że ma inne plany. Wcześniej Jessica przygotowała kosz z jedzeniem „dla przykutych do łóżka”, jak wyjaśniła służącej Maddie. Niewolnik weźmie ze sobą kosz na górę, a jego zawartość będzie musiała mu wystarczyć do czasu, aż Jessica uzna, że bezpiecznie może ją uzupełnić. Dzięki Henry’emu Howardowi, architektowi, do mieszkania prowadziły dodatkowe schody z wnętrza wozowni, na wypadek niekorzystnej pogody. Niewolnik będzie mógł łatwo i niezauważenie wymknąć się z powozu i zniknąć w ciemnościach.

Jeremiah przygotował dla niej jednokonny powóz, który czekał

w pogotowiu, gdy Thomas i jego koledzy odjeżdżali galopem ulicą. Guy czekał na nią i wskazał jej drogę do składziku na tyłach szkoły.

Wszystko załatwili w mgnieniu oka, gdyby jednak ktoś rozpoznał osobisty powóz Jessiki obecny w tak dziwnym miejscu, Guy załadował do niego kilka narzędzi ogrodniczych, o których pożyczanie ostentacyjnie poprosiła.

Wróciwszy na Houston Avenue, wypuściła pasażera, polecając, by jak najszybciej pobiegł na górę, ale nie poszła z nim. Jeremiaś zaraz przyjdzie wyprząc konia. Jessica miała nadzieję, że nie wyczuje mocnego zapachu potu wymieszanego ze strachem, unoszącego się za niewolnikiem.

– Na górze znajdziesz wszystko, czego ci potrzeba – szepnęła do niego tuż przed dotarciem na miejsce.

– Dziękuję, psze pani.

– Pamiętaj. Żadnych odgłosów. Nie kichaj, nie kaszł, nie ruszaj się, nie zapalaj światła. Tuż obok wozowni jest stodoła, gdzie mój mąż i syn przyprowadzą konie po zmroku, a w ciągu dnia ciągle ktoś tam wchodzi i wychodzi.

– Dobrze, psze pani.

Spotkała go tylko kilka razy przy tych nielicznych okazjach, kiedy Davisowie przyjmowali u siebie, ale wiedziała, że jego żona była osobistą służącą Stephanie w domu przy Houston Avenue.

– Przykro mi z powodu twojej żony – powiedziała Jessica. – Może... może dobrze ją tam traktują.

– Ten, kto ją kupił, jest zły. Och, Della... – jęknął mężczyzna.

Jessica nie miała pojęcia, jak Ezekiel chciał ją uratować. Odczuwała ból, słysząc w jego cierpieniu echo skargi każdego zniewolonego czarnego. Tej nocy leżała bezsennie obok śpiącego smacznie męża, serce tłukło jej się w piersi z obawy o bezpieczeństwo nieszczęśnika ukrytego w wozowni, a jego rozpacz prześladowała ją do świtu.

Rozdział 50

Guy powiedział, że w ciągu dwóch dni przyjedzie po swój „towar” pod osłoną nocy, gdy nikt w domu niczego nie zauważy. Sprzątnie wszystkie ślady bytności niewolnika. Najlepiej, gdyby Jessica nie korzystała ze swego powozu, póki nie zjawi się u niej pod jakimś pretekstem, by poinformować ją, że Ezekiel jest już daleko i bezpieczny – na przykład przyniesie jej książkę, która jego zdaniem mogłaby ją zainteresować.

Nastał późny ranek trzeciego dnia, a Guy się nie pojawił. Jessica czuła się jak kot na sznurku. Nie umiała zliczyć, ile razy zerknęła ukradkiem przez tylne okna domu, z których widać było altanę, ogród różany i wozownię, pilnując się, by nie wzbudzić ciekawości męża i syna. Guy nie mógł wybrać gorszego momentu na ukrycie zbiega. W szkole była przerwa z okazji Święta Dziękczynienia, a z powodu zimnej, deszczowej pogody Thomas siedział w domu i grał w karty z Jeremym Juniorem, Armandem i Jakiem Davisem. Nawet Silas wyjeżdżał na plantację później niż zwykle. Zatrudnił zarządcę, który przejął wiele jego obowiązków w Somerset, i miał więcej czasu, by korzystać z życia, jak na prawdziwego plantatora przystało. Na przykład wylegiwał się długo w łóżku z Jessicą, ona jednak była zbyt spięta, by spełniać jego oczekiwania.

W miarę jak mijał dzień, Jessicę dręczyły niezliczone „a jeśli?”. A jeśli coś przytrafiło się Guyowi? A jeśli został złapany i nie może przejąć swojego towaru? A jeśli Ezekiel wciąż jest w wozowni? A jeśli smród z pełnych nocników czuć na dole? A jeśli zbiegowi skończyło się jedzenie i woda?

– Panienko Jessico, słowo daję, ostatnio jest panienka jak ptak, który nie ma gdzie przysiąść – zauważyła Maddie. – Pogoda daje panience w kość?

– Właśnie tak, Maddie – odpowiedziała Jessica. – Już nie mogę się doczekać prac w ogrodzie.

– Jak się panienka będzie tak kręcić, ziemia od tego szybciej nie wyschnie. Może pojedzie panienka w odwiedziny? Artretyzm Jeremiaha aż tak mu nie dokucza, żeby nie mógł panience zaprząć konia.

Słyszając, co Maddie mówi, Jessica doznała nagle olśnienia. Służba przywykła do jej troski. Nie będą niczego podejrzewać, jeśli sama zaprzęgnie powozik, żeby nie przysparzać Jeremiahowi więcej bólu w schorowanych stawach.

– Zostaw go – powiedziała. – Gdyby naszła mnie ochota, żeby wyjść, sama zajmę się powozem.

Właśnie nadszedł idealny moment. Było po lunchu. Domowa służba jadła swój południowy posiłek w kuchni. Silas pojechał na plantację, a Thomas przeniósł się ze swoją grą w karty do Davisów. Jake mówił, że jego ojciec wciąż szuka zbiegłego lokaja. Jessica założyła czepek i szal, wzięła parasolkę.

Nie powiedziała Maddie, że wychodzi, tylko wymknęła się drzwiami na taras, by okreśną drogą dojść do wozowni. Może nikt w domu nie zauważy, że wyszła. Jeśli zastanie Ezekiela w mieszkaniu, natychmiast pojedzie do pensjonatu, żeby rozmówić się z Guyem Handleyem. Gdyby ktoś ciekawski się zainteresował, czemu żona Silasa Tolivera odwiedza młodego i przystojnego nauczyciela – przede wszystkim miała na myśli jego wścibską gospodynię – wymówi się, że przyszła zaprosić pana Handleya na obiad w Święto Dziękczynienia.

Jessica z wysiłkiem otworzyła ciężkie wrota wozowni. Będzie musiała zostawić je otwarte, żeby wyglądało, iż faktycznie zamierza wyprowadzić powóz, ale kiedy znajdzie się już w środku, nie będzie widoczna zza zasłony lejącego deszczu. W wilgotnym pomieszczeniu nie czuć było ludzkiego odoru. Jessica przystanęła, wsłuchując się w deszcz bębniący o dach. Przez zalane deszczem kuchenne okna widziała służbę posilającą się przy stole, u szczytu którego siedział Jeremiah, plecami do niej. Mało prawdopodobne, by ktoś zauważył otwarte drzwi do wozowni.

Szybko wbiegła po schodach na wąski podest i zapukała do drzwi.

– Jest tam kto? – zapytała szeptem.

Żadnej odpowiedzi. Nacisnęła klamkę i zamarła, czując, że drzwi są od wewnątrz zablokowane.

– Kto tam jest? – zapytała głośniej.

Usłyszała pośpieszne kroki oddalające się od drzwi i otworzyła je. Jej oczom ukazał się Ezekiel owinięty w koc. Z oczami wybałuszonymi

z przerażenia stał przyciśnięty do ściany w głębi. Jessica wypuściła powietrze.

– Czemu jeszcze tu jesteś? – zapytała i weszła do środka, drzwi jednak zostawiając otwarte, by słyszeć, gdyby ktoś wszedł do wozowni.

– Ten człowiek po mnie nie przyszedł – odrzekł Ezekiel. – Pani nic nie wie?

– Nie miałam od niego żadnych wieści.

– Powiedział, że wysłał pani list.

– Nie dostałam go. Dlatego teraz przyszłam... żeby się dowiedzieć, co się stało.

Murzyn otulił się szczelniej kocem.

– On powiedział, że niebezpiecznie teraz jechać. Mój pan, jego psy i patrole wszędzie szukają. On powiedział, że przyjdzie po mnie dzisiaj wieczorem. Pan Davis będzie wtedy zajęty.

Grając w pokera z Silasem, przypomniała sobie Jessica. Była trzecia środa miesiąca – kolej Lorimera na przyjęcie gości. Grali zwykle do północy. Rozejrzała się. Niewolnik trzymał w swoim „domu” porządek. Nie spał na łóżku, ale na podłodze w pośłaniu ze swoich rzeczy. Nie jadł przy stole, ale prosto z kosza, nie próbował też napalić w piecyku, chociaż przez ostatnie dwie noce, które tu spędził, temperatura spadła niemal do zera. Nie czuć też było smrodu ani od niego, ani z nocników. Pod osłoną nocy zaryzykował i wyszedł, żeby opróżnić nocniki i obmyć się w deszczu.

– Kiedy ostatnio widziałeś... tego człowieka?

Zauważyła, że niewolnik nie użył nazwiska Guya, więc ona również tego nie uczyniła. Prawdopodobnie Ezekiel nie wiedział, że jego konduktorem jest nauczyciel z miejscowej szkoły. Złapany, niewolnik rozpoznałby Guya, ale nie mógłby powiedzieć, jak się nazywa.

– Wczoraj, coś tak koło północy. Przyniósł jedzenie i kurtkę – odrzekł Ezekiel. Rozsunął koc, by dowieść, że mówi prawdę. – Wtedy mi powiedział, że wyjedziemy dzisiaj.

– Ten list, o którym mówiłeś... powiedziałeś, że go do mnie „przysłał”?

– Żeby pani wiedziała, że ciągle tu jest.

Jessica poczuła przebiegający ją lodowaty dreszcz. List na pewno

przyniósł posłaniec, ale kto nim był? I komu oddał list? Jeśli komuś ze służby, Jessica na pewno by go otrzymała. Może Thomasowi? Jej syn łatwo mógł zapomnieć, żeby go jej przekazać. Czy był napisany szyfrem, by nie zdradzić jej udziału w sekretnym przedsięwzięciu? I gdzie list jest teraz? Został przechwycony albo trafił pod zły adres?

– Czy masz wszystko, czego ci trzeba? – zapytała.

Zanim Ezekiel zdążył odpowiedzieć, na drewnianej podłodze rozległy się czyjeś kroki. Niewolnik natychmiast ukrył się za zasłoną kryjącą nocniki, nie było tam jednak dość miejsca i wystawały mu spod niej czubki butów. Ledwie Jessica odwróciła się ku otwartym drzwiom, gdy na ich progu stanął Silas, cały ociekając wodą.

– Co, do jasnej cholery? – zapytał.

Stała nieruchomo, z ustami otwartymi z przerażenia i szoku.

– Skąd... skąd wiedziałeś, że tu jestem? – zdołała wykrztusić.

– Poza tym, że nie było cię w domu, drzwi do wozowni są otwarte, a twoja spódnica zostawiła mokry ślad na schodach? Gdzie on jest?

– Gdzie jest kto?

– Guy Handley!

– Guy Handley?!

Silas powiódł wzrokiem do zasłony oddzielającej schowek i zimno przyjrzał się szczelinie, w której przed chwilą jeszcze widać było buty niewolnika. Dwoma długimi krokami podszedł do zasłony i odsunął ją jednym gwałtownym ruchem.

– Co to ma być, na Boga? Ezekiel?! – wykrzyknął Silas, odsuwając się zaskoczony.

– Panie Toliver – przywitał go niewolnik słabym głosem i skinął głową, jakby przyjmował go w rezydencji Davisów.

– Silasie, proszę – jęknęła błagalnie Jessica.

Podeszła do męża i ujęła go pod brodę, by oderwać jego zszokowany wzrok od niewolnika, który przerażony wciąż stał przyklejony do ściany między nocnikami.

– Musisz mnie wysłuchać – powiedziała. – Jeżeli wydasz Ezekiała Lorimerowi, wiesz, co mu zrobią. Błagam cię, zaklinam, Silasie, pomyśl, gdyby to chodziło o twoją żonę. Co byś zrobił, gdyby to mnie sprzedano? Nie uciekłybyś, żeby mnie odnaleźć?

Silas zdumiony spojrział na nią.

– O czym ty mówisz? – zapytał.

– Lorimer sprzedał żonę Ezekiela plantatorowi z Houston i Ezekiel uciekł, żeby ją uratować – wyjaśniła Jessica.

– Gdzie jest Guy Handley?

– Nie wiem.

– Nie ma go tu?

Jessica oblizwała wyschnięte wargi. Musi udawać, że nie ma pojęcia o udziale Guya, dopóki Silas nie powie jej, co wie.

– Czemu miałyby być? – zapytała.

Na policzkach Silasa wykwitł rumieniec.

– Ty... ty... nie masz z nim romansu?

W końcu zrozumiawszy, w czym rzecz, Jessica cofnęła się oburzona.

– Silasie Toliverze! Skąd coś takiego przyszło ci w ogóle do głowy?

Wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru.

– Stąd – powiedział i podał ją żonie. – Nie wspominając o tym, że ostatnio byłaś taka... zamknięta w sobie. Przyjąłem posłańca. Powiedział, że może oddać list wyłącznie tobie, ale kiedy zagroziłem mu laską, dał mi go.

Jessica przeczytała wiadomość. „Obawiam się, że nie spotkamy się, jak planowaliśmy. Zobaczymy się wkrótce. Oddany, Guy H.”.

– O Boże.

Liścik wpadł w ręce Silasa, a on błędnie odczytał jego treść. Teraz nie miała już wyboru. Silas wiedział, że Guy Handley jest zamieszany, albo jako jej kochanek, albo jako współwinny ucieczki niewolnika. W żaden sposób nie mogła go już ochronić. Jessica popatrzyła na męża ze współczuciem, wiedząc, jak musiał cierpieć, choć wiedział, że wydając Ezekiela Lorimerowi, położy kres ich małżeństwu.

– To nie to, co myślisz – powiedziała, muskając palcami jego policzek. – Nie mogłabym cię zdradzić. Guy Handley jest konduktorem w Kolei Podziemnej. Przyszedł prosić mnie o pomoc w ukryciu Ezekiela przed siepaczami Lorimera do czasu, aż będzie mógł go bezpiecznie wywieźć. Guy miał do mnie przyjść, by powiedzieć, że ukończył swoją

misję, ale najwyraźniej coś mu przeszkodziło. Jeżeli mam zostać powieszona, to za zbrodnię, której się dopuściłam.

Silas przymknął oczy i wolno wciągnął powietrze.

– Boże, Jessico, jesteś dla mnie całym życiem. Kiedy przeczytałem ten list, od razu pomyślałem o najgorszym... – zerknął na niewolnika, wciąż ze strachu przylgniętego do ściany, ze spojrzeniem zwierzęcia schwytanego w pułapkę. Silas odbrócił się do żony. – Czy nigdy nie przestaniesz mnie dręczyć? Czego ode mnie oczekujesz?

– Pomożesz? – zapytała, walcząc z nadzieją.

– Nie przeszkodzę w ucieczce Ezekiela.

– Naprawdę, Silasie? Nie wydasz go Lorimerowi?

– Lorimer może szczeznąć, szukając go – powiedział Silas. – Ja mu nie pomogę.

– Niech pana Bóg błogosławi, panie Toliver – powiedział Ezekeiel i ze szlochom osunął się na podłogę.

Rozdział 51

Nigdy wcześniej nie patrzył niewolnikowi w oczy, chyba że aby doszukać się dowodów winy lub niewinności, choroby bądź zdrowia. Nie zwracał uwagi na objawy bólu czy smutku, pragnienia, nadziei czy głodu duszy. Do obowiązków pana nie zaliczało się zgłębianie uczuć swoich niewolników, co zresztą nie leżało nawet w jego interesie. Silas jednak nie mógł zapomnieć wyrazu oczu Ezekiela, kiedy Jessica poprosiła, by postawił się na jego miejscu. „Pomyśl, gdyby chodziło o twoją żonę? Co byś zrobił, gdyby mnie sprzedano? Nie uciekłbyś, żeby mnie odnaleźć?”

– Podbijam o jeden, Silasie. Silasie? Słyszysz mnie? Podbijam.

– Co? Ach, tak, oczywiście. Dla mnie za wysoko. Pas.

– Gdzie też błądzisz dzisiaj myślami, *mon ami*? Twoje wycieczki drogo cię kosztują – zauważył cicho siedzący obok Henri.

– Mam dużo na głowie – odpowiedział Silas równie cicho.

– I w sercu, jeśli się nie mylę.

– Jesteś za bystry.

Przy pokerowym stole siedzieli w sześciu, czterech plantatorów, wliczając Silasa, poza tym Jeremy i Henri. Powietrze było gęste od dymu, rozmowa głośna. Lorimer Davis lubił podejmować przyjaciół hojnie, dlatego też pudełko z ręcznie zwijanymi cygarami stało otwarte, karafki z whiskey stale uzupełniano, a bufet uginał się od najlepszych specjałów, jakie Davisowie mieli w spiżarni. Silas poczęstował się kubańskim cygarem, ale niewiele pił i jadł. Wcześniej rozmowa dotyczyła głównie zbiegłego niewolnika Lorimera i miejsca, w którym być może się ukrywa.

– Sądźmy, że wybiera się do Houston, do tej swojej żony – powiedział Lorimer – ale długo na wolności nie zostanie. Wszystkie patrole, szeryfowie i łowcy nagród stąd aż do Houston zostali powiadomieni, również Damon Milligan, plantator, który kupił żonę Ezekiela. Damon będzie go wypatrywał.

– Chłopak wie, gdzie jej szukać? – zapytał Silas.

Lorimer przewrócił oczami.

– Tak, dzięki źle pojętym intencjom mojej żony. Stephanie było żal

chłopaka i nakłoniła Damona, żeby przy nim zapisał nazwę swojej plantacji i drogę, jak tam dojechać. Chciała pokazać Ezekielowi, że wie, gdzie od czasu do czasu wysłać jego żonie jakiś list w jego imieniu.

– Miło z jej strony – wtrącił Jeremy.

Lorimer wzruszył ramionami i skrzywił się.

– Nie powinienem był na to pozwolić, właśnie sprzedałem najlepszą służącą, jaką miała. Ale co miałem robić? Kiedy Damon ujrzał Dellę, od razu jej zapragnął i złożył ofertę, której nie mogłem nie przyjąć. Ale gdybym nie był taki cholernie pobłażliwy, chłopak nie miałby pojęcia, dokąd iść i prawdopodobnie by nie uciekł.

– Lorimerze, nie możesz się winić za dobre serce – zauważył jeden z plantatorów.

Rozmowa zeszła na inne tory, lecz niewiele z niej docierało do Silasa. Wciąż patrzył na zegar na kominku i powolną wędrówkę dużej wskazówki do dwunastki, o której to godzinie spotkanie dobiegnie końca i mężczyźni rozejdą się do swoich domów przy Houston Avenue. Do tego czasu Ezekiel na pewno zostanie już wywieziony. Noc mu sprzyjała. Deszcz ustał, ale niebo wciąż zakrywały chmury, nie przepuszczając światła księżyca i gwiazd. Silas nie słyszał też szczekania psów. To dobry znak.

Prywatną wymianę zdań między Silasem a Henrim zagłuszył głos Lorimera, który zaczął się rozwodzić nad wiarołomnością niewolniczej natury czarnych.

– Nie można im ufać. Ani jednemu. Może któryś z was przy tym stole nie zgadza się z tym, jak traktuję swoich niewolników, ale powiadam wam, nie można traktować ich łagodnie ani pozwolić na zbyt wiele, bo zwrócą się przeciwko wam. Mój lokaj to najlepszy przykład. Szanowałem chłopaka i dawałem wszystko, czego tylko może chcieć niewolnik. Porządny dach nad głową, jedzenia w bród, pracę w domu, a on tak mi się odpłaca...

– Ale sprzedałeś jego żonę, Lorimerze – wszedł mu w słowo Silas.

Lorimer wybałuszył na niego oczy i przerwał w pół zdania. Wokół stołu zapadła niezręczna cisza. Pozostali gracze wpatrywali się w swoje karty.

Lorimer podniósł głos.

- A cóż to zmienia?
- A to, że ją kochał – powiedział Silas.
- A ty skąd o tym wiesz, do cholery? – zainteresował się Lorimer.
- Czyż wszyscy nie kochamy swoich żon?

Zbity z pantałyku Lorimer zamknął usta i minęło kilka sekund, zanim znalazł odpowiednią amunicję. Wyprostował ramiona i wycelował.

– My jesteśmy biali – oznajmił wyniośle. – Biali mężczyźni kochają swoje żony. Czarni tylko z nimi kopulują. Nie są zdolni do wyższych uczuć, które wiążą się z miłością. Dlatego też ich związki z kobietami są bez znaczenia. Zgodzicie się ze mną, panowie?

Wszyscy plantatorzy poza jednym skinęli potakująco głowami. Silas postukał palcem w stół.

– Biorę jedną.

Kiedy po zakończonej grze wyszli razem w ciemność, Jeremy zagadnął Silasa:

- O co w tym wszystkim chodziło?
- Do licha, sam nie wiem.
- Zrobiłeś sobie wroga z Lorimera Davisa.
- Mała strata.

Chłodne powietrze otrzeźwiło Silasa, gdy wracał wyłożoną czerwoną kostką ulicą. Tylko on jeden z pięciu sąsiadów musiał wracać do domu w tę stronę i cieszył się, że został sam. Co w niego wstąpiło, że tak się zachował wobec Lorimera? Nawet gdyby otworzył mu głowę i wyprał mózg, nie zdołałby zmienić jego podejścia do czarnych. Silas bez trudu odczytał pytanie malujące się na twarzach wszystkich, nie wyłączając Jeremy'ego i Henriego. „Czyżby zaczynał ulegać abolicjonistycznym sympatiom Jessiki?” Nie, żadne perswazje żony nie robiły na nim wrażenia. Zwyczajnie miał dość dogmatycznych wywodów Lorimera i chętnie dokuczył nadętemu bufonowi.

Następnego dnia obudził się przed świtem i zobaczył, że Jessiki nie ma obok niego w łóżku. Wiedział, dokąd poszła, i czekał teraz na wieści. Dziesięć minut później wpadła do sypialni, wciąż jeszcze w szlafroku, i oznajmiła:

– Nie ma go. Nie został po nim nawet ślad. Dzięki Bogu. Myślisz,

że Guy się dzisiaj do nas odezwie?

Dyrektor szkoły pociągnął za dzwonek, gdy zasiedli właśnie do śniadania, i oboje Toliverowie wstali od owsianki doprawionej do smaku imbirem i miodem, by przyjąć gościa w bibliotece, przykazując synowi, by sam przy stole pozostał. W wyłożonym boazerią pokoju dawny guwerner wyciągnął do Silasa rękę.

– Panie Toliver, Ezekiel powiedział mi, co pan zrobił czy raczej czego pan nie zrobił, i jestem panu za to dozgonnie wdzięczny.

Podejrzewam, że już pan wie... czym się zajmuję poza nauczaniem.

– Będzie pan musiał opuścić hrabstwo.

– Jestem tego świadom. Dziękuję, że mnie pan nie wydał.

– Nie wiem, czy tego nie uczynię, jeżeli pan zostanie.

– Rozumiem.

– Guyu – odezwała się Jessica. – Czy Ezekiel jest bezpieczny?

– Dowiozłem go do stacji, gdzie będzie czekał na transport do Luizjany, skąd wyruszy statkiem na północ, mówi jednak, że nigdzie nie pojedzie bez żony. Nie jestem w stanie jej uratować, obawiam się jednak, że Ezekiel znowu porwie się na niemożliwe.

– Co takiego? – wykrzyknęła Jessica. – Czy on oszalał?

Guy uniósł brew.

– O to proszę zapytać pana Tolivera, najbardziej oddanego z mężów.

Silas spojrział na Jessicę, kobietę, bez której nie mógłby żyć, i ujrzał, jak nadzieja na uratowanie Ezekiela gaśnie w jej oczach.

Wiedział, co musi zrobić. Zwrócił się do Guya:

– Czy może pan zatrzymać Ezekiela w tej kryjówce jeszcze przez kilka dni?

– Ale ja... tak, tak, chyba mogę – wyjąkał Guy.

– Czy może pan również zorganizować ucieczkę jego żony?

– Oczywiście. Dlaczego? Co pan zamierza zrobić?

– Pojadę do Houston i przywiozę żonę Ezekiela.

Jessica usiadła. Wpatrywała się w niego ze zdumieniem i niedowierzaniem w oczach. Silas podniósł ją i wziął w objęcia.

– Jessico, przez te wszystkie lata starałem się uzbierać dość pieniędzy, żeby zwrócić twojemu ojcu sumę, którą dał mi na założenie

Somerset i stworzenie tego wszystkiego – gestem wskazał na dom – ale ciągle ulegałem jakimś pokusom i wydawałem oszczędności na potrzeby plantacji. Teraz wreszcie zebrałem prawie tyle, ile jestem mu winien, jeżeli jednak wykupię żonę Ezekiela, by mogła do niego wrócić, niewiele mi zostanie i być może nie zdążę zebrać dość przed śmiercią twojego ojca. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię?

W ciemnobrązowych oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– Oszczędzałeś... oszczędzałeś pieniądze, żeby spłacić mojego ojca... dla... dla mnie?

– Chciałem ci udowodnić, że od Nowego Orleanu nawet bez jego pieniędzy zostałbym twoim mężem.

– I chcesz teraz wydać te pieniądze... żeby wykupić żonę Ezekiela?

– Damon Milligan na pewno zażąda ceny, która pochłonie każdego centa.

– Dlaczego? – zapytała Jessica. – Dlaczego miałbyś wykupić żonę Ezekiela?

– Ponieważ gdyby to ciebie sprzedali, nie powstrzymałbym się przed niczym, żeby cię odzyskać. Dlatego wiem, że Ezekiel jest gotów dać się zabić.

– Och, Silasie... – Jessica objęła go, z głębokim westchnieniem zamknęła oczy i przytuliła głowę do jego piersi. Silas zrozumiał, że jego łódź zawinęła w końcu do portu. – Silasie... – powtórzyła zduszonym głosem, a on poczuł, jak jej łzy przesiąkają mu przez koszulę.

Rozdział 52

Przez kolejną dekadę miastu Howbutker oraz fortunom Toliverów, Warwicków i DuMontów przyświecało łagodne słońce. Słoneczne dni spokoju i błogostanu przeplatały się z dobiegającymi z oddali pomrukami wojny i tragedii, jakie zwykle przytrafiają się ludziom i przyrodzie. Społeczność rozkwitała. Do Howbutker i okolic ściągali spragnieni ziemi osadnicy, wśród nich plantatorzy z południowych stanów przekonani, że jeśli dojdzie do wojny między Północą a Południem, Teksas w niej nie ucierpi. W mieście z miesiąca na miesiąc powstawały nowe biznesy i w ciągu kilku lat siedziba hrabstwa z ulicami z czerwonej kostki i budynkami w greckim stylu miała wśród swoich obywateli dwóch lekarzy, trzech prawników, architekta, dwóch nauczycieli, inżyniera maszyn parowych i jednego artystę. Poza tym miasto mogło się poszczycić trzema kościołami, czteroklasową szkołą, biblioteką, pocztą i redakcją gazety, mieszczącymi się wzdłuż ulic zbiegających się ku skwerowi, na którym stał budynek sądu, lecz w centrum dzielnicy handlowej górował niepodzielnie Dom Towarowy DuMont.

Zapotrzebowanie na sprzedawane w nim towary sprawiło, że przeszklony, zdobny w złocenia, mahoń i marmury sklep zajmował już cały kwartał. Na początku 1856 roku Elisha Marshall Pease został wybrany na piątego gubernatora Teksasu. Szykując się do przeprowadzki do nowo wybudowanej siedziby gubernatora w Austin, jego żona Lucadia odwiedziła Henriego w nadziei, że doradzi jej w doborze wystroju dwukondygnacyjnej budowli z płowożółtej cegły w stylu greckiego neoklasycyzmu, którą określiła mianem „skorupy pełnej przeciągów”. Kwota 2 500 dolarów, którą władza ustawodawcza Teksasu przeznaczyła na jego umeblowanie, nie wystarczyła na wiele, ale Henri i Tippy zrobili, co w ich mocy. Udało im się osiągnąć oszałamiający efekt, wzbudzający niekłamany zachwyt każdego, kto przekroczył progi rezydencji. Aż dziennikarz „State Gazette” z Austin poczuł się w obowiązku napisać, że „każdy, kto planuje jakieś towarzyskie przedsięwzięcie, powinien najsampierw odwiedzić Dom Towarowy DuMont w Howbutker w Teksasie, by zasięgnąć porady

nadzwyczaj znającego się na rzeczy właściciela i jego utalentowanej asystentki”.

Taki komentarz połączony z coraz lepszą reputacją sklepu sprawił, że centrum handlowe stało się miejscem, które należało odwiedzić przy okazji absolutnie wszelkich zakupów, poczynając od damskiej bielizny, na zastawie stołowej kończąc. Pod koniec dekady dawny dwupiętrowy dom towarowy Henriego stał się wiodącym teksańskim ośrodkiem mody i wystroju wnętrz.

Również Kompania Drzewna Warwicków stale się rozwijała, lecz zasobne kufry Jeremy zawdzięczał przede wszystkim swoim cichym inwestycjom w przedsięwzięcia niezwiązane ze swoją pasją, czyli przemysłem drzewnym. W 1843 roku, podczas wizyty w Nowym Orleanie, dokąd zabrał swoją żonę i potomstwo w odwiedziny do teściów, poznał profesora New York University, niejakiego Samuela B. Morse'a. Ten malarz portretów zbierał właśnie fundusze na sfinansowanie produkcji wynalezionej przez siebie maszyny o nazwie telegraf, która mogła z powodzeniem przesyłać depesze po przewodach przy wykorzystaniu elektryczności. Jeremy dostrzegł kryjący się w niej potencjał, spodobało mu się to, czego się dowiedział, i zainwestował w Morse Telegraph Company. W ciągu sześciu lat jego inwestycja powiększyła swoją wartość czterokrotnie, a udziały w firmie wzrosły niebotycznie.

Poczynając od 1858 roku, Jeremy odnosił podobne finansowe sukcesy, gdy dołączył do grupy nowojorskich finansistów inwestujących w fabrykę produkującą puszkowane mleko o długim terminie przydatności do spożycia i niewymagające przechowywania w chłodzie. Technologia została udoskonalona i opatentowana przez niegdysiejszego mieszkańca Teksasu, Gaila Bowdena, który był autorem pierwszej mapy topograficznej tego stanu. Sprzedaż skondensowanego mleka Bowdena ruszyła i zaowocowała otwarciem kolejnych fabryk w Nowym Jorku i Illinois, co dało pierwszym inwestorom gigantyczne zyski. Podczas gdy rezultaty tych finansowych poczynań zapewniały jego żonie luksusy, do których przywykła, Jeremy miał się przede wszystkim za handlarza drewnem i ani na chwilę nie stracił wiary, że któregoś dnia jego firma zdobędzie wiodącą pozycję w największym przemyśle Teksasu.

Produkcja bawełny, i co za tym idzie Somerset i kultura plantacji, rozkwitała w latach pięćdziesiątych, mimo paniki w 1857 roku, gdy epoka dobrobytu w zachodnich i północnych częściach kraju nagle, choć tylko chwilowo się zakończyła. Zapotrzebowanie na bawełnę w Stanach Zjednoczonych, Meksyku i Wielkiej Brytanii wciąż było ogromne, zapewniając złoty wiek gospodarki plantacyjnej i oszczędzając Południu i Teksasowi recesji, która dotknęła inne gałęzie przemysłu. Somerset była największą plantacją w regionie, dostarczała surowiec do coraz liczniejszych fabryk i zakładów włókienniczych, przerabiających surowe bele „białego złota” i produkujących z nich tkaniny. W czasie tej właśnie dekady zostało ukute powiedzenie „bawełna jest królem”, doskonale oddające zyski płynące z ponad połowy amerykańskiego eksportu. Silas Toliver utwierdzał się w przekonaniu, że wojna nigdy nie nadejdzie.

– Północ potrzebuje Południa, by utrzymać stabilną gospodarkę, a jak byłoby to możliwe, gdyby niewolnictwo zostało zniesione? – pytał, ucinając argumenty każdego, kto twierdził inaczej.

Niektórzy czołowi obywatele miasta i przyjaciele Toliverów czerpali wiarę z pewności Silasa, większość jednak się z nim nie zgadzała. Przez całe dziesięć lat Południe – z którym Teksas był ściśle związany – przypominało człowieka, któremu nieustannie rękawica jest rzucona w twarz. Książki i artykuły atakujące niewolnictwo ukazywały się w coraz większej liczbie. Największe oburzenie wywołała wydana w 1852 roku *Chata wuja Toma*, antyniewolnicza powieść przez wolne stany przyjęta jako idealnie odpowiadający prawdzie opis brutalnego systemu, na którym opierała się gospodarka Południa i klasa plantatorów. Dzieło literackie Harriet Beecher Stowe rozwścieczyło stany proniewolnicze, a teksański „Telegraph and Register” okrzyknął ją jako „rażąco stronnicze i całkowicie nieprawdziwe”. Południowcy jeszcze bardziej się zniechęcili do pokojowego rozwiązania konfliktu na tym tle z Północą.

Ciągłe kłopoty wynikające z nieprzestrzegania przez wolne stany Ustawy o zbiegłych niewolnikach wprowadzonej w życie w 1850 roku były kolejnym źródłem sporu. Złość Południa na północnych sąsiadów rosła. Ustawa uprawniała federalnych komisarzy do ścigania zbiegłych niewolników we wszystkich amerykańskich stanach i nakazywała

obywatelom pomoc w ich schwytaniu. By chronić zbiegów, niektóre północne stany uchwałyły Prawo wolności osobistej anulujące ustawę federalną, co rozwścieczyło Południowców, którzy uznali je za niekonstytucyjne.

W swoich stanowych legislaturach mieszkańcy Południa zastanawiali się, jak mogą pozostać w unii, która tak jawnie kpi sobie z preambuły konstytucji, jasno określającej rolę rządu, który ma „zabezpieczyć spokój w kraju” i „podnieść ogólny dobrobyt”, gdy tymczasem Północ zachęca do udzielania schronienia zbiegom, do powstań niewolników, antyniewolniczych zamieszek, rozprzestrzenia stronnictwą propagandę i podważa prawa Południa. Innymi słowy, jak Południe może uznawać wybranych reprezentantów Północy, którzy w ramach posiadanych uprawnień próbują zniszczyć ten spokój w kraju i ogólny dobrobyt? Czy kraj nie powinien przestrzegać doktryny Deklaracji Niepodległości, że „jeżeli kiedykolwiek jakakolwiek forma rządu uniemożliwia osiągnięcie tych celów, to naród ma prawo taki rząd zmienić lub obalić i powołać nowy...”?

Panowało ogólne przekonanie, że w końcu niewolnicze stany będą miały dość arbitralnych poczynań Północy i oddzielią się od Unii. Przy Houston Avenue, przez ostatnich mieszkańców nazywanej też Grzędą Założycieli, podobne dyskusje przyprawiały o dreszcz niepokoju matki, których synowie, gdy zabrzmią surmy bojowe, będą pełnoletni i z niejednego powodu zapragną walczyć w obronie swojego dziedzictwa i stylu życia.

Lecz groźba secesji i rozmowy o wojnie na razie nie pociągały za sobą żadnych skutków i choć obywatele Howbutker obserwowali, czy nad horyzontem nie gromadzą się chmury narastającego konfliktu, nadal pławili się w łagodnym słońcu dobrobytu, rozwoju i względnego spokoju.

Śmierć też nie próżnowała. W 1853 w Nowym Orleanie wybuchła epidemia żółtej febry – zmarło pięć tysięcy mieszkańców. Wśród nich znaleźli się również rodzice Camellii Warwick. W czasie pogrzebu Warwickowie dowiedzieli się, że Henry i Giselle Morganowie, właściciele hotelu Winthorp i przyjaciele rodziny Henriego, również nie przeżyli ataku wirusa roznośzonego przez komary. W lutym 1854 roku

przyszedł list od Eunice Wyndham z wiadomością, że Willie May „odeszła spokojnie we śnie”. Jessica nigdy nie wybaczyła matce, że nie przetelegrafowała natychmiast wieści o śmierci Willie May, żeby Tippy mogła wziąć udział w pogrzebie.

Dziesiątego sierpnia 1856 roku w czasie balu debutantek w kurorcie Gulf Coast na Last Island przy południowych wybrzeżach Luizjany piętnastoletnia Nanette DuMont utonęła w oceanie, gdy huragan znad Atlantyku zaatakował wyspę. Jej ciała nigdy nie odnaleziono. Rodziny pograżyły się w rozpacz po stracie pięknej dziewczynki, którą wszyscy traktowali jak własną córkę. Dla uczczenia jej pamięci Henri i Bess wypuścili na pastwisko jej konia Flight ‘O Fancy, na którym Nanette brała udział w zawodach w jeździe na damskim siodle, by nikt go już nigdy nie dosiadał.

Tomahawk Lacy późną jesienią 1858 roku wybrał się na polowanie na jelenie i kiedy nie wrócił, po dwóch tygodniach Jeremy wyruszył na czele ekipy poszukiwawczej, by przeczesać lasy, w których Krik szczególnie lubił polować. Znalazł jego krwawe szczątki, a zidentyfikował je wyłącznie dzięki butom i strzelbie. Prawdopodobnie wierny zwiadowca padł ofiarą potężnych łap i paszczy niedźwiedzia grizzly.

Założyciele Howbutker ciężko przeżyli wszystkie te straty, radowali się jednak dziećmi, rodzinami i przyjaciółmi, którzy im pozostali w tych ciężkich czasach, gdy szalała cholera, malaria, żółta febra, nie mijało zagrożenie atakami Indian i buntami niewolników. Uprzymiłowiali sobie czas, organizując wystawy sztuki, festiwale muzyczne i przedstawienia teatralne, na co pozwalały im majątki i status społeczny. Dysponowali zasobami i czasem, by czytać książki i czasopisma, zakładać kluby czytelnicze i pokerowe, wydawać przyjęcia, potańcówki i maskarady typowe dla ich klasy. Mogli sobie pozwolić, by podróżować coraz lepszymi parowcami i koleją na imprezy do Nowego Orleanu, Houston i Galveston w czasie o wiele krótszym, niż gdyby wybierali się tam konno i w powozach.

W latach pięćdziesiątych pojawiło się też wiele niezwykłych wynalazków, takich jak maszyna do szycia, pasteryzacja mleka i pralka, o czym donosiła wydawana w Howbutker gazeta, a mieszkańcy kręcili

ze zdziwienia głowami, że przyszło im żyć w czasach takich niezwykłych cudów. Niepodobna, żeby kierujący się rozsądkiem kraj o tak świetlanej przyszłości ryzykował wojnę, która wszystko to obróciłaby w ruinę, prorokowali niektórzy.

Jednak w grudniu 1859 roku abolicjonistyczny warchoł, który poprowadził atak na federalny arsenał w Harpers Ferry w Wirginii, został powieszony za próbę zaopatrzenia w broń niewolników i wywołania zbrojnego powstania przeciw ich białym panom. John Brown został uznany winnym zdrady Wspólnoty Wirginii, morderstwa pięciu opowiadających się za niewolnictwem adwokatów i nakłaniania do rebelii niewolników. Północ czciła go jak męczennika walki o wolność; na Południu okrzyknięto go szaleńcem i mordercą zasługującym na stryczek. Najwięksi współcześni pisarze – z Południa William Gilmore, Mary Eastman i John Paddington Kennedy, z Północy Henry David Thoreau, Ralph Waldo Emerson i Walt Whitman – spierali się, czy powieszono go słusznie, czy niesłusznie, ale dopiero komentarz Henry’ego Wadswortha przypisał Jessicę o gęsią skórkę. Słynny poeta przewidział skutki egzekucji: „Posiali wiatr i zbiorą burzę, która wkrótce nadejdzie”.



CZEŚĆ III



1860-1879

Rozdział 53

W sierpniu 1860 roku zza wozowni w posiadłości Toliverów wyłonił się nieznajomy i zwrócił się do Maddie, która rozwieszała właśnie pranie.

– Witaj, cioteczko – rzekł. – Czy zastałem panią tego domu?

Maddie nigdy dotąd nie spotkała białego, który uchyliłby przed nią kapelusza. Miała wrażenie, że mężczyzna od dłuższego czasu kręcił się przy zabudowaniach, obserwując ją i inne służące zajęte praniem, które akurat na ten dzień przypadało. Obudziła się w niej podejrzliwość. Było w nim coś... nie do końca właściwego, chociaż nie potrafiła tego nazwać. Był przystojnym mężczyzną, elegancko ubranym w garnitur i czystą koszulę, miłym w obyciu. Czemu jednak nadszedł drogą od pastwiska na tyłach domu, zamiast od Houston Avenue?

Maddie odpowiedziała, kierując się instynktem, w nadziei że służące, które przerwały pracę, by przyjrzeć się wysokiemu, rudowłosemu nieznajomemu, nie zaprzeczą jej kłamstwu. Pani Jessica była w domu sama.

– Nie, psze pana, pani nie ma. Ale radam przekazać jej wiadomość.

– Kiedy można się jej spodziewać?

– Nieprędko, psze pana.

Mężczyzna zerknął w stronę altany i Maddie przerażona pomyślała, że może zechce poczekać na powrót jej pani.

– W takim razie zajrzę może później – powiedział.

– Pan się nazywa, psze pana?

– To bez znaczenia – odparł, oddalając się w pośpiechu.

Maddie zaczęła, aż dobiegło ją skrzypnięcie furtki, po czym wróciła do prania.

Miała zamiar powiedzieć o wizycie Jessice, jednak krótko po odejściu mężczyzny poczuła się słabo i przysiadła na krześle na tylnej werandzie, żeby nieco ochłonąć. Przymknęła oczy i westchnęła. Chwilę później znalazła ją jedna ze służących, jak wciąż z wachlarzem w ręce wydała swoje ostatnie tchnienie na tej ziemi.

Zapanował płacz i zamieszanie i nikt nie pamiętał o mężczyźnie, który w tajemniczy sposób pojawił się tego ranka na tylnym podwórzu,

jednak pracownik sklepu, który akurat przejeżdżał drogą na tyłach rezydencji, zauważył go, jak opuszczał posiadłość Toliverów. Sklepiarz znał w mieście wszystkich, jednak jego nigdy dotąd nie widział, co w owym czasie w Howbutker mogło być dla przybysza niebezpieczne. Wszędzie kręciły się miejscowe oddziały i mało życzliwie traktowały obcych wędrujących po okolicy.

W lipcu w niedużej aptece w Dallas wybuchł pożar i szybko się rozprzestrzenił, niszcząc prawie całą dzielnicę handlową miasta i zaogniając jeszcze bardziej tendencje secesyjne i przepowiednie o wojnie, zaś panujące upały dodatkowo rozpałały umysły i pojawiły się podejrzenia, że ogień podłożyli abolicjoniści. Podobne pożary zniszczyły częściowo kilka innych teksańskich miast, a znaleziony dokument został uznany za dowód, że ich przyczyną były działania włóczących się band radykalnych przeciwników niewolnictwa, które podkładały ogień, mordowały i niszczyły własność prywatną, by nastawić opinię publiczną przeciwko dążeniom Teksaszczyków do utrzymania w ich stanie niewolnictwa. Bandy te podejrzane były o pomoc w ucieczkach niewolników, o kradzieże żywego inwentarza, palenie odziarniarek, stodół i pól, zatrucie studni. Coraz gwałtowniej szerzyły się pogłoski o spisku mającym doprowadzić do powstania niewolników na terenie całego stanu. Jednak iskrą zapalną okazał się pożar w Dallas. Szerzyła się paranoja, którą potęgowały krzyczące z pierwszych stron gazet nagłówki o aktach porażającego wandalizmu, nie zawsze oparte na prawdzie, i artykuły pióra podekscytowanych redaktorów wzywające do natychmiastowego i bezlitosnego karania winnych. Niemal z dnia na dzień powstały działające poza jurysdykcją tajne organizacje i grupy straży obywatelskiej, śledzące i przesłuchujące każdego podejrzanego o nakłanianie niewolników do buntu czy o popieranie Północy. Nieszczęśników traktowano z przerażającym okrucieństwem, a jeśli nie zdołali dowieść swej niewinności, wieszano ich na pierwszym lepszym drzewie.

Posłaniec zwolnił nieco swój wóz, by dokładniej przyjrzeć się nieznanemu, który dosiadał właśnie konia, i nie uszło jego uwadze, że mężczyzna nasunął głębiej kapelusz, by przysłonić twarz. Woźnica był nieledwie chłopcem i jechał sam. Był też skromniejszej postury od

jeźdźca. Tylko dlatego nie odważył się go zatrzymać i wypytać. Będzie musiał się zadowolić złożeniem raportu dowódcy oddziału straży obywatelskiej, którego sam był dumnym członkiem. Na wieczornym spotkaniu powie panu Lorimerowi Davisowi o obcym, którego widział na drodze obok posiadłości Toliverów, na razie wbijając sobie w pamięć niewyraźną twarz obcego, by móc go rozpoznać.

Kilka tygodni później Jessica przysłała na zebranie klubu czytelniczego, które odbywało się w salonie Bess DuMont, urządzonym w stylu Ludwika XIV. Było to pierwsze wyjście Jessiki od śmierci Maddie. W szczęśliwszych latach towarzyskie pogawędki poprzedzające dyskusje o książkach obracały się wokół lekkich tematów. Niepisana reguła klubu mówiła, że wszystkie przygnębiające sprawy, takie jak śmierć, kłopoty ze zdrowiem, polityka, utyskiwanie na dzieci, mężów i teściów nie były poruszane. Dzisiaj jednak wyższość modnych halek na obręczach nad cięższymi, wielowarstwowymi, nie mogła powstrzymać gorącej dyskusji o pogłoskach, że powstał spisek mający na celu uzbrojenie niewolników do ogólnostanowej rewolty. Wśród żon plantatorów, czyli wśród większości zebranych w salonie pań, panował niewypowiedziany, lecz głęboki strach przed seksualną napaścią ze strony czarnych szukających zemsty na białych panach. Strach ten towarzyszył im i ich córkom od dnia, w którym przez małżeństwo weszły do klasy plantatorów. To przez ten strach właśnie niektóre z nich wolały mieszkać w mieście, z dala od plantacji.

– Lorimer postanowił zadbać, żeby wszyscy nasi niewolnicy nauczyli się dziesięciorga przykazań – oznajmiła Stephanie Davis. – Każe im je recytować w każdy niedzielny poranek ze szczególnym naciskiem na „Nie zabijaj”.

– Jestem pewna, że odniesie to właściwy skutek – zauważyła Bess DuMont, mrugając porozumiewawczo do Jessiki znad swojej filiżanki.

– Na pewno lepszy niż przykład, jaki im daje – Jessica nie mogła się powstrzymać, natychmiast jednak tego pożałowała.

Nie powinna była dzisiaj przychodzić. Nie była usposobiona zbyt towarzysko. Wiele trosk przygniatało jej serce, a bezsenne noce wprawiały ją w tym większą irytację. Gorset, którego w domu nie zakładała, teraz ją uwierał, a nowa spódnica na obręczach nie pozwalała

przyjąć wygodnej pozycji na krześle. W salonie panował obezwładniający upał i nie łagodził go nawet wachlarz, którym nieustannie poruszała, ani też powiew napływający od obracających się pod sufitem nowych wentylatorów, jakimś cudem wprawianych w ruch przez wodę.

– Co masz na myśli? – zapytała Stephanie.

– Wszyscy wiemy, jak wprawnie Lorimer posługuje się batem i sznurem, Stephanie. Nic ponadto.

– Jednak implikujesz znacznie więcej – odparowała Stephanie z gniewem w oczach. – Większość z nas uważa bat i sznur za narzędzia sprawiedliwości, których jak powszechnie wiadomo, twój mąż używa niechętnie. Lorimer był bardzo zawiedziony, kiedy Silas odmówił przystąpienia do patrolu straży obywatelskiej. Być może nie zależy mu na utrzymaniu spokoju i porządku.

– Może nie zależy mu na omijaniu prawa – odwzajemniła się Jessica.

W pokoju zapadła pełna zdumienia cisza. Oczy wszystkich skierowały się na dwie kobiety, które, metaforycznie rzecz ujmując, najwyraźniej zdjęły rękawiczki, szykując się do walki wręcz. Żadna kostka lodu nie zabrzączała, nie zaszeleściła ani jedna jedwabna spódnica.

– Chciałabym cię zapytać, Jessico, jeśli będziesz tak uprzejma, by odpowiedzieć – ciągnęła Stephanie, najwyraźniej nie mając zamiaru odpuścić – kim był mężczyzna, który odwiedził cię przed kilkoma tygodniami? Na pewno nikim stąd. Nasz posłaniec, który zauważył go, jak wymykał się furtką na tyłach twojego domu, nie rozpoznał go. Mój mąż bardzo chciałby to wiedzieć. Interesują go wszyscy nieznajomi w mieście, zwłaszcza tacy, którzy w tych dniach odwiedzają rezydencję Toliverów.

Jessica odstawiła swoją szklankę z herbatą i przestała poruszać wachlarzem.

– Stephanie, bądź, proszę, uprzejma wyjaśnić mi, o czym mówisz. Żaden nieznajomy nie odwiedził naszego domu.

– Na pewno nie frontowymi drzwiami. Czemu jednak wychodził tyłem?

– Nie mam pojęcia. Maddie na pewno by wiedziała, niestety odeszła od nas.

– W doskonałym momencie.

– Drogie panie! – zainteresowała Bess. – Może porozmawiamy o *Młynie nad Flossą*? Mogę podzielić się z wami cudowną informacją o autorze, George’u Eliocie. Otóż w istocie jest to nie autor, lecz autorka. Nazywa się Mary Ann Evans...

Jessica nie słuchała. Stephanie może i jest plotkarą, ale plotek nie wymyśla. Teraz sobie przypomniła, jak jedna ze służących wspomniała, że Maddie „umarła zaraz po tym, jak rozmawiała z białym, rudowłosym mężczyzną na tylnym podwórzu”. Wstrząśnięta i pogrążona w smutku Jessica uznała, że to zapewne jakiś włóczęga, który przyszedł po prośbie, i więcej o tym nie myślała. Lorimer widział potencjalnych abolicjonistów czających się za każdym krzakiem i drzewem i – jak Stephanie niezbyt delikatnie zauważyła – miał jak najgorsze podejrzenia wobec gościa, który zjawił się na tyłach posiadłości Toliverów. Po powrocie do domu Jessica wypyta służącą, ale na Boga! Czyżby Guy Handley, gdziekolwiek teraz przebywa, przysłał emisariusza z prośbą, by przyłączyła się do bojowników Północy?

Rozdział 54

Siedząc na swoim koniu, Silas spoglądał na rozciągające się jak okiem sięgnąć wysuszone pola Somerset. Często przyjeżdżał w to miejsce, bo choć nie widać z niego było wszystkich należących do niego trzech tysięcy akrów, to można sobie było wyobrazić, jak daleko sięgają granice jego królestwa. W przeszłości widok ten przepęśniał go takim szczęściem posiadania, że czasem, gdy był sam, wznosił do nieba okrzyk radości. Kiedy indziej przyjeżdżał tu w poszukiwaniu spokoju i ciszy dla ukojenia duszy. Dzisiaj na widok rozciągającej się po horyzont ziemi jego dusza pozostawała równie sucha, jak niekończące się rzędy poczerniałych, nędznych kikutów. Dzisiaj w tym miejscu, w swoim Gileadzie, nie czuł spokoju i zapewne długo go jeszcze nie poczuje.

Był koniec października 1860 roku.

Obok niego siedział na swojej appaloosie Thomas.

– Bolesny widok, prawda, papo? – odezwał się.

– Owszem – odparł Silas.

Rozumiał, że Thomas dużo ciężiej znosi ten obraz zniszczenia.

Inaczej niż ojciec, nie doświadczył zbyt wielu ataków matki natury na ludzki wysiłek, a ten był najgorszy, z jakim przyszło im się zmierzyć. Nie wiadomo skąd naszła Silasa myśl o Morrisie. Jego brat przypisałby jakieś apokaliptyczne znaczenie ruinie, na którą Silas właśnie spoglądał, najpewniej zaczerpnąłby cytat z Apokalipsy Świętego Jana. I niewykluczone, że miałby rację. Susza, która nastąpiła tego nieszczęsnego, kończącego się właśnie lata, mogła być zapowiedzią nadchodzącej zagłady.

Rok zaczął się spokojnie, co okazało się okrutnie zwodnicze. Nigdy wcześniej plantatorzy i farmerzy we wschodnim Teksasie nie widzieli takiej obfitości i zieleni zapowiadającej bogate plony. W marcu deszczu i słońca było akurat tyle, ile trzeba, zaś wiejące wiatry, zaciekli wrogowie sypkiego, napowietrzonego gruntu i kryjących się tuż pod jego powierzchnią ziarenek, okazały się nad wyraz łaskawe. Wszyscy się radowali, gdy jednak minęły kwiecień i maj bez ani jednej kropli deszczu, nadzieja na najmniejszy choćby zbiór zbladła. W czerwcu nastąpiły upały, które wypaliły do cna ziemię, aż prawie ani jeden pęd

bawełny, żyta, pszenicy czy kukurydzy nie chwiał się w podmuchach gorących, suchych wiatrów – zwiastun ruiny, w której pogrążyć się Teksas i południowe stany, jeśli zdecydują się na wystąpienie z Unii.

Thomas odczytał jego „sekretnie myśli”, jak nazywała je Jessica.

– Jesteś pewny, że secesja jest nieunikniona, papo? – odezwał się.

– Tak samo, jak tego, że deszcz w końcu nadejdzie.

– A potem wojna?

– A potem wojna.

Silas nie mógł temu dłużej zaprzeczać. Jeśli dojdzie do secesji, wybuchnie wojna. Senator z Illinois, Abraham Lincoln, został nominowany przez republikanów na kandydata na prezydenta i wszystko wskazywało na to, że wygra wybory. Jasno określił swoje stanowisko w przemówieniu do Kongresu wygłoszonym w czerwcu 1858 roku.

„Dom podzielony przeciwko sobie nie może przetrwać. Uważam, że to państwo nie może trwać permanentnie w połowie niewolnicze

i w połowie wolne”. Lincoln oświadczył, że jako prezydent Stanów Zjednoczonych nie zgodzi się na kompromis w kwestii niewolnictwa, nie uzna też secesji.

– To więcej niż pewne, synu – powiedział Silas. – Południe wystąpi z Unii, czy administracja pana Lincolna się na to zgodzi, czy nie. Południowcy nigdy nie przystaną na to, żeby rząd federalny stał ponad prawem stanowym, a ludzie pokroju twojego dziadka i teksańscy plantatorzy, którzy ustanowili republikę, prędzej umrą, niż poddadzą się prawu, które zniszczy styl życia, jakiemu hołdują od pokoleń.

Silas odetchnął głęboko chłodnym jesiennym powietrzem, przynoszącym pierwszą ulgę od letniego gorąca. Ale niepokój przygniatający mu serce tylko się wzmógł.

Syn znowu czytał w jego myślach.

– Skąd czerpiesz pewność, że wojna nadejdzie?

– Republikańscy abolicjoniści chcą za wszelką cenę dać niewolnikom w tym kraju wolność, a Lincoln postawił sobie za cel nie dopuścić do rozpadu państwa. Południe wierzy, że ma prawo utrzymać niewolnictwo, zaś konstytucja pozwala im na secesję. To musi doprowadzić do śmiertelnego konfliktu. Wojna jest nieunikniona, a Północ ją wygra.

Thomas poprawił się w siodle i ojciec się domyślił, że dręczą go wewnętrzne rozterki.

– Dlaczego?

– Ponieważ ma to wszystko, czego Teksasowi i Południowi brakuje.

Silas odgonił natrętną muchę latającą mu wokół głowy, przez którą nie mógł w pełni rozkoszować się chłodną bryzą osuszającą mu twarz z potu.

– Ma przemysł, koleje, fabryki i ogromne, chętne zasoby siły roboczej dzięki masowemu napływowi emigrantów z Europy. Na Południu miast jest niewiele, kolej w zasadzie nie istnieje, mało napływa imigrantów, fabryki można policzyć na palcach jednej ręki – wszystko to będzie działać na naszą niekorzyść w wojnie z Północą.

– I co się wtedy stanie?

Silas popuścił wodze swojego konia, by ten mógł sobie poskubać nieliczne źdźbła trawy. Obwinił siebie, że Thomas, już dwudziestotrzyletni, nie ma pojęcia o sytuacji w kraju, która zagrażała jego przyszłości, nawet życiu. Syn nie interesował się niczym, co nie dotyczyło uprawy bawełny. Sumiennie czytał „The Cultivator”, wydawany w Nowym Jorku periodyk dla farmerów, a w pozostałej prasie pochłaniał każdy artykuł, jaki pojawiał się na temat rolnictwa i rozwoju maszyn rolniczych, zupełnie przy tym nie zwracając uwagi na bieżące sprawy polityczne. Silas nie widział powodu, by zaśmiecać mu umysł artykułami zapowiadającymi wydarzenia, które nigdy mogły nie wystąpić. Wbrew słusznym radom Jessiki nawet przy stole, gdzie rodzina mogła się spotkać i porozmawiać, nie wspominał o narastającym konflikcie.

– Cóż Thomas może na to poradzić? – pytał żonę.

– Przezorny zawsze ubezpieczony – odpowiadała.

– Ubezpieczony? Przed czym?

– Przed zniszczeniem plantacji, do którego doprowadzą zmiany wywołane przez wojnę.

Silas przyglądał się, jak sokół nurkuje, by schwytać usiłującą mu się wymknąć jaszczurkę – doskonała ilustracja nadciągającego kryzysu, pomyślał.

– Lincoln wyzwoli niewolników i nastąpi koniec gospodarki

plantacyjnej – rzekł do syna. – Nie będziemy się już cieszyć naszym stylem życia.

Thomas wpatrywał się w dal, zaciskając swoją szczękę Toliverów. Wyrósł i zmężniał w barach, stając się dorosłym mężczyzną, Silas jednak ciągle go pamiętał jako niedojrzałego chłopaczka, nieskomplikowanego i ufego, nieświadomego świata poza granicami Somerset. Za to też Silas się obwiniał.

– Tylko sobie możesz podziękować, że żyje wyłącznie dla plantacji i jest gotów za nią umrzeć – powiedziała mu Jessica. – Czy nie takiego oddania chciałeś u swojego syna?

– Tak, ale nie wyłącznie.

– Jak jego ojciec, będzie się musiał nauczyć, że istnieje coś więcej niż tylko miłość do ziemi i bawełny – rzekła.

Silas także potrafił czytać synowi w myślach. Ten wyobrażał sobie Somerset – swoje dziedzictwo, ziemię jego ojca, jedyne zajęcie, do którego czuł się powołany – obrócone w perzynę.

– Do czego więc będziemy wracać? – zapytał Thomas.

Tego pytania Silas się spodziewał, a odpowiedź na nie stanowiła powód, dla którego poprosił syna, by spotkał się z nim dzisiaj w tym odosobnionym, skłaniającym do refleksji miejscu. Albowiem jeżeli faktycznie dojdzie do wojny, Thomas pójdzie w niej walczyć. Nie wykorzysta przysługującego mu prawa, które pozwoliłoby mu wynająć kogoś na swoje miejsce, co mógłby uczynić jako jedyny syn bogatego człowieka. Ta przytłaczająca pewność kazała Silasowi, Jeremy'emu i Henriemu pracować do późna w noc w swoich gabinetach, by zająć czymś myśli, a ich żony skazywała na bezsenne godziny w łóżkach. Silasowi czasem zapierało dech w piersiach, gdy wyobrażał sobie syna w samym środku bitwy, bezbronny wobec nadlatującej kuli, ostrza noża, więzienia, tortur, śmierci. Jedzenie więzło mu w gardle, oblewał się potem, krew uderzała mu do głowy, milknął w pół słowa, ilekroć uzmysławiał sobie wszystkie nieszczęścia, jakie mogły spotkać jego jedynaka na polu walki.

We śnie nieustannie prześladowała go przepowiednia jego matki.

– Musimy dać mu powód, dla którego będzie pragnął żyć – powiedziała Jessica.

– To znaczy jaki? – zapytał Silas, z napięciem w umęczonych bezsennością oczach wpatrując się w żonę.

– Musisz uratować dla niego miłość jego życia.

– Somerset.

– Wiesz, co musisz zrobić, aby ją zachować, Silasie.

– Tak, za co wdzięczny mogę być tobie.

I tak, idąc za radą Jessiki, którą dała mu dawno temu, Silas ułożył plan uratowania Somerset, gdy zabraknie kośćca potrzebnego do jej przetrwania. Wiedział, że plantacja musi stać się wizją, która pomoże sprowadzić Thomasa bezpiecznie do domu. Taka sama wizja przywiodła Silasa do Teksasu. Zawsze prowadziło go marzenie o Somerset. Dawało mu odwagę. I mądrość, dzięki której z cierpliwością i rozsądkiem pokonał wszystkie śmiertelnie niebezpieczne przeszkody, nie uległ przerażeniu i rozpacz. Widziana oczami wyobraźni ziemia, którą nazwie pewnego dnia swoją, dawała mu powód do życia.

To samo chciał dać Thomasowi. Nie chciał wzbudzić w nim tchórzostwa – pragnienia bezpieczeństwa za wszelką cenę – lecz roztropność, kierowanie się rozsądkiem, unikanie niepotrzebnego, głupiego ryzyka, które nie pozwoliłoby mu wrócić do miejsca, które kochał. W obliczu wojny tak niewiele było trzeba, by ulec panice, rozpacz... dać się ponieść zwykłemu bohaterstwu, ale nic więcej nie mógł synowi dać. Poza tym musi los Thomasa zostawić w rękach Boga.

– Dlatego właśnie cię tu dzisiaj sprowadziłem, synu, żeby o tym porozmawiać: jak uratować Somerset. Pomówmy o tym tutaj.

Zsiedli z koni i skryli się w cieniu umęczonego skwarem dębu. Silas zaczął Thomasowi wszystko objaśniać.

Gdy skończył, Thomas zapytał:

– To jedyny sposób?

Silas skinął głową.

– Jedyny. Plantatorzy ze wschodniego Teksasu z trudem to przełkną, ale podejrzewam, że podobnie uczynią ci wszyscy, którzy pragną zachować choć część tego, do czego przywykli.

– Bogu dzięki za matkę i jej dobre serce dla pokrzywdzonych – rzekł Thomas.

Silas zaśmiał się krótko.

– Amen. Bóg jeden wie, że gdyby nie twoja matka...

Rozdział 55

Sprawa Ezekiela okazała się punktem zwrotnym w życiu Silasa. Wtedy po raz pierwszy ujrzał w Murzynach istoty ludzkie; swoich niewolników jako jednostki. Walczył z tym uczuciem, ale okazało się ono silniejsze od niego i kazało mu ujrzeć niewolnictwo takim, jakie w rzeczywistości było. Ujmując w skrócie: było prawnie uznanym systemem, który zmuszał jednych do pracy dla innych bez wynagrodzenia. Gdy sobie to uświadomił z całą jaskrawością, zrozumiał, że tak być nie może.

I co z tego, pomyślał. Somerset nie mogłaby istnieć bez niewolniczej pracy, a przecież Somerset będzie istniała. Jednak niedługo potem kazał Jasperowi, który pełnił funkcję nadzorcy, poinformować pozostałych niewolników, że odtąd nie mają się do Silasa zwracać „panie”, lecz po imieniu lub nazwisku. Sami mieli zdecydować, którą formę wybiorą. Najwyraźniej podjęli jednogłośnie decyzję, gdyż od tamtego dnia wszyscy niewolnicy mówili do niego „Panie Silasie”. Było to znacznie miłsze od bardziej oficjalnego „Panie Toliver”.

Silas zaczął wprowadzać drobne zmiany w organizacji życia na plantacji. W nagrodę za lojalność i dobrą pracę przyznał najsumienniejszym pracownikom po akrze ziemi, na której mogli sadzić własną bawełnę. Gdy przyszła pora ważenia, otrzymywali wynagrodzenie za to, co zebrali, pomniejszone o koszty, jakie byli winni Silasowi za ziarno i korzystanie ze zwierząt i sprzętu. Rozliczając się z nimi, Silas był przesadnie uczciwy i z czasem przekonał się ponad wszelką wątpliwość, jak wiele na tym skorzystał, co uspokoiło nieco jego sumienie. Podniósł się status wyróżnionych niewolników, którzy pracowali dla swego właściciela jeszcze ciężiej i można było przypuszczać, że gdy otrzymają wolność, nie odejdą. Bo i dokąd mieliby pójść? Gdzie znaleźliby pracę? Gdzie poza Somerset mieliby zapewnione takie samo pożywienie, dach nad głową, opiekę medyczną i ubranie? Pan Silas był łagodny i dobry. Można było mu zaufać, że ich nie skrzywdzi.

Wszystko to powtarzali Silasowi nadzorcy i ekonom, co pociągnęło za sobą dalsze zmiany. Gdy dochodziło do sporów, robotnicy mogli

liczyć, że zostaną wysłuchani, a nie, jak bywało – ukarani od razu. Mężowie mogli towarzyszyć żonom w ostatnich dniach przed porodem, kobiety nie musiały pracować w polu tak długo, jak mężczyźni. Najmniejsze dzieci niewolników nie jadły już z koryta na podwórzu. Nie były przecież świniami, oznajmił Silas. W miejsce koryt zamówił w Kompanii Drzewnej Warwick długie stoły i ławy, przy których dzieci jadły posiłki, używając sztućców. Podjęto dalsze kroki dla zapewnienia bezpieczeństwa, zdrowia i higieny. Zamiast moczonych w wodzie szmat robotnicy dostali prawdziwe słomiane kapelusze mające chronić ich przed palącym słońcem, zaś ci, którzy pracowali siekierą, piłą czy innymi narzędziami, dostali rękawice ochronne. Wysoko nad poziomem wody został wyznaczony teren na cmentarz dla niewolników. Otaczał go żelazny płot opleciony ognikiem szkarłatnym, a groby oznaczano krzyżami z nazwiskiem i datą śmierci zmarłego.

Silas dał swoim niewolnikom większą swobodę, lecz wciąż trzymał ich zdecydowaną ręką. Najważniejsza dla niego była produktywność Somerset. Pod koniec roku stawało się coraz bardziej jasne, że gubernator Sam Houston przegra w wyborach z secesjonistami w rządzie Teksasu. Ci, którzy podzielali jego pogląd – Silas również do nich należał – że Stany Zjednoczone obejdują się bez Teksasu, ale Teksas nie obejdzie się bez Stanów Zjednoczonych, zostali zakrzyczani przez krótkowzrocznych, twardogłowych ludzi, którzy opowiadali się za szybkimi i ekstremalnymi działaniami.

W październiku 1860 roku Silas dojrzał, by zgodzić się z Jessicą, że Somerset przetrwa emancypację niewolników jedynie dzięki dzierżawcom. Taki też plan przedstawił Thomasowi. By zapewnić stałą siłę roboczą, wyjaśnił słuchającemu w skupieniu synowi, musi dać swym niegdysiejszym niewolnikom powód, by chcieli pozostać w Somerset. Każdej rodzinie zaproponuje dzierżawę kawałka ziemi pod uprawę bawełny, jednocześnie w dalszym ciągu zapewniając im dach nad głową, pożywienie i opiekę, jak również ziarno, sprzęt i zwierzęta niezbędne do pracy na roli. Po zakończonych zbiorach, gdy bawełna trafi na rynek, Silas odda dawnym niewolnikom połowę sumy, która zostanie uzyskana ze sprzedaży po odjęciu kosztów, które poniósł, utrzymując ich przez cały rok.

Plan miał też swoje złe strony. Przede wszystkim zyski z Somerset nie będą już trafiać tylko do jednej kieszeni.

– Twoja matka nazywa to dzieleniem dochodów – powiedział Silas, wykrzywiając wargi ni to w grymasie, ni w uśmiechu.

Produkcja bawełny – poza kapryсами matki natury i innymi klęskami, które mogą zniszczyć zbiory – zależała wyłącznie od tych, którzy ją uprawiali, a gdy zniknie wisząca nad nimi groźba bata, nie ma żadnej gwarancji, że dzierżawca będzie pracował tyle, by ziemia mu się odpłaciła. Wołanie z Północy – obietnica pracy, łatwiejszego życia i lepszych warunków pracy, szacunku dla czarnej rasy – z pewnością skusi niejednego. Gorsze lata mogą zniechęcić pracowników, którzy postanowią odejść. Będą to mogli zrobić w każdej chwili, nie oglądając się na gnijącą w polu bawełnę.

Jeżeli jednak Somerset przetrwa do czasu, gdy sytuacja w kraju i rynek się ustabilizują, a zyski będą względnie dobre, rozkwitnie na nowo. Z czasem rozwój maszyn do pracy na roli zlikwiduje problem z zawodnymi pracownikami i brakiem siły roboczej i – przy odrobinie szczęścia – być może znajdą się pieniądze na zakup sąsiednich plantacji, które zdaniem Silasa upadną z chwilą, gdy niewolnicy otrzymają wolność.

Ale to były troski i nadzieje na przyszłość. By przygotować się na przyjscie nieuniknionego, Silas wyjaśnił Thomasowi, że postanowił zwiększyć liczbę rodzin, którym przyzna ziemię pod uprawę własnej bawełny. Tym zaś spośród już wybranych, którzy dowiedli, ile są warci, przyzna więcej akrów. Miał nadzieję, że kiedy wojna dobiegnie końca, będzie miał dość wyzwolonych niewolników, którzy będą woleli dzierżawić ziemię od zaufanego właściciela, niż wyruszać w poszukiwaniu pracy u kogoś obcego.

– Ale powiesz im o tym wszystkim dopiero wtedy, gdy nadejdzie właściwa pora, prawda? – zapytał Thomas.

– Tak jest. Chcę, żeby zakosztowali, co to znaczy dostawać wynagrodzenie za pracę, zamiast patrzeć, jak cały zysk trafia do kieszeni właściciela. Łatwiej będzie im podjąć decyzję, gdy nadarzy się okazja wydzierżawienia ziemi, na której dotąd pracowali jako niewolnicy.

– Kiedy zamierzasz wprowadzić swój plan w życie?

– Od razu, jeszcze dzisiaj – odparł Silas. Rozprostował zwinięty w rulon papier i pokazał go Thomasowi. Była to mapa Somerset podzielonej na części, z widniejącym na każdym kawałku nazwiskiem. – Przyjrzyj się temu i powiedz mi, czy uważasz, że taki podział działek i wybór rodzin jest najlepszy dla naszego planu.

Thomas przestudiował mapę i skinął z aprobatą głową.

– Ja także wybrałbym właśnie tych. Jak widzę, każdemu z synów Jaspera przydzieliłeś po jednym akrze.

– Musimy ich zatrzymać, a wiem, że Jasper chciałby, aby jego synowie zostali w domu. Pojedziemy najpierw do niego i prześlemy dobrą wiadomość. Co sądzisz o moim planie, synu?

– Jest doskonały, poza tym to jedyna szansa, żeby Somerset przetrwała, jeśli twoje przewidywania okażą się prawdziwe. – Thomas zwinął mapę i zwrócił ją ojcu. – Mam tylko jedno pytanie, papo. Czy dzierżawcy będą mogli dzierżawioną ziemię wykupić?

– Nie za mojego życia – powiedział Silas. – I mam nadzieję, że nie za twojego. W umowie będzie jasno napisane, że każdy dzierżawca będzie miał prawo kupić własne zwierzęta, sprzęt i wszystko, co będzie mu potrzebne, ale nigdy ziemi, którą dzierżawi. Dopóki żyję, tylko Toliver będzie miał prawo do posiadania ziemi Somerset na własność.

– I dopóki ja żyję, papo – oświadczył Thomas. – Masz na to moje słowo.

Słyszając to, Silas poczuł, jak ściska go w żołądku.

– W takim razie jedźmy ogłosić naszą decyzję.

Jasper nie posiadał się z radości, gdy Silas zapytał go, czy nie zechciałby mieć więcej ziemi, na której mógłby sadzić własną bawełnę.

– Własną?

– Taką, za którą pieniądze trafią do twojej kieszeni – wyjaśnił Silas.

Jasper uśmiechnął się od ucha do ucha. Miał jakieś czterdzieści dwa lata, był ojcem dwóch chłopców i jednej dziewczynki. Petunia, najstarsza, wciąż była ulubienicą Jessiki. W wieku siedemnastu lat urodziła dziewczynkę o imieniu Amy, która teraz miała już cztery latka. Mąż Petunii utonął, gdy jego łódź wywróciła się na jeziorze, gdzie wybrał się na ryby.

– No, panie Silasie, mogę tylko powiedzieć: tak – rzekł Jasper. – Poza tym chyba ino, że bardzo panu dziękuję, psze pana. Pan najlepszy pan jaki może być.

– I jeszcze jedno – dodał Silas. – Porozmawiaj o tym z żoną, ale jeśli się zgodzicie i Petunia zechce, pani Jessica chciałaby, żeby ona i jej córka zamieszkały u nas. Jak wiesz, Maddie niedawno zmarła i pani Jessica uważa, że Petunia świetnie nadaje się na gospodynię, a my z radością będziemy mieć małą u siebie.

– Na pewno strasznie się ucieszy, jak jej powiem, panie Silasie. Słowo daję, strasznie pan dla nas dobry.

Silas i Thomas dosiedli koni, by powiadomić pozostałych „najlepszych robotników” o dodatkowych akrach ziemi, które dostaną. Z siodła Silas spojrzał na Jaspersa. Ileż to już lat minęło od czasu, kiedy Jessica, jego żona o niezłomnym sercu, sprzeciwiła się ojcu i uratowała Jaspersa przed okrutnym losem, który bez wątpienia go czekał. Za jej odwagę odplacił się lojalnością, oddaniem i wiernością wobec całej jej rodziny. Jasper oddałby za nią życie. Był troskliwym przyjacielem dla Joshui, przewodnikiem dla Thomasa, mądrym rozjemcą między Silasem i jego niewolnikami. Był dobrym człowiekiem zasługującym na wolność, ale jeśli plan Silasa się powiedzie, życie Jaspersa nie zmieni się zbyttnio, poza jedną wielką różnicą, która nie powinna być dla niego aż tak znacząca. Jak nigdy dotąd, niewolnika i pana będą łączyć więzy partnerstwa, które ma uratować Somerset przed zagładą.

Rozdział 56

Siedząc na podwyższeniu w altanie, Jessica spoglądała ponad tylnym ogrodzeniem z kutego żelaza na pastwiska po drugiej stronie drogi, gdzie mieszkańcy Houston Avenue wypasali swoje konie. Było późne styczniowe popołudnie 1861 roku i jedynym koniem na pastwisku była Flight ‘O Fancy, której widok zawsze wzbudzał w Jessice smutek, bo przypominał jej o śmierci Nanette DuMont. Dokładnie jak w zegarku, zawsze o zmierzchu Robert Warwick przychodził po już dorosłą klaczkę. W ręce niósł kantar i przemawiał serdecznie do zwierzęcia. Na głos Roberta i dziś klacz zastrzygła uszami i podbiegła, by jak zwykle wtulić chrapy w jego szyję. On założył jej kantar, a klacz poszła za nim posłusznie do stajni DuMontów.

Jessica przełknęła łzy. Ostatnio stała się bardzo płaczliwa. Dopadł ją „kryzys wieku średniego” i niemal wszystko potrafiło doprowadzić ją do płaczu, lecz wytrwałość, z jaką Robert dotrzymywał Flight ‘O Fancy wierności przez całe te pięć lat od śmierci Nanette, rozczuliłaby każdego. Robert poprosił, by mógł opiekować się koniem po stracie towarzyski dziecińczych zabaw i chociaż miał już dwadzieścia lat, wciąż z jednakowym oddaniem troszczył się o konia, ostatnie ogniwo łączące go z dziewczyną, którą poprzysiągł poślubić, gdy oboje dorosną.

Jessica otarła oczy ręką szala. Nie powinna wstydzić się swoich uczuć. Ostatnio wszyscy żyli w napięciu i nie zanosilo się, by ustał nieprzerwany napływ rozpaczliwych wiadomości, który zaczął się tuż przed Bożym Narodzeniem, kiedy Karolina Południowa wystąpiła z Unii. Dziesięć dni później jej oddziały zajęły arsenał federalny w Charlestonie, a na początku stycznia gubernator Francis Pickens, częsty gość w Willowshire, kazał w porcie Charleston otworzyć ogień do nieuzbrojonego federalnego statku dostawczego przysłanego dla wzmocnienia garnizonu w Fort Sumter.

– Zaczęło się – rzekł Silas głosem ochrypłym z zawodu, gdy przeczytał Jessice i Thomasowi depeszę od swego brata z wiadomością o ataku. W tym samym dniu, gdy do statku oddano ogień, stan Mississippi przyłączył się do secesji. Dzień później z Unii wystąpiła Floryda i w swojej konstytucji nazwę „Stany Zjednoczone” zmieniła na

„Skonfederowane Stany Ameryki”. Alabama poszła w ich ślady. Przystąpienie do nich Luizjany było kwestią dni, zaś w Teksasie szykowano się do głosowania nad separacją od Stanów Zjednoczonych. Wszystko wskazywało na to, że secesja stanie się faktem.

– Kto będzie bronił Teksasu, jeśli wszyscy zdrowi i silni mężczyźni pójdą walczyć za Południe? – Thomas wyrażał głośno swój niepokój przed rodzicami i przyjaciółmi. – Kto będzie bronił żon, dzieci, dobytku przed Komanczami, Kiowa i Meksykanami, którzy tylko czekają, żeby wtargnąć do bezbronnego Teksasu? Wszyscy dobrze wiemy, że federalni spróbują zablokować nasze rzeki i wybrzeże, żeby pozbawić nas dostaw żywności. Będą chcieli nas zagłodzić. Utworzę brygadę, która tu zostanie i będzie bronić naszej ziemi.

Rodzice zgadzali się z nim, jednak mogli tylko bezradnie wzruszać ramionami. Przekonanie Thomasa o konieczności utworzenia lokalnych sił do obrony rzek, wybrzeży i ludności przed atakami Indian wielu właścicieli niewolników, których synowie już szykowali się do walki na Południu, poczytywało za tchórzostwo. Był to kolejny przykład różnic dzielących Toliverów od innych plantatorów. Najpierw Silas Toliver żenił się z abolicjonistką, potem ustanawia precedens obrażający ich kulturę, hołubiąc swoich niewolników, na co żaden inny plantator by się nie odważył, jeżeli chciał, żeby jego plantacja przynosiła zyski. Silas jako jedyny w hrabstwie opowiadał się przeciwko secesji i nie zawahał się pójść z tym do stanowej legislatury, by tam popierać nawoływania gubernatora Houstona do pozostawienia Teksasu w Unii. Nie dziwota więc, że jego syn woli zostać w domu, niż wraz ze swoimi teksańskimi braćmi bronić ludzi i ich dobytku przed najeźdźcami z Północy.

Jessica westchnęła. Zawsze czuła się wyrzutkiem, teraz jednak pogłębiało to jej smutek, doprowadzając do łez z najbliższych powodów. Tippy wyjechała z Howbutker. Któregoś dnia w październiku ubiegłego roku, w urodziny Jessiki, do domu towarowego DuMont wkroczył mężczyzna wystrojony niczym premier Anglii i wręczył Henriemu swoją wizytówkę. Chciał rozmawiać z Tippy. Był właścicielem firmy w Nowym Jorku projektującej i szyjącej ubrania dla pań i u dam odwiedzających jego sklep widział suknie, które dobitnie świadczyły o niezwykłym talencie artystycznym asystentki Henriego.

– Wiedziałem, że do tego dojdzie – przyznał Henri podczas cotygodniowej wspólnej kolacji, na której spotykali się Toliverowie, Warwickowie i DuMontowie. – Sumienie kazało mi namówić Tippy do wyjazdu. Możliwości, jakie ten człowiek jej zaproponował, zarobki... – Wzruszył ramionami w typowo francuski sposób, lecz w jego oczach błyszczały łzy. – Nie mogłem inaczej.

– Odwiozę ją do Nowego Jorku – zaoferował się Jeremy. – Wybieram się tam w interesach.

I tak się rozstały, Jessica i jej odwieczna przyjaciółka, odtąd, na co należał jej nowy pracodawca, nazywana Isabel, prawdziwym imieniem. Tippy wytrwale, w potokach łez broniła się przed wyjazdem, ale Jessica dostrzegała coś na dnie jej oczu – widzianą oczami wyobraźni szansę na spełnienie marzeń – co nie pozwalało jej słuchać przytaczanych przez przyjaciółkę argumentów przemawiających za odrzuceniem propozycji.

– Musisz pojechać, Tippy.

– Ale jak mogę cię opuścić, Jessico?

– Frontowymi drzwiami, najdroższa przyjaciółko. Tym właśnie jest dla ciebie ta szansa.

– Zepsułam ci urodziny.

– Będą następne.

Starym zwyczajem Tippy wyciągnęła kciuk, Jessica zrobiła to samo i ich palce się połączyły.

– Co sobie przyrzekamy? – zapytała.

– Że spotkamy się w swoje pięćdziesiąte urodziny – odparła Tippy.

Jessica przyglądała się pierwszym żółtym krokusom i hiacyntom kiełkującym w żelaznych donicach ustawionych wokół altany. Przypomniła sobie wazony pełne krokusów i hiacyntów przeplecionych białymi wstążkami z satyny, które przed wielu laty, właśnie w styczniu Tippy przygotowała dla uczczenia przypadającej wtedy okazji. Dzisiejszego ranka, kiedy Silas całował ją na do widzenia, nie przypomniła mu o tym. Twarz miał poszarzałą ze zmartwienia i na skutek wielu bezsennych nocy.

– Nie czekaj na nas wieczorem – powiedział. – Jedziemy pomóc zarządcy i nadzorcom w zaprowadzeniu spokoju wśród niewolników i dopilnowaniu, żeby robili, co do nich należy.

Nie musiał dodawać nic więcej. Pogłoski o sytuacji politycznej zaczęły docierać do niewolniczych chat i na pola i plantatorzy czujnie wypatrywali najmniejszych oznak rebelii. Jessica pożegnała męża, nie przypominając mu, że dzisiaj przypada dwudziesta piąta rocznica ich ślubu.

– Panienko Jessico – zawołała Petunia, nadchodząc z listem, który Jeremiaś odebrał z poczty. – Coś do panienki, chyba ważne. Inaczej bym panienki nie niepokoila.

Jessica otuliła się szczelniej szalem i wzięła od służącej zwiniętą grubą, kremową kartkę zaklejoną oficjalnie wyglądającą woskową pieczęcią. Adres zwrotny zdradzał, że nadawcą jest firma prawnicza w Bostonie.

– Dziękuję, Petunio.

– Idzie pani do domu, panienko Jessico? – zapytała z niepokojem Petunia. – Coraz tu zimniej.

– Rozkoszuję się temperaturą. Cudowna odmiana po upałach ostatniego lata – odparła Jessica z roztargnieniem, wpatrując się w list.

– Pora na kolację – przypomniała jej Petunia. – Może coś by panienka przekąsiła? Pan Silas i pan Thomas wrócą Bóg jeden wie kiedy. Przywykli do zimnych kolacji, ale może panienka zjadłaby coś ciepłego?

– Nie, wystarczy mi tylko dzbanek herbaty – powiedziała Jessica. – Przynieś mi tu, proszę, a ja zobaczę, co to za list.

– Powinien być szampan i ciasto, proszę panienki. Zapomniała panienka, że dzisiaj ma rocznicę ślubu.

Jessica ze zdumieniem podniosła wzrok na młodą służącą.

– A skąd ty o tym wiesz?

– A jak mogłabym zapomnieć? W styczniu pięćdziesiątego szóstego roku zachorowałam na zapalenie płuc i panienka kazała mnie tu przywieźć, żeby doktor był blisko. Pamiętam, jak panienka wychodziła z przyjęcia na dole i zaglądała do mnie w swojej pięknej sukni, żeby sprawdzać, jaką mam gorączkę. Kiedy zapytałam, czemu panienka taka wystrojona, powiedziała mi panienka, że to rocznica ślubu. To było piętnastego stycznia. Pamiętam, bo panienka powiedziała datę.

– To prawda, piętnastego stycznia – powiedziała Jessica,

przypominając sobie tamto przyjęcie.

Ich dwudziestą rocznicę ślubu Silas nazwał „kamieniem milowym”. „Co pięć lat musimy świętować nasze małżeńskie... szczęście”.

– Ale zachowajmy to w sekrecie, Petunio – rzekła Jessica. – Panu Silasowi będzie przykro, że zapomniał. Tyle ma ostatnio na głowie. Powiedz małej Amy, że poczytam jej przed snem.

– Na pewno powiem, panienko Jessico. Będzie zachwycona. Przyniosę herbatę.

Jessica złamała pieczęć na liście. I od razu legło w gruzach jej postanowienie, by nie zalewać się łzami. Ciocia Elfie umarła. Jej owdowiała ciotka o gołębim sercu, której nie widziała od tamtej pamiętnej Wigilii, kiedy popadła w niełaskę, odeszła w dniu secesji Karoliny Południowej. Prawnik ciotki składał w swoim liście kondolencje, przedstawił szczegóły śmierci ciotki i powiadał, ku ogromnemu zaskoczeniu Jessiki, że Elfie Summerfield zostawiła cały swój majątek siostrzenicy, Jessice Wyndham Toliver. Nalegał również, aby Jessica przyjechała do Bostonu podpisać dokumenty i rozporządzić rezydencją „o znaczącej wartości” zapisaną jej przez ciotkę w testamencie.

Jessica doskonale pamiętała imponujący dom. Gdy uczyła się w szkole z internatem, spędziła tam wiele szczęśliwych chwil, przesiadując z ciotką w wiktoriańskim salonie, jadając w słonecznym dziennym pokoju, sypiając w weekendy w sypialni wyłożonej kwiecistą tapetą i nazywanej „pokojem Jessiki”. Teraz dom i jego bogaty wystrój należały do niej.

Co ma z tym począć? Jak ma się sama wybrać w podróż na północ – teraz terytorium wroga – by spełnić warunki testamentu?

Rozdział 57

Silas wrócił do domu, kiedy Jessica już spała, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów twardo jak kamień, a rano wyszedł, jeszcze zanim się obudziła. Na jego poduszce leżała przemoczona czerwona róża i liścik: „Wybacz mi, ukochana. Przepraszam, że nie pamiętałem o naszej rocznicy, ale spróbuję Ci to jakoś wynagrodzić. Tobie, która stałaś się moim sercem. Twój na zawsze, Silas”.

Jessica przysunęła kwiat do nosa, by poczuć jego zapach. Silas musiał przywieźć go z plantacji, gdzie w dawnym ogrodzie różanym Jessiki wytrzymało do tej pory kilka oryginalnych krzaczków lancasterów, jeszcze z Karoliny Południowej.

Poczuła się lekko rozczarowana. Dopiero późnym wieczorem będzie mogła powiedzieć Silasowi o śmierci cioci Elfie i pokazać mu list od jej prawnika. Muszą szybko podjąć decyzję, czy Jessica, mieszkanka Południa i żona plantatora, może zaryzykować podróż do Bostonu, tego wrzącego kotła działalności abolicjonistycznej i wojennej gorączki.

Jeremy podsunął jej rozwiązanie dręczącego ją dylematu, kiedy wstąpił, by doręczyć jej egzemplarz „The Atlantic Monthly”. Trzy rodziny ustaliły, że wspólnie będą prenumerować czasopisma, by podzielić się koszmarne wysokimi kosztami przesyłki. Czasopismo, założone w Bostonie w 1857 roku, publikowało artykuły prawie wyłącznie wyznające północne abolicjonistyczne poglądy, co dodatkowo podważało wiarę w lojalność trzech rodzin. Jeremy twierdził, że krytykowanie pisma jest idiotyczne. Uważał, że aby poznać wroga, trzeba wiedzieć, co publikuje.

Zastał Jessicę przycinającą różane krzewy, z Amy, pięcioletnią córeczką gospodyni bawiącą się obok – robiła babki z błota.

- Dzień dobry, Jess. Jak miewają się twoje róże? – zawołał.
 - Nie najlepiej. Właśnie się dowiedziałam, że straciłam członka rodziny. Masz czas na kawę?
 - Zawsze.
 - Powiem Petunii. Usiądźmy w altanie, żeby widzieć małą.
- Przy kawie Jessica przekazała przyjacielowi wieści o ciotce.
- Doskonale ją pamiętam – powiedział. – Urocza drobna kobietka

i bardzo cię kochała.

– To na pewno. Zapisała mi cały swój dobytek. – Jessica streściła Jeremy’emu treść listu prawnika i podzieliła się swoją rozterką. – Jej adwokat pisze, że wolałby, bym osobiście zadysponowała domem i jej rzeczami, zamiast powierzać to jego kancelarii. Ale Silasowi na pewno nie spodoba się pomysł mojej wyprawy na terytorium wroga teraz, gdy wojna wisi na włosku. Szczerze mówiąc, nie wiem zresztą, czy mam na to dość odwagi. Jeśli wojna wybuchnie, kiedy tam będę, może nie zdołam wrócić do domu.

– Za kilka dni wybieram się do Nowego Jorku w interesach i mam nadzieję, że wrócę, zanim padną pierwsze strzały. Może mnie powierzysz załatwienie spraw ciotki w twoim imieniu? Bez trudu wyskoczę do Bostonu. Jestem pewien, że wystarczy pisemne pełnomocnictwo.

Jessica wyraźnie się ucieszyła.

– Och, Jeremy, byłbyś tak uprzejmy? Oczywiście w pełni ci ufam, obawiam się jednak, że sprzedaż domu, rozporządzenie jego zawartością, papierkowa robota i wszystkie te nużące sprawy, jakie się z tym łączą, uniemożliwią ci szybki powrót. Możesz utknąć na Północy i nie wiadomo, co może cię spotkać...

Jeremy posłał jej swój czarujący, chłopięcy uśmiech. Niewiele się postarzał od czasu, gdy stał obok Silasa w dniu ich ślubu, podczas gdy kruczoczarne włosy Silasa były już prawie całkowicie siwe.

– Spokojna głowa – powiedział. – Zdamę wrócić. Moi wspólnicy z Północy i przyjaciele tego dopilnują. – Dopił kawę i podniósł się do wyjścia. – Omów to z Silasem i daj mi znać. Wyjeżdżam pojutrze. I jeszcze jedno, Jess... – zawahał się, ścigając w namyśle brwi.

– Tak?

– Pamiętaj, że w Teksasie majątek odziedziczony przez żonę w czasie trwania małżeństwa jest jej własnością, nie męża.

– A przypominasz mi o tym... z jakiego powodu? – zapytała zaskoczona Jessica.

– Doradzałbym ci, żebyś zostawiła pieniądze po swojej ciotce w banku w Bostonie. Wszak wszyscy jesteśmy zgodni, że jeżeli dojdzie do wojny, Południe poniesie potężne straty. Nasze banki ucierpią,

pieniądze staną się nic niewarte. Tylko ci, którzy przezornie wywiozą swoje pieniądze z Teksasu tam, gdzie będą bezpieczne, zdołają stanąć na nogi, kiedy będzie już po wszystkim.

– A ty poszedłeś za swoją radą? – zapytała Jessica.

Chociaż Warwickom nigdy przez myśl nie przeszło chełpić się finansowymi sukcesami Jeremy'ego, dla nikogo nie było tajemnicą, że są najbogatszą rodziną w hrabstwie i jedną z najbogatszych w całym Teksasie. Jeremy należał do rzadkiego gatunku inwestorów: był wizjonerem z żyłką do interesów.

– Właśnie dlatego jadę teraz do Nowego Jorku – odparł, zakładając kapelusz. – Tak tylko sobie pomyślałem. Zapomnij o tym, jeżeli moja sugestia jest sprzeczna z twoim sumieniem.

Po jego odejściu Jessica sobie uświadomiła, że jej sumienie w pełni jego sugestią popiera. Dobrze, że przypomniał jej, iż od 1840 roku kobiety mają prawo do własności. Wtedy właśnie prawo stanowe dało kobietom pełną swobodę w dysponowaniu majątkiem posiadanym w chwili zamążpójścia, jak i każdym otrzymanym w czasie trwania małżeństwa. Choć Silas nigdy by tego nie uczynił, od 1840 roku nie mógł już podjąć decyzji o sprzedaniu Tippy.

Pogrążona w głębokim namyśle, Jessica wsunęła list do kieszeni i wstała, żeby pójść do ogrodu po Amy. Nadeszła pora przedpołudniowej przekąski dziewczynki. Jessica, współwinna zabaw w błocie, wzięła małą na ręce i zniosła do domu, żeby doprowadzić ją do porządku, zanim wróci do matki na placek ze śliwkami i mleko. Obmywając buzię i rączki Amy, Jessica zastanawiała się nad radą, jakiej udzielił jej Jeremy.

Słusznie by uczyniła, zostawiając pieniądze cioci Elfie – teraz już jej pieniądze – w banku ciotki, lękała się jednak sprzeciwu ze strony Silasa. Plantacja dobrze prosperowała, ale często żyli od zbiorów do zbiorów. Silas nigdy nie mógł się oprzeć pokusie dokupienia ziemi, jeśli tylko nadarzała się okazja, zwiększenia liczebności żywego inwentarza czy nabycia najnowszego sprzętu. Wciąż budował nowe stodoły, szopy, ogrodzenia. Bywało, że brakowało im gotówki – nigdy nie zalegali z płatnościami, nie oszczędzali też na potrzebach niewolników – ale czasem się martwili, co będzie, jeśli bawełna nie obrodzi. Zeszłoroczna

susza pozbawiła ich całkowicie rezerw finansowych, uświadamiając im, jak łatwo mogą zostać bez pieniędzy. Po wojnie... gdy nie będzie wiadomo, czy znajdą się robotnicy... ich pieniądze będą bezwartościowe, a ziemia niewiele warta... jak zdołają utrzymać plantację bez pieniędzy cioci Elfie?

Jessica odesłała Amy do matki do kuchni, a sama poszła do saloniku, żeby w spokoju przeanalizować sytuację. Jeżeli odziedziczone pieniądze złoży w miejscowym banku, szybko się rozejdą, tak samo jak wszystkie inne dodatkowe środki, które posiadali. Po dwudziestu pięciu latach związku dobrze znała skłonności swojego męża – i swoje również. Silas nie oprze się pokusie wydania pieniędzy na plantację, a ona nie zdoła mu się przeciwstawić. Jessica wierzyła w powodzenie planu Silasa uratowania plantacji po wojnie, ale tyle rzeczy może go zniweczyć, a oni nie będą mieli środków, żeby utrzymać ziemię, którą muszą zachować dla Thomasa.

Wyjęła list z kieszeni i ukryła go w tajemnym schowku swojego sekretarzyka. Potem zadzwoniła po Jeremiaha i wydawszy mu polecenie, sięgnęła po papier listowy i zanurzyła pióro w kałamarzu.

Jeremy zjawił się tuż po tym, jak napisała list.

– Jeremiah przyniósł mi wiadomość od ciebie w samą porę, Jess – rzekł wchodząc do pokoju. – Właśnie szedłem do biura. Jak mniemam, chodzi o moją propozycję?

Jessica wręczyła mu napisany list zapieczetowany ciemnozielonym kawałkiem wosku z odcisniętą różą, herbem Toliverów.

– Postanowiłam skorzystać z twojej uprzejmości i prosić, byś działał w moim imieniu, Jeremy. Tutaj jest pisemne pełnomocnictwo. List jest do prawnika cioci Elfie, w którym upoważniam cię do rozporządzenia jej majątkiem w moim imieniu.

– A co mam zrobić z pieniędzmi?

– List upoważnia cię też do otwarcia rachunku na moje nazwisko w banku cioci Elfie.

Jeremy uniósł pytająco swoje złociste brwi.

– Silas się zgodził, żebyś zdeponowała pieniądze w Bostonie?

Jessica spuściła głowę i zerknęła spod rzęs na przyjaciela.

– Tak samo patrzył mój bokser, kiedy zjadł całe ciasto, które było

na podwieczorek – powiedział. – Co się stało?

Jessica gestem poprosiła, żeby Jeremy usiadł, i sama wróciła na swoje krzesło przy sekretarzyku.

– Silas nie wie o śmierci cioci Elfie ani o jej testamencie, w którym wszystko mi zapisała. Nie widział listu od jej prawnika. Rano wyszedł, zanim zdążyłam mu go pokazać.

– Jak już mówiłem, wyjeżdżam dopiero za kilka dni. Będiesz miała mnóstwo czasu, żeby mu go pokazać i porozmawiać, jak rozporządzić pieniędzmi.

Na twarzy Jessiki pojawił się wyraz buntu.

– Nie chcę z nim o tym rozmawiać. Nie chcę, żeby dowiedział się o pieniądzach. Mam swoje powody, Jeremy, więc nie patrz na mnie w ten sposób. Wiem, że dopuszczam się wobec Silasa zdrady, ale robię to dla jego dobra, dobra naszego syna... i dla Somerset. Gdybym złożyła pieniądze w tutejszym banku, Silas natychmiast by je wydał i mam nadzieję, że ten brak lojalności będzie mi wybaczony, ale oboje wiemy, że to prawda. Toliverowie nigdy nie byli tacy... rozważni w interesach jak wy, Warwickowie. – Jessica podniosła brodę i dodała wyniośle: – Jeśli ciężar mojej zdrady jest zbyt wielki dla przyjaciela Silasa, oczywiście to zrozumie i uszanuję.

Jeremy zwlekał chwilę z odpowiedzią. Nie schował jeszcze listu do kieszeni.

– Jeżeli się nie zgodzę, co zrobisz?

– Pojadę do Bostonu i sama się wszystkim zajmę. Jeżeli wojna mnie zatrzyma, zostanę w domu cioci Elfie pod opieką Sary Conklin.

Jeremy wstał.

– Jak widzę, wszystko sobie przemyślałaś. – Odwrócił się, jakby potrzebował prywatności, by się zastanowić. Potarł ręką swoją gładko ogoloną brodę. Ani on, ani Silas nie zapuścili brody, co było obecnie modne wśród mężczyzn. Po chwili obrócił się na powrót ku Jessice. – Dla Somerset, powiadasz?

– I Silasa, i Thomasa.

– To jedno i to samo. – Podeszedł do siedzącej wciąż przy sekretarzyku Jessiki i spojrzał jej twardo w oczy. – Wiesz, co się stanie, jeśli Silas się dowie, że działałem za jego plecami?

– Zdaję sobie sprawę z ryzyka, Jeremy, i nienawidzę siebie za to, że cię o to proszę. Wiem, ile znaczy dla was przyjaźń, ale nie widzę innego sposobu, żeby uratować marzenie Silasa. Po zakończeniu wojny będzie potrzebował pieniędzy, których mieć nie będzie.

– O wiele dłużej niż ty żyję z marzeniem Silasa o Somerset, moja droga – rzekł Jeremy łagodnie. – W porządku, zrobię to z nadzieją, że Silas nigdy się nie dowie, że ci w tym pomogłem.

Jessica wstała z szelestem jedwabnej spódnicy i postąpiła ku niemu. Położyła dłoń na klapie jego świetnie skrojonego fraka.

– Ode mnie nigdy o tym nie usłyszysz, Jeremy. Masz moje słowo. I moją nieopisaną wdzięczność.

– Potężne połączenie, która każe mi spełnić każde twoje życzenie – rzekł Jeremy i lekkim uściskiem ręki przypieczętował ich pakt. –

Domyślam się też, że chcesz, abym w Nowym Jorku odwiedził Tippy?

– Jeśli nie proszę o zbyt wiele.

– A kiedy będę w Bostonie, mam się skontaktować z Sarą Conklin?

– Nie śmiem nawet prosić – Jessica z nadzieją otworzyła szerzej oczy.

Jeremy się zaśmiał i wsunął list do wewnętrznej kieszeni fraka.

– Nie ma rzeczy, o które nie śmiałybyś prosić, Jessico Wynd-ham Toliver – powiedział. – Przed wyjazdem zajrzę, żebyś podała mi adresy.

Rozdział 58

W nocy dwunastego kwietnia 1861 roku Silas krzyczał, śniąc koszmar, w którym znowu słyszał złowieszcze słowa swojej matki.

– Nie! – zaskowyczał, gwałtownie wyrywając Jessicę ze snu.

Spojrzała na stojący na kominku wielki zegar i we wpadającym przez otwarte okno blasku księżycy stwierdziła, że jest wpół do piątej rano.

– Silasie, zbudź się! Masz zły sen! – powiedziała, potrząsając męża za obnażone ramię. Gwałtownie cofnęła rękę. – Mój Boże, tak tu zimno, a ty jesteś cały spocony.

Silas otworzył oczy, w wychłodzonym ostatnimi powiewami długiej zimy półmroku oswobadzając się z koszmaru.

– Znowu miałem ten sen – powiedział.

– Jaki sen?

Silas podniósł się i oparł o wezglowie łóżka, przeczesując palcami wilgotne od potu włosy. Sięgnął po szklanę z wodą stojącą obok na nocnym stoliku i napił się łapczywie, przynosząc ulgę wysuszonym ustom. Nigdy nie powiedział Jessice o klątwie, która zdaniem jego matki miała spaść na Somerset, ani o lęku, że da o sobie znać, pozbawiając życia ich ostatnie dziecko. W ciągu minionego, niespokojnego roku jego matka często nawiedzała go w snach, przypominając jasno wyrażoną groźbę, a on budził się gwałtownie z bijącym szaleńczo sercem i skórą lepką od potu, tak przerażony, że musiał wstać z łóżka i już do rana się nie kładł ze strachu, że sen powróci.

Nigdy jednak jego przerażenie nie przybierało w snach realnego kształtu. Dzisiaj ujrzał matkę, jak pokazuje na coś ukrytego pośród wysokich pędów bawełny na polach Somerset. „Zobacz!”, krzyczała. „Mówiłam ci, że twoja ziemia jest przeklęta!”, a on ujrzał, że postać leżąca pośród bujnych pędów, którą wskazywała palcem, jest martwym ciałem Thomasa.

Zanim rozsądek – i zwykła u niego ostrożność – zdołały go powstrzymać, wybuchnął.

– Jessico, czy wierzysz w klątwy?

Nie odpowiedziała natychmiast i Silas spojrzał na nią zamglonym

wzrokiem, przestraszony swoim wybuchem i jej zamyślonym milczeniem. Czy pamiętała swoje słowa wypowiedziane w tamtej chwili, kiedy znaleźli martwe ciało Joshui? Czy potrącił strunę uspioną przez te wszystkie lata?

– Wierzę, że... to, co nazywamy klątwą, jest tak naprawdę przesunięciem naturalnego zrządzenia Bożego – odparła. – Jak deszcz, który nie pada wtedy, kiedy powinien.

Jak kobiety, które byłyby wspaniałymi matkami, ale nie mogą zająć w ciążę albo utrzymać dziecka w swoim łonie, pomyślał Silas.

– Według ciebie klątwa nie jest karą, jaką zsyła na nas Bóg za dawne grzechy? – zapytał.

Liczył, że ze wzgardą potraktuje te słowa jako bzdurę. Nie wiedział, czy jego żona wierzy w jakiegoś boga. Jessica chodziła do kościoła, ponieważ dla Silasa niedzielny rytuał był ważny; chciała też, żeby Thomas, poznając nauki chrześcijańskiej wiary, mógł je świadomie przyjąć lub odrzucić, sama jednak nie wykazywała zainteresowania religią. Silas nigdy nie słyszał, żeby powoływała się na imię Boga, nawet w chwilach największej rozpacz, nie widział też, żeby kiedykolwiek czytała Biblię. O ile wiedział, Biblia króla Jakuba, na którą składała przysięgę małżeńską, całe lata tkwiła na półce nieruszona.

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam – odparła Jessica. Przytuliła się do niego i położyła głowę na jego nagiej piersi. – Opowiedz mi o tym nawracającym, dręczącym cię śnie, mój ukochany. Jak podejrzewam, ma coś wspólnego z klątwą.

Ukochany... czułe słowo niosące ukojenie, chęć wysłuchania i zrozumienia. Silas zaskoczony poczuł łzy napływające do oczu. Jessica czasem mówiła do syna „kochanie”, ale Silas na palcach jednej ręki mógł policzyć te chwile, gdy do niego zwracała się podobnie tkliwym słowem. Nie należała do takich kobiet jak Camillia czy Bess, i dzięki Bogu, Stephanie Davis, które na każdym kroku od niechcenia szczebiotały do wszystkich słodko, pozbawiając znaczenia słowa, które miały świadczyć o uczuciu. Uspokojony, z wdzięcznością pocałował żonę w czubek głowy. Czy zdobędzie się na odwagę i wyzna jej prawdę o przepowiedni matki, prześladowającej go od chwili, gdy zasiał pierwsze ziarno w glebie Somerset? Czy przyzna się do drastycznego kroku, który

rozważa wiedziony największym w jego życiu – ich życiu – strachem?

Tej decyzji nie mógł podjąć sam.

– Moja matka przepowiedziała, że Somerset będzie przeklęte za to, co poświęciłem, żeby zaspokoić ambicję posiadania własnej plantacji – zaczął Silas. – Nie przywiązywałem do tego wagi. To były słowa wypowiedziane przez rozgniewaną kobietę, zawiedzioną, że nie poślubię dziewczyny, której pragnęła za synową, tak sobie wtedy myślałem. Ale potem, kiedy straciłaś nasze pierwsze dziecko, poczęte z taką namiętnością i szczęściem, po Thomasie poroniłaś znowu i odtąd już nie... nie mogłaś zająć w ciążę. A potem, kiedy straciliśmy Joshuę...

Jessica poruszyła się gwałtownie w jego objęciach, a on przytrzymał ją, by dotknięta i zraniona nie odsunęła się od niego. Mówił dalej.

– Powiedziałaś wtedy do mnie: „Silasie, jesteśmy przeklęci...”.

Pamiętasz?

Poczuł, jak kiwa potakująco głową.

– Pamiętam.

– Wtedy zacząłem się zastanawiać, czy może rzeczywiście nie jesteśmy przeklęci. Prześladowało mnie to jak zmora. Ja i moja niczemu niewinna żona płacimy za pakt, który wtedy w Karolinie Południowej zawarłem z diabłem, za krzywdę wyrządzoną Lettie, za samolubne uczynki, które popełniłem dla tej ziemi...

Jessica leżała bez ruchu i Silas się zorientował, że mogła błędnie odczytać jego słowa. Ujął ją pod brodę, uniósł jej twarz ku sobie i spojrzał jej w oczy.

– Nie myśl, że choć przez sekundę żałowałem decyzji o poślubieniu cię, Jessico. Powiedz mi, że wiesz o tym.

Wysunęła się z jego objęć i ułożyła sobie za plecami poduszki, by usiąść obok niego.

– Wiem, Silasie. Do czego zmierza ta rozmowa?

– Obawiam się, że klątwa jeszcze się nie spełniła – rzekł drętwym głosem. – Sądzę, że dopiero w nas z całą siłą uderzy. – Odrzucił kołdrę i wyszedł z łóżka odziany jedynie w kalesony. – Czy pozwolisz, że zapalę? – zapytał, owijając się szlafrokiem.

– Tylko pod warunkiem, że przestaniesz wymyślać te bzdury.

Silas zapalił cygaro i zaciągnął się głęboko.

– Uważasz to za bzdury, Jessico?

– Silasie Toliverze! – rozgniewała się. – Kiedy Joshua zginął, byłam oszalała z żalu i mogłam wtedy powiedzieć wszystko. W tamtej chwili naprawdę czułam, że ciąży na nas klątwa, bo nie mogliśmy mieć dzieci, później jednak zrozumiałam, że takie są wybryki natury. Śmierć Joshui była wypadkiem, który mógł spotkać każdego ciekawskiego, żadnego przygód dwunastolatka. Bądźmy wdzięczni, że mamy zdrowego, inteligentnego, zaradnego syna, idealnego dziedzica Somerset. Powinniśmy się troszczyć wyłącznie o to, aby żył.

– Otóż to! – Silas dźgnął powietrze swoim cygarem. – Żeby nasz syn żył! Tego chcemy oboje, gdyby było nam dane prosić o cokolwiek. Jego życie jest najważniejsze na świecie, ważniejsze od Somerset.

Jessica nachyliła ku niemu ucho, jakby nie dość dobrze go słyszała.

– Do czego zmierzasz, Silasie?

Odłożył tłące się cygaro do popielniczki i usiadł obok niej na łóżku. Jessica się cofnęła, z niepokojem dostrzegając cień szaleństwa w ciemnych oczach męża.

– A jeśli... moja obsesja na punkcie Somerset... ściągnie na Thomasa nieszczęście? – powiedział. – Jeżeli Bóg, by ukarać mnie ostatecznie za umowę, którą zawarłem z twoim ojcem, postanowił, że plantacja zostanie bez dziedzica?

Jessica uderzyła go w ramię.

– Toż to idiotyzm! – wykrzyknęła. – Czysty absurd. Jeśli... jeśli Thomasowi coś się przytrafi, żadna klątwa nie będzie miała z tym nic wspólnego. Tylko głupcy, przez których dojdzie do wojny.

– Ale żeby mieć pewność... Jessico... ja... – Jego głos brzmiał chrapliwie, jak piła tnąca drewno. – Ja... zastanawiam się, czy nie zrezygnować z Somerset. Czy jej nie sprzedać, nie wypuścić z rąk Toliverów, cokolwiek, byleby tylko nasz chłopiec bezpiecznie wrócił do domu.

Jessica, blada jak poduszki, o które się wspierała, chwyciła go obydwoma rękami.

– Silasie, co ty wygadujesz?! To jakieś bzdurne przesady. Nie istnieje coś takiego jak klątwa. Bóg ma gdzieś, czy zrezygnujesz

z Somerset, czy nie. Naprawdę wierzysz, że jeśli pozbędziesz się Somerset, Thomas będzie bezpieczny? – Potrząsnęła nim. – Naprawdę w to wierzysz?

Podniosła głos, w którym słycać było niedowierzenie i panikę. Silas uwolnił się z jej uchwytu i wstał, przykładając palec do ust. Pokój ich syna był tuż obok.

– Mów ciszej – poprosił. – Okno jest otwarte, a nie chciałbym, żeby Thomas nas słyszał.

– Masz rację, nie powinien – warknęła Jessica. – A teraz odpowiedz na moje pytanie. Naprawdę wierzysz, że takie poświęcenie sprawi, że Thomas wróci?

– Nie wiem – odparł Silas – ale dzisiaj w moim śnie widziałem Thomasa leżącego między krzakami bawełny w Somerset. Widziałem jego ciało tak wyraźnie, jak teraz ciebie.

Na to nie znalazła odpowiedzi. Zacisnęła usta, a on widział, że wyobraża sobie tę scenę. Silas sięgnął po cygaro i zaciągał się nim, aż dym zaczął palić go w płucach.

– To był tylko sen – odezwała się w końcu Jessica. – Sen i nic więcej, Silasie. Sprzedając Somerset, sprzedasz serce Thomasa. Nieważne, czy wróci z wojny, czy nie, bez serca nie będzie mógł żyć.

– Ale będzie żywy – powiedział Silas.

– Ale czy będzie żył? – Jessica odepchnęła kołdrę, wsunęła na stopy pantofle i podeszła, by objąć go za szyję. – Silasie, gdybyś, jak to ująłeś, nie zawarł paktu z diabłem, spójrz, czego byś teraz nie miał. Nie ożeniłbyś się ze mną. Ja starzałabym się w klasztorze gdzieś w Anglii, nie wiedziałabym, co to znaczy kochać i być kochaną, być żoną i matką. Ty nie byłbyś ojcem Thomasa. Nie byłbyś panem ziemi, która prawnie do ciebie należy dzięki twojej odwadze, ciężkiej pracy i wytrwałości. Nigdy nie zrealizowałbyś tego, do czego czuleś się powołany z racji swego dziedzictwa, nie cieszyłbyś się dobrobytem, poważaniem i szczęściem, na które sobie zapracowałeś. Wszystko to by cię ominęło, a ty wiódłbyś narzucone sobie życie w Queenscrown. Spójrz prawdzie w oczy, najdroższy. Lettie jest zapewne szczęśliwa, twoja matka otoczona wnukami, my dwoje jesteśmy razem... gdzie w tym wszystkim jest jakaś klątwa? Czy nie powinieneś raczej przyjąć, że gdy zawierałeś

pakt z diabłem, Opatrzność nad tobą czuwała?

Łzy napłynęły Silasowi do oczu. Gdy słuchał litanii wszystkiego, co by się nie wydarzyło, gdy docierała do niego żelazna logika wyводу Jessiki, czuł, jak uwalnia się od demonów, które tak długo trzymały go w swojej mocy. Czy możliwe, że nie jest winny temu, iż podążał za swoim przeznaczeniem? Bóg jeden wie, że bycie Toliverem to wystarczająco ciężki wyrok. Odłożył cygaro i objął żonę ramionami.

– Nigdy nie kochałem cię bardziej niż w tej chwili – powiedział głosem załamującym się, gdy czuł, jak opadają krępujące go od tak dawna okowy.

– W takim razie daj mi tego dowód – odparła Jessica, prowadząc go w stronę łóżka.

Rozdział 59

Thomas najciszej jak potrafił odsunął się od otwartego okna sypialni rodziców, wstrząśnięty i przerażony. Słyszał każde słowo z rozmowy ojca i matki. Nie mogąc spać, wyszedł na werandę i usiadł na krześle, by obejrzeć wschód słońca zwiastujący kolejny niepewny dzień, gdy usłyszał krzyk ojca. Zerwał się, by biec na pomoc, jednak głos matki go powstrzymał. Ojcu musiało się przyśnić coś straszego.

By się upewnić, że wszystko jest w porządku, nie odchodził od otwartego okna, przez które miało napływać ostatnie chłodne powietrze, zanim nastanie ciepła wiosna i pojawią się komary. Jego ojciec miał pięćdziesiąt pięć lat i zmartwienia ostatnich miesięcy odcisnęły na nim swoje piętno. Rok wcześniej jubiler w mieście, rówieśnik ojca, zmarł, leżąc w łóżku obok żony, bo jego serce nie wytrzymało jakiegoś sennego koszmaru.

Jego biedny ojciec miał wiele powodów do strasznych snów. Wydarzenia ostatnich miesięcy zrobiły swoje. Błagania Silasa Tolivera, które kierował do stanowych urzędów i wpływowych przyjaciół, by sprzeciwili się secesji, przeszły bez echa. Pierwszego lutego Teksas jako siódmy z kolei stan dołączył do nowo powstałych Skonfederowanych Stanów Ameryki, dla uproszczenia zwanych Konfederacją. Stary przyjaciel jego ojca, gubernator Sam Houston, został zdjęty z urzędu, gdy zamknął się w piwnicy budynku Kapitolu w Austin i odmówił wyjścia, by podpisać dokumenty potwierdzające wyjście z Unii. Wbrew opinii oburzonych przyjaciół Toliverów, jego ojciec niezłomnie popierał zdanie gubernatora na temat nieuniknionego losu stanu, jeżeli oderwie się od karmiącej go matki. Cierpiał niewymownie, gdy opinia publiczna obróciła się przeciwko Samowi Houstonowi i zmusiła bohatera spod San Jacinto, człowieka, któremu stan tyle zawdzięczał, by odszedł ze sprawowanego urzędu i schronił się na swojej farmie w Huntsville.

Mimo to jego ojciec nadal niestrudzenie próbował przekonać każdego, kto chciał go słuchać, że Południe ma za mało ludzi, broni, nie jest żadnym przeciwnikiem dla Północy. Podczas jednego z zebrań w mieście zwołanych dla omówienia słuszności secesji i konsekwencji zbrojnego konfliktu jeden z farmerów odważył się zapytać wielmożnego

Silasa Tolivera:

– Czemu niby mamy pana słuchać? Przez te wszystkie lata twierdził pan, że żadnej wojny nie będzie.

– Tak mówiłem, zanim wybrano Lincolna – odparował ojciec. – Trzeba kierować się rozsądkiem – błagał. – Tylko jedna trzecia mieszkańców Teksasu posiada niewolników. Czemu tych kilku ma narzucać kierunek, który cały stan doprowadzi do gospodarczej ruiny, który wielu ludzi zabije? Czemu mamy wspierać sprawę skazaną na niepowodzenie?

Odpowiedzią na jego słowa było buczenie i syki. Równie niegrzecznie zachowali się plantatorzy, których ojciec zachęcał, by u siebie wprowadzili zmiany, jakie on zaplanował dla uratowania Somerset, gdy emancypacja niewolników stanie się faktem. Wszyscy jak jeden mąż byli przekonani, że Południe odniesie sukces jako osobne państwo. Żaden prezydent z Północy nie będzie decydował o prawie obywateli Konfederacji do posiadania niewolników. Wielka Brytania i Francja na wypadek wojny opowiedzą się po stronie południowych stanów i Unia ustąpi. Te dwa wielkie europejskie kraje były zależne od produkowanej w regionie bawełny, a do jej produkcji niewolnicy byli niezbędni. Na pewno nie pogodzą się z faktem, że Kongres pana Lincolna przerwie tak ważny dla nich import.

Thomas widział, jak jego ojciec blednie, słysząc te optymistyczne stwierdzenia.

– Czy ci głupcy nie słyszeli, jak nasi agenci w Londynie ostrzegają, że Anglia ma magazyny pełne zapasów bawełny, za to w całej prawie Europie marne były zbiory pszenicy? – jęczał. – Wielka Brytania dużo bardziej potrzebuje zboża Północy niż bawełny Południa!

Antyseparatystyczna postawa jego ojca, połączona z wiadomymi od dawna poglądami na niewolnictwo matki, uczyniły z Toliverów niemal towarzyskich pariasów. Ojciec, ku swemu ogromnemu rozczarowaniu, nie został ponownie wybrany do rady miejskiej. Rodzice nie pozwolili dzieciom uczestniczyć w spotkaniach Klubu Młodego Czytelnika prowadzonego przez matkę. Nie zostali całkowicie wykluczeni z towarzystwa Howbutker jedynie dzięki statusowi pierwszych osadników i założycieli miasta, a także niewzruszonej

przyjaźni, jaką darzyli ich Warwickowie i DuMontowie. Henri DuMont i Jeremy Warwick mieli tak ogromne wpływy finansowe i towarzyskie w hrabstwie – a po prawdzie w całym stanie – że nikt nie odważył się skreślić Toliverów z listy gości – chociaż oni i tak nie przyjmowali zaproszeń.

Jednak najokrutniejszy – najbardziej dla Thomasa niepokojący – był zarzut, jaki ojcu stawiał Lorimer Davis. Według niego Silas Toliver postradał zmysły ze strachu, że w razie wojny jego syn i jedyny dziedzic zostanie zabity. Plantator przekonywał, że nikt nie powinien Silasa słuchać. Sprzeciwia się secesji wyłącznie kierowany ojcowskim lękiem i strachem, że Somerset przestanie istnieć.

Odchodząc chyłkiem spod okna sypialni rodziców, Thomas sądził, że właśnie dostał potwierdzenie słów Lorimera Davisa. Zbierało mu się na mdłości, gdy z przerażeniem słuchał, jak ojciec mówi o sprzedaży Somerset, by mieć pewność, że Thomas wróci z wojny cały i zdrowy. Dobry Boże, cóż za przerażający, niewyobrażalny pomysł! Wiedział, że ojciec go kocha – czasem nawet myślał, że za bardzo – ale... sprzedawać Somerset? Żeby odwrócić wymyśloną klatwę? Dzięki Bogu, że matka uświadomiła mu, jaki to idiotyzm.

Thomas usiadł w swoim pokoju, oniemiały na wieść, że pogłoski, które od lat do niego docierały, opierają się jednak na prawdzie. Plotki, niedopowiedzenia, szept, zasłyszane nazwiska, wszystko to w połączeniu z tym, co sam wiedział o historii swojej rodziny, zaczęło układać się w zrozumiałą całość. Nigdy nie wątpił w miłość łączącą jego rodziców, ale domyślał się, że ich małżeństwo zostało zaaranżowane. Miał z tym coś wspólnego jego potężny i wpływowy dziadek, Carson Wyndham, który jeszcze w Karolinie Południowej wręczył Silasowi Toliverowi pewną sumę pieniędzy. Transakcja została zawarta pod warunkiem, że ojciec wyrzeknie się kobiety, którą miał poślubić, w zamian za pieniądze na kupno plantacji w Teksasie.

Do uszu Thomasa dochodziły jedynie strzępki informacji na ten temat, a on sam nigdy nie był na tyle ciekawy, żeby zastanawiać się nad ich pochodzeniem. Najwyraźniej jednak kiedyś była inna kobieta w życiu jego ojca, ta jakaś Lettie, o której dzisiaj wspominał. Czy to nie z nią ożenił się wuj Morris? Czy to właśnie ona była tym poświęceniem,

o którym ojciec mówił? Wszystko wskazywało na to, że pakt zawarty z diabłem był umową z bogaczem, który został jego teściem. Czy prawdą jest, że Carson Wyndham zapłacił Silasowi Toliverowi za małżeństwo z jego córką? Dlaczego? Żeby nie poszła do klasztoru? I czy ojciec za te pieniądze kupił i założył Somerset?

Thomas dobrze pamiętał dziadków z Willowshire – zwłaszcza dominującego dziadka – choć ich wizyta miała miejsce dawno temu i trwała krótko. Jedyne spotkanie jego matki z rodzicami przebiegało w napiętej atmosferze. Thomas pamiętał ceremonię palenia kontraktu, która rozwścieczyła jego ojca. Rodzice bez żalu żegnali dziadków, gdy nadeszła pora ich wyjazdu. O rodzinie z Queenscrown wiedział bardzo niewiele. Babcia o imieniu Elizabeth sporadycznie przysyłała jakiś list, nigdy jednak ich nie odwiedziła, oni jej również nie. Wiedział, że jest wuj o imieniu Morris, raz też padło imię Lettie, żony Morrisa, jak zakładał Thomas, rodzice jednak nigdy o nich nie rozmawiali w jego obecności.

Rozumiał już, czemu jego babka przepowiedziała klątwę, która spadnie na ziemię jego ojca, ale czemu ojciec traktował ją poważnie? Naprawdę wierzył, że śmierć Joshui i fakt, że jego matka nie mogła mieć więcej dzieci, były karą boską za jakąś umowę zawartą dwadzieścia pięć lat temu? I że w ostatnim akcie zemsty Bóg odbierze mu jedynaka? Co za kompletne bzdury! Jeżeli wybuchnie wojna, Thomas się zaciągnie. Nie wiedział tylko, do jakiej formacji. W lutym zastępca gubernatora Teksasu powołał komitet bezpieczeństwa publicznego, który miał rekrutować ochotników, ale Thomas, Jeremy Junior, Armand, Stephen i Philippe (astma Roberta była na tyle poważna, że wykluczała go ze służby) postanowili, że zaczekają, aż utworzy się regiment, który najlepiej przysłuży się obronie Teksasu.

Tak, może zginąć i Somerset zostanie bez dziedzica, ale on już znalazł rozwiązanie, które temu zaradzi. Postanowił, że jutro porozmawia z rodzicami o małżeństwie z Priscillą Woodward. Znał ją od czasu, kiedy przed dziesięciu laty jej ojciec wywiesił swój szyld jako drugi lekarz w mieście, a od roku o nią zabiegał.

Thomas czekał, aż obudzi się w nim uczucie, którym otwarcie i bez skrępowania darzyła go Priscilla, chociaż jednak lubił ją i dobrze czuł się

w jej towarzystwie, brakowało mu czegoś, czego nie potrafił nazwać. Była najładniejszą dziewczyną w mieście, miała gęste, złociste loki, błyszczące niebieskie oczy i emanowała pogodą ducha, która była doskonałą przeciwwagą dla jego poważnego usposobienia. Trochę za bardzo ekscytowała się jego domem przy Houston Avenue i pokrewieństwem z królewskimi rodami Anglii, ale traktował tę ekscytację z wyrozumiałością. Priscilla dorastała w skromnym domu, w którym wciąż jeszcze mieszkali jej dwaj starsi bracia, zatrudnieni jako drwale w Kompanii Drzewnej Warwicków. Posiłki w domu Woodwardów składały się z mięsa i ziemniaków, spożywane były przy kuchennym stole, do którego jej bracia zasiadali w roboczych ubraniach, z podwiniętymi rękawami. Najcenniejszym skarbem pani Woodward był serwis do herbaty z angielskiej porcelany. Priscilla nie wstydziała się swojego pochodzenia – tego by Thomas nie ścierpiał – ale zachwycała się elegancją jego domu i stylu życia. To mu nie przeszkadzało.

Jeszcze poważniej myślał o poślubieniu jej, gdy zrozumiał, co tak dręczy jego ojca. Jeżeli zginie, co się stanie z Somerset, gdy już zabraknie jego ojca? Nie mógł znieść myśli, że plantacja przestanie należeć do Toliverów. Nie może do tego dopuścić, a rozwiązaniem była Priscilla Woodward. Ożeni się z nią i natychmiast założą rodzinę. Thomas miał już prawie dwadzieścia cztery lata. Najwyższa pora, by związał się węzłem małżeńskim i został ojcem. Od razu przestał się zadreć, że nie żywi do przyszłej żony uczuć tak głębokich, jak by sobie tego życzył. Z rozmowy rodziców wywnioskował, że ojciec też nie kochał matki w chwili, gdy się pobierali, a mimo to staruszek wciąż udawał, że teraz żona jest dla niego wszystkim.

Nieco uspokojony, Thomas wrócił do łóżka, by złapać jeszcze godzinkę snu, zanim słońce wstanie na dobre. Gdy się obudził, okazało się, że nadeszła depesza z wiadomością, iż dokładnie w tej samej godzinie, w której Silas krzyczał przez sen, siły Konfederacji ostrzelały oddziały federalne stacjonujące w Fort Sumter w zatoce Charleston. Rozpoczęła się wojna domowa.

Rozdział 60

– Przecież wiesz, że on jej nie kocha.

Jeremy uniósł jasne brwi.

– Dlaczego tak uważasz, Jess?

– Matka wie takie rzeczy o swoim synu. Pojawił się pęk, jednak nie rozkwitł.

– Może jednak rozkwitnie, jak było z tobą i Silasem.

– Może. Żeni się z nią, żeby splodzić dziedzica Somerset.

– Jesteś tego pewna?

– Jak najbardziej.

– Czy Priscilla o tym wie?

Jessica wzruszyła ramionami.

– Tego nie potrafię ci powiedzieć.

– Kocha go?

– Uważam, że tak myśli. Straszna z niej romantyczka. W jej oczach Thomas to prawdziwy dar od losu: przystojny, ze znacznej rodziny, w jego żyłach płynie królewska krew, a to ją wprost urzeka. Widzi w Thomasie swojego rycerza na białym koniu, ratunek od prostaka, którego inaczej na pewno by poślubiła, ale twierdzi, że również pragnie mieć dzieci, co rzecz jasna bardzo Thomasa cieszy. Wzajemny szacunek i troska o dzieci mogą wystarczyć, by małżeństwo było szczęśliwe.

Jeremy podpalił swoje cygaro.

– W rzeczy samej – mruknął.

– Poza blond urodą w pewnym sensie przypomina mi Lettie – ciągnęła tymczasem Jessica. – Któregoś dnia powiedziała do Thomasa: „Porażka to tylko przygotowanie do sukcesu”. Czy to nie podobne do Lettie?

– Kiedyś może rzeczywiście – powiedział Jeremy. – Sądysz, że Silas widzi podobieństwo?

– Silas widzi tylko bawełnę, podobnie jak jego syn.

Minęły trzy tygodnie od wypowiedzenia wojny. Jeremy, pragnąc spotkać się z braćmi, zanim Unia zablokuje południowe porty, uniemożliwiając podróż do Karoliny Południowej, wrócił właśnie z wieściami z Alei Plantatorów. Dzisiaj przyszedł do Jessiki, by

opowiedzieć, jak się miewa jej rodzina. Ze smutkiem wysłuchała, że ojciec choruje na serce, a matka niedomaga. Michael skorzystał ze zwolnienia przysługującego mężczyznom w wieku poborowym, których praca była niezbędna dla działań wojennych. Ich przebiegły ojciec przewidział, że blokada położy kres eksportowi bawełny i prawie cała bawełna z Willowshire była przeznaczona na sprzedaż oddziałom Konfederacji.

– Wszyscy przesyłają wyrazy miłości, Jess – powiedział Jeremy.

Na wspomnienie szczęśliwszych chwil spędzonych z rodzicami Jessica poczuła ucisk w gardle. Nie myślała o powrocie do rodzinnego domu. Ostatnia i jedyna wizyta jej rodziców, a także fakt, że matka nie zawiadomiła na czas Tippy o śmierci Willie May, na dobre odebrały jej ochotę, by znowu się z nimi zobaczyć. Teraz będzie to już niemożliwe. Być może ujrzy jeszcze kiedyś Michaela, jeśli uda mu się przeżyć wojnę.

– A co u Toliverów? – zapytała.

– Tu też nie mam zbyt radosnych wieści – rzekł Jeremy. –

Elizabeth jest słabego zdrowia, ale ma już osiemdziesiąt jeden lat, więc nic dziwnego. Morris też się postarzał i stał niemal laickim kaznodzieją. Większość czasu spędza na rozmyślaniach o Bogu, jak powiada. Silas załamaby się, widząc, w jakim stanie jest plantacja.

– A synowie? Nie są pomocni?

– Chyba odziedziczyli po ojcu brak zdolności zarządczych i zdali się całkowicie na nadzorców, według moich braci bandę leniwych drani. Po pierwszym strzale młodzi Toliverowie wyruszyli, żeby wstąpić do armii generała Lee w Richmond.

– A córka?

– Uroczą jak matka, niestety urodę odziedziczyła po Morrisie i nie widać, żeby ktoś starał się o jej rękę. Chyba czeka ją staropanieństwo.

– A... Lettie?

– Lettie... nie jest już taka sama. Przeraziłem się, widząc, jaka jest zmarnowana. Elizabeth wymaga ciągłej opieki, a służba niewiele pomaga w domu, ponieważ Morris nie chce ich zdyscyplinować. Zarządzanie całą plantacją spadło na Lettie. Dom wymaga remontu, ale nie ma pieniędzy, żeby przywrócić go do dawnej świetności. Morris wpadł w długi, z których nie potrafi się wykaraskać, a Lettie, co

zrozumiałe, zamartwia się o synów.

Jeremy przerwał, widząc, że Jessica się skrzywiła, jakby ją ktoś uszczypnął.

– Mam mówić dalej?

– Jest coś jeszcze?

– Obawiam się, że tak. Brat Lettie, który skończył West Point i który był jej idolem, postanowił zostać w wojsku Unii. Jest więc teraz wrogiem.

Jessica ze smutkiem potrząsnęła głową.

– Bardzo jej współczuję. A co z jej ojcem? Żyje jeszcze?

– Zmarł w ubiegłym roku po długiej walce z gruźlicą.

– O Boże. – Jessica napiła się mrożonej herbaty.

Choć bardzo było jej żal Lettie, Silas nie może się o niczym dowiedzieć. Będzie się czuł odpowiedzialny – i słusznie – a poczucie winy obudzi w nim znowu wiarę w tę absurdalną klątwę i mściwego Boga, który go karze. W zamyśleniu rozłożyła wachlarz. Przez żaluzje nie wpadał ani jeden podmuch. Nastala pora letnich upałów. Jessica i Jeremy siedzieli w tym samym pokoju, w którym przekonała go, by wziął udział w jej spisku przeciwko mężowi. Wywiązał się ze swojej misji nadzwyczaj szlachetnie. Dopilnował sprzedaży domu cioci Elfie i wszystkiego, co posiadała, po czym w bostońskim banku zdeponował na nazwisko Jessiki małą fortunę. Przywiózł wieści o Tippy, szczęśliwej w Nowym Jorku, i dalszej abolicjonistycznej działalności Sary Conklin w Bostonie.

– Byłeś w Bostonie? – zdziwił się Silas po powrocie przyjaciela. – Po co? Sądziłem, że wybierasz się do Nowego Jorku.

– Załatwiałem tam interesy w imieniu przyjaciela – odparł Jeremy. Jessica ostrożnie odstawiła szklanę z herbatą.

– Jeremy, drogi przyjacielu, czy oprócz stanu zdrowia Elizabeth musisz mówić Silasowi o reszcie?

Jeremy zerknął na nią sceptycznie.

– O co chcesz mnie prosić, Jess?

– Jesteś niezwykle spostrzegawczym i przenikliwym człowiekiem. Czy muszę ci tłumaczyć, jak podziałają na Silasa wieści o trudnym położeniu Lettie?

– Czy sugerujesz, żebym nie mówił mu o sytuacji w Queens-crown? Na pewno zapyta, a ja muszę powiedzieć prawdę.

– Całą?

– Co według ciebie miałbym przemilczeć? Nawet jeżeli nie wspomnę o Lettie, Silas się domyśli, co musi wycierpieć przez nieudolność i głupotę Morrisa.

– Musi się dowiedzieć, że byłeś w Queenscrown?

– Prosisz mnie, żebym skłamał?

– Nie. Proszę cię, żebyś niepytany nie mówił całej prawdy.

– Dlaczego, Jess? Minęło dwadzieścia pięć lat, odkąd Silas i Lettie byli... sobie bliscy. Wybrała Morrisa. Na dobre i na złe, i musi ponosić tego konsekwencje.

Przerwało im lekkie pukanie do drzwi, a po chwili do pokoju zajrzała Petunia.

– Proszę wybaczyć, panienko Jessico, ale którą porcelanę mam dzisiaj wyjąć?

– Chelsea – odparła Jessica.

– A gdzie mam posadzić doktora Woodwarda i panią Woodward?

– Doktor Woodward usiądzie po mojej prawej stronie, pani Woodward po lewej stronie pana Silasa.

– A panicz Thomas i panienska Priscilla?

– Naprzeciwko siebie. Nie ma znaczenia, po której stronie stołu usiądą, ważne, żeby się widzieli.

Petunia zachichotała.

– Tak, psze pani – powiedziała i znikła.

Jessica zwróciła się do Jeremy'ego z wyjaśnieniem.

– Gościmy dzisiaj na kolacji rodziców Priscilli, żeby oficjalnie uznać zaręczyny naszych dzieci. Silas nie posiada się ze szczęścia, że Thomas się żeni. Ma nadzieję, że za rok będzie już dziadkiem.

– Ach. I będzie miał dziedzica Somerset.

Jessica westchnęła.

– Na wypadek gdyby Thomas nie wrócił z wojny. Mam tylko nadzieję, że nie będziemy w przyszłości żałować tych wszystkich machinacji.

Ostatnimi dniami ilekroć myślała o motywach, którymi kierował

się Thomas, decydując się na ten ślub, Jessica przypominała sobie toast, jaki jej matka wzniosła na cześć jej i Silasa tamtego dnia w bibliotece w Willowshire. Wyraziła wtedy nadzieję, że znajdą powód, by się pokochać i wytrwać razem poza dotrzymaniem warunków umowy. I znaleźli. Coś jednak mówiło Jessice, że Thomasowi i Priscilli to się nie uda.

Wstała, z nerwów i gorąca nie mogąc usiedzieć na miejscu. Powinno się zastrzelić tego, kto wymyślił modne obecnie dwuwarstwowe lejkowate rękawy, pomyślała z irytacją, zastanawiając się jednocześnie, czy powinna wyjawić Jeremy'emu tajony strach Silasa przed ciążącą na nim klątwą.

– Nie zrozum mnie źle, Jess, ale ludzie pobierają się z mniej szlachetnych pobudek niż chęć splodzenia dziedzica owoców ciężkiej pracy rodziców – odezwał się.

Jessica powachlowała się gwałtownie.

– Och, nie dyskutuję z powodami, dla których postanowili się pobrać. Po prostu boję się o ich szczęście. Chodzi mi zwłaszcza o dziewczynę. Może nigdy nie zaznać radości, jaką daje wzniecenie ognia w męzowskim sercu. – Zerknęła na Jeremy'ego z uśmiechem. – To jedno z najwspanialszych doświadczeń, jakie może stać się udziałem kobiety.

Unikając wzroku Jessiki, Jeremy strzepnął popiół, który spadł mu na kolano z cygara. Zapytany, bez wahania odpowiedziałby, że jego żona jest idealna. Miała przystojnego, bogatego męża i była matką trzech równie przystojnych, inteligentnych, odpowiedzialnych synów. Jej mężczyźni traktowali ją jak królową. Mieszkała we wspaniałym domu, pełnym służby gotowej na każde jej skinienie, i niczego jej nie brakowało. Czy jednak kiedykolwiek zaznała radości rozpalenia w sercu swego męża ognia? Jeremy wątpił. Mogłaby to uczynić jedynie ta drobna, schludna kobieta, stojąca przed nim w promieniach słońca przefiltrowanych przez deszczułki żaluzji – nawet jeszcze dzisiaj. Jeremy potrząsnął głową. Nigdy nie pociągała go w niej jej uroda – Jessica nie była ładna – chociaż kapryśny czas okazał się dla niej łaskawy, przydając nieco piękna jej niekonwencjonalnemu urokowi. Piegi na jej twarzy nieco zbladły, skóra lśniła jak najprzedniejsza

porcelana, dając tło dla ciemnych oczu równie pełnych życia i blasku jak wtedy, gdy miała osiemnaście lat. Wciąż miała figurę, której nie był potrzebny gorset dla zachowania wąskiej talii, a początki siwizny złagodziły nieco jaskrawy kolor jej kręconych włosów, które nosiła spięte w obfity kok na karku. Teraz ów kok miał brązowy odcień liści czerwonego dębu jesienią. Na skroni wciąż widać było bladą bliznę, pamiątkę po upadku z wozu ponad ćwierć wieku temu.

– Potrząsas głową, Jeremy – powiedziała Jessica. – O czym myślisz?

– O tym, że znowu będziesz mnie namawiać, bym zdradził Silasa. Kołyszac obszerną spódnicą, podeszła do swojego krzesła.

– Nie zdradził, Jeremy, tylko ochronił.

– W takim razie usiądź i wyjaśnij mi, na czym polega różnica.

Jessica usiadła. To doprawdy idiotyczne, pomyślała sobie, ale tamto nocne wyznanie Silasa zasiało w jej umyśle ziarno, choć na ogół nie była podatna na podobne bzdury. Próbowwała rozprawić się z tym w swoim pamiętniku, co niezbyt jej się udało, może jednak rozmowa z Jeremym zetrze tę nedorzecznosc w pył. Popatrzyła na przyjaciela, tak pewnego świata i swojego w nim miejsca.

– Jeremy, czy wierzysz w klątwy? – zapytała.

Rozdział 61

W chwili, gdy nadeszła pierwsza depecha o ostrzelaniu Fort Sumter, wszyscy zgodnie postanowili, że zaciągną się razem – Thomas, Jeremy Junior, Stephen i Armand – i że wstąpią do jednostki przeznaczonej do obrony granic ich rodzinnego stanu przed inwazją oraz wybrzeża przed oblężeniem. Północne i wschodnie części Teksasu były szczególnie narażone na ataki wroga z wolnych stanów Oklahoma i Nowy Meksyk, jak również z Luizjany, jeśli ten stan przejdzie w ręce Unii. Pewne źródła donosiły, że federalni planują zmusić Teksas do dostaw wołowiny dla unijnych wojsk i że dokładnie wiedzą, któredy przejść granice. Panował strach, że pozostawione bez opieki domostwa zostaną napadnięte i zniszczone przez Komanczów, kiedy kawaleria Stanów Zjednoczonych i teksańscy Strażnicy pilnujący granic opuszczą stan, żeby przyłączyć się do jednej bądź drugiej armii. Marynarka Stanów Zjednoczonych od strony Atlantyku blokowała południowe porty, uniemożliwiając eksport bawełny i przewóz sprzętu, żywności i uzbrojenia na potrzeby konfederatów. Wiadomo było, że wkrótce flota Unii zjawi się w Zatoce Meksykańskiej i ruszy ku teksańskim portom z takim samym zadaniem. Absolutnie kluczowe było utrzymanie dróg wodnych, którymi białe złoto Teksasu transportowano do Europy i Meksyku w zamian za rozpaczliwie potrzebną amunicję. Dlatego właśnie gubernator Teksasu, Edward Clark, wysłał zaprawionego w bojach kapitana Strażników Teksasu do wschodniej części stanu, by uformował tam oddział straży z kwaterą główną w Howbutker.

Kapitan Jethro Burleson wstąpił do legendarnych Strażników Teksasu jako dwudziestolatek i przez kolejne dwie dekady bronił granic stanu przed wyrzutkami, meksykańskimi bandytami i grasującymi Indianami. Generał Zachary Taylor, pod którym służył w wojnie meksykańsko-amerykańskiej, nazwał go Jeźdźcem Wiatru, ponieważ posiadał najbardziej ręcznych koni niczym wojownik Komanczów.

Jessica znienawidziła go od pierwszego wejrzenia, ponieważ wyróżnił się w wojnie z Czirokezami we Wschodnim Teksasie w 1839 roku, w której został zabity mądry i czcigodny osiemdziesięcioletni wódz Bowles. Jessica całym sercem popierała wieloletnią walkę wodza

o prawo do ziemi jego ludu w Teksasie.

Jednak jeżeli był ktoś, kto mógł sprowadzić jej syna bezpiecznie do domu, myślała, przyglądając się szpakowatemu weteranowi siedzącemu na honorowym miejscu przy jej stole, to był nim kapitan Jethro Burleson.

Thomas zauważył jej spojrzenie i puścił do niej oczko. Odpowiedziała lekkim uśmiechem, który jednak nie stał z jej twarzy niepokoju. U szczytu stołu siedział równie ponury jej mąż, po bokach mając podobnie zasepionych mężczyzn z rodziny Warwicków i DuMontów, oraz Jake'a Davisa, który nie pozwolił, by kłótnia jego rodziny z Toliverami położyła się cieniem na wieloletniej przyjaźni od dzieciństwa łączącej jego i Thomasa.

Z kobiet obecne były tylko Jessica i Priscilla, obie jednakowo przybite. Thomas doskonale wiedział, gdzie krążą ponure myśli jego matki, kiedy kapitan Burleson dowodził, że wedle jego oczekiwań wojna będzie „o wiele dłuższa, niż te głupki z rządu przypuszczają”, znał również powód przygnębienia swojej żony. Priscilla miała zapewne nadzieję, że wieczór nigdy się nie skończy, bo to by oznaczało, że wraz z Thomasem musi udać się na górę do sypialni, w której świeżo poślubieni małżonkowie spędzą noc, zanim Thomas uda się na służbę, i gdzie ona wypełni swój małżeński obowiązek.

Ich noc poślubna okazała się katastrofą. Thomas się spodziewał, że Priscilla z radością odda się spełnieniu małżeńskiego aktu, równie mocno jak on pragnąc dziecka, ona jednak była zdenerwowana, przestraszona i spięta, zaciskając kurczowo powieki i zagryzając zęby, jakby spodziewała się ciosu pięścią w twarz. Przy pierwszej próbie penetracji wrzasnęła.

– Nie jestem gotowa. – Odepchnęła go od siebie. – Proszę, przestań!

Thomas poczuł się jak potwór.

– Co się stało? Co ci zrobiłem?

– Jesteś... to jest... takie wielkie... takie... – Wykrzywiła z obrzydzeniem usta, odwróciła się od niego i zwinęła w ciasny kłębek.

Rzecz jasna Priscilla nigdy wcześniej nie widziała męskiego przyrodzenia, Thomas jednak liczył na to, że matka wytłumaczy jej,

czego może się spodziewać podczas nocy poślubnej. Ima Woodward była bardzo purytańska. Zapewne głęboko zaszczepiła w swojej córce strach przed Bogiem.

– Kochanie – powiedział – u mężczyzny to normalne, że jego... organ robi się... większy, kiedy pożąda kobiety.

Zerknęła na niego przez ramię.

– Pożadasz mnie? Nie chodzi ci tylko o to, żeby mnie zapłodnić?

– Oczywiście, że nie – skłamał.

Druga noc nie była lepsza. Priscilla chciała, ale równie dobrze mógłby próbować skrzesać ogień z mokrego chrustu. Trzeciego dnia udało się im odbyć stosunek, ale niewiele miał on wspólnego z pełnym miłości, radosnym aktem, jaki Thomas sobie wyobrażał. Kiedy później ona leżała na swojej połowie łóżka, a on wielce zawiedziony na swojej, zwrócił się do niej:

– Co się dzieje, Priscillo? Czy możesz mi wyjaśnić swoją niechęć? Nie kochasz mnie?

– Oczywiście, że kocham – odpowiedziała żalnym głosem, niemal płacząc jak kocię oderwane od matki. – Tylko że to jest takie... przerażające.

Przerażające? Poznał już wiele kobiet i żadna się nie skarżyła, że je przeraża. Wszystkie były zachwycone jego sztuką miłosną.

Obrócił się ku niej, wzruszony zarysem drobnego ciała pod prześcieradłem, lśnącymi włosami na poduszce. Pogładził ją po twarzy. Była owalna i słodka jak różyczka.

– Wszystko będzie dobrze, Priscillo – powiedział. – Potrzeba tylko czasu i cierpliwości.

Jednak po dwóch tygodniach skończyło mu się i jedno, i drugie. Za kilka dni, na początku czerwca, jego oddział wyruszy, by dołączyć do drugiego w Galveston i bronić wybrzeża, ale jak dotąd Thomas nie mógł mieć nadziei, że zostawi żonę brzemienną.

Teraz, siedząc przy stole, Priscilla nagle się rozpromieniła i podjęła temat, który najwyraźniej ją fascynował.

– Kapitanie Burleson, proszę pamiętać, że ma pan pod swoim dowództwem synów arystokratów, których przodkowie zasłynęli odwagą na polach walki w Anglii – poinformowała go.

Dopiero wtedy Thomas się zorientował, że jego żona jest na lekkim rauszu. Był pewny, że próbuje otumanić się winem przed czekającą ją nocą. Priscilla była przesadnie obyczajną kobietą – dziewczyną – ponieważ nie mogła równać się z jego matką. Niesamowicie, że podjęła temat zupełnie dla kapitana nieinteresujący, wpędzając jego rodziców i przyjaciół w zakłopotanie, lecz królewskie korzenie jego rodziny i przyjaciół chorobliwie wręcz ją fascynowały.

– Jak mam to rozumieć, pani Toliver? – zapytał kapitan Burleson, unosząc krzaczaste brwi w uprzejmym zainteresowaniu.

– Nie warto o tym wspominać – odparła szybko Jessica i potrząsnęła srebrnym dzwoneczkiem, by wezwać Petunię. – Panowie, porto i cygara czekają na was w salonie.

Priscilla poczuła się zlekceważona, ale Thomasowi zrobiło się jej żal. Obszedł stół, żeby odsunąć jej krzesło i przy okazji szepnął jej do ucha:

– Innym razem, kochanie, kiedy będziemy lepiej przygotowani na twój entuzjazm.

– Próbowałam tylko zmienić temat, a poza tym jestem taka dumna z historii twojej rodziny – odparła naburmuszona.

– Wiem, Priscillo, ale nikogo poza nami to nie obchodzi. Napij się jeszcze wina. Pomoże ci się rozluźnić.

– Przydałoby się – odparła, trochę niepewnie biorąc karafkę, by napełnić sobie kieliszek.

Thomas westchnął i zostawił ją, by przyłączyć się do mężczyzn.

Podczas gdy wszyscy delektowali się porto i cygarami, rozmawiając o wojnie, Thomas myślami był przy dziewczynie, którą wziął sobie za żonę. Nie mógł tego pojąć. Jeżeli kobieta kocha mężczyznę, czyż nie jest naturalną rzeczą, że pragnie zaznać z nim bliskości, poczuć go w swoim ciele, osiąść i zatrzymać? Priscilla mówiła, że go kocha. Czyżby czuła, że on jej uczuć nie odwzajemnia na tyle, by w pełni zatracić się w miłosnym akcie? A może zwyczajnie brzydziła się wszystkiemu, co wiązało się ze stosunkiem cielesnym – potem, płynami fizjologicznymi, zwierzęcą kopulacją, uczuciem gwałtu na sobie i... bólem.

Gorąco uderzyło mu na twarz, kiedy pomyślał ze wstydem o bólu,

jaki ona odczuwa w czasie penetracji na długo przedtem, zanim on zdoła osiągnąć swój cel, o satysfakcji nawet nie wspominając. Co miał począć? Przecież nie weźmie własnej żony siłą. Próbował być delikatny i troskliwy, ale cierpliwość mu się kończyła, podobnie jak czas, który mu został do opuszczenia domu. Czy popełnił straszliwy błąd? Czy źle ocenił uczucia, którymi darzy go Priscilla? Czy było to raczej zauroczenie jego urodą, znaczeniem jego rodziny i królewskimi koneksjami Toliverów, które mylnie wzięła za miłość? Czy kłamała, mówiąc, że pragnie mieć dzieci równie mocno jak on?

Thomas spojrział przez pokój na ojca, mimo wieku wciąż silnego i przystojnego, wciąż atrakcyjnego dla matki, która uwielbiała go na długo przed tym, zanim on zaczął żywić do niej podobne uczucia, jeśli wierzyć temu, co zrozumiał Thomas, gdy podsłuchiwał pod oknem rodziców tamtym bladym świtem w ubiegłym roku. Henri i Bess, Jeremy i Camellia również cieszyli się długim małżeńskim szczęściem, a przynajmniej tak sądził. Jakże mocno tego samego pragnął dla siebie i Priscilli!

Ale oni – o tym nie mógł zapomnieć – pobrali się z miłości.

Pożegnał się z panami, by zdążyć do sypialni, zanim wino przestanie krążyć w żyłach jego żony. Może alkohol sprawi, że wyzbędzie się zahamowań i dzisiejszej nocy osiągną – w końcu to przyznał! – jedyny cel, dla którego ożenił się z dziewczyną czekającą na niego na górze z prześcieradłem podciągniętym pod szyję.

Rozdział 62

5 września 1863 roku

Zauważyłam, że ostatnie wpisy do pamiętnika pochodzą z lipca 1861 roku. Minęły dwa lata, odkąd po raz ostatni opisałam swoje myśli, uczucia i wydarzenia tamtych bolesnych, mrozących krew w żyłach czasów, które dotknęły Amerykę. Jako matka jedynaka nie potrafię myśleć o kraju rodzinnym jako ojczyźnie dwóch narodów. Tragedie wojny połączyły nas w jedno.

Przez dwa lata nie otwierałam pamiętnika, co jednak nie znaczy, że nic się w tym czasie nie wydarzyło. Po prostu nie miałam do tego serca, poza tym brakowało atramentu i papieru, by upamiętniać to wszystko dla potomności. Śmiech mnie ogarnia, niestety szydarczy, gdy wspomnę, jak Lorimer Davis się przechwalał, że Konfederaci zmuszą Jankesów do ucieczki przed majowym świętem 1862 roku, nieco ponad rok od wybuchu wojny. Cóż, nadszedł pierwszy dzień maja, ale nie było wstążek, kwiatów ani tańców wokół słupa majowego. Nikt nie miał nastroju do świętowania.

Mój Boże, bo i jakże? W kwietniu tamtego roku konfederaci ponieśli niewyobrażalne straty pod Shiloh w Tennessee, a Nowy Orlean uległ Północy. W lipcu flota Unii zajęła Galveston, a we wrześniu armia generała Lee przegrała wielką bitwę pod Antietam w Maryland, pokonana przez przeważające siły federalne. Ranni stopniowo wracają do domów, niektórzy bez rąk, nóg, głusi albo ślepi. Synowi rzeźnika odstrzelili nos. Och, te potworności, jakie opowiadają powracający z pola walki chłopcy, którzy na wojnę szli żegnani muzyką i powiewającymi flagami, z żołądkami ciężkimi od pieczonego mięsiwa, w szytych naprędcie, jeszcze nieskrwawionych mundurach – oczywiście tylko ci, którzy są w stanie o tym mówić. Większość w ogóle się nie odzywa. Tkwią w swoim milczeniu jak w grobie.

Każde prasowe doniesienie jest jak cios w serce. Większość żołnierzy po obu stronach to prawie jeszcze chłopcy, bez żadnego doświadczenia w walce, znajomości broni czy choćby wiedzy, o co tak

naprawdę walczą. Z wrogiem biją się jak za czasów napoleońskich. Jedni młodzi ludzie maszerują w szeregu w stronę drugich, ukrytych w okopach. Gdy się spotkają, walczą wręcz. Krwawy rezultat musi być najbardziej przerażającym, najstraszliwszym z możliwych widoków, może poza brudnymi obozami i szokującymi warunkami, w których plenią się najróżniejsze choroby. Jeden z dziennikarzy napisał, że jeżeli kogoś nie zabije kula, zrobi to choroba. Walter Bates, cyrulik, stracił syna w epidemii tyfusu, a Billy Costner umarł na dyzenterię. Nieleczona odra, ospa, świnka i koklusz to tylko niektóre z chorób czyhających na żołnierzy zamkniętych w obozach pełnych odpadków, resztek jedzenia i stert gnoju. Żywią się zepsutym jedzeniem, piją zanieczyszczoną wodę, co dodatkowo zmniejsza ich szanse na przetrwanie.

Wstrzymuję oddech, gdy o tym słucham lub czytam, bo zawsze wtedy myślę o Thomasie i pozostałych chłopcach, o warunkach, w jakich przychodzi im żyć, niebezpieczeństwach, które im grożą. Thomas służy w wyspecjalizowanej jednostce, która zapuszcza się na tereny Luizjany, by utrudnić wrogowi przeprawę przez rzekę Sabine do Teksasu. Obozują pod gołym niebem, często w pobliżu mokradeł pełnych węży, krokodyli i przenoszących malarię komarów. Nasz syn podczas nielicznych wizyt w domu niemal nic nam nie mówi o śmiertelnie niebezpiecznych misjach, w których bierze udział, ale jego ojciec i ja domyślamy się wszystkiego, widząc jego zapadnięte oczy i policzki, wychudzone ciało, brudne, poszarpane ubranie. Kiedy zjawił się ostatnio, poprosił, bym dała mu cały atrament i papier, jakie mi zostały, ponieważ na niego spadł obowiązek powiadamiania rodzin o śmierci żołnierzy z jego jednostki, którzy zginęli w pożarze, jaki po gwałtownej wymianie ognia rozpętał się na wysuszonym polu.

– Potrzebny ci jest cały papier? – zapytałam.

– Tak, wszystko, co masz – odparł ponuro.

Ubawiłam się, choć był to śmiech podszyty goryczą, kiedy Henri, błogosławione jego serce Francuza, uparł się, żeby chłopcom uszyć na miarę mundury, jakie wtedy obowiązywały w konfederackiej armii. Oczywiście dawno już się zniszczyły i potargały.

Dostałam od Henriego papier i atrament i dzisiaj piszę przerażona, jak każdy w naszej okolicy. W ciągu najbliższych tygodni zajęcie

wschodniego Teksasu stanie się faktem, chyba że nasze oddziały – wśród nich Thomas, Jeremy Junior, Armand, Jake i dwaj bracia Priscilli – zatrzymają wojska Unii przy Sabine Pass, którą można się przedostać z Zatoki Meksykańskiej do rzeki Sabine. Tam właśnie federalni mają nadzieję wdrzeć się w głąb stanu, by splądrować wszystko, co stanie im na drodze, napędzając machinę wojenną, a także by skonfiskować całą bawełnę na potrzeby fabryk włókienniczych Północy. Docierają do nas przerażające wieści o okrętach i statkach transportowych z tysiącami żołnierzy Unii, które przebiły się przez cieśninę bronioną jedynie przez fort ze zbyt małą załogą, któremu właśnie nasi chłopcy ruszyli z odsieczą.

Jeżeli mój syn nie przeżyje, nigdy więcej nie zapiszę w tym pamiętniku ani jednego słowa. Ktoś inny – jakiś DuMont albo Warwick, może Priscilla, jeśli nastrój jej dopisze – będzie musiał w moim zastępstwie spisywać historię rodzin założycieli Howbutker. Nie będzie kolejnego pokolenia Toliverów, by ją czytać.

Przynajmniej wszystko na to na razie wskazuje. Co ranka budzę się dręczona matczynym niepokojem o szczęście jedyne dziecko, ale o szczęście Priscilli również. Już po ich pierwszej wspólnej nocy było wiadomo, że w sypialni nie układa im się dobrze, zaś kolejne ranki, kiedy zjawiali się na śniadaniu z ponurymi, zawiedzionymi minami, wzbudziły w Silasie i we mnie podejrzenia, że Priscilla lęka się fizycznej bliskości. Winą za to Silas nigdy nie obarczyłby Thomasa. „Spójrz na niego!” – krzyczał w gniewie jego ojciec. „Trudno sobie wyobrazić dziewczynę, która by naszego syna nie chciała. Dobry Boże, na jego widok każdej majtki same spadają”.

Silas twierdzi, że winę ponosi matka Priscilli – „to zasuszone babsko ma w sobie tyle namiętności, co drewniana łyżka!” – bo wbiła córce do głowy, że mężczyźni trzeba się bać. Według mnie jednak ja również ponoszę w pewnym sensie odpowiedzialność za to, że Thomas nie potrafi Priscilli zrozumieć. Dorastał bez siostr, za to przy matce niewymagającej zabiegów i nadszyciwania, której nie trzeba zapewniać o miłości i rozpieszczać. Skąd może więc wiedzieć, że takich właśnie dowodów oddania Priscilla oczekuje?

Gdyby jednak Thomas ją kochał, instynktownie wyczułby, czego

jego żonie potrzeba. Pragnąłby ją zadowolić. Nie mówię Silasowi, że być może Priscilla zdążyła się już zorientować, iż Thomas poślubił ją wyłącznie po to, by spłodzić z nią dziedzica, i jej niechęć do współżycia wynika z tego, że czuje się wykorzystywana. Zapewne kocha Thomasa, ale ma przecież swoją dumę. W najlepszym przypadku cierpi na oziębłość, a świadomość, że on nic do niej nie czuje, na pewno nie pomaga.

Ze smutkiem widzę, jak mijają się z daleka. Jeśli dwoje ludzi zbyt od siebie oddali, mogą się już nigdy nie spotkać. Boję się, że tak będzie z Thomasem i Priscillą.

Rozdział 63

Kiedy ich synowie wyruszyli na wojnę, Silas, Henri i Jeremy postanowili, że „Męski dzień w Somerset” będzie się odbywał co miesiąc, a nie – jak dotąd – tylko zimową porą. Śmierć Tomahawka położyła kres pierwotnemu celowi tych spotkań, ale wtedy już świeża dziczyzna dostarczana przez Indianina nie była potrzebna, by panowie chętnie gromadzili się przy ognisku przed jednoizbowym biurem Silasa na plantacji. Po wyjeździe synów trzej wieloletni przyjaciele zastanawiali się nad zmianą miejsca tych spotkań, jednak nigdy do tego nie doszło. Wciąż przywozili ze sobą kosze pełne jedzenia i beczkę z piwem i ustawiali je w cieniu pekanowca przed chatą Silasa.

Przez ostatnie cztery lata rozmowy przy ognisku były smutne dla ojców, których synowie brali udział w niemal każdej bitwie i przygranicznej utarczce z najeźdźcami, odkąd w 1861 roku padło Galveston. Jednostka straży kapitana Burlesona broniła wewnętrznych szlaków handlowych, linii kolejowych, mostów, linii telegraficznych i urządziła wypadki na terytorium wroga, by tam niszczyć to, czego u siebie strzegli. Thomas i Philippe prawie zostali schwytani, kiedy natknęli się na grupę, która chciała wysadzić w powietrze okręty zakotwiczone na rzece Sabine.

Dzisiejsze spotkanie było jednak najsmutniejsze ze wszystkich dotychczasowych. Był maj 1864 roku. Gazety wojenne z zaciekłością donosiły o kampanii na Red River, w czasie której rebelianci i unioniści starli się na brzegach rzeki tworzącej granicę między Teksasem a Oklahomą. Była to kolejna podjęta przez wojska Unii próba wtargnięcia na terytorium Teksasu, a jednostka chłopców znalazła się w samym sercu walk. Jednym z celów unionistów było zajęcie Marshall, miasta oddalonego od Howbutker o dwadzieścia mil, i zniszczenie jego fabryk produkujących niezwykle ważną dla Konfederacji amunicję. Zajęcie Marshall otworzyłoby drzwi do wschodniego Teksasu i reszty stanu, dając najeźdźcom dostęp do bawełny, koni i żywności. Za sobą zostawią tylko zgliszcza i ruinę, cofając infrastrukturę i gospodarkę stanu o dwadzieścia lat. Konfederaci pragnęli za wszelką cenę obronić granicę i po raz kolejny miejscowa ludność kryła się w domach z bronią gotową

do obrony, na wypadek gdyby nadeszli Jankesi.

Trzej przyjaciele niechętnie zostawili swoje kobiety bez ochrony, ale ich żony nalegały. Inwazja, jeśli w ogóle, nastąpi za jakiś czas, a one doskonale wiedziały, jak ich mężowie lubią swoje męskie spotkania i jak ich potrzebują. Tam mogą dać upust emocjom, porozmawiać o interesach i przeklętych politykach, przez których wybuchają wojny, i jeszcze gorszych generałach, którzy posyłają ludzi do walki.

Dzień był zbyt ciepły na ognisko. Petunia przygotowała ostatni słoć z marynowanymi nóżkami wieprzowymi, zimny sos kukurydziany, sałatkę z ogórków i cebuli, faszerowane jaja i kromki swojego „chleba Petunii” z mielonego owsa i pekanów. Henri przyniósł pudding śliwkowy w puszcze importowany z Anglii i przeschmuglowany przez blokadę.

– Prawdziwa uczta! – oznajmił, rozpakowując kosz. – Jakże bym chciał, żeby nasi chłopcy zakosztowali tych wspaniałości.

– Może już niedługo – powiedział Silas. – Wojna musi się wkrótce skończyć.

– Myślę, że potrwa do przyszłej wiosny – odezwał się Jeremy.

W głosie mężczyzn słyhać było tęsknotę. Jak dym z cygar unosił się nad nimi strach, że cud, dzięki któremu ich chłopcy przeżyli cztery lata wojny, nie może trwać wiecznie.

Henri i Jeremy napełnili sobie talerze. Silas wolał wypić kolejną szklanekę piwa.

– Silasie, nie będziesz jadł? – zapytał Henri.

– Nie jestem głodny. Może później czymś się poczęstuję.

Zauważył, jak przyjaciele wymieniają spojrzenia.

– No dobrze, o co chodzi? – zapytał. – Wyczuwam znowę.

– Nie wyglądasz dobrze, *mon ami* – odezwał się Henri. – Schudłeś i zmizerniałeś.

– Wszyscy zmizernieliśmy – powiedział Silas. – Jak każdy ojciec, który ma syna na wojnie.

– Powinieneś iść do lekarza – rzekł Jeremy.

– Woodward to konował, a gdybym poszedł do konkurenta, wywołałbym konflikt w rodzinie. Nic mi nie jest. Po prostu... martwię się.

– Sądziłem, że plantacja ma się nieźle, zważywszy okoliczności, oczywiście – powiedział Henri.

– Nie w tym rzecz.

– W czym więc? – zapytał cicho Jeremy.

Silas wziął głęboki oddech i zatrzymał powietrze w płucach. Mężczyźni nie zwierzali się jak kobiety. Sami, bez niczyich rad czy pomocy, nawet ze strony najbliższych przyjaciół, załatwiali swoje sprawy, rozwiązywali problemy, mieli swoje tajemnice. Kiedy mężczyzna czuł potrzebę, by ktoś go wysłuchał, zwracał się do żony. Czasem jednak nie mógł się z nią dzielić swoimi troskami. Potrzebował innego mężczyzny – zaufanego przyjaciela – a Silas miał to szczęście, że posiadał dwóch, Jeremy’ego i Henriego. Nie mógł jednak wyrzucić z siebie tego, co dręczyło mu serce. Jakiej pociechy może oczekiwać od przyjaciół? Silas był przekonany, że nawet Jessice nie zdołałby opisać rozpaczliwej winy, jaką odczuwał za zachęcanie Thomasa, by ożenił się z Priscillą tylko po to, żeby Somerset zapewnić dziedzica.

Wypuścił powietrze.

– Chodzi o mojego syna i synową – wyrzucił z siebie. Tyle mógł wyjawić. – Nie są szczęśliwi.

– Szkoda – mruknął Henri.

– Przykro mi – dodał Jeremy. – Na czym polega problem?

– Oni... nie pasują do siebie. – Silas pociągnął długi łyk piwa, żeby spłukać gorycz, która ostatnio zalegała mu w ustach. W żołądku czuł pustkę. Ostatnio nie miał apetytu i poczuł, że alkohol idzie mu prosto do głowy. – Kiedyś wierzyłem, że Thomas i Priscilla dobrze się dobrali.

– Może jeszcze nie zdążyli wystarczająco się poznać jako małżeństwo, przecież przez ostatnie trzy lata chłopcy spędzili w domu zaledwie kilka tygodni – podsunął wyjaśnienie Jeremy.

Silas wysilił się na uśmiech.

– Armand i Jeremy Junior są żonaci niecały rok, a ich żony już są przy nadziei.

– A więc pragniesz wnuka? – domyślił się Henri.

– Tak, ale to nie wszystko... – Silas wstał i wepchnął dłonie do kieszeni. Och, niech to lichy! Musi się przed kimś wygadać, bo inaczej wybuchnie. Zaczął więc: – Kiedy Thomas zenił się z Priscillą,

wiedziałem, że jej nie kocha, ale sądziłem, że ona kocha jego i jej miłość wystarczy. Thomas zacznie odwzajemniać jej uczucia... Ja też nie od razu pokochałem jego matkę. Chciałem, żeby doświadczył radości, którą daje poznawanie dziewczyny, dostrzeganie w niej cudownych drobiazgów, o których nie miał pojęcia, jej umysłu, serca, ciała, wszystkiego tego, co sprawiało, że oszalałem na punkcie Jessiki, co napawało mnie dumą i radością, co sprawiło, że nie wyobrażam sobie życia bez niej, ale...

– Ale Priscilla nie jest Jessicą – powiedział Jeremy.

– Nie, z całą pewnością nie jest. – Silas na powrót usiadł, czując słabość w nogach. – Za zamkniętymi drzwiami mojej synowej nie kryją się żadne słodkie niespodzianki, ukryte pragnienia czy tłumione namiętności. Według mnie Priscilla Woodward jest jak pusty pokój.

– O święci pańscy! – wykrzyknął Henri.

Silas sam był sobą przerażony. Czuł się jak zdrajca wobec żony własnego syna, swojej synowej, należącej do rodziny. Zaczerwienił się.

– Wybaczcie, że tak wprost mówię o swoich uczuciach. Wstyd mi za siebie – powiedział.

Henri wyrzucił ręce w powietrze.

– *Mon ami*, nie mamy ci czego wybaczać, a ty nie masz powodu, by się wstydić. Uczucia nie są ani dobre, ani złe. Po prostu są.

Jeremy chrząknął.

– Czujesz się odpowiedzialny za małżeństwo Thomasa?

– Zachęcałem go.

– Ale to Thomas podjął decyzję, żeby się ożenić, nie ty, Silasie – powiedział Jeremy.

– Ale popierałem tę decyzję przez swoją... obsesyjną miłość do plantacji. Thomas, żeby sprawić mi przyjemność, chciał zostawić Somerset dziedzicą na wypadek, gdyby... – Silas nie mógł się zdobyć, by powiedzieć to na głos. Przesunął dłonią po twarzy i poczuł, jaka jest wychudzona. Z rozpaczą mówił dalej: – Nie śpię po nocach, zamartwiając się, że to przeze mnie Thomas jest skazany na pozbawione miłości, a może się okazać, że i bezdzietne małżeństwo. Teraz, kiedy wojna prawie się skończyła i jest szansa, że wróci do domu w jednym kawałku... – Silas nie wypowiedział tego, co oczywiste, że gdyby jego

syn zaczekał, mógłby poznać i ożenić się z kobietą, którą kocha. –
Prześladuje mnie myśl, że na darmo się poświęcił dla Somerset – dodał
ponuro.

– Powtarzam, to była decyzja Thomasa, nie twoja – rzekł Jeremy.

– Zgadza się – dodał Henri, unosząc dłonie w geście iście
francuskim. – Za grzechy ojców... dzieci nie ponoszą
odpowiedzialności. Niech grzeszą na własny rachunek.

Silas posłał im obu słaby uśmiech.

– Próbujecie mnie rozgrzeszyć.

– Nie trzeba rozgrzeszenia tam, gdzie nie ma winy – odparł
Jeremy.

– Chcę tylko, żeby Thomas był szczęśliwy. Niczego więcej, czy
będzie dziedzic, czy nie.

– Wiemy o tym – rzekł Jeremy – a jeżeli Bóg słucha, też o tym wie.
Dlatego żadna klątwa nie ma z tym nic wspólnego. Myślisz o Thomasie,
nie o Somerset.

– I nie wolno nam tracić nadziei, że kiedy wojna się skończy,
a Thomas i Priscilla będą razem, czas, spokój i prywatność rozwiążą ich
problemy – dodał Henri. Podniósł swoją szklanę, Silas i Jeremy poszli
w jego ślady. – Przyjaciele, wnieśmy toast za bezpieczny powrót
naszych chłopców oraz ich przyszłe szczęście.

– Za chłopców! – powtórzyli Jeremy i Silas, a ten ostatni, pijąc,
pomyślał, że musi zapytać Jeremy'ego, co miał na myśli, mówiąc
o klątwie. Skąd mu to przyszło do głowy? Zaraz jednak zapomniał,
przepełniony wdzięcznością za lojalność i zrozumienie przyjaciół, poza
tym znowu poczuł ucisk pod żebrami i ból w kroczu.

Jeremy jak zwykle czytał w jego myślach.

– Silasie, mój drogi – powiedział – musisz iść do lekarza.

– Chyba tak zrobię – odparł Silas.

Rozdział 64

Wojna dotarła do Howbutker we wrześniu 1864 roku i jeden z najukochańszych jego synów padł jej ofiarą. Jessica, Priscilla i Petunia szykowały w kuchni paczuszki ze sproszkowanymi kolbami kukurydzy, substytutem sody do pieczenia, kiedy Amy, ośmioletnia „pomocnica mamy”, poszła otworzyć drzwi, do których ktoś zastukał. Braki spowodowane wojną i blokadą Unii, przez które nie mogły się przedrzeć statki z towarami, zmusiły ludność do wynajdywania różnych substytutów kawy, mąki, pieprzu, cukru i soli. Każda z mieszkańek Houston Avenue wyspecjalizowała się w produkcji dużych ilości różnych artykułów zastępczych, które następnie rozdzielala między pozostałe panie. Na przykład Bess DuMont stała się ekspertką od wypalania i mielenia żołądki oraz okry, z których dawało się zaparzyć naprawdę niezłą kawę, a Camellia Warwick opanowała sztukę robienia zadziwiająco znośnej mąki z ziemniaków. Panie z Houston Avenue widywały się co rano i przy okazji wymiany urządzały sobie towarzyskie spotkania, za każdym razem w innym domu. Następnego dnia gospodynią miała być Jessica.

– To pewnie pani Davis z kompozycją z chryzantem na stół – powiedziała Jessica.

– Jak wyszło na to, że pan Silas miał rację, a jej mąż nie, jest dla panienki dużo miłsza – zauważyła Petunia. – To jej trzeba przyznać. Umie się pokajać.

– Słabe pocieszenie dla Silasa – odrzekła Jessica.

Wszystkie przewidywania Silasa się sprawdziły. Konfederacja nie zdołała się oprzeć militarnej potędze Północy i mówiło się, że szykuje się wielka inwazja, która zmiażdży Południe. Francja i Wielka Brytania nie opowiedziały się po stronie Konfederacji w zamian za jej bawełnę, a niewolnicy całymi setkami uciekali z plantacji, ponieważ ich nadzorcy wyruszyli na wojnę, a oni sami nie widzieli powodu, by zostać. W Somerset, jak dotąd, prawie nikogo nie ubyło.

Do kuchni wbiegł jednak chłopak z sąsiedztwa, mieszkający kilka domów dalej. Na jego młodej twarzy malowało się przerażenie. Amy śpieszyła tuż za nim. Zdyszany chłopiec ściągnął kapelusz.

– Pani Jessico – wysapał – przyszyły niebieskie kurtki.

Jessica zerwała się na równe nogi.

– Co takiego? Gdzie są?

– Na pastwisku za pani domem. Kradną konie.

– Priscillo, wiesz, gdzie są pistolety. Rozdaj je służbie – rozkazała Jessica. – Petunio, ty zostań z Amy. Leonie, umiesz posługiwać się bronią?

– Jasne. Tata mnie nauczył, na wszelki wypadek.

– Priscillo, jemu też daj pistolet.

– Co my zrobimy? – zapytała jej synowa z oczami wielkimi z przerażenia.

– Nie wiem.

Jessica chwyciła strzelbę na wszelki wypadek stojącą przy drzwiach do spiżarni i ruszyła do tylnych drzwi. Wszyscy mężczyźni byli w pracy, dzieci w szkole. Jessica ze zdziwieniem pomyślała, że Leon, syn ich bankiera, jest w domu. Usłyszała jednak, jak zanosi się gwałtownym kaszlem, i zrozumiała dlaczego. W domach były tylko kobiety, większość o tej porze uciniała sobie drzemkę, a służba nie miała pojęcia o tym, co Jessica ujrzała, kiedy weszła do altany i spojrzała ku pastwisku.

Kilkunastu mężczyzn na koniach, w mundurach armii federalnej, łapało konie zaprzęgowe, które na dzień wypuszczono ze stajni. Zwierzęta uciekały i strącały pętle zarzucone im na szyje. Jessica z przerażeniem zobaczyła, że jest pośród nich Flight ‘O Fancy. Klacz zwróciła uwagę dowodzącego oficera. Jessica dokładnie usłyszała, jak oficer woła do swoich żołnierzy:

– Złapcie tego konia!

Stała bezradnie. Żołnierze nie mogli schwytać konia Nanette, ale jak mogła temu zaradzić? Była sama, z jedną strzelbą naprzeciwko kilkunastu uzbrojonych mężczyzn. Nie wolno jej narażać Leona ani pozwolić, żeby żołnierze zobaczyli Priscillę. Wystarczy, że na nią spojrzą i Bóg raczy wiedzieć, do czego się posuną. Żałowała, że nie ma przy niej Jeremiaha, mądrego i silnego, niestety, zmarło mu się wiosną dwa lata temu. Nie wiedziała, co robić, gdy nagle z przerażeniem ujrzała Roberta Warwicka wybiegającego na pastwisko z pistoletem w ręce.

Zapomniała, że chłopiec jest w domu, że jak zwykle pracuje w stolarni. Robił dla Thomasa biurko, które miało być prezentem powitalnym. Wielki Boże, nie!

Priscilla, Leon i służba wyszli z domu, każdy z bronią wyjętą z szafki w gabinecie Silasa.

– Priscillo, biegnij do sąsiednich domów i powiedz im, żeby się uzbroili – poleciła. – Niech wyślą kogoś z ostrzeżeniem do sąsiadów, ci do następnych, i tak dalej, aż wszyscy zostaną powiadomieni. Śpiesz się. Nie ma czasu do stracenia.

– Tak jest – powiedziała Priscilla, wyraźnie ucieszona przydzielonym jej zadaniem.

Dowódca, sądząc po baretkach na żółtych pagonach – porucznik, zawrócił konia w stronę zbliżającego się Roberta i wyjął z olstra pistolet. Bez zastanowienia, ale na tyle przytomna, by zostawić strzelbę, Jessica zbiegła z altany i przez żelazną furtkę wyszła na tylną drogę, za którą rozciągało się pastwisko.

– Nie! Nie! – krzyczała na cały głos.

Wszyscy żołnierze obrócili się ku niej. Flight ‘O Fancy na widok Roberta przestała uciekać i pokłusowała w jego stronę.

– Pani Jessica! – wykrzyknął zdumiony Robert, gdy podeszła bliżej. – Co pani tutaj robi?

– Mam nadzieję przemówić do rozumu wszystkim tutaj obecnym. Dzień dobry, poruczniku.

Ten otrząsnął się ze zdziwienia.

– Madam – powiedział i dłonią w rękawiczce dotknął brzegu swego kawaleryjskiego kapelusza.

– Robercie, kochanie – rzekła Jessica – błagam, rzuć pistolet na ziemię. Na nic ci się przyda wobec całej tej broni.

Dwudziestotrzyletni Robert wciąż miał świszczący oddech. Przez astmę wyglądał, jakby silniejszy wiatr mógł go bez trudu zdmuchnąć. Równie dobrze mógłby się porwać z patykiem na szarżującego byka.

– Słusznie mówi – odezwał się porucznik, a jego ton i zimne jak stal spojrzenie nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Flight ‘O Fancy podeszła do nich, a skóra na jej bokach drżała nerwowo.

– Nie zabierze pan tego konia – powiedział Robert, opuszczając

pistolet, lecz wciąż trzymając go przy boku.

– Zabiorę ją i wszystkie inne też, więc rzuć broń i wracajcie oboje tam, skąd przyszliście, a żadna krzywda was nie spotka.

– Nie zabierze jej pan – powtórzył Robert, a na jego twarzy malował się upór. – Nie będzie wojennym koniem w armii Unii.

– Będzie, kiedy z nią skończę.

– Nigdy. Prędeż ją zabiję – oznajmił Robert i przykładając pistolet do łba klaczy tuż za uchem, wypalił.

Jessica nie wierzyła własnym oczom. Żołnierze również. Chwilę trwało, zanim koń z łoskotem runął na ziemię i rozwiął się dym z pistoletu Roberta. Dopiero wtedy dotarło do wszystkich, co się stało.

– Nie powinienesz być tego robić – powiedział oficer i wycelował w Roberta.

– Nie, błagam! – wykrzyknęła Jessica, ale było już za późno.

Kula trafiła Roberta w sam środek czoła i chłopiec osunął się bezwładnie obok zabitego rumaka. Jessica padła na kolana i położyła sobie jego skrwawioną głowę na kolanach. Robert zginął na miejscu, a w jego otwartych oczach malowało się niedowierzanie. Jessica popatrzyła na oficera poprzez łzy wściekłości.

– Jak pan mógł? Przecież to był tylko chłopiec.

– Wszyscy kiedyś byliśmy chłopcami – odparł porucznik. – Człowiek, który zabił takiego pięknego konia, nie zasługuje na to, żeby żyć.

– Koń należał do dziewczyny, którą kochał. Umarła, kiedy miała piętnaście lat. Przez pamięć o niej Robert opiekował się klaczą – mówiła Jessica, zalewając się łzami.

Na twarzy porucznika pojawił się wyraz żalu. Przez chwilę wpatrywał się w rozciągające się wokół zielone pastwisko, potem przeniósł wzrok na Jessicę.

– Wojna to jedna wielka pomyłka, madam. Szczerze żałuję.

Jessica usłyszała za sobą jakiś ruch. Zerknęła przez ramię i ujrzała panie z Houston Avenue i ich służące, jak stoją w szeregu bufiastych spódnic na krynolinie i czarnych sukienek z białymi fartuszkami ciągnącym się wzdłuż całej niemal drogi. Wszystkie trzymały broń, której nauczyły się używać, by bronić swoich domów. Były wśród nich

matki, których synowie polegli lub odnieśli rany na polach bitew w Teksasie i na całym Południu. Zdawały się czekać na jej sygnał.

Camellia Warwick, drobna i delikatna, wyrwała się z szeregu i z przeraźliwym krzykiem biegła w ich stronę, a jej ogromna spódnica niemal unosiła ją w powietrzu. Jessica odwróciła się do porucznika.

– Odejdź, młody człowieku, wracaj do domu, do matki, i niech ona nigdy nie zazna bólu, jaki zadałeś matce tego chłopca. Jeśli zostaniesz, poleje się więcej krwi.

– Nie toczę wojny z kobietami i służbą – powiedział porucznik. – Ale zabieram konie. Proszę im dać znak, by się nie zbliżali, a pójdziemy w swoją stronę.

Gdy rozgrywała się ta tragedia, Silas był u doktora Woodwarda. Pojechał potem do Somerset, w swoje ulubione miejsce, z którego rozciągał się widok na plantację i efekty pracy jego całego życia. Nie uspokoilo to jednak jego myśli i nie ukoilo duszy. O ponurych zajściach na pastwisku i odwadze swojej żony dowiedział się dopiero, gdy o zmroku wrócił do domu. Uznał, że nie będzie wszystkich dodatkowo zasmucał. Postanowił z tym poczekać, aż żal po śmierci Roberta zelżeje. Dopiero wtedy powie Jessice, jaką doktor Woodward postawił diagnozę.

Rozdział 65

W kronikach trzech rodzin, Toliverów, Warwicków i DuMontów, data dwunastego kwietnia 1865 roku została uwieczniona jako dzień, w którym „chłopcy” wrócili do domu. Wojna domowa praktycznie się skończyła. Dziewiątego kwietnia generał Robert E. Lee, dowódca sił Konfederacji, świadomy jej wyniku, poddał 28 tysięcy swoich żołnierzy naczelnemu wodzowi Unii, generałowi Ulyssesowi S. Grantowi, w Appomattox w Wirginii, by uniknąć dalszych ofiar i całkowitego zniszczenia Południa. Zarówno liczba ofiar, jak i stopień zniszczeń i tak już były przytłaczające. Ostrzegawcze słowa Sama Houstona, że w razie wojny Teksas straci „kwiat mężczyzn”, potwierdziły się w ogromnej liczbie zabitych teksańskich konfederatów, którzy bronili Południa. Znalazł się wśród nich Jake Davis. Pod koniec wojny odszedł z oddziału kapitana Burlesona i wstąpił do brygady teksańskiej, która walczyła na wschodnim froncie pod generałem Lee. To właśnie on nadesłał wiadomość, że Willowshire zostało spalone do cna przez jeden z regimentów pod dowództwem generała Armii Stanów Zjednoczonych Williama T. Shermana podczas niszczycielskiego marszu przez Karolinę Południową. Jessica na podstawie tego, co opowiedział Jake’owi jej brat Michael, łatwo mogła sobie wyobrazić rozmiar zniszczeń.

Luty w Alei Plantatorów zawsze był smutny i szary. Któregoś popołudnia jeden ze służących wbiegł do biblioteki i krzykiem powiadomił Michaela, że nadchodzą niebieskie kurtki. Dziedzic Willowshire wyjrzał przez okno i ujrzał pułkownika Unii jadącego na czele kolumny żołnierzy w niebieskich mundurach, niespiesznie podążającej bezlistną aleją wiodącą przed rezydencją. Jessica się cieszyła, że jej rodzice nie dożyli tej chwili i nie widzieli tego, co stało się później. Michael wyszedł na spotkanie intruzom i stał na werandzie, podczas gdy dowódca zsiadł z konia, a jego ludzie ustawili się wokół niego okręgiem.

– Dzień dobry – powitał oficer Michaela i zdejmując rękawice, wszedł po schodach. – Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem pułkownik Paul Conklin. Być może pamięta pan moją ciotkę.

Michael przyznał, że musiał zblednąć jak kreda, bo oczywiście

doskonale pamiętał Sarę Conklin.

Pułkownik pozwolił mu wyprowadzić z domu rodzinę, służbę i psy myśliwskie, zanim jego ludzie podłożyli ogień, całej reszty jednak nie pozwolił im tknąć. Jessica była przekonana, że wyłącznie przez wzgląd na przyjaźń, która łączyła ją z ukochaną ciotką pułkownika, ten nie pozwolił swoim żołnierzom splądrować posiadłości.

Chłopcy wrócili do domu na dzień przedtem, gdy Silas położył się do łóżka, by już nigdy się z niego nie podnieść. Wcześniej dawał jeszcze radę codziennie jeździć na plantację, zajmować się interesami i uczestniczyć w posiedzeniach rady miejskiej, do której został ponownie wybrany. Doktor Woodward po symptomach domyślił się, na jaką chorobę zapadł Silas, ale posłał go jeszcze do Houston, do lekarza specjalizującego się w chorobach krwi. Specjalista potwierdził diagnozę doktora Woodwarta: Silas cierpiał na leukemię. Nie było na nią lekarstwa.

Thomas był zdruzgotany. Żadna rozpacz, jakiej doświadczył podczas wojny, nie mogła się równać ze smutkiem na myśl o zbliżającej się śmierci ojca. We wrześniu przyjechał do domu na pogrzeb Roberta i zauważył wtedy, jak bardzo ojciec się postarzał. Zaniepokoiło go to, ale uznał, że ojciec latami się zamartwiał, iż jego jedyny syn znajdzie się w wśród ofiar wojny, a teraz dołączył do tych udręk cios w postaci śmierci Roberta. Jego rodzice, drożsi mu bardziej niż kiedykolwiek, żona, która była mu obca, wszyscy łączyli się w smutku z Warwickami. Wtedy powiedział do Priscilli:

– Chcę mieć dziecko, Priscillo, już teraz. Rozumiesz?

Skinęła głową, jak zwykle przestraszona, Thomasa to jednak nie obeszło. Na litość boską, czego ta dziewczyna oczekiwała, wychodząc za mąż? Że zostanie posadzona na półce, żeby wszyscy mogli ją podziwiać? Skoro nie była jego kochanką, towarzyszką, nie pomagała mu, to niech przynajmniej rodzi mu dzieci.

Uległa, a kiedy Thomas wyjechał, zastanawiała się, gdzie się podział jej delikatny, troskliwy, pełen zrozumienia mąż. W kwietniu wrócił na stałe i zastał ją w ósmym miesiącu ciąży. Co noc modlił się o szczęśliwy poród i o to, żeby jego ojciec doczekał trzeciego teksańskiego pokolenia Toliverów, wnuka, który pewnego dnia zostanie

dziedzicem Somerset.

– Nie wiem, jak zdołam żyć bez Silasa – zwierzyła się Jessica Jeremy’emu.

Nadal w niektóre poranki spotykali się o dziesiątej, by w altanie wypić filiżankę gorzkiej żołądziowej kawy Bess DuMont, gdy laudanum uśmierzało nieco ból Silasa, pozwalając mu zasnąć.

– Nie chodzi o to, żeby żyć – odparł Jeremy głosem chrapliwym ze smutku. – Chodzi o to, żeby być żywym w pamięci tych, którzy zostali.

On i Henri zachodzili każdego dnia, żeby umilać Silasowi czas, przynosić najnowsze wieści z wojny, pomagać mu w kąpeli, siedzieć przy nim, kiedy Jessica musiała trochę odpocząć. Ponieważ wzrok mu się pogorszył, Jeremy mu czytał. Henri przynosił smakołyki ze swojego sklepu. Ból, jaki skrywali pod wesołością, rozdzierał Jessice serce.

Gdy Priscilla wydała na świat zdrowego, czteroipółkilogramowego chłopca, Silasowi zostały jeszcze trzy tygodnie życia. Priscilla poprosiła, by nadać chłopcu imię Vernon, po jakimś zapomnianym członku rodu Warwicków, którego uznała za bohatera, ponieważ brał udział w Wojnie Dwóch Róż.

– Vernon... – powtórzył Silas głosem ochrypłym od bólu i leków, gdy wsparty na poduszkach po raz pierwszy trzymał dziecko na rękach. – Podoba mi się to imię. Bardzo mądrze wybrałaś, Priscillo. Widzę, że mały łobuz ma twoje delikatne uszka. Czy masz coś przeciwko temu, że za całą resztę winę ponosi rodzina ze strony twojego męża?

– Niezmiernie mnie to cieszy – szepnęła Priscilla, zerkając na stojącego po drugiej stronie łóżka Thomasa. Jessica zauważyła jej spojrzenie. Było przepełnione beznadziejną tęsknotą. Spisałam się. Teraz mnie kochaj. Jej mąż jednak całą swoją uwagę skupił na Silasie, najpewniej starając się zapamiętać radość swego ojca spoglądającego w twarzyczkę wnuka.

W chwilach przytomności umierający Toliver wzywał do siebie syna i razem ślęczeli nad księgami rachunkowymi, dokumentami i planami uratowania Somerset. Silas przestrzegał, że Teksas i całe Południe ma przed sobą długi okres niepokoju i zamętu.

– Nasz stan niechętnie ugnie się przed dominacją Północy i może jeszcze długo nie powrócić do Unii – przepowiadał, gdy udawało mu się

odzyskać głos. – Będzie szalało bezprawie, stary porządek i nasz system społeczny runą, nasze pieniądze stracą wartość, a cena ziemi dramatycznie spadnie, ale nie wolno ci się poddawać, synu. Trzymaj się ziemi. Nadejdą lepsze czasy i Somerset rozkwitnie.

Jessica lękała się chwili, gdy Silas zamilknie, dlatego póki jeszcze mógł mówić, siedziała w salonie przy ścianie sąsiadującej z ich łóżkiem i słuchała każdego słowa, które padało podczas tych rozmów ojca z synem. Była rozdarta – z jednej strony chciała się przyznać Silasowi, że ma zasobne konto w bostońskim banku, co uśmierzyłoby jego niepokój o pieniądze, z drugiej strony bała się, że Silas miałby pretensje do Jeremy'ego o znowę z jego żoną.

– Nie rób tego, Jess – poprosił ją Jeremy w czasie jednego z porannych spotkań w altanie. – Przez wzgląd na mnie nie mów mu.

– Naprawdę sądzisz, że w tej chwili miałoby dla niego znaczenie, że razem spiskowaliśmy?

– Jestem o tym przekonany.

Jessica usłyszała w jego tonie coś dziwnego.

– Dlaczego?

Jeremy znalazł poluzowany gwóźdź w huśtawce. Skupił się na tym, żeby kciukiem wepchnąć go z powrotem.

– Po prostu uwierz mi na słowo, Jess. Pod pewnymi względami znam twojego męża o wiele lepiej niż ty. Nie ucieszyłby się na wieść, że zamiast jemu, zwierzyłaś się mnie, a ja podjąłem działania, nie powiadomiwszy go o wszystkim.

– Jak sobie życzysz, Jeremy. Nie uczynię nic, co mogłoby zniszczyć waszą wieloletnią przyjaźń, nie teraz, kiedy niemal dobiega już końca.

Zanim Silas umarł, dotarło do jego świadomości, że prezydent Lincoln w kwietniu padł ofiarą zamachu, w maju na terenie Georgii został schwytyany konfederacki prezydent Jefferson Davis, że jest wielce prawdopodobne, iż zamiast świec do oświetlania będzie się używało gazu naturalnego, który zastąpi też drewno opałowe. A kiedy Jessica z dumą poinformowała go, że Maria Mitchell, zwolenniczka ruchu na rzecz praw kobiet, jako pierwsza kobieta w Stanach Zjednoczonych została profesorem astronomii w Vassar College w Nowym Jorku,

uśmiechnął się i powiedział:

– Dokąd, na Boga, zmierza ten świat? – za co w odpowiedzi żona pacnęła go czule w ramię.

W ostatnim dniu życia męża Jessica usłyszała, jak z trudem zwraca się on do Thomasa:

– Synu, wiem... że twoje małżeństwo jest... nie takie, jakbyś chciał, ale czy... przyjmiesz radę od swojego ojca?

– Jak zawsze, papo.

– Może nigdy... nie... pokochasz... Priscilli, ale musisz ... szanować ją za to, że ona kocha ciebie. To nie jest... jakaś tam błahostka. To trzeba uszanować. Przyjmij to... jeśli na nic więcej... cię nie stać.

Jessica podniosła się z ręką przyciśniętą do ust. Silas mówił z takim trudem i bała się, że będą to ostatnie słowa, jakie z jego ust usłyszy. Jej strach okazał się uzasadniony. Gdy następnego dnia o świcie zbudziła się z ciężkiego snu, poczuła, że Silas ściska ją za rękę.

– Jessico... – wykrztusił.

Natychmiast oprzytomniała.

– Tak, mój ukochany?

– Było... – Lekko syknął, jakby chciał wypowiedzieć słowo na C, ale już nie zdołał.

– Cudownie – dopowiedziała za niego. Łagodnie zamknęła mu powieki i pocałowała go w usta. – Tak, było cudownie, najdroższy.

Silas zmarł o świcie 19 czerwca 1865 roku, w dniu, w którym unijny dowódca wojsk Stanów Zjednoczonych stacjonujących w Teksasie wydał rozkaz wprowadzający w życie Proklamację emancypacyjną znoszącą w stanie niewolnictwo.

Rozdział 66

Przez ponad rok Jessica nie opisała w swoim pamiętniku żadnego zdarzenia. Po eleganckim, oprawnym w czerwoną skórę pierwszym tomie dziennika pojawiły się czarne, praktyczne zeszyty, których miejsce zajęły zwykłe notesy, jeśli zdołała jakieś zdobyć. Wszystkie jej myśli, wrażenia, przeżycia stały ustawione chronologicznie na półce sekretarzyka, poczynając od pierwszych miesięcy jej małżeństwa z Silasem. Ostatni wpis nosił datę z czerwca 1865 roku. Po nim nie było już nic. Na ostatniej stronie napisała: „Pochowaliśmy Silasa. Thomas nalegał, by złożyć jego ciało w Somerset, w miejscu znanym tylko jemu i Silasowi. «Rozciąga się z niego widok na plantację, mamó, i papa często tam jeździł, żeby rozmyślać», powiedział mi. «Chciałbym go tam odwiedzać».

Pomyślałam o Joshui, samotnym w rodzinnym grobie na cmentarzu hrabstwa, gdzie stoi pomnik wzniesiony ku pamięci Nanette DuMont i gdzie pochowany jest Robert Warwick, ale nie mogłam nie spełnić życzenia syna. Nie wiedziałam o tym terenie, wielu jednak rzeczy o Somerset nie wiem.

Rzeczywiście, Silas spoczął w pięknym miejscu. Jego grób znajduje się w cieniu czerwonego dębu, niedaleko płynie strumień. Wieją tam łagodne wiatry i niosą szmer pieśni śpiewanych przez robotników w polu. Przypuszczam, że Thomas często tam zagląda, by porozmawiać ze swoim papą. To ich prywatna przestrzeń, do której ja nie mam dostępu, ale cieszę się, że się zgodziłam, bo wiem, że Silas byłby zadowolony. Ja byłam jego sercem, ale Somerset duszą”.

Po latach Jessica przeczytała *Krzątanicę w Mieszkaniu*, wiersz Emily Dickinson, który doskonale opisywał to, co robiła po śmierci Silasa, i tłumaczył długie przerwy w pisaniu pamiętnika. Gdy w końcu wreszcie wzięła do ręki pióro, wróciła do pustych stron z czerwca tamtego roku i przepisała nieśmiertelne słowa poetki:

Krzątanicina w Mieszkaniu
Nazajutrz po czyjejs Śmierci –
Z naszych trudów na Ziemi
Ten jest najsolenniejszy –

Uprzątnąć Serce – upychać
Miłość w komórkę bezpieczną –
Będzie potrzebna dopiero,
Kiedy się zacznie Wieczność.³

Ciało Silasa leżało w saloniku, gdy do rąk Thomasa trafił egzemplarz Proklamacji emancypacyjnej prosto z biura telegrafu. Wraz z rozkazem do Galveston przyjechał generał Unii Gordon Granger na czele dwóch tysięcy żołnierzy, aby dopilnować jego wykonania. Thomas przeczytał dokument bez słowa, przekazał go zebranym w pokoju plantatorom, po czym podszedł do ojca i położył rękę na jego zimnym czole.

– Stało się, papo – powiedział.

Jessica miała nadzieję, że pamięć o dniu, w którym Thomas przeczytał proklamację niewolnikom, nigdy się nie zatrze. Na pogrzeb zeszli się wszyscy z całej plantacji, morze czarnych twarzy, wiele zapłakanych. Grób Silasa został zasypyany, wokół kamienia nagrobnego złożono kwiaty. Dzień był szczęśliwie chłodny, ponieważ od wzgórz napływał lekki wiatr, a chmury przesłaniały słońce.

– Uciszcie się – przemówił do zebranych Thomas, unosząc dłoń. – Przeczytam wam coś bardzo ważnego.

Wszyscy zamilkli, zwróciły ku niemu twarze. Thomas zaczął odczytywać rozkaz numer 3.

– „Niniejszym informuje się ludność Teksasu, że zgodnie z proklamacją rządu Stanów Zjednoczonych wszyscy niewolnicy są wolni. Oznacza to całkowitą równość wobec prawa i posiadania pomiędzy dawnymi panami i niewolnikami. Odtąd istniejący pomiędzy nimi związek jest związkiem pracodawcy i zatrudnionego pracownika. Wyzwoleńcom zaleca się, aby spokojnie pozostali w swoich obecnych domach i pracowali za wynagrodzeniem. Informuje się ich, że nie wolno im się zbierać przy posterunkach wojskowych oraz że nie będą zachęceni do nieróbstwa ani tutaj, ani nigdzie indziej”.

Murzyni spoglądali po sobie. Przez tłum przebiegł szmer niepokoju. Jasper i jego synowie spodziewali się tego ogłoszenia i znali jego treść.

– Co to znaczy? – ktoś zapytał.

- Żeś wolny – odrzekł Jasper.
- Pan Thomas już nie jest moim panem?
- Jest pracodawcą wszystkich, którzy zostaną.

Większość została. Thomas zaopatrzył się w umowy, które agenci Biura Wyzwoleńców przygotowali dla dawnych panów i niewolników, i do końca miesiąca Somerset podzielono na pięćdziesięcioakrowe działki, które następnie przydzielono rodzinom, a powstały system nazywał się odtąd dzierżawą gruntów rolnych. Po raz kolejny Toliver jako pierwszy przewidział nieuniknione i Thomas z pana stał się właścicielem, a jego niewolnicy płatnymi robotnikami. Wszystko odbyło się w zasadzie bezboleśnie.

Co jednak nie ustrzegło Toliverów przed krytyką. Większość plantatorów nie chciała przed zniwami informować swoich niewolników o wyzwoleniu, gdy jednak Thomas ogłosił to na swojej plantacji, ich nadzieje legły w gruzach. Wieść lotem błyskawicy rozeszła się z jednego pola bawełny na drugie i czarni robotnicy zaczęli odchodzić całymi setkami, porzucając swoje motyki tam, gdzie stali.

– Cóż, Jessico, na pewno jesteś szczęśliwa – powiedział Lorimer Davis.

- Sądzisz, że to możliwe tak krótko po śmierci Silasa?
- Doskonale wiesz, że chodzi mi o zniesienie niewolnictwa.
- Zawsze mnie cieszy, gdy sprawiedliwości staje się zadość.

Niewolnicy Lorimera odeszli, zostawiając bawełnę na jego polach, i nawet obietnica lepszego traktowania nie zachęciła ich do powrotu. Bez wystarczającej siły roboczej plantacja Davisa, jak wiele innych w regionie, znalazła się na skraju ruiny finansowej.

Za oddziałami generała Grangera kolejnych pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy zalało Teksas, by zająć jego miasta zgodnie z prawem wojennym narzuconym przez Kongres Stanów Zjednoczonych „zdobytym prowincjom” Konfederacji. Okupacja była pierwszym etapem okresu przez przywódców Kongresu nazwanego „Rekonstrukcją”. Władze miejskie mieli zastąpić urzędnicy federalni, których zadaniem była ochrona wyzwolonych czarnych przed prześladowaniami, zapewnienie bezpieczeństwa agentom Biur Wyzwoleńców, organizacji utworzonych przez rząd amerykański

mających pomagać dawnym niewolnikom uczyć się życia w wolności. Mieszkańcy Howbutker z wściekłością potraktowali to jako obrazę, tym bardziej że to oni przelali krew, skutecznie broniąc granic stanu przed inwazją, i teraz, wstrzymując oddech, czekali, co owa okupacja będzie dla nich oznaczała.

Któregoś popołudnia w lipcu, kiedy cała Houston Avenue drzemała w letnim upale, błogą ciszę zakłócił stukot wielu końskich kopyt na wybrukowanej ulicy. Jessica z rozdartym sercem pakowała właśnie na piętrze ubrania Silasa do płóciennego worka, gdy dobiegł ją hałas sprzed domu. W środku była tylko ona i służba. Thomas jak zwykle pojechał na plantację, a jej synowa zabrała małego Vernona w odwiedziny do drugiej babci. Jessica przestała na chwilę składać koszulę Silasa. Domyśliła się od razu, że nadeszły siły okupacyjne. Już od jakiegoś czasu słyszało się, że nadciągają. Mieszkańcy pochowali swoje kosztowności, gdy doszły ich wieści z miast, w których prywatne domy zamieniono na kwatery dla wojska. Panowało powszechne przekonanie, że Jankesi rozłożą się obozem przy Houston Avenue, a dowódcy zamieszkają w rezydencjach.

Nie minęła chwila, gdy na dźwięk dzwonka u wejścia na schodach rozległ się pośpieszny tupot. Drzwi do pokoju otwarły się z hukiem; Petunia nawet nie pomyślała, żeby zapukać.

– Proszę pani – wykrztusiła, z trudem łapiąc oddech – na werandzie są żołnierze Unii.

Jessica spokojnie dokończyła składanie koszuli.

– Dziękuję, Petunio. Wyjdę do nich i spytam, co ich sprowadza.

Schodząc po schodach, nie zdołała uspokoić walącego szaleńczo serca. Krążyły opowieści o okropnościach, których dopuszczają się oddziały okupacyjne. W Gonzales grupa żołnierzy Unii poczuła się obrażona jakąś uwagą lekarza i wyciągnęli go z gabinetu za nogi, po czym zastrzelili na ulicy. Domy i sklepy były rabowane, rzeczy osobiste kradzione, dobytek niszczony, kobiety brane siłą. Jakiś czas temu Jessica ukryła pistolet w dolnej szufladzie swojej szafy.

Przez półokrągłe okienko w drzwiach widziała czubek kapelusza oficera federalnego, za nim kilkanaście kolejnych. Otworzyła drzwi.

– Dzień dobry. Czym mogę panom służyć? – rzekła.

Oficer, wysoki mężczyzna w wieku około trzydziestu lat,

otrzepywał sobie kurz z granatowego, szamerowanego złotem munduru. Gdyby nie mundur, prezentowałby się ujmująco. Jessica zawsze czuła sympatię do ludzi, których natura unieszczęśliwiła jej kolorytem, jednak w przypadku majora jego ogniście rude włosy, jasna skóra i liczne piegi jako mężczyznę czyniły przystojnym, co dodatkowo podkreślały jego regularne rysy i białe, równe zęby. Na widok Jessiki dotknął kapelusza i lekko się skłonił.

– Major Andrew Duncan, madam. Proszę wybaczyć to najście i zakurzony wygląd, ale czy mogę wejść?

– A mam jakiś wybór?

– Nie, przykro mi.

Jessica wymownie spojrzała na jego buty, a oficer się uśmiechnął i wytarł podeszwy o wycieraczkę na werandzie.

– Czy to wystarczy?

Jessica cofnęła się od otwartych drzwi, a major dał znak swoim ludziom, żeby zostali na zewnątrz. Sam wszedł, wnosząc ze sobą zapach mężczyzny, który spędził wiele ciężkich dni w siodle. Omiótł wzrokiem imponujący, rozświetlony lustrami hol, w którego centralnym miejscu królował portret księcia Somerset.

– Rzeczywiście jest tak piękny, jak mi opisał – powiedział.

Jessica zmrużyła oczy.

– Kto go opisał?

– Mój kuzyn – odparł major. – Guy Handley. Jestem pewien, że go pani pamięta.

Rozdział 67

– Guy? – powtórzyła Jessica. – Oczywiście, że go pamiętam.

– Ja sam byłem tu kilka lat temu, ale tylko na tyłach pani domu.

Przyjechałem, żeby namówić panią do szpiegowania dla armii Unii, gdyby doszło do wojny, ale służąca powiedziała, że nie ma pani w domu. O ile sobie przypominam, był to dzień prania.

Jessica cofnęła się myślami, mglście przypominając sobie złośliwą uwagę Stephanie Davis o jakimś obcym wymykającym się chyłkiem przez tylną furtkę – „nikt z naszych”, powiedziała wtedy, dając do zrozumienia, że mężczyzna był abolicjonistą, który przyszedł, by nakłonić Jessicę do niekzemnych działań. Choć raz podejrzenia Stephanie okazały się uzasadnione.

– Nie zgodziłabym się – rzekła Jessica, czując, jak ogarnia ją oburzenie. – Choć popierałam abolicję, nigdy nie dopuściłabym się zdrady wobec kraju, bo wiedziałam, że mój syn pójdzie go bronić.

– Guy mnie przed tym ostrzegł, dlatego też więcej nie przyszedłem. – Major się rozejrzał. – Chętnie bym usiadł, ale moje spodnie mogłyby pobrudzić pani fotele. Czy znalazłoby się jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy pogawędzić, ale gdzie nie zniszczyłbym pani pięknych obić?

– W gabinecie mojego męża są skórzane fotele.

– Niech pani prowadzi, a tak przy okazji, jak się miewa pani mąż?

– Nie żyje.

Stukot obcasów majora na wypolerowanej posadzce holu ucichł.

– Och, bardzo mi przykro – odezwał się głosem, w którym pobrzmiwał żal. – Guy nie mógł się go nachwalić.

– Wie pan może, co się stało z Ezekelem i jego żoną? – zapytała Jessica.

– Mieszkają w Massachusetts, na farmie mlecznej. Są dobrymi rodzicami bliźniaków.

– A Guy?

– Zginął pod Bull Run.

– Och, nie! – wykrzyknęła żałośnie Jessica.

Młody nauczyciel zginął w jednej z pierwszych wielkich bitew

wojny secesyjnej.

Major ujął ją za łokieć.

– Może usiadzimy? – zaproponował łagodnie.

Zaprowadziła go do gabinetu i gestem wskazała fotel przed biurkiem Thomasa, które stało w miejscu dawnego biurka Silasa, sama zaś usiadła za nim. Major z zachwytem przesunął dłonią po gładkiej sosnowej powierzchni.

– Cóż za piękna robota – rzekł.

– Zrobił je dla mojego syna Robert Warwick, przyjaciel rodziny, szczególnie utalentowany w stolarce.

Major zauważył słowa „James Toliver”, dyskretnie wyryte pochyłym pismem w rogu biurka.

– Zdawało mi się, że pani syn ma na imię Thomas.

– To prawda – odparła Jessica, zastanawiając się, skąd major to wie. – James to drugie imię mojego syna. Robert miał dziwny zwyczaj pisania od tyłu. Nie zdążył wyrzeźbić imienia, którym zwracamy się do mojego syna.

– Dlaczego?

– Zginał od strzału w głowę z ręki oficera kawalerii Unii.

Major lekko się zmieszał.

– Jak widzę, możemy sobie wzajemnie złożyć wyrazy współczucia po śmierci bliskich poległych w wojnie.

– Proszę mi wyjaśnić cel swojej wizyty, majorze.

Andrew Duncan założył nogę na nogę, a kawaleryjski kapelusz położył sobie na kolanie. Podeszwa jego buta była oblepiona błotem z drogi.

– Jak zapewne pani wie, nie jest to wizyta towarzyska. Moi ludzie i ja mamy za zadanie wziąć Howbutker pod opiekę armii Stanów Zjednoczonych...

– Eufemizm oznaczający okupację wojskową, jak sądzę – weszła mu w słowo Jessica.

Major pochylił głowę.

– Skoro tak pani twierdzi. My jednak mamy pilnować tu porządku i w tym celu działać zgodnie z przepisami rządzącymi okupacją wojskową. Jeśli nie napotkamy sprzeciwu, nic nie grozi ani ludziom, ani

dobytkowi. Grabież jest surowo zakazana. Każdego z moich ludzi, który przekroczy swoje uprawnienia, czeka surowa kara. Ma pani na to moje słowo.

Jessica skinęła głową.

– Brzmi to rozsądnie, a pan wygląda na człowieka, który nie łamie danego słowa, ale wyczuwam „jednakże”.

– Jednakże – podjął major – oczekujemy współpracy ze strony mieszkańców miasta. Żadnych szyderstw, opluwania czy innej otwartej prowokacji wobec moich żołnierzy. Walczyli równie ciężko i dzielnie jak wasi żołnierze i... proszę wybaczyć, że o tym przypominam... wygrali. Innymi słowy, pani Toliver, nie wolno nam przeszkadzać w zadaniach, które mamy tu do wykonania, to znaczy utrzymaniu spokoju i porządku w wypełnianiu postanowień Kongresu.

Zmieszana Jessica uniosła ramiona.

– Nie mam zamiaru szydzić, opluwać ani prowokować pańskich żołnierzy, majorze, dlaczego więc pan mi to mówi?

Major rozprostował nogi i nachylił się ku niej.

– Nie wiedząc o śmierci pani męża, przyjechałem prosić go, aby dołączył do swoich przyjaciół... – zjrzał do dokumentu, który wyjął z wewnętrznej kieszeni kurtki – Henriego DuMonta i Jeremy’ego Warwicka. Od Guya wiem, że obaj panowie są bardzo wpływowi w mieście. Miałem nadzieję, że będę mógł liczyć na ich pomoc w przekonaniu pewnych... niepokornych grup, że ich opór zakończyć się może tylko niepotrzebnym przelewem krwi.

– Mówi pan o członkach grup straży obywatelskiej, którzy nazywają siebie patrolami mieszkańców.

– Tak.

– Nasz syn Thomas przejął obowiązki swego ojca, a synowie panów, o których pan wspomniał, również posiadają znaczne wpływy. Poza Henrim i Jeremym, mogę porozmawiać również z nimi w pańskim imieniu. Jestem pewna, że przystaną na pańskie warunki pokojowej koegzystencji.

– Będę bardzo zobowiązany, pani Toliver – powiedział oficer, wstając. – Obawiam się niestety, że muszę w jeszcze jednej sprawie liczyć na pani dobrą wolę.

Teraz, pomyślała Jessica, dygocząc w środku: major chce poprosić – zażądać – aby on i jego oficerowie mogli zamieszkać w domu.

– Chciałbym, żeby moi ludzie rozłożyli się obozem na pastwisku za ulicą, a z tego, co mi wiadomo, ma pani wolny pokój nad wozownią. Prosiłbym o przydzielenie go mnie. Czy dopilnuje pani, aby został przygotowany?

Jessica dyskretnie odetchnęła z ulgą.

– Skoro pan nalega, majorze.

– Obawiam się, że tak.

Z holu dobiegły odgłosy Priscilli wracającej z dzieckiem z wizyty u matki. Vernon płakał. Nie mógł się przespać o zwykłej porze. Jessica słyszała, jak Priscilla woła ją niecierpliwie – przerażona widokiem żołnierzy Unii odpoczywających na werandzie.

– Jestem w gabinecie, Priscillo – odkrzyknęła Jessica.

Synowa wbiegła do pokoju i przez jedną ulotną chwilę Jessica oniemiała na widok jej urody. Gorąco i zdenerwowanie wywołały na jej policzkach rumieniec i sprawiły, że jej oczy stały się jeszcze bardziej niebieskie niż zwykle. Jasne, sprężyste, naturalnie skręcone włosy okalały jej twarz w kształcie serca, a na ich tle jej skóra była równie nieskazitelna jak płatek róży Yorków.

– Och! – wykrzyknęła Priscilla, zatrzymując się na widok oficera Unii.

– Kochanie, to jest... – Jessica odwróciła się do mężczyzny i ujrzała, że ten wpatruje się w jej synową jak urzeczony. – To jest major Duncan – powiedziała. – Dowodzi batalionem armii amerykańskiej, który będzie okupował Howbutker. Majorze, to moja synowa.

Priscilla, z popłakującym, niespokojnym Vernonem na rękach, przywitała się z oficerem.

– Dzień dobry panu.

Major Duncan odzyskał panowanie nad sobą. Postąpił naprzód i wyciągnął rękę, dłonią zwróconą ku górze. Priscilla położyła na niej koniuszki palców, a on uniósł je do ust.

– Dzień dobry, pani Toliver. Proszę wybaczyć, że tak wtargnąłem w pani życie.

W Jessice obudził się niepokój. Priscilla cofnęła rękę i spojrzała na

Jessicę, jakby oczekiwała, że teściowa rzuci jej linę, by wyciągnąć ją z toni, w której się pogrążyła.

– Muszę położyć Vernona do snu – powiedziała zmieszonym głosem.

– Koniecznie, moja droga – rzekła Jessica. – Jestem pewna, że pan major ci wybaczy.

– Bardzo niechętnie – odparł major Duncan, kłaniając się z galanterią – lecz oczywiście rozumiem. Chłopiec musi się przespać.

Kiedy Priscilla wyszła z pokoju, Jessica zwróciła się do majora:

– Czy jest pan żonaty, majorze?

– Nie, proszę pani. Jestem zawodowym żołnierzem i moje powołanie na to nie pozwala.

Załoczył kapelusz i Jessica odprowadziła go do drzwi.

– Kiedy planuje pan zajęcie wozowni? – zapytała go.

– Jutro rano, jeśli to możliwe.

Jessica już chciała zaproponować jakieś inne lokum, wygodniejsze od jednopokojowego mieszkania, ale ugryzła się w język. Major mógłby się z nią zgodzić i dojść do wniosku, że sypialnia w domu bardziej by mu odpowiadała.

Jessica wezwała Petunię i kazała jej posłać służących, aby posprząтали wozownię, a sama wróciła na górę i usiadła między porzucanymi ubraniami Silasa. W ich otoczeniu wyraźniej czuła jego obecność. Jakżeby jej się w tej chwili przydały słowa pocieszenia z jego strony! Fizyczny pociąg, który wyczuła między Priscillą a majorem Duncanem, głęboko ją zaniepokoił. Może ze strony majora był to naturalny u zdrowego mężczyzny zachwyt nad piękną kobietą, a u Priscilli zadowolenie, że podoba się przystojnemu mężczyźnie, czego niewątpliwie mąż jej nie dawał.

Ciężko było patrzeć na ich małżeństwo. Thomas wziął sobie do serca radę ojca i chyba żaden inny mąż nie okazywał swojej żonie więcej szacunku i uprzejmości niż on Priscilli, lecz wyczuwało się w tym nieszczerłość, na co ona reagowała równie sztywno.

Krążyli wokół siebie niczym manekiny odgrywające rolę męża i żony, bez spontaniczności i ciepła. Jedyne dziecko ich łączyło. Kiedy jeszcze byli zaręczeni, rozmawiali o budowie rezydencji na terenie

plantacji, teraz jednak żadne o tym nie wspominało. Gdy Jessica zapytała o to Thomasa, odparł, że Priscilla woli mieszkać w mieście, skąd ma bliżej do swoich rodziców, on zaś nie chce zostawiać matki samej w domu przy Houston Avenue. Gdyby jednak nie Vernon, po kolacji raczkujący i gaworzący na podłodze w salonie, Jessica nie zniosłaby drętwych wieczorów w ich towarzystwie.

Rozdział 68

Z okna na piętrze Jessica widziała, jak major Andrew Duncan wchodzi do kwatery nad wozownią i wychodzi z niej. O wschodzie słońca zbiegał po schodach, by dołączyć do swoich ludzi na pastwisku, gdzie rozstawili namioty i palili ogniska. Zapewne pił tam kawę i jadł śniadanie. W wozowni tylko spał. Na swoje miejsce urzędowania zajął jeden z domów w mieście, niedaleko miejsca, które Biuro Wyzwoleńców wyznaczyło na budowę szkoły dla dzieci wyzwolonych niewolników.

Na Houston Avenue docierały wieści o jego uczciwości, odwadze, bezwzględności wobec przejawów bezprawia. Pod koniec miesiąca kupcy i mieszkańcy z niechęcią zaczęli przyznawać, że obecność jego żołnierzy skutecznie odstrasza bandy wyrzutków, dezertarów i hultajów chętnych do niszczenia sklepów, plantacji i gospodarstw, bezbronnych przez brak mężczyzn, których zabrała wojna. Patrole straży obywatelskiej siedziały cicho, odkąd sąd wojskowy uznał dwóch ich członków za winnych doprowadzenia jednego z wyzwoleńców na skraj śmierci i skazał na dożywocie w więzieniu w Huntsville. Złodzieje koni byli ścigani i zakuwani w dyby w palącym słońcu, zaś schwytani kłusownicy polujący na zwierzęta domowe trafiali do więzienia, gdzie żyli o chlebie i wodzie. Poza tym głównym zadaniem żołnierzy federalnych była budowa szkoły dla dzieci wyzwolonych niewolników.

Jessica z całego serca pochwałała wytrwałe dążenie majora Duncana do wybudowania szkoły, do której zamierzała zgłosić się na ochotnika jako pierwsza nauczycielka. Oczywiście podniosą się głosy protestu – biała kobieta będzie udzielała nauk czarnym dzieciom! – ale czegoż innego można się było spodziewać po Jessice Wyndham Toliver.

Wkrótce Andrew Duncan stał się cotygodniowym gościem przy stole Toliverów. Thomas wracał z plantacji dopiero wieczorem, a major Unii także dopiero wtedy miał czas, by rozmawiać o publicznych sprawach i troskach. Czasem dołączali do nich Jeremy i Henri wraz z synami, by po kolacji raczyć się cygarami i portem. Ich rozmowy i śmiech często towarzyszyły Jessice, gdy udawała się na spoczynek. Cieszyło ją to, gdyż wierzyła, że taka zażyłość między niedawnymi

wrogami to dobra rzecz. Będąc człowiekiem kulturalnym, major w sposób oczywisty dobrze się czuł w wypełnionym pięknymi przedmiotami domu Toliverów, stanowiącym miłą odskocznnię od ponurych i pełnych napięcia dni. Dla Jessiki, choć nie dla jej syna, było równie oczywiste, że major uważa Priscillę za kolejny z pięknych atrybutów tego domu.

Gdy okupacja trwała już od dwóch miesięcy, podczas jednej z takich kolacji Priscilla ku zaskoczeniu zebranych oznajmiła, że chce zostać nauczycielką w budowanej szkole.

– Priscillo, to doprawdy cudownie! – wykrzyknęła Jessica. – Będziemy uczyć razem, majorze, ja również chciałam zaproponować swoje usługi.

– Kto w takim razie zajmie się Vernonem? – spytała ją Priscilla, marszcząc swoje gładkie czoło.

Jessicę zaskoczyła irytacja w głosie synowej.

– Cóż, Petunia i Amy, naturalnie.

– Nie chcę, żeby moje dziecko w pierwszych latach swojego życia wychowywało się bez obecności kogoś z rodziny. Jego ojca w ciągu dnia nigdy nie ma. Jedna z nas musi zostać, a mnie przyda się odmiana. Ty już przysłużyłaś się naszej społeczności, Jessico.

Całe towarzystwo oniemiało przysłuchiwało się tej tyradzie. Priscilla po raz pierwszy tak zdecydowanie wyraziła swoją wolę, a wyraz jej twarzy i ton nie zostawiały miejsca na żadne dyskusje.

– Ma rację, mamó. Przysłużysz się sprawie, pomagając Priscilli zgromadzić potrzebne książki i ułożyć plan lekcji. Resztą niech ona się zajmie. Będzie miała szansę pokazać, do czego jest zdolna – rzekł Thomas.

Przemówił jako głowa rodziny, w imieniu Priscilli, która teraz była panią domu, na co Jessica przystała chętnie i bez sprzeciwu. Ucieszyłaby się, widząc, jak Thomas staje po stronie żony i byłaby zachwycona, widząc pełne aprobaty spojrzenie, które jej posłał, gdyby nie podejrzenie, że chęć Priscilli do nauczania w nowej szkole miała niewiele wspólnego z marzeniem, aby odsłaniać przed czarnymi dziećmi tajniki czytania i pisanania.

– Czy Vernon nie mógłby w tym czasie być ze swoją drugą babcią?

– zaproponowała Jessica.

– Chcę, żeby był tutaj z tobą. Wiem, że o wiele bardziej woli przebywać z tobą niż z moją matką. Ona... cóż, ma do niego nieco inne podejście.

– W takim razie sprawa załatwiona – zakończył dyskusję Thomas. Zwrócił się do siedzącej po jego prawej stronie matki. Odkąd Thomas zasiadł u szczytu stołu, zajmując po śmierci Silasa jego miejsce, Jessica dyplomatycznie oddała swoje na drugim końcu stołu Priscilli. Jej synowa nigdy nie czuła się tam dobrze, dopiero dzisiaj się to zmieniło. – Mamo, zasługujesz na to, aby teraz inni nieśli kaganek oświaty Murzynom – powiedział łagodniejszym tonem. – Zostań w domu i ciesz się swoim wnukiem.

Siedzący naprzeciwko Jessiki major Duncan, promienny po kąpieli w łaźni, którą wybudowali dla niego żołnierze za stajniami, i jeszcze przystojniejszy w swoim granatowym mundurze ze złotymi epoletami, milczał, wyraźnie zdecydowany nie wtrącać się w rozmowę, która niemal przerodziła się w rodzinną kłótnię. Jessica się zastanawiała, czy w ogóle ma pojęcie, o co tak naprawdę chodzi. Mężczyźni potrafią być wyjątkowo tępi, gdy w grę wchodzi pragnienia kobiet.

– Jak sobie życzysz, Priscillo – zgodziła się Jessica – pamiętaj jednak, że mieszkańcy będą ci się bacznie przyglądać.

Zawołowana aluzja nie trafiła do blond główki Priscilli.

– Tak jak zawsze przyglądali się tobie. Postaram się wypełnić swoją misję z gracją, z jaką ty zawsze wszystko robiłaś.

Thomas się roześmiał.

– Ostrzegasz Priscillę przed niechęcią mieszkańców, podczas gdy sama w ogóle się nią nie przejmowałaś, mamo?

– Nie miałam na myśli niechęci, Thomasie. Ostrzegałam tylko twoją żonę, by nie dawała nikomu powodów do plotek.

– Chodzi jej o to, żeby nie uczyła czarnych dzieci niczego, co jest dla nich nieodpowiednie – odezwała się Priscilla. – Czyż nie, Jessico? Nie musisz się martwić. Nikt mi niczego w tym względzie nie zarzuci. W programie nauczania będą tylko podstawy czytania, pisanie i arytmetyki.

Thomas znowu się roześmiał.

– Sądzę, Priscillo, że matce chodzi o to, byś nie dała nikomu powodu do podejrzeń, że chcesz być taka jak ona.

– To raczej niemożliwe – odparła kwaśno Priscilla. W jej niebieskich oczach pojawił się błysk, który Jessica rozpoznała jako zazdrość o teściową. Świadomie bądź nie, Thomas dał żonie do zrozumienia, że porównuje ją ze swoją matką, co ją zabolalo. – Nie sposób dorównać oryginałowi – dodała Priscilla.

– Dobrze powiedziane, pani Toliver! – odezwał się major i wznosił swój kieliszek w stronę Priscilli.

Thomas, posyłając żonie kolejne dumne spojrzenie, poszedł w jego ślady.

– W rzeczy samej – stwierdził.

W duchu Jessica westchnęła. Och, na miłość boską!

Najchętniej udusiłaby Thomasa, że odmawia Priscilli tego, czego potrzebuje każda żona – męzowskiej uwagi i podziwu. Czy on nie widzi, jaka ona jest śliczna? Priscilla może nie była najmądrzejsza i zbyt imponowały jej nazwisko i pozycja, ale poza tym miała dobre serce i była troskliwa. Czy nie może tego doceniać także poza sypialnią? Czy tak były mu obojętne jej uczucia, że pozostawał ślepy na to, iż staje się bezbronna wobec uwagi innych mężczyzn?

Czy nie wiedział, że zbyt długo traktowane obojętnie, serce kobiety w końcu oziębnie?

W takich chwilach Jessica rozpaczliwie tęskniła za Silasem. Thomas przestał słuchać jej rad, bo uznał, iż już ich nie potrzebuje. Silas porozmawiałby z nim jak mężczyzna z mężczyzną, mąż z mężem. Thomas nie poczułby się obrażony, lecz ona jako matka nie mogła zapuszczać się na te niebezpieczne wody... Wiedziała, co by jej odpowiedział: „Mamo, o czym ty mówisz?”

Dwa tygodnie później Priscilla zwróciła się do Jessiki w „delikatnej sprawie”. Gdy Jessica usłyszała, o co chodzi, ugięły się pod nią nogi. Próbowwała dojrzeć w twarzy synowej dowody, że dziewczyna ma świadomość niebezpieczeństwa, na jakie się porywa. Cały poprzedni tydzień Priscilla nadzorowała prace wykończeniowe w szkole. Biuro Wyzwoleńców zapisywało uczniów, a pierwsze lekcje miały się zacząć w nadchodzącym tygodniu. Priscilla zdała się na Jessicę

w kwestii przygotowania planu nauczania, zebrania książek wśród sąsiadów i przyjaciół i zaopatrzenia szkoły, jako że według niej ona była niezbędna na budowie.

– Musimy mieć więcej miejsca – powiedziała Priscilla, tłumacząc Jessice, czemu chce zająć sypialnię i salon należące do niej i Silasa. Jessica dostanie apartament w drugim skrzydle, dotąd zajmowany przez rodzinę Thomasa. – Z salonu chcielibyśmy zrobić pokój dziecienny dla Vernona, żeby miał więcej prywatności.

– Prywatności? Przecież on ma dopiero pięć miesięcy – zdziwiła się Jessica.

– Ale rośnie.

Jessica nie mogła odmówić. Dom należał do niej i mogła nim zarządzać wedle uznania, ale przez wzgląd na spokój w rodzinie nie chciała tego robić. Cieszyła się, że Thomas i Priscilla zrezygnowali z pomysłu budowy domu na plantacji. Jessica chciała, żeby Vernon dorastał w domu rodzinnym, z dala od plantacji. Może dzięki temu zdoła ochronić chłopca przed władzą, jaką ziemia ma nad jego ojcem.

Wypowiadając swoją prośbę, Priscilla podeszła do okna wychodzącego na wozownię z wyrazem wyczekiwania na twarzy. Czy naprawdę sądziła, że jej teściowa jest ślepa?

– Kiedy zamierzasz się przeprowadzić? – zapytała Jessica.

Priscilla obróciła się ku niej z wyraźną ulgą, że tak łatwo się zgodziła.

– Jak tylko służba się z tym upora.

Rozdział 69

Dopiero na początku października 1866 roku Jessica wróciła do pamiętnika, w którym od trzydziestu lat uwieczniała wszystko, co dotyczyło Toliverów, Warwicków i DuMontów. Któregoś ranka z sercem przepełnionym emocjami otworzyła sztywną kartonową okładkę notesu. Siedziała w swoim pokoju, w którym zajmowała się korespondencją, odkąd dogłądanie gospodarstwa scedowała na Priscillę. Przekazując koronę, musiała oddać synowej salon, zastrzegając jednak, że zabierze ze sobą swój sekretarzyk. Nadeszła gwałtowna jesień i w okna waliły strumienie deszczu, szczęśliwie jednak ogień płonął w kominku.

Jessica patrzyła na pustą, białą kartkę. Od czego ma zacząć opisywanie dla potomności – i dla siebie samej, gdy pamięć zacznie jej już szwankować – końca epoki, którą znała od czterdziestu dziewięciu lat? Dzisiaj przypadały jej urodziny. Nalała sobie filiżankę herbaty i zamyśliła się. Czy może zacząć w miejscu innym od tego, w którym przyszła na świat?

„Ojczyzna”, jak wielu osadników z taboru Willowshire w dalszym ciągu nazywało Karolinę Południową, ucierpiała najwięcej podczas marszu wojsk generała Shermana przez Południe. Cała jej infrastruktura legła w gruzach. Zniszczone zostały tory kolejowe, mosty, drogi, nabrzeża, odziarniarki i magazyny. Plantacje splądrowano, domy, zabudowania gospodarcze, całe pola spalono do ziemi, żywy inwentarz skradziono lub zarżnięto, sprzęt rolniczy zniszczono. Żadna z plantacji trzech rodzin – Wynd-hamów, Warwicków i Toliverów – nie uniknęła dewastacji. Michael mieszkał teraz z rodziną w dwuizbowej chacie postawionej w miejscu, gdzie dawniej było Willowshire. Jeden z braci Jeremy’ego zginął, daremnie broniąc rodzinnej własności, drugi zaś spakował się i wyjechał z rodziną do Ameryki Południowej, żeby tam zacząć wszystko od nowa. Morris umarł na atak serca krótko po tym, jak armia Shermana zajęła Columbię, stolicę stanu, a jego dwaj synowie nie przeżyli bitwy pod Shiloh. Lettie razem z córką przeprowadziły się do rodziny w Savannah.

Jessica zanotowała sobie: Zacząć tam, gdzie wszystko się zaczęło.

Losy Warwicków i DuMontów z Teksasu potoczyły się znacznie szczęśliwiej. Jeremy i Henri cieszyli się finansowym powodzeniem, Henri umiarkowanym, Jeremy wyjątkowym. Wszystko, czego Jeremy się tknął, zamieniało się w złoto, w którym kazał sobie płacić. W kwietniu amerykańska Kompania Telegraficzna, w której miał pokaźne udziały, została wchłonięta przez Western Union. W ten sposób narodziła się największa firma telegraficzna w kraju, a Jeremy został bardzo bogatym człowiekiem. Zbywał jednak machnięciem ręki wszystkie pochwały, jakie zbierał za swoje osiągnięcia. Jego serce wciąż należało do przemysłu drzewnego, a optymizm nigdy nie osłabł. „Prawdziwe bogactwo Teksasu, moi drodzy, kryje się w drewnie – mawiał. – Poczekajcie, a sami zobaczycie”.

Jego synowie, którzy przeżyli wojnę, ożenili się i dali swoim rodzicom liczne wnuki. Najstarszy, chłopczyk liczący sobie rok więcej od Vernona, otrzymał imię Jeremy III. Camellia dowcipnie nazywała swoich mężczyzn noszących to imię jako: „Jeremy ojciec, Jeremy syn i Jeremy skaranie boskie”.

Blokada utrudniała Henriemu import towarów z Europy, miał jednak powiązania z Francuzami z Meksyku, sympatyzującymi z Konfederacją, i to oni pośpieszyli mu z pomocą. Dzięki immunitetowi dyplomatycznemu francuscy kurierzy mogli przewozić towary przez granicę z Teksasem, to zaś, czego nie dało się wwieźć, szmuglowano. Henri za radą Jeremy’ego również zdeponował przedwojenne zyski w północnych bankach. Podobnie jak przyjaciel wierzył, że Teksas zacznie się rozwijać, ponieważ nastał istny exodus ludzi z Południa, szukających szczęścia w stanie niezniszczonym przez wojnę. Mając to na względzie, kupował działki w Howbutker, zamierzając dzierżawić je pod zabudowę mieszkalną i komercyjną.

Z dwóch synów DuMontów tylko jeden Armand się ożenił i spłodził dorodnego synka, któremu nadano imię Abel. Był rówieśnikiem Jeremy’ego III i wszyscy mieli nadzieję, że Vernon i chłopcy, dorastając, będą cieszyli się taką samą przyjaźnią, jak ich ojcowie i dziadkowie.

Kartka wciąż pozostawała niezapisana. Jessica się zastanawiała, co – i ile – powinna napisać o tym, czego jej własna rodzina doświadczyła

w ciągu ostatnich siedemnastu miesięcy. Mimo zawiści i osobistych uraz, które ludzie żywili wobec Toliverów, musieli oddać im sprawiedliwość i nazwisko rodowe od czasu wojny cieszyło się jeszcze większym poważaniem. Sprawdziły się przewidywania Silasa. Niejeden żałował teraz, że nie słuchał jego mądrych rad i nie poszedł za jego przykładem. Thomas, krytykowany, że nie wyruszył walczyć za Południe, teraz był postrzegany jako jeden z najdzielniejszych broniących rodzinnego stanu, a Jessica w annałach historii Howbutker zapisała się jako legenda za to... cóż, za to, że była Jessicą.

Somerset należała do niewielu plantacji w Teksasie, które podźwignęły się ze zgliszczy wojny, i wszystko wskazywało na to, że przetrwa. Silas jeszcze przed blokadą zdołał wysłać do Anglii wielki transport bawełny i tysiące dolarów, które za nią otrzymał, można było odebrać po wojnie. Razem z pieniędzmi, o których istnieniu na koncie w Bostonie Thomas dowiedział się ze zdumieniem, jej syn miał wystarczające środki, żeby zastąpić przestarzały sprzęt i zwierzęta pociągowe, dokonać napraw i płacić swoim dawnym niewolnikom na tyle dobrze, że niewielu zdecydowało się odejść. Tegoroczne zbiory okazały się bardzo dobre i handel bawełną z Północą i krajami europejskimi z wigorem ruszył na nowo.

Vernon miał półtora roku i był radością ich życia. Dla wszystkich stanowił pociechę, która zapełniała pustkę po Silasie. Czasem, patrząc na niego, Jessica miała wrażenie, że pęknie z żalu, iż Silas nie zdążył wnuka poznać. Martwiła się, że dorastający chłopczyk ucierpi z powodu napięcia między rodzicami, zanim jednak stanie się wystarczająco duży, by zdawać sobie z tego sprawę, ich małżeństwo pokryje się patyną uprzejmości i wzajemnej akceptacji, która od biedy będzie mogła uchodzić za miłość. Na razie Priscilla była jak nowo narodzona, swobodniejsza, szczęśliwsza, bardziej pełna życia. Jessica nie miała dowodu, że za tę zmianę ponosi odpowiedzialność major Duncan, ale zaczęło się to wraz z otwarciem szkoły. Synowa promieniała. Jessica była pewna, że nie ma to nic wspólnego z nauką liczenia, czytania i pisania grupki niesfornych, rozgadanych, nieumytych czarnych dzieci stłoczonych w gorącej i dusznej salce. Radosny śmiech Priscilli, błyszczące oczy i pewny siebie krok przypominały Jessice ją samą po

upojnych nocach, które spędzała z Silasem.

Nikommu się nie zwierzała ze swoich domysłów. Mogła tylko liczyć na dyskrecję synowej i ślepotę Thomasa nierozumiejącego, skąd ta nagła zmiana w żonie. Dziewczyna pozbyła się swojej nieśmiałości, niezdecydowania i strachu, które wzmogły się po ślubie z Thomasem – ponieważ wzięła ślub z Thomasem, jak uważała Jessica. Jej syn jednak niczego nie zauważał.

– Nauczanie ci służy – powiedział do żony. Coraz bardziej się Priscillą interesował. Wracił wcześniej do domu i Jessica z początku się lękała, że zaczyna coś podejrzewać, on jednak chciał spędzać więcej czasu z żoną i synkiem. Jessica pod byle pretekstem zaraz po kolacji szła do siebie, by Thomas, Priscilla i ich dziecko mogli spędzić rodzinny wieczór w salonie.

Ich miłość zdawała się rozkwitać. Któregoś ranka Jessica ze zdziwieniem stwierdziła, że tylko ona zeszła na śniadanie.

– Gdzie jest mój syn i synowa? – spytała Petunię.

– Jeszcze nie wstali – odpowiedziała ta z zażenowanym uśmiechem. – Zająłm się dzieckiem.

Dwa miesiące po otwarciu szkoły trzy rzeczy wydarzyły się niemal jednocześnie i Jessica już zawsze się zastanawiała, czy coś je ze sobą łączyło. Szkoła spłonęła, co nikogo nie zdziwiło, ponieważ pewne grupy nie mogły pogodzić się z jej istnieniem, położyło to jednak kres nauczycielskiej karierze Priscilli. Wkrótce potem major Duncan poprosił o zgodę na przeniesienie i otrzymał ją, a Priscilla oznajmiła, że jest w ciąży.

Rozdział 70

– Mamo, to wykapana ty – powiedział Thomas, obracając ku Jessice zawiniątko, by mogła po raz pierwszy spojrzeć na swoją wnuczkę.

– O matko! – jęknęła Jessica, patrząc na opatuloną w różowy kocyk małą czerwoną twarzyczkę Reginy Elizabeth Toliver.

– Ale, ale – zbeształ ją Thomas, zaraz jednak wybuchnął dumnym śmiechem ojca zachwyconego nowo narodzonym dzieckiem. – Wiem, że zawsze cierpiałś z powodu swojej skóry, piegów i rudych włosów, ale ojciec je uwielbiał, ja też, i na pewno będę je uwielbiał w tym małym aniołku. – Dotknął ustami maleńkiego czółka.

– Może przynajmniej nie będzie mieć piegów – powiedziała Jessica z wątpliwą nadzieją, podejrzewając, skąd malutką spotkało takie nieszczęście.

Thomas uśmiechnął się do swojego dwuletniego synka, który stał uczepiony jego nogi. Na uniesionej twarzyczce chłopca malowała się ciekawość zawiniątkiem, które tak zachwycało ojca. Byli sami w bibliotece. Woodwardowie poszli na górę do córki i lada chwila matka Priscilli zejdzie, by zabrać niemowlę do matki.

– No dobrze – powiedział Thomas. – Kolej na ciebie, Vernonie. Chodź, usiądziemy sobie i przedstawię ci twoją małą siostrzyczkę.

Jessica się przyglądała, jak jej wysoki syn siada na krześle, żeby jej wnuczek mógł obejrzeć dziewczynkę, jaka po raz pierwszy od dwudziestu lat przyszła na świat w rodzinie Toliverów. Zaskoczyła ją radość, z którą Thomas przyjął płęć dziecka. Miał nadzieję, że Vernonowi przybędzie kompan do zabaw. Nigdy nie krył pragnienia, aby Vernon miał wielu braci. Po śmierci Joshui został jedynakiem i bardzo mu to doskwierało. Często pytał: „Kiedy będę miał innych braci jak moi koledzy?”, aż stał się na tyle duży, by zrozumieć, że nie należy o to pytać.

– Dwadzieścia lat! – powtórzyła Priscilla, kiedy Thomas zdradził jej ten drobny fakt z historii rodu Toliverów, gdy doktor poinformował go o narodzinach córeczki. – To całe pokolenie!

– Dokonałaś rzeczy, która nie udała się żadnej kobiecie w rodzinie

przez te wszystkie lata – rzekł Thomas, czule osuszając rękami wilgotne włosy żony.

– Nie jesteś rozczarowany? – zapytała.

Leżała wyczerpana po trzech godzinach męczącego porodu, który zniosła z zadziwiającą siłą i cierpliwością. Rywal doktora Woodwarda, wezwany do asystowania przy porodzie, oświadczył ojcu Priscilli, który w napięciu oczekiwał w holu, że nigdy dotąd nie widział matki, która tak wspaniale współpracowała z naturą.

– Ona naprawdę pragnie tego dziecka – rzekł.

– Nie, nie jestem rozczarowany – odrzekł Thomas z czułością. – Przykro mi, że musiałaś o to zapytać.

– Tak bardzo pragnęłaś syna.

– Chciałem kolejnego dziecka. A ponieważ wszędzie wokół rodzą się sami synowie, nie śmiałem marzyć o córce.

– Nie przeszkadza ci, że... nie jest podobna do żadnego z nas?

– Absolutnie. Jest podobna do rodziny ze strony mojej matki.

– Co za ulga, że tak myślisz – powiedziała Priscilla.

Jessica przysłuchiwała się tej rozmowie z kąta sypialni (miejsce obok Priscilli na swoim dawnym łóżku oddała matce dziewczyny), i zadawała sobie w duchu pytanie, jakie znaczenie ma to, kto jest ojcem dziecka. Co rodzinna krew ma wspólnego z miłością do niego?

Wszystko. Gdyby Thomas tylko zaczął podejrzewać, że jego córka nie jest Toliverem, myślała sobie... Jak dotąd jednak nic nie wzbudziło jego podejrzeń. Był kompletnie nieświadomy, że Priscilla i major Duncan mają się ku sobie. Nawet zmiana nastroju jego żony po wyjeździe majora uszła jego uwagi. Kładł to na karb pożaru szkoły.

– Tak bardzo chciała tam pracować – powiedział.

– Tak, to na pewno wszystko tłumaczy – stwierdziła Jessica, jednak nie zdziwiła się, kiedy tłumacząc się ciążą, Priscilla odmówiła prośbie Biura do spraw Wyzwoleńców, by kontynuowała nauczanie w opuszczonym magazynie do czasu, aż powstanie nowa szkoła.

Ojcostwo, krew, więzy rodzinne miałyby dla Thomasa ogromne znaczenie. Jessice robiło się zimno, gdy słuchała, jak tłumaczył Vernonowi jego obowiązki jako brata młodszej siostrzyczki. A jeżeli Thomas bez żadnego konkretnego powodu nagle zacznie się

zastanawiać, czy mała rudowłosa dziewczynka naprawdę jest z jego krwi i kości? Gdy któregoś dnia, przyglądając się, jak bawi się Regina Elizabeth, imienniczka swojej babki z Queenscrown, niespodziewanie wspomni majora Andrew Duncana i ożywienie jego żony w czasie, gdy pan major stacjonował w Howbutker? Jeśli jedna myśl pociągnie za sobą drugą i kolejną, i nagle, z taką samą pewnością jak to, że następnego dnia słońce znowu wzejdzie, Thomas będzie wiedział. Zdarzały się takie niespodziewane momenty objawienia.

Sama tego doświadczyła. Doskonale pamiętała chwilę, w której jak grom z jasnego nieba dotarło do niej, że Jeremy Warwick kocha ją nie tylko jako przyjaciółkę, choć nigdy żadnym gestem ani słowem nie przekroczył granic braterstwa. Grali wtedy w krykieta na trawniku Warwicków. Jeremy w parze z Jessicą, Henri z Camellią, a Bess nalewała lemoniadę. Piłka podana przez Jeremy'ego przeleciała nagle przez ostatnią bramkę i trafiła do celu. Jeremy uśmiechnął się do niej.

– Wygraliśmy – powiedział i w tej samej sekundzie nagle jakby słońce przebiło się przez chmury, odsłaniając sekretne przejście w znajomym pokoju. I Jessica wiedziała.

A Jeremy wiedział, że Silas wie. Dlatego właśnie poprosił ją, żeby nie wyjawiała mężowi tajemnicy bostońskiego konta w ostatnich chwilach jego życia. „Po prostu zaufaj mi, Jess. Pod pewnymi względami znam twojego męża lepiej niż ty. Nie ucieszyłby się na wieść, że zamiast jemu, zwierzyłaś się mnie, a ja podjąłem działania, nie powiadomiwszy go o wszystkim”.

Silas jednak im ufał i nie miał nic przeciwko ich szczególnej przyjaźni, która rozkwitała w najlepsze. Dla Jessiki owo objawienie było wstrząsem, lecz Jeremy nigdy się nie dowiedział, co tamtego dnia zrozumiała.

– Tak, wygraliśmy – odparła i podnosząc piłkę, pomachała nią triumfująco w stronę reszty.

Ale, na Boga, cóż to byłaby za tragedia, gdyby Thomas się dowiedział, że ojcem Reginy Elizabeth jest inny mężczyzna, do tego oficer Unii. Z małżeństwa i stosunku Thomasa do córki zostałyby żałosne szczątki.

– Maki – odezwał się cienkim głosem Vernon. – Włosy ma jak

kwiatki maków.

– Tak właśnie będziemy ją nazywać, synu. Kwiatuszek.

Jakże pięknie razem wyglądali, jej rozpromieniony syn, zaciekawiony wnuczek nachylony nad niemowlęciem w objęciach Thomasa. Powstałby z tego wspaniały obraz. Jessica nie rozumiała, dlaczego ona, należąca do pierwszego pokolenia, nie potrafi zdobyć się na to, aby przyłączyć się do dwóch następnych.

– Mamo, chodź tu do nas, zanim zabiorą nam naszą małą księżniczkę.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi do biblioteki i weszła Petunia.

– Pani Priscilla przysłała mnie po dziecko, panie Thomasie. Jest pora karmienia.

I rzeczywiście, malutka zaczęła płakać i wierzgać maleńkimi kończynami otulonymi w kocyk. Thomas niechętnie oddał zawiniątko służącej.

– Przynieś mi ją potem – poprosił. – Chcę, żeby wiedziała, kto jest jej ojcem.

Petunia zerknęła na Jessicę, ale ta odwróciła wzrok, czując, jak ściska ją w żołądku.

– Dobrze, proszę pana – rzekła Petunia.

Do końca wiosny i przez całe lato, gdy zbliżały się pięćdziesiąte urodziny Jessiki, w mieście i okolicy panowało napięcie. Miejsce majora Duncana zajął bezwzględny generał, pod którego dowództwem znajdowały się wszystkie wojska Unii stacjonujące w Teksasie. Nie podobało mu się, jak stan stosuje się do rozkazów Kongresu w kwestii budowania jego politycznej, społecznej i ekonomicznej struktury. Generał za swoją główną kwaterę obrał sobie Howbutker i natychmiast rozwścieczył jego mieszkańców, usuwając wybranych urzędników i sędziów i zastępując ich ludźmi wyznaczonymi przez siebie. Jedynie ci, którzy zdali „test wierności” uznawany przez rząd, oświadczając, że nigdy z własnej woli nie walczyli przeciwko Stanom Zjednoczonym ani nie „pomagali, popierali, doradzali czy zachęcali osób zaangażowanych w zbrojny opór”, mogli pełnić służbę publiczną. Thomas z miejsca stracił swoje stanowisko przewodniczącego rady miejskiej, a Armand

DuMont przestał być burmistrzem.

Wszystkie stanowiska zajęli przybysze z Północy, którzy cały swój dobytek mieli w płóciennych workach. Przyjeżdżali, ponieważ mogli kupować opuszczone plantacje i rancza za ułamek tego, co musieliby zapłacić w północnych stanach. Hrabstwo z niepokojem i niechęcią przygotowywało się na ich poczynania jako ludzi posiadających władzę.

W roku 1867 do wszystkich nieszczęść, które spadły na wschodni Teksas, doszła epidemia żółtej febry i plaga motyli, których larwy pożerały liście, niszcząc pola bawełny. W gorącym zaduchu domu, którego okna były pozamykane w obronie przed komarami, Jessica rozmyślała o sekretarzu stanu, Williamie Stewardzie, który kupił od Rosjan Alaskę, powiększając terytorium Stanów Zjednoczonych o 586 412 mil kwadratowych zimnej ziemi, i zastanawiała się, czy da się tam uprawiać bawełnę. Dzieci były niespokojne, Thomas zmartwiony i podenerwowany, Jessica znużona przygnębiającą pracą w szpitalu dla weteranów wojny domowej. Priscilla natomiast zdawała się tego wszystkiego nie zauważać, zadowolona, że jej stosunki małżeńskie uległy znacznej poprawie, dzięki czemu czuła się pewniej jako pani domu.

– Co robisz, Jessico?

Na dźwięk władczego tonu odwróciła się. Priscilla stała w drzwiach spiżarni, gdzie Jessica przeliczała kurczące się zapasy. Od wojny wciąż trudno było je uzupełnić.

– Cóż... – rzekła Jessica zła, że musi się tłumaczyć. – Chyba nietrudno się domyślić. Sprawdzam, ile czego nam zostało w spiżarni.

– Czy nie ja powinnam to robić?

– Owszem, tylko że musiałabyś to robić.

– Jestem zajęta przy dzieciach.

– Dlatego ja się tym zajmuję.

Często dochodziło między nimi do podobnej wymiany zdań. Nie zostało śladu po zadurzonej, zastraszonej dziewczynie, która zjawiała się w ich domu, z nabożnym zachwytem podziwiając jego elegancję i wysmakowanie – i przed pojawieniem się majora Andrew Duncana i pozbyciem się pewnych... zahamowań, na czym skorzystał Thomas.

Październik przyniósł ochłodzenie i wieść, że Priscilla znowu jest

przy nadziei. Po południu w dzień urodzin Jessiki pojawił się niespodziewany gość. Jessica weszła do salonu i zastała w nim czarną, patykowatą kobietę, swoją rówieśnicę, ubraną w suknię princeskę, która wyparła krynoliny i gorsety, przydając nastroszonej, niezgrabnej sylwetce właścicielki nieco kształtu. Kobieta na widok otwartych ze zdumienia ust Jessiki uśmiechnęła się szeroko.

– Chyba nie sądziłaś, że przegapię twoje pięćdziesiąte urodziny, prawda? – zapytała Tippy.

Rozdział 71

Niespodziewana wizyta była sprawką DuMontów, którzy na cześć obu kobiet urządzili w swoim *chateau* przyjęcie urodzinowe, przypominające nieco czasy przedwojennej dekady. Stroje gości były zdecydowanie mniej modne i wyraźnie znoszone i na ich tle suknie Camellii Warwick, Bess DuMont i Tippy, bez krynolin, za to z lekką tiurniurą, wyglądały jak jaskrawe konie na zużytej karuzeli.

– Wojna odcisnęła swoje piętno – zauważyła później Tippy, mając na myśli gości i dużo mniejszą liczbę mieszkańców Houston Avenue obecnych na przyjęciu.

– Tak jak przewidział Silas – odparła Jessica.

– Zauważyłam, że Davisowie się nie pojawili. Czy dlatego, że byłam jednym z gości honorowych?

– Nie przyszli, ponieważ wstydzą się i złością z powodu swojej biedy. W pewnym sensie ich rozumiem i im współczuję. Na wojnie stracili syna, Jake'a; był takim uroczym, dobrym chłopcem. Thomas i reszta wciąż za nim tęsknią. Jednak za całą resztę niepowodzeń winę ponosi wyłącznie Lorimer. Gwałtownie oponował, kiedy Silas przepowiadał, że Konfederacja przegra z Północą z kretesem, i w dalszym ciągu skupował ziemię i niewolników, podczas gdy rozsądek nakazywał poczekać z tym do rozstrzygnięcia wojny. Wreszcie nie był w stanie spłacać hipoteki, a nad jego majątkiem przejęła kontrolę firma windykacyjna z Galveston, razem z domem przy Houston Avenue. Generał, który dowodzi stacjonującą u nas armią, wynajął go dla siebie i swoich oficerów, co Davisom jest jeszcze trudniej przełknąć. Podobny los spotkał mnóstwo innych znaczących rodzin plantatorów w całym Wschodnim Teksasie.

Tippy ze smutkiem pokręciła głową.

– Ale Somerset przetrwała.

Jessica wzruszyła ramionami.

– Silas o to zadbał, przez wzgląd na Thomasa, a Thomas robi to samo przez wzgląd na Vernona. Chociaż Vernon ma dopiero trzy latka, już widać, że jest ulepiony z tej samej gliny, co jego ojciec. Każdego ranka błaga Thomasa, żeby go ze sobą zabrał, jednak trudno mu się

dziwić, że woli towarzystwo ojca od domu pełnego samych kobiet.

– Cały Thomas – westchnęła Tippy tak dobrze Jessice znanym, wyrokującym tonem.

Jessica poczuła gęsią skórkę. Ona i Tippy rozkoszowały się jesiennym słońcem, siedząc na frontowej werandzie, na której tak często gawędziły, nie bacząc na spojrzenia sąsiadów oburzonych, że jedna z nich popija herbatkę z Murzynką. Jessica zbywała to pogardliwym prychnięciem. Ci, którym udało się zatrzymać swoje rezydencje przy Houston Avenue, z wyjątkiem Warwicków i DuMontów, nie powinni ani finansowo, ani towarzysko wywyższać się nad Tippy, która teraz, jako Isabel, stała się jedną z najbardziej pożądanых projektantek mody w Ameryce. Jej suknie i dodatki projektowane dla firmy odzieżowej w Nowym Jorku, która zatrudniła ją jako pierwsza, odniosły natychmiastowy sukces i pojawiły się kolejne, jeszcze bardziej lukratywne propozycje ze świata haute couture. By mieć prawo do nazwy „haute couture” (co Tippy tłumaczyła jako „krawiectwo z górnej półki”), dom mody musiał należeć do Związkowej Izby Handlowej Haute Couture w Paryżu pod egidą francuskiego departamentu przemysłu. Tippy projektowała dla jedynej firmy w Ameryce należącej do szacownego ciała. Do jej klientek należały panie z tak prominentnych rodów jak Astorowie, Vanderbiltowie i Morganowie, a z Sarą Josephą Hale, redaktorką znanej „Godey’s Lady’s Book”, niezmiernie ważną i wpływową osobą w świecie mody, łączyła Tippy osobista przyjaźń.

– Nie wiem, czy chcę to słyszeć – odrzekła Jessica, podając przyjaciółce śmietankę.

– Że Vernon jest podobny do ojca? A to czemu?

Jessica zamieszała swoją herbatę. Jak ma na to odpowiedzieć? Była w takiej samej rozterce jak wtedy, gdy po długiej przerwie wróciła do swojego pamiętnika i nie wiedziała, od czego zacząć. W przeciwieństwie jednak do niezapisanych stron, Tippy jej wysłucha i doradzi.

Przyjaciółka i powiernica, od lat jedyna tak bliska Jessice kobieta, wyjeżdżała następnego dnia rano pociągiem najpierw do Nowego Orleanu, a stamtąd do Nowego Jorku. Towarzyszyć jej będzie Jeremy, który wybierał się w podróż w interesach. Jessice zostało zaledwie kilka godzin, by skorzystać z jej mądrości.

– Thomas poszedł w ślady swojego ojca i dla Somerset ożenił się z kobietą, której nie kochał – powiedziała.

Tippy z zatroskaniem uniosła brwi. Podobnie jak włosy, brwi miała siwe, rzadkie i nastroszone.

– Wygląda na to, że poszczeniło mu się w tym tak samo jak Silasowi.

– Och, z czasem rzeczywiście przekonał się do Priscilli.

Jessica usłyszała jakiś hałas dobiegający z salonu, pod którego oknami siedziały. Służba przesuwała meble, żeby odkurzyć dywany.

– Wypiłaś już herbatę? – zwróciła się do Tippy.

Tippy zajrzała do swojej filiżanki.

– To ma jakieś znaczenie?

– Nie. Przejdźmy się po ogrodzie. Lancastery i yorki o tej porze roku kwitną najpiękniej.

Z dala od domu i wścibskich uszu służby Jessica opowiedziała Tippy o przybyciu przystojnego i charyzmatycznego majora Andrew Duncana akurat w chwili, kiedy w małżeństwie jej syna nie układało się najlepiej.

– Dla wszystkich z wyjątkiem Thomasa było oczywiste, że Priscilla majora urzekła – powiedziała. – A ja się obawiam, że moja synowa, spragniona męskiej uwagi, uległa jego... zainteresowaniu.

– Thomas się dowiedział?

– Nie, dzięki Bogu. To było tuż po wojnie. Właśnie stracił ojca i miał mnóstwo spraw na głowie.

Tippy przystanąła, zmuszając Jessicę, by zrobiła to samo.

– W czym więc problem? Ich małżeństwo nie ucierpiało, a z tego, co mówiłaś o oziębłości Priscilli, major Duncan tylko się Thomasowi przysłużył.

– Och, nie mam do Priscilli pretensji, że wdała się w romans, jeśli rzeczywiście tak było, i nie o mojego syna mi chodzi.

– A o kogo?

– O Reginę Elizabeth.

W ciemnych, przepastnych oczach Tippy pojawił się błysk zrozumienia, niczym pstrąg przemykający w bystrym nurcie strumienia.

– Chcesz powiedzieć...

– Właśnie tak.

– Wiesz to na pewno?

– Nie. – Dotarły do ogrodowej furtki. Jessica ją otworzyła i wyszły przez nią. – Być może major Duncan i Priscilla tylko ze sobą flirtowali. Może dzięki niemu poczuła się dowartościowana i przestała bać się seksu. Wątpię, żeby na tym się skończyło, ale to niewykluczone. Na Priscilli nietrudno zrobić wrażenie. Jeżeli jednak jakimś nieszczęśliwym zrzędzeniem losu Thomas się o nich dowie? Boże, miej litość! To byłoby gorsze, niż gdyby dom zawalił się nam na głowę. Thomas już nigdy nie darzyłby dziecka takim samym uczuciem. Tippy... – Jessica zwróciła się do przyjaciółki wyczekująco – znasz się na takich rzeczach. Potrafisz czytać w gwiazdach. Czy kiedykolwiek dowiemy się na pewno, czy Regina pochodzi z Toliverów?

Tippy ze zmarszczonym czołem zastanawiała się nad pytaniem.

– Wierzę, Jessico, że z czasem wszystkie tajemnice wychodzą na jaw, więc tak, pewnego dnia będziesz to wiedzieć na pewno i mam nadzieję, że zdążysz ją jeszcze pokochać tak, jak na to zasługuje.

Jessica zaskoczona zaprotestowała.

– O czym ty mówisz? Oczywiście, że ją Kocham.

– Ale nie tak, jakbyś kochała, mając pewność, że twój syn jest jej prawdziwym ojcem.

Jessica odwróciła się zawstydzona.

– Zawsze dostrzegasz to, czego inni nie widzą. O Boże, Tippy. Czuję do siebie obrzydzenie, ale... Kiedy na nią patrzę, widzę tylko piegi i rude włosy majora Duncana. Zniechęciłam go. Wykorzystał sytuację, a Priscilla mu na to pozwoliła. I chociaż rozumiem, jak i dlaczego do tego doszło, i wiem, że na razie nic złego z tego nie wynikło, kiedy patrzę na to dziecko, widzę tylko owoc ich zdrady.

– Jesteś matką, Jessie. Wierzysz, że Priscilla z takiego czy innego powodu nie dochowała Thomasowi wierności, co w sposób naturalny odbija się na twoim stosunku do niej i dziecka, ale popatrz, jak bardzo kochasz Amy, córkę Petunii. Nie płynie w niej twoja krew, jest nawet innej rasy.

– To prawda, Tippy, ale inaczej kocha się dziecko przyjaciółki, a inaczej dziecko ze swojej rodziny. Regina jest urocza i nigdy bym jej

nie obwiniła za niewierność jej matki, ale zwyczajnie nie czuję z nią takiej więzi jak z Vernonem.

– Ty naprawdę wierzysz, że Regina nie jest dzieckiem Thomasa, prawda?

– Nie mam pewności, a sama wiesz, że nigdy nie byłam podatna na wątpliwości.

Tippy ze smutkiem pokręciła głową.

– Wielka szkoda, moja droga. Regina będzie cię kochać najbardziej i przede wszystkim u ciebie szukać aprobaty.

Jessica popatrzyła na kwitnące w ogrodzie białe i czerwone róże, pięknie prezentujące się w jesiennym słońcu. Czy nadejdzie kiedykolwiek chwila, gdy będę musiała położyć czerwoną różę u stóp mojej wnuczki? Regina, choć skończyła dopiero pół roczku, już przejawiała oznaki tego, co przepowiedziała Tippy. Jak kot, który szukał towarzystwa Jessiki, choć specjalnie za kotami nie przepadała, mała Regina przede wszystkim do babci wyciągała rączki z kołyski i z podłogi w salonie, tylko u niej na kolanach przestawała płakać, kiedy nikomu innemu nie udawało się jej uspokoić.

– Thomas kocha swojego syna – powiedziała Jessica – ale córkę po prostu uwielbia, podobnie jak Vernon. Nie chcę nawet myśleć, jak by cierpieli, oni i Regina, gdyby ta domniemana prawda kiedykolwiek wyszła na jaw. – Zamknęła oczy. – Gdyby nie Somerset, Thomas nigdy nie ożeniłby się z Priscillą. Zawsze się bałam, że w którymś momencie to się zemści. Mogę tylko mieć nadzieję, że Regina na tym nie ucierpi.

– Twoje małżeństwo z Silasem nigdy się nie zemściło, Jessico.

Gorzki śmiech Jessiki ciał rześkie powietrze jak nóż.

– Oj, zemściło się, Tippy. Zemściło.

Rozdział 72

Delikatne pukanie oderwało Jessicę od jej pamiętnika. To zapewne Amy przyniosła jej przedpołudniową herbatę. Dziewczyna miała już siedemnaście lat i stała się w domu niezastąpiona. Jessica zaproponowała, że pośle ją do Berlin College w Ohio, pierwszej wyższej uczelni, która przyjmowała kobiety i czarnych, ale Amy odmówiła. Powiedziała, że jej miejsce jest tutaj. Lubiła swoje życie „pośród książek, kwiatów i tych wszystkich, których kocham i którzy mnie potrzebują”, Jessica jednak podejrzewała, że w grę wchodzi miłość. Amy „chadzała” z ogrodnikiem DuMontów i na pewno niedługo odbędzie się wesele. Szkoda, pomyślała sobie Jessica w poczuciu winy, że pomogła stworzyć więź, której dziewczyna nie chciała zerwać. Było jej tym bardziej przykro, że Amy uważała, iż to ona jest jedną z tych osób, które potrzebują opieki.

Oddanie, z jakim Amy i jej matka traktowały Jessicę, było jedną z wielu rzeczy, z którymi przez te wszystkie lata jej synowej trudno było się pogodzić. Z czasem pozycja Jessiki w domu z wolna uległa zmianie. Coraz częściej nie wychodziła ze swojego pokoju nawet przez całe przedpołudnie.

Z pustej jeszcze kartki pamiętnika spoglądała na nią data. 7 listopada 1873 roku. Gdzie się podziały te wszystkie lata? Jej syn miał trzydzieści sześć lat, Vernon osiem, a David, najmłodszy wnuk, pięć. Regina skończyła... sześć, przypomniała sobie Jessica. Odłożyła pióro.

– Wejdz, Amy.

Cisza. Zdziwiona wstała od biurka. Może Amy, niosąc tacę, nie potrafi sobie sama otworzyć. Za drzwiami jednak czekała na nią blada, piegowata twarzyczka Reginy. Wnuczka nigdy wcześniej nie odwiedziła Jessiki w jej pokoju.

– Dzień dobry, babuniu – powiedziała, wpatrując się w nią wielkimi oczami, w których malowała się niepewność, czy babcie ucieszy jej widok.

Na widok tego spojrzenia Jessice zrobiło się ogromnie przykro. Co takiego zrobiła, co powiedziała, że dziewczynka wątpiła, czy babcia cieszy się z jej towarzystwa?

– Dzień dobry, Regino. Co cię do mnie sprowadza?

– Przy... przyniosłam ci prezent.

– Prezent? – powtórzyła Jessica tonem zdradzającym, że jest mile zaskoczona. – No to wejdź, proszę, i pokaż, co też takiego mi przyniosłaś. – Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę, a mała podała jej swoją. Jej rączka była delikatna i kształtna. Nikt w rodzinie nie miał takich rąk. – Przyszłaś w samą porę na herbatkę. Amy zaraz ją nam przyniesie. Dodamy do twojej dużo mleka i cukru, żeby mama nie krzyczała, że pijesz napój dla dorosłych.

– Cudownie.

Rozbawiona – dziewczynka naśladowała jej własne słowa – Jessica zaproponowała:

– Może usiądziemy przy stole pod oknem, gdzie jest dużo światła.

– Cudownie – powtórzyła Regina, kładąc na stole coś zawiniętego w chusteczkę.

Usiadła, ostrożnie układając strojną w falbanki jedwabną sukienkę, wyprostowana jak struna. Matka już kazała jej nosić gorset i ubierała ją w najmodniejsze stroje ze sklepu DuMonta, ostatnio przemianowanego na Dom Towarowy DuMont.

– Czy zechcesz rozpakować swój prezent? – zapytała Regina.

– Naturalnie.

Jessica rozwinęła koronkową chusteczkę i znalazła w niej opakowanie gumy do żucia Adams No.1. Produkt ten trafił na rynek w poprzednim roku, za co wdzięczność należała się nie komu innemu, jak niesławnemu generałowi Antonio Lopezowi de Santa Anna. Według prasowych doniesień przebywający na wygnaniu w New Jersey były dyktator sprzedał Thomasowi Adamsowi, wynalazcy, partię mlecznego soku drzewa sączyniec przywiezioną z Meksyku jako substytut gumy. Wynalazca zauważył, że Santa Anna bardzo lubił żuć sok, naturalny lateks pochodzący z wiecznie zielonych drzew w Ameryce Środkowej. Ponieważ nie zdołał substancji utwardzić tak, aby zastępowała gumę, Thomas Adams zaczął któregoś dnia żuć kawałek i ze zdziwieniem stwierdził, że bardzo mu to smakuje. Ugotował część swoich zapasów i stworzył rynkowy fenomen, którego próbkę Jessica trzymała teraz w ręce.

– Ojej, cóż za przysmak! – wykrzyknęła, udając zachwyt na widok czarnej, pozbawionej smaku „ciągutki”, która wywoływała takie poruszenie.

– Kupiłam specjalnie dla ciebie w sklepie monsieur DuMonta, za własne pieniądze – oznajmiła Regina z dumą.

– Kochana jesteś, że o mnie pomyślałaś – powiedziała Jessica z nadzieją, że dziecko nie oczekuje, iż zacznie żuć paskudztwo w jej obecności. Z korytarza dobiegł ją brzęk porcelany – w końcu zjawiała się Amy z herbatą. Jessica poprosi ją, żeby została. W przeciwieństwie do Petunii, Amy uwielbiała małą, a dzięki herbacie będzie miała o czym z wnuczką rozmawiać i czym ją zająć.

Regina zerkała ciekawie w stronę biurka Jessiki.

– Pisziesz książkę? – zapytała nieśmiało.

– W pewnym sensie. To pamiętnik.

– Co to jest pamiętnik, jeśli wolno mi zapytać?

– Wolno. To opis wszystkiego, co się dzieje w czyimś życiu.

– To znaczy?

– To, co codziennie spotyka nas, naszą rodzinę, przyjaciół, różne wydarzenia w domu i w mieście, a także to, co czujemy. Takie opisywanie wspomnień.

– Pisziesz o mamusi i tatusiu?

– Tak.

– I Vernonie, i Davidzie?

Jessica się zawahała. Wiedziała, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Tak – powiedziała.

Niepewnie, spoglądając nieśmiało, dziewczynka zapytała:

– Czy czasem piszesz też o mnie?

– Tak – odparła Jessica zgodnie z prawdą. – Często.

Buzia małej się rozpromieniła.

– Naprawdę? A co piszesz?

– Że jesteś bardzo kochana i dobra, masz doskonałe maniery i bardzo grzecznie się zachowujesz, czego raczej nie odziedziczyłaś po Toliverach.

Regina zaśmiała się radośnie, pokazując równe, małe ząbki i różowy języczek.

– Ale tatuś mówi, że jestem kropka w kropkę taka sama jak ty – powiedziała, po czym nagle spowaźniała. – A ja chcę być taka jak ty.

Jessica nie wiedziała, jak zareagować. Z wdzięcznością powitała Amy, która weszła z tacą.

– Mam dzisiaj gościa – powiadomiła ją i już miała poprosić służącą, żeby została, lecz na widok miny dziewczynki – błagalnej – powstrzymała się. „Nie prosz, żeby została” rysowało się wyraźnie na buzi dziewczynki, jakby czytała Jessicę w myślach. – Czy możesz przynieść nam jeszcze jedną filiżankę? I trochę ciasteczek. Regina i ja urządzimy sobie podwieczorek.

– Zaraz przyniosę – Amy mrugnęła do małej. – Zachowuj się, mała.

– O tym jej przypominać nie trzeba – ofuknęła ją Jessica.

– Kim jest chłopiec na zdjęciu, babuniu? – zapytała Regina, ciężarem sukienki i halki pomagając sobie ześlizgnąć się z krzesła, by przyjrzeć się dagerotypowej fotografii stojącej na półce nad biurkiem Jessiki.

Jessica wstrzymała oddech. Od lat już nikt nie zauważał zdjęcia, ona zaś ostatnimi laty często wspominała Joshuę.

– To jest Joshua. Brat twojego ojca.

Regina popatrzyła na nią pytająco.

– Twój inny syn?

– Tak, mój... inny syn.

– Gdzie jest?

– Umarł wiele lat temu, kiedy miał zaledwie dwanaście lat. Spadł z konia i skręcił sobie kark.

– Och! – Regina przycisnęła delikatne rączki do policzków, tak samo jak jej matka w chwilach przerażenia. – Tak mi przykro, babuniu. Musiało ci być bardzo smutno.

– Było. Codziennie za nim tęsknię.

– Czy był taki jak tatuś?

– Nie. Bardzo się różnili.

– Dlaczego?

– Twój ojciec zawsze kochał ziemię. Jego brat kochał ludzi, którzy na niej żyli.

- I dlatego byli inni?
- Tak, dlatego byli inni.
- Czy przez to ty też ich inaczej kochałaś?
- Chyba tak – powiedziała Jessica. Co to za pytanie u sześciolatki?
- Ale w takim samym stopniu.

– Stopniu?

– Tak samo bardzo. Nie było różnicy w tym, jak bardzo ich kochałam. Kochałam ich dokładnie tak samo mocno. – Jessica czuła gorąco na twarzy. To dziecko wiedziało. Chociaż Jessica bardzo się starała ukryć, że nie darzy swoich wnuków takim samym uczuciem, Regina jakoś wyczuwała, że babcia inaczej kocha jej braci i dlatego właśnie zadawała jej teraz te wszystkie pytania. Nadeszła Amy z dodatkową filiżanką i talerzykiem ciastek. Regina znowu wdrapała się na krzesło. Jessica usiadła naprzeciwko niej, ocierając zwilgotniałe oczy.

– Czy mam przygotować ci taką herbatkę, jaką lubisz? – zapytała.

– Byłoby cudownie.

Jessica starannie zaczęła nalewać herbatę. Kochane dziecko schowało się za murem nienagannyh manier, żeby nie narazić się na moją dezaprobatę, pomyślała. Skąd w ogóle przyszło jej do głowy, że mogłabym zranić jej małe serduszko?

– Kiedy wypijemy herbatę, może poczytasz mi jedną ze swoich książeczek? – zaproponowała Jessica. – Usiądziemy sobie przy kominku i będziemy słuchać, jak za oknem wiatr opowiada swoje tajemnice. Spróbujemy się domyślić, co to za tajemnice.

Buzia małej dziewczynki się rozjaśniła.

- Nie będę musiała opowiedzieć o nich braciom?
- Nie, to będzie nasza tajemnica, tylko twoja i moja.
- I możemy owinać się kocami?
- I możemy owinać się kocami.
- To byłoby naprawdę cudownie – orzekła dziewczynka.

Rozdział 73

Priscilla przystanąła przed drzwiami pokojów Jessiki. Choć wszyscy wyszli z domu na całe popołudnie, a ona dopilnowała, żeby służba miała co robić na dole, rozejrzała się uważnie dokoła. Poczowała znajomy ucisk w żołądku. Pięć, może nawet sześć razy odwiedzała potajemnie pokój Jessiki, ciągle jednak drżała, że teściowa wróci, zapomniawszy o czymś, albo – Boże ucho! – zjawi się Petunia, ten cerber Jessiki. Gospodyni może przyjść, niosąc świeże prześcieradła albo róże dla swojej pani, i przyłapać ją myszkującą w biurku Jessiki.

Jak mogłaby wytłumaczyć, że zakradła się do pokoju teściowej i czyta jej prywatne dzienniki wyjęte z zamkniętego schowka? W żaden sposób, i Priscilla od początku wiedziała, że jeśli zostanie przyłapana, mąż ani teściowa jej nie wybaczą, uznała jednak, że warto zaryzykować, bo szansa, że ktoś ją przyłapie, była znikoma. Jak dotąd Jessica nie miała nawet cienia podejrzeń, że ktoś zagląda do jej dzienników. Za każdym razem otwierając schowek, Priscilla zapamiętywała, jak dzienniki były ustawione, i układała je w dokładnie takiej samej pozycji, podobnie jak kluczyk chowała w to samo miejsce, w którym go znalazła.

Niemal od chwili narodzin Reginy Jessica traktowała dziewczynkę z rezerwą, jakiej nie okazywała Vernonowi. Przez krótki czas Priscilla sądziła, że babcia po prostu kocha bardziej pierwszego wnuka.

– Następnym wnuków nie kocha się tak bardzo, jak pierwszego, prawda? – zapytała swoją matkę.

– Oczywiście, że się kocha – odparła matka. – Czemu pytasz?

– Wydaje mi się, że Jessica woli Vernona od Reginy.

– To dlatego, że woli chłopców. Dzięki Bogu, wychowała tylko synów. Nie miałyby w sobie dość ciepła dla córek, jak sama zauważyłaś.

Priscilla zgodziła się z matką. Ona i Jessica nigdy się do siebie nie zbliżyły, czego Priscilla żałowała, jednak wyjaśnienie jej matki nie tłumaczyło serdeczności, z jaką Jessica traktowała Amy, ani uwielbienia dla wszystkich dzieci, bez względu na ich płeć, rasę czy pochodzenie.

– Coś ci się roi – powiedział Thomas, gdy zwierzyła mu się ze swoich podejrzeń. – Moja matka traktuje Vernona i Reginę tak samo.

I rzeczywiście, pozornie miał rację. Kiedy David przyszedł na

świat, Jessica bardzo uważała, żeby całej trójce swoich wnuków okazywać dokładnie tyle samo miłości i uwagi, jednak w stosunku do Reginy zawsze odnosiła się z ledwie zauważalną rezerwą. Tylko matka zauważała takie rzeczy.

Początkowo Priscilla się starała, żeby jej stosunki z teściową układały się jak najlepiej. Kiedy jednak zrozumiała, że Jessica inaczej traktuje Reginę, w ich pokojowe relacje wkraść się zamęt. Niewielka zazdrość, którą odczuwała Priscilla i którą za wszelką cenę starała się w sobie zdusić, teraz zamieniła się w niechęć. Ten zielonooki potwór często towarzyszył synowej dzielącej królestwo z matką męża. Thomas zawsze stawał po stronie matki (Priscilla bardzo się pilnowała, żeby nie dopuszczać do takich konfrontacji), zaczynało jej to jednak przeszkadzać. Denerwował ją szacunek, z jakim jej dzieci odnosiły się do babki, podczas gdy ją często lekceważyły i zdarzało się im pyskować, a także absolutne oddanie, z jakim Petunia i reszta służby traktowali Jessicę, chociaż to przecież ona była panią domu. Wszystko to wyłaziło niczym pryszcz na skórze – i tylko dlatego, że Jessica wyraźnie zdawała się od Reginy odsuwać.

Dlaczego w takim razie, zastanawiała się Priscilla, zauważyła to dopiero w grudniu 1874 roku, kiedy jej córka miała siedem lat? Uderzyło ją to jak grom z jasnego nieba – klucz do tajemnicy, widoczny na twarzy Reginy od dnia, w którym przyszła na świat. Jessica podejrzewała, że jej córka jej owocem zdrady małżeńskiej. Ojcem jej wnuczki był nie Thomas, lecz major Andrew Duncan.

Gdy sobie to uświadomiła na wigilijnym przyjęciu, które zgromadziło wszystkie rodziny u DuMontów, Priscilla o mało nie zemdląca. Dzieci siedziały wokół drzewka, otwierając prezenty. Regina miała na sobie zieloną aksamitną sukienkę z białym koronkowym kołnierzykiem i zieloną wstążkę we włosach, ozdobionych czerwonymi jagodami i gałązkami ostrokrzewu, jedyna dziewczynka pośród chłopców – księżniczka wśród swoich wasali, Vernona i Davida, Abla, Jeremy'ego III i ich najmłodszych braci.

– Słowo daję, Jessico, twoja wnuczka z każdym rokiem staje się do ciebie bardziej podobna – zauważyła Bess.

Jessica z przesadną ostrożnością odstawiła swoją filiżankę

z eggnoziem.

– Nie wiem, jak to możliwe. Regina jest taka śliczna.

Była to zupełnie niewinna uwaga, Priscilla jednak wbiła w teściową zdumione spojrzenie i zorientowała się, że Jessica to wyczuła, jednak celowo całą swoją uwagę skupiła na reszcie.

W nocy przerażona Priscilla leżała bezsennie obok męża: A jeżeli Jessica w chwili nieuwagi czy zdenerwowania zdradzi się ze swoimi podejrzeniami przed Thomasem? Wtedy właśnie w jej otępiałym ze strachu umyśle zaczął kiełkować pomysł, żeby przeczytać pamiętniki Jessiki. Teściowa pisała je pracowicie, przygotowując się do napisania książki o rodzinach, które założyły Howbutker. Na pewno pisze w nich szczerze, z głębi serca. Czyż to nie najlepszy sposób, aby się przekonać, czy jej lęk jest uzasadniony – przeczytać upamiętnione dla potomności przemyślenia Jessiki? Trzymała je pod kluczem, ale w ubiegłym roku, po tym jak Regina piła z babcią herbatkę, Priscilla zobaczyła, jak teściowa chowa aktualny pamiętnik, zamyka skrytkę, a klucz chowa pod kałamarzem. Priscilla przy najbliższej okazji zakradła się do pokoju Jessiki i znalazła ten klucz w mgnieniu oka.

Od razu sięgnęła po pamiętnik oznaczony datą 1866, gdy zaczęła się okupacja Howbutker przez wojska unijne, i znalazła dowód, że jej lęk jest uzasadniony. Jessica podejrzewała, że z majorem Duncanem łączy ją związek cielesny. Czytając wpis z 19 sierpnia 1886 roku, wydała stłumiony okrzyk.

„Waham się, czy zwierzyć się papierowi z moich podejrzeń, bo przecież może to przeczytać ktoś jeszcze, ale ciąży mi ta sprawa na sercu i nie widzę innego sposobu, by sobie ulżyć. Jestem przekonana, że moja piękna synowa ma romans z majorem Andrew Duncanem. Bezradnie się przyglądałam, jak to złąknione miłości dziecko ulega zalotom przystojnego oficera. Zadurzenie ją zaślepia, nie dostrzega więc tego, co oczywiste jest dla mnie i chyba Petunii, na szczęście jednak nie dla Thomasa. Poza swoimi obowiązkami wobec Somerset i zachwytem nad Vernonem nic innego dla niego nie istnieje”.

Nieco później, w pośpiesznej notatce z 10 kwietnia 1867 roku: „Regina Elizabeth Toliver przyszła dzisiaj na świat. Jest prześliczna, cudownie kształtna. Ma jasną skórę i rude włoski, jak ja, co wszyscy

zgodnie potwierdzają. Cóż... to się jeszcze okaże”.

I dalej, niedługo po swoich pięćdziesiątych urodzinach, Jessica zanotowała: „Tippy mówi, że któregoś dnia się dowiem, czy moja wnuczka jest Toliverem. Zastanawiam się, jak się to objawi?”

W poszukiwaniu kolejnych osobistych zapisków Priscilla musiała się przekopywać przez opisy miejscowych i ogólnokrajowych zdarzeń, nowinek z życia przyjaciół, wynalazków, mody, książek, muzyki – „W tym roku, 1867, Johann Strauss Młodszy dał temu przerażającemu światu jeden z najpiękniejszych i najbardziej kojących walców, *Nad pięknym, modrym Dunajem*”, zapisała Jessica na jednej ze stron. Priscilla się zadumała, wspominając wieczór, kiedy tańczyła w rytm muzyki Brahmsa w objęciach majora Duncana na przyjęciu, które wydał dla obywateli miasta. Zrobiło jej się gorąco z przerażenia. Jak mogła być tak głupia i nie domyślić się, że to, co do siebie czują, musi być oczywiste dla każdego, kto na nich patrzy?

Thomas nie patrzył. Priscilla zerknęła ponad ramieniem Andrew na męża, który przycupnięty w kącie rozmawiał z innymi plantatorami, i wiedziała, że jest bezpieczna. I tak niczego by nie zauważył. Zmęczyło ją podsuwanie mężowi filizanki z nadzieją, że ją napełni, miała dość darzenia miłością człowieka, który nigdy nie odwzajemni jej uczuć tak, jak tego pragnęła i potrzebowała. Ożenił się z nią wyłącznie po to, by dała mu spadkobiercę. Jej serce wybrało Thomasa, ale – jak Jessica się domyślała i co zapisała – spragniona była uwagi, jaką dawał jej Andrew, Thomas natomiast nie. Czy możliwe, że całe miasto, widząc Reginę, zastanawiało się nad tym, co dla Thomasa było niewidoczne?

Priscilla odstawiła dzienniki w porządku chronologicznym, bojąc się, że w końcu szczęście przestanie jej sprzyjać. Przerażona tym, czego się dowiedziała, wyszła z pokoju teściowej, by zastanowić się nad implikacjami. Jessica nigdy nie zdradziła się ze swoimi podejrzeniami, jedynie świadomie bądź nieświadomie nie darzyła Reginy tym samym ciepłem, co chłopców, Priscilla jednak zauważyła, że od ubiegłego roku zaszła pewna zmiana. Być może Jessica zrozumiała, jak Regina ją uwielbia, no i bez względu na wszystko nigdy nie odtrąciłaby żadnego dziecka.

Jessica na pewno nie powie też Thomasowi o swoich

przypuszczeniach. Bo i po co? Jej syn i synowa byli... zadowoleni ze swojego współżycia. Rodzina miała się świetnie; w domu panował spokój. Choć może ich małżeństwo nie było takie, jakiego by sobie tego życzyli, było wystarczająco dobre. Oboje dostali to, o co im chodziło. Thomas miał dwóch synów, a Priscilla była panią Thomasową Toliver, z czym wiązały się wszelkie przywileje. Zdobyła i na trwałe zajęła wyjątkowe miejsce w sercu męża. Czemu kochająca matka i babcia miałyby to wszystko zniszczyć?

Z czasem miasto zapomni o majorze Duncanie. Zniknął z niego przed siedmioma laty. Nadejdzie dzień, gdy ludzie z trudem zdołają sobie przypomnieć jego nazwisko. Priscilla nie sądziła, by coś mogło zakłócić spokój jej ducha. Co prawda, jak mawiała Jessica, prędzej czy później wszystkie zamiecione pod dywan śmieci ujrzą światło dzienne, na razie jednak Priscilla nie musiała się bać, że ktoś odkryje jej tajemnicę.

Nie wracałyby więcej do dzienników, nie kontynuowałyby tajnych misji do pokoju Jessiki, gdyby jeden z wpisów nie przyciągnął jej wzroku i nie wzbudził ciekawości na temat historii rodu Toliverów. Priscilla nie mogła oprzeć się pokusie i sięgnęła do pierwszych dzienników, żeby się dowiedzieć, co oznacza. Znalazła wiele wzmianek na ten temat, a przy okazji dowiedziała się wielu zdumiewających rzeczy o swojej teściowej i zebrała mnóstwo szokujących informacji, które postanowiła zachować dla siebie do dnia, w którym mogą jej się przydać, by ochronić córkę. Musiała przejrzeć jeszcze dzienniki z trzech lat prywatnego życia Jessiki Wyndham Toliver i dowiedzieć się wszystkiego, co jej teściowa napisała o kłątwie Toliverów.

Rozdział 74

W 1876 roku republikanin Rutherford B. Hayes został prezydentem Stanów Zjednoczonych w najbardziej niejasnych prezydenckich wyborach dziewiętnastego wieku. W głosowaniu powszechnym większość otrzymał przeciwnik Hayesa, Samuel Tilden, demokrat i gubernator Nowego Jorku. Trzy głosy elektorskie zostały nierozstrzygnięte. Ówcześni analitycy polityczni twierdzili, że Hayes trafił do Białego Domu w wyniku zawartej pod stołem umowy. Demokraci z Południa zasiadający w komisji, która miała zdecydować o wyniku wyborów, zgodzili się oddać Hayesowi głos elektorski pod warunkiem, że republikanie wycofają wojska z Południa i zakończą Rekonstrukcję. Doprowadziło to do Kompromisu z 1877 roku, niepisanego porozumienia, na którego podstawie rząd federalny pozwoli dawnym stanom konfederackim rządzić się wedle własnego uznania, bez wtrącania się Północy w ich polityczne sprawy.

W rezultacie wszyscy wyzwoleni Murzyni na Południu zostali pozbawieni ochrony i znaleźli się na łasce praw Jima Crowa. Były to federalne i stanowe przepisy mające na celu segregację rasową społeczności, pozbawienie czarnych swobód obywatelskich i sprowadzenie ich do statusu sprzed wojny. Wprowadzony system połownictwa miał działać na korzyść dawnych niewolników, w praktyce jednak jeszcze bardziej uzależniał ich od byłych właścicieli. Właściciele ziemscy uciekali się do prostych chwytów: na zasadzie kredytu zapewniali swoim dzierżawcom wszystko, co niezbędne do pracy i życia: muła, pług, nasiona, dom i zapasy na początek, a umowa, jaką z nimi zawierali, stanowiła, że koszt owych wydatków zostanie odjęty od tego, co powinni otrzymać ze sprzedaży swojej części plonów. Przeważnie jednak według obliczeń właściciela ziemi dług niepiśmiennego czarnego dzierżawcy przewyższał jego zysk, wobec czego musiał przepracować kolejny cykl produkcyjny, i tak w nieskończoność. Ucieczka przed tego rodzaju tyranią była w zasadzie niemożliwa. Zbiegli robotnicy byli ścigani przez miejscowych szeryfów albo wynajęte w tym celu grupy i zwracani właścielowi ziemi do czasu, aż spłacą swój dług.

Odpowiedzią na te praktyki był masowy „czarny exodus 1879 roku”, w którym ponad dwadzieścia tysięcy Murzynów, zwabionych obietnicą darmowej ziemi w Kansas, Oklahomie i Kolorado, opuściło rejony produkujące bawełnę w dawnych stanach konfederackich. Znaleźli się wśród nich dwaj synowie Jaspera z rodzinami.

– Ale dlaczego? – zapytał Thomas z niedowierzaniem, kiedy Rand, starszy z braci, przyszedł mu powiedzieć o planowanym wyjeździe. – Czy nie traktowałem was przyzwoicie?

– Najlepiej pod słońcem, panie Thomasie, i ja, moja rodzina i rodzina mojego brata, wszyscyśmy bardzo panu wdzięczni. Dzięki panu mamy pieniądze, żeby jechać i zacząć od nowa. Jesteśmy wykształceni, coby nikt nas nie oszukał, i to też dzięki panu. Nic przeciwko panu nie mamy, tyle że chcemy mieć ziemię na własność, a w Somerset tak się nigdy nie stanie.

W głosie Randa Thomas usłyszał dobitne przypomnienie, że gdyby on zgodził się sprzedać jemu i bratu ziemię, którą uprawiali (nieraz zwracali się z taką prośbą), nie wyjeżdżaliby. Wyraz oczu Randa mówił, że ciągle jeszcze nie jest za późno na dobiecie targu.

– Żałuję, Rand, że nie mogę sprzedać wam tych akrów, które od tylu lat dzierzawicie, ale ziemia Toliverów nigdy nie była i nie będzie na sprzedaż. Przyrzekłem to mojemu ojcu, i sobie również.

– Zawsze pan nam to mówił – rzekł Rand. – Willie i ja zostaniemy do zasiewów i poczekamy na chrzciny córeczki Amy, potem wyruszymy. Może dotrzemy do Kansas na czas, żeby zebrać pszenicę przed zimą.

Rand przyjechał, żeby się pożegnać. Wszyscy zebrali się przed jego starym domem rodzinnym, w którym po śmierci Jaspera Thomas urządził sobie biuro plantacji. Vernon, już czternastoletni, stał obok ojca. Ten postanowił dać mu przykład, który powinien mu się przydać, gdy przejmie plantację. Młody Toliver wiedział, że Thomas bardzo boleje nad utratą dwóch najpracowitszych, najbardziej oddanych, zaufanych rodzin na całej plantacji, jednak nie może zachować się wobec nich nieuprzejmie. Rand i jego brat wraz z rodzinami mogli wyjechać w każdej chwili. Rand wyciągnął rękę, a Thomas ją uściśnił.

– Na pewno słyszałeś o łobuzach, którzy za pieniądze obiecują

pomóc w dotarciu do ziemi obiecanej, a gdy przychodzi czas wyjazdu, nie pojawiają się – powiedział Thomas. – Uważajcie na nich. I wiecie, że jeśli w Kansas wam się nie uda, zawsze możecie wrócić. Na tych samych warunkach.

– Wiem, panie Thomasie. – Rand założył z powrotem swój stary, przepocony kapelusz. Popatrzył na Vernona. – Moi chłopcy prosili, żebym panicza od nich pożegnał – zwrócił się do Vernona. – Przyszliby sami, ale za bardzo bolało ich serce.

Thomas zauważył, że jego syn z trudem przełyka ślinę.

– Będę... będę za nimi tęsknił – powiedział Vernon. – Nie wyobrażam sobie wędkowania bez nich.

– To tak jak oni. – Rand zwrócił się do Thomasa. – Do widzenia, panie Thomasie. Niech pan powie Petunii, że będziemy pisać.

Ani Thomas, ani Vernon nie odezwali się słowem, patrząc, jak odjeżdża pierworodny syn Jaspera. On i jego brat Willie całe życie mieszkali na plantacji. Thomas dorastał wraz z nimi, tak jak Vernon z ich synami. Jasper przyjechał do Teksasu z Toliverami i stał się integralną częścią historii Somerset. Został pochowany z honorami na ziemi, którą pomagał swoim patriarchom okiełznać.

– Tatusiu, nie mogłeś im sprzedać ziemi, żeby zostali? – zapytał żałośnie Vernon, mrugając gwałtownie oczami.

Thomas ujął chłopca pod brodę i uniósł jego twarz ku sobie. Syn sięgał mu już prawie do ramienia, nieuchronnie zbliżała się chwila, gdy będzie mógł spojrzeć mu prosto w oczy.

– Są rzeczy ważniejsze od naszych osobistych uczuć. Somerset jest jedną z nich. Ta ziemia należy do Toliverów i ani jeden jej akr nie jest na sprzedaż za żadną cenę. Jesteśmy jej jedynymi panami. Z nikim nie będziemy się dzielić naszą nad nią władzą. Musisz o tym pamiętać.

– Będę, tatusiu.

Thomas skinął głową. Nie miał wątpliwości, że chłopiec nigdy o tym nie zapomni. Jego czternastoletni syn był w każdym calu podobny do niego. Vernon uwielbiał plantację i interesował się nią od chwili, gdy trzymając ojca za rękę, dreptał między rzędami bawełny. David, drugi, jedenastoletni syn Thomasa – ich mały łapserdak – był taki sam. Bóg pobłogosławił Thomasa dwoma synami, którzy uwielbiali uczyć się

prowadzenia plantacji jak psy myśliwskie polowania. David byłby tu z nimi dzisiaj, ale dostał zgodę, by w to sobotnie przedpołudnie zagrać w meczu bejsbolu, który był nowym sportem dziewiętnastego wieku. Obaj synowie wiedzieli, co jest obowiązkiem Tolivera. Thomas nigdy by się nie zgodził, żeby jego synowie korzystali z owoców pracy rodziny, nie mając żadnego w niej udziału. Żadne z jego dzieci nie będzie korzystało z przywilejów nazwiska, nie zasłużywszy sobie na to, żeby je nosić.

Jego córka również rozumiała swoją rolę członka rodziny żyjącej zgodnie z oczekiwaniami płynącymi z pochodzenia i tradycji. Na myśl o Reginie Thomas odruchowo się uśmiechnął. Synowie byli darem od bogów, córki od aniołów. Dzisiaj rano Regina powiedziała do niego:

– Tatusiu, Petunia i Amy są bardzo smutne.

Jako pierwsza z jego dzieci zwracała się do niego „tatusiu”. Zaczęło się od „ta-ta”, a chłopcy poszli w jej ślady. Regina często ustalała zasady, jak się mówi i postępuje w domu Toliverów. Ze wszystkich znanych mu Toliverów ona była najlepszym przykładem szlachetności. Dobrego serca, silna duchem, hojna i łaskawa, była prawdziwą potomkinią królów.

– Wiem, skarbie – odrzekł.

– Bracia Petunii i ich rodziny opuszczają Somerset. Czy nie możesz nic zrobić, żeby zostali?

– Nie mogę. Sami podjęli decyzję o wyjeździe.

Była to jedna z tych rzadkich chwil, kiedy z żalem musiał córce czegoś odmówić, a jej rozczarowanie było dla niego jak cios w serce. Przez ułamek sekundy naprawdę się zastanawiał, czy nie zmienić zdania – był gotów na wszystko, żeby tylko zniknął wyraz bólu malujący się na jej słodkiej, piegowatej buzi. Posadził ją sobie jednak tylko na kolanach. Chociaż miała już dwanaście lat, wciąż jeszcze była na tyle mała, żeby siedzieć u niego na kolanach, bezpieczna w jego ramionach. Większość ojców powiedziałaby coś na odczepnego, obiecała jakiś prezent, żeby wynagrodzić odmowę, jednak w przypadku Reginy to by nie poskutkowało. Nic nie było w stanie odwrócić jej uwagi. Nie można jej było kupić.

– Wyjeżdżają tam, gdzie ma być im lepiej – wyjaśnił.

Zmarszczyła czoło.

– Lepiej niż w Somerset?

– Tak.

– Nigdzie nie jest lepiej niż w Somerset.

Thomas przytulił ją mocno.

– Mam nadzieję, że bracia Petunii nie przekonają się o tym w Kansas.

Ilekczo ogarniało go przygnębienie, jak dzisiaj, Thomas myślał o swojej rodzinie i nastrój z miejsca mu się poprawiał. Naprawdę był błogosławionym człowiekiem. Miał dobrą żonę, kochającą matkę mieszkającą z nim pod jednym dachem, pamięć o oddanym ojcu i troje cudownych dzieci, które zwracały się do niego „tatusiu”. Czasem się bał, że serce pęknie mu z nadmiaru szczęścia.

– Czemu się uśmiechasz, tatusiu?

W głosie Vernona znać było dezaprobatę. Jemu łyzy jeszcze dobrze nie obeschły, a jego ojciec się uśmiecha.

Thomas objął syna ramieniem, gdy się obrócili, by wejść do chaty.

– Myślałem, jakim jestem szczęściarzem, że mam troje tak wspaniałych dzieci.

– Dziedziców Somerset, tak?

– Tak, synu, widzę, że dobrze wszystko zrozumiałeś. Dziedziców Somerset. Żałuję, że mój ojciec nie dożył chwili, by się przekonać, że żadna klątwa nie ciąży na jego ziemi.

– Klątwa?

Thomas pożałował swoich słów. Kiedy Vernon chciał się czegoś dowiedzieć, był jak pies, który zwęszył kość.

– Przekleństwo – wytłumaczył mu Thomas. – Rzucone przez jakąś siłę nadprzyrodzoną, by ukarać kogoś za dawne winy.

– Twój ojciec zrobił coś złego?

– Ależ skąd. Coś... poświęcił, żeby móc założyć Somerset.

– Co takiego?


– Nie pamiętam.

– Jakiej kary się bał?


Thomas się zawahał. Żółta febra szalała w Luizjanie i było niemal pewne, że dojdzie do południowego Teksasu, jednak wszystkie okna

w domu przy Houston Avenue zostały ostatnio zabezpieczone siatkami, by bronić dostępu przenoszącym zarazę komarom. W każdej chwili mogła wybuchnąć epidemia cholery, mogło nastąpić jakieś nieszczęście czy wypadek i w mgnieniu oka zabrać jego dzieci, jednak nie dlatego, że pół wieku temu rozgniewana matka jego ojca wypowiedziała złowróżbne słowa. Mimo to, przesądnie, Thomas nie chciał mówić na głos o lękach jego ojca, że jakieś przekleństwo ciąży nad poczęciem i życiem dziedziców Toliverów. Silas Toliver zamartwiał się niepotrzebnie. To prawda, że stracił pierwszego syna, Joshuę, niech Bóg ulituje się nad jego słodką duszyczką, on jednak nie był prawdziwym dziedzicem Somerset. Prawdziwy spadkobierca Silasa Tolivera żył i miał się dobrze, a jego wnukowie zachowują jego nazwisko i plantację dla przyszłych pokoleń.

– Szkoda czasu na takie bzdury – powiedział Thomas do syna. – Coś takiego jak klątwa nie istnieje.



CZEŚĆ IV



1880-1900

Rozdział 75

Jeremy rozejrzał się po salonie będącym jednocześnie salą balową i powiódł wzrokiem po wszystkich, którzy się tu zebrali, by uczcić powrót do domu Philippe'a DuMonta. Czterdziestodwuletni kawaler, syn Henriego i Bess DuMont, przyjechał na krótko do domu, zanim podejmie nową pracę w Agencji Detektywistycznej Pinkertona w Nowym Jorku. Przez jedenaście lat służył w oddziałach Strażników Teksasu, elitarnej konnej jednostce utworzonej podczas Rewolucji Teksasńskiej dla ochrony granic stanu. W salonie zgromadziło się dwadzieścioro dwoje członków rodzin Toliverów, DuMontów i Warwicków. Stół jadalny Bess nie mógł pomieścić wszystkich wnuków, dlatego też wcześniej, podczas posiłku, młodzi jak dawniej, przy wtórze kpiących komentarzy zostali usadzeni przy „stole dziecięcym”. Trzecie pokolenie Toliverów składało się z Vernona, lat piętnaście, Reginy, trzynastoletniej, i najmłodszego, dwunastoletniego Davida. Z klanu DuMontów obecni byli synowie Armanda, Abel, lat szesnaście, i Jean, lat trzynaście. Warwicków reprezentował imiennik Jeremy'ego Juniora, Jeremy III, szesnastoletni, i Brandon, trzynastoletni; byli też synowie Stephena, piętnastoletni Joel i czternastoletni Richard.

Bess chciała wydać duże przyjęcie z okazji przyjazdu syna, on jednak zdecydowanie odrzucił ten pomysł, jak zwykle osładzając matce swoją porywczosć łaskotaniem pod brodą. Ze śmiechem zwierzyła się z tego Camellii.

Wszyscy bardzo Philippe'a lubili, ale tak naprawdę nigdy nie był jednym z nich. Wysoki, żyłasty, niechlujny, zupełnie pozbawiony elegancji ojca i braci, Philippe ku powszechnemu zdumieniu okazał się... może nie czarną owcą, ale kundlem w miocie czystej rasy. Odkąd pojawił się na jego twarzy pierwszy meszek zarostu, było jasne, że drugi syn Henriego ma naturę wojskowego, a jednocześnie niezwykle wrażliwą na cierpienia słabych i bezbronnych. Wzruszające było, jak obsesyjnie chronił swoją siostrę Nanette i po cichu bronił chorego na astmę syna Jeremy'ego, Roberta. Wszyscy, którzy naśmiewali się z Roberta czy mu dokuczali, mieli do czynienia z pięściami silnego, nieustraszonego Philippe'a. Jeremy kochał go za to. Śmierć Nanette

położyła się cieniem na ostatnich chłopięcych latach Philippe'a, a bezsensowna śmierć Roberta tylko wzmogła jego nienawiść wobec każdego, kto krzywdził słabszych. Razem z bratem Armandem Philippe wrócił po wojnie do domu, żeby pomagać ojcu w prowadzeniu Domu Towarowego DuMont. Henri był pewny, że obaj zajmą jego miejsce, gdy on sam przejdzie na emeryturę.

Jednak po niespełna miesiącu Philippe wyjechał, żeby wstąpić do Strażników Teksasu. Nie nadawał się do pracy za ladą ani do życia w domu pełnym służby, która czyści mu buty i ściele łóżko. Urodził się, by nosić skórzaną kurtkę, jeść przy ognisku i spać pod gołym niebem. Poza tym Teksas potrzebował mężczyzn takich jak on – musieli bronić granic przed Komanczami, Kiowa i Apaczami, wciąż napadającymi na tabory wozów i osiedla, by skalpować mężczyzn, gwałcić kobiety i porywać dzieci w niewolę.

Ku rozpaczy Bess i rozczarowaniu Henriego, Philippe nie wrócił do domu w 1870 roku, kiedy Strażników zastąpiono unijnymi siłami porządkowymi pod nazwą Teksaska Policja Stanowa. Kiedy rozwiązano jego oddział, Philippe pojechał na północ, do Amarillo, gdzie oddawał swoje zbrojne usługi ranczerom walczącym z wielkimi hodowcami bydła próbującymi przejąć ich ziemię.

Gdy w 1873 roku na gubernatora wybrano Richarda Coke'a, rozwiązał znienawidzoną Teksaską Policję Stanową i przywrócił Strażników Teksasu, a Philippe natychmiast ponownie do nich wstąpił i szybko w znacznym stopniu przyłożył się do otaczającej ich legendarnej sławy, chwytając i zabijając słynnych przestępców i przeganiając Indian z równin Teksasu.

Z tego to właśnie powodu Jessica uniosła brew z przyganą, gdy Philippe opowiadał o udziale Strażników w kapitulacji wodza Komanczów, Quanaha Parkera, wraz z którym skończyła się wojna Teksasu z Indianami. Jeremy już dawno zauważył, że brwi Jessiki przemawiają własnym językiem. Kiedy nimi poruszała, marszczyła je lub unosiła w górę, można było odgadnąć, co aktualnie myśli. Gdy teraz lekko jedną z nich uniosła, Jeremy wiedział, że niesmakiem ją napełnia zniszczenie przez amerykańską armię indiańskich wiosek i zastrzelenie 3000 koni, najcenniejszego skarbu Indian. Bez względu na brutalność

wobec osadników i polujących na bawoły myśliwych, co według Philippe'a usprawiedliwiało rzeź, gdy Jessica poruszyła brwią, Jeremy od razu wiedział, że sercem jest po stronie Indian i wszystkich tych, których chciwość białego człowieka pozbawiła ziemi ojców, i do dnia swojej śmierci zdania nie zmieni.

Do dnia jej śmierci. Jeremy miał nadzieję, że ten długo jeszcze nie nadejdzie. Tracił Camellię. Choroba płuc, która prędzej czy później zakończyłaby życie jego drugiego syna, teraz zabierała mu jego kwiatusek.

– Quannah Parker... – mruknęła Bess. – Czy to nie syn Cynthii Ann Parker porwanej przez Komanczów, kiedy była jeszcze małą dziewczynką?

– Tak – powiedział Henri. – Porwali ją, kiedy miała dziewięć lat, i została uratowana w sześćdziesiątym roku...

– Przez Strażników pod dowództwem kapitana Sula Rossa – z dumą wszedł mu w słowo Philippe.

Jeremy, Jessica i Henri spojrzeli po sobie, a w ich oczach malowało się wspomnienie czasów, które tylko oni pamiętali.

– *Mon dieu* – odezwał się Henri cicho. – Czy rzeczywiście minęły czterdzieści cztery lata od zamordowania Johna Parkera i porwania jego córeczki?

– A my wtedy zmierzaliśmy dokładnie w tamtą stronę – przypomniał Jeremy.

– Och, opowiedz nam o tym, dziadku – zawołał błagalnie najmłodszy syn Jeremy'ego Juniora, Brandon.

– Innym razem – odparł Jeremy. – Wystarczy lekcji historii na jeden dzień, a poza tym muszę sprawdzić, jak się czuje wasza babcia.

Kiedy wstawał z krzesła, chrupnęło mu w kolanie. Jessica również się podniosła, a jej zamyślenie zdradzało, że wciąż wspomina opisaną przez Philippe'a ostatnią bitwę kampanii przeciwko Indianom sprzed sześciu lat. Jeremy wolałby, żeby opowieść Philippe'a nie była tak dosadna. Opis masakry na pewno będzie prześladował dzieci w sennych koszmarach.

– Czy chcesz, Jessico, żebym odprowadził cię do domu? Noc jest wyjątkowo ciemna – odezwał się Jeremy w wysokim holu *chateau*

DuMontów, kiedy służący pomagali im założyć ciepłe okrycia. Był luty 1880 roku.

– Byłoby cudowanie, Jeremy. Powiem Thomasowi. On i Priscilla na pewno chętnie zostaną dłużej, żeby nacieszyć się Philippe'em.

Niewiele mówili, zmierzając do domu Toliverów, oboje przygnieceni wspomnieniem sprowokowanym opowieścią Philippe'a o Quanahu Parkerze i smutkiem z powodu choroby Camellii.

– Czuję na sobie ciężar moich wszystkich siedemdziesięciu czterech lat, Jessico – powiedział Jeremy.

Ujęła go pod ramię.

– Nie jest ani trochę lżejszy, prawda?

– Nie jest też łatwiej, mimo całego tego komfortu, w jakim żyjemy. Jediną obroną przed skutkami działania czasu jest ciągle szukanie jakiegoś zajęcia.

– Co z zapałem czynisz – zauważyła Jessica.

Zajęło to czterdzieści lat, ale wraz z nadejściem kolei Jeremy się przekonał, że jego wiara, iż przemysł drzewny stanie się najważniejszym przemysłem Teksasu, a Kompania Drzewna Warwicka jego głównym przedstawicielem, okazała się uzasadniona. W 1878 roku, kiedy w Teksasie kładziono więcej torów niż w całym kraju razem wziętym, należące do kompanii ogromne połacie dziewiczego lasu i potężne sterty twardego drewna z drzew liściastych czekały gotowe do rozesłania po całym stanie. By sprostać zapotrzebowaniu na podkłady kolejowe, wagony i dworce i nadażyć z realizacją zamówień firm budujących w nowo powstających miastach i hrabstwach, firma Jeremy'ego zaczęła budowę kolejnych tartaków i zabudowań dla pracowników, a wszystkiego doglądał Jeremy, w czym pomagali mu jego synowie, Jeremy Junior i Stephen.

– Czasem sobie myślę, żeby zwolnić, spędzać więcej czasu z Camellią – zwierzył się Jessice przed rokiem w trakcie jednej ze swoich wizyt w altanie. – Chce, żebym zabrał ją w podróż do Europy. Mógłbym się odsunąć, zostawić firmę chłopcom, a samemu pilnować reszty interesów, ale jesteśmy u progu wielkiego świtu i chcę poczuć na twarzy słońce, kiedy wreszcie wstanie.

Jessica się zastanawiała, czy Jeremy wciąż pamięta wypowiedziane

wtedy słowa i czy żałuje, że swoje zainteresowanie biznesem przedłożył ponad pragnienia żony, gdy teraz jej zostało coraz mniej czasu, by cieszyć się ciepłem słońca na twarzy.

Musiał chyba czytać jej w myślach.

– Była cudowną żoną, Jess.

Jessica dosłyszała, jak w gardle zbiera mu się szloch.

– To prawda – powiedziała.

Obłoczki ich zmrożonych oddechów unosiły się przed nimi, po czym znikwały w ciemnościach nocy. Z powodu niskiej temperatury ona założyła ciepłą czapę z futra foki, którą na święta dostała w prezencie od rodziny, a Jeremy płaszcz z wielbłądziej wełny z kołnierzem w owczego futra. Krystaliczne powietrze niesło ze sobą obietnicę śniegu.

– Ja takim mężem nie byłem.

– Camellia by się z tobą nie zgodziła.

– Rzeczywiście, ale ja o tym wiem.

Jessica położyła dłoń na klapie jego płaszcza. Doszli właśnie do schodów wiodących na werandę jej domu.

– W takim razie pozwól jej odejść w tej niewiedzy, Jeremy.

W blasku księżyca cienkiego jak rogalik dojrzała w jego oczach błysk zdumienia.

– Wiesz? – zapytał.

– Wiem.

– Ale to nie znaczy, że nie możemy dalej być najlepszymi z przyjaciół.

– Zawsze będziemy najlepszymi z przyjaciół, Jeremy.

Pochylił się i pocałował ją w chłodny policzek.

– Dobranoc, Jess.

– Dobranoc, Jeremy.

Rozdział 76

Był to rano wizyt jej wnuków. Najpierw zjawił się Vernon, który zapukał do drzwi, gdy Jessica się ubierała.

– Babuniu, czy pomożesz mnie i Davidowi wybrać prezent dla Kwiatuszka na jej urodziny?

Później, przy śniadaniu, gdy wszyscy już zjedli i odeszli od stołu, David, jej oczko w głowie, został. Najmłodszy wnuk w całym domu mógł tylko z nią dzielić się swoją pasją, jaką był bejsbol. Okazało się, że John „Monte” Ward został pierwszym łapaczem, bo dwukrotnie zdobył wszystkie cztery bazy w majowym meczu, w którym jego drużyna Gotham z Nowego Jorku pokonała Boston Beaneaters 10 do 9.

– Warto byłoby to zobaczyć, prawda, babuniu? – zapytał.

– Bez wątpienia – zgodziła się z nim.

– Może kiedyś wybierzemy się razem na mecz, ty i ja.

– Bardzo na to liczę – rzekła Jessica.

Teraz zjawiła się Regina. Ze swego miejsca w altanie Jessica przyglądała się, jak jej wnuczka zbiega ze schodów na tyłach domu.

– Tak sobie pomyślałam, że właśnie tutaj cię znajdę – zawołała dziewczyna do babci.

Nie było o czym myśleć, powiedziała do siebie w duchu Jessica, ale z czułością przyglądała się, jak Regina, unosząc spódnice, zbiega po schodach na kamienną ścieżkę prowadzącą do altany.

Kiedy tylko pogoda na to pozwalała, zawsze o tej porze dnia Jessica zasiadała na swojej huśtawce, żeby wypić przedpołudniową herbatę. Regina miała w sobie trochę z bezmyślności swojej matki, lecz przez to była tym słodsza, czego nie dało się powiedzieć o Priscilli. Reginy nie sposób było nie uwielbiać.

– Przyniosłam jeszcze jedną filiżankę – powiedziała właśnie. – Pozwolisz, że też napiję się herbaty?

– Jak zawsze będę zachwycona twoim towarzystwem – odparła Jessica, robiąc wnuczce miejsce obok siebie na huśtawce. – Co tam masz? Czy to nie paczka od Tippy ze wzorami, na które tak długo czekałyśmy?

Regina zachichotała.

– Uważam, że to słodkie, jak nazywasz jedną z najślynniejszych projektantek mody w Ameryce, podczas gdy wszyscy mówią o niej Isabel.

– Nie zawsze była Isabel. Jakie wybrałaś wzory?

– Właśnie o tym chciałam z tobą porozmawiać. – Dziewczyna wyjęła trzy koperty z zaklejonej papierowej torby, nowego opakowania lekkich przesyłek. – Musisz mi pomóc z tatusiem.

Jessica naląła wnuczce filiżankę herbaty.

– Nie wyobrażam sobie, w czym trzeba ci pomóc z ojcem.

Wystarczy, że poprosisz, a on natychmiast spełni twoje życzenie.

Regina się uśmiechnęła.

– Nie w tym wypadku – powiedziała. – Chcę, żeby krawcowa Armanda uszyła mi suknię na urodziny według tego projektu. – Podała Jessice jedną z trzech kolorowo ilustrowanych kopert. – Mama i ja zgadzamy się, że tatuś uzna ją za zbyt śmiałą. Mama chciałaby, żebym wybrała jedną ze skromniejszych, ale proszę cię, żebyś przekonała tatusia, że ta jest dla mnie jak wymarzona.

Jessica wyjęła z kieszeni sukni okulary, by przyjrzeć się rysunkowi na kopercie, w której był wykrój z bibuły na suknię o wymiarach podanych przez Priscillę. Z oznaczeń na wykroju można się było dowiedzieć, że to jest projekt „Isabel” wykonany dla E. Butterick Company w Nowym Jorku. Tippy pracowała dla tej firmy od 1876 roku, kiedy to Ebenezer Butterick zaproponował jej posadę głównej projektantki w swoim domu mody sprzedającym szablony krawieckie. Od rewolucyjnego wprowadzenia wielorozmiarowych szablonów krawieckich do użytku domowego, co nastąpiło w 1867 roku, imperium pana Buttericka rozrosło się do stu filii i tysiąca agencji na terenie całych Stanów Zjednoczonych i Kanady, w Paryżu, Londynie, Wiedniu i Berlinie. Widząc wykrój na suknię z niskim dekoltem i talią osy, Jessica zrozumiała, dlaczego Thomas miałby oponować. W wieku szesnastu lat Regina miała bujną sylwetkę – „za to także ponosisz winę ty, mamó”, oskarżył ją syn, po ojcowsku wzdychając i przewracając oczami.

– Babuniu, skończę szesnaście lat – powiedziała Regina. – Najwyższa pora, żeby tatuś zrozumiał, że już nie jestem dzieckiem.

– Ojcowie nigdy nie rozumieją, że ich córeczki przestają być dziećmi – odparła Jessica. Zerknęła na projekt sukni. – A może krawcowa podniosłaby odrobinę dekolt, za to bardziej obniżyła ramiona? Tym sposobem zasłonisz tyle ciała, ile trzeba, a efekt pozostanie ten sam.

– Och, babuniu, jesteś genialna! – wykrzyknęła Regina, ściskając babcię. – Dziękuję, że nie zaproponowałaś koronki, jak mama. Wyobrażasz sobie koronkę przy dekolcie w takiej sukni? Całkiem zepsułaby efekt, na którym mi zależy.

– A jakież to ma być efekt? Podbić serce każdego obecnego chłopca?

Regina rozsiadła się wygodniej na huśtawce obok babci.

– Nie każdego chłopca – powiedziała. – Tylko jednego. Tylera McCorda.

– Syna ranczera.

– Właśnie. Och, babuniu, on jest... piękny. Taki wysoki i silny... jak tatuś.

– To prawda, całkiem z niego przystojny młodzieniec.

– I jeszcze miłszy niż przystojny. Babuniu, ile miałaś lat, kiedy wyszłaś za mąż?

O ho, ho, pomyślała sobie Jessica. Domyślała się, dokąd to pytanie prowadzi.

– Osiemnaście – odparła.

– Na pewno mi powiesz, że osiemnaście lat wtedy, kiedy wychodziłaś za mąż, to nie to samo, co teraz? – Regina przekrzywiła głowę i spojrzała na babcię z ukosa.

W dni, kiedy nie musiała „przyjmować”, Regina nosiła swoje bujne rude włosy rozpuszczone swobodnie, nie godząc się na godzinne posiedzenie, bo tyle czasu potrzebowała Amy, żeby upiąć loki we francuski kok na czubku głowy. Kwietniowy wietrzyk rozwiewał Reginie włosy, odsuwając kosmyki od jej bladej, piegowatej twarzyczki. Jessica nie mogła patrzeć w nakrapiane zielenią brązowe oczy wnuczki, żeby od razu nie przypomnieć sobie oczu majora Duncana. Po kilku tygodniach znajomości z nim starannie ich unikała.

– Ależ skąd – uspokoiła Reginę. – Osiemnaście lat to osiemnaście

lat w każdym pokoleniu, chociaż ilość lat nie zawsze świadczy o czyjejs dojrzałości.

Regina napiła się herbaty, zerkając na babkę znad filiżanki.

– A ty, kiedy skończyłaś osiemnaście lat, byłaś dojrzała jak osiemnastolatka?

– Pod pewnymi względami, ale nie we wszystkim.

– Byłaś gotowa na małżeństwo?

Jessica się zawahała, a po chwili na jej ustach pojawił się uśmiech.

– Nie byłam gotowa na Silasa Tolivera.

– Naprawdę? – Regina zrobiła wielkie oczy. Jessica wiedziała, jak wnuczka uwielbia te chwile spędzane z nią sam na sam, kiedy mogła ją wypytywać o wspomnienia z młodości. – A on był gotowy na ciebie?

– Z całą odpowiedzialnością mogę stwierdzić, że nie.

Śmiech Reginy rozniósł się po ogrodzie, młody, czysty i szczęśliwy. Kiedy umilkł, dziewczyna odezwała się poważnym tonem.

– Tyler na pewno jest na mnie gotowy.

– To właśnie martwi twojego ojca. Uważa, że mając szesnaście lat, zdecydowanie nie jesteś gotowa na Tylera.

– Ale będę miała osiemnaście, babuniu, i chcę wyjść za Tylera.

Tatusz oczywiście się wścieka. Uważa, że Tyler nie jest dla mnie dość dobry.

– No właśnie. I tu dochodzimy do kolejnej zasady, którą ojcowie wyznają wobec swoich córek. Ich zdaniem żaden mężczyzna nie jest dość dobry dla ich ukochanych dziewczynek.

– Czy twój ojciec uważał, że dziadek Silas nie był dla ciebie dość dobry?

Żeby odwlec odpowiedź, Jessica sięgnęła po herbatę. Regina patrzyła na babkę wyczekująco.

– Na pewno nie – powiedziała w końcu Jessica, osuszając usta serwetką. – Lecz twój dziadek go zaskoczył, dając mi szczęście. O jakim kolorze i materiale na sukienkę myślisz?

– Och, w tej sprawie muszę się naradzić z Armandem – odparła Regina, całą uwagę skupiając na wykroju. – Ale chyba zdecyduję się na pastelową satynę, z takimi samymi rękawami do łokci, jak ci się...

Jessica słyszała wnuczkę, lecz jej nie słuchała. Myślami była przy

Jeremym Seniorze. Miał nadzieję, że jeden z jego wnuków, Jeremy III albo Brandon, zdobędzie serce Reginy – „nasza krew by się połączyła, Jess. Czyż nie byłoby to wspaniałe zrządzenie losu?”. Błysk w jego oku powiedział jej, że marzy, aby w prawnuku miał dla siebie jakąś część Jessiki Toliver.

Camellia umarła wiosną 1880 roku, trzy lata temu. Synowie Jeremy’ego mieli własne domy, a ich ojciec obijał się po swojej wielkiej rezydencji, do posługi mając jedynie kucharkę i gosposię. Kiedy nie pracował dwanaście godzin na dobę, a jego dzieci i przyjaciele nie wypełniali mu pustych godzin – na tyle, na ile im pozwalał – czas spędzany w domu wypełniał sobie czytaniem. Ze wszystkich rodzin on był najlepiej poinformowany. Od Jeremy’ego Jessica dowiedziała się o eksperymentach przeprowadzanych przez niejakiego Gregora Mendela, austriackiego mnicha, który krzyżując ogrodowy groszek, odkrył, że podstawowe zasady dziedziczenia koloru, kształtu i wysokości roślin można też odnieść do ludzi i zwierząt. Jeremy pokazał jej rozdział w książce, który wyjaśniał, że pewne cechy u ludzi, określane jako dominujące i recesywne, odnoszące się do wszystkiego, od włosów poczynając, na usposobieniu kończąc, mogą zaniknąć w drugim pokoleniu, by pojawić się w trzecim.

– Mamy więc wytłumaczenie, skąd Regina ma twoje włosy, piegi i figurę – powiedział Jeremy.

Jessica zawsze czuła się skrępowana, gdy ktoś porównywał jej wygląd z wyglądem wnuczki. Od tego był już tylko krok do majora Andrew Duncana we wspomnieniach każdego, kto go jeszcze pamiętał. Jednak Jeremy podsunął jej też fałszywy trop. Pożyczyła od niego książkę i pokazała ją Thomasowi.

– To powinno cię zainteresować – powiedziała. – Zaznaczony rozdział wyjaśnia mój udział.

Choć Jessica bardzo kochała wnuczkę, rzadko zdobywała się na gest, który by tego dowodził, teraz jednak objęła Reginę i mocno przytuliła. Za tydzień dziewczyna skończy szesnaście lat. Miną dwa lata i wyjdzie za mąż. Zamieszka z mężem na jego ranczu. Będzie miała własną rodzinę. Gdy będzie się starzała, zajęta obowiązkami żony i matki, jej figura i twarz zaczną się zmieniać pod wpływem czasu. I to

czas sprawi, że nikt nagle nie powiąże jej wyglądu z majorem Unii, który dawno temu przebywał w Howbutker. Mało prawdopodobne, by ktokolwiek zaczął coś podejrzewać, Regina musiała przetrwać jeszcze dwa lata, a potem nie powinno się już wydarzyć nic, co mogłoby budzić wątpliwości co do jej pochodzenia.

– Przekonam twojego ojca, że ta sukienka będzie najlepsza.

Rozdział 77

Thomas patrzył na żonę zakłopotany.

– Chcesz, żebym ja odebrał dla ciebie kapelusz od modystki?

Z tego sklepu dla pań? A jeśli go nie rozpoznam?

– Kapelusza czy sklepu?

– Kapelusza. Sklep jest na końcu pierwszej ulicy odchodzącej od Circle, tak?

– Tak. Poza tym to nie jest kapelusz, mój drogi. To opaska na włosy i nie musisz wiedzieć, jak wygląda. Pani Chastain, modystka, będzie wiedziała, po co przyszedłeś.

– Nie możesz posłać służącej?

– Wszystkie przygotowują przyjęcie. Thomasie, proszę cię! Muszę mieć tę opaskę dzisiaj, żeby Regina zdążyła ją przymierzyć przed jutrem, na wypadek gdyby potrzebne były jakieś poprawki. To ma być niespodzianka. Zamówiłam ją w zeszłym miesiącu, jako dodatek do sukni. Będzie idealnym dopełnieniem kreacji.

– To dla Reginy? Czemu nie powiedziałaś od razu?

Priscilla westchnęła zniecierpliwiona.

– Wystarczy, że powiem, że coś jest dla Reginy, i sprawa jest z miejsca załatwiona. Nie powiedziałam, bo niczego nie umiesz zachować przed nią w tajemnicy.

– Wszystko potrafi ze mnie wyciągnąć.

– Tylko dlatego, że dajesz jej do zrozumienia, że wiesz coś, co sama chciałaby wiedzieć.

– Pani Chastain, powiadasz? To z nią mam rozmawiać?

– Jest właścicielką sklepu. Wie, że ktoś przyjdzie po opaskę. Na pewno już ją przygotowała, więc nie będziesz musiał czekać.

– W jakim jest kolorze? Ta opaska?

– Jasnozielona, ze złotawym połyskiem.

– Musi być prześliczna. Podkreśli brązowe oczy Reginy.

Priscilla wstała w pośpiechu od swojego biurka w dziennym pokoju, wielkiego, bogato zdobionego, które stanęło w miejsce smukłego sekretarzyka Jessiki w stylu królowej Anny.

– Kochanie, wybacz, ale muszę mieć tę opaskę jak najszybciej.

Mam jeszcze dzisiaj mnóstwo do zrobienia, a chcę, żeby Regina przymierzyła ją, kiedy wróci z lekcji fortepianu. Przyjdą wszyscy z listy gości. Nikt nie odmówił.

– To dobrze, pod warunkiem że przychodzą uczcić urodziny mojej córki, a nie żeby zobaczyć, jak teraz wygląda nasz dom – powiedział Thomas.

Priscilla przycisnęła dłoń do serca, przerażona jego sugestią.

– Ależ oczywiście, że przychodzą uczcić urodziny Reginy.

Odnowiłam dom tak samo jak wszyscy przy Houston Avenue – powiedziała. – Na nikim nie zrobi to wrażenia.

– Jasne, jasne – rzekł Thomas i prostując nogi, wstał. – Mam tam tylko pójść i odebrać opaskę?

– Będzie zapakowana i gotowa do odbioru.

– Mam nadzieję, że w sklepie nie jest wystawiona bielizna.

– To sklep z kapeluszami, Thomasie.

Dzień idealnie nadawał się na przechadzkę do miasta i Thomas chętnie wyszedł z domu, który już w niczym nie przypominał domu jego dzieciństwa.

Poza pokojami jego matki Priscilla wszystko kompletnie przerobiła – piętro, parter, nawet jego gabinet, gdy on sam wyjechał w interesach do Galveston. Każdy szczegół skąpanego w słońcu domu jego dzieciństwa, śnieżnobiałe sztukaterie, ściany w kolorze błękitu Wedgewood, kremowe sofy i fotele, jedwabne pastelowe draperie zostały zastąpione ciężkimi kolorami epoki wiktoriańskiej. Już ich nazwy – „krwawy burgund”, „zieleń mchu”, „popielaty róż”, „cienista szarość”, „jesienny brąz” – wprawiły go w przygnębienie. Masywne, bogato zdobione meble, ciemne drewno, witrażowe okna, ściany pokryte adamaszkiem, ciężkie tkaniny obszyte frędzlami, sznurami, chwostami, koralikami i świecidełkami zastąpiły jaśniejszy, lżejszy, bardziej elegancki wystrój będący dziełem jego matki.

– To już nie dom, tylko jakieś okropne muzeum – skarżył się Thomas Armandowi, kiedy prace dekoratorskie dobiegły końca.

– Tak zażyczyła sobie twoja żona, przyjacielu.

Dom jednak nie był odnawiany od dwudziestu siedmiu lat, a Thomas nie chciał wsadzać kija w mrowisko, nie wydając Priscilli

zgody na „zmianę kilku rzeczy”. Gdy poszedł prosić matkę o pozwolenie, powiedziała mu:

– Niech robi po swojemu, Thomasie, mną się nie przejmuj. Ty będziesz tu mieszkał dłużej ode mnie.

Jej słowa wprawiły go w smutek, którego nie potrafił stłumić. Jego matka miała sześćdziesiąt siedem lat. Nie było dnia, żeby nie tęsknił za ojcem. Jeremy i Henri, zastępujący mu ojca, starzeli się. Jakże opuszczony się poczuje, gdy ich zabraknie. Miał swoich przyjaciół – Jeremy’ego Juniora, Amranda i Stephena – były też ich dzieci, ale jego ukochana córka wkrótce wyjdzie za mąż, przyjdzie też czas na Davida i Vernona. Odejdą z domu, a on zostanie w nim z... Priscillą.

Pogrążony w takich myślach wszedł do niewielkiego sklepu, do którego został wysłany, a który nazywał się po prostu „Modystka”. Sklep działał od niedawna. Wszystko, co o nim wiedział, pochodziło od Armanda, teraz prowadzącego dom towarowy. Sklep modystki był konkurencją dla jego stoiska z damskimi kapeluszami, Armand jednak zbywał to machnięciem ręki.

– Klientek wystarczy dla wszystkich, a poza tym pani Chastain ma zupełnie inny asortyment. Jest wdową wojenną. Jej mąż zginął pod Manassas. Nie ma dzieci. To doprawdy urocza kobieta. Życzę jej jak najlepiej – mówił.

Srebrny dzwoneczek przy drzwiach oznajmił wejście Thomasa. Miał zaledwie kilka sekund, by wyczuć miły zapach i dostrzec, że to miejsce całkowicie kobiece, zanim zza koronkowej zasłony w drzwiach prowadzących na tył sklepu wyszła kobieta.

– Dzień dobry panu. Czym mogę służyć?

Mówiła głębokim kontraltem, najcudowniejszym głosem, jaki kiedykolwiek słyszał. Kompletnie zaskoczony Thomas poczuł przechodzący go dreszcz.

– Hm, czy mam przyjemność z panią Chastain?

– Tak.

– Jestem... Thomas Toliver i... przysłano mnie po zamówienie mojej żony.

Kobieta się uśmiechnęła. Thomas poczuł, jak ściska go w klatce piersiowej.

– Wiem, kim pan jest, panie Toliver. – Sięgnęła pod ladę i wyjęła małą paczuszkę. – Zapewne o to panu chodzi. Zamówienie jest już zapłacone. Mam nadzieję, że pańska córka będzie zadowolona.

– Och, ja... jestem o tym całkowicie przekonany.

Sam siebie zaskoczył, wprost niewyobrażalnie. Z łatwością potrafił rozmawiać z najbogatszymi i najbardziej wpływowymi, z szacownymi i wykształconymi, znanymi i cieszącymi się złą sławą, a mimo to język wiązał mu w gardle w obecności modystki, dla świata znaczącej tyle co piórko przy jednym z jej wyrobów.

– Czy życzy pan sobie obejrzeć zakup pańskiej żony? Jak rozumiem, ma to być niespodzianka dla córki.

– Tak twierdzi jej matka, i owszem, bardzo chętnie go obejrzę.

– W takim razie odpakujmy.

Położyła paczuszkę na ladzie i delikatnymi, sprawnymi ruchami rozwiązała wstążkę.

– Jak się panu podoba? – zapytała, unosząc ozdobę splecioną z satynowych różyczek w zielono-złotym kolorze, zgodnym z opisem Priscilli.

Thomas wziął kunsztowne cacko do ręki.

– Jest w kolorze oczu mojej córki.

– Są brązowe, jak mi powiedziano.

– Tak, brązowe.

– W takim razie nie tak czysto zielone jak pańskie.

– Nie, nie... Oczu nie ma po mnie.

– Słyszałam też, że ma rude włosy.

– Tak jak moja matka.

– Ten kolor wspaniale podkreśli ich rudy odcień.

Powinienem to odłożyć, poprosić o ponowne zapakowanie, pomyślał Thomas.

– Jak to... działa? – zapytał.

Kobieta wzięła od niego opaskę.

– Tak. – Udała, że zakłada ją sobie na głowę. – Ma przytrzymywać włosy i jednocześnie stanowić oprawę dla twarzy. Pańska córka powinna wyglądać w tym przepięknie. Czy mam już zapakować?

– Tak, bardzo proszę.

Thomas przyglądał się jej dłoniom, o kościach delikatnych jak porcelana. Wciąż nosiła złotą obrączkę na serdecznym palcu. Podała mu paczkę.

– Proszę – powiedziała z uśmiechem, od którego serce zabiło mu szybciej. – Już nie mogę się doczekać, kiedy w kronice towarzyskiej niedzielного wydania obejrzę zdjęcia pańskiej córki w prezencie niespodziance.

– Mam lepszy pomysł – rzekł Thomas. – Może przyjdzie pani na przyjęcie i na własne oczy zobaczy swoje dzieło? Przyjęcie jest jutro o siódmej. Jestem pewny, że córka z radością podziękuje pani osobiście.

– Bardzo to z pańskiej strony uprzejme, ale... co na to pani Toliver?

– Moja matka?

– Nie, pańska żona.

– Och. Na pewno także będzie zachwycona.

– Czy... pozwoli pan, że się zastanowię?

– Oczywiście. – Thomas wziął paczuszkę. – A tak przy okazji, jestem Thomas.

Wyciągnęła do niego rękę.

– Jacqueline.

Lekko uściskał jej dłoń.

– Jacqueline. Czy może pani poważnie rozważyć zaproszenie?

– Niewykluczone. Do widzenia... Thomasie.

Thomas uchylił kapelusza.

– Do jutra, mam nadzieję.

Rozdział 78

– Co zrobiłeś?! – zapytała Priscilla.

Przed lustrem Thomas spokojnie wiązał wieczorowy krawat.

– Zaprosiłem panią Chastain, modystkę, na urodzinowe przyjęcie naszej córki. Pomyślałem, że chętnie oceni swój artyzm osobiście.

– Thomasie... – Priscilla stanęła między swoim mężem a lustrem.

– Jacqueline Chastain to bardzo miła osoba, ale jest modystką! Zajmuje się handlem!

Thomas oparł grzbiet dłoni o ramię żony i delikatnie, acz zdecydowanie odsunął ją, żeby nie zasłaniała mu lustra.

– I co z tego?

– Co z tego?! A to, że takich jak ona nie zaprasza się na przyjęcie Reginy! To z tego!

Zawiązawszy krawat, Thomas spojrzał na żonę.

– A jak ty byś się czuła, gdyby ktoś powiedział tak o tobie jako o córce lekarza, łapiducha, dajmy na to?

Priscilla się zaczerwieniła.

– Nie wyrażaj się w ten sposób o moim ojcu, niech spoczywa w spokoju.

– Nie mówię o twoim ojcu, lecz o tobie, Priscillo. Mogłabyś być na jej miejscu, gdybyś się nie wżeniła w rodzinę Toliverów.

Oczy Priscilli zapłonęły.

– A ty pomyśl o dzieciach, których byś nie miał, gdybyś się ze mną nie ożenił – powiedziała.

– Uwierz mi, Priscillo, myślę o tym co dnia. Uspokój się, moja droga, pani Chastain nie wygląda na kogoś, kto dużo je.

Kręcąc się między gośćmi, Thomas cały czas zerkał, czy pani Chastain aby się nie pojawiła. Przy stole miała wyznaczone miejsce jak najdalej od jego krzesła u szczytu. Thomasa kusiło, żeby przestawić kartkę z jej nazwiskiem bliżej, domyślał się jednak, że wzbudziłoby to podejrzliwość jego żony. Co w niego wstąpiło? Nachodziły go niebezpieczne myśli – czy jednak na pewno? Czy jest coś złego – niemoralnego – w podziwianiu pięknej kobiety, niekoniecznie własnej żony? Czy nie może zwyczajnie czerpać przyjemności z jej

towarzystwa? Przez dziewiętnaście lat małżeństwa nigdy nie spojrzał na inną kobietę w... w sposób, w jaki nie powinien mężczyzna żonaty. Nie potrafił wyjaśnić, czym się kierował, zapraszając panią Chastain na przyjęcie urodzinowe swojej córki, ani podniecenia, z jakim jej wyglądał. Zamienili ledwie kilka słów, spędzili w swoim towarzystwie kilka minut, on jednak wciąż słyszał jej głos, wspominał uroczą twarz i ujmujące zachowanie. Niemal miał nadzieję, że nie przyjdzie, a wtedy prawdopodobnie nigdy więcej się nie spotkają.

Skupił uwagę na córce, roześmianej, promieniejącej w otoczeniu przyjaciół, z Tylerem McCordem nie odstępującym jej na krok. Westchnął. Chłopiec mu się podobał. Pochodził ze statecznej, kochającej rodziny i wyraźnie świata poza Reginą nie widział, tak jak ona poza nim. Wszyscy w rodzinie Toliverów go lubili, szczególnie chłopcy. Vernon mógł z nim rozmawiać o ziemi, David o bejsbolu, zaś McCordowie traktowali Reginę jak jedną z nich. Jako ojciec Thomas nie mógłby sobie życzyć więcej. Lśniaca opaska z zielonej satyny wspaniale podkreślała płomienny kolor bujnych loków dziewczyny. Na jej środku połyskiwała niewielka brylantowa szpilka, którą wraz z Priscillą uhonorowali szesnaste urodziny córki.

– Dziękuję mamó, dziękuję tato – powiedziała Regina z wylewnym zachwytem, kiedy wcześniej odpakowywała prezenty. (Od Vernona i Davida dostała jedwabne pończochy, od babci zdobione emalią spinki do włosów). – Ta szpilka zawsze będzie mi przypominać cudowne przyjęcie, które wydalicie z okazji moich szesnastych urodzin.

Priscilla chciała przypiąć ozdobę do sukni Reginy, Thomas jednak zaproponował, żeby umieścić ją pośrodku opaski.

– Tatusiu! Co za cudowny pomysł! – wykrzyknęła Regina, a Thomas zignorował podejrzliwe spojrzenie, którym obrzuciła go Priscilla, gdy szpilka mocowana była w zaproponowanym przezeń miejscu.

Jakże pragnął, by pani Chastain mogła ujrzeć swoje dzieło. Priscilla powiedziała Reginie, że opaska została zaprojektowana wyłącznie dla niej i nikt w mieście nie będzie miał podobnej. Zdjęcia w gazecie zrobione przez fotografa nie oddadzą jej sprawiedliwości.

– Przepraszam pana – szepnął Thomasowi do ucha Barnabas, zięć

Petunii i lokaj Toliverów. – Pani Jacqueline Chastain czeka przy drzwiach.

Podał Thomasowi wizytówkę.

Serce Thomasa podskoczyło z radości.

– Oczywiście, Barnabasi, chodźmy po nią.

Stała w oświetlanym przez żyrandol, przeładowanym holu z godnością mającą ukryć niepewność, jak zostanie przyjęta, co Thomas natychmiast zauważył. Poczł, jak wzbiera w nim gniew. Dopilnuje, żeby nikt nie dał jej odczuć, iż nie jest mile widziana w jego domu. Podszedł do niej z uśmiechem i wyciągnął rękę. Miała na sobie białą suknię, zupełne przeciwieństwo bogato zdobionych kreacji, bufiastych i z ciasnymi gorsetami, jakie nosiły wszystkie panie obecne na przyjęciu. Była to luźna kreacja, swobodnie spływająca z ramion, jak się Thomas domyślił, jej własnego projektu. Podziwiał odwagę, z jaką jej właścicielka przeciwstawiała się panującym ogólnie trendom. Pani Chastain ciemne włosy spięła na czubku głowy i ozdobiła diademem przybranym żółtymi satynowymi wstążkami.

– Pani Chastain. – Ujął jej dłoń. – Jakże się cieszę, że pani przyszła.

– Cała przyjemność po mojej stronie, choć nieco zabarwiona zdenerwowaniem – odparła Jacqueline.

Thomas podał jej ramię.

– Mam na to doskonałe lekarstwo, droga pani. Napijmy się ponczu.

Priscilla powitała gościa z wdziękiem wytrawnej gospodyni, która nie zamierzała ukrywać zdziwienia, że modystka miała czelność pokazać się na przyjęciu.

– Mam nadzieję, że nie otrzymała pani zaproszenia zbyt późno, pani Chastain. Mój mąż bywa... czasem zbyt entuzjastyczny.

– Ależ skąd, pani Toliver. Szczerze podziwiam entuzjazm. To taka wspaniała cecha.

Gdy Thomas zaprowadził nowo przybyłego gościa do córki, Regina chwyciła panią Chastain w objęcia.

– Opaska jest piękna, przepiękna, pani Chastain. Tak bardzo dziękuję pani za wspaniałą pomysł, czas i trud, jaki pani włożyła w to cudo.

– Widząc je na pani, nie żałuję ani czasu, ani trudu, panno Toliver.

– Och, proszę mi mówić Regina, a czy ja mogę zwracać się do pani Jacqueline? To takie piękne imię. Francuskie, prawda?

Thomas najchętniej uściskałby córkę. Kiedy Jacqueline się obróciła, by poznać Vernona i Davida wezwanych, żeby złożyli swoje uszanowanie, Thomas przytulił Reginę i pocałował ją w skroń.

– Kocham cię, Kwiatuszku.

– Ja ciebie też, tatusiu.

Gdy przedstawił Jacqueline matce, dostrzegł ledwo zauważalne drgnięcie matczynej brwi, co za jego młodych lat zapowiadało poważną rozmowę. Jessica dla ośmielenia Jacqueline wyraziła zachwyt jej suknią.

– Widzę, że podobnie jak ja zgadza się pani z Oscarem Wilde'em, że te „upiękaszczce” – zakołysała swoją tiurniurą – to koszmar dzisiejszych czasów. Moja przyjaciółka Tippy, czyli Isabel, projektuje już suknie wolne od tych paskudztw. Zna pani Isabel?

– W rzeczy samej, pani Toliver – odparła ze zdziwieniem Jacqueline. – Pani ją zna osobiście?!

– Nie da się ukryć.

Zachwycony Thomas przyglądał się, jak obie panie nachylają ku sobie głowy w ożywionej rozmowie o historii łączącej jego matkę z Tippy. Już po chwili inni goście zebrali się wokół nich, panowie podziwiając Jacqueline, panie jej suknię.

Gdy wieczór dobiegał końca, Thomas spytał modystkę:

– Jak pani przyjechała?

– Dorożką. Poprosiłam woźnicę, żeby wrócił po mnie o dziesiątej.

– Jackson już na pewno pijany siedzi w tawernie. Każę panią odwieźć moim powozem.

Wolałby zrobić to sam, ale to oznaczałoby kuszenie losu.

Odprowadził ją więc tylko do powozu i przykazał woźnicy, żeby nie odjeżdżał, dopóki pani Chastain nie znajdzie się bezpiecznie w swoim mieszkaniu nad sklepem. Uścisnęli sobie dłonie.

– Do widzenia... Jacqueline. Bardzo dziękuję, że pani przyszła.

– Bardzo był pan uprzejmy, zapraszając mnie... Thomasie.

Uśmiechnęła się do niego, a jej ciemne włosy i żółte satynowe wstążki połyskiwały w blasku księżyca.

- Być może jeszcze się kiedyś spotkamy – powiedział.
- Wątpię, by tak się stało, ale byłoby miło. Do widzenia... panu.

Thomas patrzył za odjeżdżającym powozem i przełknął ślinę, by pozbyć się bolesnego ucisku w gardle.

Rozdział 79

Piętnastoletni David Toliver ubierał się ostrożnie w ciemnej sypialni, którą dzielił ze starszym bratem Vernonem, najwyraźniej jednak nie robił tego wystarczająco cicho.

– Davidzie, co robisz?

Głos brata, silny i zdecydowany, przestraszył go. Vernon zawsze wszystko zauważy, pomyślał ze złością David.

– Ubieram się – odparł krótko.

– Po co?

– Idę do starego młyna potrenować.

– Nigdzie nie pójdziesz. Tatuś się wścieknie. Wiesz przecież, że mamy rano jechać z nim do Somerset, żeby pomóc w odziarnianiu.

– Wrócę, zanim się zorientuje, że mnie nie ma.

Vernon usiadł na łóżku, przeczesując dłonią czarne, zmierzwiłone przez sen włosy.

– Jest za ciemno, żeby grać w bejsbol, poza tym nie chcę, żebyś szedł sam.

– A co, jesteś moim ojcem? Może i masz osiemnaście lat, ale to nie znaczy, że możesz mi rozkazywać. Sam i Nick będą tam na mnie czekać, jasne? Potrenujemy kilka godzin i wrócę akurat na śniadanie. Tylko mnie nie wydaj. Obiecujesz, bracie?

– Nie podoba mi się to, Davidzie. Ani trochę. W nocy w stawie koło starego młyna pełno jest różnych niebezpiecznych stworzeń i ciemno jest jak w studni. Poza tym słyszałem, że Ku-Klux-Klan ma dzisiaj krażyć.

– Nie będziemy grali w stawie, Vernonie, a poza tym już jest piąta, prawie świta. Nie słyszysz ptaków? A KKK nie zaczepi jednego z synów Tolivera.

– A te ciężary, które będziemy dzisiaj dźwigać? Po co ci trening? Nie musisz dać ręce odpocząć przed meczem w niedzielę?

David włożył kurtkę i uśmiechnął się do brata. Z nich dwóch Vernon był przystojniejszy. Niski, mocno zbudowany David, z grubo ciosanymi rysami twarzy różnił się całkowicie od wysokiego, smukłego Vernona, z jego pięknie wyrzeźbionym obliczem, nie wspominając

o niesfornych, kruczoczarnych włosach, które David kpiąco nazywał „koroną Toliverów”. Włosy młodszego brata, miękkie i delikatne jak u niemowlęcia, miały nijaki mysi kolor.

Lecz usposobienie Davida w zupełności wynagradzało wszystkie braki w jego urodzie. Uśmiech niemal nieustannie rozświetlał oczy w kolorze łubinu teksańskiego, zdradzające inteligencję i złośliwe poczucie humoru kryjące się pod płaszczykiem rezerwy. David cieszył się większą sympatią wśród kolegów niż jego poważny brat. Dziewczęta go uwielbiały, jeśli się w nim nie podkochały; na każdym przyjęciu jego obecność była obowiązkowa, nawet jeśli nie był najpiękniejszym kawalerem. Swoją matkę przyprawiał czasem o rozpacz, dla ojca był źródłem nieustającej radości. Babcia i rodzeństwo za nim przepadali.

– Gdybyś grał w bejsbol, Vernonie, rozumiałbyś. Ramię bazowego potrzebuje ciągłego treningu, zwłaszcza jak się gra na trzeciej bazie. Żeby dorzucić piłkę z trzeciej do pierwszej, trzeba wielkiej siły.

Jego brat naciągnął kołdrę na głowę.

– Tylko uważaj na siebie – dorzucił głosem stłumionym przez okrycie.

David bez najmniejszego szmeru wymknął się z domu bocznymi drzwiami. Wolał nie ryzykować wyjścia drzwiami od kuchni. Amy, Barnabas i ich córeczka Sassie mieszkali tuż obok spiżarni, a odkąd w ubiegłym roku zmarła jej matka, Amy budziła się, gdy po podłodze w salonie przebiegała mysz. Próbowaby go odwieść od wyjścia, co mogłoby obudzić rodziców, których sypialnia znajdowała się tuż nad kuchnią. Ze strachu przed „białymi rycerzami”, jak nazywali siebie ubrani w prześcieradła członkowie Ku-Klux-Klanu, nikt nie wychodził z domu przed świtem, a Amy bała się ich jak zarazy.

– Możesz sobie być Toliverem, ale co będzie, jeżeli zobaczysz coś, czego nie powinienes, a oni cię zauważą? – powiedziała do niego któregoś ranka, kiedy przyłapała go, jak wykradał się z domu na spotkanie z chłopcami. – Jak sobie te głupie hultaje w białych prześcieradłach popijają, nie przejmą się, choćbyś był synem samego Jezusa, i dopilnują, żebyś już nigdy nic nikomu nie powiedział.

David się nie przyznał, że i tak wie, kim są prawie wszyscy hultaje kryjący się pod kapturami, ponieważ jego kolega od bejsbolu, Sam

Darrow, mu powiedział, zobowiązując do dyskrecji. Pan Darrow z nimi jeździł. David doszedł do wniosku, że nie ma się czego bać dzięki ojcu Sama.

David wcisnął głębiej czapkę, schował swoje bezpalcowe rękawiczki gracza do kieszeni kurtki i z kijem bejsbolowym na ramieniu wyszedł w zimną ciemność. Odetchnął głęboko rześkim porannym powietrzem. O rany boskie, jakie wspaniałe jest życie, zwłaszcza o tej porze roku. Uwielbiał jesień, kiedy liście przybierały ognistą barwę, dni stawały się rześkie – idealna pogoda na bejsbol – a on miał przed sobą długie, długie lata cieszenia się ukochanym sportem. Nie będzie musiał z niego rezygnować, kiedy stanie się już dorosłym mężczyzną. Ze zdumieniem uświadomił to sobie wiosną na przyjęciu z okazji szesnastych urodzin siostry. Armand DuMont, Jeremy Junior i Stephen Warwick, wszyscy po czterdziestce, wciąż zdrowi i żwawi. David dokonał szybkich obliczeń. Miał przed sobą jeszcze trzydzieści lat wymachiwania kijem i łapania piłki, zanim osiągnie ich wiek. Drużyna chłopców, z którymi teraz grał, składająca się z synów przyjaciół ojca, zmieni się w drużynę mężczyzn, jak ta, która w zeszłym roku powstała w Marshall. Do tego czasu w Howbutker raczej nie powstanie inna dorosła drużyna. Mężczyźni pokroju jego ojca nie widzieli sensu w waleniu drewnianym kijem w piłkę i bieganiu do wypchanych trocinami worków tak, żeby nie dać się zbić. Nie rozumieli, co trzeba umieć, jaką zastosować strategię, jak łapacz może oszukać pałkarza ani jakie to uczucie, kiedy zdobywa się bazę domową albo odbije daleką piłkę. Zwyczajnie tego nie rozumieli, chociaż wszyscy ojcowie się zgadzali, by ich synowie interesowali się sportem, byle tylko nikomu nie stała się krzywda.

Na przyjęciu David doszedł do wniosku, że jest szczęściarzem. Robił dwie rzeczy, które ukochał najbardziej pod słońcem – hodował bawełnę i grał w bejsbol. Miał najlepszych na świecie rodziców, brata, siostrę i babcię, choć na tym tle spierał się z przyjaciółmi z klanów Warwicków i DuMontów, którzy tak samo myśleli o swoich bliskich.

Sam Darrow i Nick Logan czekali na niego na boisku, niecierpliwie wypatrując chwili, gdy rozgrzani grą przestaną dygotać z zimna. Za nimi majaczył w ciemności porzucony młyn, przysłonięty

mgłą podnoszącą się znad stawu wciąż jeszcze rozgrzanego po zmierzchu lata. Opuszczony teren przy młynie i nad stawem lata temu miejscowi chłopcy zajęli na swoje miejsce zabaw i spotkań. Mecz przeciwko drużynie z Marshall zostanie w niedzielę oficjalnie rozegrany w miejskim parku, gdzie było miejsce dla orkiestry i widzów.

Sam i Nick jako jedyni z całej drużyny byli wystarczająco chętni i odważni, żeby bez wiedzy rodziców wymykać się wczesnym rankiem z domu. David wiedział, że matka nie pochwała jego przyjaźni z „takimi jak oni”. Bardzo była na tym punkcie przeczulona. Chłopcy nie mieszkali przy Houston Avenue jak reszta członków drużyny. Pochodzili ze wsi, a ich ojcowie, idąc do pracy, nie wkładali surdutów i kamizelek. Jeden z nich był hamulcowym w kolei Southern Pacific, drugi pracował w garbarni. Podobnie jak David, chłopcy również mieli wyznaczone zadania, jako że w sobotę wszyscy pracowali do zmierzchu, a ich matki pod żadnym pozorem nie zgadzały się, by po kolacji wychodzili z domu. O tej porze nie było mowy o żadnym wymykaniu się. W domach Darrowów i Loganów sobotnie wieczory były przeznaczone na kąpiel i pastowanie butów przed niedzielnym wyjściem do szkoły niedzielnej i kościoła. Dlatego tylko dzisiaj o świcie mogli potrenować przed jutrzejszym meczem.

– Hej, chłopaki! – zawołał David, czując, jak na jego zmarzniętą twarz wypływa uśmiech.

Koledzy mu odpowiedzieli, gotowi zacząć trening. Dzisiaj Sam miał ćwiczyć łapanie, Nick uderzanie, a David bieg, każdy to, w czym był najlepszy. Rozwidniało się już, gdy chłopcy zrzucili kurtki, a młody Toliver założył swoje rękawice wyprodukowane ze specjalnej cienkiej skóry, by chronić dłonie zawodnika. Nick zajął pozycję z kijem, Sam przygotował się do łapania, a David do schwywania bądź pościgu za piłką.

Pierwsza uderzona przez Nicka piłka przeleciała nad głowami Davida i łapacza i wylądowała na ciemnym brzegu stawu.

– Świetne uderzenie! – zawołał David, biegnąc za piłką, żeby nie stracić jej z oczu. – Jutro kilka takich uderzeń i mecz mamy wygrany!

Do licha, gdzie ta piłka, pomyślał, wyęzając wzrok, by w mroku pod cyprysami dostrzec brązową skórzaną piłkę schowaną w wilgotnej

wysokiej trawie i bagiennych roślinach. Nie chciał jej stracić. To była piłka A. G. Spalding, którą ojciec podarował mu na Gwiazdkę. To nią mieli grać w jutrzejszym meczu. Usłyszał wołanie jednego z chłopców:

– David, uważaj na węże!

To chyba Nick, pomyślał David. I właśnie dostrzegłszy piłkę, sięgnął po nią lewą ręką, żeby nie zmoczyć swojej cennej rękawicy.

Zbyt późno zauważył czarne zagrożenie, którego spokój zakłóciła spadająca piłka. Mokasyn błotny rzucił się wprost na niego, połyskując białą w mroku otwartą paszczą, i wbił swoje zęby jadowe głęboko w rękę Davida. Wgryzał się w nią, dopóki David nie zdołał go oderwać i cisnąć do stawu. Usłyszał, jak wąż z chlupotem wpada do wody, po czym wycofał się na bezpieczną odległość, wpatrując się w dwie ranki, z których już zaczynała się sączyć krew. W jednej sekundzie ręka zaczęła go palić, jakby włożył ją w rozżarzone węgle.

Chłopcy z krzykiem biegli w jego stronę.

– Ugryzł mnie – powiedział David, już czując w ustach metaliczny smak.

Jego serce przyśpieszyło, z trudem łapał powietrze. Wzrok mu się zamglił i puściły jelita. Zamroczony, w przypiływie narastających mdłości usłyszał krzyk Sama: „O Boże! O Boże!” i zdążył jeszcze pomyśleć o meczu, którego nigdy nie rozegra.

Rozdział 80

Któregoś dnia po pogrzebie Thomas wczesnym rankiem pojechał do Somerset i zsiadł z konia na wzniesieniu, na którym pochowany był jego ojciec. Liście dębu zaczynały zmieniać kolor, podobnie jak liście sumaka, błotni leśnej i orzesznika rosnących pomiędzy sosnami wzdłuż drogi prowadzącej do plantacji. Wiedział, że już do końca życia widok pomarańczowo-złotych październikowych poranków będzie przypominał mu dzień, w którym jeszcze przed wschodem słońca jego najmłodszy syn spotkał się z narzędziem swojej śmierci. Thomas zdjął kapelusz i przykucnął obok nagrobka. Wpatrywał się w niego, wspominając rozmowę rodziców, którą podsłuchał dwadzieścia dwa lata temu. W głowie słyszał słowa ojca...

„Moja matka przepowiedziała, że Somerset będzie przeklęte za to, co poświęciłem, żeby zaspokoić ambicję posiadania własnej plantacji... Wtedy nie przywiązałem do tego wagi... Ale potem, kiedy straciłaś nasze pierwsze dziecko... po Thomasie poroniłaś znowu i odtąd już nie... nie mogłaś zająć w ciążę. A potem, kiedy straciliśmy Joshuę...”

Thomas nigdy nie zapomniał cierpienia, z jakim ojciec wypowiadał te słowa.

„Jakby opętał mnie demon, obsesyjnie zacząłem myśleć, że może jesteśmy przeklęci... że to kara za... że tak samolubnie i rozmyślnie dobiłem targu przez wzgląd na ziemię...”

Potrząsnął głową, by pozbyć się myśli, że jego syn poniósł śmierć z powodu klątwy, ale bez skutku. Często przyjeżdżał tu ze swoimi troskami, niepokojami, nadziejami i sukcesami, zwykle w poszukiwaniu rady i odpowiedzi, jakby ojciec mógł przemawiać do niego zza grobu. Zwykle odjeżdżał z lżejszym sercem, mocnym postanowieniem, jasno wyznaczonym celem. Dzisiaj szukał pocieszenia, chciał się uwolnić od bezlitosnego przekonania, które go nie opuszczało od chwili, gdy jego synka przywieźli do domu już w szponach śmierci. Spoglądając jednak na kamień nagrobny, miał straszliwe uczucie, że przyszedł w niewłaściwe miejsce.

Oczami wyobraźni widział ojca takim, jakim najlepiej go zapamiętał – wysokiego, wyprostowanego, panującego nad wszystkim,

z mądrością przeżytych lat wpisaną w rysy przystojnej, zdecydowanej twarzy, z pewnym siebie, spokojnym spojrzeniem. Dzisiaj jednak we wspomnieniu tych przejrzystych zielonych oczu nie znalazł potwierdzenia, że ciężąca nad Toliverami klątwa jest tylko bzdurnym wymysłem. Wręcz przeciwnie, czuł, że ojciec by się z nim w tej kwestii nie zgodził.

Prawdą jest, że podobnie jak ojciec poświęcił szczęście drugiej osoby dla zaspokojenia własnych interesów i musiał z tym żyć, co już samo w sobie było wystarczającym przekleństwem. Thomas często się zastanawiał, zwłaszcza teraz, gdy dochodził do wniosku, że Priscilla go nienawidzi, o ile byłaby szczęśliwsza, gdyby wyszła za mężczyznę, który by ją kochał. Pozbawił ją tego szczęścia, za co płacił własnym, co było poświęceniem z jego strony. Czy jednak „samolubne i rozmyślne dobicie targu” z jego strony mogło przyczynić się do śmierci Davida? Oczywiście, że nie. Od zawsze mężczyźni żenili się z kobietami z powodów innych niż miłość, a ich dzieci umierały. Nie z powodu jakiejś klątwy. Henri i Bess stracili córkę; Jeremy i Camellia syna. Czy oni też byli przeklęci?

Thomas wstał, założył kapelusz i powiódł wzrokiem po niekończących się rzędach bawełny, które były jego jedynym ukojeniem. Robotnicy po raz drugi zbierali plony z wciąż bujnych krzewów. To był piękny widok. Ogrom – siła – całej tej bieli, której wzrok nie ogarniał, wypełniał mu duszę. Pamiętał, jak zaraz po zaręczynach z Priscillą ojciec jej tłumaczył: „Toliverowie to marynarze. Ale nie urodziliśmy się, żeby przemierzać oceany i pływać na statkach. Na dobre czy złe, kieruje nami odziedziczona wraz z krwią potrzeba panowania nad ziemią – ogromnymi jej połaciami – i posiadania jej na własność, jak czynili to nasi przodkowie w Anglii i w Karolinie Południowej”.

Czy człowiek mógł wyprzeć się tego, kim i czym był i jest, do czego się urodził, co musi przetrwać, co zgodnie ze swoją głęboką wiarą musi przekazać następnym pokoleniom? Jeżeli jego smutek nabrzmiewał na myśl, że tej spuścizny jego młodszy syn nie będzie mógł dzielić z bratem, było to wyłącznie nieszczęśliwe zrządzenie losu, nie żadna klątwa. Stracił dziedzica spłodzonego z kobietą, której nie poślubił z miłości, lecz by dała mu potomstwo, jednak ta strata nie miała nic

wspólnego z tym, co on i jego ojciec poświęcili dla Somerset.
Poprzysiął sobie, że zawsze będzie o tym pamiętał.

Rozdział 81

Ostatniego dnia 1883 roku Jessica sięgnęła po jeden z notesów ułożonych w stosik w górnym schowku sekretarzyka i podkręciwszy lampę naftową, by rozproszyć zapadające ciemności, pochyliła się, żeby dokonać ostatniego w tym roku zapisu.

31 grudnia 1883 roku

W domu Toliverów zapadł mrok, którego żadne światło bożonarodzeniowych świec nie jest w stanie rozproszyć. Tegoroczne święta są gorsze nawet od tamtych po śmierci Silasa. Silas przeżył swoje życie; David nie zdążył. Wciąż nie mogę otrząsnąć się po ciosie, jakim była śmierć mojego wnuka, a żal nie opuści mnie jeszcze długo – jego rodziców nigdy. Rodzice nigdy nie dochodzą do siebie po śmierci swoich dzieci. Dałabym wszystko, by ulżyć mojemu synowi i synowej, jednak żadne pocieszenie na nic się nie zda. Odeszłam, kiedy przyszedł ksiądz ze swoją Biblią. Nie chciałam słuchać jego pustych słów. Thomas miał szarą twarz, Priscilla nieruchomy wzrok, Vernon po wyjściu księdza płakał tak samo, jak przed jego przybyciem. Regina uciekła w objęcia Thomasa, gdzie spędza większość czasu od pogrzebu brata. Pocięchę niosła nam milcząca obecność Henriego, Bess i Jeremy'ego. Oni wiedzieli. Doświadczyli tego, co teraz stało się udziałem Thomasa i Priscilli. Thomas cierpi też ze względu na Vernona. Pamięta, jak sam stracił swojego brata, Joshuę.

Tym bardziej mi smutno, że widzę, jak Thomas i Priscilla są sobie dalecy. Mój syn nie rozumie, czemu z takim gniewem się od niego odsunęła. Żałoba powinna ich do siebie zbliżyć i ja też nie wiem, co o tym sądzić. Zupełnie jakby Priscilla winą za śmierć ich syna obarczała Thomasa, jakby wiedziała o klątwie Toliverów i wierzyła, że to przez nią doszło do nieszczęścia. Skąd jednak mogłaby o tym wiedzieć, jeżeli...

Jessica odłożyła pióro i niewidzącym wzrokiem zapatrzyła się w gęstniejący za oknem mrok. Jak nagły atak węża, który zabił jej wnuka, przyszło jej na myśl niewyobrażalne. Dobry Boże! Czyżby Priscilla czytała jej pamiętniki? Tylko z nich mogła się dowiedzieć

o klątwie. Bo nie od Thomasa. On nie miał pojęcia o głupstwach, którymi zadręczał się jego ojciec. Czy możliwe, by ta dziewczyna okazała się tak pozbawiona zasad, taka... podła? A może Jessica cierpi na nadmiar wyobraźni? Źle ocenia swoją synową?

Mógł być jeszcze jeden powód niechęci Priscilli do męża. Na urodzinowym przyjęciu Reginy Priscilla zauważyła, jaką sympatią darzą się Thomas i Jacqueline Chastain. O ile było Jessice wiadomo – na pewno by zauważyła – Thomas nigdy nie posunął się dalej, jednak od tamtego dnia Priscilla stała się wrogiem modystki, co do tego Jessica miała absolutną pewność. Z początku nic na to nie wskazywało. Priscilla zaczęła kupować wszystkie swoje kapelusze w sklepie „Modystka”, w takiej ilości, że któregoś dnia przy kolacji Thomas zwrócił uwagę na tę ekstrawagancję.

– Bardzo się cieszę, Priscillo, że tak wspierasz panią Chastain, ale czy musisz robić to tak, jakbyś była jedyną klientką w Howbutker?

– Chcę sprawić, żeby moje przyjaciółki zachodziły do jej sklepu – odparła Priscilla.

Jessica jednak zauważyła, że Priscilla nigdy nie zakłada tych kapeluszy, zaś od Bess się dowiedziała, że ktoś rozsyła po całym hrabstwie listy szkalujące moralność wdowy, do której należy sklep. Zdaniem autorki tych listów Jacqueline uwiodła jej męża, teraz zaś ostrzegała ona inne kobiety, że dopóki „ta rozpustnica” jest w mieście, ich mężowie nie są bezpieczni od jej zakusów.

– Kto mógł coś takiego zrobić? – dziwiła się Bess. – Z drugiej strony człowiek od razu się zastanawia, czy jest w tym coś z prawdy, chociaż pani Chastain nie wygląda na tego rodzaju kobietę, ale kto wie? Jest bardzo piękna i bez zobowiązań...

Jessica się domyślała kto. Ona żadnego listu nie dostała, co tym bardziej wskazywało na Priscillę. Synowa kupowała te wszystkie kapelusze, żeby odsunąć od siebie podejrzenia. Bess zniszczyła swój list, Jessica więc nie mogła porównać charakteru pisma autorki z pismem Priscilli. Jessica nie miała pojęcia, co czynić. Jeżeli okazałoby się, że jej synowa nie jest winna, powstała zadrę trudno byłoby zaleczyć. Jeżeli natomiast dopuściłaby się haniebnego czynu, Thomas nie mógłby żyć z nią pod jednym dachem. A co ich rozstanie oznaczałoby dla dzieci?

Jessica uznała, że jedyne, co jej pozostaje, to milczeć i mieć nadzieję, że działania złoczyńcy nie wpłyną na powodzenie sklepu pani Chastain.

Jeżeli jednak Priscilla dopuściła się podobnej podłości, czy coś by ją powstrzymało przed zakradaniem się do pokoju teściowej i czytaniem jej prywatnych dzienników trzymanyh pod kluczem? Myśl była tak przerażająca, że Jessica wstała gwałtownie i zaczęła krążyć po pokoju. Dobry Boże, wszystkie te skrzętnie skrywane sekrety, które Priscilla by poznała! I po co w ogóle miałyby je czytać? Niepodobna, żeby aż tak bardzo interesowało ją pochodzenie jej męża!

Jessica w myślach analizowała, do czego dotarłaby jej synowa, gdyby rzeczywiście czytała dzienniki. Osobista natura ich zawartości, ogrom informacji przyprawiły ją o dreszcz, najgorsze było zaś podejrzenie, że Priscilla miała romans z majorem Andrew Duncanem, który w związku z tym może być ojcem Reginy.

Jessice z trudem udało się zachować spokój. Może roi sobie koszmary, które nie istnieją. Priscilla nigdy choćby spojrzeniem nie zdradziła, że coś wie. Nigdy niczego nie wykorzystwała przeciwko Jessice, którą zdążyła już znieubić, ale po co wobec tego ryzykowała, że ktoś ją przyłapie? Skąd w ogóle pomysł, by sięgnąć do pamiętników teściowej? Musiała wiedzieć, że przyłapaną skazałaby się na niewyobrażalny wstyd, a Thomas odrzuciłby ją całkowicie. Dlaczego zdecydowała się narazić na ryzyko swoje małżeństwo i pozycję, którą tak sobie ceniła?

Jessica podeszła do okna i wyjrzała na podjazd wiodący do wozowni. Czasem o świcie wydawało jej się, że słyszy stukot kopyt konia, który się rozlegał, gdy major wracał do swojej kwatery. Nagle doznała objawienia. Oczywiście. Major! Rudowłosa, piegowaty Andrew Duncan był powodem, dla którego Priscilla przeczytała pamiętniki Jessiki.

Jessica się zastanawiała, czemu tak długo na to nie wpadła. Priscilla z jakiegoś powodu musiała dojść do wniosku, że teściowa podejrzewa ją o romans z majorem, dlatego sięgnęła do jedyne go źródła, w którym mogła znaleźć potwierdzenie, i tak się stało.

Jessica opadła na krzesło, w głowie jej się kotłowało. Co teraz? Nie mogła niczego powiedzieć Thomasowi. O święci pańscy, cóż to byłaby

za tragedia! Wiarołomność Priscilli wywołałaby skandal, pojawiłyby się wątpliwości co do prawego pochodzenia Reginy, małżeństwo by się rozpadło – i jeszcze do tego wszystkiego śmierć Davida. Poza tym Jessica nie miała dowodu, że synowa czytała jej pamiętniki. Priscilla mogłaby – i na pewno tak by zrobiła – wyprzeć się wszystkiego, poza tym Jessica musiała myśleć o dzieciach. Po raz kolejny nie może wywoływać tego wilka z lasu. Były inne, które śmierć Davida mogła wywołać, jeżeli Priscilla dowiedziała się o klątwie Toliverów.

Jeden po drugim Jessica wyjęła swoje dzienniki z sekretarzyka i ułożone chronologicznie schowała w poszewkach na poduszki. Gdy były już pełne, schowała zawiniątka w szafie, zaś klucz ukryła w wezłowie łóżka. Jeżeli Priscilla pojawi się znowu i zobaczy, że dzienniki zniknęły, zrozumie, że jej niewybaczalny czyn został odkryty.

Rozdział 82

Nastała kolejna wiosna. Derenie, tawuły, judaszowce i wisteria były w pełnym rozkwicie. W drodze do miasta Thomas się zastanawiał, czy jeszcze kiedyś poczuje się tak o tej porze jak w ubiegłym roku, kiedy jego córka kończyła szesnaście lat. Wtedy czuł, że w kwiecie wieku jako mężczyzna osiągnął wszystko. Może to odczucie nie dotyczyło jego małżeństwa. Ale to było rok temu, a potem wraz ze śmiercią Davida nastąpiła ciemność, pozostali zaś przy życiu członkowie jego rodziny mieli wrażenie, że sami zostali pochowani w czarnej otchłani ziemi. Po jakimś czasie wydobyli się na powierzchnię, ale żadne z nich nie było już takie samo.

Może trzeba... jeszcze bardziej oddalić się od tej ciemności, myślał sobie Thomas, i z czasem wszystko wróci do normy, przynajmniej z pozoru. Na razie jednak nic go nie cieszyło: ani małżeństwo, ani służba publiczna, ani – czasem w każdym razie – Somerset. Funkcjonował jak zwykle, ale nie widział w swoich działaniach sensu, nie dawały mu też satysfakcji. O jego miejsce w radzie miejskiej ubiegał się jakiś nuworysz z Północy i Thomas był gotów oddać mu je bez walki. Vernon praktycznie przejął prowadzenie plantacji, a co do jego małżeństwa... cóż, zwyczajnie nie miał siły po raz kolejny rozdmuchiwać przygasłego żaru, zresztą Priscilla zdawała się również nie tęsknić za jego ciepłem. W dalszym ciągu nie pojmował, czemu go odtrąciła, kiedy próbował pocieszać ją po śmierci Davida. Odwróciła się od niego, a czasem widział, jak patrzy na niego oskarżycielsko – jakby winiła go za śmierć syna. Po jakimś czasie Thomas przypisał jej chłód otrzeźwiającej świadomości, którą on miał już od jakiegoś czasu. Ich pierworodny stawał się mężczyzną, a córka, której obecność w domu była tak ważna, w przyszłym roku wyjdzie za mąż. Priscilla zostanie sama ze swoim nudnym mężem i jego starzejącą się matką.

Dzisiaj wybierał się na lunch z Armandem. Nadciągała kolejna czarna chmura. Henri DuMont był śmiertelnie chory i Armand cierpiał męki, jakie przeżywał Thomas, kiedy jego własny ojciec umierał. Tak jak wtedy, gdy Armand wspierał go swoją przyjaźnią, teraz Thomas będzie trwał przy nim.

Najpierw jednak miał sprawę do człowieka prowadzącego olejarnię bawełnianą na drugim końcu Howbutker. Thomas założył olejarnię w 1879 roku, w okresie ogromnego zapotrzebowania na nasiona bawełny, z których robiono niemal wszystko, od paszy dla zwierząt po wypełnienie do materacy. Bawełna zastąpiła len jako główne źródło oleju roślinnego w Stanach Zjednoczonych, a rynek powiększył się jeszcze bardziej dzięki wynalezieniu oleomargaryny, do której produkcji zamiast tłuszczu pochodzenia zwierzęcego potrzebny był olej roślinny. Dzisiaj Thomas zamierzał pomówić ze swoim brygadzystą o powiększeniu wydajności młyna, by sprostać istniej lawinie zamówień. Thomas czuł, że powinien cieszyć się na rozmowę o planach zwiększenia lukratywnego źródła dochodów, jednak nastrój mu na to nie pozwalał.

Gdy wjeżdżał na centralny plac miasta, automatycznie spoglądał w dół ulicy prowadzącej do sklepu Jacqueline Chastain. Nigdy jednak nie miał odwagi w nią skręcić – bał się, że jeśli tylko zajrzy w okna wystawowe, wejdzie do środka. Minał rok, odkąd po raz ostatni widział zarys ciemnej głowy w tylnej szybie swojego powozu. Jacqueline po śmierci Davida przysłała list z kondolencjami, a on musiał zwalczyć w sobie pokusę, by pojechać do niej i wypłakać swój żal na jej łonie.

Dzisiaj jednak postanowił przejechać obok sklepu Jacqueline. Zresztą co mu szkodzi? Może po roku jej widok nie zrobi już na nim takiego wrażenia. Ona też mogła się zmienić. Poza tym nie miał zamiaru składać jej wizyty. Tylko zerknie i pojedzie dalej.

Chwilę później zatrzymał konia przed sklepem. Z niedowierzaniem wpatrywał się w tabliczkę na drzwiach z napisem: ZAMKNIĘTE. Wystawy świeciły pustkami, nie wabiąc ślicznymi kapeluszami, parasolkami, rękawiczkami i torebkami, które były tu w ubiegłym roku. Lokal sprawiał wrażenie opuszczonego, jakby zamknięty był od jakiegoś czasu. Thomas zsiadł z konia i spróbował otworzyć drzwi. Nie ustąpiły. Zajrzał do środka i zobaczył puste półki i ladę. Co u licha? Cofnął się i zajrzał w okna na piętrze. Z ulgą dostrzegł w nich doniczki z geranium. Ktoś tam mieszkał.

Uwiązał konia i skręcił za róg budynku, gdzie schody prowadziły do mieszkania nad sklepem. Nasłuchiwał i wypatrywał oznak życia,

jakiegoś ruchu za firanką, domowych odgłosów, nic jednak nie wskazywało, by ktoś był w domu. Nagle coś otarło mu się o nogę. Kot. Skoczył na pierwszy stopień i pognął na podest, gdzie zaczął miauczeć pod drzwiami. Kiedy te się otworzyły, Thomas wstrzymał oddech i ujrzał w nich Jacqueline Chastain.

– Jacqueline? – zawołał półgłosem.

Wyszła na podest i popatrzyła w dół.

– Thomas? Co pan tu robi?

– Zo... zobaczyłem wywieszkę na drzwiach. Nie miałem pojęcia, że... zamknęła pani sklep.

– Tak, cztery miesiące temu. Mój sklep... zbankrutował.

Skonsternowany postawił stopę na najniższym stopniu. Choć wciąż wyprostowana i piękna, Jacqueline wyglądała na pokonaną. Miała na sobie szlafrok, a włosy swobodnie opadały jej na ramiona.

– Wydawało mi się, że świetnie pani sobie radzi – powiedział.

– Bo tak było... przez jakiś czas.

Spoglądali na siebie.

– Zostaje pani w Howbutker? – zapytał Thomas.

– Dopóki wszystkiego nie pozałatwiam. Armand DuMont był taki uprzejmy i pozwolił mi zostać w mieszkaniu, jednak nie mogę mu się dłużej narzucać. Na pewno chciałby je komuś wynająć.

– Armand DuMont?

– Budynek należy do niego. Tak mi przykro, że jego ojciec nie domaga.

Tylko Armand, niech Bóg błogosławi jego dobre serce, mógł wynająć sklep konkurencji, przemknęło Thomasowi przez myśl. Nie miał o tym pojęcia.

– Czy mogę wejść na filiżankę kawy? – spytał wiedziony impulsem.

– Proszę – odparła, choć po chwili wahania.

Podawała parującą kawę w delikatnych porcelanowych filiżankach. Siedzieli w niedużym pokoju, z oknami wychodzącymi na ulicę, który pełnił funkcję salonu. Thomas zauważył spakowane skrzynie, które zagracały i tak niedużą przestrzeń.

– Dokąd pani pojedzie? – zapytał.

– Do domu, do Richmond w Wirginii. Mam tam siostrę. Ona i jej mąż zgodzili się mnie przyjąć. Mam nadzieję znaleźć pracę u jakiejś modystki w mieście.

– Kiedy... to nastąpi?

– Za kilka tygodni, kiedy rozporządzę resztą mojego dobytku. – Gestem wskazała na drewniane skrzynie. – Sklep w Marshall zgodził się je przyjąć, będę więc miała pieniądze na podróż.

Thomasowi ścisnęło się serce.

– Bardzo mi przykro, że pani się nie powiodło. Ma pani wielki talent. Sądziłem, że pani interesy kwitną.

Uśmiechnęła się do niego smutno.

– Tak było, ale... – Wzruszyła ramionami. – Nie było mi to pisane. Jak pan się czuje po tej... tragedii?

– Jakoś... dam radę – odparł ze słabym uśmiechem.

Skinęła głową, co w połączeniu z przymkniętymi na chwilę oczami powiedziało mu, że rozumie. Thomas wiedział, że nie jest kobietą, która próbowałaby go pocieszać, wygłaszając komunały. Kot, wielki szary kocur, wskoczył jej na kolana i zwinął się na nich, pewny swojego miejsca. Jacqueline napiła się kawy. Thomas odstawił filiżankę. Powinien już iść. Nic więcej nie mógł dodać, chociaż tysiące słów cisnęło mu się na usta. Nic o tej kobiecie nie wiedział. Ludzie potrafią oszukiwać. Mogą zaskakiwać i sprawiać zawód. Może nas zawieść instynkt i zaufamy niewłaściwej osobie. Ale jedno o Jacqueline Chastain wiedział na pewno: była zbyt wyjątkowa, żeby mieszkać na strychu albo w służbówce w domu siostry, i zbyt utalentowana, by pracować za nędzne grosze, sprzedając kapelusze nie swojego projektu w cudzym sklepie.

Nachylił się ku niej.

– Pani Chastain... Jacqueline... czy gdyby dostała pani odpowiednią posadę tutaj, w Howbutker, zdecydowałaby się pani zostać?

– Tak, oczywiście – odparła, a on chciał się łudzić, że usłyszał w jej głosie cień nadziei. Ona jednak zdawała się poddać losowi. – Obawiam się jednak, że niczego takiego nie znajdę tutaj dla siebie.

– Czemuż to?

– Są w tym mieście... pewne wpływowe osoby, które na to nie pozwolą.

Zmarszczył brwi.

– Jakie osoby? O czym pani mówi?

Podniosła się z kotem na rękach. Wizyta dobiegła końca.

– Tego nie mogę powiedzieć, panie Toliver, ale wdzięczna jestem za pańską troskę. Dziękuję, że zainteresował pana mój los. –

Odprowadziła go do drzwi i z pożegnalnym uśmiechem wyciągnęła do niego rękę. – Czas nie zagoi rany w pańskim sercu – dodała – ale mam nadzieję, że z upływem lat zostaną panu tylko dobre wspomnienia o synu.

– Nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa, pani Chastain – rzekł Thomas, nie przyjmując do wiadomości, że się poddała. – Proszę nie tracić wiary.

– Obawiam się, że na to już za późno, panie Toliver.

Rozdział 83

Spotkanie z brygadzystą wyleciało mu kompletnie z głowy. Z mieszkania Jacqueline Chastain Thomas udał się wprost do Domu Towarowego DuMont. Zawsze zapierało mu dech w piersiach, kiedy wchodził do eleganckiego, wyrafinowanego wnętrza, co zdarzało mu się najwyżej dwukrotnie w ciągu roku, kiedy musiał wybrać prezenty dla Reginy i swojej matki. Gdy kilka razy z rzędu nie udało mu się trafić z prezentem dla żony, Priscilla sama szeptała do ucha Henriemu lub Armandowi, co sprawiłoby jej największą przyjemność, oni z kolei zdradzali to Thomasowi, a on prosił, aby rzecz zapakować i przysłać mu do domu. Thomas nie pamiętał żadnego prezentu, który sam wybrał dla Priscilli z jakiejś okazji.

Dom Towarowy DuMont był pałacem, całym w złocie, marmurach i lustrach, a jego wykwintny asortyment pięknie wyeksponowany lśnił w blasku niezliczonych gazowych kryształowych żyrandoli. Mógł się poszczycić działami z konfekcją dla pań, panów i dzieci, biżuterią, prezentami, wyposażeniem dla domu i futrami. Mieściła się w nim również herbaciarnia, salon fryzjerski, księgarnia, pracownie krawieckie i projektowe oraz biura, wszystko na trzech piętrach, na które można się było dostać krętymi, eleganckimi schodami.

Thomas uważał sklep za teksański fenomen. Jaki człowiek interesu wpadłby na otwarcie takiego sklepu jak Dom Towarowy DuMont w małym miasteczku we wschodnim Teksasie i wierzyłby w jego rentowność, by porwać się na taki rozmach i asortyment?

Jednak Henri DuMont tak właśnie zrobił. Od samego początku do sukcesu jego domu towarowego wiódł go instynkt, który podpowiadał mu, do jakiej klienteli ma kierować swoją propozycję, czego będą chcieli i za co będą gotowi zapłacić. Henri rozumiał, jak istotną rolę odgrywa reklama i rozgłos i zawsze o krok wyprzedzał czasy, w których żył. On i Armand jako jedni z pierwszych detalistów zrozumieli, że produkcja masowa, niejako wymuszona przez wojnę secesyjną, zmieni sposób, w jaki Amerykanie się ubierają, robią zakupy i jedzą. Mieli świadomość, że tak mężczyźni, jak i kobiety nie chcą już czasochłonnych przymiarek i kosztownych, szytych na miarę strojów, i przygotowali swój sklep na

przyjęcie gotowych ubrań, które można kupić natychmiast, prosto z wieszaka.

Klienci przyjeżdżali zewsząd, co było dużym wyzwaniem dla konkurencji Henriego w innych teksańskich miastach, a nawet w Luizjanie czy Meksyku. W okolicy Wielkanocy i Bożego Narodzenia nierzadko całe rodziny nadciągały do Howbutker na weekendowy pobyt w hotelu Fairfax i zakupy w Domu Towarowym DuMont, pociągami na zakupowe szaleństwo zjeżdżały się panie w całych grupach, a po ich wizycie eleganckie gabloty wystawowe świeciły pustkami. Dział wyposażenia wewnątrz cieszył się niesłabnącym zainteresowaniem i żaden zamożny teksański ranczer czy farmer nie ośmieliłby się wysłać swojej córki do szkoły dla panien bez uprzedniego zaopatrzenia jej we wszystko, co aktualnie najmodniejsze. Dzisiaj klienci nie musieli już nawet odwiedzać sklepu, by kupić to, czego potrzebowali. Mogli zamawiać z katalogu Domu Handlowego DuMont, którą to nowinkę wprowadził w 1872 roku Aaron Montgomery Ward.

Thomas wszedł schodami na drugie piętro, gdzie mieściły się przeszklone biura z widokiem na sklep. Zastał Armanda w jego gabinecie, pod drogą mijając gabinet Henriego – stojący za biurkiem fotel założyciela stał żałośnie pusty. Na szczupłej, arystokratycznej twarzy Armanda malowało się napięcie, które Thomas doskonale pamiętał z tamtych dni, kiedy umierał jego ojciec. Przyjaciel zerknął na zegar kominkowy, gdy jego sekretarka wprowadziła Thomasa.

– Wcześniej przyszedłeś – zauważył. – Musisz być bardzo głodny.

Thomas od razu przyszedł do rzeczy:

– Chcę cię prosić o przysługę.

Armand odchylił się w swoim fotelu i wsunął kciuki w kieszonki jedwabnej kamizelki.

– Proś, a będzie ci dane.

– Nie tak szybko, przyjacielu. To, o co przyszedłem prosić, może być ci nie w smak, choć mam nadzieję, że będzie inaczej.

– Proś, przyjacielu.

– Chodzi o Jacqueline Chastain. Jak wiesz, jej sklep zbankrutował. Obawiam się, że pani Chastain jest niemal bez środków do życia. Jesteś niezwykle wielkoduszny, pozwalając jej zajmować mieszkanie do czasu,

aż urządzi się jakoś inaczej.

Armand zbył te pochwały machnięciem ręki.

– Zasługuje na to.

– Cieszę się, że tak myślisz – powiedział Thomas. – Rozmawiałem z nią dzisiaj. Jej plany na przyszłość rysują się dość ponuro. Chce zamieszkać z siostrą i szwagrem w Richmond, w Wirginii, i ma nadzieję znaleźć tam zatrudnienie u jakiejś modystki.

Armand słuchał go cierpliwie i Thomas podejrzewał, że jego przyjaciel, który znał go doskonale, już domyślił się istoty prośby.

– Może znalazłbyś dla niej jakąś posadę w swoim sklepie, gdzie mógłbyś wykorzystać jej doświadczenie – rzekł Thomas. – Nie znam się na damskich kapeluszach, ale te, które widziałem w jej sklepie, kiedy odbierałem opaskę dla Reginy na jej urodzinowe przyjęcie...

Armand pochylił się i oparł łokciami o biurko.

– Żałuję, że nie zdołałem zapobiec temu, co się stało.

– Cóż, to zrozumiałe, przecież nie mogłeś podsylać jej klientek.

– Nie w tym rzecz. Mówię o celowym działaniu, które miało doprowadzić do bojkotu sklepu pani Chastain. Ktoś rozesłał listy, które dały początek plotkom na jej temat. Bardzo niesmacznym. Jak widać, kalumnie trafiły do odpowiednich uszu i... – Armand wzruszył ramionami – sam widziałeś, jak to się skończyło.

Thomasowi krew uderzyła do głowy.

– Listy?

– Niezwykle obraźliwe nie tylko dla sklepu, ale również dla niej osobiście. Biedaczka stała się persona non grata, praktycznie wyrzutkiem.

– Czemu nic o tym nie wiedziałem?

– Przecież cię to nie dotyczyło.

– Czy wiesz, kto ponosi za to odpowiedzialność?

Armand patrzył mu prosto w oczy.

– Mam swoje podejrzenia.

– Kto?

– Nigdy cię nie okłamałem, Thomasie, więc nie każ mi odpowiadać.

– Ale wiesz?

– Jak powiedziałem, mam swoje podejrzenia. A teraz co do twojej prośby, z radością zatrudnię panią Chastain. Bardzo nam się przyda ktoś z jej talentem. Myślałem, żeby zapronować jej pracę, ale w tych okolicznościach, kiedy jej reputacja została tak zszargana... nie sądziłem, by chciała zostać w Howbutker. Czy chciałbyś, abym z nią porozmawiał?

– Byłbym niezmiernie wdzięczny, Armandzie – powiedział Thomas, zastanawiając się, kto w mieście mógł się posunąć tak daleko, by zniszczyć panią Chastain.

Po powrocie do domu zapyta Priscillę. Należała do każdej możliwej organizacji pań w hrabstwie, gdzie jak wiadomo, plotki trafiają na podatny grunt. Jeśli ktoś może wiedzieć, to na pewno ona, a gdy pozna nazwisko winnego...

Kiedy ściskali sobie dłonie na pożegnanie, Armand przytrzymał jego rękę nieco dłużej.

– Thomasie, drogi przyjacielu, posłuchaj mojej rady i zaprzestań swojego śledztwa...

Thomas przyjrzał mu się ze zdziwieniem.

– Dlaczego? Ktokolwiek to zrobił, powinien zostać przegnany z miasta!

Armand puścił jego dłoń.

– Nasz lunch jest nadal aktualny? Zajrzę do pani Chastain po drodze do Fairfax i przekażę ci, jaką mi dała odpowiedź.

– A ja poznam do tego czasu nazwisko winowajcy. Jadę teraz do domu. Priscilla na pewno będzie wiedziała, kto za tym stoi. Moja żona bardzo starała się pomóc pani Chastain. Kupiła u niej chyba z dziesięć kapeluszy.

– Doprawdy? – Armand uniósł elegancką brew. – Cóż za... wielkoduszność z jej strony. A zatem o pierwszej w Fairfax?

Thomas ponaglił swojego konia do galopu i był już w połowie drogi na Houston Avenue, gdy nagle tak gwałtownie ściągnął lejce, że jego wierzchowiec niemal się potknął. Dreszcz wstrząsnął Thomasem, tak przejmujący, jakby wskoczył do lodowatej wody. Dobry Boże! Priscilla! Priscilla napisała te listy! Wystarczyło, żeby sam siebie zapytał, komu mogło zależeć na przegnaniu pani Chastain z miasta,

i odpowiedź nasuwała się sama. Zrozumiał dziwne zachowanie Armanda i ostrzeżenie sformułowane jako dobra rada, uwagę Jacqueline – „Są w tym mieście pewne wpływowe osoby, które na to nie pozwolą” – i stało się dla niego jasne, że odpowiedzialna jest jego mściwa, podła, zazdrosna żona.

Priscilla! Ta jego głupia żona miała się za lepszą od właścicielki sklepu, która okazała się na tyle dobra i szlachetna, by nie zdradzić mężowi jej podłości. Thomas przypomniał sobie rachunki żony za kapelusze, których zakup miał zamydlić oczy jemu i innym, by nie podejrzewali, że to ona jest autorką podłych listów. Najwyraźniej Jacqueline musiała wejść w posiadanie jednego z nich i porównała charakter pisma z podpisem jego żony na kopiach rachunków. Armand zapewne zrobił to samo. Priscilla może próbowała zmienić pismo, ale jej upodobanie do zawijasów i ozdobników musiało ją zdradzić.

Thomas ponaglił konia, a sam spróbował zapanować nad gniewem. Musiał ostrożnie postępować z Priscillą. Była matką jego dzieci, wciąż pogrążoną w żałobie po śmierci syna. Z tego samego powodu musi mieć na względzie Vernona i Reginę, oszczędzić im kolejnego cierpienia, jakie wzbudziłyby widok kłócących się rodziców. I tak już wiedzieli, że ich matka i ojciec nie są ze sobą szczęśliwi, w przeciwieństwie do rodziców ich przyjaciół. W domach Warwicków i DuMontów mężowie i żony byli bratnimi duszami, czego jego dzieci o nim i Priscilli nie mogły powiedzieć.

Ale bezduszność wobec niewinnej kobiety nie może ujść na sucho. Już on się o to postara.

Rozdział 84

Tego samego dnia późnym popołudniem osiemdziesięcioletni Henri DuMont, rozmawiając z Jeremym, zamknął oczy po raz ostatni. Przyjaciel łagodnie położył dłoń na jego czole.

– Żegnaj, stary druhu – powiedział.

Natychmiast rozległ się płacz. Armand szlochał niepowstrzymanie na oczach swoich zapłakanych synów, Abla i Jeana, zaś Philippe, weteran wielu wojen, pochylił głowę, pogrążony w wielkim smutku. Żona Armanda stała obok łóżka, gotowa wziąć w objęcia męża i synów, Bess natomiast, wyprostowana, z zaciśniętymi ustami spokojnie zasłoniła prześcieradłem twarz swojego męża, z którym spędziła czterdzieści osiem lat.

Przed sypialnią Henriego Thomas i Jessica czekali na nieuchronną wieść, wraz z Jeremym Juniorem i jego żoną. Gdy doszły ich odgłosy lamentu, Thomas objął Jessicę.

– Jest już z papą, mamó.

– Tak – powiedziała Jessica głosem pełnym bólu i żałoby. – Był takim wspaniałym przyjacielem, szlachetnym i wielkodusznym człowiekiem.

Thomas otarł oczy i zostawił matkę, by dodała Bess otuchy, sam zaś zszedł do salonu, by przekazać smutną nowinę Vernonowi i Reginie oraz ich rówieśnikom, Brandonowi, Richardowi i Joelowi Warwickom. Jeszcze zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, Regina wstała, by go objąć.

– Tatusiu, chcesz, żebym poszła z tobą do domu? – zapytała, gdy oznajmił, że musi powiadomić Priscillę.

– Nie, Kwiatuśku. Zostań z Ablem i Jeanem. Będą potrzebowali twojej pociechy.

Powłócząc nogami, pokonał krótki dystans dzielący go od domu. Boże, jakże pragnął być teraz z Jacqueline Chastain. Umarł jeden z najcudowniejszych ludzi na ziemi i świat stał się przez to o wiele uboższy, a on chciałby mieć teraz koło siebie kobietę, która zrozumie tę stratę i jego ból.

Gdy spotkał się w Fairfax z Armandem, przyjaciel poinformował go, że Jacqueline przyjęła jego propozycję i zajmie się projektowaniem

kapeluszy dla jego sklepu, zostanie też kierowniczką działu z damskimi dodatkami. W ramach wynagrodzenia zatrzyma mieszkanie nad swoim dawnym sklepem, a jeżeli nieruchomość ktoś wynajmie, jej uposażenie wzrośnie, by pokryć koszty czynszu.

Wdzięczny i głęboko poruszony szczodrością przyjaciela, Thomas zwrócił się do niego z pytaniem:

– Armandzie, czy aby nie ryzykujesz, ze względu na zszarganą reputację pani Chastain?

– Wierzę, że moje klientki potrafią rozpoznać damę – odparł Armand.

Niestety, jego żony nie można było nazwać damą, pomyślał Thomas z odrazą, wchodząc do domu. Na powitanie wybiegła mu Sassie, ośmioletnia córeczka Amy.

– Pani Priscilla jest na górze, panie Thomasie.

Thomas dotknął jej policzka; był mokry od łez. Służba DuMontów zdążyła już zawiadomić całą Houston Avenue o śmierci pana Henriego. Henri zawsze pamiętał, żeby Petunia, Amy i Sassie dostawały z jego sklepu wyjątkowe prezenty, zwłaszcza na Boże Narodzenie.

– Bardzo go lubiłam – powiedziała Sassie, a jej usteczka drżały. – Był takim miłym panem.

– Rzeczywiście, malutka – odparł Thomas. – Pójdę na górę. Nie musisz pani mówić, że przyszedłem.

Priscilla przymierzała kapelusze. Na łóżku leżało ich kilka, wszystkie czarne. Chryste! Jego żona modnisią już się zastanawiała, jaki kapelusz włoży na pogrzeb. Obróciła się ku niemu, przybierając odpowiednio smutny wyraz twarzy.

– Wiem już od Amy, Thomasie – rzekła. – Tak mi przykro. Wiem, że bardzo lubiłeś Henriego. Jak się miewa Bess?

– A jak ci się wydaje?

Wzruszyła ramionami, przestając udawać smutek.

– Tylko zapytałam.

Thomas pokazał na kolekcję kapeluszy.

– Co to jest?

– A jak myślisz?

Miał dość tej słownej przepychanki.

– Które są ze sklepu pani Chastain?

Priscilla obróciła się z powrotem do lustra.

– Żadne. Te są z Domu Towarowego DuMonta.

– Gdzie są te, które kupiłaś w „Modystce”?

Popatrzyła na niego przez ramię.

– Widzę, że doskonale wiesz, jak nazywa się jej sklep.

– Gdzie są, Priscillo?

– W tamtej szafie! Czemu cię to interesuje?

Otworzył drzwi szafy i ujrzał stertę damskich kapeluszy rzuconych byle jak, z pogniecionymi piórami, wstążkami i kwiatami. Wciąż były przy nich metki. Priscilla nigdy nie zamierzała ich nosić. Nigdy nie chciała zachęcać innych pań, by kupowały w sklepie Jacqueline Chastain, chociaż tak twierdziła. Thomas ostrożnie sięgnął po czarny kapelusz.

– Proszę – rzekł. – Chcę, żebyś poszła w nim na pogrzeb.

Priscilla lekko zbladła.

– Dlaczego?

– To będzie reklama talentu pani Chastain. Przecież właśnie po to je kupiłaś, czyż nie? Dzisiaj widziałem się z Armandem i powiedział mi, że ktoś wysyłał listy oczerniające panią Chastain, bo chciał przegonić ją z miasta. I niemal mu się udało. Musiała zamknąć swój sklep. Nie wyobrażam sobie, kto mógł zrobić coś tak obrzydliwego, a ty, Priscillo?

Zauważył, że jego żona nerwowo przełyka ślinę.

– Nie, nie wyobrażam sobie, ale czemu mam założyć ten kapelusz, skoro... skoro zamknęła swój sklep?

– Och, Armand ją zatrudnił. Będzie dla niego projektować i nadzorować jeden z działów z damską odzieżą. To znaczy, że zostaje w mieście i uważam, że byłoby miło, gdybyś okazała jej swoje wsparcie, zakładając jeden z jej kapeluszy. Niech Howbutker zobaczy, że nie wierzysz ani jednemu oszczerczemu słowu z tych listów. A właśnie, też taki dostałaś?

Priscilla znowu przełknęła.

– Nie, nie dostałam.

Thomas zaczął wyjmować kapelusze z szafy, rozkładając je na stołach i krzesłach.

– Jak widzę, ta zła osoba była na tyle mądra, że do ciebie nie napisała. – Przyglądał się każdemu kapeluszu, zapamiętując ich detale, świadomy niespokojnego wzroku żony. – Nie przypominam sobie, żebyś któryś z nich nosiła – powiedział.

Priscilla zaśmiała się nerwowo.

– Nic dziwnego. Nie zwracasz na takie rzeczy uwagi.

– Te bym zapamiętał. Gdzie trzymasz inne kapelusze? Te, które nosisz?

Milcząc, z napiętą twarzą wskazała na drugą szafę. Thomas pociągnął za dzwonek, potem otworzył szafę. Bez słowa zaczął zdejmować kapelusze z półek i rzucać je na łóżko, obok tych, które już tam leżały. Weszła Amy.

– Ktoś po mnie dzwonił?

– Tak, ja, Amy – powiedział Thomas. – Zbierz te kapelusze na łóżku i rozdaj je swoim koleżankom albo zanieś je wszystkie do kościoła, dla biednych, jak wolisz. Pani Priscilla już ich nie będzie potrzebować. Jak skończysz, kapelusze ze stołów i krzeseł ułóż w szafie, na wolnych półkach.

Amy miała wielkie oczy, w których malowało się: „ohoho”, ale odpowiedziała posłusznie.

– Tak, panie Thomasie. Przyniosę worki, żeby spakować kapelusze.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Thomas zmierzył żonę przeszywającym spojrzeniem.

– Jak sądzę, nie muszę nic więcej mówić ani robić w tej kwestii, prawda, Priscillo?

– Nie, raczej nie – odparła Priscilla z drwiącą miną.

– Doskonale. A teraz wybacz mi, proszę. Jadę do Somerset odwiedzić grób mojego ojca.

Rozdział 85

Przez lata, które minęły od śmierci Henriego, synowie założycieli Howbutker jeszcze bardziej się do siebie zbliżyli. Thomas, Jeremy Junior i Armand skończyli pięćdziesiąt lat; Stephen się do pięćdziesiątki zbliżał. Ich synowie, już dwudziestokilkuletni, byli mocno zaangażowani w rodzinne interesy, dzięki czemu ich ojcowie mogli mieć więcej czasu dla siebie. Członkowie klanów podzielili się na grupki w zależności od wieku. Do pierwszej należeli Bess, Jessica i Jeremy. Thomas, Jeremy Junior, Armand i Stephen tworzyli kolejną, w skład najmłodszej wchodził ich synowie – Vernon i Jeremy III, Brandon, Richard, Joel Warwick oraz Abel i Joel DuMontowie.

Thomas niezmiernie sobie cenił to, co łączyło go z trzema przyjaciółmi. Bez nich byłby bardzo samotnym człowiekiem. Jego córka wyszła za mąż – szczęśliwie, co obserwował z radością – i w następnym, 1887 roku spodziewała się swojego pierwszego dziecka. Jego matka w towarzystwie Jeremy'ego i Bess odbywała podróż dookoła świata, która potrwa niemal rok, potem cała trójka planowała odwiedzić Tippy w Nowym Jorku i Sarę Conklin w Bostonie. Do domu wrócą na tydzień przed Świętem Dziękczynienia.

W ciągu tygodnia Vernon mieszkał w dawnym domu Jaspera, który odnowił i wyposażył, by uczynić z niego mieszkanie godne dziedzica Somerset. Nigdy nie doszedł do siebie po śmierci Davida i wyraźnie wolał samotność, całą swoją energię poświęcając uprawie bawełny. Uprawa największego źródła dochodu Teksasu była teraz niezwykle lukratywna. Choć ulepszono proces odziarniania i wynaleziono sposób kompresowania, dzięki któremu ponaddwustukilowe bele można było zmniejszyć o połowę, plantatorzy z trudem nadążali z zaspokojeniem popytu na puchate białe kuleczki. Thomas nadal uczestniczył w kierowaniu pracami, którym poświęcił całe swoje życie, jednak nie robił tego z takim entuzjazmem jak kiedyś. Zazdrościł przyjaciołom pasji, z jaką oddawali się życiu zawodowemu, nawet jeśli nieco zwolnili, by cieszyć się tym, na co dzięki swoim sukcesom mogli sobie pozwolić.

Thomas zdawał sobie sprawę, że rodzinne szczęście bardzo

pomaga w radosnym oddawaniu się wszelkim przedsięwzięciom, co jego przyjaciółom, w przeciwieństwie do niego, jak najbardziej było dane. Jak na początku małżeństwa, on i Priscilla czuli się w swoim towarzystwie niezręcznie. Odnosili się do siebie z wymuszonym szacunkiem, który ledwo maskował niechęć, jaką jego żona do niego czuła. Nienawidziła go za to, że odkrył, do jakich podłości jest zdolna. Nigdy nie zdołała się w jego oczach zrehabilitować, wobec tego szukała pociechy, myśląc o nim jak najgorzej. Ponieważ dzieci wyprowadziły się z domu, a jego matka wyjechała w podróż, Amy zapytała go, czy życzy sobie, aby wraz z Priscillą spożywać posiłki przy niedużym stole w pokoju śniadaniowym, on jednak odparł, że nie. Nie zniósłby takiej bliskości. Nadal korzystali z jadalni, zasiadając naprzeciwko siebie u szczytów długiego stołu. Nocą spali jak najbardziej oddaleni od siebie. Thomas marzył, by przenieść się do oddzielnej sypialni, nie potrafił się jednak zdobyć na tak całkowite odtrącenie żony.

Czterej przyjaciele w każdą środę spotykali się na lunchu w hotelu Fairfax. Thomas przyjeżdżał konno z plantacji i uwiązywał swojego wierzchowca przed Domem Towarowym DuMont. Mógłby jechać dalej, wprost do restauracji, lubił jednak wpadać po Armanda, by wraz z nim przejść piechotą do znajdującego się nieopodal hotelu. Przynajmniej tak to sobie tłumaczył, chociaż wiedział, że ma w ten sposób jedyną okazję, by zobaczyć Jacqueline Chastain.

Po dwóch latach pracy w sklepie stała się jego ostoją.

– Nie wiem, co byśmy bez niej poczęli – mawiał Armand. –

W swojej kreatywności bardzo przypomina mi Tippy.

Godność, uczciwość i zachowanie Jacqueline szybko sprawiły, że klientki zwątpiły w kalumnie, jakimi obrzuciła ją autorka oszczerczych listów. Na przyjęciu w domu DuMontów Thomas słyszał, jak jedna z matron nie mogła się nachwalić fachowości „tej wspaniałej sprzedawczyni, którą zatrudniłeś, Armandzie”, by na koniec stwierdzić, że „tego, kto wysłał te obrzydliwe listy oczerniające panią Chastain, należałoby wychłostać”. Thomas starannie unikał wzroku Priscilli.

Nadeszła kolejna środa. Thomas wszedł do skąpanego w blasku żyrandoli wnętrza i jak zwykle jego wzrok skierował się ku stoisku z damskimi dodatkami. Jacqueline Chastain dostrzegła go i uśmiechnęła

się. Spodziewała się go. Zwykle ich rozmowa przebiegała tak:

– Jak pani mija dzień?

– Doskonale, panie Toliver, a panu?

– Od teraz dużo lepiej. Miło znowu panią widzieć.

– I wzajemnie.

I tyle. Każdy, kto by się im przyglądał, musiałby zauważyć, że Thomas prawie nie zwalnia, mijając kontuar, za którym króluje Jacqueline. Nigdy nie zamienili więcej niż kilka słów. Ona czasem obsługiwała jakieś klientki, wówczas on unosił tylko lekko kapelusz i wchodził na schody.

Zawsze jednak jej widok i dźwięk jej głosu poprawiały mu nastrój, choćby tylko na te kilka sekund. Wkrótce Jacqueline przeniosła się z mieszkania nad swoim dawnym sklepem do zajmowanego niegdyś przez Tippy domku położonego bliżej. Był otoczony białym płotkiem, od frontu miał niewielki ogródek. Dzisiaj sklep Armanda nie był tak zatłoczony jak zwykle, a w dziale damskich dodatków nie było żadnej klientki i Jacqueline stała za swoim lśniącem kontuarem niczym królowa porzucona przez poddanych.

– Pani Chastain – zaczął Thomas, ale głos uwiązł mu w gardle.

Dzisiaj był nastroju wyjątkowo melancholijnym. Do południa odbył ze swoim synem rozmowę na plantacji. Ostatnio Vernon adorował śliczną dziewczynę, córkę właściciela mlecznej farmy, którego Toliverowie znali od dawna.

– Kochasz ją? – zapytał syna Thomas.

– Nie wiem... nie wiem, tatusiu. Co to znaczy kochać kobietę?

Thomas nie potrafił mu na to odpowiedzieć. Nie znał tego uczucia.

– Mogę ci powiedzieć, co to znaczy nie kochać... – rzekł tylko.

I jak mężczyzna mężczyźnie, Thomas opowiedział synowi, jak poślubił jego matkę, by dała mu dziedzica Somerset.

– Wierzyłem, że z czasem nauczymy się siebie nawzajem kochać, niestety myliłem się – stwierdził na koniec.

– Żałujesz, że to zrobiłeś? – zapytał Vernon.

Nie był zdziwiony wyznaniem ojca. Choć jako rodzice Thomas i Priscilla bardzo starali się to ukryć, dzieci widziały ich wzajemną niechęć. – To znaczy, czy dla Somerset warto było się tak poświęcić?

– Tak, dla plantacji było warto, synu. Wtedy musiałem tak postąpić. Oczywiście zastanawiam się, jakie byłoby nasze małżeństwo, gdybym się tak nie pośpieszył i nie ożenił z tego właśnie powodu. Pocięszam się jednak, że gdybym nie ożenił się z Priscillą, nie miałbym trójki moich cudownych dzieci. Nigdy nie zrozumiesz, jak bardzo was kocham, dopóki nie będziesz miał własnych dzieci, Vernonie. I... Jeszcze jedno daje mi ukojenie, synu. Mogę umrzeć ze świadomością, że moje poświęcenie dla tej ziemi, cały mój trud i praca nie poszły na marne.

Thomas spojrział na otaczające go pola, na poruszany wiatrem zalegający między ogołoconymi krzakami biały pył, który wyglądał jak śnieg, i poczuł przyływ dawno nie odczuwanej dumy.

– Żałuję tylko jednego... – wyznał jeszcze.

– Czego, tatusiu?

– Że umrę, nigdy nie będąc z kobietą, którą kocham.

Tą kobietą była Jacqueline Chastain, pomyślał, korzystając z rzadkiej okazji, by spojrzeć jej prosto w twarz. Domyślał się, że musi mieć już ponad czterdzieści lat. Czas jednak nie przyćmił jej urody. Wręcz przeciwnie, kobieca mądrość widoczna w jej postawie i zachowaniu, jej uśmiechu, spojrzeniu i nieporównywalnie ciepłym głósie tylko tę urodę potęgowała.

– Panie Toliver – odparła Jacqueline, a ściągając lekko brwi, dała mu do zrozumienia, że zastanawia się, co nim dzisiaj powoduje.

– Niedługo Święto Dziękczynienia – zauważył, przerażony własnymi słowami.

– Tak, słyszałam, że się zbliża.

– Moja matka wróci z podróży dookoła świata.

– Z pewnością niecierpliwie wyczekuje pan jej powrotu. Będzie miała tyle do opowiadania.

– Zostanę też dziadkiem. Moja córka w kwietniu przyszłego roku spodziewa się dziecka.

– To cudownie, musi pan być bardzo szczęśliwy.

Armand na pewno już na niego czekał. Musiał iść, ale wciąż się ociągał. Jak się miewa pani kot, zapytał ją. Jest leniwy i tłusty, odparła. A pani ogród? Spodziewa się, że w tym roku zakwitnie mnóstwo matioli

i goździków. Ich zapach jest przecudny. Czy śledzi skandal, jaki w Paryżu wywołał *Portret Madame X* pędzla Johna Singera Sargenta? Niesamowite, co potrafi ludzi irytować, nie sądzi pani? Owszem, zgodziła się. Obraz uważała za piękny, a czarna suknia, która wzbudziła takie zamieszanie wśród krytyków, idealnie pasuje do wyjątkowej urody kobiety na portrecie. Francuzi potrafią być... tacy nieortodoksyjni.

Thomas się zastanawiał, jak wygląda jej życie, kiedy po zamknięciu sklepu wraca do domu. Co robi w swoim małym dom-ku? Czy czuje się samotna? Nawiązała jakieś przyjaźnie? Czy ktoś o nią zabiega? Armand opisał ją jako „zdecydowanie niezależną” kobietę, która woli sama wykonywać „męską robotę” wokół domu, zamiast skorzystać z pomocy konserwatorów ze sklepu.

Thomas przyjrzał się wystawionym towarom.

– Chciałbym kupić mojej matce jakiś prezent na powitanie. Co by pani proponowała?

– Właśnie dostaliśmy kolekcję przepięknych wachlarzy, leciutkich, lecz doskonałych na nasze gorące lato. Czy życzy pan sobie je obejrzeć?

– Jak najbardziej.

Thomas kupił wachlarz i wtedy zobaczył Armanda zbiegającego po schodach ze wzrokiem skierowanym tam, gdzie spodziewał się ujrzeć przyjaciela.

– Było mi bardzo miło, pani Chastain... Jacqueline – powiedział.

– Mnie również, panie Toliver... Thomasie – odparła.

Gdy późnym popołudniem Thomas wrócił do domu, Priscilla już na niego czekała.

Rozdział 86

Uwiązawszy konia, Thomas zawsze wchodził do domu drzwiami kuchennymi. W lśniącym czystością wnętrzu, z wiszącymi garnkami i rondlami, wyszorowanym blokiem do rąbania mięsa, przepastnym zlewem i kuchennymi blatami zawsze mógł liczyć na ciepłe powitanie Petunii, dopóki żyła, i za którą wciąż tęsknił, a teraz Amy i jej córki Sassie. Amy zawsze pytała, jak mu minął dzień, i z prawdziwym zainteresowaniem słuchała jego sprawozdania. Czasem siadał, żeby przy filiżance kawy wysłuchać plotek, które z ust do ust rozchodziły się po całej ulicy. Czasem, zwłaszcza kiedy jego matka przebywała w podróży, Thomas zwierzał się gospodyni ze swoich trosk o Somerset i kłopotów w radzie miasta. Wiedział, że ani jedno słowo nie wydostanie się poza kuchenne drzwi. Zawsze mógł tu znaleźć coś smakowitego do przekąszenia, a dzisiaj zauważył talerz ze stertą ciasteczek pekanowych, ulubionego przysmaku jego syna. Vernon miał przyjechać na kolację i zostać na weekend.

– Panie Thomasie, żona czeka na pana w pokoju dziennym – oznajmiła na powitanie Amy.

Jej niespokojny ton i czujne spojrzenie kazały mu mieć się na baczności. Gdyby to zależało od Priscilli, najchętniej wysłałaby Amy razem z jej mężem i córką na plantację do zbierania bawełny, razem z rodzinami jej wuja Jaspiera, synów Randa i Williego, którzy wrócili do Somerset, kiedy się okazało, że w Kansas panuje tłok, niegościnna atmosfera, a możliwości uprawy roli nie mają wiele wspólnego z wcześniejszymi obietnicami. Priscilla może i była panią domu, ale służba odpowiadała przed Amy, która lojalna była przede wszystkim wobec Jessiki. Thomas doskonale zdawał sobie sprawę z sytuacji w domu, która jego żonę doprowadzała do szału.

– Amy mi powiedziała, że chciałaś się ze mną widzieć – rzekł Thomas, wchodząc do pokoju dziennego.

Bardzo mu się nie podobało, co Priscilla zrobiła z pokojem, który w młodości uważał za sanktuarium. Do niegdyś jasnego pomieszczenia, w którego oknach wisiały przejrzyste firanki, teraz światło nie miało dostępu, zatrzymywane przez ciężkie draperie, zabrakło też dawnych

wygodnych foteli. Nie usiadł. Priscilla zerwała się gwałtownie zza ogromnego biurka, a jej zaciśnięte szczęki zdradzały, że jest rozniewana.

– Thomasie, godziłam się, kiedy mnie dręczyłeś, ale tego tolerować nie zamierzam – oznajmiła.

Dręczył ją? Nigdy nawet palcem jej nie tknął, a pieniądze pozwalał wydawać bez opamiętania.

– A... czegoż to nie zamierzasz tolerować, Priscillo? – zapytał. – Oświeć mnie, proszę.

Podeszła do niego. Odrobinę szersza talia i biodra świadczyły, że jego żona weszła w wiek średni, jej twarz jednak pozostała niezmiennie piękna. Dawno jednak minęły czasy, kiedy jej uroda przyprawiała go o szybsze bicie serca.

– Jacqueline Chastain – odparła przez zaciśnięte zęby.

Thomas drgnął.

– Co z nią?

– Masz z nią romans... a przynajmniej chciałbyś mieć.

Thomas prychnął lekko.

– Skąd ten pomysł?

– Mam swoje źródła, ale wiedziałabym i bez nich. Każdy idiota by się domyślił, czemu w każdą środę wstępujesz do Domu Towarowego DuMont, niby to żeby spotkać się z Armandem.

Thomas uniósł brwi.

– Przecież Armand tam właśnie pracuje.

– Nie udawaj niewiniątka. Możesz się z nim spotykać w Fairfax na waszym cotygodniowym lunchu.

– Klienci restauracji nie uwiązują swoich koni przed wejściem, jeśli to możliwe. Jak wiesz, jej okna wychodzą na ulicę. Poza tym lubimy się z Armandem przejść.

Priscilla wykrzywiła wargi.

– Możesz się tłumaczyć, jak chcesz, ale mnie nie zwiedzisz, Thomasie. Wiem, że za każdym razem, kiedy zachodzisz do sklepu, zatrzymujesz się przy stoisku pani Chastain. Twoja twarz przechodzi istną metamorfozę. Wyglądasz jak uczeń, który przynosi jabłko ulubionej nauczycielce.

– Kto tak mówi? I skąd, na litość, znasz takie słowo jak metamorfoza?

Wyglądała, jakby chciała go uderzyć. Jeszcze bardziej zacisnęła zęby.

– Nieważne, skąd o tym wiem, i nie myśl, że całe Howbutker też nie wie, ale jedno ci powiem, Thomasie... – przysunęła się do niego bliżej, tak blisko, że Thomas widział delikatny meszek nad jej wargą i najmniejsze nawet pory na twarzy, teraz pokrytej lekką warstewką potu. – Jeżeli zrobisz ze mnie pośmiewisko, zadając się z panią Chastain, będziesz tego żałował do końca życia. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo cię zranię; nie będziesz w stanie tego znieść. Uwierz mi na słowo, jasne?

Thomas się cofnął, zaskoczony jej wściekłością. Wiedział, że jako mąż zawiódł jej oczekiwania. Próbował jej to wynagrodzić, nie ograniczając jej wydatków, tolerując wyniosłość, z jaką się zachowywała jako żona Thomasa Tolivera, stając się snobką. Gardził snobami, ludźmi, którzy mieli się za lepszych od innych jedynie przez wzgląd na pochodzenie lub małżeństwo, pozycję, na którą sobie nie zapracowali. „Snob” oznaczało „pozbawiony godności”, co do Priscilli odnosiło się doskonale. Ale nawet od niej nie mógł przyjąć takiej arogancji, nie powstrzymał się więc od drwiny.

– Nie przestajesz mnie zadziwiać, Priscillo. Najpierw „metamorfoza”, a teraz to. Skąd pomysł, że możesz sobie pozwolić na takie groźby wobec mnie?

Znowu się do niego zbliżyła i poczuł od niej alkohol. Piła sherry.

– Wiem o twojej rodzinie rzeczy, które wprawiają w zdumienie każdego w hrabstwie, jeśli się o nich dowiedzą.

Thomas spojrzał na nią pytająco.

– Doprawdy? Dowiedziałaś się czegoś o historii mojej rodziny, co może być pożywką do smakowitych pogaduszek? Chętnie posłucham. Zawsze mi się wydawało, że pod tym względem Toliverowie są raczej nudni.

Odsunęła się, a na jej twarzy pojawił się strach, że powiedziała za dużo. Po raz tysięczny Thomas się zastanowił, jak mógł kiedyś sądzić, że ta kobieta będzie dla niego idealną żoną. Być może postanowił się jej

oświadczyć, gdy ze zdumieniem odkrył, jak ogromnie interesuje ją historia jego rodziny, a zwłaszcza królewskie korzenie. Żaden szczegół rodzinnej legendy czy losów rodziny nie umknął jej uwadze. Był zachwycony, kiedy Priscilla rzucała się na każdy najdrobniejszy nawet drobiazg związany z pochodzeniem Toliverów i Wyndhamów, wspomniany mimochodem przy stole, co zwykle zachęcało jego ojca do wygłoszenia lekcji historii.

Thomas pojechał na wojnę szczęśliwy, że Priscilla dopilnuje, aby jego dzieci poznały i szanowały swoje korzenie. W ten sposób poczują więź z rodziną i ziemią, poczują się zobowiązane do kontynuowania tego, co zaczęli ich dziadek i ojciec. Bez względu na to, co się z nim stanie, myślał sobie wtedy, Priscilla nie pozwoli, by dzieci zapomniały, kim są i jaki jest ich obowiązek wobec rodowego nazwiska.

Jakim był głupcem!

– Co mówiłaś, moja droga? – zapytał uprzejmie.

Wściekłość jego żony była jak morska fala, która nagle straciła cały swój impet. Opuściła ją odwaga, jakiej nabrała po alkoholu. Odsunęła się od Thomasa, skuliła i warknęła z nienawiścią:

– Strzeż się... uważaj, co robisz... tylko to mówię, Thomasie. Nie pozwolę, żebyś przynosił wstyd naszym dzieciom.

– Nigdy bym tego nie uczynił, Priscillo, i proszę, wysłuchaj, co ja mam ci do powiedzenia. Jeżeli kiedykolwiek usłyszę z twoich ust choć słowo na temat jakiegoś związku między panią Chastain a mną, gorzko tego pożałujesz. Nie chodzi teraz o mnie, ciebie czy nawet nasze dzieci. Chodzi mi o panią Chastain, która niczym sobie nie zasłużyła na twoje głupie oskarżenia. Skąd ci przyszło do głowy, że wdałaby się w romans z żonatym mężczyzną? Dlatego też nie jestem winny niczemu, co mi zarzucasz.

Thomas nie dodał nic więcej i zapadła cisza. Priscilla czuła się zbyt dotknięta, by coś jeszcze rzec.

– Powiedz też swojemu szpiegowi w Domu Towarowym DuMont, że będzie mieć ze mną do czynienia, jeśli choć raz dojdą mnie słuchy o jakichś oszczerstwach rzucanych na panią Chastain – podjął. – Pociągnę go do osobistej odpowiedzialności.

Za ich plecami rozległo się chrząknięcie. Thomas i Priscilla

obrócili się gwałtownie. W drzwiach stał Vernon.

– Mamo, tatusiu, przyjechałem na kolację – powiedział.

Rozdział 87

Thomas lubił swojego zięcia i cieszył się, że dzięki małżeństwu córki poznał bliżej jego rodziców. Wcześniej Curta i Anne McCordów znał tylko pobieżnie. Mieszkali na wielkim ranczu, w obszernym domu wraz z dwoma nieżonatymi braćmi bliźniakami, o dwa lata młodszymi od Tylera. Nawet Priscilla była zachwycona rodziną, do której weszła jej córka. Byli nie tylko bogaci i powszechnie szanowani, ale też kochali Reginę i traktowali ją jak córkę i siostrę, o której zawsze marzyli, lecz której nigdy nie mieli. Tyler i Regina mieszkali w stodole przerobionej na uroczy domek, a prace nad przebudową nadzorował projektant Armanda DuMonta. Thomas uwielbiał przestronne, pełne powietrza domy swojej córki i jej teściów, z ich rozległymi gankami na tyłach, z których rozciągał się widok na ogromne zielone ranczo i gdzie nie dokuczały muchy ani komary.

U McCordów Thomas czuł się jak w domu. Dzisiaj wraz z rodziną był zaproszony na niedzielnego grilla na ich ranczu. Był kwiecień 1887 roku i jego pierwszy wnuk miał przyjść na świat w następnym miesiącu. Popołudniowe spotkanie będzie zapewne ich ostatnim bez niemowłęcia. Jeremy Warwick Senior i Bess DuMont również zostali zaproszeni. To, że McCordowie zaprosili również ich – dla Toliverów bez mała rodzinę – na rodzinne spotkanie, było kolejnym powodem, dla którego Thomas tak ich cenił i lubił. Każdego dnia odmawiał modlitwę dziękczynną za udane małżeństwo i szczęście jego córki. O Reginę nie musiał się martwić. Niestety, tego samego nie mógł powiedzieć o Vernonie.

Już ubrany, Thomas poszedł do pokoju syna. Vernon także bardzo lubił wyjazdy na ranczo McCordów. Rodzice nigdy nie musieli go na nie namawiać, inaczej niż przy innych okazjach.

– Thomasie, temu chłopakowi bawełna wyrasta z uszu – powiedziała Priscilla. – Musimy coś z tym zrobić... skusić go czymś, sprawić, żeby zaczął się interesować czymś innym, a nie tylko tą przekłętą plantacją!

Thomas się z nią zgodził, nie przypomniał jednak żonie, że „ta cholerna plantacja” płaci za jej ekstrawagancje, których w swoim mniemaniu nie mógł jej zabraniać, przynajmniej w ten sposób

rekompensując wszystko inne, czego nie mógł jej dać. Zapukał i Vernon otworzył drzwi. Ależ był z niego przystojny młodzieniec! Bardziej niż Thomas, Vernon podobny był do swojego dziadka. Thomas widział w sobie cechy Toliverów – zielone oczy księcia Somerset, czarne włosy, lekko zarysowany dołeczek w brodzie – ale był niższy i nie miał tak eleganckiej sylwetki jak wysmukła postać na obrazie w holu, do której Silas, a teraz jego wnuk byli uderzająco podobni.

– Gotowy? – zapytał Thomas, ujrzał jednak, że niepotrzebnie. Vernon miał na sobie strój do konnej jazdy, ponieważ jak zwykle wybierze się na przejażdżkę z bliźniakami McCordów, prawie jego równolatkami. Zanim zostanie podany posiłek, przejadą się po ranczu, co bardzo się Vernonowi przyda. Chłopak był samotny. Zawsze był bardzo przywiązany do rodzeństwa, teraz jednak jego brat nie żył, a siostra wyszła za mąż. Nie miał wiele czasu dla Warwicków i DuMontów, zerwał też z córką farmera po rozmowie, którą przeprowadził z nim ojciec w listopadzie ubiegłego roku.

– Tak jest – rzekł Vernon. – Gotowy. Wszyscy już czekają na dole?

– Z wyjątkiem nas. Są Jeremy i Bess, przed domem czeka powóz. Pomyślałem, że ty i ja pojedziemy za nimi. Kazałem osiodłać twojego konia.

– To znaczy, że chcesz ze mną porozmawiać.

– Dawno nie mieliśmy okazji.

Jego syn ani razu nie wspomniał o kłótni rodziców, której był w zeszłym roku świadkiem. Nic w tym jednak dziwnego. Vernon nigdy się do niczego nie wtrącał. Thomas i Priscilla stali wtedy jak skamieniały, zastanawiając się, jak dużo ich syn usłyszał. Priscilla spróbowała się uśmiechnąć.

– Myśmy... Nie spodziewaliśmy się ciebie tak wcześnie – zdołała wykrztusić.

– Najwyraźniej – odparł Vernon, po czym się odwrócił i poszedł do siebie.

Zjedli wspólnie kolację w pełnej napięcia atmosferze, a następnego dnia rano Vernon wyjechał, zanim Thomas zszedł na kawę. Dzisiaj jednak Thomas zamierzał poruszyć temat Jacques-line Chastain i rozwiać wszelkie wątpliwości, których syn mógł nabrać. Chciał go zapewnić, że

nie łączy go z nią żaden romans.

Od tamtego straszego popołudnia Thomas postanowił więcej nawet słówkiem nie odezwać się do pani Chastain. Ktoś inny, nie tylko szpieg Priscilli, mógł coś zauważyć i zaczęłyby się domysły. Musiał myśleć o reputacji Jacqueline, nie mógł jednak bez słowa wyjaśnienia zakończyć ich cośrodkowych przelotnych spotkań. Myślał, że może zagadnie ją po raz ostatni lub wyśle do niej list, lękał się jednak, że może powiedzieć lub napisać coś, co sugerowałoby, że dla niego ich rozmowy znacząły więcej niż dla niej. Zakładał, że czuła podobnie jak on, jeżeli jednak się mylił? Nie potrafił odgadnąć jej uczuć, ale co mogliby uczynić, gdyby się okazało, że są podobne do jego? Był żonaty, a Jacqueline Chastain była bezbronną kobietą, samą w mieście, które tylko czekało na choćby najmniejsze potknięcie z jej strony.

Niczemu nie była winna. Zaczął spotykać się z Armandem w Fairfax i od tamtej pory ani razu nie widział pani Chastain.

Wyruszyli. Jessica, Jeremy, Bess i Priscilla w powozie powożonym przez Barnabasa, Thomas i Vernon konno za nimi. Prezentowali się doprawdy imponująco. Priscilla nalegała, żeby Barnabas jeździł w liberii, czerwonym mundurze z czarnymi wyłogami i pod krawatem ze śnieżnobiałej koronki. Dwa dorodne, czarne ogiery ciągnęły lśniący czarny powóz ze złoceniami. Również na prośbę Priscilli na drzwiach powozu widniał herb Toliverów.

Było piękne niedzielne popołudnie. Rano wszyscy razem poszli na mszę do kościoła i Thomas przypomniał sobie czytanie z Księgi Przysłów: „Ćwicz młodego według potrzeby drogi jego, bo gdy się zestarzeje, nie odstąpi od niej”.

Vernon był tego żywym przykładem. Wszystkie trudy uprawy ziemi – ciężka praca, nieudane plony, niepokój o pogodę i pieniądze – nie przekonały jego syna, by rozważyć inny sposób na życie, jak uczyniło to wielu synów okolicznych farmerów. Nie chcieli pracować na ziemi swoich ojców i ulegli pokusie pracy w mieście albo uciekali do szkół, by tam szukać innej kariery zawodowej. Pod wieloma jednak względami Thomas nie chciał, by syn szedł za jego przykładem. Musi przestrzec Vernona, by nie poświęcał się dla plantacji tak, jak on to uczynił. Nie wolno mu ulegać przekonaniu, jakie żywił jego dziadek –

i Thomas, w chwilach słabości – że nad Somerset ciąży klątwa.

O tym jednak porozmawia z nim kiedy indziej. Dzisiaj Thomas chciał wypytać Vernona, ile usłyszał z tyrady matki i czy przejął się jej groźbami. Priscilla była wtedy pijana, ale nie na tyle, żeby nie wierzyć, iż jej słowa są bez pokrycia. To, co powiedziała, wprawiło Thomasa w zdziwienie. Nie zniży się do tego, by poprosić żonę o wyjaśnienie, co jednak takiego wiedziała o jego rodzinie, co mogło wprawić w osłupienie wszystkich w hrabstwie? W jaki sposób mogła go zranić ponad wszelkie wyobrażenie?

Vernon uśmiechnął się do niego.

– Jakże więc, porozmawiamy? – zapytał.

Thomas powściągnął konia, by nikt w powozie nie usłyszał jego słów.

– Synu, chodzi mi o tę kłótnię między mną i twoją matką, którą tak nieszczęśliwie usłyszałeś...

– To nie moja sprawa, tatusiu.

– Ale musisz wiedzieć, że twój ojciec...

Przerwał, słysząc zbliżający się gwałtowny tętent końskich kopyt. Konie zaprzęgnięte do powozu, zaniepokojone hałasem, próbowały się cofnąć. Barnabas skierował je na pobocze.

– Gdzież oni tak pędzą w niedzielne popołudnie? – wykrzyknął Thomas.

Nadjeżdżali ku nim w szaleńczym pędzie mężczyzna i kobieta. Thomas rozpoznał w nich następcę zmarłego doktora Woodwarda i miejscową akuszerkę.

Widząc powóz, gwałtownie zatrzymał konia, podczas gdy akuszerka nie zwalniając, pognąła dalej.

– Panie Toliver, proszę jechać ze mną – rzekł. – Musimy się śpieszyć.

– Dlaczego? – zapytał Thomas, nagle ogarnięty straszliwym przeczuciem.

– McCordowie dali znać, że pańska córka zaczęła rodzić, ale jest ciężko. Właśnie jadę na ich ranczo.

Nie czekając na odpowiedź, lekarz szarpnął wodze i pognął, wzbijając tumany kurzu.

Priscilla wyrzała z powozu, z niepokojem w błękitnych oczach.
– Thomasie, czy dobrze usłyszałam? Chodzi o Reginę?
– Tak, dobrze usłyszałaś – odparł Thomas zdenerwowany. –
Vernonie, zostań z matką. Barnabasie, uważaj na drodze.
Dźgnął konia i popędził za lekarzem, ogarnięty złym przeczuciem.

Rozdział 88

Nadjechał tuż za doktorem. McCordowie – Tyler, jego bracia i ojciec – stali na werandzie okalającej dom, zgarbieni, ze spuszczoneymi głowami. Zeskakując z konia, Thomas spojrział najpierw na Curtisa McCorda. Stary ranczer dłonią ścisnął brodę jak człowiek pogrążony w głębokiej rozpacz i Thomas poczuł, jak żołądek kurczy mu się z przerażenia. Dostrzegłszy go, Curtis zbiegł ze schodów.

– Dzięki Bogu, że jesteś. Jeszcze zdążyłeś...

– Na co?

– Lepiej się pośpiesz – powiedział Curtis. – Ciężko mi to mówić, ale pośpiesz się.

Thomas go wyminął. Wbiegając po schodach, dostrzegł jeszcze zalaną łzami twarz Tylera, który spojrział w oczy swojego teścia i natychmiast odwrócił wzrok. W jego czerwonych od płaczu źrenicach malowało się poczucie winy.

Służąca, rozpoznając Thomasa, natychmiast skierowała go do ostatniego pokoju na piętrze. Jeszcze zanim do niego dotarł, poczuł ostry zapach krwi i innych płynów ustrojowych, smród, którego nie czuł od czasów, gdy walczył na polach bitew w Teksasie podczas wojny domowej, gdzie ranni i umierający leżeli dziesiątkami. Rzucił się ku otwartym drzwiom, jednak drogę zagrodziła mu meksykańska gospodyni, żelazną ręką prowadząca dom.

– Nie może pan wejść, senior. Teraz jest doktor. Mężczyznom nie wolno.

– Idź do diabła. Jestem jej ojcem.

Thomas odepchnął gospodynię i wdarł się do pokoju. Z jego ust dobył się krzyk. Na łóżku leżała jego córka, przykryta prześcieradłem do połowy przesiąkniętym krwią. Twarz miała przerażająco bladą, okoloną burzą pociemniałych od potu włosów. Jej piegi wyglądały jak drobinki cynamonu na pustym talerzu. Słyszając ojca, poruszyła głowę, ale oczy wciąż miała zamknięte.

– Tatusiu... – Regina z trudem uniosła rękę, a Thomas podbiegł, by ją ująć, ledwo zauważając Anne McCord i doktora po drugiej stronie łóżka.

– Jestem tutaj, Kwiatuszku, jestem – powiedział. Ukląkł przy łóżku, gardło miał ściśnięte. – Co tatuś może zrobić dla swojej małej córeczki?

– Trzymaj... mnie... za rękę – wymamrotała Regina, wciąż z zamkniętymi oczami, oddychając z wysiłkiem.

Lekarz zbliżył się i uniósł dół prześcieradła, by pod nie zajrzeć.

– Nigdy jej nie puszczę, kochanie – rzekł Thomas, gładząc córkę po chłodnym, wilgotnym czole. – Nigdzie się nie wybieram.

– Dziecko... urodziło się... martwe – wyszeptała Regina. – Chłopczyk...

– Ciii, nic nie mów, kochanie, odpoczywaj. Wszystko będzie dobrze.

– Mama?

– Już tu jedzie. Babunia i Vernon też.

Usłyszał dobiegający z dołu rozhisteryzowany głos Priscilli i pośpieszny tupot na schodach. Spojrzał ku drzwiom, zobaczył, że lekarz kręci głową, i poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod kolan. Chwilę później Priscilla wpadła do pokoju, jego matka tuż za nią, zjawily się jednak za późno. Thomas obrócił się zobaczył, jak pierś jego córki opada, gdy wydaje ostatnie tchnienie.

Priscilla, zawodząc, odepchnęła męża, aż się przewrócił, i przygarnęła córkę do piersi, kołysząc ją jak wtedy, kiedy była dzieckiem. Thomas pozbiierał się z ziemi i opadł na stojący obok fotel, zasłaniając dłońmi twarz, po której zaczęły płynąć łzy. Usłyszał, jak Anne i doktor mówią coś do jego matki, po czym lekarz z położną opuścili pokój, a Jessica podeszła do Thomasa i położyła mu dłoń na ramieniu. Jej lekki dotyk jemu zdał się miazdzącym ciężarem. Nie mógł jednak przynieść mu ukojenia, bo ból, jaki odczuwał, przekraczał granice zrozumienia. Podniósł zalaną łzami twarz.

– Matko, czy Toliverowie są przeklęci?

W odpowiedzi przymknęła tylko oczy. Twarz miała obwisłą i Thomas nagle sobie przypomniał, jaka jest już stara – w październiku skończy siedemdziesiąt lat, w tym samym miesiącu, w którym rok temu zmarło jego drugie dziecko.

– Nie wiem – powiedziała.

– Ale ja wiem – wrzasnęła Priscilla. Obróciła się ku nim, wciąż tuląc do piersi córkę. W jej oczach błyszczała nienawiść, usta wykrzywił paskudny grymas.

– Jesteście przekłęci, przekłęci, przekłęci! – darła się. – I dlatego umarł mój synek, a teraz córka. Boże, czemu się wżeniłam w tę rodzinę! Żałuję, że was kiedykolwiek ujrzałam, niech was szlag trafi!

Lada chwila mógł nadejść Vernon. Nie może słyszeć, co wygaduje jego matka. Thomas z wysiłkiem dobył głos z gardła.

– Priscillo... proszę. Jesteś zrozpaczona. Nie wiesz, co mówisz.

– Do diabła, wiem aż za dobrze! – Priscilla delikatnie położyła córkę na łóżku i obróciła się do nich. Kapelusz miała przekrzywiony, przód sukni poplamiony potem córki. W jej oczach widniało szaleństwo. Z obrzydliwie wykrzywionymi ustami wydzierała się dalej, niepomna konsekwencji.

– Ojciec Jessiki zapłacił Silasowi Toliverowi, żeby porzucił kobietę, którą kochał, i ożenił się z twoją matką, Thomasie. Wiedziałeś o tym? Ceną były pieniądze na kupno Somerset, tego świętego ołtarza, który wy, Toliverowie, tak czcicie.

Priscilla przyskoczyła do fotela, w którym siedział Thomas, żeby mówić mu prosto w twarz.

– Twoja babka przepowiedziała, że za to, co zrobił, na jego ziemię spadnie klątwa, a twój ojciec w to uwierzył, kiedy stracił syna i wszystkie inne dzieci, które by miał, gdyby nie zdradził kobiety, z którą miał się ożenić. Aż do dnia swojej śmierci wierzył, że jego dzieci, spadkobiercy Somerset, rodziły się, żeby umrzeć z powodu klątwy, którą ściągnął, zawierając pakt z diabłem.

Wbity w fotel, Thomas zapytał przerażony:

– Skąd to wiesz?

– Przeczytała moje dzienniki – odezwała się spokojnie Jessica.

Priscilla zamrugła i popatrzyła na teściową, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę z jej obecności w pokoju. Thomas ujrzał, jak jej wściekłość przeradza się w zmieszanie.

– Przeczytałaś dzienniki mojej matki? – wychrypiął.

Priscilla odsunęła się chwiejnie, zaciskając powieki i przykładając dłonie do skroni, jakby nie wiedząc, gdzie się znajduje.

– Nie, słyszałam tylko plotki.

– Obawiam się, że jest inaczej – rzekła Jessica. Podeszła do łóżka i dłonią pogładziła policzek wnuczki. Nachylając się, pocałowała blade jak popiół czoło. – Śpij spokojnie, najdroższa dziecino. – Wyprostowała się i spojrzała na Thomasa i Priscillę z twarzą nieruchomą jak gładz. – Uważajcie na słowa. W korytarzu jest Vernon.

– Zatrzymaj go na chwilę, mamó, i zamknij drzwi – poprosił ją syn, kiedy odwróciła się do wyjścia.

Priscilla się skuliła. Gdy drzwi za jego matką się zamknęły, Thomas zwrócił się do żony.

– Czy to prawda? Czytałaś dzienniki mojej matki?

– Nie! A zresztą jakie to ma teraz znaczenie? Nasza córka nie żyje. – Zasłoniła twarz dłońmi i zaczęła zawodzić. Thomas ciężko podniósł się z fotela. Powinien utulić żonę, ale nie potrafił się do tego zmusić. Jego uczucia do niej były równie martwe jak ciało pod skrwawionym prześcieradłem.

– Musimy poprosić Tylera, żeby pozwolił nam zabrać córkę do domu – powiedział.

Cztery dni później, gdy w obecności zebranych żałobników ciała Reginy Elizabeth Toliver McCord i jej martwo narodzonego synka spoczęły w grobie na rodzinnym cmentarzu, pozostali przy życiu członkowie rodu Toliverów pogrążeni w smutku zebrali się w salonie rezydencji. Siedzieli na twardych, wypchanych końskim włosiem krzesłach i kanapach, zbyt wycieńczeni emocjonalnie, by się poruszyć czy odezwać. Priscilla i Jessica nie zdjęły kapeluszy, Thomas i Vernon wciąż mieli pod szyją zawiązane sztywne krawaty. Bezszelestnie weszła Amy, niosąc tacę z herbatą i babeczkami, po czym bez słowa opuściła pokój.

Thomas i Priscilla prawie ze sobą nie rozmawiali od chwili, gdy niewielka procesja przyjechała na Houston Avenue, towarzysząc wozowi, na którym ciało ich córki wróciło do domu, gdzie obmyte i ubrane zostało wystawione w trumnie w salonie. Ze ściągniętymi ustami i suchymi oczami, stojąc w przeciwległych krańcach salonu, przyjmowali przybywających tłumnie żałobników. Wieczorem w dniu śmierci Reginy Thomas spał w jednym z pokoi gościnnych. Następnego

ranka polecił służbie przenieść do niego wszystkie swoje rzeczy z sypialni, którą do tej pory dzielił z Priscillą.

– Może ktoś się odezwie – rzekł Vernon.

Jessica naląła herbaty do filiżanki.

– Jedna kostka czy dwie? – zapytała, unosząc szczypczyki do cukru.

– Ja dziękuję – odparł Vernon, wstając. – Muszę wracać na plantację.

– A ja pójdę się położyć – powiedziała Jessica. – Ty też powinnaś, Priscillo.

– Tak – zgodziła się Priscilla zgaszonym tonem.

– Thomasie? – Matka spojrzała na niego.

Thomas podciągnął nogi i wstał.

– Nie będę na kolacji – oznajmił.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała przerażona Priscilla.

– Wychodzę – odparł.

Rozdział 89

– Byłeś z nią, prawda? – rozległ się głos z ciemnej wnęki naprzeciwko pokoju Thomasa.

Obrócił się na pięcie. Wnęką była głęboka i mieściły się w niej półki na tace z herbatą i kawą. Jako dzieci, Regina i David, bawiąc się w chowanego, właśnie do niej zaglądali w pierwszej kolejności.

– Zaczęłaś mnie szpiegować? – zapytał, wsuwając klucz do zamka.

Priscilla wyłoniła się z cienia, stając w świetle rzucanym przez kinkiet na ścianie. Dochodziła północ i Thomas pomyślał, że jest coś złowieszczonego w szeleście i błysku lśniącego szlafroka żony. W ciągu dwóch miesięcy, które upłynęły od śmierci Reginy, bardzo schudła, a na jej twarzy malowała się udręka. Thomas jej współczuł, ale wyłącznie jako rodzic dzielący z nią smutek po śmierci wspólnego dziecka. Nie mógł się zdobyć na to, by pocieszać ją jako mąż. Żalobę Priscilli wzmagał dodatkowo żal, że przyznała się do czytania pamiętników jego matki. Thomas przestał się zastanawiać, skąd wiedziała o przerażających rzeczach na temat jego rodziny, o których sam nie miał pojęcia. Przestał się przejmować, że może go zranić ponad wszelkie wyobrażenie. Wystarczająco już cierpiał.

– Nie szpieguję – powiedziała Priscilla. – Po prostu muszę wyczekać pod drzwiami mojego męża, żeby zamienić z nim słowo. Poczekałabym w pokoju, ale uznałeś, że musisz go zamykać na klucz.

– Chyba cię to nie dziwi? – zapytał. – Porozmawiamy rano. Jest późno, a ja jestem zmęczony. Wracaj do łóżka.

Na policzki Priscilli wypłynął rumieniec, ale zacisnęła szczęki.

– Porozmawiamy teraz. Chcę wiedzieć, czy to prawda?

– Jaka prawda?

– Że widzisz Jacqueline Chastain.

– Jeżeli przez „widzisz” rozumiesz, czy zdarza mi się minąć z nią w mieście...

– Słyszałam, że w ubiegłą niedzielę podwoziłeś ją swoim powozem.

– Zapropnowałem jej to, ponieważ tak jak ja, szła do kościoła, a to dość daleka droga.

– Wspaniale się złożyło, że wypadło to akurat w niedzielę, kiedy byłam zbyt przygnębiona, by udać się do kościoła.

– Myśl sobie, co chcesz, Priscillo.

Thomas otworzył drzwi. Miał dosyć tej rozmowy.

– Nie obchodzi cię, co mówią ludzie?

Wszedł do pokoju i pociągnął żonę za sobą. Nie chciał, żeby jej rozniewany głos dotarł do pokoju Jessiki na końcu korytarza. Zamknął za nimi drzwi.

– A cóż takiego mówią, Priscillo, a może to kolejny z twoich nieuzasadnionych domysłów?

– Gdzie byłeś dzisiaj wieczorem?

– Grałem w karty z Jeremym Juniorem, Armandem i Philippe'em. Philippe przyjechał na przepustkę.

– Nie byłeś z nią?

– Nigdy z nią nie bywam.

– Nie wierzę ci.

– Cóż, masz do tego prawo.

– Dokąd idziesz, kiedy nie ma cię w domu, na plantacji czy w ratuszu?

– Cóż, pomyślmy, co nam jeszcze zostało. Zapewne przebywam w domu któregoś z moich wieloletnich przyjaciół.

– Bardzo dużo czasu z nimi spędzasz.

– Najwyraźniej.

– Czemu tyle czasu spędzasz na plantacji? Myślałam, że teraz prowadzi ją Vernon.

– Bo tak jest, ale potrzebuje mnie.

– Nastawiłeś go przeciwko mnie.

– Sama nastawiłaś go przeciwko sobie, Priscillo. Wtedy u McCordów stał pod drzwiami i słyszał każde twoje słowo.

Jak zwykle cała buta Priscilli nagle wyparowała. Objęła ramionami swoje coraz chudsze ciało, jakby się bała, że rozpadnie się na kawałki.

– Thomasie... ja... ja... jak sam powiedziałeś, byłam w rozpaczce. Bo jakżeby inaczej? Moja córka właśnie umarła. Nie wiedziałam, co mówię. Nie powinieneś mnie za to winić.

– Czytałaś pamiętniki mojej matki?

– Nie! – krzyknęła gwałtownie, mocno się rumieniąc. – Wszystko to były zasłyszane plotki. Każda rodzina jest dla nich pożywką. Sam powinienes to wiedzieć.

– Wiem – przyznał Thomas. – Jeśli cię to pocieszy, ja również się zastanawiałem, czy coś nie mści się na nas za poświęcenie mojego ojca i moje, na które się zdecydowaliśmy przez wzgląd na plantację, ale to tylko w chwilach rozpacz. Nigdy nie wierzyłem w podobne przesady. Upadek mojego brata z konia, śmierć naszego syna i córki, to, że moja matka nie urodziła więcej dzieci... kryje się w tym taka sama tajemnica, jak w tym, że DuMontowie stracili córkę przez huragan, a Warwickowie syna przez wojnę. Młode kobiety umierają przy porodzie. To, co spotkało Davida, mogło się przytrafić każdemu chłopcu, który bawił się koło stawu.

Priscilla nagle stała się dziwnie spokojna. W jej oczach pojawił się niepokojący błysk. Wyprostowała się.

– Powiedziałeś, że ty również poświęciłeś się dla Somerset. W jaki sposób, Thomasie? Żeniąc się ze mną?

W jej głosie Thomas usłyszał cień nadziei, że zaprzeczy. Odwrócił się i zaczął rozpinąć kamizelkę. Czemu go o to spytała? Urodziła mu dzieci. Poza wszystkim, czym nie była, była matką jego dzieci.

– Odpowiedz mi, Thomasie. Chcę wiedzieć.

Rozpiął mankiety.

– Tak, Priscillo. Byłaś poświęceniem, które poniosłem dla Somerset.

Zapadła cisza, jaka nastaje po uderzeniu pioruna. Thomas wciąż zwrócony był tyłem do żony, nie chcąc widzieć, jak bardzo ją zranił.

Ona odezwała się zadziwiająco spokojnym tonem.

– Chciałeś mieć dziedzica na wypadek, gdybyś nie wrócił z wojny, a wtedy tylko ja byłam pod ręką. Czy tak?

– Tak. Ale wierzyłem, że nam się uda.

– I przez to poświęcenie dwójka naszych dzieci nie żyje.

– Ja w to nie wierzę.

– Cóż, a ja tak. Podobnie jak twoja matka. Czytałam jej dzienniki.

Thomas odwrócił się gwałtownie i zdążył jeszcze dostrzec łzy dotkliwego bólu wypełniające jej oczy. Z trudem nad sobą zapanował.

Już nie wątpiła w powód, dla którego się z nią ożenił. Podejrzenia to jedno, pewność to już zupełnie co innego. Zdziwił się, że po tych wszystkich latach wciąż jeszcze się łudziła, że ożenił się z nią z miłości.

– Przykro mi, Priscillo – powiedział. – Oszukałem cię, ale miałem nadzieję, że dzieci i życie, jakie ci zapewnię, a które ci odpowiadało, jakoś to zrekompensują. Wiem, że pozbawiłem cię pewnych przyjemności i szczęścia, których byś zaznała, gdybym... żywił inne uczucia lub gdybyś wyszła za kogoś innego, ale dlaczego, na miłość boską, czytałaś osobiste pamiętniki mojej matki? Czy piszesz historię Toliverów i szukałaś informacji?

Z rękawa szlafroka wyjęła chusteczkę, którą zawsze trzymała pod ręką na wypadek nagłego przyływu emocji. Thomas także pamiętał, żeby mieć jedną w kieszeni surduta, bo często przypominały mu się wszystkie straty, jakie poniósł.

Priscilla osuszyła oczy, po czym zdecydowanym ruchem schowała chusteczkę z powrotem. Gest ten zdradził Thomasowi, że postanowiła więcej przez niego nie płakać.

– Cóż, mogłabym tak to wytłumaczyć, ale mam dość kłamstw – powiedziała. – Ty najwyraźniej ich unikasz, więc tym razem ja też dla odmiany powiem prawdę i zobaczymy, czy tobie się ona spodoba. Przeczytałam dzienniki Jessiki, żeby się przekonać, czy podejrzewała mnie o romans z majorem Andrew Duncanem.

Thomas wpatrywał się w nią oniemiały.

Priscilla zmierzyła go niewinnym wzrokiem.

– Jak się okazało, podejrzewała. Niestety, słusznie. Znalazłam tego potwierdzenie, czarno na białym, w dzienniku z sześćdziesiątego szóstego roku.

– Priscillo... ty miałaś romans?

– Owszem, nie myśl więc, że osiągnęłam swój wiek, nie zaznawszy tych przyjemności, których ty mnie pozbawiłeś.

Wstrząśnięty Thomas przypominał sobie uderzająco przystojnego rudowłosego majora, który nocował w wozowni podczas unijnej okupacji dwadzieścia jeden lat temu. Dwadzieścia jeden lat...

– Nigdy niczego nie zauważyłeś, prawda? – rzekła Priscilla z błyskiem złośliwej satysfakcji w oczach. – Tak byłeś zajęty swoją

świętą plantacją, kompletnie wobec mnie obojętny, że nigdy nawet nie zerknął w naszą stronę, w przeciwieństwie do twojej matki. Jak ci się wydaje, czemu przez całe życie trzymała Reginę na dystans?

Twarz Priscilli rozmyła mu się przed oczami.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że Regina była...?

– Córką majora Andrew Duncana? Tak, właśnie to chcę powiedzieć.

Thomas się cofnął, jakby chlusnęła mu kwasem w twarz.

– Proszę bardzo – powiedziała Priscilla. – Ta wiadomość powinna nieco złagodzić twój ból po śmierci Reginy, a z całą pewnością poczucie winy, jakie być może odczuwasz wobec mnie.

– Kłamiesz... kłamiesz, Priscillo. Mówisz to tylko po to, żeby wyrównać ze mną rachunki, zranić mnie...

– Cóż, przecież ostrzegałam, że mogę to zrobić, czyż nie?

– Regina była moją córką! Moją!

– A jak ci się wydaje, po kim miała rude włosy, piegi i jasną skórę?

– Po mojej matce!

– Albo po majorze Duncanie. Nigdy się tego nie dowiemy, prawda? – Priscilla się zbliżyła, by spojrzeć Thomasowi prosto w twarz, zaciskając drobne zęby. – Kochałam cię, Thomasie. Pragnęłam cię, właśnie ciebie. Nie twoich pieniędzy, rodzowego nazwiska ani tych wszystkich ochłapów, które mi rzucałeś w ramach rekompensaty. To prawda, miałam... pewne zahamowania, kiedy się pobraliśmy, ale pewność, że mnie kochasz, pomogłaby mi je przewyciężyć, tak jak stało się z Andrew. Oddał ci mnie jako odmienioną kobietę, którą cieszyłeś się przez kilka lat. – Poklepała gors jego koszuli. – Chwilę potrwa, zanim oswoisz się z prawdą, Thomasie, ale będziemy żyli jak dawniej i lepiej, żebym już nigdy nie usłyszała, że zadajesz się z Jacqueline Chastain. Jesteś mi winien wierność.

Thomas odepchnął jej rękę.

– Jutro podejmę odpowiednie kroki – powiedział.

Priscilla przekrzywiła pytająco głowę.

– Jakie kroki?

– W celu zakończenia naszego małżeństwa. Oskarżę cię o cudzołóstwo.

Rozdział 90

Priscilla błagała.

– Pomyśl o Vernonie – mówiła. – O Reginie... jak ucierpi na tym jej pamięć.

– Oczekuję, że to ty o nich myślisz, Priscillo.

Gdy po hrabstwie rozeszła się wieść, że Thomas i Priscilla postanowili zakończyć swoje dwudziestosześcioletnie małżeństwo, naturalnie zaczęły się plotki, lecz skandal został zażegnany, kiedy Priscilla zgodziła się rozwieść bez rozgłosu. Thomas przedstawił warunki. Nie będzie dochodził swoich praw przed sędzią hrabstwa, jeżeli Priscilla, nie sprzeciwiając się jego pozwowi, wyprowadzi się z jego domu i zniknie z jego życia. Ponieważ wymagane było złożenie pisemnego wyjaśnienia, co jest powodem zakończenia ich związku, Thomas zgodził się na standardowe oświadczenie, że przyczyną rozwiązania małżeństwa są różnice charakterów niedające nadziei na poprawę stosunków.

– Niedające nadziei na poprawę stosunków, Thomasie? – zapytała Priscilla łamiącym się głosem.

– Całkowicie.

Tak więc stało się. Na miejsce swojego nowego zamieszkania Priscilla wybrała Houston, ze względu na dogodne połączenie kolejowe, dzięki czemu Vernon, jej bracia i nieliczni pozostali przyjaciele będą mogli bez trudu ją odwiedzać. Thomas ulokował ją w niedużym, lecz eleganckim domu w najbardziej prestiżowej dzielnicy, otworzył na jej nazwisko rachunek i zgodził się utrzymywać służbę, konia i powóz.

Rozwód stał się faktem dziewięćdziesiąt dni po podpisaniu przez sędziego dokumentu zwracającego Thomasowi wolność i dziewięćdziesiątego pierwszego dnia Thomas odwiedził Jac-que-line Chastain. Pobrali się trzy miesiące później. Po raz kolejny Dom Towarowy DuMont stracił swoją czołową projektantkę.

Cztery lata później, w 1892 roku, Vernon wręczył konduktorowi bilet i usiadł w swoim przedziale pierwszej klasy. Pociąg ruszył i mijając przedmieścia Howbutker, sunął wzdłuż jeziora. Przez okno Vernon zauważył, że cyprysy zrzucają liście, co zwiastowało nadejście jesieni.

Właśnie w taki poranek dziewięć lat temu umarł jego młodszy brat. Gdyby żył, miałby teraz dwadzieścia trzy lata. Jak zwykle każde wspomnienie o nim wywoływało w sercu Vernona ukłucie bólu i teraz pogłębiło dodatkowo jego przygnębienie. Jechał do Houston, by spędzić weekend z matką. Kochał ją i było mu jej żal, nienawidził jednak tych godzin spędzonych w jej małym domku, kiedy patrzył, co ze sobą zrobiła.

Matka straciła wszystko, co podtrzymywało jej próżność. Ubierała się i stroiła, jak przystało żonie Thomasa Tolivera i ich pozycji w najwyższych kręgach towarzyskich Howbutker – a w zasadzie całego stanu. Poza dziećmi najważniejsze było dla niej imponować, bywać i należeć. Teraz zabrakło tej motywacji, by o siebie dbała, roztyła się więc i nie przejmowała swoim wyglądem.

Żadne namowy ze strony Vernona nie przekonały jej, by włączyła się w działalność charytatywną, intelektualne poszukiwania czy zawieranie znajomości w nowym środowisku. Woląла żyć w ukryciu, wstydząc się swego rozwodu i nowego małżeństwa Thomasa z jego „lubą”, i w samotności pielęgnować swój żal po stracie dwójki dzieci i niegdyś zajmowanej pozycji.

Vernon westchnął. Nie powinien teraz zostawiać plantacji. Była pora zbiorów, a od Meksyku, przez Brownsville, miasto położone w teksańskiej dolinie, nadeszła inwazja nowego szkodnika. Nazywał się kwiecień bawełniany i był małym, paskudnym żukiem ze skrzydełkami i wystającym ryjkiem. Farmerzy uprawiający bawełnę i kukurydzę już wcześniej mieli do czynienia z różnymi szkodnikami, ale na tego nie było sposobu. Vernon nie będzie obecny na zebraniu plantatorów i farmerów zaplanowanym na dzisiaj, na którym z przedstawicielem Departamentu Rolnictwa Stanów Zjednoczonych mieli omawiać plan zwalczania zarazy, jednak nie mógł zostawić matki samej w wigilię rocznicy śmierci jego brata. Ojca wspierała w tym trudnym dniu jego macocha, Jacqueline Chastain.

Vernon bardzo cierpiał z powodu rozpadu małżeństwa rodziców, chociaż po rozmowie z babką, którą błagał o wyjaśnienie tego, co podśluchał, stojąc pod drzwiami pokoju, w którym umarła jego siostra, wiedział, że taki koniec jest nieunikniony. Przeraził się, słysząc, że

matka przeczytała dzienniki jego babki (podobnie jak ojciec nie wierzył jej zaprzeczeniom), skoro jednak pewne sekrety wyszły na jaw, Vernon nalegał, by babcia wytłumaczyła mu, o co chodzi z tą klątwą Toliverów. Ojciec był zbyt zrozpaczony, by go o to pytać.

Babka spełniła jego prośbę, po kolei opowiadając o wszystkich ofiarach sprzed dnia owej straszliwej kłótni, której skamieniały przysłuchiwał się w holu domu McCordów. Rzecz jasna pomyślał, że na Somerset ciąży klątwa, która zaczęła się od jego prababki w Karolinie Południowej, zanim jeszcze Teksas został republiką, był kompletną bzdurą. Uznał to za kolejny zarzut, jaki matka mogła skierować przeciwko ojcu. Vernon znał już powód, dla którego Thomas poślubił Priscillę, i był niemal pewny, że matka zna go również. Rozumiał motyw działania swego ojca, rozumiał też żal matki. O czym jednak nie wiedział, a co go urzekło, to burzliwy początek szczęśliwej mimo wszystko historii jego dziadków.

Vernon się cieszył, że David i Regina nie dożyli dnia, w którym rodzice się rozwiedli, i nie musieli patrzeć na to, kim teraz stała się ich matka. Wszystkie te nieszczęścia sprawiły, że poprzysiągł sobie ożenić się wyłącznie z miłości, z kobietą, która jego też będzie kochała. Martwił się jednak, co będzie, jeśli nigdy takiej nie znajdzie. Miał dwadzieścia siedem lat i jak na razie nie spotkał nikogo, kto sprostałby jego wymaganiom. Był ostatnim dziedzicem Somerset. Co się stanie z plantacją, jeżeli na nim zakończy się ród Toliverów?

Postanowił, że na razie nie będzie się tym zamartwiał, i wyjął z teczki raport, by zapoznać się ze skąpymi informacjami, które naukowcy zdołali zebrać na temat kwieciaka bawełnianego. Dowiedział się z nich, że kwieciak potrafi latać na niewielkie odległości, ale warunki pogodowe w rodzaju huraganów, częstych o tej porze roku w Zatoce Meksykańskiej, mogły przenosić go w rejony bardzo odległe od jego środowiska naturalnego. Był pogrążony w lekturze, gdy skupienie przerwało mu delikatne pukanie do drzwi przedziału.

– Proszę – zawołał, nie przerywając czytania.

Do środka głowę wsunął Bertram, czarny bagażowy, z którym Vernon zaprzyjaźnił się podczas swoich podróży do Houston.

– Proszę wybaczyć, panie Toliver, ale czy zgodziłby się pan dzielić

przedział z kobietą, która wysiada w Houston? Jedzie trzecią klasą z bandą chuliganów, którzy bardzo chcą zrobić na niej wrażenie, choć wyraźnie daje im do zrozumienia, że sobie tego nie życzy. Jest bardzo cicha, proszę pana. Na pewno nie będzie panu przeszkadzać w pracy.

– Och, naturalnie – odrzekł Vernon, nie podnosząc nawet wzroku znad raportu. – Przyrowadź ją.

Kilka chwil później zjawiła się eskortowana przez bagażowego. Vernon zerknął, zamierzając skinąć na powitanie głową, po czym wrócić do raportu. Jednak kiedy ją ujrzał, oczy zrobiły mu się wielkie jak spodki, a szczeka niemal opadła.

– Jestem panu niezmiernie wdzięczna – powiedziała kobieta, najwyraźniej nie dostrzegając jego pełnego zachwyty spojrzenia.

Kapelusz miała przekrzywiony i była lekko zdyszana. Położyła swój sakwojaż i parasolkę, po czym usiadła na przeciwległym siedzeniu, ale na drugim końcu przedziału, przy drzwiach, zapewne nie chcąc mu przeszkadzać. Nie patrząc na Vernona, poprawiła kapelusz, słomkowy, zbyt sztywny na burzę lśniących rudawobrazowych włosów upiętych na czubku głowy w kok, który wyglądał, jakby z następnym szarpnięciem pociągu mógł się rozsypać. Obfite falbanki i marszczenia, w których wciąż jeszcze tak się lubowała jego matka, zaczynały powoli wychodzić z mody i podróży kostium kobiety, z obcisłym gorse, wąską talią i spódnicą, wspaniale podkreślał jej piękne kształty. Vernon pomyślał, że w życiu nie widział równie pociągającej kobiety.

Doprowadziwszy się do porządku, jego towarzyska podróży złożyła dłonie na podołku i odetchnęła głośno z ulgą, co sprawiło, że jej bujne piersi pięknie zafalowały. Zauważyła, że jej się przygląda, i uśmiechnęła się lekko, wyginając w łuk pełne wargi.

– Obiecuję, że nie sprawię panu kłopotu – odezwała się ciepłym, gardłowym głosem, który sugerował, że jego właścicielka w sypialni może się zamienić w wulkan namiętności.

Vernon wyprostował się i chrząknął.

– Proszę sprawiać tyle kłopotu, ile tylko sobie pani życzy.

Ruch brązowych brwi zdradził lekkie zdziwienie. Vernon zgadywał, że kobieta ma dwadzieścia kilka lat.

– W takim razie... czy zechciałby pan poprosić konduktora

o szklanke wody? – zapytała, przykładając dłoń do śnieżnobiałej szyi. – Zupełnie zaschło mi w gardle...

– Woda na zaschnięte gardło? Może mógłbym zaproponować coś bardziej orzeźwiającego?

– Na przykład? – zapytała z błyskiem zaciekawienia w złocistych oczach.

– Szampana – odparł Vernon, dzwoniąc po obsługę.

– O jedenastej rano?

– Jest już bliżej południa.

– Och, cóż, ja... – Jej dłoń pofrunęła do wysokiego kołnierza bluzki. – Skoro pan nalega...

– Nalegam z całą stanowczością – rzekł Vernon z uśmiechem.

Nazywała się Darla Henley. Wracała do Houston z wizyty u ciotki, wdowy, która wciąż zarządzała farmą należącą do rodziny od dwóch pokoleń. Ojciec był poczmistrzem w Houston. Matka nie żyła. Ona sama pracowała w firmie wydawniczej, odkąd uzyskała dyplom sekretarki.

– A czym się pani zajmuje w tej firmie wydawniczej?

– Czytam materiały nadesłane przez pisarzy i robię ich korekty.

Przy drugim kieliszku szampana Vernon zapytał:

– Dlaczego nie jest pani mężatką... taka kobieta jak pani?

Napiła się szampana. Na jego zaproszenie zajęła miejsce przy oknie, naprzeciwko niego.

– Byłam już po słowie, ale zerwałam znajomość.

– Dlaczego? – zapytał Vernon, trzeźwy jak nigdy w życiu.

Przeciwie niż Darla Henley. Lekko wstawiona, wyjaśniła:

– W porę spostrzegłam, że do siebie nie pasujemy.

– Doprawdy? Jak się to pani udało?

– Miałam całkowitą pewność, że nie jest mężczyzną, który zamówiłby szampana, by orzeźwić damę z zaschniętym gardłem o jedenastej przed południem.

Vernon się roześmiał, nagle czując, że nic na świecie go nie obchodzi, a takiego uczucia nie zaznał już od bardzo dawna. Czy tą uwagą zdradziła, że pragnie usidlić zamożnego, eleganckiego mężczyznę? Miał nadzieję, że nie. Z kieszeni płaszcza dobył cienkie skórzane etui i wyjął z niego wizytówkę. Wręczył ją Darli Henley.

– Czy zgodzi się pani, abym ją odwiedził podczas swojego pobytu w Houston, panno Henley?

– Cóż, panie Toliver. Będę zachwycona – powiedziała.

Rozdział 91

Zamierzał zostać w Houston tylko na weekend i wyjechać w niedzielę, by zdążyć jeszcze do Somerset, gdzie chciał sprawdzić, jak przebiega pierwszy zbiór bawełny, zabawił jednak w stolicy całe cztery dni. Gdy zjawił się w domu przy Houston Avenue, Jacqueline powitała go z okrzykiem ulgi.

– Vernonie, tak się martwiliśmy. Myśleliśmy, że coś złego ci się przytrafiło.

– Powiniennem był zadepeszować. Wybacz, Jacqueline... czy możemy porozmawiać?

Zaprowadził ją do biblioteki, by zamienić z nią kilka słów na osobności. Powitały go czarne, zaniepokojone twarze – Amy, Barnabasa, Sassie i kilku innych służących. Babka była u siebie na górze, ojciec na plantacji. Znalazłszy się z macochą sam na sam, Vernon się zwierzył:

– Jacqueline... chyba się zakochałem.

– Ach... A więc to ona jest przyczyną twojej zwłoki. Kto to taki? Jak się poznaliście?

Z niewieloma osobami rozmawiało się równie łatwo jak z Jacqueline. Początkowo Vernon nie był zachwycony. W zasadzie nic przeciwko niej nie miał, ale też nie popierał jej związku z ojcem, jednak już po kilku tygodniach zrozumiał, co tak w niej urzekło jego ojca. Vernon się spodziewał, że Jacqueline weźmie dom w posiadanie, zacznie w nim wszystko zmieniać, narzucać swoją wolę i gust, jednak nic takiego się nie stało. Zwyczajnie wtopiła się w otoczenie, natychmiast zaskarbiając sobie serca służby i sympatię jego babki, i stopniowo Vernon zaczął ją uwielbiać. Wniosła do domu spokój i ukojenie, i choć czasem na pięćdziesięcioletniej twarzy ojca pojawiał się smutek, Vernon dawno już nie widział go takim szczęśliwym – jeśli w ogóle kiedyś takim go widział.

– W pociągu do Houston – odpowiedział na pytanie macochy. – Jacqueline, wierzysz w miłość od pierwszego wejrzenia?

Jacqueline ściągnęła usta.

– U kogoś w twoim wieku jest to raczej fizyczne zauroczenie od pierwszego wejrzenia.

– Czemu w moim wieku? A w wieku twoim i ojca, gdy się poznaliście?

Od matki się dowiedział, że Priscilla popełniła „największy błąd w życiu”, posyłając jego ojca do sklepu Jacqueline Chastain, żeby odebrał opaskę na włosy, prezent dla Reginy na jej szesnaste urodziny. „Coś między nimi zaiskrzyło i ta kobieta postarała się, żeby nigdy nie zgasło” – tłumaczyła matka oskarżycielsko.

Teraz Jacqueline powiedziała:

– Ludzie w wieku moim i twojego ojca dostrzegają coś więcej niż tylko fizyczność, którą mają sobie nawzajem do zaoferowania.

– Kiedy wiadomo, że to nie tylko pociąg fizyczny?

– Gdy lepiej się tego drugiego człowieka pozna.

Vernon podekscytowany przeczesał dłonią włosy.

– Nie wiem, czy chcę czekać, żeby lepiej poznać Darlę Henley. Jestem nią tak zachwycony, że ciężko mi było wsiąść do pociągu. Chciałem schować ją do sakwojażu i przywieźć ze sobą do domu. Nigdy nie sądziłem, że coś takiego poczuję do kobiety, ale nie potrafię myśleć, nie mogę oddychać, kiedy o niej myślę...

Matka przestrzegala go, że Darla może się łąsić na pieniądze, Vernon jednak miał pewność, że tak nie jest. Postanowił zatuszować wrażenie, że jest bogaty, co mogła sądzić po spotkaniu w pociągu. Jechał pierwszą klasą, zafundował jej francuskiego szampana, był elegancko ubrany, nietrudno więc sobie wyobrazić, co o nim pomyślała. Odwiedził ją drugiego dnia pobytu w Houston, zamiast jednak zaprosić ją do najelegantszej w mieście restauracji The Townsman, w elitarnym klubie, do którego należeli z ojcem, wybrał znacznie skromniejsze miejsce. Włożył nieoficjalny strój, który trzymał u matki, by mieć w czym wykonywać drobne prace w jej domu, i wynajął fiakra, którym po nią przyjechał do wąskiego, trzypiętrowego domu jej ojca niedaleko torów. Jeśli Darla była zdziwiona albo zawiedziona, spodziewając się zastać przed swoimi drzwiami zamożnego mężczyznę, z którym jechała w pociągu, niczego nie dała po sobie poznać. Była zachwycona, że dotrzymał słowa i ponownie się z nią spotkał. W pociągu zręcznie unikał rozmowy na swój temat, a ona była zbyt uprzejma, by zapytać, czym się zajmuje. Po jakimś czasie wyznał, że pracuje z ojcem na farmie bawełny

we Wschodnim Teksasie.

– To bardzo ciężka praca – powiedziała Darla. – Moja ciotka może o tym zaświadczyć.

Opowiedziawszy wszystko macosze, zapytał:

– Czy myślisz, że poczuje się urażona, kiedy się dowie, że jestem człowiekiem bogatym?

– Chodzi ci o to, czy uzna, że celowo ubrałeś się skromnie i zapraszałeś w miejsca, które według ciebie są bardziej odpowiednie dla kobiety z jej pozycją?

– Bystra jesteś, Jacqueline. Tak, dokładnie o to mi chodzi.

– Bądź z nią szczery, Vernonie. Wyjaśnij jej, że nie o jej pozycję ci chodziło, lecz o twoją. Pozwól jej zdecydować, czy będzie urażona, czy też zrozumie, że musiałeś się przekonać o szczerości jej intencji.

– Mimo to... – rzekł Vernon skruszony – to było z mojej strony podłe.

– Owszem – przyznała Jacqueline. – Są inne sposoby, żeby poznać uczucia drugiej osoby.

– Będę o tym pamiętał. Dziękuję – powiedział i uściskał macochę.

W następną sobotę Vernon stanął pod drzwiami Darli, wcześniej zawiadomiwszy ją listownie o swoim przybyciu. Postanowił chwilę zaczekać, zanim przyzna się jej do swojej pozycji, bał się bowiem, jak to przyjmie. Pozycja. Nienawidził tego słowa. Przypominało mu matkę. By nie spędzać z nią czasu, przepełniony poczuciem winy wynajął pokój w hotelu niedaleko miejsca, w którym mieszkali Henleyowie. Wczesnym popołudniem pociągnął za dzwonek przy drzwiach.

– Mam nadzieję, że nie jestem zbyt wcześnie? – zapytał z uśmiechem. – Od rana nie mogłem się doczekać, by panią ujrzeć.

Spakowała kosz piknikowy, mówiąc, że zna urocze miejsce w parku nieopodal. Jesienna pogoda była idealna na przechadzkę. Powiedziała, że nie muszą wydawać pieniędzy na fiakra. Znaleźli trawiaste miejsce w cieniu drzewa i rozłożyli koc. Kiedy zjedli kanapki i ciasto, Vernon położył się z głową na jej kolanach, a ona mu czytała.

– Uwielbiam czytać poezję. Pozwolisz? – zapytała, machając cienkim tomikiem wierszy Henry’ego Wadswortha Longfellowa.

– Ja uwielbiam poezji słuchać – skłamał Vernon. – Poczytaj mi.

Gładziła go po włosach, masowała mu skronie, muskała jego czoło, czytając, a jej namiętny głos otulał go jak niebiańska muzyka. Z rozkoszą czuł pod głową jej uda, od których dzielił go tylko materiał sukni i halki. Nigdy wcześniej nie spędził tak doskonałego popołudnia.

– Czy chodzisz w niedzielę do kościoła? – zapytał w nadziei, że zaprzeczy i będzie mógł spędzić z nią jeszcze kilka krótkich godzin, zanim wsiądzie do pociągu, który zawiezie go z powrotem do Howbutker.

– Czasem – odpowiedziała. – Mój ojciec nie jest szczególnie religijny.

Stali przed wejściem do jej domu. Na ganku paliła się latarnia. Wrócili z kolacji w niedalekiej kawiarni.

– Czy... wybierasz się jutro? – zapytał.

– Nie. Miałam nadzieję, że zjesz śniadanie ze mną i z papą.

– Bardzo chętnie – powiedział Vernon z ulgą i wyciągnął rękę, żeby zgasić latarnię. Pogrążyli się w półmroku rozjaśnianym blaskiem księżycy w pełni. – Mam też wielką ochotę cię pocałować – dodał.

W odpowiedzi zamrugowała gęstymi rzęsami.

– No... skoro nalegasz.

Pochylił się, tonąc w jej bursztynowych oczach, które po chwili się przymknęły, a ona poddała się jego ustom z namiętnością, która kazałaby mu się zastanowić, czy nie jest łatwą kobietą, gdyby nie był przekonany, że czuje dokładnie to samo co on – że są dla siebie stworzeni. Vernon pamiętał słowa ojca: „Synu, nie ma bardziej suchej pustyni od małżeństwa, w którym nie ma miłości. Ożeń się z miłości albo wcale”.

– Nawet dla Somerset? – zapytał go wtedy Vernon.

– Nawet dla Somerset.

Vernon pamiętał też, jak spoglądał na Somerset po szczególnie suchym lecie. Deszcz nadszedł nocą, wypełniając życiodajną wodą bruzdy pomiędzy rzędami bawełny, by stamtąd dotarła do korzeni, a on wyczuwał ich pragnienie. Teraz było podobnie.

Posłucha jednak rady Jacqueline. Kobietę można poznać dopiero po pewnym czasie. Nie popełni błędu swojego ojca. Ich usta oderwały się od siebie, ale jej ciało wciąż było wtulone w jego. Vernon zajrzał

w bursztynowe oczy i wypowiedział słowa, które miał nadzieję powtarzać co wieczór.

– Do zobaczenia rano.

– Będę czekała.

Następnego ranka, kiedy Darla machała na pożegnanie odjeżdżającemu wynajętą dorożką Vernonowi, jej ojciec stanął za nią.

– Kiedy mu powiesz, że wiesz, kim jest? – zapytał.

– Kiedy sam się przyzna – odparła. – Nie wcześniej.

W pociągu wydał jej się znajomy. Te gęste, kruczoczarne włosy, uderzające zielone oczy, dołeczek w brodzie, uroda zbyt zapadająca w pamięć, by nie zaczęła się zastanawiać, czy pośród materiałów zalegających jej biurko w pracy nie natknęła się gdzieś na jego zdjęcie. Celowo nie powiedziała mu o wszystkim, czym się zajmuje. Zapytała o Vernona Tolivera swojego szefa, który dobrze znał to nazwisko. Toliverowie należeli do „starego Teksasu”, wyjaśnił jej – majątni, bardzo prominentni w swojej części stanu – po czym skierował Darlę do wydań gazety, w których były artykuły na temat rodziny od jej zarania aż do chwili obecnej. Pod koniec tygodnia, gdy spotkała się z Vernonem Toliverem po raz drugi, jej wiedza na temat Toliverów, plantatorów bawełny z Howbutker w Teksasie, była w zasadzie kompletna.

Darla nie czuła się dotknięta, że Vernon zataił przed nią swoje bogactwo i pochodzenie. Uznała, że postąpił mądrze. W zasadzie w ogóle jej nie znał, ale nie musiał się martwić. Nie polowała na jego pieniądze. Po prostu chciała zostać jego żoną i troszczyć się o niego do końca życia. Potrzebował jej, a ona da mu wszystko. Będą mieli mnóstwo dzieci – samych chłopców. Uważała, że nie nadaje się na matkę dziewczynek. Były zbyt chytre, a ona niechętnie dzieliłaby się miłością męża do innej kobiety, nawet córki. Kiedy Vernon będzie już pewny jej uczuć, wtedy powie jej, kim naprawdę jest. Do tego czasu Darla będzie kierować się swoim instynktem i prawami natury.

Rozdział 92

Grudzień 1893 roku

Minął rok, odkąd rozległo się bicie trzech dzwonów wieży Pierwszego Kościoła Metodystycznego w Howbutker. Kościół uważa je za swoje, ale tak naprawdę są własnością miasta i mają wybijać godziny, ostrzegać przed pożarem, powodzią i zbrodnią. Dzięki nim schwytano bankowych rabusiów, kiedy jeden z kasjerów wymknął się w czasie napadu i biciem w dzwony zaalarmował mieszkańców, którzy wylegli na ulice. Był wśród nich szeryf i jego zastępcy i złoczyńcy wpadli prosto w ich ręce.

Wiosną dzwony obwieściły, że przed ołtarzem trzy pary zawarły związki małżeńskie. Trzech synów trzeciego pokolenia założycieli Howbutker złożyło ślubne przysięgi swoim oblubienicom: Jeremy III w kwietniu, Abel w maju i Vernon w czerwcu. Gdyby nie Tippy, która przysłała mi kreacje na każdą uroczystość, musiałabym wystąpić za każdym razem w tej samej sukni.

„Moja droga Jessico”, napisała w liście dołączonym do paczki nadanej z jej rozległego biura na Broadwayu w Nowym Jorku, „chcę zobaczyć zdjęcia ze wszystkich trzech uroczystości, na których za każdym razem nosisz inną suknię. Jak Cię znam, wiem, wyciągniesz jakąś starą szmatę z szafy i wystąpisz w niej na wszystkich trzech ślubach. Chłopcy muszą być z Ciebie dumni”.

Przecież i tak nikt nie zauważy, co ma na sobie stara, znękana babka pana młodego. Jednak poczułam się bardzo uhonorowana, kiedy Abel i Jeremy III poprosili, bym w czasie ceremonii siedziałam wraz z ich rodzinami, jako że jestem ostatnią z matron naszych klanów. Bess DuMont odeszła. To ja znalazłam jej ciało w ogrodzie, gdy wybrałam się do niej na kawę, na której miał też być Jeremy. Nasza trójka spotykała się co wtorek przed południem u każdego po kolei, który to zwyczaj wprowadziliśmy, odkąd wróciliśmy z podróży dookoła świata. Przyszłam nieco wcześniej i powiedziano mi, że Bess zrywa kwiaty, którymi chciała przystroić tacę z zastawą i francuskimi ciasteczkami,

ulubionymi łakociami Jeremy'ego. Znalazłam ukochaną przyjaciółkę obok koszyka z peoniami i lwimi paszczami, który musiała upuścić, upadając. Leżała z otwartymi oczami, jakby nagle postanowiła przyłożyć ucho do ziemi. Na ramieniu przysiadł jej motyl i trzepotał gorączkowo skrzydłami, zrozpaczony utratą filantropki, która tak dbała o jego ogród.

I tak dzwony zabiły również dla Bess.

Krótko potem Armand pojechał po ciało swego brata, Philippe'a, zabitego w strzelaninie ze złoczyńcami nazywanymi siebie Dziką Bandą, gangiem okrutnych przestępców działających pod wodzą niejakiego Billa Doolina. Philippe nadal pracował w Agencji Detektywistycznej Pinkertona i został wezwany do Oklahomy, by pomóc miejscowym władzom rozprawić się z bandą terroryzującą cały stan. Przytoczę słowa, które Armand wypowiedział na jego pogrzebie: „Cieszę się, że mamę zabrały anioły i nie musiała kłaść do grobu swojego syna. Zawsze powtarzała, że pewnego dnia zginie od broni, którą wojuje”.

Ten rok był również ostatnim dla mojej dawnej nemezis, Stephanie Davis. Lorimer odszedł wiele lat temu – „pękło mu serce, kiedy musiał dzierżawić własną ziemię sprzedaną nędzarzowi z Północy” – jak powiedziała Stephanie, a my, pozostali z taboru Willow Grove, rozumieliśmy jej słowa. Stephanie umarła w domu starców utworzonym dla coraz liczniejszych wdów zubożałych podczas wojny, do których bez wątpienia należała. Prowadzą go Siostry Miłosierdzia, a ja pracuję w nim raz w tygodniu, niosąc choć odrobinę pociechy jego mieszkankom. Przez długi czas przypomiinałam Stephanie to wszystko, co utraciła, i na mój widok odwracała się, z wolna jednak jej rozgoryczenie osłabło, gdy zdała sobie sprawę, że należę do tych nielicznych, którzy wciąż jeszcze pamiętają jej syna Jake'a i „stare dobre czasy”.

Wiele godzin spędziłyśmy, wspólnie wspominając Jake'a, Joshuę, nasz pobyt w Nowym Orleanie i późniejsze trudne lata w Teksasie.

Stephanie zostawiła mi podarunek – pudełko wspomnień, do którego gdyby nie ona, nigdy bym chyba nie sięgnęła. Zainspirowana nim zaczęłam porządkować materiał do historii rodzin założycieli Howbutker. Mam już siedemdziesiąt sześć lat i nie mogę sobie pozwolić na dalszą zwłokę. Sądziłam, że skorzystam też z tego, co o historii naszej

rodziny zebrała Priscilla, lecz ku zdumieniu Thomasa i mojemu, po rozwodzie zabrała to ze sobą. Thomas jest przekonany, że jego była żona ceremonialnie wszystko spali.

Tak więc dzwony głosiły śluby i pogrzeby, narodziny i śmierci 1893 roku. Jak wszystkie poprzednie lata, ten rok przyniósł ze sobą wiele dobrego, ale złego również. Do dobrych rzeczy należą szczęśliwe małżeństwa mojego syna i wnuka. Ich żony zdają się być dla nich wymarzone. Jacqueline Chastain jest chodzącym błogosławieństwem dla nas wszystkich; Darla wyłącznie dla Vernona. Gdyby mogła, odizolowałaby swojego męża od jego rodziny całkowicie, jest bowiem jedną z tych zaborczych kobiet, które pragną, by ich małżonkowie całą swoją uwagę skupiali wyłącznie na nich. Wie, że Vernon nigdy się na to nie zgodzi, pilnuje się więc przy jego ojcu, Jacqueline i mnie, jak również Warwickach i DuMontach, którzy dla mojego wnuka są drugą rodziną.

Zręczna z niej kobieta. Vernon nie posiadał się ze szczęścia, kiedy Darla zgodziła się z nim zamieszkać nie w domu przy Houston Avenue. Był przekonany, że wychowana w skromnych warunkach żona będzie chciała wieść życie w rezydencji, ona jednak go zapewniła, że póki są razem, może mieszkać gdziekolwiek. Jacqueline wstrzymała się od uwag, ale jestem przekonana, że podobnie jak ja doskonale zdaje sobie sprawę, iż pozornie pokorna Darla zwyczajnie nie chce dzielić się Vernonem z innymi mieszkańcami naszego domu, zwłaszcza z kobietami.

Cóż, trudno mieć do niej o to pretensje. Trzy kobiety pod jednym dachem, z których jedna jest potwornie zaborcza, zamieniłyby życie każdego mężczyzny w piekło. Szczerze mówiąc, odetchnęliśmy z Jacqueline z ulgą, gdy młodzi małżonkowie oznajmili, że chcą wynająć dom w Howbutker, jeden z należących do Armanda, zanim zdecydują, kiedy i gdzie wybudują własny.

Złą wiadomością jest finansowa panika, jaka pod koniec roku zapanowała w kraju. Biały człowiek nie potrafi wyciągać nauki z historii. Chciwość nie pozwala mu uczyć się na błędach, więc popełnia wciąż te same. Przyczyny paniki z 1893 roku są podobne do tych, które wywołały kryzys w roku 1837. Zbytńia rozbudowa kolei, budynków,

fabryk i doków, nadmierne wydobycie złóż i hodowla zbóż – wszystko za kredyty zaciągnięte pod niepewne obietnice przyszłych zysków – doprowadziły do załamania się rynków finansowych w kraju i za granicą. Jak można się domyślić, Somerset również na tym ucierpiała.

Dzięki Bogu za finansowy spryt Jeremy'ego, który w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat wciąż odznacza się wyjątkową przenikliwością w dziedzinie interesów i zrozumieniem ludzkiej chciwości. Ostrzegł Thomasa przed nadmiernym rozwojem i spekulacją w każdej dziedzinie gospodarki i doradził sprzedaż wszystkich akcji i udziałów przed kryzysem. Thomas go posłuchał i dzięki temu ma pieniądze na prowadzenie plantacji i pokrycie wydatków.

Co jednak nie oznacza, że możemy wydawać bez opamiętania. Somerset czeka wiele trudności. Krajowe i międzynarodowe rynki bawełny są obecnie zalewane z powodu nadmiernej produkcji, napędzanej łatwością transportu kolejowego, mechanizacją, poprawą upraw i technik rolnych. Egipt i Indie stały się konkurencyjnymi producentami bawełny, nam zaś jeszcze przez wiele lat będzie zagrażał kwiecień bawełniany.

Dołączyłam do pasjonatów nowego środka transportu, jakim stał się bicykl. Wystarczyło, że wspomniałam o tym Tippy, a ona natychmiast przysłała mi dwa stroje specjalnie zaprojektowane dla cyklistek. Spódnica fasonem przypomina pantalonki i mam wrażenie, że moje nogi tkwią w dyniach, ale w ten sposób łatwo się pedałuje. W każdym razie któregoś dnia jesienią wybrałam się swoim bicyklem do Somerset i na widok ciągnących się bez końca łąnów śnieżnobiałej bawełny prawie zamarło we mnie serce. Wiatr poruszał koronami rosnących wokół nich sosen i niemal poczułam dłoń Silasa pieśczośliwie gładzącą mnie po policzku. Ogarnęła mnie niewypowiedziana duma, gdy patrzyłam na owoce pracy mojego męża, syna i wnuka, i chociaż nigdy się nie modłę, wtedy błagałam Boga, by zachował tę ziemię dla przyszłych pokoleń Toliverów. Bez względu na prześladowającą ją klątwę, przez wszystko, co zostało dla niej poświęcone, Somerset na to zasługuje.

Tymi słowami kończę mój ostatni dziennik. Jako że czasu mam coraz mniej, odtąd poświęcę swoje pióro wyłącznie pisaniu *Róż*.

Rozdział 93

Thomas drgnął na widok adresu nadawcy na kopercie: Priscilla Woodward Toliver. List zaadresowany był do niego, nie do Vernona. Thomas miał za sobą pełen frustracji dzień i nie potrzebował dodatkowych zmartwień, które jeszcze bardziej popsułyby mu i tak już ponury nastrój. Czego Priscilla może chcieć? Więcej pieniędzy?

Zabrał list do swojego gabinetu, zanim go jednak otworzył, nalał sobie porcję szkockiej z wodą. Do licha, ludzie, których niby się znało, wciąż mogli zdradzić bądź zawieść. Dzisiaj pojechał na plantacje graniczące z Somerset, by ich właścicielom przedstawić plan Departamentu Rolnictwa zmniejszenia skutków szkód wyrządzonych przez kwieciaka bawełnianego. By nie dopuścić do rozmnażania się zarazy, doradzano, by natychmiast po zbiorach wypalać i orać ziemię, przez co chrząszcze nie będą miały gdzie hibernować, jednak powodzenie całej operacji zależało od współpracy wszystkich plantatorów. Kwieciaki mogą migrować na sąsiednie pola, żeby więc plan się powiódł, każdy farmer musi się zgodzić na wypalanie w tym samym czasie, co pozostali.

Ku zdumieniu Thomasa sąsiedzi na jego plan zareagowali niechęcią. Jacob Ledbetter, właściciel Fair Acres, plantacji między Somerset a należącą do Toliverów działką nad rzeką Sabine, wręcz udaremnił wysiłki Thomasa.

– Tyle pożarów jednocześnie zagrozi naszym domom, zabudowaniom gospodarskim i zwierzętom – powiedział. – Wystarczy, żeby wiatr powiał w złą stronę.

Jacob miał sporo racji, nie mieli jednak innego wyjścia, jeżeli chcieli w przyszłym roku mieć jakieś zyski ze zbiorów.

Drugi sąsiad Thomasa, Carl Long, nędzarz z Północy, który po wojnie w zasadzie ukradł plantację należącą do Paula Wilsona, przyjaciela Thomasa, spróbował go zaszantażować. Thomas musiał napić się szkockiej, by jej palący smak spłukał obrzydzenie, które odczuwał po spotkaniu z Carlem.

– Coś ci powiem, Thomasie. Kup ode mnie plantację i wtedy możesz sobie spalić wszystko do gołej ziemi. Inaczej się nie dogadamy.

Nie mam ludzi, żeby zrobić to, co proponujesz.

Thomas dużo by dał, by kupić ziemię Longa i najchętniej Fair Acres również, gdyby była na sprzedaż, po pierwsze jednak nie była, a po drugie, Thomas nie miał pieniędzy na zakup dodatkowych gruntów. Wściekły rozstał się z obydwojma mężczyznami. Carlem Longiem się nie przejmował, jednak jego stosunki z Jacobem Ledbetterem mogły ucierpieć, gdyby wypalił pola Somerset. Od samego początku, kiedy się tu osiedlili, Ledbetterowie pozwalali Toliverom dojeżdżać do ich ziemi nad Sabine przez Fair Acres, przewozić odziarniarke, olejarnię i cały potrzebny sprzęt. Jacob więcej im na to nie pozwoli, jeżeli Thomas zdecyduje się ratować swoją plantację, narażając jego.

Naprawdę do zakutych farmerskich łbów dotrzeć najtrudniej. Thomas pamiętał, jak przed wojną jego ojciec ostrzegał, błagał, klócił się z innymi, starając się odwieść ich od secesji – czy któryś go posłuchał? Później tego żałowali, nie słuchali jednak tak samo jak teraz. Plantatorzy pochowali głowy głęboko w piasek i nie dostrzegali, że kwiecień bawełniany stanowi dla nich dużo większe zagrożenie niż wszystkie siły zbrojne Unii. Raz jeszcze, zapewne jak zwykle na próżno, Toliver mógł szukać pomocy jedynie u władz Teksasu i sprawić, by wszystkim jednako nakazały wypalenie pędów bawełny i kukurydzy.

Thomas rozerwał kopertę i wyjął z niej pojedynczy arkusik papieru. W domu panowała cisza. Dzisiejsze popołudnie Jacqueline i jego matka spędzały na spotkaniu klubu czytelniczego, po którym miał się odbyć podwieczorek. „Thomasie”, pisała Priscilla, „muszę jak najszybciej się z Tobą zobaczyć. To sprawa niezmiernie ważnej. Czy mogę oczekiwać Cię w niedzielę? Przyślij, proszę, depeszę z odpowiedzią. Musisz przyjechać, Thomasie. Czas nagli”.

Thomas w zamyśleniu złożył kartkę. W niedzielę. Za trzy dni. Ostatnio widział Priscillę osiem lat temu, kiedy przeprowadzał ją do Houston. Otrzymała zaproszenie na ślub Vernona, nie pojawiła się na nim jednak. Thomas nigdy o nią nie pytał, a Vernon sam z siebie nic nie mówił. Vernon i Darla regularnie jeździli do Houston, on by odwiedzić matkę, ona ojca. Choć to dziwne, Priscilla i Barney Henley serdecznie się zaprzyjaźnili i z radością spędzali czas w swoim towarzystwie, grywając wieczorami w karty. Vernon i jego żona zdawali się lubić te

wizyty w Houston i nigdy się nie uskarżali na uciążliwy obowiązek.

Jacqueline na pewno namawiałaoby Thomasa, żeby pojechał. Nigdy by tego nie powiedziała na głos, ale niewątpliwie uznałaby, że ma obowiązek spełnić prośbę byłej żony. On również ponosił winę za rozpad ich małżeństwa, a przez osiem lat od rozvodu Priscilla nigdy o nic nie prosiła. Dostosowała się do warunków rozstania i znikła z jego życia po cichu i całkowicie.

Thomas miał złe przeczucia. Czego mogła chcieć Priscilla? I czemu tak go ponaglała? Lękał się spotkania z nią. Był pewien, że czas nie obszedł się z nią łaskawie, za co on po części czuł się odpowiedzialny. Mimo to za nic nie zamieniłby tych ośmiu lat, przez które mógł kochać i być z Jacqueline, na żadne wolne od winy sumienie. Z każdym rokiem jego miłość do żony się pogłębiała i mając już niemal sześćdziesiątkę na karku, z żalem myślał, że coraz mniej lat im zostało na cieszenie się wspólnym życiem.

Zadzwoił na służbę. Zjawiała się Sassie, której widok zawsze mu uświadamiał, jak szybko minęły przeszłe lata i równie szybko miną następne. Sassie miała dziewiętnaście lat, była zaręczona i w przyszłym roku planowała zamążpójście. Wydawało się, że nie dalej jak wczoraj dreptała za swoją mamą, Amy, która wtedy sama była dwudziestolatką.

– Sassie, kiedy wróci moja żona, powiedz jej, że udałem się na pocztę – powiedział Thomas.

Priscilla wystroiła się w najlepszą, choć straszliwie już niemodną suknię. Thomas nie zwracał uwagi na kobiecą modę, ale nawet on wiedział, że dzięki rozsądnym upodobaniom Tippy sztywne bufiaste spódnice zostały zastąpione przez plisy. Priscilla powitała go z chłodnym uśmiechem i uściskiem jeszcze chłodniejszej dłoni. Nie wygląda dobrze i straciła całą nadwagę, o której Vernon mówił Amy.

– Herbaty? – zaproponowała Priscilla, zasiadając w ciemnym salonie przy stole nakrytym do podwieczorku. Gestem zaprosiła, by Thomas uczynił to samo.

– Nie, dziękuję.

– W takim razie szkocka z wodą? – wskazała niedbale na komodę, do której za dawnych czasów podszedłby, żeby przed kolacją nalać sobie szklaneczkę trunku.

Wzruszyła go poufałość jej gestu.

– Owszem, chętnie się napiję – odrzekł.

Gdy usiedli w niedużym saloniku, on z kryształową szklanką w ręce, ona nad porcelanową filiżanką, zapytał:

– Priscillo, w jakiej sprawie życzyłaś sobie mnie widzieć?

Wieczornym pociągiem wracam do Howbutker.

Warga jej drgnęła.

– Nie oczekiwałam, że zostaniesz na noc, Thomasie, a jedynie żebyś przyjechał.

– No więc jestem. Czego chcesz?

Sięgnęła za siebie i z biblioteczki wyjęła oprawny w skórę tom niemal zbyt ciężki, by mogła go unieść.

– Proszę – powiedziała, podając mu książkę. – Prezent dla Vernona. Pożegnalny.

Thomas wziął książkę i wpatrywał się w wytłaczany złotymi literami tytuł: *Toliverowie: Historia rodu od 1836 roku*. Zerknął na Priscillę.

– A więc naprawdę ją skończyłaś?

– Dla zabicia czasu. Mam nadzieję, że Vernon zachowa ją dla potomności. Chcę, żeby poznał korzenie swojej rodziny. Tytuł nie jest może odpowiedni. Przytoczyłam historyczne fakty z początków Toliverów i Wyndhamów jeszcze w Anglii.

– Jak? Skąd wzięłaś potrzebne materiały? Gdzie je znalazłaś?

– Poza dziennikami twojej matki?

Thomas poczuł na twarzy falę gorąca.

– Nie o to pytałem, Priscillo – powiedział.

– Wiem – ustąpiła, przybierając łagodniejszy ton. – Korzystałam głównie z „New England Historical and Genealogical Register”. Zatrudniają genealogów, którzy tutaj i za granicą szukają zapisków i dokumentów zachowanych w kościołach, archiwach, na nagrobkach. Fotografie znalazłam w gazetach, a także albumach Warwicków i DuMontów, no i oczywiście u twojej matki.

– Na pewno się ucieszy – powiedział Thomas ochryplym głosem. Książka była wspaniałą kompilacją genealogii rodziny, map, zdjęć, anegdot, historii i danych, pięknie oprawioną. Zebranie i spisanie tego

wszystkiego musiało zająć lata. Pogładził z podziwem okładkę. – To musiało cię zdrowo kosztować.

Machnęła ręką, wskazując pokój, od lat zaniedbany.

– Pieniądze nie miały znaczenia. Sam widzisz, że wydaję niewiele na życie i potrzeby osobiste. Jak zapewne zauważysz, w drzewie genealogicznym jest miejsce do wypełnienia. Niedługo będziesz mógł w nim zapisać imię kolejnego Tolivera.

– Tak – powiedział Thomas, odchrząknąwszy. – Darla ma rodzić w przyszłym miesiącu.

– A Jeremy III i Abel również zostaną szczęśliwymi tatusiami, nieprawdaż?

– Tak, oni także. Jeżeli urodzą się synowie, chłopcy mają nadzieję, że połączy ich taka sama przyjaźń, w jakiej oni dorastali.

Po twarzy Priscilli przemknął wyraz tęsknoty. Thomas się domyślił, że wspomina dni, kiedy widziała, jak jej syn przyjaźnił się z dwoma synami Warwicków i DuMontów.

– To, co łączy Vernona, Jeremy’ego III i Abła, jest rzeczywiście godne pozazdroszczenia – przyznała. – Jak i ty mam nadzieję, że kolejne pokolenie również tego doświadczy.

– Czy chciałaś się ze mną zobaczyć właśnie z powodu książki, Priscillo? Jeśli tak, bardzo ci dziękuję. Na pewno będzie dla nas bardzo cenna. Ale naprawdę muszę się już zbierać.

Odsunął krzesło, ona jednak powstrzymała go uniesioną ręką.

– Jest coś jeszcze, Thomasie. Zaprosiłam cię, by powiedzieć ci coś, co naprawdę musisz wiedzieć.

Podejrzewał, że czymś jeszcze go zaskoczy.

– Cóż to takiego?

– Chodzi o Reginę, twoją córkę.

Rozdział 94

Poczuł ucisk w sercu.

– Reginę?

– Twoją córkę, Thomasie – powtórzyła Priscilla.

Wstał tak gwałtownie, że ręką trącił sitko na herbatę, brudząc adamaszkowy obrus brązowym płynem i listkami herbaty.

– Nie chcę rozmawiać z tobą o Reginie, Priscillo. Muszę iść. Nie odprowadzaj mnie.

– Nie chcesz usłyszeć, że cię okłamałam, mówiąc, kto jest jej ojcem?

Thomas z książką w ręce stał już niemal przy drzwiach. Znieruchomiał, po czym wolno się obrócił.

– Skłamałaś?

– Nie zrobiłabym tego, gdybym wiedziała, że się ze mną rozwiedziesz. Nigdy przez myśl mi nie przeszło, że zrobisz coś podobnego ani nawet, że rozważysz podobny manewr. Ludzie twojego pokroju się nie rozwodzą.

Thomas stał bez ruchu.

– To nie był manewr, Priscillo. Zrobiłem to, co należało z chwilą, kiedy przyznałaś się do cudzołóstwa.

Priscilla wstała od stołu, jak zauważył Thomas, nieco chwiejnie. Pod wciąż błyszczącymi niebieskimi oczami miała ciemne kręgi. Pomyślał, że jest chora albo to skutek życia w odosobnieniu, o którym dobitnie świadczyły ciemne zasłony, zapach stęchlizny i wrażenie, że zarówno słońce, jak i inni ludzie rzadko goszczą w jej domu.

– Chciałam cię zranić, jak najdotkliwiej – kontynuowała Priscilla, obchodząc stół i przytrzymując się go. – Wiedziałam, że do twojego zimnego serca mogę dotrzeć wyłącznie przez Reginę.

Thomas zacisnął szczęki.

– Nie wiem, na czym polega twoja gra, Priscillo, ale nie dam się w nią wciągnąć. Nic mnie nie obchodzi, czy spałaś z Duncanem. Nie ma znaczenia, kto był ojcem Reginy. Była moją córką w każdym znaczeniu tego słowa, nawet jeżeli nie z mojej krwi i kości.

– I kto teraz kłamie? – zapytała Priscilla. Spojrzenie miała

triumfujące. – Wiesz równie dobrze jak ja, że w nocy miotasz się, krzyczysz dręczony myślą, że córka, którą kochałeś, czciłeś i wielbiłeś, mogła być poczęta przez innego mężczyznę. Od dnia, w którym pamięć o niej została naznaczona myślą, że w jej żyłach może płynąć krew żołnierza Unii, wroga, z którym walczyłeś, Jankesa... że córka, której przypisywałeś najlepsze rodzinne cechy, mogła być Toliverem... Wyndhamem... nie bardziej niż ja.

Thomas z trudem przełknął, niezdolny ukryć bólu ściskającego mu gardło. Tak, przez te wszystkie lata od śmierci Reginy, jeszcze nawet teraz wspominając córkę, czuł żal połączony z tragiczną niepewnością, czy jego ukochane dziecko nie było jednak owocem lędźwi innego mężczyzny.

– Jeśli cię to ucieszy, Priscillo, to owszem, ma to dla mnie znaczenie – rzekł Thomas – i możesz odczuwać satysfakcję, że faktycznie udało ci się mnie zranić tam, gdzie mój ból nie mógł być większy.

Otworzył drzwi.

– Dlatego chciałam się z tobą zobaczyć, Thomasie. Żebyś poznał prawdę. Musisz mi uwierzyć – krzyknęła za nim znękanym głosem, gdy wyszedł do holu.

Thomas zdjął z wieszaka kapelusz.

– Niby czemu to takie ważne? – zapytał.

– Ponieważ umieram i chcę wszystko naprawić.

Zatrzymał się i obrócił, żeby na nią spojrzeć.

– Okłamujesz mnie, Priscillo?

– O tym niedługo się przekonasz – odparła, kręcąc głową ze smutkiem. – Thomasie, nie mam siły, żeby się z tobą kłócić. Możesz mi wierzyć lub nie. Spałam z Andrew Duncanem trzy razy, ale nie mogłam zająć wtedy w ciążę, więc Regina z całą pewnością była twoją córką.

Thomas wrócił do salonu, by z bliska spojrzeć na byłą żonę i zobaczyć, czy rzeczywiście nie kłamie. Z Priscillą nigdy nie było wiadomo, ale widział, że bezsprzecznie dręczy ją choroba. Zauważył, jak bardzo jest blada, ma głęboko zapadnięte oczy, wychudłe policzki. Zrobiło mu się jej żal, lecz współczucie nie pozwoliło zapomnieć, że wciąż zdolna jest go oszukać.

– Skąd mam wiedzieć, że tym razem mówisz prawdę? Że to...
wyznanie ma cię oczyścić z obrzydliwości, których nagadałaś i teraz ich
żałujesz?

Priscilla ze znużeniem przymknęła oczy.

– Myśl sobie, co chcesz. Powiedziałam, co miałam do
powiedzenia. Możesz mi wierzyć lub nie. Masz teraz na pociechę
Jacqueline – wymówiła jej imię z obrzydzeniem. Ostrożnie i powoli
podeszła do dzwonka, po czym osunęła się na krzesło, tonąc w obfitej
spódnicy na krynolinie. – A teraz musisz już odejść, żebym mogła
przyjąć lekarstwo na uśmierzanie bólu. Moja dziewczyna doskonale wie,
jaką powinnam zażyć dawkę.

Thomas stał z książką pod pachą i kapeluszem w ręce. Nie
wiedział, co myśleć. Wierzyć jej czy nie? Żałował, że nie postarała się
bardziej, by rozwiać jego wątpliwości. Czy naprawdę była umierająca?
Ona, matka jego syna?

– Priscillo – odezwał się. – Ja... Czy faktycznie mówisz mi
prawdę... we wszystkim?

– Powiedziałam wszystko, co chciałam, żebyś usłyszał, Thomasie.
Nic więcej nie jestem ci winna. Od ciebie zależy, co z tym zrobisz.
A teraz wyjdź.

– Przykro mi, że tak się kończy twoje życie...

Priscilla zbyła jego wyrazy współczucia machnięciem ręki.

– Żałuję tylko tego, że nie wyszłam za kogoś, kto doceniłby mnie
tak, jak major Andrew Duncan.

– Mnie również jest z tego powodu przykro – powiedział Thomas.

– Ale byłam dobrą matką i urodziłam trójkę pięknych dzieci.

– To prawda, Priscillo. Tego nikt nie może ci odmówić.

– Przyślij do mnie Vernona. Powiedz, żeby przyjechał jak
najszybciej, ale bez żony. Uczyni go najszczęśliwszym mężczyzną na
świecie, ale inni niech się jej strzegą.

– To samo mówi moja matka.

Priscilla uśmiechnęła się kwaśno.

– Stara, dobra Jessica. Jej nikt nie zwiedzie.

Weszła służąca, niosąc tacę z lekami, i podeszła prosto do swojej
pani, siedzącej niespokojnie na fotelu pod oknem. Dziewczyna postawiła

tacę na stole i szczerzej zaciągnęła zasłony, broniąc dostępu promieniom popołudniowego słońca. Salon pogrążył się w jeszcze głębszym mroku. Priscilla zamknęła oczy, jakby zapomniała o obecności Thomasa. Kiedy służąca odkręciła fiolkę, Thomas podszedł i ucisnął dłoń Priscilli. Nie zareagowała. Obrócił się do wyjścia i wtedy odezwała się, nie otwierając oczu.

– Tylko w jeden sposób możesz zdobyć pewność, że Regina była twoją córką, Thomasie.

Zatrzymał się w pół kroku.

– Jak?

– Przeczytaj historię – powiedziała Priscilla i otworzyła szeroko usta, żeby służąca mogła jej podać łyżeczkę z płynnym lekiem na sen.

Rozdział 95

Był wczesny wieczór, kiedy Thomas wrócił do domu. Czekala na niego ciepła kolacja, on jednak nie miał na nią ochoty, uściskał tylko długo i czule Jacqueline, po czym udał się do matki, niosąc napisaną przez Priscillę historię Toliverów. Gdy jechał zamknięty w przedziale pierwszej klasy, wpatrzony w mrugające światła mijanych domów, wspominał przeszłość. Oczami wyobraźni ujrzał, jak Priscilla skarży mu się, że jego matka bardziej troszczy się o swoich wnuków niż o Reginę. Uznał to za niedorzeczność. Jego matka kochała wszystkie swoje wnuki jednakowo. Po prostu miała więcej doświadczenia w wychowaniu chłopców i w ich obecności czuła się swobodniej. Skupiony na innych rzeczach, jak głupiec nigdy się nie zastanawiał nad lekką rezerwą, z jaką matka traktowała Reginę. Widział tylko, jak piegowata twarzyczka córki rozpromienia się na widok babci. Kolejne obrazy z przeszłości potwierdzały niepokój Priscilli, on jednak aż do dzisiaj był na nie ślepy. Powinien był się wszystkiego domyślić, kiedy Priscilla wyznała, że czytała dzienniki jego matki, by się przekonać, czy wiedziała o jej romansie z majorem.

Zimny dreszcz przeszedł Thomasa, gdy sobie uświadomił, że od dnia narodzin Reginy jego matka podejrzewała, że wnuczka jest dzieckiem Andrew Duncana. Podejrzewała, bo przecież pewności nie miała jak zdobyć. Thomas przez te wszystkie lata żył z niepewnością co do pochodzenia swojej córki, która była niczym odłamek, który utkwiał w tkankach w jakimś niedosięglym miejscu. Pogodził się z tym, trudno mu jednak było żyć z nękającym go palącym bólem. Matka musiała mu wyznać, co wie. Chciał wierzyć Priscilli – rozpaczliwie chciał – lecz wątpliwości mogła rozwiać tylko Jessica, dając mu jakiś dowód, że jego córka była krwią z jego krwi, kością z kości. Priscilla miała rację – Jessiki nic nie mogło zwieść.

Otworzyła mu co prawda ubrana do snu, lecz najwyraźniej jeszcze się nie położyła, tylko piła wieczorną czekoladę. Spojrzała na syna zdziwiona.

– O co chodzi?

– Muszę z tobą porozmawiać, mamo.

– Wysłucham cię z przyjemnością.

Thomas nigdy nikomu nie powiedział, że Priscilla przyznała się do cudzołóstwa i zaprzeczyła, że on jest ojcem Reginy. Przez osiem lat trzymał swój ciężar w tajemnicy przed wszystkimi, jednak dłużej nie mógł cierpieć bólu samotnie.

– Od początku wiedziałas o jej romansie z Duncanem, prawda? – zapytał, gdy już wyjaśnił, dlaczego rozwiódł się z Priscillą i dodał, że teraz przyznała się do kłamstwa.

– I zapewne się zastanawiasz, czemu ci o tym nie powiedziałam – odparła Jessica. – Czy wyszłoby to komuś na dobre, synu? Poza tym miałam tylko swoje podejrzenia. Nigdy nie zdobyłam pewności.

– Ale traktowałaś Reginę tak, jakbyś zdobyła.

Lekki rumieniec, który wypłynął na policzki Jessiki, dowodził, że odczuwa z tego powodu wstyd.

– To prawda i mam nadzieję, że mi to wybaczysz. Wtedy byłam pewna, że jej ojcem jest Andrew Duncan, a teraz jestem równie pewna, że nie.

– Dlaczego? Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

Jessica odłożyła na stolik tom z historią Toliverów, który przeglądała. Thomas pomyślał, że zrobiła to celowo, żeby się zastanowić, jakich słów użyć. Matka nie miała zwyczaju mówić o poważnych rzeczach, nie przemyślawszy wpierw wszystkiego dokładnie.

– Nie ma znaczenia, skąd wiem – odparła, uśmiechając się przelotnie. – Może to tylko babcina intuicja, ale Priscilla dała ci wszystkie potrzebne dowody. Możesz odzyskać spokój.

– Chcesz powiedzieć, że powinienem jej wierzyć?

– O tak, synu. Priscilla powiedziała ci prawdę.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– W takich sprawach, mój drogi, prawdę poznasz tylko dzięki znajomości człowieka. Wiesz, że Priscilla nienawidzi tak, jak potrafi tylko urażona kobieta. Gdyby Andrew Duncan był ojcem Reginy, po co miałyby uwalniać cię od cierpienia? Nie martwiła się o ciebie, lecz o swoją nieśmiertelną duszę. Czy wyobrażasz sobie, że mogłaby umrzeć ze świadomością, że ma na sumieniu tak ciężkie kłamstwo? Sądzisz, że

Priscilla ma w sobie aż tyle odwagi? Jestem pewna, że ma nadzieję, iż jej nie uwierzysz i do końca swoich dni będziesz żył w cierpieniu, ona jednak oczyściła się przed Stwórcą i tylko to się dla niej liczy. Uwierz jej, synu, i jako ojciec ciesz się wspomnieniami o swojej córce.

Thomas przyglądał się matce. Nigdy nie zdobędzie namacalnego dowodu, że córka spoczywająca w grobie obok jego syna była owocem jego lędźwi, gotów był jednak uwierzyć logice żywej legendy, siedzącej teraz naprzeciwko niego. Matka nigdy go nie zawiodła. Co więcej, miała pewność, że Regina była jego dzieckiem, i to mu wystarczało. Poczł się jak człowiek, który żywcem pogrzebany nagle wciąga do płuc świeże powietrze. Bliski łez wstał i nachylił się, by pocałować w policzek kobietę, która dała mu życie. Oczywiście, że jej wybaczył. Dłużej niż on cierpiała, żyjąc w niepewności co do pochodzenia Reginy, a teraz musiała żałować, że najlepszej z Toliverów nie kochała tak, jak na to zasługiwała.

Otarł łzę z policzka.

– Dziękuję, mamó. Śpij dobrze. Bo ja na pewno będę spać wyśmienicie.

– Skąd ten pośpiech, synu? Dokąd się wybierasz o tej porze?

Thomas wziął oprawną w skórę księgę.

– Do Vernona. Muszę go powiadomić, że jego matka jest umierająca.

Jessica słuchała oddalających się kroków Thomasa i cieszyła się, że choć ma on do spełnienia ponurą misję, stąpa lżej i zwawiej. Wdzięczna była losowi, że pozwolił jej dożyć chwili, w której mogła ulżyć synowi w cierpieniu, choć przez te wszystkie lata nawet nie miała o nim pojęcia. Wdzięczna też była, że udało się jej dowód na pochodzenie Reginy przypisać Priscilli. Thomas jej uwierzył i jego matka nie musiała żyć dłużej w lęku przed rozmową, która być może ją czekała, gdyby domagał się prawdy, w którą ona wierzyła.

Od dawna wiem, że Regina była twoją córką, Thomasie. Któregoś dnia Tippy powiedziała mi, że nadejdzie chwila, gdy się przekonam, że jest twoja, z krwi i kości.

Jak się tego dowiedziałaś?

Ponieważ Regina umarła, synu. Gdyby była córką innego, żyłaby.

Na szczęście jednak nigdy do takiej rozmowy nie dojdzie. Jako matka nigdy nie rozwiązałaby wątpliwości syna, obciążając go winą. Dzięki Priscilli mogła się uciec do rozsądku, jedyne go języka zrozumiałego dla Thomasa.

Priscilla wskazała mu kierunek, mówiąc, żeby przeczytał historię Toliverów. Dowód miał tuż przed oczami w drzewie genealogicznym, jednak Thomas tego nie widział. Jej syn nie wierzył w klątwę, ale Priscilla tak.

Osiem lat temu, w dniu, w którym przywieźli do domu ciało Reginy, Vernon przyszedł do pokoju Jessiki zapłakany z żalu po siostrze i smutku, że małżeństwo jego rodziców skończyło się nieodwracalnie. Chciał wiedzieć, o jakiej klątwie mówiła jego matka. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata i był niezwykle przystojny, jednak rozpacz uczyniła z niego na powrót małego chłopczyka, który wdrapywał się babce na kolana, kiedy potrzebował „osłody”, jak mawiała Amy.

Jessica opowiedziała mu, skąd się wzięła wiara w klątwę, i zobaczyła, jak na twarzy wnuka pojawia się sceptycyzm.

Kiedy skończyła, Vernon podsumował jej słowa:

– Jeżeli dobrze rozumiem, babuniu, ten... urok rzucony na Somerset zaczął się, kiedy mój dziadek ożenił się z tobą, zamiast z kobietą, której przyrzekł małżeństwo, i przez to umarł jego syn, a ty po tacie nie mogłaś mieć więcej dzieci?

Jessica musiała przyznać, że trochę to naciągana teoria, tym bardziej że podobne tragedie nie oszczędzały innych rodzin, lecz przecież umierały też dzieci Thomasa.

– Dlatego, że mój ojciec ożenił się z moją matką z takich, a nie innych powodów? – zapytał z niedowierzaniem Vernon.

– Twoja matka jest o tym przekonana.

Vernon z widoczną ulgą wydał policzki. Młodzi łatwo mylili proste wyjaśnienie z odpowiedzią na dręczące ich pytania.

– Dziękuję, że mi powiedziałaś. Moja biedna matka jest zrozpaczona, do czego ma pełne prawo. – Wstał wyraźnie usatysfakcjonowany i uśmiechnął się do Jessiki przez łzy. – Jak powiedział Arystoteles, którego nam czytałaś: „Jedna jaskółka wiosny nie czyni”. Dlatego uważam, że te wszystkie śmierci, do których doszło

w dwóch pokoleniach, chociaż można traktować je jako konsekwencje dwóch zawartych z niewłaściwych powodów małżeństw, nie muszą być regułą... czy klątwą. Ale na wszelki wypadek – dodał – w trzecim pokoleniu nie powtórzę grzechów przodków. Ożenię się z kobietą, którą kocham.

Kiedy wychodził, obejrzał się jeszcze z uśmiechem, którym tak bardzo przypominał babce Silasa. Thomas z wiekiem przybrał na wadze i Jessica w nieco przyciężkawej figurze syna widziała wpływ Wyndhamów, lecz sylwetka Vernona, tak samo jak jego dziadka, do końca pozostanie szczupła i zgrabna, jako dziedzictwo arystokratycznych przodków.

– I jeszcze jedno, babuniu – powiedział Vernon na odchodnym. – Może ta kobieta w Karolinie Południowej, z którą dziadek miał się ożenić, była nie wiadomo jaka cudowna, ale dobrze zrobił, że wybrał ciebie.

Na wspomnienie tamtych słów Vernona Jessice robiło się ciepło na sercu, pamiętała też ulgę, jaką odczuła, kiedy sobie poszedł. Bała się, że Vernon zapyta, czy ona sama wierzy w klątwę. Dwa tygodnie później na grobie Reginy Elizabeth Toliver McCord stanął kamień nagrobny, a Jessica złożyła u jego stóp kosz czerwonych róż.

Rozdział 96

W odstępie zaledwie kilku tygodni żony Vernona, Jeremy'ego III i Abła powiły zdrowych, ważących po cztery i pół kilograma chłopców. Działo się to jesienią 1895 roku. Darla zażyczyła sobie, żeby jej syn nosił imię Miles po jej dziadku, a Vernon przystał na to bez sprzeciwu. Chłopiec w niczym nie przypominał nikogo z jego rodziny, miał za to wysokie czoło i raczej spiczasty nos po dziadku ze strony matki i innych Henleyach, których Vernon znał z fotografii. Syn Jeremy'ego III został nazwany Percy po angielskim przodku, zaś Abel DuMont z żoną dali swemu potomkowi imię Ollie.

Trójka malców natychmiast przypadła sobie do gustu, podobnie jak ich matki. Vernon cieszył się niezmiernie, że Darla polubiła żony jego najbliższych przyjaciół i ich towarzystwo. Martwił się, że będzie czuła się gorsza od absolwentek szkoły dla panien z dobrych domów, pochodzących z bogatych rodzin. Żona Jeremy'ego III, Beatrice, była pełną życia dziewczyną z Atlanty, jej ojciec posiadał flotyllę statków handlowych. Abel ożenił się z zalotną debutantką i spadkobierczynią fabrykanta z Williams-burga w Wirginii. Wszyscy mówili na nią Pixie.

Wiele było rzeczy, których inne kobiety mogły zazdrościć Beatrice i Pixie. Ich mężów stać było na wszystko, co najlepsze, a zresztą same dysponowały okazałymi fortunami. Ojciec Beatrice w prezencie ślubnym podarował młodemu nowy dom. Rodzinę Warwicków poznał na uroczystościach przedślubnych i uznał, że w Warwick Hall, choć obszernym i wystawnym, panuje zbyt duży tłok, by jego córka zaczynała w nim małżeńskie pożycie. W magnackiej rezydencji mieszkali członkowie trzech pokoleń: Jeremy Senior, jego dwaj synowie, Jeremy Junior oraz Stephen z żonami i czterej nieżonaci wnukowie patriarchy, z których jednym był Jeremy III. Fabrykant uznał, że jego córka zginie w natłoku tak wielu Warwicków i nie będzie miała zbyt wiele do powiedzenia w prowadzeniu domu.

Zburzono przedwojenny dom przy Houston Avenue i w jego miejsce postawiono imponującą nową rezydencję. Zainstalowano w niej każde możliwe nowoczesne udogodnienie. Dwupiętrowy dom z kolumnami miał toalety ze spłuczką, bieżącą wodę i elektryczność. Na

wystroju, meblach i ogrodzie nie oszczędzono ani grosza.

Abel i Pixie postanowili zamieszkać w rodzinnym *chateau* wraz z Armandem, któremu rok wcześniej rak zabrał żonę, i Jeanem, jego drugim synem, który nigdy się nie ożenił. Pixie jako jedyne dziecko nieżyjących już rodziców powiedziała, że z radością zostanie „królową w domu pełnym mężczyzn”.

Jej poddani wielbili ją i pozwalali dyrygować wszystkim wedle własnego uznania. W pierwszej kolejności z niezwykłą delikatnością postanowiła ożywić dom. Śmierć matki Armanda, Bess, a rok później jego żony położyła się cieniem na rodzinnej siedzibie. Przed ich odejściem, przez pamięć Henriego, całymi latami nie zmieniono nawet jednej makatki. Pixie z wyczuciem zaczęła usuwać wszystko, co przypominało o chorobie i śmierci. Ciemne zastąpiła jasnym, stare nowym, przestarzałe nowoczesnym – cały czas zachowując szacunek dla gustu poprzednich pań domu. Osiągnęła wspaniały, pełen uroku i piękna efekt, czym rozczuliła Armanda niemal do łez.

– Wreszcie znowu oddycham swobodnie w swoim starym domu – powiedział.

Warwickowie i DuMontowie mogli sobie pozwolić na wystawne życie. Ich rodziny należały do najbogatszych w stanie, choć nie obnosiły się z tym. Drewno stało się największym i najbardziej lukratywnym źródłem dochodu w Teksasie, zaś Dom Towarowy DuMont prawdziwą mekką, do której zjeżdżali klienci z całego stanu. Zbliżał się koniec złotej ery w Ameryce, czasu niespotykanego wcześniej konsumpcjonizmu, nakręcanego rozwojem kolei, finansów, fabryk, handlu, nowych wynalazków, komunikacji oraz wydobywaniem ropy naftowej. Chociaż Teksas, jak i całe Południe, nie korzystał z kwitnącej gospodarki w takim samym stopniu jak reszta kraju, możliwości jego finansowego rozwoju były praktycznie nieograniczone. Tylko rolnictwo borykało się z trudnościami. Susze, szkodniki, niskie ceny bawełny i niebotyczne ceny transportu kolejowego zaczęły pożerać wszystkie zyski Somerset.

W chwili ślubu Vernon miał nadzieję zapewnić żonie wszystko, czego zapagnie, ponieważ nie marzyła i nie prosiła o nic poza jego miłością i atencją, czym szczerze i chętnie ją obdarzał. Ku jego

zdumieniu – ponieważ nie wiedział, jak Darla zareaguje na wieść o stanie jego finansów – żona z godnością pogodziła się z faktem, że jednak nie wyszła za człowieka majątnego.

– Na razie nie wiecie nam się tak, jak zwykle Toliverom – powiedział jej Vernon – ale koło fortuny się obróci i kiedyś znowu będziemy pławić się w bawełnie. Dosłownie.

Trzeba będzie poczekać dobrych kilka lat, zanim Somerset zacznie przynosić zyski, jakie zapewniły Toliverom fortunę, ale Vernon i jego ojciec wierzyli, że los się do nich uśmiechnie. Ilekroć otwierali „The Farmer’s Manual and Complete Cotton Book”, czytali o nowych zastosowaniach bawełny i jej nasion, a konkurencja na amerykańskim rynku malała w miarę, jak inni farmerzy przerzucali się na inne uprawy. Vernon i jego ojciec jakoś sobie już radzili z zarazą kwieciaka bawełnianego dzięki bardziej wydajnej hodowli, stosowaniu nawozów sztucznych, które przyspieszały dojrzewanie odmian o krótszych włóknach, i wcześniejszemu zasiewowi pól położonych dalej od mokradeł i lasów, w których chrząszcze miały lepsze warunki rozwoju. Na froncie politycznym Kongres rozpoczął wprowadzanie przepisów antymonopolowych, by zmusić koleje do obniżenia kosztów frachtu, co przysłuży się farmerom. Vernon obiecywał, że jeżeli Darla będzie cierpliwa, niedługo zacznie ubierać się w najpiękniejsze kreacje, jakie ma do zaoferowania Dom Towarowy DuMont, i rzecz jasna z czasem zamieszkają wreszcie w rezydencji przy Houston Avenue.

Na co jej cierpliwość, mówiła Darla, trzepocząc gęstymi rzęsami i przyciągając do siebie Vernona, by mógł ją pocałować. Tutaj, w ich kochanym małym domku, wraz z mężem i synkiem miała wszystko, czego było jej trzeba do szczęścia.

Vernon nie mógł uwierzyć, jak cudowna żona mu się trafiła i jakie dała mu szczęście. Kilka lat trwało, zanim się zorientował, z jaką determinacją nie pozwalała, by ktokolwiek ją przewyższył. Poza urodą, z którą żadna inna nie mogła konkurować, z pozoru z nikim nie starała się rywalizować. Dla najbliższych przyjaciół skromne środki Toliverów nie były tajemnicą, tym bardziej więc Darla starała się dowieść, że choć ma tak niewiele, nie jest gorsza od Pixie i Beatrice, które mają wszystko.

Niebywale gospodarna – „bo dorastała w biedzie”, jak powtarzała

– potrafiła z niczego zrobić istne cuda. Niczym kulinarna czarodziejka z tanich składników komponowała posiłki, które wzbudzały ochy i achy tych, których stoły uginały się od frykasów. Tkaniny do domu i na stroje kupowała w składzie w Marshall, do którego handlowcy tacy jak Armand odsyłali bele z poprzedniego roku i gdzie sprzedawano je po obniżonych cenach. Chwalona za piękne zasłony i kreacje, które mogły rywalizować z sukniami noszonymi przez największe elegantki, nie wstydziła się, że wszystko to tworzyła swoimi małymi rączkami, „przy pomocy Isaaca Singera”, czyli maszyny do szycia.

Do posługi miała dwie dziewczyny, z których jedną była Sassie, pomagająca jej przy małym Milesie. Dwie pokojówki nie były w stanie utrzymać domu w nienaganej czystości, jakiej Darla wymagała, wobec tego, zapominając o dumie, „pani harowała niczym marynarz wylewający wodę ze statku”, jak Sassie donosiła Amy.

Każdy, kto odwiedzał jednopiętrowy dom wynajmowany przez Vernona Tolivera, wydawał okrzyki podziwu, widząc, że wszystko w nim lśni i emanuje spokojem i harmonią.

Vernon czasem dziwił się przelotnie obsesyjnej potrzebie żony udowodnienia, że przy tak mizernych środkach potrafi niemal dorównać swoim bogatym przyjaciółkom. Nigdy żaden z Toliverów, Warwicków czy DuMontów nie starał się nikomu zaimponować. W przyjaźni nie miało znaczenia, jak się człowiekowi powodzi i czym się zajmuje. Vernon był wdzięczny, że Jeremy III i Abel mieli żony, które doceniały i wspierały ich bliskie więzi, nie mając przy tym w sobie nic z pretensjonalności.

Vernon wierzył, że Darla tak bardzo się stara, by on mógł być z niej dumny. Nigdy nie chciała, by choć przez moment żałował, że nie ożenił się z jakąś ładniejszą czy bogatszą. Każdego dnia i każdej nocy dawał jej dowody, że lepszej żony nie mógł sobie wymarzyć. Żadna inna kobieta na ziemi nie byłaby w stanie sprawić, by we własnym domu, wśród przyjaciół i w towarzystwie czuł się bardziej po królewsku.

Dostrzegał jednak dwie chmury zbierające się nad jego domowym szczęściem. Pomimo jego usilnych starań Darla wciąż nie mogła ponownie zajść w ciążę, podobnie było jednak z Pixie i Beatrice, dzięki czemu Vernon nie musiał nawet przelotnie się zastanawiać, czy jednak

kłątwa Toliverów nie dotknęła również jego. Martwił go też syn. Miles miał już cztery lata. Dla Vernona w jego wieku szczytem szczęścia były całe dni spędzane z ojcem w Somerset. Uwielbiał, gdy czarni robotnicy go rozpieszczali, uwielbiał jeść arbuzy prosto z grządki i bawić się z czarnymi dziećmi, najwspanialsze jednak były chwile, gdy siedząc wraz z ojcem na jego koniu, jechał na pola. Tak samo kiedyś było z jego ojcem. Jednak każda wizyta Milesa na plantacji kończyła się jego płaczem i atakami hysterii ledwie kilka minut po tym, jak Vernon zdejmował go z wozu. Każda próba zabawienia chłopca wywoływała lawinę skarg i zawodzenia. Nie lubił dosiadać konia. Konie go przerażały. Zabawy dzieci robotników były zbyt brutalne. Świnie i kozy śmierdziały. Słońce świeciło za mocno. Muchy i komary mu dokuczały. Był głodny. Nudził się. Chciał wracać do domu.

– Jest jeszcze za mały, żeby czuł do plantacji to, co ty – mówiła Darla. – Daj mu trochę czasu.

Vernona jednak prześladowało niemiłe przeczucie – być może nieuzasadnione – że czas niczego nie zmieni i jego syn nigdy nie pokocha ziemi tak, jak on. Darla obojętnie podchodziła do codziennego mozołu i rutyny, których wymagała plantacja, z takim poświęceniem założona przez Silasa Tolivera i zachowana przez jego syna, Thomasa. Gdy Vernon próbował dzielić się z nią codziennymi troskami, z których składało się jego życie, Darla słuchała uprzejmie, ale bez zbytniego zainteresowania. Vernon zaczynał podejrzewać, że Miles wdał się w matkę. Co się stanie z Somerset, jeżeli jego syn, jak na razie jedyny potomek, nie pójdzie w ślady swoich przodków?

Z czasem jednak chmury ustąpiły. Darla oznajmiła, że jest w ciąży.

Rozdział 97

– Darla ma nadzieję, że to będzie syn – powiedziała Jessica do Jeremy’ego.

– Byłoby miło, gdyby urodziła się dziewczynka – odparł Jeremy. – Wnoszą dużo świeżości. A co myśli o tym Vernon?

– Nie miałyby nic przeciwko córce, ale nasze dziewczynki niestety umierają.

– Ach – powiedział Jeremy, swoim zwyczajem kwitując słowa, które nie wymagały dalszej dyskusji.

Jessica nauczyła się rozpoznawać jego różne emocje, tak jak on czytał wszystko z ruchu jej brwi.

– Vernon wyznał mi kiedyś, że jeżeli urodzi mu się dziewczynka, chciałby, żeby mówiła do niego tatusiu – rzekła Jessica. – Nie podoba mi się, że Miles mówi do niego papo, ale tak życzy sobie Darla.

– Ach – powtórzył Jeremy.

– Otóż to – zgodziła się z nim Jessica.

Znowu nastąpiła jesień. Do końca wieku zostały trzy miesiące. Na to wydarzenie czekał cały naród i o nim właśnie wcześniej dwójka przyjaciół gawędziła w altanie. Jessica poinformowała Jeremy’ego, uwielbiając dzielić się z nim tym, co ostatnio czytała, że puryści za początek nowego wieku uważają datę 1 stycznia 1901 roku, ponieważ w kalendarzu gregoriańskim lata stulecia liczy się od 1 do 100. Cieszyła się, że pragmatycy nie idą w ich ślady i za starożytnymi astrologami liczą lata od 0 do 99. Ona mogłaby nie dożyć 1901 roku, by powitać nowe stulecie.

– Jess, proszę cię... – rzekł Jeremy ostrzegawczo.

– Stwierdzam tylko fakt, Jeremy. Stare ciało już się zużyło, o czym przypomina mi każdego ranka, kiedy wstaję z łóżka.

– Tak, ale... – Jeremy zmienił ułożenie nóg, najwyraźniej niezbyt zachwycony, że Jessica wspomina o nieuniknionym.

Zacząła więc mówić o czymś innym. Dostała listy od Sary Conklin i Tippy. Izba Handlowa zdecydowała o wyborze Sary na bostońską Kobietę Stulecia, Tippy zaś wprowadzała nową linię damskich strojów dla pań w awangardzie – kobiet, które zamierzają być społecznie

użyteczne i osobiście niezależne.

– „Wygodne, praktyczne i estetycznie ujmujące” – zacytowała Jessica słowa, którymi Tippy opisała swoje nowe projekty, co Jeremy skwitował kolejnym „Ach”. Jessica przeszła wreszcie do kwestii, z której powodu pragnęła się z nim zobaczyć. Sięgnęła po nieduże jubilerskie puzderko, które przyniosła ze sobą do altany.

– Jeremy, mój kochany, czy mogę cię prosić o przysługę?

– Każdą, Jess, przecież wiesz.

– Czy zechciałbyś to dla mnie sprzedać?

Jessica uniosła pokrywkę puzderka, w którym leżała szmaragdowa broszka, prezent od ojca na jej szesnaste urodziny. Wieloletni przyjaciel ze zdumieniem rozpoznał klejnot.

– Jess! Tę broszkę nosiłaś, kiedy cię poznałem! – wykrzyknął.

– Masz dobrą pamięć, Jeremy.

– Jakże mógłbym zapomnieć?

Przez chwilę Jessice się zdało, że dostrzega w jego oczach łzy. Odwróciła wzrok na broszkę, która w porannym świetle zapłonęła zielonym blaskiem.

– Nigdy więcej jej nie założyłam – powiedziała w zadumie. – Trzymałam ją jak mały skarb. Powinnam dostać za nią sporą sumkę, pod warunkiem że sprzedażą zajmie się ktoś znający się na rzeczy.

– Dlaczego, na litość boską, chcesz ją sprzedać?

– Potrzebne mi są pieniądze na wydanie *Róż*. Nie mam aż tyle, a żaden wydawca nie zapłaci za przywilej wydania historii naszych rodzin. Kto chciałby ją kupić? A z powodów oczywistych nie mogę w tej chwili prosić Vernona o pieniądze.

– Ach, Jess... – Jeremy wyjął broszkę z pudełeczka i przyjrzał się jej z zachwytem. – Jest taka piękna, niezwykle rzadka. Pięknie w niej wyglądałaś tamtego dnia, na swoim przyjęciu urodzinowym. Zatrzymaj ją i pozwól, bym ja dał ci pieniądze na wydanie książki.

– Nie, mój drogi. Silas by sobie tego nie życzył. Wiesz przecież, że on, Henri i ty umówiliście się, że nigdy nie staniecie się swoimi dłużnikami ani wierzycielami. Dzięki temu tak dobrze nam się układa. Poza tym nie chcę, żeby po mojej śmierci Darla i Jacqueline zaczęły się o tę broszkę spierać. Znajac Jacqueline, oddałaby ją Darli, a ja raczej

wolałabym ją zakopać. Sprzedasz ją w moim imieniu?

– Oczywiście, że tak. Znam człowieka, który kupi ją za tyle, ile jest warta.

– I jeszcze jedno...

– Tak, Jess?

– Nie wolno ci dołożyć do tej sumy ani centa. Obiecujesz?

– Obiecuję, Jess.

Następnego ranka udał się pociągiem do Houston. Przy każdej okazji popierał miejscowych kupców, tym razem jednak wolał zachować dyskrecję i anonimowość. Jechał do sklepu, w którym zawsze kupował rzadkie klejnoty na prezenty dla swojej żony. Gdy nadszedł czas, by rozporządzić biżuterią po Camellii, nie miał podobnych dylematów jak Jessica. Wszystko dostały jego dwie synowe, a teraz żona Jeremy'ego III, Beatrice. Camellia byłaby dumna, widząc, że jej kolekcję noszą kobiety, z którymi ożenili się jej mężczyźni. Pod każdym względem Jeremy mógł się uważać za prawdziwego szczęściarza.

Bliźniacy Thane i Thaddeus Oppenheimerowie prowadzili sklep jubilerski odwiedzany wyłącznie przez bogaczy. Thane sprzedawał, Thaddeus kupował. Właśnie z nim chciał się teraz Jeremy widzieć, o czym poinformował elegancko ubraną dziewczynę, która spojrzawszy na jego wizytówkę i wytworny strój, natychmiast zaprowadziła go do pracowni na tyłach sklepu.

– Wielki Boże, jest doprawdy wyjątkowa! – wykrzyknął Thaddeus, oglądając broszkę przez lupę, niewielkie ręczne szkło powiększające, jakiego używali jubilerzy, by ocenić jakość klejnotu. – Nie powinienem tego panu mówić. Zażąda pan fortuny.

– A Thane sprzeda ją za nie mniejszą – odparł Jeremy.

– W rzeczy samej – mruknął Thaddeus.

Cichym głosem podał cenę.

– Załatwione – powiedział Jeremy.

– Natychmiast trafi do sprzedaży – rzekł jubiler. – Do końca dnia powinna znaleźć nabywcę.

– Wielce prawdopodobne – zgodził się z nim Jeremy.

Zjadł lunch w The Townsman, swoim klubie w Houston, w portfelu mając gruby plik banknotów, które otrzymał za broszkę. Nie

śpieszył się, a po lunchu wypił brandy i kawę w klubowym salonie, gdzie uciął sobie pogawędkę z innymi rekinami biznesu, poznał też przedstawiciela nowych bogaczy w stanie. Mężczyzna pochodził z Corsicana we wschodnim Teksasie, a podczas kopania płytkiej studni artezyjskiej na swojej posiadłości w 1897 roku natknął się na złoża ropy i gazu. Po miłej rozmowie z nowo przybyłym Jeremy spojrzął na swój złoty zegarek z dewizką i uznał, że minęło dość czasu i broszka skatalogowana, oczyszczona i wyceniona leży już skąpana w jaskrawym świetle w jednej ze lśniących gablot w sklepie Oppenheimerów. Powinien się pośpieszyć.

Thane stał za ladą. Jeremy ujrzał broszkę wystawioną w oddzielnej gablocie na postumencie przy wejściu, gdzie każdy wchodzący klient musiał od razu zwrócić na nią uwagę.

– Chciałbym kupić szmaragdową broszkę, Thane – powiedział.
Thane spojrzął na niego zaskoczony.

– Ale... przecież dopiero co ją pan nam sprzedał, panie Warwick.

– A teraz chcę ją odkupić. Oczywiście za cenę, jakiej zażądacie.

– Och... tak. Jak pan sobie życzy, panie Warwick.

Jeremy wypisał jubilerowi czek.

– Nie musi jej pan pakować – powiedział. – Po powrocie do domu natychmiast schowam ją do sejfu.

Jubiler odpowiedział głosem, w którym z trudem udawało mu się ukryć zdumienie.

– Nie będzie zdołać sukni pięknej damy, panie Warwick?

– Tylko we wspomnieniach, Thane – odrzekł Jeremy.

Jessica ze zdumieniem przeliczyła banknoty.

– Aż tyle za nią dostałeś, Jeremy? Naprawdę nie dołożyłeś ani centa?

Jeremy uniósł dłonie.

– Naprawdę. Dokładnie tyle jubiler zapłacił za twoją broszkę.

Uwierz mi, sprzeda ją za dużo więcej.

Jessica się zadumała.

– Ciekawe, kto ją kupi?

– Może jakiś mężczyzna, który bardzo kogoś kocha.

Rozdział 98

W Nowy Rok 1900 roku Jessica raźnie zabrała się za spisywanie historii rodzin założycieli Howbutker. Przez pierwszy kwartał będzie porządkowała materiał, dwa następne poświęci na pracę nad tekstem. Miała nadzieję oddać rękopis do wydawcy na początku czwartego kwartału, dając mu wystarczająco dużo czasu na złożenie i wydrukowanie książki, tak aby była gotowa na Boże Narodzenie.

Mogła sobie pozwolić na kupno maszyny do pisania Reming-ton, a także opłacenie maszynistki i korektorki. Po przeprowadzeniu stosunkowo niewielu rozmów z dostępnymi w mieście nielicznymi kandydatkami, zdecydowała się na młodą kobietę, która chciała sobie dorobić do pensji sekretarki. Do poprawy błędów Jessica zatrudniła równie młodego jak dziewczyna dziennikarza, z trudem zarabiającego na życie w „Gazette” Howbutker.

– Mamo, Darla przed ślubem pracowała jako redaktorka w wydawnictwie. Czemu nie skorzystasz z jej pomocy? – zapytał Thomas.

Jessica spojrzała na niego wzrokiem, którego nie mógł błędnie odczytać.

– W porządku – ustąpił. – Darla spodziewa się dziecka i w ogóle jest bardzo zajęta, więc zapewne i tak nie znalazłaby czasu.

– Jesteś bardzo spostrzegawczy – odparła jego matka.

Jessica, sekretarka i dziennikarz tworzyli uroczy zespół i Amy z radością dwa razy w tygodniu przez pół dnia dostarczała im herbatę i wypieki. Resztę czasu Jessica spędzała zamknięta w swoim pokoju, obłożona dziennikami, notesami i ołówkami, i wyłaniała się z niego tylko na posiłki.

– Wydaje się, że czas jest dla Jessiki bardzo cenny – zauważyła Jacqueline, zwracając się do męża. – Myślisz, że czuje oddech śmierci?

– Ma już prawie osiemdziesiąt trzy lata – powiedział Thomas.

– Szkoda każdego dnia – mruknęła Jacqueline.

Brakowało jej towarzystwa teściowej. Wspaniale im się razem czytało, pracowało w ogrodzie, jeździło na rowerach. Jacqueline zaczynała odczuwać samotność. Thomas spędzał na plantacji całe dnie,

jako że ostatnio na światowych rynkach bardzo wzrósł popyt na bawełnę. Poza drewnem, produkcja nasion bawełny była drugim najważniejszym źródłem dochodu w Teksasie i olejarnia Toliverów pracowała dzień i noc, by nadążyć z produkcją. W stanie i na całym Południu powstały tkalnie konkurencyjne dla tych z Północy i Somerset wyrosła na największego dostawcę surowca potrzebnego do rocznej produkcji krajowych i zagranicznych rynków. Los znowu sprzyjał Toliverom.

Na początku kwietnia, kiedy Jessica od trzech miesięcy pracowała niestrudzenie nad swoją książką, Jacqueline przedstawiła Thomasowi prośbę, która pośrednio miała zaważyć na jej życiu. Darla była w ostatnim miesiącu ciąży, która od początku miała trudny przebieg. Ostatnie trzydzieści dni musiała przeleżeć w łóżku i Sassie, z czteroletnią córeczką Pansy, którą musiała się opiekować, mając do pomocy tylko jedną służącą, nie była w stanie sprostać wszystkim oczekiwaniom swojej wymagającej pani. Wynajęty dom był zbyt mały, by pomieścić dodatkowe osoby, wobec tego Jacqueline zaproponowała, aby cała rodzina Vernona przeprowadziła się na Houston Avenue – „dopóki dziecko się nie urodzi i Darla nie stanie na nogi”, jak powiedziała. Thomas częściej widywałby wnuka, a Amy ucieszy się z bliskości córki i wnuczki.

Thomas miał opory. Nie znał się zbyt dobrze na kobietach, ale od samego początku się domyślał, dlaczego jego synowa tak nalegała, by zamieszkać z dala od rodzinnego domu męża. Nie należała do kobiet, które lubiły dzielić się swoją własnością, co jak najbardziej dotyczyło również jej męża, syna i domu.

Z drugiej jednak strony martwił się o bezpieczeństwo dziecka w łonie matki. Wszystkie te napady złości i marudzenie, o których słyszał od Amy, której z kolei zwierzała się Sassie, na pewno nie mogły się przysłużyć zdrowiu i rozwojowi dziecka. Vernon musiał mieć kolejnego dziedzica. Thomas kochał swojego wnuka, Milesa, chłopczyk jednak był z krwi i kości Henleyem, ulepionym z tej samej gliny, co jego matka. Chociaż był jeszcze malutki, ani ojciec, ani dziadek nie wyobrażali sobie, by wyrósł na godnego dziedzica Somerset.

Tak więc Thomas wyraził zgodę i w krótkim czasie Vernon wraz

z rodziną zajęli jedno skrzydło rezydencji przy Houston Avenue. Darla, chociaż wciąż czuła się źle, znacznie się uspokoiła. Zrezygnowała nawet z wypełniania domowych obowiązków, by w spokoju oczekiwać przyjścia na świat nowego dziecka. Do tej pory wszystkim martwił jej brak matczynego entuzjazmu dla istotki rosnącej w jej łonie, przez którą cierpiała wszystkie możliwe ciężowe dolegliwości i która zakłócała panujący w jej domu porządek. Miles był takim łatwym dzieckiem.

Na początku maja, po ośmiu godzinach trudnego porodu, Darla wydała na świat dziecko. Zbyt wyczerpana, by wykrzesać z siebie wymaganą w takiej chwili radość, nie potrafiła ukryć swego zawodu płcią potomka. Nie uszło to uwadze nikogo z rodziny ani służby, kiedy wzięła na ręce Mary Reginę Toliver. Ojciec, dziadek i prababcia dziewczynki stali przy łóżku, zachwycając się noworodkiem. Czarne włoski, zarys dołeczka na brodzie, elegancki kształt główki, rączki i stópki, wszystko świadczyło, że oto narodziła się nowa Toliverówna, krew z krwi, kość z kości.

Jacqueline stała u stóp łóżka i ujrzała na twarzy swego męża ten sam wyraz, z jakim spoglądał na swoją córkę Reginę w dniu jej szesnastych urodzin. Nic nie będzie w stanie oderwać go od tej maleńkiej istotki, niekwestionowanej potomkini jego przodków, nawet jeżeli zamieszka z rodzicami w domu na drugim końcu miasta. Vernon i jego rodzina zostaną pod dachem na dobre. Kiedy się wprowadzali, Jacqueline zauważyła, jak Darla ocenia nowe, swoje chwilowo otoczenie, upatrując w nim poprawy ich warunków życia. Młodym Toliverom powodziło się już znacznie lepiej, a powiększona rodzina wymagała, by zamieszkali w domu odpowiadającym ich pozycji i potrzebom. A czyż może być lepsze miejsce od rodzinnego domu jej męża, do którego miał pełne prawo? Jacqueline nie miała złudzeń. Już niedługo będzie panią we własnym domu.

Jej obawy okazały się w pełni uzasadnione. Darla, po cichu i subtelnie, bez przyciągania uwagi męża i teścia dała Jacqueline jasno do zrozumienia, że jako macocha jest uzurpatorką, która zyskała na niepowodzeniu innej kobiety – prawdziwej żony i matki, obecnie już nieżyjącej. Teraz ona, żona dziedzica Somerset i matka jego następców, powinna zająć należne jej miejsce jako pani tego domu.

Jacqueline, już sześćdziesięcioletnia, nie miała ani ochoty, ani sił przeciwstawić się kobiecie, która tak jak Darla dążyła za wszelką cenę, by sprawować niepodzielną władzę nad domem i rodziną. Mogła zwrócić się po pomoc do Jessiki, która uświadomiłaby Darli, gdzie jest „należne jej miejsce”, nie chciała jednak wywoływać domowych niesnasek. Darla do dzieci nie dopuszczała praktycznie nikogo, wobec czego Jacqueline poszukała sobie innych zainteresowań, z których jednym były podróże. Wolna od domowych obowiązków, z wiecznie nieobecnym mężem, zajęтым bądź na plantacji, bądź w służbie publicznej, Jacqueline mogła sobie pozwolić na dwudniowe wyjazdy do muzeów, galerii sztuki i innych ciekawych miejsc w San Antonio, Houston czy Dallas. Czasem wybierali się z nią członkowie klubu czytelniczego, do którego należała, kiedy indziej Pixie i Beatrice, których młode towarzystwo bardzo sobie ceniła. Na początku września 1900 roku Jacqueline poprosiła Thomasa, by wraz z nią wybrał się pociągiem do Galveston, by obejrzeć zajmujący powierzchnię akra miejski ogród, którego sława rozniosła się po całym kraju. Tak naprawdę chciała na kilka dni uwolnić się od kobiety, którą przez własną głupotę zaprosiła pod swój dach. Darla ostatnio zaczęła odnosić się potwornie apodyktycznie do służby, zwłaszcza Sassie, trudno też było spokojnie patrzeć, jak faworyzuje Milesa, podczas gdy Mary zanosila się płaczem w kołysce, a jednocześnie nikogo do niej nie dopuszczała. Ona i Thomas mogliby się zatrzymać na kilka dni w luksusowym hotelu nad brzegiem morza w Galveston, wybudowanym dla zjeżdżających masowo z całego kraju gości zwabionych chęcią podziwiania wspaniałych kwiatów.

Niestety, Thomas z żalem musiał jej odmówić. W Somerset trwały zbiory i nie mógł wszystkiego zostawić na głowie Vernona. Może jego matka by się z nią wybrała.

Jacqueline przypomniała mu, że Jessica kończy pisanie *Róż*.

Może więc Darla wyrwałaby się na kilka dni, podsunął Thomas.

W żadnym razie, odparła szybko jego żona. Nawet przez myśl jej nie przeszło odrywanie Darli od dzieci. Jeśli żadna z przyjaciółek z klubu czytelniczego nie zechce jej towarzyszyć, pojedzie sama.

Koniec końców tak się właśnie stało. Nie po raz pierwszy podróżowała samotnie, co bardzo Thomasa niepokoiło. Przed wyjazdem

odwiedziła Jessicę w jej pokoju i zmiękło jej serce na widok pooranej zmarszczkami twarzy, która uniosła się znad ostatnich stron liczącej sześćdziesiąt pięć lat historii życia Toliverów, Warwicków i DuMontów we wschodnim Teksasie.

– Myślisz, że ktoś będzie chciał to przeczytać? – zapytała Jessica.

– Wszyscy, dla których to napisałaś – odparła Jacqueline.

– Na jak długo wyjeżdżasz?

– Jeszcze nie wiem.

Jessica przyjrzała jej się znad złotych oprawek okularów ciemnymi oczami, mądrymi i wiedzącymi.

– Na tyle długo, by uleczyć się z tego, co cię dręczy?

Jacqueline uśmiechnęła się przebiegle. Nic się przed Jessicą nie mogło ukryć.

– Na aż tak długo nie mogę wyjechać. Zadepeszuję, kiedy wracam.

– Będziemy za tobą tęsknić – powiedziała Jessica.

Thomas odwiózł Jacqueline na stację i dopilnował, by znalazła wygodne miejsce w przedziale pierwszej klasy. Odetchnął z ulgą, kiedy konduktor zapewnił go, że nie spuści jej z oka, poza tym w Galveston miała wyjść po nią znajoma i odprowadzić do hotelu.

Depesza nigdy nie została wysłana. 8 września 37 000 niespodziewających się niczego mieszkańców miasta zajmowało się swoimi sprawami przy pięknej bezchmurnej pogodzie, choć niespokojne tego dnia morze zalewało niektóre położone niżej ulice. Nad Zatoką Meksykańską zbierał siły huragan. Jego atak, który okazał się największą klęską żywiołową, jaka dotknęła Stany Zjednoczone, nastąpił późnym popołudniem, gdy Jacqueline raczyła się herbatą podaną w Sali Palmowej nadbrzeżnego hotelu, w którym mieszkała. Hotel był pierwszą przeszkodą na drodze szalejącego sztormu.

Rozdział 99

Po tragedii w Galveston Jessica potrzebowała dwóch tygodni, by zebrać w sobie siły do konfrontacji z Darlą. Gdy skończyła się ubierać, posłała do niej Amy z wiadomością, że pragnie się z nią spotkać w pokoju dziennym.

– Dziennym, proszę pani? Nie tutaj, w gabinecie?

– W pokoju dziennym, Amy.

Darla wbiegła do pokoju, w którym bez zbędnej zwłoki uczyniła swoje centrum dowodzenia, i z osłupieniem ujrzała babkę swojego męża zasiadającą w fotelu przy biurku, który uważała za wyłącznie swój.

– Wzywałaś mnie, Jessico?

– Owszem. Usiądź, proszę, Darlo.

– Obawiam się, że nie mogę. Mam tyle...

– Usiądź, Darlo!

Darla usiadła. Jessica obróciła fotel, by znaleźć się z nią twarzą w twarz.

– Dla twojej wiadomości: ciebie obarczam winą za śmierć mojej synowej. Gdyby nie ty, nie musiałyby uciekać przed twoją nachalną, nieznośną obecnością.

Darla otworzyła usta, żeby zaprotestować.

– Słucham?

– Nigdy ci tego nie wybaczę. Nigdy! Przejmuję z powrotem swój dom. Masz natychmiast zabrać swoje rzeczy z tego pokoju. Inaczej sama każę je stąd zabrać, i uwierz mi, nie zrobię tego tak porządnie, jakbyś sobie tego życzyła. Odtąd służba odpowiada przede mną. Czy to jasne?

Darla podniosła się urażona i wyprostowała na całą swoją wysokość, dając wyraz oburzeniu.

– Vernon na pewno będzie miał w tej kwestii coś do powiedzenia.

– Vernon nie ma nic do gadania w kwestii tego domu. Dom należy do mnie i ja podejmuję wszystkie dotyczące go decyzje. Jeżeli ci to nie odpowiada, ty i twoja rodzina możecie się wyprowadzić.

– Nie zrobisz tego swojemu wnukowi i jego dzieciom – powiedziała przerażona Darla.

Jessica wstała zdecydowanie i podeszła do niej. Spojrzała

w bursztynowe oczy swoimi – a teraz przypominały agaty w lodowatej wodzie.

– Nie ośmielisz się, Darlo, mnie do tego zmusić, zapewniam cię jednak, że gdybyś mimo wszystko zdobyła się na taką odwagę, dotrzymam słowa. I niech ci się nie wydaje, że możesz za moimi plecami nastawić Vernona i moje wnuki przeciwko mnie czy mojemu synowi. Vernon nigdy na to nie pozwoli. Poznasz tę stronę swojego męża, której wolałabyś nigdy nie ujrzeć, a on ujrzy w tobie to, co z takim trudem starałaś się zawsze przed nim ukryć. Czy wyraziłam się dostatecznie jasno?

Darla cofnęła się przed jej przeszywającym spojrzeniem, dłonią ściskając gardło.

– Tak sędzę.

– Doskonale – rzekła Jessica.

– Pani Toliver. – Przedstawiciel Hawks Publishing Company w Houston podał Jessice książkę w oprawie z ciemnoczerwonej skóry z wytłoczonym niedużym złotym listkiem. – Pierwszy egzemplarz *Róż*, jeszcze ciepły spod prasy. Bardzo piękny, jeśli wolno mi zauważyć.

– Wolno panu – odparła Jessica, przerzucając strony, na których zawarła esencję setek dzienników i gazet wykorzystanych przy pracy. – Bardzo piękna książka i akurat na Boże Narodzenie. Czy dopilnuje pan, by dostarczono resztę do mojego domu w Howbutker?

– Z największą przyjemnością, pani Toliver. Z dumą i radością przyjęliśmy ją do druku. Jako Teksasńczyk bardzo się cieszę, że podjęła pani trud, by zostawić nam taką spuściznę.

– Mam nadzieję, że rodziny założycieli podzielią pański zachwyty – powiedziała Jessica. – *Róże* to mój gwiazdkowy prezent dla nich.

Ściskając książkę, życzyła mężczyźnie wesołych świąt i wyszła na ulicę, ogarnięta nagłym smutkiem. Jej projekt wyszedł lepiej, niż się spodziewała. Jakość wydania i dbałość o szczegóły świadczyły, że trafił w ręce ludzi, którym zależało. Porządna firma. Teraz jednak, gdy jej roczna praca dobiegła końca, czuła się jak balon, z którego uszło powietrze. Co się z takim balonem robi?

Żałowała, że Jeremy jej nie towarzyszy. Zawsze poprawiał jej nastrój. Zabrałby ją do The Townsman, by to uczcić, może nawet

wstawiłaby się lekko szampanem, lecz jemu by to nie przeszkadzało. Poprosiłaby go, by pojechał wraz z nią pociągiem do Houston, nie chciała jednak psuć mu niespodzianki.

Zresztą nic nie szkodzi, pomyślała, rozglądając się za fiakrem, który zawiózłby ją na stację. I tak musiała wracać do Howbutker. Thomas ogromnie się o nią martwił, gdy wybierała się dokądś sama, więc nie chciała dawać mu dodatkowych powodów do niepokoju. Błagał, by zaczekała, aż znajdzie czas, by jej towarzyszyć, lecz mogłoby to być za późno. Była połowa listopada 1900 roku. W pociągu wiozącym ją do domu będzie rozkoszować się radością z osiągniętego celu. A okazja to nie byle jaka, jak powiedziałyby z dumą Jacqueline.

Jacqueline...

Po odejściu drogiej przyjaciółki zostali jej tylko Jeremy i Tippy. Ból po jej stracie czuła każdego ranka po przebudzeniu, a żal, jaki cierpiała po śmierci Silasa, pozwalał jej zrozumieć, co przeżywa Thomas, ledwo otworzywszy oczy. Dzięki Bogu jest Mary. Cudowna dziewczynka uratowała Thomasa przed całkowitym pogrążeniem się w rozpacz.

Po ich krótkiej rozmowie w pokoju dziennym Darla dopilnowała, żeby dziadek mógł spędzać z wnuczką więcej czasu. Wieczorami ustaliła „Czas dziadunia Thomasa”, kiedy to Thomas brał małą na ręce i kołysał ją do snu, a Miles siedział mu na kolanach i opowiadał, jak jemu minął dzień. Thomas recytował wierszyk *Mary Had a Little Lamb – Mary miała małą owieczkę* – i wszyscy w domu, nawet Darla, zaczęli nazywać dziecko Mary Lamb.

Vernon wierzył, że Darla, wypuszczając dzieci spod matczynych skrzydeł, kierowała się współczuciem po stracie, jaką poniósł Thomas. Jessica nie wiedziała, czy Darla działała pod wpływem zachwyty męża nad jej troskliwością, czy też była to jej kolejna machinacja mająca go zwieść, nie miało to jednak żadnego znaczenia. Życie z nią stało się bardziej znośne. Mniej rygorystycznie postępowała w innych sprawach dotyczących jej dzieci, zwłaszcza Mary, która wcześniej w zasadzie nie mogła kontaktować się z nikim poza rodzicami. W ciągu dnia powierzała małą opiece Sassie, która ją uwielbiała, nie przeganiała też kolegów Milesa, Percy’ego Warwicka i Olliego DuMonta, gdy zaglądali do

kołyski, w której spała dziewczynka. Zwłaszcza Percy był zachwycony czarnowłosą siostrzyczką przyjaciela. Przynosił jej zabawki i stroił zabawne miny, aż mała zanosila się od śmiechu. Nieraz Miles musiał go wołać, by przyłączył się do zabawy. Vernonowi nie udało się sprawić, by Mary zwracała się do niego „tatusiu”, jednak nie z winy Darli. Mary naśladowała brata i gaworząc, powtarzała za nim „pa-pa”, Vernon więc uznał, że w swoim dzieciennym języku zwraca się do niego „papo”.

W dniu, w którym Jessica załatwiała swoje sprawy, temperatura spadła niemal do zera, otuliła się więc szczelniej kołnierzem. Zanosilo się na deszcz, ona wybrała się bez parasola i naturalnie nigdzie nie widać było żadnego fiakra. Ruszyła w stronę zbiegu ulic, gdzie szansa na znalezienie dorożki była większa, po drodze jednak złapał ją deszcz. Zanim zdołała zatrzymać powóz, zdążyła do cna przemoknąć, a gdy wysiadła przed dworcem, deszcz zlał ją jeszcze bardziej. Zaprzyjaźniony z rodziną konduktor przyniósł jej ręcznik, koc i filiżankę gorącego kakao, jednak następnego ranka po powrocie na Houston Avenue Jessica obudziła się z zapaleniem płuc.

– To nic – uspokajała zmartwionych Thomasa i Amy. – Płuca mam jak młody chłop.

Uwierzyli jej. Przecież Jessica nigdy nie złapała nawet przeziębienia. Nazajutrz wieczorem pociągami przyjechały wydane jej własnym sumptem książki. Naczelnik stacji okazał się tak uprzejmy, że kazał je przywieźć swojemu synowi i rano, zanosząc się kaszlem, Jessica zabrała się do pracy.

W grudniu Dom Towarowy DuMont miał wprowadzić wspaniałą nowinkę – zamiast jak zwykle pakować bożonarodzeniowe prezenty w szary papier, odtąd miał używać do tego celu zielonej i czerwonej bibuły. Jessica zamówiła ją odpowiednio wcześniej i mając pod ręką papier i wstążki, zabrała się za pakowanie i podpisywanie egzemplarzy *Róż* dla głów wszystkich rodzin wywodzących się od założycieli Howbutker. Po jednym mieli dostać Thomas, Jeremy Senior i jego synowie, Jeremy Junior i Stephen; także Armand, Abel i jego brat Jean, kawaler. Dwa egzemplarze były przeznaczone dla miejskiej biblioteki i archiwum stanowego w Austin, jeden też Jessica wyśle pocztą dla Tippy.

– Amy – powiedziała, gdy rozpalona gorączką leżała z powrotem w łóżku. – Dopilnuj, żeby te prezenty – wskazała na krzesło, gdzie leżał stos czerwono-zielonych paczek – trafiły pod choinkę, kiedy wszyscy zejdą się na Wigilię.

– Jak to, proszę pani? – zdumiała się Amy. – Sama to pani robi, tak jak zawsze pani lubiła.

– Nie, Amy, nie zrobię.

Pomyślała o Tippy, która przyszła na świat z jedną „poduszką powietrzną”, jak nazywała swoje płuco, wciąż pełnej sił, mimo osiemdziesięciu trzech lat. No tak, ale Tippy była zrodzona z gwiazd i żyła otoczona niebiańską opieką.

W ostatnich dniach, półprzytomna, z płucami zainfekowanymi w stopniu, jakiego w tamtym czasie nie dało się uleczyć, Jessica wracała w myślach do przeszłości. Znowu widziała Silasa stojącego pod ciemnozielonymi liśćmi i białymi mięsistymi kwiatami magnolii na dziedzińcu hotelu Winthorp, gdy żegnał się z nią przed odjazdem. Obok stał Joshua w swojej za dużej skórzanej kurtce. Zgromadzeni wokół jej łóżka ze zdumieniem spoglądali na jej nikły, nieobecny uśmiech. Jeremy ujął ją za rękę i przyłożył sobie do serca.

– Kogoś widzi – powiedział.

Podziękowania

Na pomysł napisania prequela *Róż* wpadł mój mąż. Czytelnicy mojej pierwszej powieści zasypywali mnie pytaniami, czy zamierzam napisać jej ciąg dalszy, jednak nie ciągnęło mnie, by dalej zajmować się tamtą historią. Tę opowieść skończyłam. Kiedy jednak mąż powiedział, że chciałby się dowiedzieć, jak Warwickowie, Toliverowie i DuMontowie znaleźli się w Teksasie, ten pomysł zaintrygował i mnie. No właśnie, jak te rodziny dotarły do Teksasu?

Aby więc znaleźć odpowiedź na to pytanie, wyruszyłam w podróż razem z patriarchami rodów, którą musieli odbyć, zanim narodził się Teksas. Okazała się ekscytująca i niezmiernie ciekawa. Dziękuję wszystkim, którzy mi w niej towarzyszyli. Wiecie, o kim mówię, ale i tak niektórych wymienię z imienia i nazwiska. Trudno podać w jakimś porządku tych, którzy mi towarzyszyli, służyli wsparciem, interesowali się i zachęcali, zacznę więc od mojego męża, Arthura Richarda Meachama III. Gdy wszystko to zapewniał mi wręcz w nadmiarze, miał za towarzyszkę Ja-nice J. Thomson i Ann Zeigler, bez których pisałabym w próżni, a moje dni byłyby bardzo samotne. Jak zawsze wdzięczna jestem mojemu agentowi, Davidowi McCormickowi z McCormick and Williams Literary Agency, oraz Deb Futter, redaktorce naczelnej Grand Central Publishing, a także jej asystentce, Dianie Choi. To najbardziej życzliwe, pomocne i najmądrzejsze osoby w całej branży. Dziękuję też mojej wydawcy, Jamie Raab, która o ile mi wiadomo, czytała rękopis przy świetle latarki, kiedy huragan Sandy szalał w najlepsze, i zgodziła się na jej wydanie. Chcę również wymienić Leslie Falk z McCormick and Williams, której nigdy nie poznałam osobiście, lecz zawsze czułam jej nieustające wsparcie. Wielkie dzięki, Leslie, zapewniłaś sobie moją dozgonną wdzięczność.

Dziękuję też wszystkim moim fanom i czytelnikom, gdziekolwiek są. Jestem Waszą dłużniczką.

¹ Empresario – osoba, która otrzymała prawo do osiedlenia się na meksykańskiej ziemi w zamian za werbowanie kolejnych osadników; ponosiła też za nich odpowiedzialność [przyp. tłum.].

² Przeł. M. Reiter.

³ Przeł. S. Barańczak.

